


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Yáckta – Oya

**PATROL NWMP
ZAGINAŁ**

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001**

Żyjąca legenda

Według szeroko na kontynencie północnoamerykańskim rozpowszechnianych, a przez dziesięciolecia utrwalanych przekonań, legenda North-West Mounted Police – Północno-Zachodniej Policji Konnej – jest prawie tak stara, jak owe sławne po dziś dzień policyjne siły Kanady.

Moment narodzin legendy jedni wiążą z datą 30 sierpnia 1873 roku, kiedy to NWMP została formalnie powołana do istnienia; drudzy z datą 8 lipca 1874 roku, kiedy z Fort Dufferin, faktorii kupieckiej i osady nad Rzeką Czerwoną, w pobliżu granicy ze Stanami, rozpoczęto ponad tysiąc dwustukilometrowy marsz na zachodnią kanadyjską prerię pierwszych sześć dywizjonów North-West Mounted Police. Nie zdołał jeszcze ucichnąć chrzęst oddalających się od Dufferin taborów, tętent i rżenie koni, gdy sława, owych sześciu dywizjonów wróciła w odgłosie fanfar i rozlała się po całym północnoamerykańskim kontynencie.

Jednak przekonanie o równoczesności narodzin NWMP i legendy jest słuszne jedynie z pozoru. W rzeczywistości, co może wydawać się paradoksem, legenda nie powstała ani w tym samym czasie co Siły, ani w okresie późniejszym, gdy szczególnie wielkie lub barwne czyny tych Sił mogłyby uzasadniać jej istnienie. Powstała znacznie wcześniej.

By zrozumieć tę pozornie paradoksalną prawdę, trzeba przynajmniej kilka słów poświęcić samej legendzie, której idea wywodzi się z ugruntowanych w świadomości pokoleń wyobrażeń o amerykańskim i kanadyjskim pograniczu, pograniczu przesuwającym się nieprzerwanie w ciągu dwu i pół wieku od wybrzeży Oceanu Atlantyckiego poprzez Appalache, dolinę Ohio i Missisipi, przez wielką prerię, aż do podnóża Gór Skalistych na zachodzie kontynentu. Wywodzi się z ducha kolonizacji i nieprzerwanej konfrontacji świata ludzi białych ze światem człowieka czerwonoskórego, z walk i wojen indiańskich oraz tych, które biali toczą między sobą lub przeciwko Indianom.

Obraz legendy wypełniają wizerunki sławnych indiańskich wodzów i wojowników z głowami zdobionymi barwnymi pióropuszcami, postacie słynnych awanturników, rewolwerowców, łowców przestępców i płatnych łowców skalpów, francuskich gońców leśnych i nieustraszonych, twardych ludzi północno-zachodniego szlaku, wielkich odkrywców i futrzanych kupców. Ale obraz ten malują i inne sceny: łuny i zgliszcza pożarów, wojenna wrzawa, płacz rannych i konających, krzyk zwycięstwa i bólu, jęk piersi przeszytej strzałą lub kulą muszkietu, rozpacz i gniew Indian wypędzanych z ziem praojców.

Echa przeszłości w ramy obrazu wkomponowują sceny gwałtu i przemocy, czyny i wydarzenia krwawe i przerażające. Ukazują brutalną siłę i bezwzględność, pogardę dla słabszych, dla prawa i sprawiedliwości, dla wszelkich, norm etycznych i moralnych, zachłanną chciwość i żądzę bogactw, żądzę panowania nad innymi. Niby w makabrycznym zwierciadle obraz, wyrosły na gruncie legendy pogranicza, z całą ostrością odbije nakładająca się na niego i dopełniająca go przerażająca rzeczywistość Dzikiego Zachodu.

U jednych rozpala wyobraźnię, więc spieszą, by się w niej zanurzyć; u drugich budzi lęk, przerażenie i grozę, wzbudza tęsknotę za legendą inną, za innym bohaterem.

Powodem decyzji o utworzeniu sił policyjnych Kanady nie jest jednak legenda. Wydaje się być nawet pewne, że kiedy sir John A. Macdonald, pierwszy premier Dominium Kanady, rozważa problem powołania takich Sił, nie myśli ani o legendzie, ani tym bardziej nie zdaje sobie sprawy z tego, że zamierza utworzyć jedną z najbardziej sławnych w przyszłości formacji policyjnych świata. Kierują nim zupełnie inne powody, w jego mniemaniu oraz ocenie kanadyjskich polityków, znacznie poważniejsze. Macdonalda niepokoi południowy sąsiad i jego narastająca gwałtownie ekspansja terytorialna, której widomym przykładem jest niedawne zagarnięcie Teksasu, Nowego Meksyku i Kalifornii. Zdaje sobie sprawę, że tylko cudem aż dwukrotnie sprawa Oregonu nie zakończyła się zawładnięciem przez Stany Zjednoczone terytorium Brytyjskiej Kolumbii. Niedawne zakupienie przez USA od Rosjan Alaski traktuje jako alarmujący, dramatyczny znak ostrzegawczy.

W obliczu szybko zwiększającego się napływu amerykańskich osadników w rejony północno-zachodnie Stanów, rząd w Ottawie kupuje w 1869 roku od Kompanii Zatoki Hudsona największe na świecie prywatne terytorium – liczącą kilka milionów kilometrów kwadratowych Ziemię Ruperta. Ziemia ta, granicząca na dystansie ponad dwu tysięcy kilometrów ze Stanami Zjednoczonymi, pozostaje jednak nadal bez żadnej ochrony. Na tych rozległych obszarach, nazwanych Terytoriami Północno-Zachodnimi, sytuacja z dnia na dzień staje się coraz bardziej dramatyczna. Z terytorium Montany i Dakoty, na Northwest Territories, przez nie strzeżoną granicę, wlewa się fala amerykańskich handlarzy whisky i futer, całe bandy łowców bizonów i łowców białych wilków, koniokradów i pospolitych złodziei, watahy wszelkiego rodzaju awanturników i różnego typu przestępców. Rozpijają, demoralizują i terroryzują indiańską ludność, są źródłem i przyczyną zatargów, waśni i walk z plemionami Cree, Assiniboine, konfederacją wojowniczych Blackfoot. Wśród miejscowej ludności wywołują wrzenie grożące wybuchem indiańskiej wojny.

W przygranicznych rejonach, w okolicach Dirt Hills, Cypress Hills, Sweet Grass Hills, nad rzekami Qu'Appelle, Assiniboine, South Saskatchewan, Red Dear, Old Man's zakładają stałe obozy. Ponura sława niektórych z nich, takich jak Slideout, Keep, Standoff, czy Fort Whoop-up – najsłynniejszy ze wszystkich – na długo wpiszą się w historię tamtych terenów.

Sytuację na tym odległym kanadyjskim pograniczu dobrze ilustruje list-opowieść, jaką na ręce władz w Ottawie przekazuje misjonarz-metodysta, wielbny John Mc Dougal:

„...Tysiące skór bizonich, setki tysięcy skór wilczych i lisich oraz większość najlepszych koni, jakie mieli Indianie, została zabrana na południe do Montany, a głównym artykułem wymiany był alkohol. W trwających tu ciągle zamieszkach zostało zabitych wielu Indian, a także białych. W obrębie kilku mil wokół nas, tej zimy 1873/74 zginęło czterdziestu dwu dorosłych, zdrowych mężczyzn; wszyscy zginęli w pijackich awanturach. Byli to Blackfoot... Nie ma tu prawa, lecz przemoc... Miały miejsce sceny okropne, kiedy na pijaństwo i hulanki szły całe obozy (indiańskie – dop. aut.), co było najczęstszą przyczyną pchnięcia nożem, zabójstwa, zamarznięcia na śmierć. Te rozpustne okropności trwały całą zimę niedaleko od nas... Matki traciły swoje dzieci. Zamarzały one na śmierć lub były rozszarpywane przez wałęsające się psy obozowe. Zmniejsza się liczba urodzonych dzieci indiańskich, a biedny czerwonoskóry znalazł się na najlepszej drodze do wyginięcia tylko dlatego, że mężczyźni pochodzący z chrześcijańskich krajów i ich chrześcijańska cywilizacja rządzone były przez żądzę posiadania i chciwość...”

Coraz częściej z rejonów dalekiego pogranicza docierają do Ottawy niepokojące, przerażające wieści. Jedna z nich wywrze w całej Kanadzie wstrząsające wrażenie.

Oto w maju 1873 roku, między grupą łowców białych wilków, działających ze swej głównej bazy w Fort Benton w Montanie, a liczną grupą Indian Assiniboines polujących w rejonie Cypress Hills na terytorium Kanady, dochodzi do sporu o prawo polowania na tych terenach.

Biali i Metysi uzbrojeni w nowoczesne wielostrzałowe karabiny nie mają większego problemu. Spór kończy się masakrą Indian. Nie ocaleje nawet jeden świadek. Zostaną zamordowani wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety, a nawet starcy i dzieci. Trudno ustalić dokładną liczbę. Niektórzy mówią o kilkuset ofiarach... Mordercy uchodzą bezkarnie na południe do Montany. Sprawa staje się głośna i znana jako Cypress Hills Massacre. Opinia publiczna Kanady jest wstrząśnięta. Rząd w Ottawie nie może dłużej zwlekać, tym bardziej że Kanady nie stać na powtarzanie krwawej lekcji amerykańskiego Dzikiego Zachodu.

Gdy zostaje ogłoszony zaciąg do sił policyjnych, na pierwsze sto pięćdziesiąt miejsc zgłasza się ponad tysiąc pięciuset ochotników z całego kraju. I nie nęci ich przecież siedemdziesiąt pięć centów dziennego żołdu. Stają niczym na apelu ożywieni wolą i pragnieniem walki ze złem, z przemocą, bezprawiem. Dla wielu to szansa na ziszczenie marzeń o wielkiej, pięknej i szlachetnej przygodzie, o barwnym, porywającym, pasjonującym, pełnym emocji i niebezpieczeństw życiu na dalekiej prerii, w imię stanowienia prawa i sprawiedliwości.

Kiedy z Dufferin ma wyruszyć na zachód pierwszych sześć dywizjonów NWMP, prasa kanadyjska grzmi, że to oddział straceńców. Wszak jest ich zaledwie dwustu siedemdziesięciu pięciu wyposażonych w jednostrzałowe karabiny, podczas gdy tam, w warownych fortach i obozach czekają setki, a może tysiące uzbrojonych w nowoczesną wielostrzałową broń przestępców gotowych rozprawić się z tą garstką tak, jak rozprawili się z Indianami w Cypress Hills Massacre.

Dywizjony jednak nie ulęką się. Ruszając z Dufferin przeciwko bezprawiu na Północno-Zachodnich Terytoriach Kanady nieświadomie wkraczają w ową wielką legendę. Legenda zaś okrywa je wielobarwnym płaszczem wszelkich zalet i już u progu narodzin czyni z nich wielkiego romantycznego bohatera walczącego przeciwko złu, bohatera obdarzonego wszelkimi cnotami heroizmu, dzielności, męstwa, uczciwości, szlachetności, sprawiedliwości, miłującego i wprowadzającego prawo, porządek i pokój. Tak więc North-West Mounted Police, czy chce, czy nie chce musi stać się legendarnym bohaterem. Tego oczekuje amerykańskie i kanadyjskie społeczeństwo.

Z każdym krokiem marszu na zachód, marszu, którego pierwszym celem jest właśnie Fort Whoop-up, rośnie sława dywizjonów. To nie indiańscy bezbronni myśliwi, to nie indiańskie kobiety i dzieci. To zwarta, zdecydowana, rozumiejąca swą odpowiedzialność i powinność siła. Wraz z jej zbliżaniem się do celu, warowne przestępcze obozy i fortece zaczynają podejrzanie pustoszeć. Zwykle bandy awanturników nie odważą się stawić czoła takiemu przeciwnikowi. Ci, którzy zaryzykują i pozostaną, szybko zostaną wylapani i poniosą karę.

Po przebyciu przeszło tysiącdwustukilometrowego szlaku, dywizjony, prawie z marszu, rozdzielą się, przeczeszą teren, wzdłuż amerykańskiej granicy zbudują fortece, w najdalszych zakątkach dzisiejszych prowincji Alberta, Saskatchewan i Manitoba założą bazy operacyjne.

Dwu-, trzyosobowe patrole ruszą na dalekie szlaki rozległego kraju. Nie jest ważne czy świeci słońce, pada deszcz, czy jest śnieżna zamięć, czy do szpiku kości ciało przenika lodowaty wiatr. Konne patrole Riders of the Plains – Jeźdźców Prerii – pełnią codzienną służbę w promieniu setek mil od macierzystego posterunku czy fortu. Kiedy mróz ściśnie końskie chrapy, wierzchołek zostanie zamieniony na psi zaprząg, który bez lęku zanurzy się w białe piekło północnych rejonów. Gdy zajdzie potrzeba, „Mountie”, gdyż tak zdrobniale nazywa się konnego policjanta, tygodniami i miesiącami będzie dążył tropem przestępcy. Przedziera się przez rozległy step, bezkresne lasy, dzikie wąwozy i parowy podnóża Gór Skalistych, przez niedostępne bagna, i niczym uparty myśliwy nie opuści tropu ściganej zwierzyny. Dostanie ją w końcu i postawi przed sądem bez względu na to, czy przestępcą będzie biały, Metys, czy Indianin. Za przestępstwo będzie musiał ponieść karę zgodną z prawem. Zdarza się, że przestępca jest szybszy, bardziej przezorny, że nie ma żadnych skrupułów, że przestanie bić serce w piersi okrytej szkarłatnym mundurem, że Mountie

pozostanie na szlaku. Ale nikt nie zarzuci mu nigdy, że swego obowiązku nie wypełnił do końca. Tropem mordercy pójdą wtedy inni i już nie dadzą mu szans.

Scena do zagrania roli o legendarnych wymiarach została określona w 1873 roku. Jest nią niezmiernie ówczesne Terytorium Północno-Zachodnie rozciągające się od granicy ze Stanami Zjednoczonymi na południu po wybrzeża Oceanu Arktycznego i Alaskę na północy – niezbadana mroźna kraina prerii i puszczy, wysokich dzikich gór, tysiące rzek i jezior, kraina lodowatego północnego wiatru, straszliwych mroźnych zamieci zapierających dech w piersiach, ścinających w żyłach krew, kraina, gdzie już sam arktyczny klimat i surowa przyroda wymagają heroizmu. Wymarzona sceneria, wspaniałe role, pasjonujący spektakl.

Na rezultaty nie trzeba długo czekać. Już wkrótce odziany w szkarłatny uniform bohater pojawi się w literaturze tamtych czasów, w słynnych powieściach Rogera Pococa i sir Gilberta Parkera. Przygody nieustraszonego Mountie zapelnia szpalty londyńskiego „Boy's Own Paper”. Kanadyjski policjant stanie się bohaterem wspaniałych powieści Curwooda, Steade'a, Kendalla, Goodsella, Douthwaite'a i wielu innych późniejszych. Czyny Mountie, idącego tysiące mil tropem przestępcy, opiewają poeci, malarze utrwalają na płótnach, na szpaltach gazet opisują dziennikarze. W całej Północnej Ameryce o niezrównanych czynach i dokonaniach Riders of the Plains wszyscy czytają tysiące opowieści, wszyscy się nimi fascynują.

Wraz z narodzinami filmu North-West Mounted Police wkracza na srebrne ekrany: „Riders of the Plains” nakręcony przez Edison Mooving Picture Company w Stanach, bije rekordy popularności. Powstają coraz to nowe filmy, a wśród dziesiątków innych tak sławne, jak „Cameron of the Mounted”, „The Trail of '98”, „Rose Marie”, „Eskimo”, „Susannah of the Mounties”, „Heart of the North”, „The Country Beyond”, „King of the Royal Mounted”. W filmach tych pojawiają się prawdziwe gwiazdy ekranu, najsławniejsze ówczesne twarze i nazwiska: Randolph Scott, Shirley Temple, Gary Cooper, Madeleine Carol, Poulette Godard, Robert Preston, Lynne Overman, Lon Chaney Jr., Preston Foster, Akim Timiroff, Walter Hampden, George Bancroft.

Wraz z napływem osadników w głąb kontynentu rozszerzą się rejony działania sił policyjnych. Gdy nad Jukonem wybuchnie gorączka złota, gdy w Dawson, Klondike i Forty Mile pojawią się tysiące poszukiwaczy, a wraz z nimi armia różnego typu przestępców, niebieskich ptaków, sprzedajnych dziewcząt i łowców fortuny, pierwszy oddział North-West Mounted Police, gotów do pełnienia służby, będzie już na miejscu.

A jaka to będzie służba, czytelnik dowie się z kart tej opowieści. Na ile jest to opowieść wierna, na ile odpowiada realiom i duchowi tamtych czasów – trudno ocenić. Czytelnik spotka w niej fakty i wydarzenia, a także postacie znane mu choćby częściowo z historii ostatniej w Kanadzie gorączki złota. Ale dowie się również o innych, na pewno jeszcze mu nie znanych, takich, które mogą budzić wątpliwości, czy były rzeczywistością. Autor starał się być rzetelny, ale w wypadku gdy mimo wszelkich wysiłków nie mógł sprawdzić wiarygodności faktów, uznał, że przecież nie pisze historii i zawierzył legendzie, wplatając ją w wątek swej opowieści.

Życie nad Jukonem w czasie gorączki złota, jaka wybuchła tam w 1897 roku, było barwne, szalone, porywające. Dla jednych stanowiło raj, dla drugich stało się piekłem. Kolejny spektakl pogranicza lub Dzikiego Zachodu, kolejne widowisko, wspaniałe role, wspaniała sceneria, cudowni żywi aktorzy. Jedni grają siebie, inni role przybrane – fałszywe. Jedni zdobywają majątek płucząc złotonośny piasek w lodowatych strumieniach, głodni, zziębnięci, ale twardzi i nieustraszeni. Inni robią fortunę za pomocą strzału oddanego z zasadzki, talii znaczonych kart, pchnięcia nożem, przemycanych galonów whisky, oszukańczych transakcji, spekulacji działkami i odkrywkami. Niektórzy nie zdołają nawet dotrzeć na złotonośne pola, pozostając na zawsze pod śniegiem lub na dnie rzeki.

Choć życie w swej zewnętrznej postaci toczy się na pozór spokojnie, prawie sielankowo, to w swym podskórnym, niewidocznym nurcie wrze, burzy się niczym podziemny wulkan, targane żądzą bogactwa, brutalną chciwością i zachłannością. Namiętność, pasja i towarzyszący im hazard ogarniają wszystko i wszystkich.

Legenda zanotuje wiele, ale przemilczy los tych, których kości bieleją na trasie od Fortu Wrangel, poprzez Teslin, Atlin i Glenorę do Dawson. Milczy o dziejach tych, którym nie udało się pokonać przełęczy White Pass czy Chilcot Pass lub piekielnych Bystrzyn Białego Konia. Kroniki nie napiszą o tych dwudziestu tysiącach, którzy straszliwą zimą 1897/98 muszą spędzić nad jeziorami Tagish i Bennetta, bez zapasów żywności, ciepłej odzieży, drzewa na opał, których jedyną osłonę przed sześćdziesięciostopniowym mrozem i szkwałami lodowatego północnego wiatru stanowi płytka, wykuta oskardem w zamarzniętym gruncie jama, przykryta cienką warstwą darniny. Historia milczy o tych, którzy pozostali nad dalekimi potokami, w rozpadlinach skalnych lub dzikich górskich wąwozach, których rozszarpały stada wałęsających się głodnych wilków, ale i o tych, którym nie starczyło sił, by w czasie śnieżnej zawiei przebyć ostatnią milę dzielącą ich od zbawczego obozu. Powie po prostu, że pozostali na szlaku.

Legenda i rzeczywistość. Splot losów i mitów, prawdy i fałszu. Bohaterowie żywi i martwi. Gdzie kończy się prawda, a gdzie zaczyna fikcja?

Jaką rolę i miejsce w legendzie Yukonu odgrywa i zajmuje North-West Mounted Police? Czy jest tam jedynie legenda, czy żywą pulsującą rzeczywistością? Czy jak zawsze, stanowi ramię prawa, porządku i spokoju, karzącą rękę sprawiedliwości? Czy działa na powierzchni życia, czy i w jego głębi, tam gdzie burzą się namiętności...?

W opowieści, którą czytelnik ma przed sobą, są oczywiście Mounties. Wszak im, w głównej mierze, opowieść ta jest poświęcona. W tym szalonym, zwariowanym świecie, który tworzy gorączka złota, każdy lub prawie każdy gra jakąś rolę. Mounties muszą w tej grze brać udział tak jak wszyscy, zgodnie z potrzebami roli do jakiej zostali wyznaczeni, ale również tak, jak wymaga tego legenda. A gra na scenie Terytorium Yukonu to bardzo często gra pozorów. Czytając tę książkę, nie należy jednak dać się zwieść pozorom...

Yáckta-Oya

Rozdział I

Meldunek z Rejonu Trzynastego

Inspektor David Strickland, zastępca dowódcy dywizji North-West Mounted Police w Fort Constantine nad granicą alaskańską, podniósł się zza biurka i spojrzał przez okno. Nisko wiszące ołowianoszare chmury i ciężkie płaty gęsto padającego śniegu nie wróżyły rychłej zmiany pogody. Mimo że przycichł nieco Ke-e-wa-tin, lodowaty północno-wschodni wiatr, słupek rtęci na termometrze, umieszczonym po zewnętrznej stronie okna, pokazywał nadal temperaturę minus czterdzieści stopni. Jej niski stan, spowodowany właśnie owym wiatrem ciągnącym gdzieś z rejonów Archipelagu Arktycznego, ostrzegał, że przynajmniej przez kilka najbliższych dni nie ma co liczyć na ocieplenie. W obrębie fortecnych zabudowań nie widać było najmniejszego ruchu. Strickland spojrzał na skutą lodem rzekę. Jak wszystko wokół trwała w głębokim uśpieniu, a jej nieruchomej tafli pokrytej grubą warstwą miękkiego puchu nie zaciemniał najmniejszy nawet punkt, na którym mógłby zatrzymać się wzrok. Spojrzenie patrzącego usiłowało wybiec nieco dalej – za rzekę – lecz gęsta zasłona śniegu przesłaniała zarówno bliżej położone łagodne wzgórza, jak i horyzont, na tle którego przy lepszej pogodzie można byłoby dostrzec ciemniejszą smugę lasu.

Podszedł do okna i przez moment usiłował spośród wielu innych wyłowić chociaż jedną śnieżynkę. Wszystkie były jednak podobne i pod wpływem ruchu powietrza tańczyły niczym płatki białego kwiatu zawieszone na niewidocznej przędzy. Na żadnym z nich nie potrafił zatrzymać wzroku dłużej niż kilka chwil. Bez przerwy znikwały sprzed oczu i ginęły pośród miliona innych. Odwrócił wzrok i podszedł ponownie do biurka. Niechętnie sięgnął po leżącą na nim kartkę papieru i po raz nie wiadomo który zaczął czytać ją od początku:

*Jego Ekscelencja
Inspektor Charles Constantine
Dowódca Dywizji
North-West Mounted Police
w Fort Constantine
Terytorium Yukonu*

Informuję Waszą Ekscelencję, że tutejszy posterunek otrzymał z Fortu Mc Pherson informację o trudnej sytuacji w rejonie zbiegu rzek Hungry i Wind. Położony tam zimowy obóz Nahani został opanowany przez epidemię tyfusu. Zmarło już trzech młodych Indian. W tamtych stronach nie ma białych mężczyzn. Nahani i ich około dwudziestosześcioletni dowódca przenieśli się bliżej fortu. Zaraza wzięta się stąd, że angacok¹ i wytropił młodego, chorego białego karibu i jego mięsem nakarmił swych ludzi oraz jakiegoś indiańskiego obcego poszukiwacza. W związku z zapytaniem Waszej Ekscelencji donoszę, że nie otrzymaliśmy jeszcze obiecanej surowicy o nazwie NW, najlepszej podobno na tyfus. Jeśli chodzi o moją żylę złota, to potwierdzam, że może ją eksploatować kapral Wolsey. Tak się umówiliśmy. Gdyby były dla nas jakieś przesyłki, na razie nie widzę możliwości ich odebrania. Ponieważ Fort Mc Pherson oczekuje pomocy, a być może ratunku, zabieram nasze leki, Milforda i

¹ Szaman u Eskimosów

Parkera oraz znającego drogę przewodnika i jeszcze dziś wyruszam z patrolem w drogę. Jest daleka, więc nie wiem, kiedy wrócę. Niech Bóg ma Waszą Ekszelencję w opiece.

*Podpisano:
Allan Weller
Sierżant NWMP
Posterunek nad Duck Creek
dnia 12 czerwca 1897 roku*

Taak... Zwyczajna kartka wyrwana ze służbowego notatnika, zawierająca meldunek dowódcy jednego z kilkunastu posterunków Północno-Zachodniej Policji Konnej, utworzonych niedawno na rozległym Terytorium Jukonu. Zwyczajna z pozoru, tak jak zwyczajna mogła wydawać się treść spisanego na niej meldunku. A jednak właśnie ta treść postawiła w stan alarmu garnizon z Fort Constantine. Dla kogoś obcego w tych stronach meldunek wyglądał niewinnie. Zawarte w nim informacje nie mogły budzić podejrzeń. Jacyś Indianie, tyfus, potrzeba udzielenia odległemu fortowi pomocy. To brzmiało prawdopodobnie i zrozumiale. Prawdopodobne i zrozumiałe mogło się wydawać, że dowódca posterunku nad Duck Creek – sierżant Allan Weller oraz dwaj jego konstable zabierają przewodnika i wyruszają z patrolem do Fortu Mc Pherson. I jeszcze tylko data – 12 czerwca 1897 roku.

Obecnie była połowa grudnia, a więc pismo znajdowało się w drodze od przeszło sześciu miesięcy. Cóż, zdarzało się, iż meldunki z różnych przyczyn nie docierały na czas. Zdarzało się, że przekazywane w nich informacje w części bywały nieprawdziwe, co wcale nie wynikało ze złej woli czy niewiedzy piszącego. Ot, napisał to, co usłyszał od kogoś, a czego nie zdążył sprawdzić. Tutaj nie zachodziła jednak taka sytuacja. Tu cały meldunek nie zawierał słowa prawdy. Karibu nie przenosiły tyfusu. Nie było żadnej surowicy o nazwie NW i nikt jej Wellerowi nie obiecywał. Obozy Nahani nie znajdowały się na północnym wschodzie, lecz o kilkaset mil na południowym zachodzie. Angacok nie występował nigdy u Indian, lecz u Eskimosów. Wreszcie Weller nie posiadał żyły złota; w dywizji zaś nie służył żaden Wolsey. Rzeki Hungry i Wind nie znajdowały się tam, gdzie umieszczał je Weller. Jednak nie te oczywiste nonsensy, na które można było nabrać jedynie kogoś nie mającego jeszcze pojęcia o Terytorium Jukonu, wzburzyły Stricklanda. Sierżant Weller napisał, że wyrusza do Fortu Mc Pherson, do fortu, który jeszcze nie istniał i nie miał żadnej załogi. A o tym, że fort nie istniał, Weller wiedział równie dobrze jak Strickland. Nie dalej bowiem, jak wiosną tego roku rejony, w których zamierzano go dopiero usytuować, zwiedzał wspólnie z inspektorem i wiedział, że budowa nie zacznie się wcześniej, jak za kilka lat.

Sierżant wiedział o tym wszystkim, wiedział, że wie Strickland, a mimo to pisał, świadomie pisał nieprawdę, wiedząc, że kłamstwo zostanie odkryte przez przełożonych już przy pierwszym czytaniu meldunku. Czemu więc je popełniał? Co skłaniało go do tego, czego oczekiwał i na co liczył? Właśnie, na co liczył...?

Inspektor odłożył meldunek, którego treść znał już niemal na pamięć. Czemu Weller świadomie pisał nieprawdę? Odpowiedzi mogło być wiele, nawet bardzo wiele. Mógł pisać po pijanemu, w stanie jakiegoś zamroczenia, utraty kontroli nad własnym postępowaniem. Ale przecież nie był sam. Nie oszaleli nagle wszyscy trzej; poza tym meldunek sformułowany był logicznie, poprawnie. Nie był wytworem chorej wyobraźni. Oczywiste nieprawdy zostały w nim zawarte z całą świadomością i celowo. Szczególnie ta dotycząca Fortu Mc Pherson! Gdyby podał jakiegokolwiek inne miejsce, miejsce znane, istniejące rzeczywiście, czytający mogliby co najwyżej zdziwić się, dlaczego rusza tam, a nie gdzie indziej. Inne nieścisłości mogli złożyć na karb jego niewiedzy. Nie mogli jednak dziwić się, gdy chodziło o Fort Mc Pherson. Tu nie mogli poprzestać na zdziwieniu. Musieli odkryć, że świadomie pisze nieprawdę. Weller oczekiwał, że to odkryją i właśnie na to liczył.

Gdy Strickland czytał meldunek po raz pierwszy, drugi, trzeci, czuł, jak mu się robi gorąco. Ale zrozumiał już wtedy. Sierżant pisał świadomie i odpowiedzialnie, ale... nie pisał dobrowolnie! Ktoś go do tego zmusił. Ten ktoś nie dyktował meldunku. Zmusił jedynie Wellera, by powiadomił przełożonych, iż na dłuższy czas opuszcza dobrowolnie posterunek. Zażądał pewnie, by sierżant podał swym przełożonym jakiś prawdopodobny powód nie budzący podejrzeń. I sierżant znalazł i podał. Niejeden. Aż kilka, i to logicznie z sobą powiązanych i przekonujących. Przekonujących dla tego lub tych, którzy przyłożyli mu do piersi pistolet. Ale głowy nie stracił. Z zimną krwią wykorzystał jedyną szansę, jaką prawdopodobnie miał i uczynił to genialnie. W stan alarmu postawił cały garnizon. I co było istotne, mistyfikacja nie wzbudziła podejrzeń u tego lub tych, których przemocy musiał ulec. W przeciwnym wypadku meldunek nigdy nie dotarłby do celu.

Taak... Strickland nie miał wątpliwości, że tamtych musiało być kilku. Jeden, nawet gdyby działał z zaskoczenia, nie poradziłby sobie z trzyosobową załogą posterunku. A więc kilku, kilku zdecydowanych mężczyzn opanowało posterunek nad Duck Creek. Ale z jakiego powodu i dlaczego właśnie ten posterunek...? Co uczynili z załogą? Pytania należały do gatunku czysto retorycznych. Skoro w ciągu tak długiego czasu nikt z załogi nie dał znaku życia... Zresztą Weller nie łudził się. Fragment, w którym napisał: „...jeszcze dziś wyruszam z patrolem w drogę. Jest daleka, więc nie wiem, kiedy powrócę...” wyrażał jasno, że piszący miał na myśli na pewno ostatnią najdłuższą drogę, w jaką udaje się każdy, gdy nadchodzi jego czas. I słowa pożegnania: „... Niech Bóg ma Waszą Ekscelencję w opiece...” Nie miał żadnej nadziei, ale odchodził ku innemu, być może lepszemu światu jak żołnierz, godnie, z honorem wypełniający swój obowiązek do końca...

Od momentu wysłania meldunku minęło przeszło pół roku. Pismo dotarło do Fort Constantine dokładnie piętnastego grudnia tuż po zmroku. Jakiś tubylec przekazał je wartownikowi na bramie fortu, przekazał i rozplynął się w ciemnościach. Wartownik, widząc na wymiętej mocno kopercie nagryzmołony wielkimi literami numer rejonu, uznał meldunek za rzecz zwyczajną, rutynową i dopiero przy porannym zdawaniu służby przekazał kopertę do kancelarii dowódcy. Do rąk inspektora trafiła wraz z przedpołudniową pocztą.

Wezwany natychmiast wartownik nie mógł powiedzieć wiele o oddawcy. – To na pewno Indianin – twierdził z przekonaniem. – Raczej jeszcze młody. Jak wyglądał...? Od stóp do głowy okrywały go futra. Spod kaptura parki² widoczne były jedynie oczy. Czy miał na nogach śnieżne rakiety? Trudno powiedzieć. Tak, nadszedł od rzeki. Przekazał kopertę i odszedł, tak jak się pojawił. Nie, po angielsku nie mówił dobrze. Raczej słabo. Oddając kopertę powtórzył jedynie kilka razy, że to dla dowódcy. Pod bramą był sam, a czy ktoś czekał na niego nad brzegiem...? Nie wiadomo, padał śnieg, robiło się ciemno, było słabo widać – zaledwie na kilka kroków. Czy miał z sobą psy i sanie...? – Ponowne bezradne wzruszenie ramion. – Było ciemno. Pod bramą zaprzęgu nie miał, chyba nawet nie miał bata do poganiania psów.

Inspektor zrezygnował z dalszych pytań. A wartownika nie było co winić. Niby skąd miał wiedzieć, jaki w rzeczywistości pasztet zawierała koperta, i skąd mógł się domyślać, że jej oddawca to ktoś aż tak bardzo ważny? W zwykłych warunkach i przy zwykłym meldunku inspektor nie usiłowałby dociekać ani kim był, ani jaką powędrował drogą. Tak, ale ten meldunek nie był zwykły. Toteż zaledwie uświadomił sobie jego alarmującą treść, gdy pojął, że tajemniczy doręczyciel koperty mógł być ostatnim człowiekiem, który prawdopodobnie widział Wellera, i jedynym, który mógł wiedzieć, co wydarzyło się naprawdę nad Duck Creek, który wreszcie mógł widzieć tych, którzy opanowali posterunek, nie wahał się ani chwili.

Z powodu śnieżycy, która w ciągu nocy zatarła wszystkie ślady, nie mógł ustalić, w jakim kierunku oddalił się posłaniec. Ale nim od otrzymania meldunku minęła godzina, na północ –

² Futrzana kurtka z kapturem, nakładana przez głowę

szlakiem wiodącym do Forty Mile, na południe – do Dawson i Klondike, na wschód i zachód ruszyły szybkie patrole. Rozkaz jaki otrzymały, brzmiał jednoznacznie: za wszelką cenę odnaleźć szlak, którym oddalił się oddawca koperty, dogonić go i bez zwłoki sprowadzić do fortu.

Od wydania tego rozkazu minęły cztery dni. Patrole wracały jeden za drugim. Zgonione zaprzęgi, zmachani, padający z nóg ludzie. Nigdzie najmniejszego śladu. Obydwa najbardziej prawdopodobne szlaki na Dawson i Forty Mile były zatłoczone falą nowych poszukiwaczy, którzy mimo paskudnej pogody ciągnęli od strony Skagway. Poszukiwania w tym ludzkim mrowisku z góry skazane były na fiasko, a próba odnalezienia jakiegoś jednego psiego zaprzęgu równała się wysiłkom poszukiwania igły w stogu siana. Rejony położone w promieniu prawie stu mil od Dawson sprawiały wrażenie wymarłych. Kilka skupisk poszukiwaczy, nieliczne obozy głodujących Indian Tagish i Kutchin drzemały w swych przysypanych śniegiem zimowiskach oczekując poprawy pogody i nadziei na upolowanie jakiejś zwierzyny. Nikt nic nie widział, o niczym nie słyszał.

Jedynie patrol Keatsa, który najdalej ze wszystkich zapuścił się na wschód, nie opodał zbiegu Północnej i Południowej Mc Cuesten natknął się na samotny zaprzęg indiańskiej dziewczyny. Ale nie był to psi zaprzęg. Do niewielkiego tubylczego toboganu zaprzężony był biały ren. Z dziewczyną nie można się było porozumieć. Nie знаła angielskiego. Podążała gdzieś na wschód, ale skąd...? Tak, początkowo próbowała uciekać, ale gdy poznała, że ścigający ją to policyjny patrol, zwolniła. Nie, nie wydawała się przestraszona. Ot, najwyżej trochę zmieszana, jak to dziewczyna. Droga przed nią nie musiała być zbyt długa, bo w toboganie nie było najmniejszego zawiniątka z żywnością. A więc pewnie zwykła przejażdżka między jednym a niezbyt odległym drugim indiańskim obozowiskiem. Na pewno nic nie rozumiała. Jedynie pytanie o drogę, a i to musieli tłumaczyć na migi. Pokazała przed siebie, a więc na wschód.

Strickland nic nie powiedział. Indiańska dziewczyna w roli posłańca od Wellera przebywająca samotnie trasę ponad stu czterdziestu mil w jedną stronę przy takiej pogodzie...? Nie wydawało się to prawdopodobne. Z drugiej jednak strony Keats spotkał ją nie tak daleko od rejonu, w którym znajdował się posterunek nad Duck Creek... A więc może...? Indiańskie kobiety w tych stronach zadziwiały niekiedy swą odpornością i wytrzymałością. I nawet podczas najcięższych warunków zimowych dorównywały mężczyznom. Szkoda, że Keats nie zbadał przynajmniej, dokąd się udawała. Trudno... Odprawivszy ostatniego dowódcę patrolu Strickland ponownie pogrążył się w myślach.

Sytuacja z każdym dniem stawała się coraz bardziej paskudna. Gdy wraz z pierwszym dziewiętnastoosobowym oddziałem North-West Mounted Police, dowodzonym przez inspektora Charlesa Constantine'a, przybył tu pod koniec lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku, stosunki wśród niezbyt licznych w tym czasie poszukiwaczy oraz stan porządku i bezpieczeństwa w ich obozach nie stwarzały szczególnych problemów. Kilka nielegalnych gorzelni po obydwu stronach granicy, przemysł alkoholu z Alaski, drobne kradzieże, głównie żywności, niezbyt liczne zatargi o prawa do działek złotonośnych, zwykle w takich wypadkach bójk, czasem trochę większe awantury. Były to sprawy zwyczajne. Ówczesne niewielkie siły policyjne radziły sobie z tym skutecznie i szybko.

Sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu od czasu, gdy George Carmack oraz dwaj jego indiańscy krewni Skookum Jim i Tagish Charlie w rok później dokonali, jak się okazało, najbogatszego w dziejach Jukonu odkrycia złota nad Rabbit Creek, stanowiącym dopływ rzeki Klondike wpadającej do Jukonu. Odkrycia swego dokonali w odległości około pięćdziesięciu mil w górę rzeki od Forty Mile. Działkę nazwali „Bonanza” i nazwa ta wkrótce przeszła na potok.

Gdy w niedługim czasie potem wieści osiągnęły zachodnie wybrzeża Kanady i Stanów, w rejon nowych pól złotoносnych runęła prawdziwa armia poszukiwaczy i nie tylko poszukiwaczy. Dla utrzymania wśród ciągnącej ze wszystkich zakątków kontynentu armii spragnionych złota, siły tego pierwszego dziewiętnastoosobowego oddziału policyjnego okazały się zbyt szczupłe. Z Reginy, gdzie mieściła się Kwatera Główna Policji, przysłano posiłki w liczbie dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi. Na Terytorium Jukonu utworzono kilkanaście stałych posterunków. W pobliżu rozrastającego się z dnia na dzień Dawson wzniesiono nowy fort, do którego z główną częścią sił przeniósł się inspektor Constantine. W rejonach najliczniej uczęszczanych przez poszukiwaczy poszły szybkie lotne patrole, ale niewiele to pomogło. Wzrósł przemysł alkoholu, pełną parą zaczęły pracować stare i nowe gorzelnie. W Dawson, Klondike i Forty Mile jak grzyby po deszczu wyrastały saloony, domy gry, rozpanoszył się hazard, zakwitły nielegalne transakcje, coraz częściej poczęto sięgać po broń, w głębokim cieniu zaczęły działać przestępcze gangi. Rosła liczba wykroczeń i przestępstw drobnych, ale również poważniejszych. Jednak w największym zamieszaniu i wrzawie, podczas największej awantury wystarczał głos choćby jednego z Mounties, jak popularnie nazywano tu członków North-West Mounted Police, by najbardziej zaciętrzewieni przerywali walkę, by posłusznie opuszczali lub oddawali broń. I nikt nie próbował uciekać przed sądem czy karą. Oczywiście, oko i ramię sił porządkowych nie sięgało wszędzie i nie do wszystkich, szczególnie do tych, którzy swą prawdziwą twarz i czyny skrzętnie ukrywali. Nikt dotąd nie ośmielił się jednak podnieść ręki przeciwko jakiemukolwiek przedstawicielowi policji. Nikt nie wystąpił przeciwko żadnemu patrolowi. Nikt, nawet z ukrycia, nie próbował podjąć jakiegokolwiek akcji przeciwko tym, którzy nosili znak NWMP, bez względu na to czy okrywał ich szkarłatny mundur, czy zwykła cywilna parka. Nikt do tej pory. Meldunek Wellera mówił jednoznacznie, że tamten okres należał już do przeszłości.

Strickland był doświadczonym oficerem. Lata służby nad granicą ze Stanami w rejonach Cypress i Dirt Hills, w Fort McLeod, Edmonton, Calgary i ostatnio w Reginie nauczyły go sporo. Dobrze pamiętał sprawę Almighty Voice'a i jej dramatyczny finał, sprawę budowniczych kolei i tę najbardziej tragiczną w całej historii Kanady – powstanie Metysów i szczepów plemienia Cree, pod wodzą Louisa Riela. Dla ludności pochodzenia angielskiego – jedynie buntownika; dla francuskojęzycznej ludności Kanady – narodowego bohatera. Pamiętał, ile niepotrzebnych, niewinnych ofiar pochłonęło powstanie Riela. Jako zawodowy żołnierz wierzył głęboko, że wszelka samowola, naruszenie porządku i przemoc mają swe źródło w braku poszanowania prawa oraz w braku szacunku dla tych, którzy stoją na jego straży. Nie miał więc wątpliwości, że jeżeli akt przemocy, a może i zbrodnia popełniona nad Duck Creek, nie zostaną szybko wyjaśnione, jeśli sprawcy nie zostaną schwytani i przykładowie ukarani, North-West Mounted Police straci szacunek i zaufanie na całym terytorium Jukonu, a bezkarność sprawców ośmieli innych. Nie lękał się, że napad na posterunek w Rejonie Trzynastym może wyzwoić reakcję łańcuchową, że wkrótce mogą nastąpić inne, a stu kilkunastu ludzi z dywizji NWMP może nie podołać naporowi przestępczej fali. Powstrzymać mogło ją jedynie szybkie, skuteczne działanie sił bezpieczeństwa. Ale jakie działanie? Wszak sprawcy nie byli znani. Co więcej, wiedzieli, że nikt nie ma przeciwko nim dowodów, że nikt nie domyśla się nawet, kim są. W mrowisku kilkudziesięciu tysięcy poszukiwaczy, przemysłników, szulerów nikt ich nie znajdzie; mogą kpić z prawa i jego strażników. Tak musieli myśleć. Ale Strickland nie myślał tak i był pewien, że w końcu dostanie ich. To oni, czytając na pewno przed wysłaniem meldunek Wellera, wyczytali w nim tylko to, co sierżant chciał powiedzieć im, nie ryzykując nic więcej ponad to, czego musiał być w pełni i tak świadomy i co uznał za rzecz nieuchronną. Ale w tej pozornie niewinnej treści przekazał znacznie więcej. I nie były to bezsensowne kłamstwa i nieprawdy. Każde zdanie miało swój sens i każde było potrzebne. Nawet te, w których pisał o nie istniejącej surowicy i wymyślonej przez siebie żyłce złota. Weller, cichy samotny bohater.

Nieulekły w obliczu zagładającej mu do oczu śmierci. Nawet w tej najbardziej dramatycznej chwili nie myślał o sobie. Mimo beznadziejnej sytuacji uczynił wszystko, by pomóc w schwytaniu winnych zbrodni.

Strickland nie łudził się. Mimo iż w czasie tych czterech dni czytał meldunek wiele razy i mimo iż był pewien, że rozumiał dobrze jego ukrytą treść, nie miał wątpliwości, że sprawa jest trudna. Wiedział, że nie ma mowy o wykryciu, schwytaniu i ukaraniu winnych za pomocą tradycyjnych czynności śledczych. Nie mogły więc wchodzić w grę rutynowe przedsięwzięcia, zwłaszcza że nie miał zbyt wiele czasu – tylko do wiosny, tylko do momentu, zanim tysiące poszukiwaczy ruszy w teren. Potem nie miałby żadnych szans. Nie mógł więc czekać. Co gorsza, nie mógł porozumieć się z inspektorem Constantine – dowódcą dywizji w Fort Herchmer w pobliżu Dawson. Kilka dni wcześniej Constantine wyruszył na inspekcję w rejon przełęczy Chilkoot i White Pass, gdzie po przekroczeniu alaskańskiej granicy, już po kanadyjskiej stronie nad Jeziorem Bennetta namioty rozbiło podobno dwadzieścia tysięcy ludzi. Wobec braku opału ich sytuacja z każdym dniem stawała się coraz bardziej dramatyczna, zwłaszcza że teraz w okresie zimy i zamarzniętego Jukonu przebycie siedemsetmilowej trasy do Dawson bez psich zaprzęgów i zapasów żywności, przez górzysty kraj, było niepodobieństwem. Musieli więc czekać do wiosny na spłynięcie lodów. Otrzymawszy raport inspektora Belchera, który pełnił służbę na przełęczy Chilkoot Pass, Constantine nie zwlekał i z kilkusobowym oddziałem ruszył w parę zaprzęgów, by zbadać sytuację na miejscu i przedsięwziąć wszystkie możliwe środki zaradcze.

Strickland nie mógł więc liczyć na radę czy pomoc swego dowódcy. Decyzję musiał podjąć sam. I to decyzję nie przewidzianą w żadnym regulaminie służby, ale niezbędną w sytuacji, w obliczu której postawił go meldunek znad Duck Creek. Nie wahał się. Z pełną odpowiedzialnością i świadomością konsekwencji, jakie ta decyzja może spowodować, nie chciał się od niej uchylać. Winien był ją honorowi służby i pamięci sierżanta Allana Wellera. Nie chciał uchylać się od konsekwencji w razie niepowodzenia całej akcji. Wiedział, że gdyby tej decyzji nie podjął, nie wybaczyliby mu tego nigdy ludzie, którymi dowodził na co dzień, nie wybaczyłby sobie tego sam. Miał pewność, że czekają na jego słowo od chwili, gdy powiedział im o napadzie na posterunek i prawdopodobnym losie Wellera. Wiedział, że mimo zewnętrznego spokoju i opanowania z niecierpliwością oczekują na rozkaz, by pójść nawet do piekła i znaleźć tych, którzy dokonali zbrodni nad Duck Creek.

Od czasu gdy wysłał patrole, setki razy analizował meldunek. I nie miał żadnych wątpliwości. Zrozumiał dobrze to, co w swych ostatnich słowach pragnął przekazać mu dowódca posterunku.

Gdy Keats złożył jako ostatni swe sprawozdanie, Strickland przeanalizował wszystko jeszcze raz. Teraz zdecydowanym ruchem ujął stojący na biurku dzwonek i potrząsnął nim energicznie.

W drzwiach stanął starszy sierżant Hayne, z którym w dziewięćdziesiątym piątym, jeszcze w Reginie, tworzyli wspólnie pierwszy oddział dla Jukonu. W twarzy podoficera, gdy meldował się przepisowo, widniało napięcie oczekiwania:

– Słucham, sir!

Strickland podniósł się zza biurka i powiedział dobitnie:

– Każ wezwać Oddział Specjalny!

Przez twarz sierżanta przemknął w pierwszej chwili błysk zdumienia, ale już w następnej – zrozumienia i radości. Zdusił go jednak szybko.

– Tak jest, sir. – W głosie drgało tajone wzruszenie; może nawet coś więcej. Wszyscy wiedzieli, że Strickland nie obawia się ryzyka śmiałych decyzji, byli pewni, że zrobi wszystko, że uruchomi wszystkie dostępne mu środki, ale nikt nie mógł spodziewać się, nikt nie oczekiwał, że sięgnie po Oddział Specjalny. I sierżant również nie oczekiwał tego. Toteż mimo sakramentalnego: tak jest, sir, stał nadal w otwartych drzwiach.

– Coś jeszcze Hayne? Chciałbyś coś powiedzieć?

– Nie, sir, ale dziękuję, dziękuję w imieniu chłopców i w imieniu Wellera. – Obrócił się na pięcie i cicho zamknął za sobą drzwi. Strickland odprowadził go ciepłym spojrzeniem.

W kilka minut później wchodzili jeden za drugim i ustawiali się w równym szeregu, niczym na paradnej mustrze. Jako ostatni stanął sierżant. On również należał do Oddziału Specjalnego.

Strickland nie musiał ich liczyć. Znał dobrze każdego, każdego osobiście dobierał. Byli wszyscy. Patrzył na nich długo, przenikliwie, po czym przystąpił do sprawy. Wyrażał się jasno i prosto. Mówił zwężle. Widział, że rozumieją go, że zgadzają się z analizą treści meldunku, że podzielają słuszość wniosków, jakie z niej wyciągnął. Nieco dłużej, ale również jasno i prosto mówił o zadaniach oddziału i o indywidualnych zadaniach każdego z nich, o niewiadomych, o możliwych pomyłkach, o nieprzewidzianych sytuacjach i okolicznościach. Nie ukrywał niebezpieczeństw, trudności, jakie stoją przed każdym. Nie ukrywał, że nawet drobna pomyłka może kosztować życie. Na koniec stwierdził, że od wszystkich razem, ale także od postawy każdego z nich, zależy powodzenie całej akcji, honor dywizji, a co najważniejsze – poszanowanie prawa i spokój na Terytorium Jukonu teraz i w przyszłości.

Odczekał parę chwil, by słowa głębiej wryły się w ich pamięć i świadomość. Jeszcze raz przemknął spojrzeniem po twarzach i zakończył cicho:

– Wiecie to, co wiem ja, oraz to wszystko, co mógł przekazać nam sierżant Weller. Znacnie swoje zadanie, ale także trudności i niebezpieczeństwa, na które naraża się każdy z was. Nie chciałbym nikogo zmuszać. Ci, którzy zdecydują się pójść, pozostawiają mundury w obrębie fortu. W tej sprawie nie będą mogli występować na zewnątrz jako funkcjonariusze policji. Za bramą fortu staną się zwykłymi ludźmi i każdy przyjmie na siebie taką rolę, jaka będzie najkorzystniejsza dla sprawy w konkretnych dla niego warunkach. Kto czuje, iż może nie sprostać zadaniu – niech wystąpi.

Zapadła długa cisza. Strickland patrzył na twarze poważne, zdecydowane, zacięte, na nieruchome jak głaz postacie i poczuł dumę w piersiach. Żaden nawet nie drgnął. Nikt nie zamierzał się wycofywać.

– Dobrze – powiedział. – Niech każdy zabierze cywilną odzież z magazynu, broń i amunicję i to co uważa, że może mu być potrzebne. Niech każdy zaopatrzy się w żywność. W obozach poszukiwaczy, wśród Indian, w Dawson i Klondike zaczyna się głód. Za kilka tygodni będzie znacznie gorzej. Pieniądze na niezbędne wydatki w terenie wyda wam zaraz sierżant Hayne. On sam, niestety, chociaż ma do tego takie same prawo jak wy, nie może na razie pójść. Musi pozostać jakiś czas na miejscu – a widząc gest protestu podwładnego, powtórzył dobitnie: – Sierżant Hayne pozostanie w Forcie. Jest mi potrzebny. I jeszcze parę słów, chłopcy: O tym co tu powiedziałem, nie może wiedzieć nikt poza wami. Nikt absolutnie. Niech każdy weźmie dobry zaprzęg, taki który go nie zawiedzie. By akcję zachować w tajemnicy przed oczyma ciekawych na zewnątrz, lepiej byście ruszali stąd nocą. Ci, którzy zdążą się przygotować – jeszcze dziś. Ci, którzy nie zdążą – jutro. I niech was Bóg prowadzi...

Żegnali się krótkim, mocnym uściskiem ręki...

Śnieg sypał coraz gęściej. Rosła siła wiatru. Słupek rtęci w termometrze spadł o dalszych kilka kresków. Szybko zapadał zmierzch, nadciągała prawdziwa nawałnica.

Z niepokojem w sercu Strickland patrzył, jak przez uchyloną bramę fortu cicho przemyka pierwszy zaprzęg i ginie w śnieżnej zamieci...

Rozdział II

W obozie poszukiwaczy

Pod niespodziewanie ciężkim uderzeniem pięści Oates zachwiał się. Wstrząsnął jednak tylko grzywą zmierzwionych włosów i z wysuniętymi do przodu muskularnymi ramionami, niczym taran runął na przeciwnika. Tamten był jednak szybki i widać czujny, bo w momencie gdy ciężka pięść znalazła się niebezpiecznie blisko jego głowy, wykonał minimalny zwód, przygiął się, minął cios i z całej siły rąbnął prawą i zaraz potem lewą ręką. Przeciwnik jednak, wielkie potężne chłopisko o ruchach niedźwiedzia, tym razem nawet nie drgnął, chyba nawet nie poczuł tych ciosów. Z dzikim pomrukiem parł zaciekle do przodu, młócąc na oślep swymi potężnymi łapami. I wreszcie trafił. Tamtego aż odrzuciło, ale tylko na chwilę, bo już w następnej odbił się jak na sprężynach od ziemi, przemknął pod rozłożonymi szeroko łapami i wyrzwał głową w brzuch olbrzyma. Aż jęknęła ziemia, a z ust patrzących wydobyło się pełne zdumienia i podziwu przeciągłe uuff... Norton, niczym kot spadł na ziemię i zamierzał skoczyć na przeciwnika, gdy nad głową zabrzmiało spokojne, ale stanowcze:

– Dosyć, Jerry! Pokazałeś, co potrafisz. Ale nikomu nie są tu potrzebne połamane szczęki albo i coś gorszego. Eskulapa trzeba byłoby ściągać aż z Dawson – kapral Paterson, dowódca pobliskiego posterunku, z nieskrywaną sympatią patrzył na pogromcę Randala Oatesa, ciężkiego zwalistego draba, nie wiadomo dlaczego zwanego Drwalem. Nieciekawe indywiduum, o którym opowiadano tu po cichu różne rzeczy, indywiduum gramolące się w tej chwili ciężko z ziemi i przekrwionymi z wściekłości oczyma patrzące na Nortona. – Dobry jesteś, Jerry, ale za zakłócenia spokoju i porządku muszę cię ukarać. Ty zaczęłeś, prawda?

– Tak, to on mnie zaczął – wrzasnął Oates, który widocznie doszedł już do siebie. – On mnie pierwszy uderzył i musi pan go ukarać, kapralu. Nic mu nie zrobiłem.

– Wiem, widziałem – Paterson skinął głową – ale pewnie czymś go sprowokowałeś. O co poszło? – Sympatia posterunkowego, mimo groźby kary, wyraźnie była po stronie Nortona. – No, o co poszło?

– Obraził dziewczynę – Norton wskazał na stojącą trochę na uboczu Janet Wharton i patrzącą na niego z wyrazem oczu stanowiącym w tej chwili dziwną mieszaninę wdzięczności i podziwu. – Obraził ją, jak wiem, nie pierwszy raz. Należała mu się nauczka.

– Powiadasz, obraził dziewczynę? Czy istotnie, panno Wharton?

– To prawda – podniosła wymizerowaną twarz. – Nie mogę przejść, żeby mnie nie zaczął, chociaż nie daję mu żadnego powodu. Dzisiaj też. A Jerry, to znaczy pan Norton, zwrócił mu tylko na początku uwagę, by mi dał spokój.

– Rozumiem – kapral pokiwał sentencjonalnie głową. – Winni więc są obydwaj. Ty, Jerry, za to że jesteś taki porywczy, zapłacisz pięć dolarów kary z zamianą na dzień odsiadki, jeśli nie masz pieniędzy. Ty zaś, Oates, żebyś już więcej nie zaczął tej ani innej damy, zapłacisz... – chwilę się zastanawiał – pięćdziesiąt dolarów z zamianą, w razie niezapłacenia, na dwa tygodnie aresztu o sucharach i wodzie.

Wokół rozległy się ciche śmiechy.

Norton sięgnął do kieszeni, wyjął sporą paczkę banknotów, odliczył pięć, każdy o wartości jednego dolara i z całą powagą wręczył je przedstawicielowi prawa.

– Oto moja kara, Brian – powiedział poufale. – Ale proszę o pokwitowanie, że to kara za obronę dam.

Kapral przymrużył oko.

– Jasne. Dostaniesz swoje pokwitowanie. Masz prawo. A ty, Oates, płacisz, czy idziesz na posterunek?

Drwał zgrzytnął z wściekłości zębami, ale nie usiłował protestować. Domyślał się pewnie, że opór wobec decyzji „władzy” mógłby go kosztować znacznie więcej, szczególnie teraz, gdy sprawa tego napadu na posterunek nad Duck Creek postawiła na nogi całą policję, i gdy weszli za każdym śladem niczym gończe psy. Wolał, by się nim zbytnio nie interesowali. Toteż usiłując robić dobrą minę do złej gry, uśmiechnął się blado i również sięgnął do kieszeni. Jednak zamiast banknotów wyjął sporą grudkę złota. – Chyba mogę tym zapłacić?

Ku wyciągniętej ręce i prawdziwemu pobłyskującemu na niej nuggetowi pobiegły ciekawe spojrzenia. Kapral skinął głową:

– Możesz, oczywiście. Trzeba to tylko zważyć i zobaczyć, ile jest warte. Kto tu ma wagę?

– Jest u nas, panie Paterson, uczciwa – wyrwała się Dolly Burns, żona szynkarza, którą zza bufetowej lady wywabiły przed karczmę odgłosy bójki. – Proszę – dodała zachęcająco.

Nie ociągali się i ruszyli w stronę gościnnie otwartych drzwi szynku. Nie podążył za innymi jedynie Norton. Widząc, że dziewczyna nie zamierza skorzystać z zaproszenia, podszedł do niej i uśmiechnął się przepraszająco.

– Jest pani pewno trochę zła, Janet, ale nic nie poradzę. Zachował się nieładnie i ktoś musiał mu zwrócić uwagę, a ponieważ akurat byłem ja...

– Nie jestem zła, panie Norton. Przykro mi jedynie, że z mojego powodu zrobił pan sobie z niego wroga. Ale dziękuję. – Odwróciła się szybko i pobiegła w stronę swego biednie wyglądającego domku.

Patrzył na nią jeszcze chwilę, po czym skierował się w ślad za innymi do szynku. Oatesa nie musiał się obawiać, zwłaszcza teraz, gdy na miejscu znajdował się Paterson. Pchnął drzwi i za chwilę stanął przy barze. Dolly kończyła właśnie ważyć złoto. Bryłka była ciężka, ale wartość jej nie przekraczała nawet w połowie orzeczonej kary. Chcąc nie chcąc, Oates obok tej musiał położyć jeszcze jedną. Nie wydawał się jednak zbytnio zmartwiony. Z przepastnej kieszeni wypłowiałej bluzy wyciągnął następną bryłkę, podsunął w stronę barmanki i powiedział niedbale:

– A to na kieliszek dla... wszystkich – dokończył.

Norton uczynił gest, jakby chciał odsunąć się od baru, ale jego niedawny przeciwnik powstrzymał go ruchem ręki.

– Bez urazy, Jerry. Zaprosiłem wszystkich. Chyba nie odmówisz? A tamto – wskazał niedbale w stronę niedawnego miejsca walki – dzisiaj ty, jutro ja... – podsunął napełnioną szklankę swemu niedawnemu przeciwnikowi. – Masz twardy łeb i niezłe pięści – roześmiał się. – Aż mnie zamroczyło.

Norton otarł chusteczką strużkę krwi sączącą się z przeciętej na czole skóry i dotknął rosnącego siniaka. – Twoje też są nie najłżejsze. Jakbym dostał obuchem siekiery. Twoje zdrowie. Podniósł pełną szklankę i jej zawartość jednym ruchem wlał do gardła. Wyjął z kieszeni kilka banknotów i przesunął ku Dolly.

– Powtórz, niewiasto. Też dla wszystkich. Dżentelmeni nie odmówią poczęstunku. – Szmer, jaki powitał to nowe prawdziwe męskie oświadczenie, mówił wyraźnie, że dżentelmeni nie odmówią. —Ale ciekaw jestem, Randal, gdzie dochował się takich pięści?

Oates roześmiał się.

– W lesie, Jerry. Jakiś czas byłem drwalem.

– I te nuggety wyciąłeś w drzewie? – Pozornie niewinne pytanie sprawiło, że kapral Paterson zawiesił w połowie wysokości niesioną do ust szklankę z piekącym trunkiem i wpił przenikliwe spojrzenie w Oatesa.

– Co...? – Były drwal zdawał się nie rozumieć. – Ach, tak... Zgadłeś Jerry. Właśnie wtedy.
– Położył nową bryłkę na ladzie.

– Widzisz, pod jednym drzewem leżała sobie spokojnie złota żyła. Nie za wielka. Taka w sam raz. Taka mała bonanza. A ponieważ sprzykrzyło mi się już machanie siekierą, zamieniłem ją na łopatę.

Kaprał przełknął zawartość szklanki, skrzywił się i spytał:

– A gdzie to było? Może w Kolumbii?

– Nie! Nie w Kolumbii. W... w Kalifornii.

– Nie zostałeś tam? – Norton położył kolejny banknot na ladzie.

– Po co? – wzruszenie ramion. – Tamte pola są już przekopane. Nie to co tu, prawda, panie kapralu?

– No, niby tak. Tu się dopiero zaczyna. Tylko że i tu zaczyna się źle. – Cztery solidne szklanki musiały wyrzucić na nienawykłym do takiej ilości trunku policjancie odpowiednie wrażenie.

– Myślisz, Brian, o sprawie tego posterunku nad Duck Creek?

Znów ten poufały, jakby z lekka protekcyjny ton Nortona. Oates wbrew pozorom niedźwiedziowatości miał całkiem czuły słuch. A tamten już po raz drugi zwracał się do kaprała po imieniu. Czyżby znali się nieco bliżej...?

– Właśnie, Jerry. Ale nie tylko tobie to mówię, zresztą sam wiesz. – Głos kaprała po kolejnej porcji whisky wyraźnie podniósł się o jeden ton. – To gruba sprawa i Strickland nie popuści. Mówię wam to w ... za ...ufaniu – czknął raz i drugi. – Ttak... w zza...u...faniu. Dostaliśmy tt...ajne rrozkaazy. Nalej, Dolly... Aaa Dyw... Dyw...izjon Sppe...c...jalny też. Ale, ani mruu, mmruu. Nalej jeszcze, Dolly. – Łykał jedną szklankę po drugiej, jakby się spieszył. – Ty wiesz, Jerry – znów potężne czknięcie. – Dywizjon Specjalny wyprruuje bebechy tym mor...dercom. Tty wiesz...

– Nie gadaj głupstw, Brian. Coś ci się pewnie pokręciło, a poza tym chyba za dużo dzisiaj wypieś. Jaki tam Dywizjon Specjalny? I chyba Strickland nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że tyle pijesz? – Norton ujął mocno pod ramię chwiejącego się kaprała i skinął na Spencera, który pokazał się właśnie w drzwiach szynku.

– Dobrze, że jesteś, Ben. Zabierz sanie i kaprała i odwieź go na posterunek. Może tu za dużo narozrabiać. Podeszedł Kester Hood, cieszący się tu dwuznaczną opinią rewolwerowca i szulera.

– Może pomóc w czymś, Jerry?

– Nie trzeba, Kester. Ben poradzi sobie. Do posterunku zaledwie dziewięć mil.

– Ale z tego sześć przez las. Freeman wspominał, że widział tam wilcze ślady, a to znaczy, że bestie zaczynają być głodne. Może więc pójdę z Benem?

– Jeśli chcesz!

Paterson sprawiał wrażenie, jakby nogi zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa. Musieli wywlec go z izby.

W dwie godziny później, gdy Hood i Spencer układali go na pryczy w ciasnej izbie posterunku, a konstabl Barnes z niekłamanym przerażeniem patrzył na stan, w jakim znajdował się jego przełożony, ten mamrotał tylko coś niewyraźnie o jakichś mordercach i Dywizjonie Specjalnym.

Zaledwie jednak sanie wraz z obydwojema opiekunami, którzy go tu dostarczyli, oddaliły się na kilkaset jardów, zrzucił na podłogę skóry, dźwignął się energicznie z posłania i z obrzydzeniem splunął przez zęby.

– Tfu, ależ się ożłopałem tego świństwa. Następnym razem zacna Dolly i jej uroczy małżonek, imię Monty Burns, będą jednak musieli zapłacić spory mandat za swój bimber, sprzedawany jako whisky. Dawaj wiadro wody, bo czuję, że naprawdę zacznie kurzyć mi się ze łba.

- Po prawdzie, to nie wyglądałeś tego, gdy cię tu przywieźli, i już myślałem, że rzeczywiście cię spili. Jak poszło?
- Chyba dobrze.
- Puściłeś farbę?
- Jasne! Gdybym nie puścił, przy najbliższej okazji stary obdarłby mnie ze skóry. Zresztą przy wódce nietrudno. Pysk chłapie, co ślina na język przyniesie.
- O Oddziale Specjalnym też?
- A jakże!
- Nie połapali się?
- Niby jak? Byłem przecież zupełnie pijany. Widzieli wszyscy.
- Słuchaj, Brian, jakie naprawdę rozkazy dostał Oddział Specjalny i o co w tym wszystkim chodzi Stricklandowi? Przecież chyba nie chce tych ludzi wkopać?
- Nie wiem, Keith, ale wiem, że inspektor to rasowy wyżeł i wiem, że bandę dopadnie. Jaką prowadzi grę, tego poza Oddziałem Specjalnym nie wie nikt. My mamy tylko ściśle wykonywać rozkazy. Tak jak dzisiaj.
- Może masz rację. Znasz go lepiej. Ale nie myślisz, że mogło podpaść, iż nagle ty, dowódca posterunku, sam sięgasz po szklanekę w szynku i skąd masz na to forszę?
- Chyba nie, zresztą posłuchaj. – Gdy skończył, Barnes nie wytrzymał.
- Obydwóm wlepiłeś mandaty?
- Musiałem, Keith. Nie mogłem jednemu. To za bardzo by podpadło. Żałuję trochę, że od Jerry’ego wziąłem tylko pięć dolarów. Powinienem był dać im po równo. Tylko nie wiem, czy Strickland byłby zadowolony... No, trudno... – Wstrząsnął się i włóchatym ręcznikiem wytarł głowę. Przyczesał włosy i rozprostował ramiona, aż zatrzeszczały w stawach. – Daj teraz coś do żarcia, bo czuję jeszcze, jak to świństwo pali mnie w żołądku. Ale, zapomniałem ci powiedzieć – wilki są już w lesie. Tak, z rana widziałem ślady. Nie, nie pojedyncze. Cała horda, chyba ze dwadzieścia sztuk.
- To jeszcze pół biedy.
- Nie łudź się, Keith. Zaczynają być głodne. Gdy wygłodnieją porządnie, stado może się powiększyć do kilkuset, a wtedy nie żarty. To dopiero początek zimy.

Tymczasem Janet wróciwszy do siebie, rozejrzała się smętnie po niezbyt przytulnej zimnej od paru dni izbie. Bez większego przekonania zajrzała do komórki, ale nie wypatrzyła w niej nawet śladu chrustu. Nie miała się czemu dziwić. Trwająca ponad dwa tygodnie burza, uniemożliwiając wyjście do lasu, pozbawiła ją całego opału. Nie miała go już zresztą od trzech dni. Przez nie najlepiej uszczelnione półokrągłaki, z których zbита była chata, przez kiepsko dopasowane drzwi i od ubitej tylko gliny stanowiącej podłogę ciągnęło przejmujące zimno, a na ledwo pociągniętych farbą ścianach skrzyła się gruba warstwa szronu.

Taak... Nie było co czekać. Pogoda mogła znów się zmienić. A dzisiaj było całkiem znośnie. Nie namyślając się, zdjęła z kołka grubą wełnianą chustkę i opatulila całą głowę, szczelnie zapięła kozuch i naciągnęła na ręce grube reniferowe rękawice. Zatknęła za pas krótki poręczny toporek. Ze składziku na drzewo wydostała sanki i mimo że głód skręcał jej kiszki, ledwo przetartym szlakiem pociągnęła w kierunku niezbyt odległego lasu. Najpierw musiała zdobyć drzewo; dopiero potem mogła myśleć o ugotowaniu herbaty.

Nie spieszyła się. Nie chciała tracić zbyt dużo sił. Wiedziała, że będzie ich potrzebowała w drodze powrotnej. Mimo to, zanim dotarła do pierwszych drzew, czuła jak ze zmęczenia trzęsą się jej kolana. Przysiadła na sankach i odpoczywała przynajmniej kwadrans. Potem wstała i zagłębiła się w las. Wiedziała, że tu z brzegu nie znajdzie nawet jednej grubszej gałęzi. Wszystkie wybierali mieszkańcy osady, zresztą ona również. Ale domyślała się, gdzie może znaleźć drewno. Nie dalej, jak jakieś trzy czwarte mili od skraju lasu, ciągnął się długi, niezbyt głęboki parów. Będąc tu ostatnio, na jego zboczach dostrzegła kilka mocno

pochylonych sosen. Już wtedy pomyślała, że wystarczy silniejszy wiatr, by zwało się przynajmniej kilka. Tym bardziej nie mogły przetrzymać takiej burzy. Przeszła jeszcze kilkaset jardów ścieżką wiodącą w stronę posterunku i zboczyła w prawo. O niecałe dwieście kroków, za łagodnym wzniesieniem na które wdrapała się brnąc prawie po pas w śniegu, zaczynał się parów. Gdy zmachana stanęła na jego skraju, wydała dziki okrzyk radości. Na przeciwległym zboczu długim szeregiem leżały martwe leśne olbrzymy. Przesunęła po nich bystrym spojrzeniem i wypatrzyła właściwy. Z jego potężnej gęstej korony wynurzały się grube sękate konary, niektóre jeszcze całe, niektóre połamane przy upadku. Odpoczęła znów kilka minut, wreszcie ujęła trzonek toporka i przystąpiła do pracy.

Przemarznięte drewno było twarde, ale nie przejmowała się tym. Pracowała spokojnie, odcinając tylko najgrubsze gałęzie. Te cienkie, pełne szpilek, były ciężkie; w piecyku spalały się szybko, nie dając prawie ciepła. Nie zamierzała taszczyć ich z sobą.

Już po kilku minutach pracy zrzuciła chustkę i kozuch oraz rękawice. Ruch i wysiłek rozgrzały ją, zapomniała o głodzie. Ale gdy wreszcie odłożyła toporek i spojrzała na wynik pracy, mogła być dumna. Piętrzyła się przed nią prawdziwa góra drzewa. Oczywiście, nie mogła nawet marzyć, by za jednym zamachem przeciągnąć ją przez stok parowu i pagórek. Na to była za słaba. Ale ścięte konary mogła przeciągać po kilka, zwłaszcza że tylko za pierwszym razem nie przetarty na stoku śnieg stawiał spory opór. Za drugim poszło już łatwiej i chociaż zmachala się porządnie, w niecałą godzinę przeciągnęła w pobliże ścieżki prawie cały stos.

Teraz wracała po ostatnią partię i kiedy do sanek przywiązała już wszystko i sięgnęła po kozuch, jakiś wewnętrzny głos kazał jej spojrzeć przed siebie...

W odległości kilkudziesięciu kroków na śniegu rysowała się wyraźna smuga. Nie było jej jeszcze kilka minut wcześniej. A tam, po prawej stronie, na stoku – druga i jeszcze jedna – tym razem obok modrzewia przysypanego śniegiem.

Janet obróciła się. Z tyłu, tuż u wylotu do parowu dostrzegła jeszcze jedną. – Cóż u licha! – pomyślała, nie przeczuwając jeszcze prawdy. Jakieś zwierzę, mimo hałasu jaki sprawiała, ośmielało się podejść tak blisko...? Ubrała kozuch i schyliła się po odłożony toporek, gdy z prawej strony, na stoku, z głośnym szmerem osypał się śnieg. Zanurzone w nim do połowy tkwiło stalowoszare zwierzę. Długi, ostry pysk, spiczaste uszy, gęsta ciemna sierść i długi puszysty ogon, nie pozostawiały wątpliwości. – Wilk – szepnęła i ujęła mocniej trzonek siekiery. Znała trochę obyczaje tych zwierząt. Wiedziała, że pojedyncze sztuki, nawet jeśli bywają bezczelne i potrafią podejść blisko, rzadko decydują się na atak. Ponownie schyliła się, by podnieść sznur od sanek, gdy ruch na skraju kępy modrzewi kazał jej spojrzeć w tamtą stronę. Tam również przycupnął w śniegu jeden, a kilkanaście kroków dalej wychynał z gęszczy trzeci. Spojrzała na pagórek – jedyną możliwą drogę odwrotu – ale i ta była odcięta. Zwierząt przybywało z każdą chwilą. Ale jeszcze nie zbliżały się zanedo. Podbiegały na trzydzieści, może czterdzieści kroków i przysiadały w śniegu – jeden parę jardów od drugiego. Zachowywały się spokojnie, prawie obojętnie, ale osaczały ją z wszystkich stron. Nie mogła nawet marzyć, by wyrwać się z tego kręgu. Tkwiły wszędzie i było ich ze trzy tuziny. Pułapkę zastawiły po mistrzowsku, pewnie. Nie spieszyły się, wiedziały, że ofiara nie ma szans ucieczki „A może nie były głodne” – pomyślała z nagłą nadzieją. Nie... Pierwszy podbiegł kilka kroków, przysiadł na zadzie i nerwowo rozwarł pysk – jakby ziewał. Podsunął się następny i jeszcze jeden. Krąg, jakim ją otaczały, zacieśnił się nagle.

Czuła, jak zaczynają drżeć jej nogi, a ręce stają się nagle dziwnie słabe. Zaciśnęła zęby, by zdusić wybiegający na usta krzyk. Burza myśli przemknęła w jednej chwili przez głowę. Żeby chociaż ogień – to by je na pewno zatrzymało, ale nie miała nawet zapalek. Drzewo. Jedyną szansą pozostawało drzewo. Gdyby zdołała się wspiąć chociaż kilkanaście stóp w górę, istniał cień nadziei. Zawsze mógł nadejść ktoś z obozu. A może był w pobliżu jakiś mężczyzna, może nawet kilku. Oni nie ruszali się bez broni. Tak, ale najpierw musiała dostać się na

drzewo. O trzy kroki rosło odpowiednie – niezbyt gruba karłowata sosna. Najniższa, mocna gałąź nie wznosiła się wyżej niż sześć, siedem stóp nad ziemią. Gdyby jej tylko dosięgnęła. Złowieszczy krąg znów się zacieśnił. Były już nie dalej niż dwadzieścia kroków. Coraz głośniejsz brzmiały ostre, krótkie kłapnięcia potężnych szczęk.

Wiedziała, że to ostatnie sekundy. Cofała się wolno, ostrożnie – cal za całem. Wiedziała, że rzuca się przy jakimkolwiek gwałtowniejszym ruchu. Jeszcze tylko krok i przywarła plecami do pnia. Teraz tylko dosięgnąć gałęzi, ale wpierw musiała odwrócić się do nich tyłem. Widocznie jednak zrozumiały, bo poderwały się jak na komendę – cała zgraja. Nim zdążyła wykonać najmniejszy ruch, ujrzała dziko rozwartą paszczę, kłapiące potężne zęby, czerwone, żądzą mordu i krwi płonące ślepia. Były tuż-tuż, cała rozżarta horda. Za moment bure cielsko zamajaczyło na wysokości jej twarzy. Machnęła rozpaczliwie toporkiem. Dziki, krótki skowyt. Przed następną rozwartą paszczą zdołała się ledwo zasłonić. Poczula silne szarpnięcie z boku, trzask rozrywanego kozucha i... nagły krótki grzmot. Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty, cudowny, zbawczy grzmot karabinowych strzałów. Nagle zwiotczały nogi i kolana, dziwny skurcz w gardle, jarzące się ślepia i rozwarty pysk tuż koło twarzy. Rozpaczliwy ruch ręki. Wściekłe szarpnięcie – huk i napastnik kopiąc łapami tarzał się u jej stóp. Inne pomykały na boki.

Zboczem, sapiąc z wysiłku i strzelając w biegu, mknęły dwie okutane w futra postacie. Były blisko. Jeszcze tylko kilkanaście ciosów kolbami, jedno potężne kopnięcie ciężkim butem. Głuchy trzask pistoletowych strzałów goniących umykającą horde.

Janet zacisnęła mocno zęby, by zdusić narastający, histeryczny krzyk.

Jeden z nich nachylił się. Jak przez mgłę słyszała jego jeszcze zdyszany głos i urywane słowa:

– Już po wszystkim. No, panno Wharton, już dobrze. Nic pani nie grozi. Proszę otworzyć oczy. Niech pani nie mdleje, do pioruna.

Z trudem uniosła powieki. Jak przez mgłę widziała nachyloną, długą, szczurzą twarz, pokrytą krótkim czarnym zarostem. Rewolwerowiec – przemknęło jej przez myśl. Zamrugowała kilkakrotnie powiekami. Nachylona twarz nabrała wyraźnych ostrych konturów.

– Kester... pan Kester Hood – usiłowała się dźwignąć. – Chyba... chyba w ostatnim momencie.

– Mocno panią pogryzły? – Pomagał jej wstać.

– Nie, nie – oddychała ciężko. Zbliżył się ten drugi. Dyszał jeszcze, ale uśmiechał się.

– Tego pierwszego – wskazał na leżącą u nóg dziewczyny bestię – załatwiłaś jak trzeba. Kłapnął cię któryś?

– Nie, Ben. Nie daliście im czasu. – Czuła, że znów stoi mocno na nogach. – Ale skąd się tu wzięliście? Już myślałam...

– W takiej sytuacji każdy by pewnie myślał. – Spencer oparł karabin o drzewo i sięgnął po papierosa. – Odwieźliśmy kaprała na posterunek. Widzisz, nie miał siły sam się tam dostać. No i wracaliśmy.

Ponownie poczuła dławienie w gardle.

– Ale skąd wiedzieliście i jak się tu znaleźliście? Nie wiem, jak mam... Machnął tylko ręką i przerwał jej.

– Daj spokój, Janet. Od wilczych śladów roilo się dokoła, toteż pukawki trzymaliśmy w garści. Kiedy na ścieżce zobaczyliśmy ten stos drzewa i tylko ślady sanek, domyśliliśmy się, że ktoś nieświadomy niczego jest blisko. Nie wiedzieliśmy, że to ty.

– Oh, Ben. Gdybyście spóźnili się o pół minuty...

– Baa... – w szerokim uśmiechu odsłonił rząd białych, zdrowych zębów. – Poczekaj chwilę. Pomogę Kesterowi zebrać skalpy.

– Skalpy?

– Tak – roześmiał się ponownie. – Za każdą parę wilczych uszu posterunek płaci trzy dolary. Szkoda byłoby zostawić. Ale naprawdę nie pogryzły cię?

– Naprawdę. Podarły mi tylko kozuch, ale da się naprawić. W parę minut potem przeciągnęli na ścieżkę ostatnią wiązkę drzewa, której koniec przymocowali do sanek dziewczyny i Hood podał jej sznur.

– No, spróbuj to pociągnąć!

Przełożyła sznur przez ramię, zaparła się nogami i usiłowała ruszyć, raz, drugi... Sanki ani drgnęły. Obydwaj mężczyźni, patrząc kpiąco na jej wysiłki, parsknęli w końcu śmiechem, a Hood zdjął z jej ramion sznurek i przymocował do sań własnego zaprzęgu.

– Chciała to pani pewno sama dostarczyć do osady?

– Nie wiedziałam, że będzie takie ciężkie – westchnęła zaskoczona.

– No, właśnie. Ale teraz poradzimy sobie jakoś. Nasze pieski, gdy pomoże im się ruszyć, pociągną.

W pół godziny później złożyli stos drzewa pod ścianą jej domku, a Spencer patrząc na bladą twarz dziewczyny, spytał:

– Masz parę gotowych kawałków, żeby dzisiaj napalić?

– Nie, ale zaraz sobie urąbię.

– Idź, Janet, do izby i odpocznij. Widzę, że masz dosyć. Narąbię ci na dzisiaj, a jutro zrobię porządek z resztą.

Nim zdążyła zdjąć wierzchnie okrycie, wysypać popiół i oczyścić rusztą, wniósł do izby dwa naręcza równo pociętych bierwion i złożył koło piecyka. Rozejrzał się po biednie wyglądającej izbie. Musiał widać domyśleć się wielu rzeczy, bo pokiwał tylko głową i nie patrząc na mieszkankę izby, powiedział obojętnie:

– Jutro Kester odwiezie skalpy na posterunek. Może zabrać i ten, który ty zdobyłaś. Nie masz nic przeciwko temu?

– Ależ Ben, ja nie chcę. Gdyby nie wy...

– Ten jeden ty zdobyłaś – powtórzył. Wyjął trzy jednodolarowe monety i położył na stole.

– To twój udział. Zresztą – wyszczerzył zęby – byłaś świetną przynętą. Bez takiej nie zarobiliśmy nawet centa. Bywaj. Jutro przyjdę przerąbać ci te gałęzie. Są twarde – uśmiechnął się jeszcze raz i bez dalszych słów zamknął za sobą drzwi.

Janet została sama. Zbliżyła się do stołu i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w błyszczące, nowiutkie monety. Zostawiając je, Ben Spencer nie wiedział na pewno, jakim skarbem były dla niej w tej chwili. Jedynym, gdyż nie posiadała ani centa więcej. Mówiąc prawdę, nie miała nic. Ostatnią puszkę grochu jadła przez cały ubiegły tydzień. Do gotującej wody wrzucała codziennie po kilkanaście ziarenek i nie więcej niż małą łyżkę tłuszczu i mięsa. Mimo że jadła tylko raz dziennie, zawartość funtowej puszki zmniejszała się coraz bardziej. W końcu przedwczoraj zaświeciło dno.

Wczoraj nie jadła już nic. Podobnie dzisiaj. Z rana musiała zadowolić się tylko szklanką ciepłej wody. Drewna nie starczyło na zagotowanie. I właśnie dlatego poszła do lasu. Jakie szczęście, że zabiła przynajmniej jednego wilka. Gdyby nie była tak przerażona, mogła uśmiercić przynajmniej jeszcze jedną bestię. Miałaby teraz nie trzy, a sześć dolarów.

Rzut oka na ścianę, gdzie w szczelnym pokrowcu wisiała strzelba, a obok pistolet i pas pełen naboí. Powinna była wziąć przynajmniej pistolet. Tak... Teraz nie będzie się leniła. Skoro posterunek płacił aż po trzy dolary za wilczy skalp... Tak, ale to później. I dobrze, że nie sprzedawała pistoletu ani strzelby. Na szczęście umiała się nimi posługiwać. Ale to później...

Chciewie zgarnęła ze stołu pieniądze, ponownie naciągnęła kozuch i pobiegła do Harveya. Prowadził tu coś w rodzaju sklepu z różnymi towarami, ale co najważniejsze, zaopatrywał osadę w żywność.

Nie zastała go wprawdzie, ale jego żona była na miejscu. Też nie dawała na kredyt ani za darmo, ale widząc wymizerowaną twarz dziewczyny i głód malujący się w jej oczach, sama

pomogła wybrać. Nie tak dużo: dwie puszki grochu z wędzonką, nieduży woreczek mąki, funt słoniny i wielki bochen świeżego chleba, trochę herbaty, soli i cukru. Było to i tak przynajmniej dwa razy tyle, ile za trzy dolary mogłaby dostać od Harveya. Ale nie było to jeszcze wszystko. Gdy zapakowała już swe skarby do worka, żona handlarza wyniosła z komórki kilkunastofuntowy worek zmarzniętych na kość filetów surowego łososia, do których dorzuciła już z własnej spiżarni solidny kawał wędzonego boczku.

– Masz – powiedziała z ciepłym błyskiem oczu – tylko nie chwal się przed moim starym. I... oszczędzaj. Zima dopiero się zaczyna. Nie wiadomo, czy przyjdą jakieś nowe dostawy żywności. Podobno w Dawson nie otrzymali nic od miesiąca...

Rozpakowując swe skarby w izbie, Janet płakała ze szczęścia. Jeszcze wczoraj nie marzyła nawet, że kiedykolwiek będzie mogła najeść się do syta. Wiedziała jednak, że to co przyniosła, musi starczyć jej na wiele, wiele tygodni. Toteż mimo iż żołądek kurczył się z głodu, ukroiła tylko jedną kromkę chleba i cienki plasterk słoniny. Za to do pełnego garnka wrzącej wody wrzuciła prawie funt mrożonej ryby. Widmo głodowej śmierci oddaliło się przynajmniej na pewien czas.

Rozdział III

Kto gra znaczonymi kartami?

Gdy Hood opowiedział przygodę, jaką przeżyli wspólnie ze Spencerem, atmosfera w szynku wyraźnie zgęstniała. Pogłoski o wilkach pojawiały się od czasu do czasu, spotykano nawet pojedyncze tropy, ale żeby cała horda i to w dodatku zaledwie milę od osady... nie, tego nie spodziewał się nikt, i gdyby nie wiązka skalpów, historię w znacznej mierze przypisano by wyobraźni opowiadającego. W izbie powiało chłodem.

– Powiadasz, Kester, że było ich ze trzydzieści? – Bart Ewans, traper i myśliwy, który, jak powiadano, od dwudziestu lat włóczył się po wszystkich zakątkach tej północnej krainy i znał ją lepiej niż inni, utkwiał pytające spojrzenie w mówiącym.

– Nie liczyłem. Nie było czasu. Ale uciekło dużo, więcej niż zdążyliśmy położyć.

Ewans pokiwał głową.

– Na południu jest głód – stwierdził z przekonaniem.

– Głód? – Freeman, najmłodszy z siedzących przy stole, spojrzał powątpiewająco. – Skąd wiesz?

– Gdybyś w tych stronach przeżył tyle co ja, też wiedziałbyś. – Odstawił opróżnioną do połowy szklanę i patrzył przez parę chwil na zwisającą z sufitu pajęczynę, po czym ponownie pokiwał głową. – Musi być głód – powtórzył. – Inaczej nie ciągnęłyby tutaj. Ale i tu nie mają co żreć. Dlatego zbierają się w stada.

Oates, mocno już podpity, skrzywił się pogardliwie.

– Kraczesz stary. Latem sam widziałem, znaczy – poprawił się szybko – gadałem w ... w Dawson z dwoma Tagish, myśliwymi. Mówili, że jest dużo zwierzyny.

– Chyba coś ci się pomieszało, Randal. – Ewans nie wydawał się być przekonany. – Tagish polują o siedemset mil stąd na zachód. Skąd mieliby wiedzieć, czy tutaj lub na południu jest zwierzyna?

Norton, chociaż nie dał nic po sobie poznać, zauważył krótki, niebezpieczny błysk w oczach Drwala, który natychmiast sprostował:

– Chciałem powiedzieć, Kutchin. Wiem, gdzie polują Tagish. Ci, z którymi gadałem, twierdzili, że zwierzyny jest w bród.

– Może latem była. Nie polowałem, ale teraz nie ma. I będzie głód. Wilki to czują, dlatego się zbierają. Nie radzę chodzić w pojedynkę do lasu. Gdy zgłodnieją, nie boją się strzałów, a polują nie gorzej niż najlepszy myśliwy. – Dopił szklanę, wytarł rękawem brodę i podniósł się. – Na mnie czas.

– Zostań jeszcze na jednego – Norton zachęcająco uniósł prawie pełną butelkę. – Nie masz chyba nic pilnego do roboty.

– Nie, Jerry. Śnieg głęboki. Mam do siebie kawałek drogi. Chciałbym zdążyć jeszcze przed nocą. Pójdę już.

– To poczekaj chwilę. Krótki spacer też mi nie zaszkodzi. Odprowadzę cię przynajmniej kawałek przez las. Narzucę tylko coś cieplejszego. – Wszyscy wiedzieli, że Ewans mieszkał w małej myśliwskiej budzie, po drugiej stronie lasu, z siedem mil od osady, i mimo kilkakrotnych propozycji nie chciał się przenieść tu na zimę. Po cichu mówiono, że ze względu na pędzony w tajemnicy bimber wołał być z dala od zbyt ciekawych oczu.

Początkowo szli w milczeniu, zresztą ciągnący z północy wiatr i szczypiący mróz uniemożliwiały rozmowę. Znacznie ciszej i spokojniej było między drzewami. Zatrzymali się na zapalenie papierosa.

– Mógłbyś się jednak przenieść do osady – zagaił Norton. – Zima potrwa jeszcze parę miesięcy. Samemu nie tak bardzo bezpiecznie.

– A gdzie dzisiaj bezpiecznie, Jerry? Słyszałeś, co gadał kapral. Nawet posterunek Mounties nie jest bezpieczny.

– Właśnie, słyszałem trochę. To podobno zaledwie parę dni drogi stąd. Co tam się właściwie wydarzyło? Żyjesz przecież wśród ludzi i wiesz co gadają.

– Różnie gadają. Jeśli cię to interesuje, mogę opowiedzieć, ale to nic pewnego.

– Gadaj. Jestem tu, jak wiesz, od niedawna. Nie znam ludzi, nie znam warunków, a podobnie jak inni zostaną pewno trochę dłużej. Rozumiesz, każdy ma ochotę znaleźć bonanzę – roześmiał się cicho. – Może i moja znajduje się gdzieś w okolicy. Podobno są tu setki strumieni?

– Strumieni jest sporo, ale bonanzy to nie grzyby. Chociaż, kto wie. Latem było tu nie tak wielu, jak gadają. Nie zbadali nawet jednej dziesiątej. Zresztą nie każdy potrafi szukać. Warto więc zostać trochę dłużej. A co do tego posterunku na Duck Creek, to nic pewnego. Od czerwca jest zamknięty na cztery spusty. Byłem tam chyba w połowie września. Nie było nikogo. Myślałem, że albo opuścili go na zimę, albo poszli gdzieś z patrolem. Dopiero przed Nowym Rokiem, bodajże Oates albo Hood przynieśli z Dawson wiadomość, że załoga zniknęła, i że podobno Strickland szaleje, że wszystkim posterunkom kazał szukać. Podejrzuje jakiś napad. Ludzie gadają różnie. Jedni, że to Indianie, inni, że jakaś większa banda. Są i tacy, którzy twierdzą, że Weller i jego chłopaki znaleźli masę złota, zagarnęli całe wory nuggetów i prysnęli na południe, a dla niepoznaki wysłali do Dawson meldunek, że idą po coś na północ. Ale tak naprawdę, to chyba nikt nic nie wie. Nawet Mounties. Gdyby coś wiedzieli, Strickland nie uruchamiałyby Oddziału Specjalnego. Chyba, że to też bujda, jak myślisz? – świdrujące oczka przemknęły uważnie po twarzy Nortona.

– Hm, może i bujda – obojętny na pozór wyraz twarzy, naturalny cień niepewności w głosie. – Chociaż może i nie. Paterson bredził coś na ten temat. Sam byłeś świadkiem, ale może słyszał też tylko plotki i wierzy w nie... Ewans spojrzał z ukosa na swego towarzysza i powiedział leniwie:

– Myślałem, że z. kapralem znasz się nieco lepiej...

– Co? Ach tak! Chodzi ci pewno o to, że jesteśmy na ty? Nie, też go nie znam. Dwa tygodnie temu, gdy ciągnęliśmy z Benem, na szlaku, o trzy dni drogi stąd, spotkaliśmy Patersona i Barnesę. Przyszliśmy razem. Trzy dni w czasie tej cholernej zadymki to dużo. Trzeba się było czasem rozgrzać. A przy butelce ludzie szybko zawierają znajomość.

– W takim razie jasne, chociaż z początku myślałem...

– Co myślałeś?

– Ee, nic, po prostu, że znacie się dłużej.

– Co ty. Myślałeś, że my i tych dwóch Mounties...?

– Nie, Jerry. Skoro mówisz, że nie, to wierzę. Niby czemu miałbyś łączyć wobec Ewansa? Ja z tym posterunkiem nie miałem nic wspólnego, a i tutejsi chyba też nic nie wiedzą, tak samo jak i o Whartonie. Pewno dziewczyna ci mówiła?

– O Whartonie...? A cóż to znowu za historia? Nic nie słyszałem. A z dziewczyną od czasu gdy tu ściągaliśmy, to znaczy od dwu tygodni, nie zamieniłem nawet słowa. Dopiero dzisiaj, po tej bójce, ale ledwo bąknęła coś i zaraz uciekła do siebie. Co to za Wharton? Mąż?

– Nie, Jerry, to nie mąż. Na pewno. Chyba brat albo jakiś kuzyn. Ale raczej brat. Ściągnęli tu wiosną. On chyba już w maju poszedł w góry. Poszukiwacz. Nie wrócił do tej pory, chociaż wrócili inni. Nie wiem, co myśleć. Ona czeka.

– Nie przysłał żadnej wiadomości? Może znalazł złoto i został na straży?

– Wątpię. Obiecywał, że wróci przed zimą. Powinien był wrócić. Zostawił niewiele pieniędzy. Wiedział, że nie starczy jej na długo. Nie mam pojęcia, jak przeżyła do tej pory. To twarda dziewczyna, ale ostatnio wygląda coraz gorzej. Pewnie nie dojada.

Norton myślał dłuższą chwilę. Zastanawiał się, czy sprawę Whartona Ewans poruszył przypadkiem, czy też może wiązał ją w jakiś sposób ze sprawą tego posterunku, a nie chciał tylko wyraźniej mówić. Cokolwiek jednak stary myślał, nie wolno go było płoszyć niepotrzebnymi pytaniami... Zresztą na pewno nie należało się tu spieszyć. Co innego dziewczyna. Rzeczywiście wyglądała nieszczęśliwie, a skoro Ewans wiedział, że głoduje, musieli wiedzieć i inni. Tu nie kryło się żadne ryzyko. Wręcz przeciwnie. Właściwie okazja nadarzyła się sama.

– Słuchaj, Bart – poufale ujął starego pod ramię. – Wiem, że jesteś mężczyzną i chyba zrozumiesz. Mam prośbę...

Traper zatrzymał się i patrzył chwilę uważnie.

– W związku z dziewczyną?

– Tak – Norton kiwnął kilkakrotnie głową, unikając spojrzenia tamtego.

– Chciałbyś jej pewnie pomóc, prawda?

– Coś w tym rodzaju.

– No, to co cię wstrzymuje? Po tym co zrobiłeś rano z Drwalem, wie, że jesteś w porządku.

– Masz chyba rację, Bart. Ona może myśleć, że jestem w porządku, ale pomocy ode mnie nie przyjmie. Będzie się bała tego, co powiedzą inni. A przecież wiesz, co by powiedzieli. Szczególnie po tej dzisiejszej bójce. Ja sam nie mogę i dlatego pomyślałem, że może ty. O tobie i o niej nikt nic złego nie pomyśli.

– Jak to sobie wyobrażasz, Jerry? Mam nagle iść do niej i ni z tego, ni z owego dać jej pieniądze...?

– Nie, oczywiście, ale posłuchaj...

Gdy w jakiś czas potem wracał ledwo już widoczną ścieżką, był z siebie zadowolony. Ewans dał się przekonać, zresztą nie tylko w sprawie dziewczyny. Także w paru innych, zwłaszcza gdy całkiem spory zwitek banknotów niespodziewanie przepłynął do jego kieszeni. Ba, powiedział coś, czego Norton dopiero zaczynał się domyślać. Stwierdził mianowicie, że Randal Oates, z bliżej nieznanых powodów, nie lubi Janet Wharton. A dla Nortona była to ważna, kto wie czy nie najważniejsza od czasu przybycia do osady informacja. W całej sprawie było też i pewne ale: traper, gdy sobie popił, miewał zbyt długi język, no ale to nie było największym złem. Zresztą Janet Wharton pewno i tak po trochu się domyślała. A więc, prędzej czy później...

Przyspieszył kroku, mimo to do osady dotarł, gdy było już ciemno. W szynku przeredziło się. Jedyne przy paru stolikach, jak zwykle o tej porze, grali w pokera. Gdy tylko zjawił się, zaraz zrobili mu miejsce.

– No i co z wilkami? Spotkaliście coś? – Hood, który zgarniał właśnie niezbyt dużą kupkę pieniędzy, spojrzał z zaciekawieniem.

– Nawet ogona, Kester. Musieliście je solidnie przepłoszyć. Może się wyniosły – dorzucił bez większego przekonania. – A co u was? Widzę, że jak zwykle dopisuje ci szczęście. Po ile stawka?

– Po dolarze!

Bank trzymał Hood. Patrzyli jak wprawnie i szybko tasuje karty. – Musiał ćwiczyć dość długo – pomyślał Norton z uznaniem. A jak rozdawał... Ledwo dotykał ich palcami, a mimo to równo niczym wachlarz rozsypywały się po stole. O tym rozdawaniu różnie tu mówiono, ale nikt nigdy nie przyłapał go na żadnym oszustwie. Jeśli pomagał szczęściu, musiał czynić to z dużym wyczuciem i umiarem.

Norton podniósł bez szczególnego zainteresowania swoje karty. Coś niesłychanego... Cztery asy z ręki, ale jednocześnie jakiś dziwny, prawie nieuchwytny błysk oczu Hooda. I niejasne podejrzenie. Czyżby tamten jednak pomagał szczęściu...?

Do gry weszła cała piątka. A jakże, po dolarze. Oates wymienił dwie karty, Spencer – jedną, Rawlins – trzy. Norton dla niepoznaki zastanawiał się trochę dłużej. Wyciągnął dwie, ale w końcu odrzucił też jedną. Hood też zastanawiał się. Zdawał się wahać między wymianą dwóch lub trzech. Wreszcie zrezygnował i nie wymienił żadnej.

Oates skrzywił się złośliwie, ale nic nie powiedział. Właściwie domyślili się wszyscy. Hood miał strita i zdecydował się przy nim pozostać.

Oates wszedł za pięć dolarów, Spencer dorzucił, Rawlins podwoił stawkę, Norton, mimo że miał wielką ochotę podbić, powstrzymał się – dorzucił tylko tyle, by utrzymać się w grze i nie dać tamtym poznać; Hood znów podwoił. Czyżby bluffował? Nie wszyscy musieli tak myśleć, bo Spencer i Rawlins spasowali. Spasował Norton. Znów błysk, tym razem zdziwienie w oczach Hooda.

W grze pozostał jeszcze Oates. Wahał się chwilę, ale dołożył i znów podwoił. Musiał mieć fula, może nawet karotę. Hood położył karty, wyjął z kieszeni portfel i rzucił do puli pięć dwudziestodolarowych banknotów. Drwał zmrużył oczy, ale szedł widać na pewniaka, bo bez chwili wahania postawił na stole dość ciężki irchowy woreczek i warknął: – Sprawdzam!

Hood z beznamietną miną odwrócił swoje karty i rozsunął je... Pięć kier... tego nie spodziewał się nikt! No, może tamtych trzech, bo błysk, jaki we wzroku bankiera ułowił Norton, gdy zobaczył swoje cztery asy, mógł oznaczać, że tamten wie, i że prowadząc wysoką grę prowokuje świadomie, że dokładnie wie, jakie karty każdy trzyma w ręku. Ale jak to zrobić? Przecież znali go i cały czas patrzyli jak rozdaje. – Norton jednak nie dokończył myśli... Z gardła Oatesa wydobył się dziki charkot. Olbrzym poderwał się, kopnięciem buta odrzucił stołek i przez zaciśnięte zęby syknął:

– Wstawaj, ty...

Nikt nie uchwycił najmniejszego ruchu ręki tamtego, nikt nie usłyszał trzasku odwodzonego kurka, ale ciemny kształt długiej wysmukłej lufy sześciostrażalowego enfieldda 476 chwiał się złowieszczo na wysokości piersi Oatesa. Głos Hooda brzmiał cicho i spokojnie:

– Nie radzę ci, Randal. Tamci domyślili się, że mam dobre karty i potrafili spasować. Tylko ty chciałeś koniecznie wygrać. Jeśli teraz wykonasz niewłaściwy ruch, pewno cię zabiję. I nikt mi nic nie zrobi. Wszyscy potwierdzą przed Patersonem, że to było w obronie własnej. Nie chcę mieć jednak kłopotów z policją. Zabieraj swoje złoto i... wynoś się. I nie przysiadaj się więcej do stolika, przy którym ja będę grał. – Niedostrzegalnym ruchem ręki wsunął pistolet do pochwy i ponownie usiadł przy stole. Nie sięgał jednak po pieniądze, patrzył zimno na stojącego po drugiej stronie stołu draba. – No, na co czekasz? Zabieraj swój worek i wynoś się!

Oates nic nie powiedział. Z wolna opuścił ręce, chwilę jeszcze patrzył na Hooda. I we wzroku tym czaiła się wyraźna groźba. Po złoto jednak nie sięgnął. Odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z izby.

Od sąsiednich stolików podnosili się gracze. Każdy chciał obejrzeć złoto pozostawione w irchowym woreczku.

– Pokaż – powiedział Spencer. – Chcemy zobaczyć, jak wygląda kalifornijskie złoto.

Hood zgarnął pulę, uniósł woreczek i rzucił na bufet.

– Zważ, Dolly. Nie chciałbym oszukiwać naszego niefortunnego przyjaciela, a zdaje się, że zostawił więcej niż sto dolarów.

Rzeczywiście, złote nieforemne bryłki ważyły prawie trzydzieści trzy uncje. – Po ile liczysz, Dolly?

– Po dziesięć za uncję, Kester. W Dawson i Klondike dają po dziesięć i pół, ale ja też muszę coś zarobić.

– Zgoda. Odważ mi dziesięć uncji. Resztę włóż do woreczka i zwróć Randalowi. Może to już ostatnie, jakie posiada.

Do baru przecisnął się Rawlins.

– Pokaż jakąś większą bryłkę, Kester. Spędziłem trochę czasu w Kalifornii i widywałem tamto złoto. – Oglądał uważnie, obracał bryłkę na wszystkie strony, wreszcie niezdecydowanie zwrócił ją właścicielowi. – Nie wiem. Tam nie spotkałem takich.

– Chcesz powiedzieć, że to nie kalifornijskie? – spytała Dolly, nie potrafiąc ukryć podniecenia.

– Nie, tego nie mówię – zastrzegł się Rawlins. – Po prostu takiego nie widziałem, ale w każdej żył jest inne. Pewno stamtąd. Zresztą niby dlaczego Oates miałby łąć...?

Właśnie, niby dlaczego? Norton wrócił do stolika. Za chwilę usiedli pozostali. Gra potoczyła się dalej. Bez większych emocji. Hoodowi nadal dopisywało szczęście, ale nie wydawało się, by mu specjalnie pomagał. Grał dobrze i na pewno nie był nowicjuszem. Mimo to przegrał dwie całkiem niezłe pule; jedną do Rawlinsa, drugą do Spencera. W sumie był wygrany, ale nie więcej niż trzydzieści, może czterdzieści dolarów. Poprzednie zajście nie wywarło na nim wrażenia, bo na uwagę Spencera, że Oates nie zapomni, machnął lekceważąco ręką.

– Ma siłę, to prawda, pięściami macha jak prawdziwy drwal, albo raczej kowal, ale rusza się jak niedźwiedź obudzony z zimowego snu, a myśli chyba jeszcze wolniej.

Roześmieli się.

– Czemu więc wyciągnąłeś spluwę? – spytał Norton.

– Nie miałem ochoty na bitkę. Zresztą po co? Wystarczyło go postraszyć.

– To musiałeś odciągać kurek? – Baa..., tylko tak sobie, dla hecy.

– Sięgnął niedbale po pistolet, zwolnił blokadę i odsłonił bęben. Wszystkie otwory na naboje świeciły pustką. – Nosisz nie nabity? – Norton ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Jak kiedy, Jerry. Mounties są ostatnio uczuleni na strzelanie. Nie chciałbym skracać tu swego pobytu.

– Nie boisz się, że ta pusta pukawka może zawieść cię kiedyś?

– Do tej pory nie zawiodła, a noszę ją już kawałek czasu.

Rzeczywiście, sądząc po szybkości, z jaką wskakiwała mu do ręki, musiał to być niezły kawałek, a co do Mounties, Hood miał chyba rację. Wyraźnie nie mieli wyrozumiałości dla tych, którzy zbyt szybko sięgali po broń. Tak, Norton nie miał wątpliwości, że Kester Hood patrzy na życie bystro i przytomnie. Kto mógł wiedzieć na pewno, jakie to było życie.

– Dawno jesteś w tych stronach? – spytał bez specjalnego zainteresowania.

– Nie tak bardzo, zresztą zależy, jakie strony konkretnie masz na myśli...?

– Jukon!

– Będzie ze dwa i pół roku. Ale większość z tego po tamtej stronie granicy.

– Szukałeś pewnie, tak jak inni?

– Różnie, Jerry. Trochę szukałem. Ale widać nie mam szczęścia. Latem przeniosłem się do Dawson. Było trochę lepiej. Chętnych do partyjki zawsze się paru znalazło, a ponieważ, jak pewnie zauważyłeś, nie mogę narzekać na kartę, to jakoś sobie radziłem.

– Nie chciałeś tam zostać dłużej? – Znów pytanie było naturalne, ot tak, dla podtrzymania rozmowy.

– Mounties. Od czasu gdy Herchmer przyprowadził uzupełnienia, Mounties stali się bardziej ruchliwi i ciekawi. Wolałem zmienić teren.

– Jakieś nieprzyjemności? – Nie, ale nie lubię, jak mi ktoś ciągle zagląda w karty. Norton roześmiał się.

– Nikt tego nie lubi. Zostaniesz tu dłużej?

– Jeszcze nie wiem. Do wiosny, może do lata... Zobaczą. W każdym razie nie mam ochoty spędzać tu drugiej zimy.

– Masz już coś upatrzonego?

– Niczego specjalnie, tyle że ciągną mnie chłopaki ze Skagway. Podobno to teraz duże miasto. Duży ruch. Jedni przypływają, inni odpływają. Podobno w zeszłym roku do samego San Francisco przesłano parę milionów dolarów w czystym złocie. A chyba w tym roku będzie jeszcze więcej. Ma się rozumieć pod jesień. Warto tam być.

Norton sięgnął bez zapału po szklankę. Tego, że tamten miał znajomych w Skagway, można się było domyślać. Ciekawe tylko jakich? W ostateczności nie ryzykował tak dużo, a Hood, mimo że trzymał się dobrze, wypił już sporo i nie powinien zauważyć. Pociągnął spory łyk. Chociaż... Może jednak lepiej było nie ryzykować? Gdyby tamten zaczął coś podejrzewać...?

Drzwi z trzaskiem otworzyły się i do izby wkroczyło dwu młodych mężczyzn. Wiedzano już o nich w osadzie. Zjawili się późno po południu. Twierdzili, że z Klondike. Ostatnią noc spędzili podobno w obozie nad Beaver's Fall – trzydzieści mil z okładem na północny zachód. Kwaterę załatwili sobie od razu u Harveya. Właściciel składu nawet się specjalnie nie targował. Przyprowadzili dobry zaprzęg – najlepszy jaki pojawił się tu tej zimy. Sześć potężnych husky i przodownika. No, i co ważne, całe wory żywności. Poszukiwacze, a jakże. Harveyowi powiedzieli, że przypłynęli ostatnim jesiennym parowcem, jaki przed zimą dotarł do Dawson. Nie, nie chcieli tam czekać do wiosny. Ceny rosły z dnia na dzień. Zaopatrzyli się więc we wszystko co trzeba. Okazyjnie od kogoś z wyjeżdżających kupili psy i zostawili Dawson, które podobno pękało w szwach. Wyglądali dobrze, można powiedzieć elegancko: nowiutkie ciepłe parki z kapturami, grube futrzane spodnie z włosiem do środka, ocieplane wysokie buty z grubej skóry karibu – wszystko jak z najlepszego magazynu. Byli mniej więcej w tym samym wieku – około trzydziestki. Zachowywali się pewnie i swobodnie. Mimo iż musieli zauważyć, że patrzy na nich kilkanaście par oczu, nie wydawali się speszeni. Rozejrzeli się po izbie tak, jakby uczynił to każdy na ich miejscu, ale zebrany towarzystwem nie zainteresowali się szczególnie.

Tylko jeden z nich, trochę wyższy, gdy spojrzenie jego zatrzymało się przez chwilę na Nortonie, jakby drgnął lekko. Zresztą chyba Norton również. Hood, którego wzroku nie uszedł moment wymiany spojrzeń między obcym a Jerryem, trącił tego ostatniego lekko w ramię i mruknął:

– Wyglądają jak gliny, prawda?

Norton odwrócił głowę i z widocznym trudem opanował grymas wokół ust, ziewnął i roześmiał się nieszczerze.

– Mounties? Czego by tu szukali? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Tak sobie pomyślałem. Wyglądają jak na paradnej mustrze w forcie Herchmer lub w Constantine.

– Daj spokój. Tam mają teraz dosyć roboty i chyba za mało czasu, by włączyć się po różnych zapadłych dziurach.

– Może i racja. Tak mi tylko przyszło do głowy, gdy tu wparowali... – Ale nie tylko to mu przyszło do głowy. To, że Norton znał się przynajmniej z jednym z nich, nie ulegało wątpliwości i mogło budzić różne skojarzenia. Ale dlaczego tak wyraźnie protestował na wzmiankę o policjantach...? Tak... jakby z góry chciał oczyścić ich z wszelkich tego typu podejrzeń. Ba, już samo to było podejrzan.

Podobne wątpliwości musiał chyba uświadomić sobie w tym momencie i Norton, bo niechętnie wzruszył ramionami i jakby dla zatarcia poprzedniego wrażenia przyznał z wahaniem: – Zresztą cholera wie? Może i gliny. Tyle tylko, że dla mnie za bardzo wymuskane.

Hood pokiwał głową. Udawał, że wierzy. – Może rzeczywiście, Jerry. Nie bardzo się na tym znam, ale przyznasz, że teraz po tej historii nad Duck Creek i po tym jak Strickland porozysłał ludzi z tego Oddziału Specjalnego, w każdym nowo spotkanym człowiek gotów jest dopatrywać się gliny. Pewno tacy sami jak wszyscy – dokończył z udanym przekonaniem. – Zrobimy jeszcze rundkę, czy dalej po próżnicy będziemy strzepić gęby?

– Możemy zrobić – zgodzili się wszyscy. Jednakże mimo pozornego zainteresowania grą, patrzyli spod oka na tych dwu nowych. I nie tylko oni. Od innych stolików w stronę bufetu biegły również zaciekawione spojrzenia. Tamci jednak nie reagowali. Wyższy i może odrobinę starszy oparł się pewnie o bufet i nie ścisząc głosu powiedział wyraźnie:

– Dwa razy szkocką i dwa razy jajka na boczku, po pięć sztuk na jednego.

Przez salę przeleciał leciutki szmer. Jajka w tych stronach stanowiły rarytas, i nawet latem, gdy co jakiś czas dochodziły transporty z zaopatrzeniem, jedno kosztowało dolara. Ale od kilku miesięcy jajek nie było. Dolly, która tego dnia, w zastępstwie nieobecnego męża sterczała od wczesnych godzin za bufetem, uśmiechnęła się przepraszająco.

– Przykro mi džentelmeni. Jajek nie ma. Mogę podać coś innego.

Zamawiający zachmurzył się, ale tylko na moment, zaraz jednak rozpogodził twarz i spytał:

– A czym możesz, niewiasto, uraczyć dwu głodnych podróżnych?

– Mogę zrobić na gorąco po pół puszki grochu z wędzonką, albo...

– Świetnie – przerwał jej. – Groch z wędzonką będzie w sam raz, tylko nie po pół, a po całej puszcze, ale zanim to przygotujesz, nalej tyle podwójnych porcji, ilu džentelmenów gościsz tu dzisiaj. Mam nadzieję, że nie odmówią poczęstunku?

Trzask odsuwanych stołków i przychylny szmer, jaki rozszedł się po izbie wyraźnie wskazywały, że džentelmeni nie odmówią. A Dolly, korzystając z okazji, uczciwie nalała i sobie przywoitą porcję. Zdarzało jej się to zresztą dość często, częściej niż można byłoby sądzić, widząc jak od wczesnego ranka krząta się wśród gości, uważna, uśmiechnięta, chętna, by zaspokoić niemal każde proste, na ogół niewyszukane życzenie stałych bywalców lokalu. Ale konsekwentnie, przestrzegała świętej zasady – ani jednego łyka przed południem. Po południu, podczas długich wieczorów, szczególnie wtedy, gdy Monty Burns, właściciel szynku i – jak niekiedy twierdziła – jej mąż, po trudach dnia mniej pewnie trzymał się na nogach – odsyłała go na zaplecze i sama obejmowała rządy za ladą baru. Wtedy pozwalała sobie na kieliszek, czasem więcej, i trzeba przyznać, że nie tylko głowę, ale i nogi miała o wiele mocniejsze niż Monty. A jeśli czasem jej pełna, dorodna, widoczna na pierwszy rzut oka kobiecość zachwiała się bardziej, niż wynikałoby to z wdzięcznego, tanecznego kroku, jakim falowała między stolikami, to przecież zawsze znalazła się w pobliżu prawdziwie męska pierś lub silne ramię, na których kibić Dolly mogła znaleźć pewne oparcie. Od paru dni Monty był jednak nieobecny. Kurczący się zapas alkoholu w piwniczce kazał mu opuścić osadę i udać się, jak mówił, do Dawson. Wprawdzie z każdej takiej wyprawy przywoził głównie alkohol, mimo że w osadzie brakowało wielu innych potrzebnych artykułów, ale nikt specjalnie nie interesował się tym. Nikogo nie dziwiło też, że karczmarz swoją drogę do Dawson i z powrotem pokonuje prawie dwa razy szybciej niż inni. Jego „Dawson” leżało pewnie znacznie bliżej, a tak po prawdzie, to nikt nawet nie dochodził, w jakim kierunku. Ważne, że alkoholu w szynku nie brakowało nigdy. Ponieważ tym razem zabrał pomocnika i dwa zaprzęgi, była pewna, że przywiezie większą ilość. Na najbliższe dni miała, a jak spodziewała się, Monty winien był wrócić już jutro.

Niemal machinalnie, wraz z innymi, wychyliła swoją porcję i nadstawiła ucha. Starszy nazywał się O’Kelly. Na swego towarzysza mówił Percy – Percy Wilder.

– No więc, kiedy zobaczyliśmy z Percym, że do Dawson ściąga codziennie po dwustu, trzystu nowych, powiedzieliśmy sobie: nic tu po nas.

– Ale jakim cudem, panie O’Kelly? – Rawlins pokręcił z powątpiewaniem głową. – Jukon i w górze i w dolnym biegu stoi już od przeszło miesiąca. Pokrywa lodowa sięga ponoć metra grubości. To jak ci ludzie dostają się do Dawson...?

– Dostają się, panie Rawlins, zaprzęgami, ale nie z terytorium Alaski. Od ujścia Jukonu jest ponad tysiąc mil. Zresztą nie wiadomo, czy statki mogłyby się przedrzeć przez lody na Morzu Beauforta. Ci, którzy napływają do Dawson, ciągną teraz z zachodu, od strony Skagway i Dyea.

– Ale to też szmat drogi – wtrącił Freeman. – Ponad siedemset mil i przynajmniej połowa drogi przez góry.

– No, niezupełnie – zaprzeczył O’Kelly. Siedemset mil to droga wzdłuż Jukonu. Ale jeśli się ominie obydwie łuki rzeki i pójdzie prosto, to wypada znacznie krócej. Ruszają zwykle znad Jeziora Bennetta lub Tagish. To jeszcze bliżej, zwłaszcza że mają już za sobą i Białą Przełęcz, i Przełęcz Białego Konia. Potem od Jeziora Laberge do Tatchun droga jak strzełił, około stu czterdziestu mil. Nie więcej jak pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt mil wzdłuż Jukonu do zbiegu z Pelly River i znów nie więcej jak jakieś sto pięćdziesiąt mil do Dawson. Biorąc pod uwagę wszystkie obejścia, nie jest to od Laberge więcej niż czterysta mil. Dobrym zaprzęgiem, mocno obciążonym, nawet przy nie najlepszej pogodzie, szlak można przejść w dwadzieścia pięć, trzydzieści dni. Dla kilku niezbyt strachliwych, to taki sobie nieco dłuższy spacer.

– Odbywał go pan kiedyś? – spytał Rawlins.

O’Kelly roześmiał się.

– Parę razy, i to w obydwie strony.

Spoglądano na niego z podziwem. Wcale nie wyglądał na takiego, co zmyśla.

– Ale chyba nie jako poszukiwacz – bąknął Rawlins.

Przybysz uśmiechnął się jeszcze raz i skinął na Dolly, by nałała ponownie.

– Nie, oczywiście. Wtedy jako listonosz. Dolly otworzyła usta i zapomniała je zamknąć. Gdy wreszcie przypomniała sobie o tym obowiązku, wyrzuciła ze zdumieniem:

– Frank O’Kelly – pierwszy listonosz na Alasce.

Zaprzeczył żywo.

– Nie, pani Burns! Frank to mój stryj. Nie żyje już. On właśnie pierwszy woził listy. Ja jestem Duncan. Pomogłem mu wtedy parę razy jako wyrostek i stąd znam trasę.

– Ale nie ryzykował pan teraz tej trasy, panie O’Kelly? – spytał Hood.

– Nie było potrzeby. Ruszyliśmy wcześniej z Vancouveru i przed staniem rzeki byliśmy w Dawson. Obawiałem się, że w Skagway mogą być problemy z zaprzęgiem. Już we wrześniu, gdy statek zatrzymał się tam na parę dni, za jednego marnego husky żądano dwieście dolarów. Myślę, że po drugiej stronie przełęczy co najmniej dwa razy tyle. Dobrych sześć sztuk i przewodnik kosztują nad Jeziorem Bennetta trzy i pół do czterech tysięcy dolarów. Tak, zgadzało się wszystko. Norton z mimowolnym podziwem słuchał swobodnych odpowiedzi i wyjaśnień tamtego. Nie mogły tu budzić niczych wątpliwości. Bratanek słynnego Franka O’Kelly, świetna znajomość trasy, nawet cena zaprzęgu w Skagway i... ten miły, naturalny wygląd i szczere zachowanie. To musiało budzić zaufanie, a sprawa tego, czy rzeczywiście był bratankiem Franka O’Kelly i czy rzeczywiście nosił to znane nazwisko, dzisiaj, po tylu latach, była nie do sprawdzenia, nawet gdyby ktoś się bardzo starał. Nie było najmniejszych wątpliwości, że O’Kelly i Wilder w tutejsze środowisko weszli znakomicie i zupełnie gładko.

Rozdział IV

Strzał z ukrycia?

Janet spała dobrze tej nocy. Dwa pełne talerze rybnej zupy, jakie pochłonęła wieczorem, sprawiły, że po raz pierwszy od wielu tygodni zasypiała z uczuciem sytości. Nie męczyły jej żadne koszmary, a pierwszym wrażeniem, jakiego doznała po przebudzeniu, było uczucie rześkości i świadomość, że nie boli ją z głodu żołądek. By pozbyć się resztek senności przeciągnęła się i dopiero w tym momencie usłyszała za ścianą stukot siekier. A więc Ben dotrzymywał słowa. Obiecał, że porąbie jej drzewo. Nie przyszedł jednak sam. Wyraźnie słyszała uderzenia dwu siekier.

„Może przyszli z Nortonem” – pomyślała z uczuciem lekkiego wewnętrznego popłochu. Jednym susem wyskoczyła z łóżka. Ziąb przeniknął ją do szpiku kości. Oczywiście, wszystkiemu winne były te szpary między belkami ścian. Mróz przedostawał się przez nie jak przez otwarte na oścież drzwi. Ubrała się szybko i rozpałała ogień. Na piecyku postawiła czajnik, a obok wiadro z lodem. Nocą woda ścinała się do samego dna. Parę chwil dmuchała w wątle płomyki pełzające po żywicznych drzazgach. Gdy buchnęły jasnym płomieniem, dorzuciła kilka grubszych kawałków drewna.

Piecyk był jej prawdziwym skarbem. Wprawdzie ciepła nie trzymał zbyt długo, ale rozgrzewał się szybko – czasami do czerwoności i wtedy nie musiała siedzieć w kożuchu. I teraz również. Nim minęło kilkanaście minut, po izbie zaczęła rozchodzić się fala miłego ciepła. Z oszronionych ścian sączyły się strużki wody.

Umyła twarz i ręce, przyczesła włosy i przez szparę w drzwiach zerknęła na zewnątrz. Rzeczywiście, jednym był Ben Spencer, a drugim... nie, jednak nie Jerry. Drugim był Hood. Chociaż nie obiecywał pomocy, widocznie nie chciał, by sądziła, że jest mniej uczynny niż Ben. Zresztą wczoraj też. Mimo przerażenia, jakie ośladnęło ją w momencie, gdy wilcze kły znalazły się o kilka zaledwie cali od jej gardła, widziała. Sparaliżowana strachem nie mogła nawet krzyknąć. Hood mierzył do innego wilka, ale jakimś cudem dostrzegł. Nie zdołała ułoić ruchu jego ręki. Strzelił z przyrzutu dwa razy. Skrwawiona paszcza osunęła się u jej nóg. Gdyby nie zauważył, gdyby spóźnił się o sekundę, gdyby chybił... Na wspomnienie tej sceny wstrząsnął ją dreszcz.

Teraz rażno machał siekierą. Cóż z tego, że był rewolwerowcem, jak niektórzy mówili – szulerem, że po rewolwer sięgał nie tylko przeciw wilkom – tak jak wczoraj. Ona zawdzięczała mu życie. Zresztą Benowi też. A teraz przyszli, by porąbać jej drzewo. Wiedzieli, że z grubymi konarami musiałaby się długo męczyć. Chcieli jej pomóc.

Zerknęła do spiżarni i z uczuciem niepewności popatrzyła na swe skromne zapasy. Trudno, zasługiwali na przyzwoite śniadanie.

W pół godziny później, gdy ostatnie naręcze drewna wrzucali do komórki, stanęła w otwartych drzwiach i zaprosiła ich do izby. Musieli być jeszcze przed śniadaniem, bo apetyt dopisywał im nadspodziewanie. Nie zabawili jednak długo. Hood chciał skorzystać z pogody i wybierał się na polowanie. Ben napomknął, że wspólnie z Jerryem wybierają się na kilka dni do sąsiedniej osady w pobliżu Trzech Wodospadów, żeby pogadać o tamtejszych potokach. Na odchodnym radził, by zgarnęła trochę gliny z podłogi, rozmiękczyła ją w wodzie i wymieszała z sianem, którego wiązka leżała w komórce na drzewo. Właśnie gliną radził

uszczelnić szpary w ścianach i to zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Kester przyznał również, że to dobra rada.

Po ich odejściu z żalem patrzyła na znacznie uszczuplone zapasy żywności, ale dziury w ścianach i tak musiała zalepić. Gliny nie żałowała. Z niewielkimi przerwami na rozgrzanie marznących rąk pracowała do południa, ale wynik był imponujący. Gdy wreszcie dygocąc z zimna wróciła do izby, w twarz uderzyła ją prawdziwa fala gorąca. Mróz przestał się wciskać do wnętrza, a na zewnątrz nie uciekało ciepło. Jakaż była głupia, że na ten prosty pomysł z gliną nie wpadła wcześniej. Umyła ręce, na piecyku postawiła garnek z wczorajszą zupą, gdy pod drzwiami dał się słyszeć tupot otrzepywanych ze śniegu butów i rażny głos:

– Czy jest tam kto?

Otworzyła drzwi. Przed progiem stał Ewans. Ciągnął za sobą sanki. Leżał na nich wielki skórzany wór. Mężczyzna wtaszczył go do izby i przed wzrokiem zdziwionej dziewczyny zawartość wyrzucił na stół.

Patrzyła jak urzeczona. Leżała przed nią prawdziwa góra mięsa. Chyba z dziesięć kilkunastofuntowych kawałków.

– Ależ... nie rozumiem... – ledwo zdołała wyjąkać.

– A co tu rozumieć? – roześmiał się rubasznie. Przywiozłem część pani zdobyczy, Janet.

– ... mojej zdobyczy?

– Na to wychodzi. Można odpocząć chwilę? Śnieg głęboki, a ode mnie kawałek drogi.

– Ależ oczywiście. Niech pan zrzuci kozuch. Zaraz zrobię herbatę. Mówi pan, że to część mojej zdobyczy? Nic nie rozumiem.

– Uuff – odsapnął, zdejmując ciężkie okrycie i futrzaną czapkę. – No, właśnie, to naprawdę część pani zdobyczy – a widząc, że dziewczyna nadal nie rozumie, uśmiechnął się ponownie. – Wczoraj miała pani szczęście i ja też. To te wilki. Gdy zmykały, popędziły łosia. Pewno nawet o tym nie wiedziały. Wpadł do dołu, który wykopałem jesienią. Co miałem robić? Wyciągnąłem go, poćwiartowałem i pomyślałem sobie, że gdyby Panna Wharton nie poszła do lasu po drewno, nie napadłyby jej wilki i nie spłoszyłyby łosia. Wyszło z tego, że przynajmniej część zdobyczy należy się pani.

Miała zakłopotaną minę. Podzielił się tym z Hoodem i Spencerem. To ich zasługa. Wilki uciekły przed nimi, nie przede mną.

Pokręcił głową.

– Trochę też tak myślałem, ale rozmawiałem z obydwoma. Kestera spotkałem, gdy szedł na polowanie. Ben też nie chciał. Powiedział, że z Jerryem mają sporo żywności, a to należy się pani. No więc przyciągnąłem tutaj.

Odruchowo objęła go za szyję i ucałowała w obydwa policzki.

– Tacy jesteście dla mnie dobrzy. Wczoraj oni, dzisiaj pan. – Czula jak ją coś piecze pod powiekami.

Uciekł wzrokiem. Wcale nie był pewien, czy to właśnie on zasługuje na wdzięczność. Przypalając fajkę zastanawiał się, czy dziewczyna nie spostrzeże, że mięso nie pochodzi z ubitej wczoraj sztuki, ale uspokoił się. Było zmarznęte na kość. Nie mogła poznać. Wypił dwie szklanki gorącej herbaty i podniósł się.

– Pójdę już. A jak będzie się pani jeszcze kiedyś wybierała po drzewo, proszę dać znać. Zaczaję się na następnego.

– Dobrze Bart, obiecuję panu – spod gęstych ciemnych brwi strzeliło wesołe spojrzenie.

Patrzył na nią chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale kiwnął tylko głową. Spojrzał na ścianę i zatrzymał wzrok na wiszącym karabinie.

– Brata?

– Nie, to mój.

– A umie się pani tym posługiwać?

Kiwnęła głową.

– Ojciec nas nauczył.
 – Nie chciałaby pani sprzedać?
 – Kto wie, czy nie będę musiała chodzić z tym do lasu? Wilki zaczynają się stawać coraz bardziej bezczelne.

Pokiwał ze zrozumieniem głową. – A czy nie ma pani przynajmniej paru zbędnych naboji? Harvey obiecał mi, ale dopiero za parę dni. Zwróć!

Sięgnęła do szafki i wyciągnęła dwa spore metalowe pudełka. Były jeszcze zalutowane. Każde zawierało po pięćdziesiąt sztuk.

– Niech pan weźmie, Bart. I nie musi pan zwracać. Nanty, brat – wyjaśniła – zostawił spory zapas. Gdyby panu zabrakło, proszę przyjść.

Spojrzał na dziewczynę ciepło.

– Dziękuję, Janet... – chwilę jeszcze wahał się, potem powtórzył.

– Dziękuję, Janet. Jak znów coś upoluję, podrzucę ci. A jutro przywiozę trochę przepiłowanego jesienia drzewa. To grube szczapy. Starczy ci na dłużej. Przy okazji zabiorę dwie niedźwiedzie skóry. Mnie niepotrzebne, a ty położysz je na tym swoim klepisku – wskazał twardą zmarzniętą glinę zastępującą podłogę. Pudełka z nabojami, prawdziwy skarb, ukrył głęboko za pazuchę. – Bywaj, Janet i... gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, powiedz.

W parę chwil później słyszała skrzyp śniegu pod jego ciężkimi butami i płozami oddalających się sań. Spojrzała na górę mięsa piętzącą się na stole i wybuchnęła płaczem. Jeszcze wczoraj czuła się w tej osadzie jak ostatni nędzarz. Przed oczyma wyobraźni coraz częściej jawiło się widmo głodowej śmierci. A dziś...? Otarła oczy. Za pomocą długiego gwoźdźca i młotka porobiła w mięsie dziury, pocięła długi rzemień i całe mięso rozwiesiła w przylegającej do izby komórce. Mogło tam wisieć wiele tygodni, a nawet miesięcy. Toporkiem odrąbała tylko jeden większy kawałek. Mogła pozwolić sobie teraz, by przynajmniej przez kilka dni z rzędu jeść dobrą tłustą zupę i mięso. Potrzebowała go, by odzyskać siły. A przy oszczędnym gospodarowaniu powinno wystarczyć na długo to, co przyniósł jej Ewans.

Po południu przybiegła Babs. Pracowała w szynku pomagając Dolly, ale od czasu do czasu odwiedzała Janet. Dzisiaj Dolly zwolniła ją na godzinę. Przyniosła trochę soli, jako że w osadzie coraz bardziej dawał się odczuwać jej brak, ale i trochę plotek. Przede wszystkim o dwu nowych poszukiwaczach, którzy zjawili się poprzedniego dnia. Ale nie tylko. O tym, że Hood wygrał od Oatesa cały worek złota, że mimo zapowiedzi nie wrócił jeszcze Monty Burns – mąż Dolly, że Rawlins, Freeman i paru innych z samego rana wybrało się na wilki, wreszcie, że Norton i Spencer przed południem wyruszyli do Trzech Wodospadów, i że jutro za radą Ewansa większość mężczyzn zamierza wybrać się na polowanie. Podobno o niecałe dwa dni drogi jakiś Indianin spotkał sporo śladów karibu, a w osadzie coraz wyraźniej brakowało mięsa. Konstabl Barnes, który rozmawiał, według zapewnień dziewczyny, przynajmniej godzinę z nowo przybyłymi, odradzał mężczyznom polowanie. Twierdził, że spada ciśnienie i temperatura i wszystko wskazuje na to, że w ciągu najbliższych dni może ponownie nastąpić pogorszenie pogody. Mężczyźni jednak orzekli, że w takim razie tym bardziej muszą coś szybko upolować, bo inaczej będą kłopoty z wyżywieniem.

– No i co? – spytała Janet.

– Nic, nikogo nie przekonał, a zabronić nie ma prawa.

– A ci nowi, Babs, nie wiesz skąd są i co to za jedni?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Z Dawson, a w ogóle to chyba z Vancouveru. Przynajmniej tak mówił starszy, ale Hood twierdzi, że to Mounties, tyle tylko, że po cywilnemu.

– Coś ty? Kester naprawdę tak mówił?

– Może nie dosłownie. Ale właśnie coś podobnego powiedział Nortonowi, sama słyszałam.

– A Jerry. Co on?

- Niby nic. On ich chyba nie podejrzewa, ale inni tak. Szkoda – westchnęła.
- Czego ci szkoda, Babs? Że to Mounties?
- Pewnie. Z takimi lepiej nie zaczynać.

Janet uśmiechnęła się.

Nie musisz się martwić. W osadzie jest sporo chłopców, którzy zalecają się do ciebie. Nie powinnaś narzekać.

- Tak, ale ci dwaj są inni.
- Inni, to znaczy jacy?
- Trudno powiedzieć, Janet. Ale zupełnie inni. Tak jakby z innego świata. I obydwaj są grzeczni. Do mnie przez cały wieczór mówili: panno Babs.
- No, wiesz, nie znają się jeszcze z tobą. Nie wypadało im inaczej.
- To nie tylko, Janet. Oni są naprawdę inni. A młodszy używa nawet wody kolońskiej.
- Większość mężczyzn na południu i wschodzie używa wody kolońskiej. Nie powinno cię to dziwić.
- Może tam tak, ale tutaj nie.
- Nie wiesz, Babs, czy któryś z nich nie zna się przypadkiem z Jerryem albo z Benem? – Janet zadała to pytanie z całą świadomością.

Babs wzruszyła ramionami.

– Chyba raczej nie. Wczoraj nie wyglądało na to. Tylko dzisiaj, gdy Ben i Jerry wyjeżdżali, to ten starszy, O’Kelly, podszedł do nich i rozmawiali kilkanaście chwil. Ale zdaje się, że nie miał akurat zapalek i chciał jedynie przypalić papierosa. Nie, na pewno się nie znają.

Janet zamyśliła się. Pamiętała bardzo dobrze jedno ze swych pierwszych spotkań z Jerryem. Przechodził obok niej, spieszył się pewno i wyjmował chustkę z kieszeni. Zauważyła, że wraz z chustką wysunął mu się jakiś niewielki metalowy przedmiot i upadł na ziemię. W pierwszej chwili sądziła, że to srebrna półdolarówka. Ale nie była to moneta – wyglądało jak jakiś znaczek. Nie dałaby sobie uciąć głowy, ale taki sam lub bardzo podobny nosił kapral Paterson. Jerry podniósł wtedy zgubę i szybko schował do kieszeni, tak jakby chciał przed nią ukryć. Wydawał się trochę zły na siebie lub na nią. Ale właśnie wtedy odezwał się do niej pierwszy raz. Powiedział to dziwnie, coś w rodzaju, że czasem lepiej czegoś nie widzieć, a jeśli się przypadkiem widziało, to lepiej zapomnieć. Nic więcej. Potem poszedł swoją drogą.

Początkowo nie bardzo rozumiała i nie kojarzyła tego z niczym. Dopiero później, gdy zaczęto przebąkiwać o tym napadzie na posterunek i o ludziach z Oddziału Specjalnego wysłanych przez Stricklanda. Wtedy zaczęła domyślać się prawdy. Podobnie jak inni nie darzyła policji sympatią, ale rozumiała, że tu chodziło o napad. Bandyci mogli przecież napaść na każdego, nie tylko na posterunek. I wiedziała, że trzeba ich złapać. O niewielkim znaczku nie zamierzała paplać. Jerry mógł być spokojny. Zwłaszcza że i tu, w osadzie, byli różni. Nie znała wszystkich. Często się zmieniali, jedni przychodzili, inni odchodzili, ale chociażby taki Hood – szuler i rewolwerowiec – kto wie, co mógł mieć na sumieniu? Chociaż wczoraj zachował się tak jak trzeba, bo przecież nie mógł inaczej. Albo Burns – knajpiarz, który zajmował się podejrzanymi interesami, o których po cichu opowiadano różne rzeczy. A Rawlins, Freeman i wreszcie Oates. Niejeden grzeszek musiał mieć na sumieniu. O swej przeszłości nie opowiadał. Wczoraj zaczął ją jak zwykle i jak zwykle zamierzała dać mu przyzwoitą odprawę. Nie zdążyła. Przechodzący w pobliżu Jerry usłyszał i stanął w jej obronie, mimo że od Drwala musiał być znacznie słabszy. Zachował się po męsku i zbił tamtego na kwaśne jabłko. Potem wcale nie usiłował wykorzystać sytuacji, chociaż miał prawo sądzić, że porozmawia z nim chociaż kilka chwil, że podziękuje jak na to zasługiwał, że zaprosi go chociażby na herbatę. Uciekła, bo nie wiedziała, co powiedzieć i... nie miała w domu nawet szczypty herbaty... no, właśnie. Uciekła. Ale nie znaczyło to, że nie myślała...

Może ci dwaj, o których wspominała Babs, też byli z Oddziału Specjalnego. A jeśli tak, to na pewno mieli jakieś ważne tajemne zadanie. Nie musieli przyznawać się do znajomości z Jerryem czy Benem. Musieli udawać, że się nie znają. Tylko dlaczego przybyli właśnie do tej osady? Czyżby w niej zamierzali szukać sprawców napadu na posterunek...?

Z zadumy wyrwał ją głos Babs. Gawędziły jeszcze kilkanaście minut, w końcu jednak pomocnica Dolly musiała wracać do pracy. Obiecała, że wpadnie, gdy wróci Burns, wtedy zawsze miała trochę więcej czasu.

W parę dni później – nocą z czwartku na piątek, zgodnie z przewidywaniami konstabla Barnes'a, pogoda uległa zmianie. Z północy nadciągnął Ke-e-wa-tin. Temperatura spadła do minus trzydziestu sześciu stopni. Lodowaty wichur, niosąc z sobą tumany śniegu, dał z prędkością ponad sześćdziesięciu mil na godzinę. Psy, zwykle wędrujące swobodnie po osadzie, kryły się teraz w osłoniętych pomieszczeniach, w głębokich norach wykopanych w śniegu, pod chroniącymi nieco przed mrozem i wiatrem ścianami baraków i zbitych z bali kilku pojedynczych chat. Ludzie, dygocąc z zimna, okutani futrami marzli mimo ognia utrzymywanego bez przerwy na paleniskach. Nocą i nad ranem, po raz pierwszy tej zimy, słysząc było wycie wilków.

Ci z mieszkańców, którzy nie mieli opału lub oszczędzali go, już od samego rana przyciągnęli do szynku. Dużą izbę ogrzewały dobrze dwa wielkie piece zbudowane z wypalanej gliny, a ponieważ przezorny właściciel jeszcze przed nadejściem zimy zgromadził pokaźny zapas opału, Dolly nie obawiała się mrozów, nawet najcięższych. Babs w obydwu piecach utrzymywała ogień przez całą dobę, w izbie było gorąco. Oczywiście, nie bez wpływu na temperaturę pozostawała ilość wypitego przez mężczyzn alkoholu, ale trzeba było oddać Dolly sprawiedliwość. Nikogo specjalnie nie zmuszała ani nie zachęcała nazbyt natarczywie. Bez żadnych grymasów czy oznak niezadowolenia witała i tych, którzy nie pili w ogóle. Przychodzili po prostu posiedzieć. Czasem pozwolili sobie wypić szklankę herbaty. Wiedziała, że nie mają pieniędzy ni złota. Im właśnie, gdy była w dobrym humorze, dawała szklaneczkę czy dwie na kredyt. Byli biedni, nie mieli czym zapłacić, ale kto mógł przewidzieć, czy jutro nie uśmiechnie się do nich los, czy nie znajdą złota. Wiedziała, że jeśli nawet nie wszyscy, to większość wróci tu, by się pochwalić, by pokazać, że stać ich na postawienie kolejki wszystkim i na uregulowanie długów. Spodziewała się więc, że te drobne, zimowe inwestycje, jakie czyniła, zwrócą się jej latem z nawiązką. Wszak jesienna, pobieżna zaledwie penetracja terenu, jakiej dokonali zaraz po ściągnięciu w te strony, mówiła, że w wielu strumieniach jest złoto. Chcieli pójść po nie wiosną. Swym zrozumieniem dla ich obecnej sytuacji i tą odrobiną życzliwości, jaka nie kłóciła się ze zdrowym rozsądkiem, starała się pomóc im, by wytrwali tu do wiosny.

Tego dnia nie było ich wielu. Większość nie wróciła jeszcze z polowania. Nie wrócił Monty. Zaczynała się o niego niepokoić. Wprawdzie zdarzało się i poprzednio, że powroty z tego swojego „Dawson” opóźniał nieco, ale patrzyła na to przez palce i nigdy nie czyniła mu wymówek. Tym razem jego nieobecność przeciągnęła się ponad miarę, w dodatku przyszedł mróz i ten lodowaty wiatr. Monty na północy nie był nowicjuszem, ale jeśli zmiana pogody zaskoczyła go gdzieś w drodze, mógł mieć kłopoty.

Kilku gości grało w pokera na papierki lub zapałki. Kilku ciągnęło w oczko, ale przy bardzo symbolicznych stawkach. Norton ze Spencerem rzucali kośćmi. Zdążyli wrócić jeszcze wczoraj, tuż przed zmianą pogody. Spora grupa obsiadła Ewansa, który opowiadał o dawniejszych czasach, gdy jeszcze jako młody traper przemierzał rozległe tereny zamieszkałe przez Nahani, Tagish, Yellowknife i Kutchin i stawiał pułapki na licznie występujące na tych obszarach zwierzęta futerkowe.

Słuchając jednym uchem tego co mówi, sięgnęła po butelkę samogonu i prawie odruchowo poczęła napełniać podsuwane jej przez Babs szklanki. Nie zamawiali. Czekali więc na gest z jej strony. I właśnie chyba w momencie gdy napełniała ostatnią, gdzieś całkiem blisko za

oknem szczechnął pies. W chwilę potem drugi, trzeci. I nagle rozdarła się cała sfora. „Czyżby Monty?” – pomyślała z nagłą nadzieją i odstawiała butelkę, a następnie, mimo swej tuszy, szybko pobiegła ku drzwiom. Pod wpływem potężnego uderzenia lodowatego wichru cofnęła się odruchowo. Zresztą nie musiała wychodzić. Tamci byli tuż.

Najpierw na środek izby wpełchnęli ośnieżone sanie. Potem sami wchodzili ciężko jeden za drugim: Rawlins, Freeman, Sargent, Bromley, Cochrane, Dunbard, bracia Garrick, Kean, Nickleby, O’Casey, Ramsay, Savage, Stern, Wolsey i inni. Większość z tych, którzy prawie przed czterema dniami wyruszyli na karibu. Byli zmachani i zziębnięci; zsiniałe twarze, przekrwione oczy, zgrabiałe ręce, z których z widocznym wysiłkiem ściągali rękawice. Ale nie mówili nic. Stawali w milczeniu półkolem wokół sań i patrzyli na nią.

Tknięta nagłym przecuciem wykrztusiła:

– A Monty, nie spotkaliście gdzieś Monty’ego? – Jeszcze chwilę trwali w bezruchu i milczeniu. Do okrytych szczelnie i załadowanych czymś sań podszedł Ramsay, rozwiązał sznury i jednym ruchem ściągnął plandekę.

By powstrzymać okrzyk, przysłoniła dłonią usta. Skuta mrozem twarz, oszronione wąsy; w krzaczastych brwiach grudki śniegu i lodu, szeroko otwarte oczy, martwe oczy Monty’ego Burnsa... Pochyliła się i usiłowała zamknąć mu powieki, ale były również zmarznięte. Na palcach poczuła zimno. Cofnęła rękę i nie wiadomo dlaczego otarła ją o fartuch.

– Gdzie go znaleźliście? I... i jak to się stało? A co z Jonsonem? Byli razem?

– To ja go znalazłem, pani Burns – powiedział Kean. – O dzień drogi stąd. Właściwie wytropiły go psy. Leżał pod śniegiem. Nie zmarzł. Ktoś go zastrzelił. Inni mogą potwierdzić. W pobliżu było nas kilku. Gdy odgrzebywaliśmy go, był zmarznięty tak jak teraz. Musiał tam leżeć przynajmniej dzień, albo dwa.

– A Jonson...? A obydwaj zaprzęgi?

– Jonsona nie znaleźliśmy. Śladów też. Po psach zostało trochę kości i wszystkie czaszki. Po siedem na zaprzęg. Przykro nam, pani Burns, z powodu Monty’ego.

– Czy, czy przeszukaliście go? Miał złoto i trochę gotówki?

Przeszukaliśmy. Nie znaleźliśmy przy nim nic, nawet broni.

Patrzyła na nich nie widzącym wzrokiem, odwróciła się, podreptała na zaplecze i za chwilę wróciła z grubą chustką w jednej i łopatą w drugiej ręce.

– Trzeba go pochować – powiedziała bezbarwnym głosem.

Wolsey zabrał jej łopatę.

– Niech pani zostanie, pani Burns. Zrobimy to sami.

Nie protestowała. Zamknęła za nimi drzwi i poszła ponownie na zaplecze.

Wrócili w pół godziny później. Babs zdążyła zagotować dwa duże czajniki wody i do metalowych kubków rozlewała gorącą herbatę. Do każdego dodawała przyzwoitą porcję alkoholu. Wiedziała, że to ich rozgrzeje.

Zrzucali futrzane okrycia, w kącie izby stawiali strzelby, zajmowali miejsca przy stołach. Łapczywie pili gorący napój parzący wargi i podniebienie. Babs postawiła na stole duży garnek gorącej zupy z mięsem i położyła bochen chleba.

Widać było, jak skóra na ich twarzach odzyskuje normalny kolor, ręce poruszają się coraz sprawniej, czerwienieją uszy. Kiedy do czysta opróżnili talerze i sięgnęli po tytoń, Norton kazał podać butelkę i przysunął się do Keana.

– Mówiłeś, Chris, że psy wytropiły go pod śniegiem, ale przecież wczoraj nie wiało jeszcze. Powinien leżeć na wierzchu.

– Nie, Jerry. Tamten go zakopał. Pewnie liczył na to, że jak przyjdzie śnieg, zasypie ślady.

– To załatwił go jeden?

– Na to wyglądało. Znaleźliśmy ślady tylko jednych rakiet. I Monty dostał tylko jedną kulę... w plecy – dodał – pod lewą łopatką. Chyba nie zdążył nawet zobaczyć, kto do niego strzelał. To była zasadzka.

Norton uniósł brwi i poruszył przecząco głową.

– Nie myślisz, że to Jonson? Przecież tylko on mógł iść z tyłu.

– To nie był Jonson. Monty szedł sam. Ten, który do niego strzelał, stał ukryty u wylotu parowu, nie dalej niż o trzydzieści kroków. Burns nie widział go. Minął parów i wchodził w las. Myślę, że nie wiedział nawet, kiedy zginął.

– A psy? Zostały, jak mówisz, tylko kości. Żaden się nie uwolnił, nie uciekł?

– Nie, tamten wystrzelał również psy. Wszystkie, rozumiesz Jerry? Do ostatniej sztuki. Niedaleko miał swoje. Przeprzągnął je do sań Burnsa i powędrował na północ.

– I nie poszliście za nim? – Norton patrzył na nich z osłupieniem.

– Poszliśmy, a jakże, ze sześć mil, ale nadszedł ten wściekły wiatr. W pół godziny zawiął ślady. Nie mieliśmy szans. Tamten wyprzedzał nas o dzień drogi, może półtora i szedł na północ. Wiesz jaki tam teren; góry i prawdziwy labirynt wąwozów. Ani jednego obozu. Gdybyśmy nie zawrócili, nie wrócilibyśmy tu nigdy. Bez żarcia, przy tym mrozie wystarczyłby dzień, może dwa.

– Tak... to prawda, Kean. Nie pomyślałem o tym. – Chwilę zastanawiał się. – Też bym zawrócił. Ale i tamten nie ma wielu szans. Musi wrócić tu albo do którejś z najbliższych osad. Jakiś czas może przywarować w którymś z indiańskich zimowisk – jeśli zdoła tam dotrzeć.

Siedzący naprzeciwko Dunbard z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Myślę, że się mylisz, Jerry. On nie uciekał i na pewno nie spodziewał się pogoni. Przysypał trupa śniegiem i poszedł tam, gdzie zamierzał. Nie ukrywał się. Na północ szedł świadomie. Widocznie interesowała go właśnie północ. Nie będzie wracał. Ten kierunek nie interesuje go. A obydwie pary sań Monty'ego musiały być solidnie wyładowane. – Szły ciężko. Była tam nie tylko whisky – również żywność. Ten, co to zrobił, nie obawia się głodu. I nie musi wracać.

Większość musiała być tego samego zdania co Dunbard, bo nikt nie próbował podważyć słuszności jego wywodów. Były logiczne. Całkiem logiczne...

– A gdzie reszta? Nie widzę tu paru chłopaków.

– Rozdzieliliśmy się, Jerry – powiedział Freeman. – Nie wszyscy chcieli ciągnąć się aż do Trzech Wodospadów. Zresztą nie było sensu, by szli tam wszyscy. Rozdzieliliśmy się koło Black Water Creek. Tamci chcieli spenetrować moczary wokół Black Water i jary na zachód od Niedźwiedziej Góry. Nie spotkaliśmy ich potem. Nie wrócili jeszcze?

– Nie! Zresztą przy takiej pogodzie pewno nie chcieli ryzykować, szczególnie jeśli działali w rozproszeniu. Ale, jak widzę, wam nie powiodło się?

Freeman wzruszył ramionami.

– Te karibu koło Trzech Wodospadów chyba ktoś wymyślił. Trochę wilczych i lisich tropów. Z rzadka trop zajęczy. Nie ma zwierzyny.

Jakby w odpowiedzi na te słowa otworzyły się z traskiem drzwi i wraz z poświstem wiatru do izby wtargnął Oates. Wyglądał jak śnieżny olbrzym. Futrzana czapa z nausznikami, wywrocony włos na zewnątrz kożuch, reniferowe buty, wszystko to wyglądało jak góra śniegu. Dysząc ciężko przymglonym spojrzeniem ogarnął izbę, z wysiłkiem postąpił dwa kroki i jak kłoda zwał się na ziemię.

Mimo iż nie cieszył się tu szczególną sympatią, poderwali się niemal wszyscy. Ktoś przyłożył mu szyjkę butelki do ust, inni ściągali kożuch i rękawice. Nacierali twarz, ręce, nogi.

Olbrzym jęknął i uniósł powieki. Lewą rękę, w której widocznie odzyskał już władzę, wyciągnął po butelkę. Usiadł i pociągnął spory łyk. Dopiero teraz popatrzył przytomnie na pochylone nad sobą twarze i usiłował przywołać na twarz grymas mający imitować uśmiech.

– Dosyć już – zwrócił butelkę.

– Już myślałem, że nie dojdę.

– Coś słaby jesteś ostatnio, Randal – z lekka kpiącym tonem powiedział Ewans. – Ci, co wrócili tu godzinę przed tobą, jakoś nie padali.

Drwał skrzywił się.

– Pewno mieli puste sanki?

– A twoje? – Norton z zaciekawieniem pochylił się do przodu.

– Moje są dosyć ciężkie. Możecie zobaczyć. I przynieście to, co jest na nich. Szkoda, żeby pożarły psy.

W izbie zaległo milczenie. Spoglądali na niego nie dowierzając.

– Nie bujasz? – tym razem Ewans pytał całkiem poważnie.

– Sprawdźcie!

Kilku młodszych nałożyło kozuchy i rękawice. W kilka minut później z wysiłkiem przeciągali przez próg ogromne ponad trzymetrowej długości zwierzę o szerokich wielkich łopatach na łbie. Po izbie przeszedł szmer podziwu.

Łoś miał w kłębie ponad dwa metry i musiał ważyć około ośmiuset, dziewięciuset funtów.

– No, to nie dziwię ci się, Randal – Ewans nie ukrywał podziwu. – Twoje psy też pewnie nie czują się lepiej od ciebie.

– Nie zabierałem psów, Bart. Sam przyciągnąłem sanki. Gdybym miał psy, zabrałbym także reny.

– Reny? Jeszcze reny? – Nie ukrywali zdumienia i podziwu.

– Zostawiłeś wilkom? Dużo? Daleko stąd? – przekrzykiwali się wzajemnie.

– Cztery sztuki, o półtora dnia dobrym zaprzęgiem. Powiesiłem na drzewach. Wilki nie sięgną.

Ewans wpatrywał się uważnie w twarz Drwala, przeniósł wzrok na jego bluzę i dostrzegł to, co powinien był zauważyć już wcześniej.

– Jesteś ranny, Oates? Coś poważnego?

Przeczący ruch głowy.

– Nie. Draśnięcie.

Pomogli mu ściągnąć zakrwawioną bluzę i gruby łosiowy kaftan. Gdy odrywali go od skóry wraz z płatami zakrzepłej zmarzniętej krwi, Oates skrzywił się tylko. Poniżej prawego obojczyka, w górnej części piersi czernił się niewielki okrągły otwór. Taki sam, może trochę większy wychodził z tyłu na wysokości barku.

– Podeprzyjcie go trochę! Babs, przynieś miskę ciepłej wody, jodynę i jakieś bandaże. Siedź spokojnie, Randal. Nic nie mów. Zaraz to opatrzymy. – Ewans mówił szybko, stanowczo. – Możesz utrzymać butelkę? To dobrze. Łyknij sobie. Trochę będzie piekło, ale ważne, że pocisk przeszedł na drugą stronę, i że to wszystko zamarzło. Nie straciłeś zbyt dużo krwi. – Nadspodziewanie szybkimi ruchami palców przemywał ranę i ścierał krew. – Jodyna to dobry środek. No, już. – Przyłożył szarpie i zręcznie obandażował ranę. – Niech tam który skoczy do baraku i przyniesie mu coś na grzbiet. Nie będzie wkładał tych pokrwawionych szmat!

Chociaż wszystkich paliła ciekawość, nie pytali na razie o nic. Dopiero gdy trochę odpoczął i wrębał miskę grochówki i chyba ze cztery pajdy chleba, Norton nalał mu pełną szklankę i spytał:

– Jak to się stało, Randal?

Olbrzym przełknął powoli piekący trunek i wzruszył ramionami. – Nawet nie bardzo wiem. Wracałem już i ciągnąłem to bydlę – ruchem głowy wskazał łosia – gdy gdzieś zupełnie blisko ktoś wygarnął zza krzaków, ale ponieważ spluwę miałem pod ręką i zaraz mu się odszczeknąłem, pomyślał pewnie, że chybił i dał nogę. Miałem miękkie nogi. Nie bardzo mogłem go gonić. Był zaprzęgiem. I tak nie dałbym rady. A śladów nie było widać już po paru minutach. Zawiał śnieg.

– Daleko stąd?

– Ze czterdzieści mil i o pół dnia od miejsca, gdzie upolowałem renifery.

– Nie wiesz z czego strzelał?

– Nie, ale zdaje się, że pocisk ugrzązł w wełnie kożucha.

Rzeczywiście! Nie zdołał przebić grubej twardej skóry. Norton oczyścił go z włosów i położył na dłoni, po czym orzekł stanowczo:

– Kaliber 45! To od winchestera. A więc nie tubylec. Oni nie mają takich. Nie spotkałeś przypadkiem Jonsona?

– Nie, ale przecież on poszedł z Montym do Dawson. To nie w tym kierunku.

– Tak – Norton zmrużył oczy. – Tylko że chłopcy znaleźli Monty’ego w pobliżu Trzech Wodospadów. To też nie w stronę Dawson. Do niego również strzelano raz, tyle tylko, że skuteczniej niż do ciebie.

– Uhm... I też kaliber 45?

– Nie wiemy, Randal. Widzisz, przywieźli go tutaj... Dolly... Sam rozumiesz. Był zmarznięty na kość. Trzeba byłoby chyba rozrąbywać. Nie chcieliśmy.

– Rozumiem! Podejrzewacie oczywiście Jonsona...?

– Trudno powiedzieć. Zniknął. Ale to chyba nie on. Znalaziono jego psy i psy Monty’ego. Zastrzelone.

– Rozumiem...

Ewans poruszył się.

– Słuchaj, Randal, ty oczywiście nie masz siły, ale czy mógłbyś dokładnie podać miejsce, gdzie zostawiłeś reny. Cztery sztuki to dużo mięsa. Nie powinno się zmarnować.

Błyskawiczna wymiana spojrzeń między Ewansem a Nortonek nie była tyle szybka, by jej ktoś nie zauważył. Oates chwilę milczał, po czym skinął głową. – Zaprowadzę was, ale jutro. Dzisiaj muszę się wyspać. Szedłem bez przerwy półtorej doby.

– Z tą dziurą w piersiach szedłeś bez przerwy półtorej doby? – Ewans ze zdumienia otworzył usta, a wszystkie spojrzenia skierowały się ponownie na Drwala.

– Tak! – Podniósł się i odetchnął głęboko. – Pomóście Dolly oprawić i poćwiartować to bydło. Niech je włoży do spiżarni. Policzę się z nią innym razem. – Z trudem naciągnął kożuch i sięgnął po oparty o ścianę karabin. – A jutro pójdziemy o świcie. Wystarczy czterech i dwa dobre zaprzęgi.

Rozdział V

Na samotnym szlaku

Już od kilku godzin wiedział, że ciągną jego tropem. Gdy poprzez zasłone gęsto sypiącego śniegu oglądał się do tyłu, widział ich milczące cienie sunące śladami zaprzęgu. Nie zbliżały się zanadto, ale i nie pozostawały zbyt daleko – najwyżej dwieście, trzysta kroków. Początkowo łudził się, że podejda bliżej. Miałby okazję położyć przynajmniej dwa, trzy. Nie były wybredne; skorzystałyby z szansy, by zaspokoić szarpiący je głód i może zostawiłyby go w spokoju. Ale były ostrożne i przezorne. Wołały nie ryzykować. Zapewne instynkt i doświadczenie podpowiadały im, że zwierzyna nie umknie. Podczas niejednych już łowów widziały, kiedy ścigany zaczyna tracić siły. Widziały jak słabnie, zwalnia, pada wreszcie niezdolny do stawiania najmniejszego oporu. Tutaj podobne objawy musiały dostrzegać już od pewnego czasu. Zaprzęg, mimo coraz częstszych i coraz dłuższych chwil postoju na szlaku, posuwał się coraz wolniej. Wyraźnie tracił siły. Prowadzący go człowiek nie szedł już w przodzie i nie ubijał śniegu. Coraz częściej pozostawał z tyłu, chwiał się, potykał, chód jego stawał się coraz cięższy. Przysiadł na saniach, ale wtedy jego ciężar powodował, że zapadały się płozy i stawały psy. Człowiek podnosił się, batem i krzykiem podrywał zwierzęta i zaprzęg znów ruszał do przodu.

Wilcza sfora ciągnąca z tyłu widziała to, ale wiedziała, że ta z pozoru pozbawiona już sił ludzka istota jest jeszcze groźna, znacznie groźniejsza od istot czworonożnych, nawet tych najsilniejszych, i że trzeba jeszcze poczekać, nim stanie się łupem.

Człowiek znów przysiadł na saniach i natychmiast zatrzymały się psy. Nie dziwił się. Ostatni jaki miał może dwufuntowy kawałek mięsa, podzielił między nie o świcie poprzedniego dnia. Od tego czasu mogły jeść tylko śnieg. On zresztą również. Czuł słabość i coraz częstsze kurcze w nogach. Popęłnił błąd, licząc na nieco lepszą pogodę i łatwiejszy szlak. Sądził, że przebędzie go szybciej. Śnieg zaskoczył go na trasie i co gorsza w zupełnym pustkowiu. Ciągnąca się całymi milami bezleśna równina pofałdowana tu i ówdzie niewielkimi wzgórzami, w sytuacji, w jakiej się znajdował, nie dawała szans na postój.

Zresztą postój bez możliwości rozpalenia ogniska nie dawał nic. Wiedział, że gdy zatrzyma się, zmęczenie, mróz i głód spowodują, że zaśnie najdalej w ciągu godziny i już się nie obudzi. A przecież właśnie tylko na to czekała idąca jego tropem wilcza sfora. Rozszarpałaby go w mgnieniu oka.

Przetarł powieki i przez kilka chwil patrzył na pozostawiony za sobą szlak. Tkwiły o dwieście kroków i nie ruszały się. A może...? Gdyby udało mu się zabić chociaż jednego i odpędzić na parę minut pozostałe, miałby czym nakarmić psy. Sięgnął po leżącą na saniach strzelbę i z prawej ręki ściągnął grubą rękawicę. Przyłożył broń do ramienia i skierował lufę w stronę najbliższego z wilków. Lufa chwiała się, śnieg zamazywał cel. Nie mógł trafić. Zsunął się z sań, oparł strzelbę i spróbował jeszcze raz. Nie, tam z tyłu nad śniegiem majaczyły tylko czarne punkciki spiczastych łbów przysłaniane co chwila białą zasłoną. O trafieniu w takich warunkach trudno było marzyć. Odłożył broń i spojrzał na psy. Leżały oddychając ciężko i liżąc śnieg. Nie łudził się. Wiedział, że nie wytrzymają długo. A on sam? Jak długo mógł jeszcze wytrzymać...? Dźwignął się z kolan, ale czuł zawrót w głowie. Nogi były ciężkie jak z ołowiu. Przed oczyma widział czarne płatki. Odetchnął głębiej i sięgnął po

bat. Na głos nie reagowały już. Poskutkowało jednak dopiero trzecie uderzenie. Gdy ruszyły sanie, obejrzał się. Wilki ruszyły również. W złośliwym grymasie wykrzywił twarz. Odwrócił się i ruszył wolno śladami zaprzęgu, który mimo iż psy zapadały prawie po grzbiety w śnieg, posuwał się jakby trochę szybciej. Raz i drugi przetał zasypywane śniegiem powieki i przysłaniając wzrok usiłował spojrzeć nieco dalej. Tak, nie ulegało wątpliwości. Teren obniżał się. Dostyc łagodnie, ale i to wystarczyło, by ulżyć zwierzętom. Usiłował przyspieszyć nieco, ale miękki głęboki śnieg trzymał nogi jak na uwięzi. Rakiety zapadały głęboko. Czuł, że nogi stają się coraz cięższe, jakby do każdej przywiązano worek kamieni.

Pochyłość kończyła się; teren wznosił się. Znow musiał sięgnąć po bat, ale i tak nie chciał ciągnąć. Wyminął sanie, zaczepił kawałek rzemienia przy uprzęży przodownika i pociągnął. Szły za nim dysząc ciężko. On też dyszał, ale wiedział, że gdyby stanął właśnie teraz, byłby to ostatni postój. Nie patrzył już przed siebie. Szedł krok za krokiem, ślizgał się, potykał. Czuł, jak rzemień coraz bardziej ciśnie go w ramię, jak narasta szum w głowie, oczy przesłania mgła, jak ciało coraz bardziej gnie się ku ziemi. Ale jeszcze krok, jeszcze jeden i jeszcze następny.

Ostry powiew wiatru otrzeźwił go nieco. W szeroko otwarte usta łapał powietrze. Pojaśniało przed oczyma. Byli na szczycie wzgórza. A więc jednak... Usiadł w śniegu i oddychał głęboko. Obok, robiąc bokami, leżały psy. Miały dosyć. Zgarnął garść białego puchu i włożył do ust. Dopiero wtedy spojrzął przed siebie. Stok opadał łagodnie, ale widoczność nie sięgała dalej jak trzysta może czterysta jardów. Była to jednak droga z góry. Wilcza sfora znow tkwiła z tyłu, ale teraz jakby trochę bliżej.

Ile mógł przebyć przez ostatnie półtorej doby? Najwyżej czterdzieści mil, może nawet mniej. A więc do celu, ku któremu dążył, pozostawało jeszcze przynajmniej piętnaście. W zmęczonych oczach zamigotał płomyk zawziętości. Piętnaście mil z dobrym zaprzęgiem, nawet przy tej pogodzie, to było nie więcej niż trzy, najwyżej cztery godziny. Tak, z dobrym zaprzęgiem...

Tym razem nie musiał używać bata i nie musiał ich ciągnąć. Wystarczył sam głos. Poszły w dół same. Nie musiały ciągnąć sań, które po pochyłości staczały się pod wpływem własnego ciężaru. Ledwo mógł nadażyć. I spadek terenu był wyjątkowo długi. Mila, może nawet trochę więcej. A więc jeśli dobrze obliczał, pozostawało nie więcej jak czternaście. „Aż czternaście” – poprawił się w myśli. Patrzył z niepokojem na przodownika. Prawda, pracował najciężej. Poza chwilami, gdy na czele szedł człowiek, właśnie on przecierał szlak swym biegnącym z tyłu towarzyszom, on utrzymywał tempo i on swym przykładem zmuszał je do wyężdżania sił, ale sam tracił ich najwięcej. Gdy człowiek, przecież też słaby, szedł pod górę, on poszedł również, nie chciał być gorszy. Ale odpoczynek na wzniesieniu nie przywrócił mu sił, a długi bieg po zboczach pozbawił go ich całkowicie. Jego współbracia odpoczywali teraz leżąc na brzuchach i liżąc śnieg. On jeden nie miał już na to siły. Padł na bok, zamknął ślepią i dyszał ciężko. Wielkim burym ciałem co jakiś czas wstrząsały dreszcze.

Człowiek zdjął rękawicę i gołą ręką dotknął psiego pyska. Zwierzę na moment uniosło łeb i otworzyło ślepią. Opuściło go jednak natychmiast. A więc tak... Tak rozpoczął się ostatni akt... Z tyłu, chyba znow trochę bliżej, tkwiła wilcza sfora... Człowiek nachylił się i począł odpinać uprzęż. Pies nie reagował. Dopiero gdy usłyszał trzask odwodzonego kurka rewolweru, uniosł ponownie łeb i wyciągnął pysk w stronę uzbrojonej ręki. Lizał ją delikatnie, pieszczotliwie. Mądrymi burymi ślepiami patrzył w pochyloną nad sobą twarz, patrzył bez zaskoczenia, bez nienawiści, bez obawy. Patrzył z miłością i przywiązaniem, z żalem. Ale nie był to żal wywołany widokiem zimnego twardego przedmiotu, który człowiek trzymał w ręku, i którego widocznie zamierzał teraz użyć. Był to żal, że muszą się rozstać, żal, że zawiódł zaufanie, że nie starczyło mu sił. Ale z płonących gorączką ślepi wyzierała jednocześnie duma. Pies wiedział, że człowiek nie gniewa się na niego, że nie potępia i rozumie i że chce powierzyć właśnie jemu – przodownikowi najważniejszy obowiązek,

obowiązek poniesienia ofiary dla dobra czworonożnych współbraci. Były głodne i dlatego nie miały sił, a człowiek nie miał ich czym nakarmić. Bez mięsa musiały umrzeć. A on, chociaż schudł w ostatnich dniach, był duży i miał pod skórą jeszcze wiele mięsa. Mogły nim zaspokoić głód, mógł wzmocnić się i człowiek, który nie miał przecież innego wyjścia.

Ciche, przepojone miłością i oddaniem skomlenie wybiegło z krtani, pysk przysunął się do uzbrojonej ręki. Wilgotny wzrok zdawał się mówić: Nie gniewaj się. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie zawiodłem cię dotąd ani razu i wiem, że nie masz wyjścia. Wiem, że musimy się rozstać. Nie żałuj i nie wahaj się. Żegnaj!... – Łeb zachwiał się, w ślepiach zapłonęło na moment ostatnie ciepłe światło, pysk zarył się w śniegu.

Człowiek kilkanaście chwil trwał bez ruchu. Ścisnął do bólu zęby. W gardle czuł dławiący skurcz. Nie... Zwolnił ostrożnie kurek i wsunął broń do pochwy. Poglądził miękkie futro, wziął zwierzę na ręce i ostrożnie ułożył na saniach, po czym owinął kożuchem. Pies oddychał ciężko. Oddychał ciężko również ten, który nie potrafił strzelić. Po raz ostatni spojrzał na spoczywające na saniach zwierzę, jeszcze raz dotknął ciepłego pyska, popatrzył na wilki, wrócił na czoło zaprzęgu i zajął miejsce dotychczasowego przodownika.

Czas i przestrzeń zacierały się. Zaprzęg parł jednak do przodu, przedzierał się przez równiny, włókł łożyskami dolin, z coraz większym wysiłkiem pokonywał niewielkie wzniesienia. Człowiek przestał czuć, widzieć, rozumieć, co czyni. W myśli powtarzał z uporem, z zawziętością: „Jeszcze tylko kilka kroków, jeszcze tylko jeden”. Coraz dłuższe minuty postoju, coraz krótsze odcinki marszu, ale jeszcze jeden i jeszcze następny. Ile minęło już godzin? Ile kolejnych wspinaczek, ile postojów? Tylko na jednym z nich wrócił do sań, by dotknąć pyska przodownika. Ale pies żył jeszcze. Uniósł łeb, szczeknął i uczynił niemrawy ruch, jakby chciał zejść z sań. Ale człowiek powstrzymał go. – Leż, piesku, leż i odpoczywaj. – Znow wrócił na czoło zaprzęgu, popatrzył prawie obojętnie na ciągnące tropem wilki i znow pociągnął sanie. Jeden krok, drugi, jakiś większy skłon terenu, spadziste zbocze. Sanie pomknęły w dół, splątały zaprzęg i pociągnęły go za sobą. Po zboczu przeokoziłkował człowiek i padając o kilkadziesiąt kroków poniżej, uderzył głową w coś twardego. Poczuł tępy ból. Jakiś ciężar ugniatał mu piersi. Sanie... Wyczołgał się spod nich i oszołomiony rozejrzał się wokół. Leżał u stóp niezbyt wysokiej skały na skraju wlotu do parowu. O kilka kroków, nie mogąc wyzwolić się z zaprzęgu, kotłowały się psy. Poczłgał się ku nim i zaczął odpinać uprzęż. Chociaż nie uświadamiał sobie tego, czuł, że to ostatni postój, i że trzeba uwolnić psy. Tak, musi je uwolnić, by miały chociaż minimalną szansę obrony przed tym, co zbliżało się nieuchronnie. Przymglonym wzrokiem spojrzał ku saniom. Po stromiźnie zsunęły się bez wywrotki. Spod okrywającego kożucha wysunął się przodownik i stał mocno na wszystkich czterech łapach. A więc nie zdechł.

Przywiązany do sań pokrowiec był na swoim miejscu. Człowiek doczołgał się do niego i z trudem począł wyciągać broń. Była nadspodziewanie ciężka. Nie mógł utrzymać jej w rękach. Ale to nic. Wszak nie musiał trzymać cały czas. Położył na saniach i sam przeczłgał się przez nie. Siedział teraz na śniegu, mocno opierając się plecami o skałę. Przed sobą na wyciągnięcie ręki miał sanie i broń. W magazynie winchestera tkwiło osiem śmiertelnych pocisków – sześć w rewolwerze. Razem czternaście. O tych, które spoczywały w worku na saniach, nie myślał. Nie podejrzewał, że wilki zostawią mu czas na ładowanie broni. Odpiął jedynie pochwę rewolweru.

Uwolnione od uprzęży psy zbiły się pod skałą w ciasną gromadkę. Nie kładły się. Trzymając pyski zwrócone w stronę urwistego zbocza, kłapały groźnie odsłoniętymi zębami. Mimo braku sił nie chciały się poddać.

Wilki były tuż. Długimi susami sadziły po skłonie i nie zamierzały czekać dłużej. Groźne skomlenie, urywany skowyt, obnażone kły, płonące żądzą mordy ślepią.

Wzrok siedzącego pod skałą mętnieje, chwieje się postać, pochyla na piersi głowa, w mózgu ostrzegawcza czerwona błyskawica. Nie, nie wolno. Nie tak... Omdlałe ręce sięgają po

karabin. Unosi się lufa. Na twarzy zastyga wyraz zawziętości. Rozwarta paszcza, huk. Targnięcie broni, ale tuż obok drugi zięjący pysk, huk i bure cielsko z dzikim charkotem wali się na sanie. Pod ścianą przemyka jeden, drugi, trzeci. Tu na nic karabin. Trzask odwodzonego kurka rewolweru – trzy krótkie strzały. Jeszcze jedno cielsko podrywa się nad saniem. Gorejące ślepie, zięjący smrodliwy oddech. Omdlała ręka nie jest w stanie przesunąć broni. Jeszcze tylko chwila, by morderczy chwyt wpił się w gardło człowieka. Ale co to? Z boku wali się na napastnika jakaś obca czarna błyskawica. Potężna paszcza chwytła wilczy kark. Słyszeć chrzęst trzaskających kości.

O parę kroków następne bure cielsko gotujące się do skoku. Ruch ręki, tym razem szybszy. Suchy trzask i następna bestia tarza się w skurczach agonii.

Obok, pod ścianą, kłębowisko splecionych, walczących ciał. Dziki skowyt, kłapanie potężnych szczęk i miotający się w tym kłębowisku ów czarny cień. Trudno uchwycić jego ruchy; są szybkie jak ruchy pantery. O, teraz zwarł się z ogromną burą bestią. Uzbrojona paszcza niczym wąż przemyka pod wilczym pyskiem i morderczym chwytem zatapia się w gardle przeciwnika. Szarpie je. Śnieg barwi buchająca czerwona posoka.

Chwila przerwy; przed wzrokiem człowieka pusta przestrzeń – a może to tylko mgła. Ale nie, z głębi parowu wypadają ogromne bure cielska z nieprawdopodobnie długimi sterczącymi uszami, zbliżają się, pędzą, niczym lawina wałęsają w kierunku sań. – To pewnie główna część dzikiej hordy – myśl z trudem przebija się przez coraz częściej gasnącą świadomość. – A więc tak wygląda koniec...? Teżęje twarz, zaciskają się do bólu szczęki. Milknie rewolwer z pustym już magazynkiem... Ale jest jeszcze karabin... Drga w odrzucie lufa. Jeden za drugim wałęsają się w śnieg potwory. Ostatni szczęk kurka. To ostatni nabój... Tak, nóż. Musi tkwić za pasem. Niemrawy ruch ręki. Przed twarzą błysk oszalałych żądz mordy ślepi. Czarny cień. Jeszcze jeden dziki śmiertelny skowyt... Ciało mężczyzny wiotczeje, ze słabnących rąk wysuwa się nóż, postać pochyla się coraz bardziej, w końcu osuwa bezwładnie w śnieg.

Ciężki opar odpyływa powoli. Rozrzedza się mgła. Zza mlecznej zasłony wyłania się ciemniejszy kontur wilczego łba. Rozwarta paszcza, rząd połyskujących białą kłów. W odruchu samoobrony ręka leżącego sięga do pasa. Nóż... ale nie znajduje broni. Paszcza zbliża się jeszcze bardziej. Lśnią mocne zęby, z głębi gardzieli wydobywa się... cichy skowyt, skomlenie. Szorstki wilgotny język liże twarz leżącego. Zamiera odruch obrony. Pierś człowieka unosi głębokie westchnienie. Przytomnieje wzrok. Czarny potwór wcale nie wygląda jak wilk. Ręką unosi się. Drga uniesiona górna warga, z przepastnej gardzieli wybiega ostrzegawcze warknięcie. – Ach tak... Ty możesz mnie lizać; ja nie mogę cię dotknąć. – Przestaje drgać górna warga, chowają się pod nią kły, milknie warknięcie. Wzrok czujnie obserwuje leżącego. Nieruchomieje łeb.

Jakaś ręka odsuwa go stanowczo. Nad twarzą mężczyzny pochyla się dziewczęca twarz o wystających kościach policzkowych. Ciemne skośne oczy patrzą uważnie. Z ust wydobywa się kilka miękkich gardłowych słów.

– Już dobrze. Wilki precz. Ty głodny. Jeść. – Druga ręka podsuwa blaszany parujący kubek, z którego wydobywa się nieokreślona woń.

– A psy, co z psami...? Psy dobrze. Wszystkie osiem. Jadły. Śpią. Teraz ty jeść. Ty słaby. – Psów było siedem – mężczyzna nie wiadomo czemu poprawia dziewczynę.

– Nie siedem. Siedem husky i ten – ruch ręki w stronę czarnego łba.

– To osiem. On najlepszy na wilki. Tamte też dobre. Jedz. Możesz usiąść? Pomogę ci.

Ostry skurcz żołądka, gwałtowne uczucie mdłości, zawrót głowy.

Jadł powoli, ale i tak wkrótce zaświeciło dno naczynia. „Diabło mało”, pomyślał zwracając kubek. Nic jednak nie powiedział. Ale dziewczyna musiała się domyślić, bo zabierając naczynie stwierdziła:

– Na razie dosyć. Ty bardzo głodny. Większa zupa ty chory. Później, później zupa i mięso. Teraz leżeć.

Chyba miała rację. Rozejrzał się wokół. Niewielkie okrągłe kopulaste wnętrze było niewątpliwie ziemianką. Dla ocieplenia wyłożono ją skórami. Pośrodku dymiło ognisko. W kątach wałało się kilka kuchennych sprzętów, wiązka sideł, trochę igliwia. O drewniany trójnóg opierały się dwa oszczepy i łuk oraz kołczan ze strzałami. Na stożkowe zbiegających się u sufitu żerdziach i poprzecznie umieszczonych między nimi drążkach wisiało kilka wyprawionych skór i trochę odzieży. Pośrodku zaokrąglonego dachu odcinał się jaśniejszą plamą odsłonięty w tej chwili otwór, przez który wpadało światło i ulatniał się dym.

Wewnątrz było ciepło. Dopiero teraz uświadomił sobie, że zdjęto z niego futro i ciężkie obuwie.

Nie miał wątpliwości, że to indiańska ziemianka. Ale jak się w niej znalazł? Jak przeżył i jak przeżyły psy? A ten czarny? Skąd on się wziął? Pod nabrzmiałymi powiekami zamajaczył wyrazisty obraz; dzika wilcza paszcza sięgająca mu do gardła, czarny wielki cień, który niczym pocisk wystrzelił z boku i... chrzęst gruchotanych kości napastnika. A więc to tak. „Wygląda na to, że zawdzięczam ci życie” – pomyślał i wyciągnął rękę w stronę czarnego pyska. Sierść na grzbiecie psa zjeżyła się, w gardle zabulgotał groźny pomruk. Pysk cofnął się, odsłaniając zęby. – Mówisz, żeby cię nie dotykać. Jak chcesz. Ale zapamiętam to, co dla mnie tam zrobiłeś. – Znajdował się więc w obozowisku Indian. Tylko jak się tu znalazł? Jak to się stało, że uszedł spod klów wilczej hordy, że uratowały się psy...? Pewno wilki zaatakowały go gdzieś w pobliżu obozowiska. Indianie usłyszeli strzały i przybiegli. Inaczej musiałby zginąć. Dobrze, że przeżył przodownik. Też walczył... Myśli zmaciły się, opadły powieki. Człowiek zasnął. Czarny pies postawił spiczaste uszy, podczołgał się ku leżącemu i począł obwąchiwać jego twarz, szyję, włosy. Potem przysunął pysk w pobliże ręki i znieruchomiał. Nie spał jednak, patrzył uważnie w bielejącą w mroku twarz.

Ostry powiew i ostrzegawcze warknięcie zbudziły śpiącego. Przetarł oczy i usiadł. Nie czuł zawrotu głowy ni mdłości. Dziewczyna przyniosła cały garnek zupy.

– Możesz jeść – postawiła garnek i zajęła się ogniskiem.

Nie patrzył na nią. Przysunął garnek. W zupie było dużo mięsa. Jadł powoli. Mięso było miękkie i soczyste, nie wyglądało na mrożone. Indianie musieli ostatnio coś upolować. Nie zjadł jednak wszystkiego i chociaż czuł jeszcze głód, odstawił przezornie garnek. Zbyt duża ilość pokarmu po wielodniowej głodówce mogła okazać się niebezpieczna. Otarł rękawem usta i spytał:

– Jak masz na imię? Patrzyła na niego dłuższą chwilę, jakby nie rozumiejąc, w końcu powiedziała wyraźnie:

– White Reinder, Biały Ren – powtórzyła dotykając potem piersi. – A ty – wskazała na niego. – Też masz imię?

Skinął głową. – Jakie?

– To trudne imię, pewno nie zapamiętasz.

– Nie zapamiętasz – powtórzyła kilkakrotnie. Widocznie nie zrozumiała. – To dobre czy złe imię?

Wzruszył ramionami.

– Jak dla kogo! Dla jednych dobre, dla innych złe.

– Dla kogo złe?

– Dla wrogów!

– Czy Biały Ren wróg?

– Nie – zaprzeczył poważnie. – Biały Ren przyjaciel. Jej bracia uratowali mi życie.

Znów nie bardzo zrozumiała, bo pokazała garnek.

– Dali ci zupę i mięso. Też przyjaciele.

Nim zdążył potwierdzić, pies uniósł łeb i warknął. Do izby, pochylając się nisko w przejściu, wszedł krzepko wyglądający Indianin. Dłuższą chwilę patrzył na białego, podszedł do posłania, przysiadł na skórach i spytał całkiem poprawnie po angielsku:

– Czujesz się już lepiej?

– Tak. To ty mnie uratowałeś, prawda?

– Nie, nie ja. Jestem czarownikiem. Ciebie przywieźli tu myśliwi z wioski. O pół dnia drogi stąd, w parowie, walczyłeś z wilkami. Myśliwi polowali na karibu. Twoje strzały spłoszyły zwierzynę. Uciekła. Myśliwi przybiegli tam, gdzie walczyłeś. Odpędzili wilki i zabrali cztery karibu, które zastrzeliłeś i te dwa, które zagryzły wilki. Ciebie i psy, i to co upolowałeś, przywieźli tutaj. Dużo mięsa.

Biały nie bardzo rozumiejąc, poprawił się na posłaniu.

– Mówisz, że zastrzeliłem karibu? Widziałem tylko wilki i do nich strzelałem. Wielkie wilki pędzące z głębi parowu.

Czarownik roześmiał się.

Byłeś słaby i głodny. Opuszczał cię duch. Oczy widzą wtedy nie to, co jest, a to, co widzi duch. Wy nazywacie to przywidzeniem. Ty walczyłeś z wilkami. Każde zwierzę wydawało ci się wilkiem. Strzelałeś do tych największych, najgroźniejszych. Duch pokierował twoją strzelbą i zabiłeś karibu. Nie zabierasz chyba całego mięsa? Jest twoje, ale wioska głodna.

– We wzroku Indianina zamigotał niepokój.

– Nie, nie chcę mięsa. To mięso twoich ludzi. Gdyby nie oni, wilki zjadłyby i karibu, i mnie. Podziel je między swoich. Ale mówisz, że myśliwi przywieźli psy. Czy wilki mocno je pogryzły?

Pomarszczona twarz czarownika rozpogodziła się. Biały nie chciał zabierać mięsa. A ono dla wioski oznaczało życie.

– Nie martw się o psy. Walczyły razem z tobą, są trochę pogryzione, ale nic im nie będzie. Wszystkie żywe. Myśliwi zabrali wilki zabite przez ciebie i te, które zagryzł twój pies. Kobiety ugotowały mięso wilków i dały psom. Dla nich dobre. Teraz śpią. Za parę dni będą znów silne. Karibu dla ludzi. Zgadzasz się?

– Zgadzam. Czy myśliwi zabrali wszystkie moje rzeczy?

Czarownik skinął głową.

– Jest twoja broń i worek, który był na saniach – wskazał głową kąt izby. – A sanie i reszta rzeczy stoją na zewnątrz. Nikt nic nie ruszał. Możesz sprawdzić. Katso nie kłamie.

Na dźwięk tego imienia biały drgnął. Dopiero teraz spojrzał uważnie na domniemanego Indianina. Prawie okrągła twarz, rzadki zarost, szczeciasta jasna broda. I to imię.

– Jesteś Inuit³ – A twoi bracia?

– Oni są Tutchone. – Patrzył kilka chwil na białego. – Katso i Biały Ren są Inuit. Dawno temu musieli opuścić swych braci. Teraz żyją wśród Tutchone, a Katso jest ich angacokiem – czarownikiem – poprawił się. Skinął na dziewczynę i rzucił parę słów po eskimosku. Biały Ren wyszła z ziemianki. W parę chwil później wróciła z kociołkiem pełnym śniegu. Zawiesiła go nad ogniem, sama zaś przykucnęła obok psa i oparła dłoń na jego łbie. Czarownik chwilę patrzył na dziewczynę, po czym powtórzył. – Tak, Katso jest ich czarownikiem. Leczy choroby i rany i chroni ich przed złymi duchami.

Biały podniósł się, przeszedł w kąt ziemianki i parę chwil szukał czegoś w worku. Wreszcie wyjął metalową puszkę i podał dziewczynie.

– To herbata – powiedział, po czym ponownie zwrócił się do czarownika. – Mówisz, że wioska głoduje. Czy myśliwi nie polują?

– Brak zwierzyny. Od początku zimy. Gdzieś zniknęła. Dopiero wczoraj wytropili pierwsze stado. Ale gdyby nie twój karabin upolowaliby najwyżej jedną lub dwie sztuki.

³ Inuit – nazwa własna Eskimosów. Nazwa „Eskimosi” została nadana im przez okoliczne plemiona. Dosłownie znaczy „Zjadacze surowego mięsa”.

– Czy nie mają strzelb?

Kilku ma, ale nie mają prochu i kul. Używają łuków i oszczepów, a zwierzyna bardzo ostrożna. Trudno podejść.

– Przecież myśliwi kupują proch i kule jesienią. Cemu nie uczynili tak, nim spadł śnieg?

– Nie mieli czym zapłacić. Myśleli, że zwierzęta futerkowe złowią na początku zimy i kupią to, co jest im potrzebne. Ale zwierząt futerkowych też nie ma.

Zapadło milczenie. Dziewczyna zaparzyła herbatę i nałala do trzech metalowych kubków. Pili drobnymi łykami. Biały wyjął kapciuch z tytoniem i podsunął czarownikowi. Ten długo, dokładnie ubijał fajkę, przypalił i zaciągnął się z widoczną przyjemnością. Widać było, że to pierwsza fajka od dłuższego czasu. Spod oka obserwował niespodziewanego gościa wioski. Gdy wreszcie zdecydował się zadać nurtujące go od ubiegłego dnia pytanie, biały rzucił jakby od niechcenia:

– Cemu nie przyszedł wódz?

Dziewczyna uniosła niespodziewanie głowę. Czarownik milczał jeszcze chwilę, wreszcie unikając wzroku przybysza powiedział z ociąganiem:

– Nie ma go.

– Nie ma wodza? A co się z nim stało?

– Poszedł na polowanie... tydzień temu. Jeszcze nie wrócił.

Obcy z udanym zrozumieniem pokiwał głową.

– Pewno poszedł daleko?

– Tak, daleko – czarownik potwierdził skwapliwie.

– Dokąd? – Na... na północ, na drugą stronę gór.

– Zabrał wielu myśliwych?

– Poszedł sam...

– W czasie śnieżnej burzy, przy takim mrozie? Mówisz, że poszedł sam na polowanie za góry? Pewno opuścił go duch – w słowach czuć było wyraźną drwinę. – Szkoda, myślałem, że go tu zastanę, ale skoro mówisz, że poszedł, to pewno tak jest. Poczekam, aż wróci. – Czarownik zakrztusił się dymem. Kasłał podejrzanie długo, w końcu wytarł usta i spojrzał niepewnie na białego.

– Chcesz czekać? Nie wiadomo kiedy wróci. Niepotrzebnie będziesz tracił czas.

– Mam go sporo, poczekam.

Znów zapadło milczenie. Pies leżał z przymkniętymi ślepiami. Dziewczyna machinalnie gładziła jego łeb. Czarownik dumał nad czymś. Wreszcie wytrząsnął popiół z fajki i spytał:

– Długo szedłeś?

– Dwadzieścia jeden dni.

– Cały czas z południa?

– Prawie!

– Po co?

Biały musiał oczekiwać tego pytania, bo odparł bez wahania:

– Chciałem dojść do zimowego obozu Czerwonego Lisa. To mój stary przyjaciel. Kilka lat temu razem stawialiśmy sidła. Chciałem namówić go i teraz, ale skoro twierdzisz, że nie ma tu zwierzyny, to pewno na terenach Czerwonego Lisa też nie ma.

Czarownik patrzył na obcego podejrzliwie. Wprawdzie na saniach, które przyciągnęli myśliwi, znajdowała się duża wiązka różnej wielkości sideł, ale oprócz niej także łopaty, kilof, jakieś sito, ciężka żelazna patelnia bez uszu i pałaka, a to nie był sprzęt mogący służyć traperowi czy myśliwemu. Posiadali go jedynie poszukiwacze złota. Na takiego wyglądał również jego obecny rozmówca. Tak, wyglądał na poszukiwacza, ale jeszcze bardziej chciwego niż inni. Tamci uciekli przed zimą. Schronili się w zacisze dobrze zaopatrzonych osad w okolicach Dawson i Klondike, gdzie łatwiej było przeżyć. Ten nie lękał się zimy. Był twardy. Nie powstrzymała go nawet zamięć. Tak, może dla niepoznaki chciał uchodzić za

traperą i zimą stawiać sidła i pułapki, ale przede wszystkim zamierzał polować na złoto. Przybył w te okolice z zamiarem pozostania do wiosny. Od wiosny, właśnie na terenach Czerwonego Lisa chciał szukać złota. A to nie byłoby dobre.

– Niepotrzebnie odbyłeś tę długą drogę. Czerwony Lis nie żyje. Duchy wody zabrały go ubiegłej zimy. Jego bracia odeszli stąd na południe. Zwierząt rzeczywiście nie ma. Co zrobisz?

Obcy nie wydawał się zaskoczony czy zmartwiony. Może trochę. Nie spieszył się jednak z odpowiedzią. Odłożył fajkę i dłuższy czas patrzył w ogień. Jednak, mimo że należałoby tego oczekiwać, nie myślał o chybionym celu swej wędrówki ani o śmierci Czerwonego Lisa. Wiedział o niej od dawna i wiedział, w jakich okolicznościach nastąpiła. Nawet lepiej niż inni. Mówiąc, że przybył w odwiedziny do Czerwonego Lisa, użył jednak jedynie pretekstu, który miał usprawiedliwić jego obecność właśnie tutaj, może niezupełnie tutaj – przynajmniej w tych okolicach, a skoro była tu właśnie tylko ta jedna wioska indiańska... Na pytanie postawione wprost, nie bardzo mógł udzielić prostej odpowiedzi. Ba... nie miał zamiaru takiej odpowiedzi udzielać. Westchnął z udanym zakłopotaniem i podrapał się w głowę.

– Nie wiem, Katso, co powinienem zrobić. Czerwonego Lisa nie widziałem dawno. Myślałem, że ucieszy go widok przyjaciela. – Na szczęście nie musiał wyjaśniać, że z tą przyjaźnią to wcale nie było takie pewne. – Tak, myślałem – kontynuował – że go ucieszy. Ale skoro twierdzisz, że umarł...i że nie ma zwierzyny... Na szlaku leży głęboki śnieg. Powrotna droga daleka. Nie wiem, czy psy wytrzymają. Muszę trochę pomyśleć.

Czarownik skinął głową.

– Tak, droga daleka i trudna. Ale do Dawson lub Klondike znacznie bliżej. Pewno, kilka dni musisz odpocząć. A psom możesz ulżyć. Twoje sanie duże i ciężkie. Nie musisz ich zabierać. Zostawisz je, a Katso da ci mniejsze i lżejsze, i żywność na drogę.

Słowa brzmiały poważnie, a rada wydawała się całkiem naturalna. Czuć w niej było nawet troskę, ale treść, którą wyrażała, nie pozostawiała wątpliwości. Mówiła: możesz zostać kilka dni, zanim tobie i twoim psom nie wrócą siły. Potem powinieneś odejść. Nie będziemy cię zatrzymywać. Wręcz przeciwnie, ułatwimy ci odejście, damy nawet lżejsze sanie i żywność na drogę...

Nie był więc pożądanym, mile widzianym gościem, mimo że zdobył im dużo mięsa i to w czasie, gdy cierpieli głód. Oni uratowali mu życie, nakarmili i kwita. Nie chcieli go między sobą. Czy dlatego, że nie chcieli karmić jego i jego psów? Byli do tego zobowiązani prawami świętej tu na północy gościnności. Nie, nie chodziło o to, że mógł ich objadać. Przyczyna niechęci musiała tkwić w czymś innym. Może chodziło o dodatkowy, nie ten myśliwski ekwipunek na saniach...? Może nie chcieli mieć w pobliżu żadnych poszukiwaczy? Może już ich poznali, może mieli z nimi jakieś zatargi lub w ogóle stronili od białych, i wystarczyło, że i on był biały...? Jakkolwiek było, czarownik stawiał sprawę jasno. Nie chcieli go. I ten cholerny wódz. Ukrył się gdzieś, by uniknąć z jakichś względów spotkania, czy rzeczywiście wybrał się na polowanie...? A dziewczyna? Mimo to, co twierdził Katso, wcale nie wyglądała na Inuit. Bez wątpienia była Indianką. Siedziała teraz pochylona lekko do przodu, jakby nasłuchując czegoś, i patrzyła gdzieś w przestrzeń. Bezwiednym ruchem przesuwiała ręką po łbie psa. A ten nie reagował, nie warczał. Zachowywał się tak, jakby znał ją od dawna. Skąd się tu wziął? Baa, skąd wziął się tam w wozie...? Czarownik nie przyznawał się do niego. Dziewczyna niby też, ale zachowanie psa wobec niej nie pozostawiało wątpliwości. Musieli znać się wcześniej. Tylko jeśli pies nie należał do Indian, to w takim razie do kogo? Pewnie jednak do jakiegoś białego. Ale do kogo i co stało się z tym białym, skoro pies przybłąkał się tu?

Spostrzegł to dopiero w tym momencie. Pies jeszcze niedawno nosił obrożę. Jej ślad w postaci dosyć szerokiego pasa przyciśniętej sierści widniał wyraźnie na karku i szyi. A więc pies z całą pewnością należał do białego. Indianie nie nakładali psom obroży na stałe. Jedynie

Inuit, ale tylko na czas, gdy psy ciągnęły sanie. Były to jednak inne psy. Może więc z powodu tamtego białego nie chcieli mieć w wiosce innych białych? I kim był tamten?

– Mówisz, Katso, że ten pies zagryzł wilki – spytał pomijając ostatnie słowa czarownika. – Skąd wiesz, że to on?

– Myśliwi widzieli, jak walczył i widzieli, jak zabijał. Masz dobrego psa.

– To nie jest mój pies, Katso. Pierwszy raz zobaczyłem go w parowie. Gdy zobaczyłem go ponownie tutaj, pomyślałem, że to twój lub twojej...córkę – umyślnie podkreślił słowo córka.

– Mylisz się, biały człowieku. Ten pies przyszedł z tobą. Myśleliśmy, że twój, ale to może przybłąda. A Białą Ren nie jest moją córką. To moja kobieta – żona, rozumiesz?

– Rozumiem, Katso. Nie rozumiem tylko, dlaczego chcesz, bym odszedł stąd szybko?

– Ludzie nie chcą, byś pozostał. Pomogli ci, bo inaczej rozszarpałyby cię wilki, ale chcą, byś odszedł z wioski.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Rozmawiałem. Zgodzili się, byś pozostał tak długo, aż odzyskasz siły. Potem masz odejść.

– Dlaczego chcą, bym odszedł?

– Nie lubią obcych.

– A ty?

– Ja też nie lubię. Ale to dzięki tobie mamy mięso. Jesteśmy ci wdzięczni. Zostań więc na razie i odpoczywaj. – Zamilkł, milczał dłuższy czas, po czym zmieniając temat spytał: – Nie masz przypadkowo prochu i ołowiu na kule?

– Mam trochę. Przywiozłem Czerwonemu Lisowi – dodał. – Tyle że jest gdzieś na dnie worka. Dam ci jutro. Ale i ty coś mi dasz w zamian.

Czarownik spojrział z zaciekawieniem.

– Mów!

– Dasz mi obrożę tego psa!

– Obrożę?

– Tak. Jeszcze niedawno, wczoraj albo dzisiaj, nosił ją na karku. Widzisz ślad?

Czarownik dłuższą chwilę przyglądał się psu. Cóż, widocznie przybysz miał bystry wzrok. Zresztą ślad rzucał się w oczy. Ale obroża...

– Rzeczywiście, pewno masz rację – odparł powściągliwie – ale skąd ci ją wezmę? Może gdzieś zgubił? Może stracił na miejscu walki lub gdzieś po drodze. Przez cały czas padał śnieg. Nikt nie znajdzie.

– Poczekam, Katso. Mam czas, ale ty będziesz musiał poczekać na proch i ołów.

W oczach czarownika zamigotały złe błyski. – Jak chcesz – powiedział prawie obojętnie. – Ludzie pójdą szukać. Ale śnieg duży. Może nie znajdą.

– Jeśli poszukają dobrze, znajdą. To na pewno dobrzy tropiciele. A ja poczekam.

Inuit jeszcze przez chwilę wpatrywał się w twarz białego, ale nic już nie powiedział. Z czymś na kształt zawiści, może zawodu popatrzył na stojący w kącie karabin, przeniósł wzrok na zawieszony na kołku pas z rewolwerem, podniósł się i na pozór bezwiednie uczynił krok w stronę tej tak blisko znajdującej się broni, gdy nagle zjeżyła się sierść na grzbiecie psa, z gardzieli wydobył się groźny pomruk. Czarownik cofnął się, nałożył futro i wyszedł. Dziewczyna nie poruszyła się. Rękę trzymała nadal na łbie psa.

Obserwował ją z zaciekawieniem. Była jeszcze bardzo młoda. Mogła mieć dziewiętnaście lat. Katso był znacznie starszym czterdziestoparoletnim mężczyzną. Był Inuit. Wśród nich taka różnica wieku nie przeszkadzała małżeństwu. Wśród Indian północy – niekiedy również nie. Tyle tylko, że Biała Ren nie była Eskimoską. Oczywiście, nie świadczyło to o niczym. Czarownik stwierdził, że to jego żona. Mógł tak powiedzieć, by zabezpieczyć ją przed napastliwością przybysza.

Odgadując jakby jego myśli, dziewczyna stwierdziła nieoczekiwanie stanowczym tonem:

– Biały Ren nie żona. Katso nie mąż i nie brat. Nie mąż – powtórzyła. – Tylko czarownik. A pies dobry. Przyjaciół. Hektor – powiedziała bardzo wyraźnie.

Na dźwięk tego imienia pies poruszył się, postawił uszy, cichy przejmujący skowyt wydobył się z jego krtani. Dziewczyna przytuliła twarz do wielkiego czarnego pyska. Pies skomlał żałośnie. Po twarzy dziewczyny spływały łzy. Otarła je i powiedziała: – Nie mów nikomu. Hektor przyjaciel. Biały Ren też. – Podniosła się szybko, okryła skórą i pośpiesznie opuściła wnętrze ziemianki. Pies pozostał na miejscu. Patrzył uważnie na siedzącego przed nim człowieka.

Rozdział VI

Biały człowiek musi umrzeć

Roddy Dowson po wyjściu dziewczyny przez jakiś czas jeszcze pozostawał w bezruchu. Patrzył na psa. Zwierz był duży i silny. Wzrostem i sylwetką, szczególnie swym potężnym pyskiem przypominał doga, ale nie był to dog czystej rasy. Dłuższe puszyste futro i jego stalowoszary odcień przebijający przez czerń sierści, kazały domyślać się sporej domieszki wilczej krwi. Musiał ważyć około stu funtów i już sam ten ciężar i potężna paszcza dawała mu przewagę nad zwykłym wilkiem. A jeśli po nich odziedziczył wojownicze cechy i instynkt, był niebezpiecznym przeciwnikiem.

Roddy wyciągnął rękę, by dotknąć mięsistego futra, ale pies natychmiast zeszytywniał. Zjeżył sierść na grzbiecie i odsłonił zęby. Był nieufny, ale Roddy nie przejął się tym zbyt. Cofnął rękę, chwilę jeszcze patrzył na ostro sterczące uszy i powiedział cicho: – Hektor! Pies uniósł się nieco, zbliżył pysk do twarzy człowieka, obwąchiwał jego brodę, czoło, włosy, kark, ubranie, zdając się szukać jakiegoś sobie tylko znanego zapachu. Cofnął się jednak i ponownie przywarował na skórah.

Mężczyzna pokiwał głową. Zdaje się, iż rozumiał. Wstał z posłania i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. Nie czuł już poprzedniej słabości. Przeszedł kilka kroków, zrobił parę przysiadów, rozprężył ramiona i rękoma wykonał kilka szybkich mocnych wymachów, by pobudzić krążenie krwi. Jeszcze parę głębszych oddechów. Był pewien, że odzyskał siły.

Spojrzał na broń i westchnął ciężko. Była zapiaszczona; w zakamarkach mechanizmu rewolweru i bębna odkrył krople wody. Podobnie wyglądał karabin. Bez specjalnego żalu podarł koszulę, jaką miał na sobie i następne dwie godziny poświęcił na czyszczenie broni. Nie przewidywał co prawda, by w najbliższym czasie mogła mu być potrzebna, ale zdawał sobie sprawę, że jedno pozostawione gdzieś ziarnko piasku lub brudu, odrobina wilgoci i mogła zawieść w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Za to gdy skończył pracę, obydwie mechanizmy działały bez zarzutu. Z pasa wyjął naboje, przetrął je suchą szmatką i położył na pniu w pobliżu ognia. Były na pewno dobre, ale na wszelki wypadek wolał je również podsuszyć. Zarówno rewolwer, jak i karabin załadował nowymi ze świeżo otwartego metalowego pudełka. Było zalutowane do tej pory. Naboje musiały być suche. Oczyszczył jeszcze pochwę i nową amunicją uzupełnił pas. Z worka wydobył grubą bawełnianą koszulę i naciągnął na gołe ciało. Włożył na to futrzaną ciepłą bluzę, dokoła bioder zapiął pas. Dopiero wtedy sięgnął po parkę – długą, sięgającą prawie do kolan bluzę z kapturem uszytą z bobrowego futra i obejrzał ją starannie. Mimo zacieklej walki w parowie, jedynie lewy rękaw był rozerwany w dwu miejscach – na ramieniu i poniżej łokcia. Zszył go grubą mocną nicią i bluzę powiesił na kołku.

Głód przypomniał mu o kociołku z zupą pozostawionym przez dziewczynę. Nim zawiesił go nad ogniem, odlał do dużej miski stojącej obok paleniska przynajmniej ze trzy kwarty zupy i podsunął psu. – Jedz, Hektor – powiedział cicho. – Potrzebujesz sporo sił. Nie możesz być głodny. – Pies podniósł się i podszedł ostrożnie do miski. Przez chwilę obwąchiwał ją nieufnie, nim zdecydował się zanurzyć w niej pysk. Nie zjadł jednak wszystkiego. Wybrał jedynie kawałki mięsa, pozostawiając resztę.

Roddy pokręcił głową. – Jadasz tylko mięso, prawda? I to pewnie surowe? No, no... A może nie jesteś zbyt głodny? Może nakarmiła cię Biały Ren? Powiedz! – Pies postawił uszy, ale tylko na chwilę. Odsunął się od miski i ułożył w kącie ziemianki. Obserwował jednak, jak człowiek zdejmuje znad ognia kociołek i zabiera się do jedzenia. Ten jednak, przynajmniej pozornie, zdawał się nie zwracać na psa uwagi. Umysł jego zaprzętało coś innego.

Dążąc w te strony wiedział oczywiście o śmierci Czerwonego Lisa, nie wiedział jednak, że jego ludzie odeszli na południe. Katso stwierdził to z całą stanowczością. I nie kłamał. Musiał zdawać sobie sprawę, że biały, który potrafił wędrować zimą dwadzieścia jeden dni, potrafi też sprawdzić, czy zaledwie o kilka godzin drogi nie znajduje się jednak druga wioska. Tak, było pewno tak, jak mówił czarownik, ale dla Roddy'ego stwarzało to zupełnie nową sytuację. Musiał zgodzić się, że sytuację niekorzystną. Wprawdzie tamtej wioski nie znał również, ale wiedział, że znają go zamieszkali w niej Indianie Kutchin. Czerwony Lis musiał im nieraz opowiadać o nim. Odwiedziny białego, przyjaciela wodza, przyjęliby jako rzecz naturalną. Mógł zatrzymać się u nich bez żadnych kłopotów. Ale odeszli, a tutejsza wioska nie znała go i... nie chciała. Ba, nim zdążył dojść do siebie, już mu powiedzieli, że powinien odejść. Widocznie mieli powód, by zająć takie stanowisko. Czarownik mówił, że nie lubią białych. Mogło to być prawdą, ale powodu nie wyjaśniało. Dlaczego nie lubili? Może zetknęli się z białymi, może mieli z tego powodu jakieś przykrości? Może nie chodziło o wielu białych, lecz o jednego, właśnie tego, do którego mógł należeć pies? Dziewczyna tego jednego znała niewątpliwie, bo skąd znałaby imię psa? Musiał więc znać i czarownik, i inni. A co się stało z tym białym? Gdyby odszedł, zabrałby z sobą psa. Jeśliby został, pies zostałby z nim, nie byłoby go tutaj. Odpowiedź nasuwała się tylko jedna. Właściciel psa umarł i dlatego zwierzę nie opuściło tych stron. Może Indianie czuli się jakoś odpowiedzialni za tę śmierć i dlatego nie chcieli mieć tu żadnych białych. Może obawiali się kłopotów. A pies stanowił prawdopodobnie klucz do tajemnicy; może jednak chodziło o coś innego... Ukrywał to czarownik, ukrywali zapewne inni. Na wszelki wypadek zdecydowali, że nowy biały nie może pozostawać w wiosce zbyt długo.

Skrzywił się złośliwie. Nie znali go, nie wiedzieli do czego jest zdolny. Wierzyli, że łatwo się go pozbędą. A Roddy Dowson nie należał do takich, których łatwo można byłoby zmusić do czegoś, wbrew ich woli.

Gdy nakładał na siebie parkę, pies podniósł się, jakby gotów również do wyjścia. – Nie, nie idę daleko, Hektor. Wrócę niedługo. Zostań! Zostań i pilnuj. – Pies przekrzywił łeb, starając się widocznie zrozumieć to, o czym mówił człowiek i bez większego przekonania machnął kilkakrotnie ogonem. – Zostań i pilnuj – powtórzył człowiek i wysunął się na zewnątrz.

Śnieg przestał padać. Wyraźnie zelżał mróz i ucichł wiatr. Roddy rozejrzał się. Obozowisko Indian mieściło się w płytkiej kotlinie. Z jednej strony dotykało świerkowej gęstwiny, z drugiej wtapiało się w skraj nieco rzadszego sosnowego lasu. W zasięgu wzroku widniało ze dwadzieścia rozrzuconych między drzewami ziemianek przykrytych grubą warstwą śniegu. Między nimi biegły liczne wąskie ścieżki. Wokół panowała ożywiona krzątanina. Kilkunastu mężczyzn ściągało z lasu gałęzie strącone widocznie minioną wichurą i układało je w stosy, kilku oporządzało sanki. Jeszcze inni odgarniali śnieg sprzed wejścia do swych domków. Kilkudziesięcioosobowa grupa dzieci w różnym wieku, śmigając między drzewami prowadziła prawdziwą bitwę na śnieżne kule. Kilku wyrostków tarosiło się zawzięcie w śniegu, nie wiadomo czy w zabawie, czy może w prawdziwej walce. Jakiś małe próbował swych umiejętności w chodzeniu w zbyt dużych na niego śniegowych rakietach, potykał się co chwila, jedną rakieta zawadzał o drugą, co niemal przy każdym kroku kończyło się upadkiem. Wokół unosiła się woń palonego drzewa przesyconego żywicą.

Widok obcego, białego człowieka, nie wywołał większego wrażenia. Dorośli wydawali się nie zwracać na niego uwagi. Dzieciarnia jedynie na parę chwil przerwała zabawę, by mu się

przyjrzeć, ale zaraz wróciła do śnieżnej bitwy. Parę psów przybiegło, by go obwąchać, ale żaden nawet nie warknął. Spod stosu gałęzi leżących w pobliżu wyczołgał się przodownik jego własnego zaprzęgu, otrzepał się ze śniegu i wesoło machnął ogonem. Kilkujardową przestrzeń przebył w paru susach i z cichym skomleniem począł ocierać się o nogi swego pana. Nie wyglądał najgorzej. W dwu miejscach rozerwana skóra na boku, wyraźne ślady wilczej paszczy na grzbiecie i przegryzione ucho. Nie było to groźne. Jeśli i inne nie doznały większych obrażeń, to za kilka dni zaprzęg od biedy mógł być gotowy do drogi. Roddy gwizdnął cicho. Spod gałęzi wysuwały się następne. Cała szóstka. Gdy obejrzał ostatniego, odetchnął z ulgą. Czarownik nie kłamał. Psom nic się nie stało. Wystarczyło je trochę odkarmić i powinny odzyskać siły. Zapędził je z powrotem do zacisznego legowiska i nie spiesząc się, udeptaną ścieżką poszedł wzdłuż rzędu ziemianek. Ciekaw był, w której mieszka Katso i dziewczyna, jeśli oczywiście mieszkali razem, ale trudno było odgadnąć. Wszystkie, przynajmniej na zewnątrz, były podobne do siebie.

W ciągu niespełna pięciu minut dotarł do skraju doliny i jak sądził początkowo do końca wioski, gdy ukrywająca dotąd dalszy widok świerkowa ściana urwała się nagle, odsłaniając kolejne zagłębienie terenu, znacznie większe. Pokrywało je prawdziwe kretowisko identycznych jak to które minął, indiańskich ziemianek. I właśnie w tym zagłębieniu, również dobrze osłoniętym od wiatru, kryła się właściwa wioska.

Patrzył na nią jakiś czas, po czym wolno zawrócił ścieżką, którą tu przyszedł. Wracał z mieszanymi odczuciami. Wychodząc na zewnątrz spodziewał się ujrzeć niewielki obóz liczący kilka, może kilkanaście rodzin, tymczasem znalazł wioskę liczącą tych rodzin znacznie więcej – przynajmniej około stu. Świadczyła o tym liczba zimowych schronisk. W każdym lub prawie każdym musiał mieszkać chociażby jeden dorosły mężczyzna. Przebywało tu więc około setki mężczyzn. Stanowiło to wcale pokaźną siłę, nawet jeśli byli wyposażeni jedynie w łuki i oszczepy. Co prawda nie przewidywał, że będzie musiał walczyć, ale teraz nie łudził się również co do tego, czy mogłby narzucić im swoją wolę. Czarownik stwierdził, że nie lubią białych i nie chcą ich mieć u siebie. Teraz jego słowa nabierały poważniejszego znaczenia. Tym poważniejszego, że jeśli wioska Czerwonego Lisa rzeczywiście odeszła gdzieś dalej na południe, to ta, w której obecnie się znajdował, mogła być jedyną osadą ludzką w promieniu stu pięćdziesięciu mil. Stanowiło to co prawda niespodziewaną wyjątkową szansę, ale jednocześnie nie wróżyło niczego dobrego w wypadku popełnienia jakiegoś błędu. A o błąd wcale nie było tak trudno. I o mało już go nie popełnił. Nie wierzył, że wódz mógł wyruszyć na polowanie samotnie. Toteż wychodząc ze swej ziemianki, zdecydowany był przepatrzyć wnętrza innych i wodza odnaleźć. Gdy zobaczył całą wioskę, zrezygnował z tego zamiaru. Próba wprowadzenia go w czyn wywołałaby niewątpliwie powszechne oburzenie i musiałaby doprowadzić nieuchronnie do natychmiastowej konfrontacji z siłą, z którą musiał się liczyć. Gorzej, przekreślała plany nawet na najbliższe kilka dni, nie mówiąc o dalszych, a przecież miał takie. Zrezygnował więc z szukania wodza.

Postanowił odłożyć to do bardziej sprzyjającej okazji. A to, że wioska liczyła kilkaset osób, wbrew pozorom mogło okazać się czynnikiem korzystnym. Na pewno potrzebowała dużo żywności. Bez broni palnej myśliwi nie mieli szans. Tu Katso mówił uczciwie. A Roddy miał proch i ołów. Dla myśliwych i dla wioski znaczyło to bardzo wiele. W konsekwencji więc między nim a nimi wyrównywało jakoś szansę. Jeśli Katso był rozsądny, a chyba był, bo inaczej nie utrzymałby się w wiosce jako czarownik, to musiał wiedzieć, że prochu i ołowiu nie dostanie za darmo, że musi zapłacić czymś, co dla białego będzie musiało mieć taką samą wartość, jak dla Indian szansa zdobycia mięsa i wykarmienia wioski.

Znajdował się kilka kroków od swej ziemianki, gdy posłyszał jakąś szamotaninę i groźne warczenie psa. „Co u licha?” – pomyślał. Podeszedł ostrożnie do wejścia, zdecydowanym ruchem odsunął ciężką zasłonę i... omal nie parsknął śmiechem. Pośrodku izby, z

wykrzywioną przerażeniem twarzą leżał czarownik. Pies warczał, trzymając łapy na jego piersiach i rozwartą paszczę tuż przy gardle. Jego obnażone kły i groźny pomruk wydobywający się z pyska mówiły wyraźnie: nie ruszaj się i leż spokojnie. Tak, Roddy byłby niewątpliwie parsknął śmiechem, gdyby nie karabin. Leżał przy nogach Katso. Ten musiał go zdjąć z kolka, a to wcale nie było śmieszne. Pochylił się, podniósł broń z ziemi i zawiesił ponownie. Dopiero wtedy pogłaskał łeb psa i powiedział cicho:

– Dobrze już, piesku. Wszystko w porządku. Dobry pies, bardzo dobry. No, już chodź. Zostaw go. – Pies przestał warczeć i odsunął się od leżącego, ale zaledwie o krok. Nadal patrzył czujnie i nieufnie. – Dobry pies. – Pochylił się ponownie, chwycił czarownika za kołnierz, jednym ruchem postawił na nogach i dopiero teraz spostrzegł jeszcze coś: nóż leżał przy palenisku. Prawa ręka Katso zwisała bezwładnie. Przez postrzępiony rękaw widać było silnie krwawiącą ranę. W tej właśnie ręce czarownik musiał trzymać nóż. Inaczej pewno pies nie poraniłby go tak.

– Zdejmij, Katso, kozuch. Opatrzę ci ranę. Siadaj!

Inuit z trudem ściągnął wierzchnie okrycie i odsłonił rękę. Biały przysunął wiadro z wodą, szybkimi ruchami obmył ranę i zbadał rękę. Kość była cała. Z worka wydobył bandaż i butelkę jodyny. Sporą porcję wylał na pogryzione miejsce i nałożył opatrunek. Usiadł na pieńku i spojrzał pytająco na bladego jeszcze czarownika.

– To diabelskie stworzenie – wykrztusił tamten. – Zastrzel go, bo narobi biedy.

– On, czy ty? Czemu chciałeś ukraść karabin? – Czarownik zbłądł ponownie i uciekł w bok spojrzeniem. Odparł jednak pewnie:

– Wcale nie chciałem kraść. Chciałem go tylko obejrzeć.

Biały skrzywił się pogardliwie.

– Miałeś czas obejrzeć go dokładnie, gdy leżałem tu nieprzytomny. Teraz przyszedłeś zabrać. A co do psa, może przestaniesz wreszcie udawać i powiesz, skąd się tu wziął i do kogo należy. Wiem, że wiesz i że znasz tamtego białego.

Czarownik zacisnął zęby, milczał kilka chwil, po czym powiedział twardo:

– Nic nie wiem ani o psie, ani o żadnym białym.

– Imienia psa też nie znasz?

– Nie!

– No dobrze. Możesz nie mówić. To twoja sprawa. Ja nie muszę wiedzieć. Pies, jak twierdzisz, przyszedł z parowu ze mną. Jest więc mój. Muszę jakoś mówić do niego, jakoś go nazywać, prawda? Jakie imię radziłbyś mu nadać?

– Nie wiem! Nie znam zwyczajów białych ludzi!

– Widzisz, ten pies walczył w parowie o moje życie. Bronił mnie. Teraz bronił mojej własności. To obrońca. Na obrońcę biali mówią często Hektor. Co byś powiedział, gdybym psa nazwał Hektor?

Czarownik zadrżał na dźwięk tego słowa, skulił się w sobie i uczynił ruch, jakby chciał uciec czym prędzej sprzed oczu białego. Pies zastrzygł uszami, zdając się rozumieć wypowiedziane imię. – Chodź, piesku, chodź, Hektor. – Zwierzę przesunęło się, przysiadło na tylnych łapach i zbliżyło pysk do twarzy człowieka. Obwąchiwało ją niepewnie, jakby z ciekawością. Po chwili cofnęło się i przywarowało na ziemi. – No więc jak, Katso? Jak ci się podoba to imię?

Czarownik kiwnął głową. Rozumiał, że biały wie i że nie da się oszukać. Łatwo domyślił się, że imię psa musiała ujawnić dziewczyna. Była jeszcze młoda i głupia. Nie potrafiła trzymać języka za zębami. Mogła to uczynić nawet mimowolnie. Ale na pewno nie powiedziała nic więcej. Nie знаła mowy białego człowieka. Kiwnął głową jeszcze raz i spróbował się uśmiechnąć.

– To dobre imię – potwierdził niechętnie: – Nosił je poprzednio.

– Kiedy? – biały patrzył uważnie.

– Latem, na początku lata – poprawił się. – Gdy spłynął lód w strumieniach i stopił się śnieg. Był jeden biały z tym psem. Poszukiwacz – dodał. – Szukał złota. W wiosce zatrzymał się dwa lub trzy dni. Później poszedł. Nie wrócił do nas. Pewno na zimę wrócił do swoich. Psa nazywał tak jak ty. Katso zapamiętał, ale nie wie nic więcej. – Spod oka spoglądał na białego. Nie był pewny, czy tamten wierzy, ale nie zamierzał mówić więcej. Był poszukiwaczem i poszedł, i to wszystko. Nic więcej.

– Nie pamiętasz, jakie imię nosił ten poszukiwacz?

– Nie. Nie wymieniał go. Może powiedział wodzowi. Ale wodza nie ma.

– Rozumiem, Katso. Chcesz, bym uwierzył, że przez przeszło pół roku żaden z myśliwych nie zauważył, iż pies kręci się w pobliżu wioski? Mam uwierzyć, że biały poszedł, a jego pies został? Chcesz powiedzieć, że ty też w to wierzysz? Uważasz mnie za głupca, prawda?

– Nic więcej nie wiem. O psie nikt mi nic nie mówił. Nie wiem, co się stało z tamtym białym. Był parę dni i poszedł. Więcej nikt go nie widział. Możesz uwierzyć lub nie.

Roddy pokiwał głową. Oczywiście, że nie wierzył. Wioska i czarownik musieli wiedzieć, ale nie chcieli mówić.

– Pamiętasz może, jak wyglądał? Był młody czy stary?

– Nie pamiętam. Widziałem go raz czy dwa, gdy był tutaj, ale krótko. Taki jak inni.

– Jacy inni? – no..., biali. Wyglądał zwyczajnie. Nie przyglądałem mu się.

– Znalazłeś obrożę?

– Nie.

– A szukałeś?

– Tak, to znaczy nie ja. Poszło kilku myśliwych do parowu. Jeśli znajdą, przyniosą ci. Ale obiecałeś proch i ołów. Jest dobra pogoda. Myśliwi chcieliby iść na polowanie.

– Porozmawiaj z nimi. Może pamiętają tamtego poszukiwacza. Może wiedzą, co się z nim stało. I niech poszukają obroży. Jeśli dowiesz się czegoś, możesz przyjść.

– Dlaczego chcesz mieć tę obrożę? Może pies zgubił ją gdzieś dalej. Nikt nie znajdzie. Kobiety mogą zrobić mu inną, ładniejszą.

– Skąd wiesz, że ładniejszą? Widziałeś tamtą? – Katso zbyt późno spostrzegł, że powiedział o jedno słowo za dużo, ale nie spieszył się.

– Nie pamiętam. Tamten biały był dawno temu, a mówiąc o nowej myślałem, że kobiety z wioski mogą ozdobić ją koralikami, a nawet kolcami jeżozwierza. Będzie na pewno ładniejsza.

– Wolałbym, żeby znalazła się stara. Dopilnuj tego. A teraz zabierz swój nóż i możesz iść. Chcę zostać sam. I powiedz ludziom, by pamiętali o moich psach.

Zostawszy sam zdjął parkę i jeszcze raz starannie obejrzał karabin. Mechanizm działał sprawnie, a to było najważniejsze. Z podejrzanym błyskiem oczu popatrzył na psa. Zwierzę było mądre i musiało być poprzednio w dobrych rękach. Rzucił się na posłanie i popadł w zadumę. Pies, a właściwie jego dawny właściciel fascynował go coraz bardziej. Kim był? Skąd pochodził? Czy rzeczywiście opuścił wioskę i dokąd się udał? Jeśli tak, to czy i gdzie znalazł złoto? Co się z nim stało? Czy zdołał odejść daleko...? Nie, to pytanie było nielogiczne. Nie mógł odejść nigdzie daleko. Jeśliby wywędrował w bardziej odległe strony, pies byłby tam, a nie tu. A więc tamten biały nie odszedł daleko. Musiał umrzeć gdzieś w pobliżu. Dlatego i pies pozostał w tych okolicach. Roddy nie miał wątpliwości, że tamten umarł. Ale jak? Czy była to śmierć naturalna, czy wypadek, o który nigdy nie było trudno, a może... może ktoś pomógł mu celowo przenieść się do innego świata? Tu przypomniał sobie coś, coś bardzo podobnego. Tam też chodziło o złoto, o dużo złota. I wiedział, jak to się skończyło dla tamtego poszukiwacza. Może więc i w tym przypadku było podobnie. Katso nie chciał nic mówić, ale pewno wiedział. Mogła wiedzieć cała wioska lub przynajmniej paru ludzi. Jeśli w grę wchodziło złoto, ich postawa była logiczna. Tajemnicę woleli zachować dla

siebie. Mogliby płukać sami, a po wypłukaniu odpowiedniej ilości wymienić na potrzebne im towary. Ale mogło także chodzić o coś zupełnie innego.

Sięgnął po tytoń i skręcił papierosa. Sprawa zaczęła frapować go coraz bardziej. Z zamyślenia wyrwało go wejście dziewczyny. Przyniosła nowy kociołek zupy i zawiesiła nad ogniem. Gdy posilił się już, wyjęła spod kożucha dosyć gruby, szeroki prawie na dwa cale pasek skóry zakończony ciężką mosiężną sprzączką i podała mu ze słowami: – To dla Hektora. Na kark. Czarownik mówi: znaleźli myśliwi. Ale myśliwi nie szukać. To być u Katso w pudle. Tam różne rzeczy do czarów.

Roddy wziął skórę i przysunął się bliżej ognia. Nie miał wątpliwości, że była to obroża, w dodatku wykonana przez dobrego rymarza z twardej, wypalanej prawie na czarno skóry. Z wierzchu była prawie gładka. W paru miejscach na powierzchni nosiła ślady niezbyt głębokich zadrapań. Gdy spojrzał na stronę wewnętrzną, omal nie gwizdnął z wrażenia. Widział na niej wyraźny głęboko wypalony napis: „Hektor” i w odległości cała dwie duże litery N.W. Sprzączka nie była uszkodzona. Obrożę założył na szyję psa i poklepał go po grzbiecie. Zwierzę wstrząsnęło łbem i szczeknęło grubym głosem. Ale nie był to głos groźny, wyrażał raczej zadowolenie.

Mieszkaniec ziemianki patrzył dłuższą chwilę na dziewczynę, w końcu wskazał na psa i powiedział wyraźnie:

- Hektor nie mój. Ty wiesz.
- Nie, nie twój. Biały Ren wie. To pies inny mężczyzna potwierdziła dziewczyna.
- Znasz go?

Biały Ren wzruszyła ramionami.

- Nie rozumieć!

Zastanawiał się chwilę, po czym wskazując na nią palcem powiedział wolno i bardzo wyraźnie.

- Twoje imię Biały Ren, prawda?
 - Tak – przyświadczyła pewnie.
- Teraz pokazał psa i znów powiedział wyraźnie:
- Jego imię Hektor.
 - Znów potwierdziła. – A jakie imię tamten mężczyzna?
 - Drugi mężczyzna? Ten co mieć Hektora?

Przytaknął skwapliwie.

- Tak, imię ten drugi mężczyzna.

Widocznie zrozumiała, bo powiedziała również wyraźnie:

- Nanty. Nanty i Hektor. Mężczyzna i pies.

Odetchnął. A więc nie było tak źle, jak myślał. Z dziewczyną można się było jakoś porozumieć. Znów wskazał na nią.

- Biały Ren młoda dziewczyna. – Gdy kiwnęła głową, wskazał na siebie. – Ja stary.

Zaprzeczyła stanowczo.

- Ty też młody.
- A Nanty stary?

Poruszyła niezdecydowanie głową, po czym zmarszczyła czoło, szukając widocznie właściwych słów. Wreszcie twarz jej ożywiła się. Z niewielkiego stosu drzewa wyjęła kilka różnej długości patyków i ułożyła je w kolejności od najkrótszego do najdłuższego, po czym wskazując najkrótszy powiedziała:

- Hektor. To być Hektor. Bardzo młody.

– Dotykając drugiego pokazała na siebie. – Biały Ren też młoda. Ten trzeci, to Nanty, ty czwarty, a czarownik piąty. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Uśmiechnął się do dziewczyny przyjaźnie i kilkakrotnie przytaknął. – Biały rozumie dobrze – dodał. – Chcesz powiedzieć, że Nanty jest starszy od ciebie, ale młodszy ode mnie. Nanty nie jest stary.

– Nie stary – potwierdziła.

– Nanty młody. Nie mieć długa broda.

Przyglądał się jej kilka chwil, po czym spytał: – Gdzie jest Nanty?

Musiała dobrze zrozumieć, bo szybko odwróciła wzrok.

– Nie ma tutaj. Iść, gdy słońce ciepłe. Dawno. Nie wrócić. Biały Ren musieć już iść. Gdy nie iść, czarownik zły. – Nie czekając na to, co powie biały, otuliła się futrem i wybiegła na zewnątrz.

Nie próbował jej zatrzymać. Podeszedł jedynie do wejścia i przez szparę w zasłonie przyglądał się dokąd biegnie. Nie musiał patrzeć długo. Weszła do trzeciej z kolei ziemianki stojącej tuż na skraju świerkowej gęstwiny. A więc pewnie tam mieszkał również czarownik. Roddy był ciekaw, czy przyjdzie po obiecany proch i ołów, jednak ani w tym dniu, ani podczas trzech następnych nie pojawił się. Owszem, można go było spotkać w wiosce. Na białego jednakże zdawał się nie zwracać uwagi. Podobnie zachowywali się i inni mężczyźni. Swym zachowaniem okazywali wyraźnie, że obecność obcego białego człowieka jest im niemiła. Na kilkakrotne próby nawiązania rozmowy wzruszali jedynie ramionami, dając wyraźnie do poznania, że nie rozumieją. Co gorsza, przestała go odwiedzać dziewczyna. Wprawdzie angielski znała słabo, jednak można się było jakoś z nią porozumieć. Od trzech dni posiłki i drewno na opał przynosiła mu jakaś prawdopodobnie zupełnie głucha, pomarszczona starucha, która nie reagowała ani na głos człowieka, ani na warczenie psa. Ale posiłki były coraz bardziej skąpe.

Nie dziwił się. Sześć karibu było to wprawdzie dużo, ale nie dla wioski liczącej kilkaset osób. Widział codziennie, jak rankiem wyruszają w teren grupy myśliwych, ale i widział, jak wracają. Całą ich zdobycz stanowiły zwykle dwa, trzy zające, wilk, czasem lis. Nie łudził się, że wiosce ponownie zagraża głód. Zdawał sobie sprawę, że w promieniu najmniej dwu dni drogi zwierzyna musiała być wytępiona doszczętnie – w każdym razie zwierzyna grubsza. I jeśli on sam nie miał umrzeć z głodu, musiał wioskę opuścić przynajmniej na jakiś czas. Gdy myślał o tym pierwszy raz, sądził, że uda mu się Indian jakoś przetrzymać, a czarownika zmusić do mówienia. Widocznie nie znał ich dobrze. Skonstatował to już piątego dnia pobytu i zabrał się za naprawienie uprzęży, którą odciął tuż przed walką w parowie. Gdy skończył pracę, zjawił się czarownik. Bez zwykłych słów powitania powiedział:

– Widzę, biały człowieku, że odchodzisz. Czynisz dobrze. Tu przyjdzie niedługo głód. Obiecałeś dać nam proch i ołów.

– A ty obiecałeś się dowiedzieć czegoś o białym, który tu był przede mną i do którego należał pies. Czy wiesz dokąd odszedł i co się z nim stało?

Katso pokręcił przecząco głową.

– Nie wiem. Inni też nie wiedzą. Czemu interesuje cię tak bardzo?

– Może nie tak bardzo jak myślisz, ale był białym. Myślę, że z jakichś powodów ukrywasz o nim prawdę. Może go zabiliście i boisz się o tym powiedzieć. Gdy wrócę do Dawson, powiem ludziom z policji, że na waszych terenach zaginął biały. Przyślą tu cały oddział i przeprowadzą śledztwo. Pewno ustalą, co się stało.

Katso cofnął się o krok, coś ważył w myśli, w końcu powiedział zduszonym głosem:

– Zastanów się, co chcesz zrobić, biały człowieku. Mogliśmy zostawić cię razem z wilkami w parowie i pozwolić byś umarł. Uratowaliśmy ci życie nie po to, byś przysyłał nam Mounties. Nie chcemy ich tu. Nie chcemy tu w ogóle białych. To oni wypłoszyli zwierzynę. Dlatego ludzie Tsakho kwáni⁴ nie mają na co polować i cierpią głód. Wielu umrze tej zimy.

⁴ Tsakho kwáni – dosł. „Ludzie Fok” – jeden ze szczepów plemienia Tutchome.

Jeśli przybędą tu Mounties, powiększą tylko nieszczęście. Nie waż się im mówić o tym białym, który tu był i... odszedł. To jego sprawa dokąd poszedł, nie twoja. I nie policji.

– Może masz rację, Katso, a może nie. Gdybyś powiedział mi, to co wiesz, może nie musiałbym nikomu nic powtarzać, ale skoro wolisz milczeć, będę musiał zawiadomić Mounties. Po co mają myśleć, że ja pozbawiłem życia tego białego. A o jego śmierci dowiedzą się na pewno. Jeśli ja im powiem, że coś ukrywasz, nie będą podejrzewali mnie. Zastanów się jeszcze. Odejdę stąd o świcie. Jeśli przedtem dowiem się prawdy od ciebie, nie powiem nikomu. I zostawię proch i ołów dla twoich myśliwych. Jeśli nie powiesz prawdy mnie, będziesz tego żałował.

Czarownik obrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Odprowadziło go zimne spojrzenie Roddy Dowsona.

Dawno umilkły wszelkie odgłosy w indiańskiej wiosce, przygasły płomienie ognisk w zimowych lepiankach, przebrzmiał ostatni głos polarnej sowy, gdy zachybotła zasłona przy wejściowym otworze jednego z prymitywnych domostw i z wnętrza wynurzyła się przygięta ku ziemi postać. Dłuższą chwilę wsłuchiwała się w panującą wokół ciszę, bezszelestnie przemknęła ku wąskiej ścieżynie wydeptanej w śniegu, minęła kilka ziemianek i zagłębiła się bez wahania w gęsty modrzewiowy las. Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, zdjęła z pleców parę śnieżnych rakiet i nałożyła je na grube mokasyny.

Mimo głębokiej nocy, wszystkie ruchy postaci były wyraźnie widoczne na tle śniegu. Toteż gdyby znalazł się tu jakiś przypadkowy widz, nie miałby trudności z rozpoznaniem, kogo ma przed sobą. I nie pomyliłby się. Długie bobrowe futro i kaptur, chociaż szczelnie skrywały całą postać, pozwalały dojrzeć zarówno twarz, jak i rzadką szczeciniastą brodę Katso. Zresztą po wymknięciu się z wioski, nie krył się. Wiedział, że tutaj nikt go już nie zobaczy. Spokojnie zamocował rakiety i szerokim pasem mocniej ściągnął kozuch. Wprawdzie miał pod nim strzelbę, ale nie wyjmował jej. Obawiał się, że padający od kilku godzin mokry śnieg mógłby ją zamoczyć, i co ważniejsze, mógłby nasączyć wilgocią proch, którego kilka miarek skrzętnie przechowywał, nikomu się do tego nie przyznając. Przechowywał go jeszcze od lata, od czasu gdy w pewnym miejscu znalazł kilka naboji, takich jakie biali używali ostatnio do swych wielostrzałowych karabinów. Rozebrał te naboje i zabrał proch. Przechowywał go aż do tego czasu. Wydobył dopiero po ostatniej rozmowie z białym. Zrobił tylko dwa ładunki. Jeden na człowieka i jeden na psa. Nie potrzebował więcej. Nie zamierzał strzelać z daleka. Rozlatująca się dwulufowa strzelba mogła z daleka chybić. Katso nie mógł ryzykować i postanowił strzelać z bliska. Najwyżej z kilku kroków. Był pewien, że z takiej odległości nie chybi ani do człowieka, ani do psa.

Przemyślał wszystko i wcale nie był pewien, czy zwierzyna wyjdzie na strzał. Miała tylko dwie drogi: tę, którą dostała się do wioski przez wilczy parów i tę, na której zamierzał teraz urządzić zasadzkę. Nie wiedział, którą drogą biały pójdzie. Jeśli pierwszą – swym powrotnym tropem, to czarownik nie zamierzał mu przeszkadzać. Tamta ścieżka nie prowadziła do osiedli białych ludzi. Nie była niebezpieczna dla wioski. Niebezpieczna była tylko ta druga i Katso postanowił nie puścić nią białego. Nie chciał, by do wioski przyszła policja.

Jeszcze raz sprawdził wiązania rakiet, poprawił pas, podniósł kołnierz i zanurzył się w gąszczu boru. O świcie dotarł do skalnego rumowiska. Obszedł je dużym łukiem i w pół godziny później skrył się dobrze za pierwszym załomem. Właśnie wtedy biegł szlak na Dawson i Klondike. I nie można było pójść inną drogą, jeśli nie chciało się nadłożyć wielu dni uciążliwego marszu. Była to jedyna droga ku przełęczy i dalej przez góry w stronę Jukonu. Wiedział, że biały zna ten szlak.

Ułożył się wygodnie za skałą. Przed sobą miał kilkanaście jardów pustego skłonu zbocza i ścieżkę, którą na górskie łowy chodzili myśliwi. Katso był przezorny i na ścieżkę nie wkroczył ani razu. Szedł z dala od niej. Wchodziła w gęsty modrzewiowo świerkowy las,

urywający się tuż przy wzniesieniu o kilkanaście kroków od skały. Gdy biały wyjdzie spomiędzy drzew, nie będzie miał szans. I jedna kula wystarczy. Druga dla psa.

Strzelby jeszcze nie wyjmował. Nie obawiał się, że przeoczy właściwy moment. Gęstwina, przez którą biegła ścieżka, miała nie więcej niż ćwierć mili szerokości. Dalej jaśniał pas białej równiny. Na niej i zaprzęg, i człowiek będą widoczni jak na dłoni. Zdąży więc przygotować się jak należy.

Wykopał w śniegu głębszą jamę, okrył się szczelniej futrem i zamarł w oczekiwaniu. Gdzieś z południa nadleciał wilgotny wiatr; śnieg jakby zgęstniał nieco. Widoczność jednak nie pogorszyła się. Według przewidywań zaczajonego w zasadzce mężczyzny, biały powinien pokonać już przynajmniej ze dwie trzecie drogi, albo i więcej, i lada moment winien ukazać się na skraju odległej otwartej przestrzeni. Jednak musiało minąć jeszcze pół godziny, nim z oddalonego o milę boru wysunął się zaprzęg, a za nim człowiek. Zanim jednak przebył połowę odkrytego szlaku, upłynęło znów sporo czasu.

Widać było wyraźnie, że biały nie spieszy się. Musiał zdawać sobie sprawę, że psy odpoczywając przez kilka dni nie są dosyć sprawne, że ponownie muszą przywyknąć do pracy, zanim będzie mógł popędzić je szybciej. Katso nie dziwił się. Sam postępowałby podobnie. Od czasu do czasu zerkał na nadciągający zaprzęg i wreszcie mógł odróżnić pojedyncze zwierzęta. Szła cała siódemka. Z tyłu sań, widocznie przywiązany rzemieniem, włókł się ósmy – Hektor. Człowiek bał się widocznie puścić go wolno. Nie był pewien, czy pies gdzieś nie ucieknie. Czarownikowi było to na rękę. Pies nie mógł biegać i nie mógł odkryć jego śladów. A biały nie mógł mieć tak czułego nosa jak pies. Szedł na czele zaprzęgu, przecierał szlak i nie niósł na plecach karabinu. Pewno zwyczajem wielu traperów złożył go na saniach, ale dla Katso nie miało to większego znaczenia. Wszak nie zamierzał z takim walczyć. Chciał go po prostu zabić.

Wreszcie człowiek dotarł i za chwilę on, zaprzęg i czarny pies skryli się przed oczyma patrzącego.

Jeszcze kilka minut leżał bez ruchu, po czym ostrożnie wyjął spod futra fuzję i cicho odwiódł obydwa kurki. Przywarł jeszcze gdzieś w gęstwinie rozległ się słaby dźwięk. Chwila ciszy i znów. Nie miał wątpliwości, to skrzypiały sanie. W parę minut później słyszał je już zupełnie wyraźnie. Wkrótce doszedł go głos ciężkiego sapania psów. Były o czterdzieści, może trzydzieści kroków i ciężko pięły się pod górę.

Z zaciętą twarzą przyłożył broń do ramienia i lufę skierował w stronę wylotu ścieżki. Skrzyp sań rozległ się coraz bliżej. Coraz głośniejsze rozlegało się ciężkie sapanie psów. Inuit zdecydowanym ruchem oparł palce na języku spustowym strzelby i znieruchomiał.

Zza rozłożystego, pokrytego śnieżną czapą świerku wysunął się olbrzymi husky, za nim pierwsze dwa psy, następna dwójka, jeszcze jedna i sanie. Znieruchomiła lufa, stwardniał wzrok, jeszcze chwila i ...z tyłu, zaledwie o kilka kroków ostry rozkazujący, szyderyczy głos:

– Nie ruszaj się! Połóż broń!

Nie musiał się oglądać. Znał ten głos i wiedział, że przegrał. Wypuścił strzelbę i obrócił głowę. Tamten stał przy sąsiednim skalnym bloku i miał w ręku swą krótką broń. Obok niego stał pies. Czarownik spojrzał w czarny otwór lufy i opuścił głowę. Wiedział, że nie ma szans.

Nie bronił się, gdy tamten wiązał mu ręce i nogi. Czuł, jak unosi go bez wysiłku, a w kilka chwil później niczym worek padliny rzuca na sanie. Zaciśnął mocno powieki i starał się nie myśleć o tym, co może go spotkać za chwilę. Nie chciał myśleć o tym, jak i kiedy tamten odkrył zasadzkę ani jak udało mu się podejść bez szmeru tak blisko. Musiały mu chyba pomagać wszystkie złe duchy.

Rozdział VII

Tajemnica Tsakho kwáni

Roddy Dowson opuszczając o świcie wioskę Tsakho kwáni nie miał większych wątpliwości, co czeka go na szlaku, jeśli nie zachowa ostrożności. Nie bez przyczyny przecież poprzedniego dnia straszył czarownika donosem na policję. Jego rozumowanie było proste: jeśli Indianie nie mają nic wspólnego ze śmiercią poprzedniego właściciela psa i rzeczywiście nie wiedzą, co się z nim stało, jeśli w grę nie wchodzi złoto, to nie będą obawiali się policji i pozwolą mu spokojnie odejść. Jeśli natomiast mają coś na sumieniu, postarają się, by zniknął tak jak tamten. W swym rozumowaniu nie pomylił się. Widział, jak nad ranem czarownik chyłkiem opuszcza wioskę.

Oddalając się z niej sam o świcie, natychmiast puścił przed siebie psa i w kilkanaście minut później wiedział już, dokąd udał się Katso. Hektor odnalazł ślady, a biały wysnuł z nich właściwe wnioski.

Teraz wracał do obozu Indian zadowolony. O kilkadziesiąt kroków przed zaprzęgiem buszował Hektor i łatwo było poznać, że na swobodzie czuje się znacznie lepiej niż w dusznej zadymionej ziemiance. On też pierwszy swym basowym głosem obwieścił wiosce o powrocie wyprawy. Zaalarmowani ludzie wybiegali z ziemianek, mężczyźni porzucali swe zwyczajne zajęcia, dzieciarnia biegła z krzykiem za saniami. W twarzach dorosłych malowało się zdumienie, niepewność i niepokój. Czarownika rozpoznano natychmiast. Leżał na saniach skrzepowany jak baran. Za zaprzęgiem, dzierżąc w ręku swą długą strzelbę, postępował biały. Zdawał się na nikogo nie zwracać uwagi, chociaż wzrok jego szybko i uważnie przeczesywał gęstniejący bez przerwy tłum. Nie okazywał lęku. Zmierzał ponownie w stronę chaty, którą zajmował uprzednio. Dotarłszy do niej, jedną ręką swobodnie dźwignął jeńca, drugą ściągnął z sań worek, odwinął zasłonę i zniknął we wnętrzu. W parę chwil później ukazał się ponownie, zwolnił z uprzęży psy, zabrał resztę rzeczy pozostałych na saniach i ponownie wszedł do ziemianki. Dopiero teraz zrzucił wierzchnią odzież i dorzucił drzewa do paleniska. Na nadal związanego, rzuconego w kąt izby czarownika nawet nie spojrzał. Skręcił grubego papierosa, przypalił go od żarzącego się patyka i usiadł na pieńku. Palił wolno, w milczeniu i czekał. Rosnący na zewnątrz gwar mówił mu, że przed chatą gromadzi się coraz więcej ludzi. Domyślał się, że niedługo będzie miał tu całą wioskę, ale nie bał się. Rozumiał, że są zdezorientowani, zaskoczeni, ale że nie przedsięwzmaczają przeciwko niemu żadnych nieprzyjaznych kroków. Nie uczynił im nic złego. Jak widzieli, nie uczynił nic złego czarownikowi. Musieli się domyślać, że miał wystarczający powód, by go związać. Ale skoro przywiózł go tutaj, skoro nie zabił gdzieś daleko od wioski, to może nie miał wobec nikogo złych zamiarów. Na pewno nie mieli ochoty na walkę. Wprawdzie ich było wielu, ale on miał swój karabin. Gdyby spróbowali z nim walczyć, pewno zabiłby niejednego.

Tak, teraz mógł spokojnie poczekać. Chciał im zresztą dać czas na podjęcie jakiejś decyzji. I nie czekał długo. Nie minęła godzina, gdy na zewnątrz, za zasłoną, rozległ się szmer, a następnie odezwał się drżący trochę głos:

- Tu Biały Ren, przyjaciel. Ty nie zabić. Biały Ren przyjaciel. Chce wejść.
- Wejdz. Biały też przyjaciel. Nie zabić.

Dziewczyna wsunęła się do izby, ale zatrzymała się tuż przy wejściu. Z wyraźnym lękiem patrzyła na białego. Usiłując opanować drżenie głosu, położyła rękę na piersi i powtórzyła:

– Biały Ren przyjaciel, nie wróg. Katso też nie wróg. Też przyjaciel. Tsakho kwáni przyjaciele. Ty nie zabijać.

Patrzył na nią bez słowa, po czym wstał, przeszedł do kąta, gdzie leżał skępowany czarownik, postawił go przed dziewczyną i powiedział stanowczo:

– Katso wróg. Chcieć zabić białego. Biały przyjaciel wszystkich Tsakho kwáni. Rozumiesz?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Biały Ren rozumieć. Ale Katso nie wróg. Też przyjaciel.

– Nie, Katso wróg. Umrze.

– Nie, nie wróg. Ty nie zabijać.

– Biały Ren przyprowadzić wodza! Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Biały Ren nie rozumieć.

Roddy chwycił czarownika za brodę i obrócił twarzą ku sobie.

– Powiedz jej, żeby natychmiast przyprowadziła wodza. I powiedz, że jeśli go nie przyprowadzi, to obedrę cię żywcem ze skóry. Biały Ren zrozumiała, że chciałeś mnie zabić. Powtórz ludziom. Nie będą cię bronić. Każ jej przyprowadzić wodza, ale niech przyjdzie sam.

Katso poszarzał na twarzy. Wiedział, że biały jest niebezpieczny i że może wykonać swą groźbę. Toteż przytaknął kilkakrotnie i rzucił szybko kilka słów w stronę dziewczyny, która wybiegła natychmiast z izby.

Roddy posadził jeńca na skórach, ale nie rozwiązywał go. Sam ponownie usiadł na pieńku, podniósł z ziemi jakiś kamień i zaczął spokojnie ostrzyć nóż.

Wódz nie musiał znajdować się zbyt daleko, bo nim minęło pięć minut, odchyliła się ponownie zasłona i przez otwór prześlizgnął się niezbyt wysoki, całkiem jeszcze młody mężczyzna. Przez chwilę stał bez ruchu, zdając się oswajać z półmrokiem parującym we wnętrzu. Przemknął spojrzeniem po skępowanej postaci czarownika, po czym z widoczną złością spojrzał w twarz białego.

– Chciałeś mnie widzieć – wybuchnął gniewnie. – Czego chcesz?

Roddy odłożył kamień, schował do pochwy nóż, uniósł się ociężale, postąpił do przodu, mocnym chwytem ujął bluzę na piersiach wodza, bez wysiłku podniósł go do góry i trzymając kilka cali nad ziemią, powiedział zimno:

– Chciałem cię widzieć już wcześniej. Chciałem wiedzieć, czemu ukrywasz się przede mną, czemu zapomniałeś o prawach gościnności i wypędzasz mnie z wioski, co uczyniłeś z tym białym, który przebywał tu latem? Wreszcie, czemu zamierzałeś mnie dzisiaj zabić rękami tego eskimoskiego kundla, który podobno jest tu czarownikiem? Gadać wszystko, co wiesz. O złocie również. I nie próbuj kręcić, bo skrucę ci kark, tchórze – rozumiesz?

Nie zadając sobie trudu postawienia wodza na ziemi, cisnął go niczym tłumok obok czarownika. Sam cofnął się, usiadł ponownie na pieńku i z widoczną przyjemnością słuchał, jak z przyduszonego przez dłuższy czas gardła wodza wydobywa się świszczący chrapliwy oddech. Gdy oddech ten przycichł nieco, spytał obojętnie:

– Będiesz gadał?

Tamten skwapliwie kiwnął głową. Widocznie nie mógł jeszcze wydobyć z siebie głosu. Wreszcie jednak jęknął i zaczął. W miarę jak odzyskiwał oddech, mówił coraz składowiej. Co jakiś czas, jedno lub kilka zdań wtrącał czarownik. I chyba nie ukrywał niczego, bo w pewnej chwili biały podniósł się i przeciął więzy na jego rękach i nogach. Jednocześnie zwrócił się do wodza:

– Ludzie są zaniepokojeni. Powiedz im, że wszystko jest w porządku i żeby wrócili do swoich zajęć. Powiedz im też, że odejdę jeszcze dziś i że myśliwym zostawię proch i ołów.

Odprowadziwszy ludzi sprzed chaty białego, Shiyatá mówił jeszcze długo. Wspomagał go gorliwie Katso. Obydwaj starali się jak mogli. Ale nie wiedzieli wszystkiego. Niektórych rzeczy domyślali się tylko. Nie wiedzieli, gdzie znajduje się grób poprzedniego właściciela psa, chociaż obydwa pamiętali go dobrze i znali nawet jego nazwisko. Odpowiadało inicjałom na obroży. Przypominali sobie masę szczegółów z jego pobytu w ubiegłym roku w wiosce. Wiedzieli, że znalazł złoto, chociaż nie potrafili powiedzieć, gdzie. Domyślali się jedynie. I nie ukrywali tych domysłów. Mówili i o innych sprawach. Nie ukrywali, co myśleli o nim samym, gdy nieprzytomnego znaleźli w parowie, gdzie toczył swój ostatni bój z wilczą hordą. Shiyatá przyznał otwarcie, dlaczego nie zostawili go, by umarł, ani nie zabili sami, chociaż rozum tak właśnie nakazywał im postąpić.

– Gdy zrozumieliśmy swoją pomyłkę – kończył wódz – zrozumieliśmy też, że jeśli chcemy żyć, jeśli nie chcemy byś sprowadził na ludzi nieszczęście, musisz umrzeć. I dlatego Katso zaczął się na ścieżce, by cię zabić. Mogliśmy zabić cię w wiosce. Ale nie chcieliśmy, by ludzie wiedzieli. Żyli i tak w strachu. Oni nie są winni i nie odpowiadają za to, co chcieliśmy uczynić z tobą. Możesz ukarać Katso lub mnie, albo obydwu. Ale powiedzieliśmy ci wszystko, co wiemy i co chciałeś wiedzieć.

Roddy milczał długo. Zastanawiał się nad tym, co mu powiedzieli, rozważał każde słowo, oddzielał fakty od podejrzeń i domysłów. Jego przypuszczenia co do losu tamtego poszukiwacza potwierdziły się. Ale nadal były to przypuszczenia. Jeśli prawdą było to, do czego przyznawał się czarownik, to tamten zginął z powodu złota. Musiał je znaleźć. Nie był jednak wystarczająco ostrożny. Tak, sprawę złota mógł sprawdzić natychmiast. Zresztą kilka innych szczegółów również. Z zadumą spojrzał na Inuit i powiedział: – Przynieś, Katso, rzeczy, które tamten pozostawił.

Czarownik podniósł się bez słowa i opuścił ziemiankę. Gdy wrócił w kilkanaście minut później, niósł z sobą niewielkie pudełko sporządzone z kory. Jego zawartość wysypał na ziemię. Nie było tego wiele. Mały irchowy woreczek zawiązany zieloną wstążką, a w nim kilkanaście bryłek złota – mniej niż pół funta. Wystarczało jednak, by potwierdzić słowa czarownika. Mały, z jednym ostrzem scyzoryk w szylkretowej oprawie, stary, zniszczony mocno pugilares, a w nim kilka pożółkłych, zapewne rodzinnych zdjęć, metryka urodzenia wystawiona przez parafię w St. Regis i osobisty dziennik. Roddy czytał go uważnie. Cała prosta treść mówiła wszystko. Na końcu widniał adres. Niewielki srebrny medalion z łańcuszkiem, a w nim miniaturowe zdjęcie. Przedstawiało twarz młodej dziewczyny. Porównanie ze zdjęciami z pugilaresu nie pozostawiało większych wątpliwości. Twarz z medalionu występowała i na tamtych fotografiach.

Shiyatá i Katso z napięciem patrzyli na białego. Ale niewiele mogli z niej wyczytać. Odetchnęli, gdy wydobył ze swego podróżnego worka kilkanaście metalowych pudełek prochu, użył kawał ołowiu, dwie puszki po pięćset sztuk spłonek i położył obok wodza.

– To dla twoich myśliwych – powiedział. – Muszą oszczędzać, bo zima jeszcze długa. Pamiętaj, o tym co powiedzieliście mnie, nie powiecie nikomu więcej, żadnemu białemu, żadnemu – powtórzył z naciskiem. – Nic nie wiecie. A ponieważ zabieram psa i rzeczy tamtego, nic was nie zdradzi. Gdyby tu przyszła kiedyś policja, też niczego nie znajdzie. Wioska może być spokojna. A teraz uważajcie. – On z kolei mówił długo. Mówił wyraźnie, spokojnie, twardo. Nie owijał niczego w bawełnę. Wolał uniknąć niepotrzebnych niedomówień i nieporozumień. Nie powiedział im wszystkiego. Powiedział tyle, ile powinni wiedzieć, by nie popełnić błędu. Gdy skończył, spytał krótko: – Zrozumieliście dobrze? – Obaj skinęli głowami. Obydwaj zrozumieli, że biały wywiódł ich w pole i teraz trzymał mocno w garści.

Zrozumieli również, że nie pomogłoby im nawet, gdyby teraz go zabili. Wyjaśnił im to aż nadto dobitnie.

W godzinę później, mimo iż śnieg zgęstniał jeszcze bardziej, ponownie opuszczał wioskę. Jednak tym razem nie dążył na zachód swym porannym szlakiem wiodącym ku osiedlom białych ludzi nad alaskańską granicą. Powrócił na południowy szlak, którym przybył tu przed kilkoma dniami. Niestety, prawie w ogóle nie zabierał żywności. Indianie jej nie posiadali. A po upolowanych kilka dni wcześniej karibu nie zostały nawet kości. Był jednak spokojny. Psy wróciły do sił i ciągnęły znacznie lżejsze sanie o szerokich płozach, sunące bez oporu po miękkim śniegu. Wiedział, że bez pokarmu mogą wytrzymać przynajmniej dwa dni. Miał nadzieję, że w tym czasie zdoła coś upolować.

Parów, w którym dopadły go wilki, minął przed zmierzchem, ale nie zatrzymywał się. Jak najszybciej chciał dotrzeć do podnóża zalesionych gór, gdzie mógł spodziewać się jakiejś grubszej zwierzyny. Gdy poprzednio zdążył w stronę wioski, widział góry o kilkanaście mil na wschód od szlaku. Teraz skierował zaprzęg w tamtą stronę.

Koło północy, w miejsce w miarę płaskiego terenu pojawiły się liczne niewysokie wzgórza, płytkie doliny, gdzieniegdzie zamarznięte niewielkie jeziora. Mijał je bez większego zainteresowania. Brak lasów wykluczał możliwość spotkania zwierząt. Góry ujrzał o świcie. Był od nich w odległości ośmiu, może dziesięciu mil, ale w nogach czuł już porządnie prawie osiemnastogodzinną bezustanną wędrówkę. Wyraźnie zmęczony był cały zaprzęg, a nawet Hektor, który przez przeszło połowę drogi buszował bez przerwy w przedzie, włókł się teraz ociężale z sankami, nie wyglądając wcale lepiej niż pozostałe psy.

Odpoczywali już przynajmniej godzinę, gdy nagle Hektor postawił uszy i zjeżył sierść na grzbiecie.

Roddy sięgnął po karabin i delikatnie odwiódł kurek. Pies wyciągał pysk w stronę sąsiedniego pagórka zasłaniającego dalszy widok. Wiatr wiał z tamtej strony i ktokolwiek zbliżał się – zwierz czy człowiek – nie mógł wyczuć ani usłyszeć zagrzebanego w śniegu zaprzęgu. Nim minęło pół minuty od pierwszego sygnału danego przez psa, zza wzniesienia wychynął bury kształt dużego wilka.

Człowiek nie zastanawiał się. Krótki ruch broni, głuchy grzmot wystrzału. W stronę tarzającego się w śniegu zwierzęcia ogromnymi susami pędził czarny pies. Potężny miażdżący chwyt. Jedno, drugie szarpnięcie i ciało wilka znieruchomiało. Pies zacisnął paszczę na karku martwego wroga i począł ciągnąć go po zboczu w stronę sań. Roddy patrzył jak zahipnotyzowany. Pies, mimo że na pewno głodny, nie zabierał się do uczt. Zdobycz przyciągnął do stóp człowieka i dopiero wtedy wypuścił z pyska. Poderwały się pozostałe psy, ale mężczyzna odpędził je ostrym głosem. Szybko ściągnął z wilka skórę, mięso podzielił na osiem części i dał psom. Z przyjemnością słuchał, jak w ich mocnych szczękach trzaskają kości. Miał więc z głowy pierwszy, może najważniejszy dla nich posiłek. Ale miał też świadomość jeszcze czegoś. Hektor był znakomitym psem myśliwskim. Gdy usłyszał, a może jakimś niepojętym sposobem wyczuł bliskość zwierzyny, dał jedynie znak, uprzedził człowieka i poczekał na strzał. Skoczył dopiero wtedy.

Widocznie ze swym poprzednim Panem musiał często polować i wiedział, jak się powinien zachować. Teraz, połknąwszy swoją część szczeknął wesoło i obiegł dokoła zaprzęg, jakby pragnął powiedzieć, że czas w drogę, a widząc, że psy nie bardzo mają ochotę ruszyć się, z groźnym warczeniem doskoczył do przodownika i począł kłapać zębami przy jego pysku.

– W porządku, Hektor – powiedział mężczyzna. – Idziemy.

Ujął w rękę bat. Psy podniosły się. Zaprzęg ruszył w dalszą drogę.

W cztery godziny później dotarli do podnóża gór. Tu człowiek ponownie skręcił bardziej na południe i posuwał się jeszcze przynajmniej trzy kwadransy skrajem rzadkiego sosnowego lasu, aż wreszcie znalazł się na skraju jodłowej gęstwiny. Jeśli dziki zwierz miał gdzieś szukać schronienia i pokarmu, te właśnie tu. Roddy wprowadził zaprzęg w pierwszy napotkany wcinający się w zbocze parów. Wciągnął sanie pod osłoną wysokiej srebrnej jodły.

Zdjął uprząż z psów i zapędził je pod zwisającą tuż nad ziemią ciężką ośnieżoną gałąź. Wyjął z pokrowca winchester i powiedział cicho: – Idziemy! – Hektor dał potężnego susa i parokrotnie machnął ogonem, zdając się mówić: – Ja jestem gotów. Na co czekasz?

Posuwali się cicho wzdłuż gęstwiny. Pies pomykał o kilkę kroków przed myśliwym, trzymając cały czas pysk zwrócony w stronę wiatru. Na pojedyncze zajęcze tropy, które przegrodziły im drogę, nawet nie spojrzał. Nie zareagował na ślad wilka ani prawie równolegle biegnące lisie tropy. Chłonał woń niosącą się wyżej, nad ziemią. Przeszli już z ćwierć mili, gdy raptownie przystanął. Parę chwil trwał w bezruchu, po czym wolno zwrócił pysk w stronę nieprzebitego gąszczu. Chciwie łowił jakiś zapach. Stał tak kilkanaście sekund, po czym zawrócił i począł się oddalać truchtem w stronę, z której nadeszli. Nie oglądając się za siebie, przebiegł milczkiem kilkadziesiąt jardów, po czym zniknął w gęstwinie.

Myśliwy, zdający się nie rozumieć w pierwszej chwili jego zachowania, zaczął wreszcie pojmować. Zsunął ostrożnie rękawicę z prawej ręki i cicho odwiódł kurek. Czekał bez ruchu, ale nie czekał zbyt długo. Nim minęło kilka minut, gdzieś o dobre ćwierć mili rozległ się basowy głos psa. W krótkich odstępach głos powtórzył się jeszcze dwukrotnie, za każdym razem bliżej. Niezbyt daleko dał się słyszeć szelest roztrzucanych gałęzi, tupot kopyt i nie dalej niż kilkadziesiąt kroków od przyczajonego człowieka wyprysło z gąszczu stadko płowoszarych łań. Mimo głębokiego śniegu, w rzadkim sosnowych lesie zwierzęta pomknęły niczym wiatr.

Dwa razy zagrzmiał karabin. Dwie ostatnie sztuki zwały się w miękki śnieg. Spod gałęzi świerku wypadł pies i jeszcze przez kilkanaście chwil gnał za niknącym w głębi boru stadem. Dopadłszy powalonych bronią człowieka zwierząt, stanął jak wryty. Uniósł ku górze łeb. Z przepastnej gardzieli wybiegł zwycięski wibrujący w powietrzu zew, nieomylny znak płynącej w żyłach psa domieszki wilczej krwi.

W jakiś czas później obok pozostawionych sań stanął prosty szałas i zapłonęło ognisko. Piekły się nad nim duże kawały mięsa, ale nie cała zdobycz. Jej znaczną część Roddy pociął na duże porcje i zawiesił na gałęziach pobliskich drzew. Temperatura powietrza nie była zbyt niska – najwyżej kilkanaście stopni poniżej zera, ale wystarczało to w zupełności, by do rana mięso zmarzło na kość i nie psuło się. Miał go teraz odpowiedni zapas na dalszą drogę i nie musiał oszczędzać. Dzisiejsze zachowanie Hektora upewniło go, że zyskał znakomitego pomocnika w łowach. Pies nie gonił zwierzyny, on pędził ją na myśliwego. I albo był to jego instynkt, albo nauczył go tej trudnej sztuki poprzedni właściciel. Dzięki niej zaopatrzenie się w pokarm w tych dzikich bezludnych stronach przestało być problemem. I pies chyba zrozumiał to i musiał być z siebie zadowolony. Zadowolenie to było zapewne tym większe, że wreszcie od wielu dni ponownie czuł w żołądku przyjemny ciężar i uczucie sytości. Wyciągnął się w pobliżu ogniska i zdawał się drzemać.

Roddy obserwował go z ciekawością i podziwem. Po tym co powiedzieli mu Shiyatá i Katso wiedział, że pies błakał się samotnie od wielu miesięcy. Nie schudł jednak, nie zmarniał, nie stracił sił. Musiał więc żywić się jakoś, musiał sam zdobywać pożywienie. By nie zdechnąć z głodu, musiał polować. I nieraz pewno przychodziło mu bronić zdobyczy. Wszak czyhał na nią i lis, i wilki, i ryś. Ile musiał stoczyć walk, by nie pozwolić na odebranie sobie upolowanej zwierzyny, ile razy musiał walczyć o życie, o przetrwanie...? Czemu nie przyszedł do ludzi – do wioski Tsakho kwáni ? Wszak był zaprzyjaźniony z dziewczyną. Nie mógł się jednak oddalać od niej zbyt daleko, bo nie znalazłby się wtedy w parowie dosłownie w ostatniej chwili, by stanąć w obronie człowieka. Co kazało mu pozostać w tamtym rejonie? Co trzymało go tam jak na uwięzi...?

Myśli siedzącego przed szałasem człowieka przerwał trzask pękającej w ognisku gałęzi. Mięso zawieszane nad płomieniami sprawiało wrażenie upieczonego. Na wszelki wypadek nakłuł je zaostrzonym cienkim patykiem. Było miękkie. Zdjął je znad ogniska i również

rozwiesił na gałęziach. Do ognia dorzucił kilka grubszych konarów i wsunął się pod pokrycie szałas. Nim zdążył dobrze ułożyć głowę na gałęziach, spał już głębokim snem.

Spały zmęczone psy z zaprzęgu. Czuwał jedynie Hektor. I on co prawda zapadał od czasu do czasu w krótką drzemkę, jednak nie pozwolił sobie na głębszy sen. Jego czuły słuch łowił najdrobniejsze odgłosy życia, dobiegające z głębi boru. Nie reagował jednak ani na daleki głos polarnej sowy, ani na powtarzające się gdzieś na równinie wycie wilka. Lisa, skradającego się ku resztkom kości, spłoszył krótkim warknięciem. Nie był to przeciwnik godzien tego, by podnieść się z wygodnego ciepłego legowiska.

Tuż nad ranem na moment jedynie zjeżył sierść na karku, gdy w polu widzenia dostrzegł wałęsającego się wokół obozu rysia. Ale drapieżnik nie zbliżał się zanadto; woń ognia, psów, pieczonego mięsa i człowieka drażniły wprowadzić jego nos, jednak instynkt ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Pokręciwszy się w pobliżu, kot zniknął bezszelestnie w gęstwinie. Pies odprowadził go prawie obojętnym spojrzeniem. W nieco głębszą drzemkę zapadł dopiero, gdy posłyszał ruch w szałasie – nieomylny znak, że budził się człowiek, i że on przejmował teraz na siebie obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem obozu.

W kilka godzin później zaprzęg znów znajdował się w drodze, lecz myliłby się ten, kto mógłby sądzić, że człowiek podąża na południe. Wprost przeciwnie, wracał swym wczorajszym szlakiem, ale nie do wioski. Zaopatrzywszy się w dostateczny zapas mięsa, postanowił spenetrować rejony, których przez ostatnie kilka miesięcy trzymał się pies. Zwierzę nie czyniło tego bez przyczyny i Roddy postanowił tę przyczynę ustalić. Domyślał się jej zresztą. W pobliżu miejsca, gdzie poprzedniego dnia strzelał do wilka, urządził krótki postój, by dać zwierzętom odetchnąć. Wokół rozciągała się biała, pofałdowana tu i ówdzie pagórkami bezdrzewna równina. Jedynie na zachodzie i południu wznosiły się góry. Postanowił pociągnąć na zachód i zatoczyć łuk o promieniu przynajmniej dwudziestu mil. Gdzieś na tym obszarze powinien, jak sądził, natrafić na rejon, w którym pies spędził ostatnie miesiące. Ale realizacja tego zamiaru natrafiła na nieoczekiwaną przeszkodę. Pies najwyraźniej nie miał zamiaru iść ku zachodnim górą. Wszelkie próby nakłonienia go do tego, kończyły się niepowodzeniem. Gdy zaprzęg ruszał do przodu, pies kładł się w śniegu i nie dawał się podnieść z miejsca. Nie pomagały żadne perswazje, prośby, groźby. Na próbę przywiązania go rzemieniem do sań zareagował wściekłym warczeniem i widać było, że jeśli człowiek zechce użyć siły, będzie musiał stoczyć ze zwierzęciem ciężką walkę. A Roddy nie miał zamiaru walczyć z Hektorem. Wyczerpawszy możliwości perswazji usiadł na saniach i zamyślił się. Tak, prawdopodobnie istniał tylko jeden sposób, by nakłonić psa do pójścia. Z podróznego worka wydobył niewielkie zawiniątko, a z niego zniszczony pugilares otrzymany od Katso. Podsunął go psu pod nos i powiedział: – Szukaj, Hektor! Szukaj pana! Szukaj! – Pies zeszytywniał. Obwąchiwał pugilares głęboko wciągając powietrze w nozdrza. Dygotał na całym ciele. Przypadł do nóg człowieka, łąsił się, skomlał niczym kilkumiesięczny szczeniak. Szczeknął głośno, przejmująco. Z jego gardła wydobył się żalosny skowyt. Szczeknął ponownie i długimi susami popędził na... wschód. Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się, szczeknął jeszcze raz, jakby zachęcając człowieka, by podążył jego śladem i wkrótce zniknął za najbliższym wzniesieniem.

Roddy odczekał kilkanaście minut, ale widząc, że pies nie wraca, pokiwał głową. Bez namysłu zawrócił zaprzęg i po świeżych śladach pociągnął również na wschód. Nie miało większego znaczenia, czy teren spenetruje zataczając koło z zachodu na wschód, czy odwrotnie.

Gdy wydostał się na szczyt wzniesienia, za którym zniknął pies, nie dostrzegł go nigdzie w pobliżu. Widział jedynie wyraźny ślad niosący się prosto niczym indiańska strzała na wschód. Na odległym krańcu tego śladu, w odległości około dwu mil, dostrzegł czarny punkt, ale punkt ten oddalał się coraz bardziej i wkrótce zniknął sprzed oczu patrzącego.

Śladem psa podążał do wieczora, kiedy to w zagłębieniu terenu musiał urządzić postój. Tym razem nie rozpałał ogniska. Nie miał drewna. O świcie ruszył dalej. Teren wznosił się. Zaczęły pojawiać się kępy krzewów. Koło południa dobrnął do pierwszego niewielkiego skupiska drzew. Zatrzymał się tam, rozpałił przyzwoity ogień, rozmroził mięso dla psów, posilił się sam i wypił prawie trzy kubki gorącej herbaty. Nie pozwolił sobie jednak na dłuższy odpoczynek. Z zachodu nadciągały nisko ciemne chmury, co znowu wróżyło śnieg i niebezpieczeństwo zasypania śladów pozostawionych przez psa. Pocieszał się jedynie tym, że Hektor nie zmieniał kierunku, nie zbaczał, nie kluczył, szedł jak po sznurku, ciągle na wschód. A Roddy miał w głowie igłę kompasu. Nie zdarzyło mu się nigdy zboczyć z wytkniętego kierunku. Musiał się jednak spieszyć. Nadciągający śnieg i podmuchy coraz silniejszego zachodniego wiatru groziły ponownie przyzwoitą burzą. W razie czego wołał przeczekać ją w nieco bardziej nadającym się na postój terenie. Wkrótce podniósł zaprzęg i ruszył w dalszą drogę. Burza nadciągnęła jednak szybciej, niż się spodziewał, ale szła z zachodu i popychała psy, nie utrudniając im drogi. Tyle tylko, że dosłownie w ciągu kilkunastu minut zasypała ślady. Zrobiło się prawie ciemno. Śnieg padał gęsto, ograniczając widoczność do kilkudziesięciu kroków. Droga stawała się coraz trudniejsza, na szlaku coraz częściej wyrastały strome pagórki, coraz głębsze kotliny. Pojawiły się pojedyncze wystające nad śnieg kamienie i bloki skalne uskoki gruntu, wyrwy. Raz i drugi płozy sań zgrzytnęły o kamieniste, a może żwirowate podłoże. Człowiek jednak nie zatrzymał się. Wytyczonym w mózgu szlakiem parł niestrudzenie do przodu. Nie mógł zatrzymać się w miejscu pozbawionym drzew, a więc możliwości wzniesienia szałasów i rozpalenia ognia. Mimo iż czuł, jak coraz bardziej ciąży mu nogi i zmęczenie ogarnia wszystkie członki, mimo iż słyszał coraz głośniejsze oddechy psów, tylko raz tego popołudnia pozwolił sobie na krótki odpoczynek pod osłoną nagiej skały.

Tuż przed wieczorem znalazł się niespodziewanie za jakimś większym wypiętrzeniem terenu. Wiatr i śnieg szły górą; w dole, u podnóża stoku, panowała względna cisza, a śnieg nie zasłaniał najbliższego widoku. Zdyszane zwierzęta padły na ziemię, Roddy przetarłszy powieki, rozejrzał się wokół. Był na skraju jakiejs zalesionej kotliny lub płytkiego parowu. W jego głębi, jak widział, było jeszcze ciszej i spokojniej, a ściana lasu skutecznie chroniła przed atakiem nawałnicy. Podniósł psy i popędził je w głąb kotliny. Sto kilkadziesiąt kroków dalej nie czuło się już w ogóle burzy. Szła ze złowrogim pomrukiem wysoko nad wierzchołkami drzew.

Stawianie szałasów kończył już po ciemku. Na szczęście nie musiał szukać drewna na ogień. Jakaś dawniejsza wichura zwała starą rosnącą na stoku sosnę, której grube konary i cieńsze gałęzie znajdowały się teraz dosłownie w zasięgu ręki. Mimo zmęczenia rozpałił ognisko i zawiesił nad nim kociołek z wodą. Starał się obliczyć w myślach drogę, jaką mógł przebyć zaprzęg od chwili, gdy opuścił ich pies. Oczywiście nie był pewien, ale sądząc po tempie, z jakim się posuwali, musiało to być ze sześćdziesiąt mil, albo nawet trochę więcej. Przeszło dwie trzecie drogi szli śladem psa; ostatni odcinek odbyli zachowując już tylko kierunek. Istniało oczywiście niebezpieczeństwo, że podczas zadymki mogli zejść z prostej linii i zboczyć nieco, ale nie było to takie pewne. Być może pies znajdował się gdzieś w pobliżu? Właśnie myśląc o takiej ewentualności, Roddy rozniecił duży ogień. Woń dymu musiała rozchodzić się daleko i obejmować znaczną przestrzeń. Mogła dotrzeć również do psa. Roddy'ego ciekawiło, czy pies powróci, czy też raczej pozostanie tam, dokąd podążył. Toteż mimo iż morzył go sen, co jakiś czas dorzucał do ognia świeżą gałąź.

Do szałasów wchodził się koło północy, ale długo jeszcze nie mógł zasnąć. Myślał o wiosce Indian Tsakho kwáni, o zaginionym poszukiwaczu, o dziwnym psie, wreszcie o złocie. Nie wiedział, kiedy się zdrzemnął. Ale drzemka ta nie musiała trwać długo, gdyż ostatnia wrzucona do ogniska gałąź nie zdążyła spłonąć nawet w połowie, gdy zbudził go jakiś nieuchwytny szmer. Chwilę nasłuchiwał, ale poza jednostajnym szumem lasu nic nie słyszał.

„Pewno jakaś czapa śniegu zsunęła się z gałęzi” – pomyślał i już zamierzał naciągnąć kożuch pod brodę, gdy w wąskim otworze szałas dostrzegł nieruchomy czarny cień. W świetle płomieni ogniska rysowały się wyraźnie łeb i krótkie spiczaste uszy. Ręka sięgająca po rewolwer, cofnęła się. Pies przez jakiś czas tkwił w miejscu bez ruchu, po czym ułożył się w przejściu. W kilkanaście chwil później słychać było jego równy spokojny oddech.

Roddy okrył się szczelniej kożuchem i ponownie próbował przysnąć. Resztą świadomości odnotował, że zmniejsza się siła wiatru, coraz rzadziej dochodziły słabnące jego porywy. Kilkugodzinna zamięć oddalała się na południe.

Rozdział VIII

Czarny pies ma dobrą pamięć

Tego dnia, po raz pierwszy od dłuższego czasu, Roddy ujrzał słońce i czyste pozbawione chmur niebo. Śnieżna zamieć, która ubiegłego popołudnia kazała mu szukać schronienia pod osłoną lasu, odeszła wraz z chmurami i niosącym ją wiatrem. Powietrze było czyste i rześkie, widoczność doskonała.

Zaprzęg posuwał się szybko na południe, równoległe do podnóża wysokiego łańcucha górskiego, którego ośnieżone szczyty odcinały się wyraźnie na jasnym tle nieba. Stoki, poprzecinane głębokimi językami parowów i wąwozów, pokrywał gęsty szpilkowy bór. Ku wschodowi, aż po krańce horyzontu, jaśniała z lekka pofałdowana śnieżna, prawie bezdrzewna równina.

Prowadził Hektor i tym razem nie uciekał ani nie oddalał się zbyt. Biegł swobodnie, jednak niezbyt szybko, jakby rozumiał, że ani człowiek, ani zaprzęg nie są w stanie zwiększyć tempa. Nie wiadomo, czym się kierował, instynktem czy znajomością okolic, bo mimo iż wielokroć musiał omijać różne przeszkody terenu: gęste zagajniki, skały, głębokie jary i rozpadliny, nie zmienił od rana kierunku. Prowadził, jakby kierowała nim igła busoli.

Koło południa, przecinając już nie wiadomo który z rzędu zamarznięty potok, o brzegach porośniętych kępami wikliny, Roddy wstrzymał zaprzęg. Pies przebiegł jeszcze tylko kilkanaście jardów i zatrzymał się również, a następnie wrócił do sań. Nie okazywał jednak niecierpliwości. Począł spokojnie na swoją porcję odmrożonego mięsa, popił je wodą z wyciętej w strumieniu przerębli i wyciągnął się przy saniach. Nie ponaglał człowieka ani swych współtowarzyszy. Musiał domyślać się, że sanie nie są lekkie i ciągnięcie ich w głębokim miękkim śniegu to poważna ciężka praca, po której trzeba odpocząć, by ponownie nabrać sił.

Ale w chwili, gdy człowiek sięgnął po bat, podniósł się pierwszy i odbiegł kilkanaście kroków.

Kiedy ruszyły sanie, ruszył i on, ciągle w tym samym kierunku, na południe.

Wieczorem, po założeniu obozu, zniknął na kilka godzin, ale zjawił się ponownie przed północą. Wrócił, gdy człowiek siedział jeszcze przy ognisku. Nadszedł cicho, położył pysk na stopach siedzącego, zamknął ślepią, zdając się drzemać. Nie spał jednak; co jakiś czas przez jego wielkie cielsko przebiegało drżenie. Człowiek musiał domyślać się, bo pogłodził psa po łbie i chyba po raz pierwszy od chwili, w której się poznali, zwierzę nie zareagowało żadnym nieufnym odruchem.

Rankiem Roddy stwierdził, że psa znów nie ma. Nie zmartwił się tym jednak. Wiedział, że pozostały ślady. Posuwał się nimi już przynajmniej z półtorej godziny, gdy u wylotu zalesionej kotliny natrafił na kolejny zamarznięty strumień. Tu ślady skręcały i dalej biegły w górę strumienia. Nie musiał być głęboki, bowiem spod lodu wystawały spore kamienie i odłamki skał. Dolina zwężała się, przechodząc w płytki parów. Ale i parów zwężał się. Coraz wyżej wznosiły się nagie, prawie prostopadłe, ostro poszarpane skały. Na dystansie następnych kilkuset kroków strumień przeciskał się wąskim kilkujardowej szerokości tunelem. Ciągące się po obydwu stronach skalne ściany wznosiły się na kilkaset stóp. Ale właśnie wtedy, środkiem łożyska, ciągnęły się ślady psich łap. Zwierzę nie biegło tu. Posuwało

się wolno, o czym wyraźnie mówił wygląd tropu. Bieg strumienia coraz częściej przegradzały wysokie głazy, przez które jedynie wspólnym wysiłkiem psów i człowieka z trudem udawało się przeciągnąć sanie.

Gdy wreszcie dotarli do wylotu tunelu, Roddy stanął jak wryty. Skały rozstępowały się, odsuwały się do góry. Przed wzrokiem patrzącego leżała piękna rozległa kotlina. Jej środkiem biegł strumień, teraz ścięty lodem i przykryty śniegiem. W połowie długości kotliny, po jej prawej stronie, u podnóża górskiego stoku stał niewielki żółty namiot, a przed nim siedział duży czarny pies. Nie ruszył się na widok zaprzęgu. Zaszczekał donośnie, gdy sanie zatrzymały się obok. Zaszczekał tak, jakby oznajmiał, że wreszcie stanęli u celu.

Człowiek nie spieszył się. Spokojnie uwolnił z uprzęży psy, rozejrzał się po otaczających go zalesionych zboczach, usiadł na saniach i długo, starannie skręcał papierosa. Wreszcie podniósł się i zdecydowanie odsunął jedną część zasłony zakrywającej wejście. Mimochodem stwierdził, że namiot nie jest zasnurowany. Wnętrze było niewielkie i zasypane kilkucalową warstwą śniegu. Na razie nie wchodził do środka. Rozejrzał się jedynie pobieżnie, ułamał kilka świerkowych gałęzi i sporządzoną z nich miotłą usunął z wnętrza śnieg. Wyłoniło się spod niego parę garnków, przedzewiałych mocno sideł, rozlatująca się w rękach zleżała koszula, jakaś stara bluza, całkiem jeszcze dobry pasek do spodni, para butów, kilka puszek po konserwach, kilka innych z wędzonką i grochem leżało w kącie w nie naruszonym stanie. Na gołej ziemi leżały dwa nieokreślonego już koloru koce i zbutwiała wiązka trawy, służąca widocznie właścicielowi namiotu za poduszkę. Obok niewielki irchowy woreczek ze złotem. Nic więcej. Roddy wyszedł przed namiot i ponownie usiadł na saniach. Przesiedział tak przynajmniej z godzinę, aż poczuł chłód. Podniósł się i wspiał na zbocze. Chodził długo między młodymi jeszcze drzewami świerku. Zszedł z powrotem w dolinę, patrzył raczej na zagajnik niż na las pokrywający zbocza i czuł coraz bardziej, że jest tu coś nie w porządku. Obszedł dokoła namiot i poruszył jedną z linek mocujących go do ziemi. Linka ugięła się; kołek dał się bez trudu wyciągnąć na powierzchnię. Okazało się, że wbito go bardzo płytko. Wszystkie pozostałe wbite były podobnie. Umocował je na ich poprzednich miejscach i wbił nieco głębiej. Gdy wyprostował przygięte plecy, dziwnie błyszczał mu wzrok. Zaczynał się domyślać, domyślać przynajmniej paru podstawowych faktów. Był pewien, że namiot postawiono zimą, a w każdym razie w porze, gdy ziemia była już mocno zmarznięta. Gdyby było inaczej, kołki od linek tkwiłyby głęboko w gruncie. Ten kto stawiał namiot, nie zadawał sobie trudu, by ziemię w namiocie pokryć chociażby niewielką warstwą gałązek i tym sposobem zabezpieczyć się podczas snu przed chłodem ciągnącym od podłoża. A sypianie zimą na gołej ziemi było nonsensem. I jeszcze jedno – las. Nie znać było na nim, by ktoś próbował nie tylko wyciąć, ale chociażby wyłamać kilku gałęzi na opał. Było mało prawdopodobne, by ten ktoś, mając w zasięgu ręki całą masę opału, chodził go szukać Bóg wie gdzie. Nie było w namiocie łopaty, kilofa, patelni do płukania piasku ani broni, a właściciel czarnego psa miał to wszystko z sobą, gdy opuszczał wioskę Tsakho kwáni. Kiedy wychodził po raz ostatni z namiotu, musiał to z sobą zabrać. Szedł więc wydobywać złoto. Gdyby wybierał się na polowanie, nie zabierałby ani kilofa, ani łopaty, chyba że złoto wydobywał ze skał, a nie z potoku. Jednak Roddy był pewien, że to które spoczywało w woreczku, wydobyto z wody. Znał się trochę na tym. Oczywiście mógł się mylić. Kilof i łopata mogły leżeć gdzieś pod śniegiem o parę kroków. Nie mógł myśleć, że je odnajdzie. Ale jeśli człowiek umarł gdzieś w pobliżu, zwłoki jego odnalazłby natychmiast pies. Nie siedziałby smętnie przed namiotem, nawet gdyby po zmarłym pozostały tu tylko kości. A więc poszukiwacz złota, właściciel psa, umarł gdzie indziej. Nie tu. Pozostawało na razie bez odpowiedzi pytanie, jak umarł? Był młody i silny. Tak twierdzili zarówno Biały Ren, jak i Katso oraz Shiyatá. Nie mógł rozchorować się nagle i stracić wszystkich sił. Mógł natomiast nagle umrzeć. Wypadek lub... Tak, w grę wchodziła na pewno ta druga ewentualność.

Roddy podniósł się zdecydowanie. Nie podobał mu się ani namiot, ani to miejsce. Nie, nie ruszał niczego. Zostawił tak, jak było. Nawet złoto. Nie myślał go zabierać. Zabrał jedynie miotłę, jaką zrobił z gałęzi. O pozostawione na zewnątrz ślady i wymieciony z namiotu śnieg nie musiał się martwić. Wiedział, że wszystko to zasypie najbliższa burza i wiatr. A innych śladów swego tu pobytu nie chciał zostawiać. Zaprzągnął psy do sań i poklepał po karku Hektora. – No, piesku, ruszaj. Szukaj pana. To nie tu. Szukaj.

Pies stał niezdecydowanie, jakby nie rozumiejąc. Nagle wspiął się, oparł łapy na piersiach człowieka i szorstkim językiem przejechał mu po twarzy. – Szukaj pana, Hektor. Gdzie jest twój pan? – Pies wpadł do namiotu, wybiegł z niego, zatoczył wokół koło, ponownie wskoczył do wnętrza i wyniósł w pysku bat. Mężczyzna poklepał go po łbie i ponowił prośbę: – Szukaj, Hektor. Szukaj pana. – I pies chyba zrozumiał, bo nie szukając niczego więcej, ani nie oglądając się, z głośnym ujadaniem pomknął w głąb doliny. Na moment zniknął za jakimś zakrętem, ukazał się ponownie, ale po kilku chwilach zniknął jeszcze raz na dobre. Jeszcze tylko gdzieś z oddali po raz ostatni dobiegł jego głos. Kilkakrotnie powtórzyło go słabnące górskie echo i w kotlinie zapanowała cisza.

Roddy spojrzał na słońce. Stało jeszcze dosyć wysoko. – W drogę, pieski – powiedział i ruszył śladami psa. W kilkanaście minut ominął zakręt, za którym pies zniknął i znalazł się ponownie na skraju równiny. Ślady znów biegły na południe. Posuwał się za nimi, nie spiesząc się. Był już teraz pewien, że Hektor nie ucieknie i że zaprowadzi go we właściwe miejsce. Przed wieczorem dotarł do jakiejś większej kępy sosnowych drzew i omal nie wpadł na wielkiego łosia, który pędząc po stromym stoku górskim cudem tylko nie rozwalił sań. W ostatniej chwili minął je dosłownie o kilka jardów, jednak tym razem mężczyzna nawet nie spojrzał na karabin. Nie potrzebował mięsa, nie musiał więc zabijać. Rozbił szybko obóz, rozniecił ognisko, nakarmił zwierzęta i wcześniej ułożył się do snu. Ruszył o świcie.

Zaledwie jednak słońce oświeciło szczyty gór, zatrzymał się. Dłuższy czas patrzył na ich kontury i kształty, rozmieszczenie na linii horyzontu, wyraźnie zarysowane wierzchołki. Na tle nieba odcinały się ostro niczym na fotografii. Odnosił niejasne wrażenie, że widział już tę fotografię, ale widział ją z odwrotnej, z drugiej strony. Jednak rozpoznawał. Był kiedyś, wcale nie tak dawno, właśnie z tamtej strony. Był wprawdzie latem, ale nie zmieniało to niczego. Nie mógł się mylić. Charakterystyczny, ścięty na płasko szczyt przypominający kształtem odwrócony dnem do góry rondel i zaraz obok niego ta ostra, wysmukła iglica sprawiająca wrażenie grotu strzały. Tuż obok, wyraźny zarys siodła dwugarbnego wielbłąda. Dalej na południe potężny masyw Końskiego Łba i opadająca nisko przełęcz. Po tamtej stronie łańcucha teren był znacznie wyższy. Przecinały go setki parowów, strumieni, śródgórskich jezior. Tam, po drugiej stronie łańcucha brało początek wiele potoków i rzek, spływających na zachód i gdzieś daleko wpadających do Jukonu i jego dopływów.

Wolno ruszył w dalszą drogę. Domyślał się, że nie będzie zbyt długa. I nie pomylił się. Wkrótce trop skręcił na zachód i za niecałą godzinę pobiegł wzdłuż kolejnego strumienia, nie wiadomo już którego w tej okolicy. Tym razem szlak był wygodny i zaprzęg bez specjalnego wysiłku posuwał się wzdłuż łagodnego zbocza. Przemknął dnem kilku kotlin i począł wspinać się pod górę. Stok nie był zbyt wysoki. Przebiegli go w kilka minut, wydostali się na niezbyt rozległą równinę i bez przeszkód pomknęli dalej gładkim łóżyskiem strumienia. Milę dalej strumień łączył się z drugim. W miejscu rozwidlenia tropy psa przenosiły się w lewą odnogę biegnącą bardziej na południe. Góry były tuż.

Przed południem ominęli jakieś skalne rumowisko i niespodziewanie stanęli u wylotu kanionu. Jeszcze kilkaset jardów i Roddy'ego dobiegły gdzieś z przodu jakieś podejrzanе odgłosy. Przyspieszył biegu i w ciągu kilkunastu sekund znalazł się w miejscu, gdzie parów rozszerzał się, tworząc coś w rodzaju podkowy. Pośrodku z dzikim jazgotem kotłowało się kilkanaście burych zwierząt.

Bez namysłu sięgnął po karabin. Mimo iż cel był w ciągłym ruchu, ręka i oko strzelca nie zawiodły. Dosłownie w kilkanaście sekund na śniegu tarzało się w skurczach agonii pięć wilków, szóstemu miażdżył kark Hektor, kilka pozostałych umykało przez przeciwległe ujście parowu. Jeszcze jeden strzał i jeszcze jedna dzika bestia zaryła nosem w śnieg. Hektor z wściekłą zajadłością miażdżył karki tym, które wykazywały jeszcze najmniejsze odruchy życia. Wreszcie uspokoił się i otrząsnął sierść. W kilku susach dopadł do człowieka i wesoło merdając ogonem zaczął ocierać się o jego nogi. Nie wyszedł bez szwanku z walki. O jej zajadłości świadczyła porozrywana w kilku miejscach na jego grzbiecie i bokach skóra, a także wyraźne ślady wilczych kłów na obroży. Była wystarczająco szeroka i twarda, by uchronić gardziel psa przed morderczym chwytem wilczych szczęk. Widząc ślady, Roddy był zadowolony, że założył psu obrozę. W walce, pewno już niejednej, znakomicie spełniała rolę tarczy chroniącej gardło – najsłabszy punkt obronny na ciele dzielnego wojownika, który zdawał się w tej chwili nie pamiętać już, o swej dopiero co przeżytej przygodzie, bo jakby nigdy nic podbiegł teraz do psów i po przyjacielsku obwąchiwał im pyski, a następnie bez żadnych ceregieli zaczął ściągać z sań worek z mięsem. Na widok tego oczywistego dowodu, że pies nie ucierpiał zbyt w walce, Roddy roześmiał się głośno.

– Jesteś głodny, prawda. Pewno od wczoraj nie polowałeś i masz pusty żołądek. Musisz poczekać trochę. – Bez zwłoki zabrał się za rozniecenie ogniska. Na szczęście na skraju polany leżało sporo dawno zwalonych drzew. Nie miał więc problemu z opałem. Gdy nakarmił psy i sam pochłoniął przyzwoitą porcję mięsa, podniósł się od ogniska i rozejrzał uważnie po polanie. Na pierwszy rzut oka nie sprawiała wrażenia, by ją ktoś kiedykolwiek już odwiedzał. Z lewej strony, tam gdzie biegł potok, piętrzyła się popękana, nieregularna, skalista ściana parowu; z prawej rozciągało usiane odłamkami głazów strome zbocze, porośnięte z rzadka karłowatą sosną. Grunt jednak na zboczu też musiał być skalisty, a warstwa ziemi stosunkowo cienka, skoro większość drzew nie zdołała zapuścić głębiej korzeni. Przynajmniej połowa leżała na stoku, część zsunęła się na polanę.

Ryzykując skręcenie wprawdzie nie karku, ale przynajmniej nogi, wdrapał się na stok i spojrzał wzdłuż niewidocznej z dołu, dalszej części parowu. Był kręty, lecz szeroki miejscami na kilkadziesiąt jardów. Ale nie był zbyt długi. Na końcu przechodził w rozległą halę, wznoszącą się łagodnie aż ku przełęczy. Strumień musiał wypływać z jakiegoś źródła, tryskającego zapewne gdzieś powyżej. Źródło zresztą mogło być kilka. A wypływająca z ziemi woda, dzięki rynnowemu ukształtowaniu terenu musiała spływać do parowu. I musiało być jej sporo. Na dystansie najwyżej dwu, trzech mil tworzyła dość szeroki potok. Patrząc, jak drzemie teraz pod warstwą lodu i śniegu, Roddy zastanawiał się, czy to ten właściwy. Jeśli tak, to właśnie gdzieś tu, może w zasięgu ręki spoczywało złoto.

Zszedł ostrożnie na dół i przywołał Hektora. Wydobył zabrany z indiańskiej wioski pugilares i podsunął psu pod nos. – Szukaj pana – powiedział i... nie musiał powtarzać. Zwierzę dosłownie kilkunastoma susami przemknęło przez polanę, dopadło podnóża skały i poczęło gwałtownie rozkopywać śnieg. Mężczyzna bez zastanowienia sięgnął po łopatę i w kilkanaście chwil później odrzucali śnieg obydwaj. Leżało go tu sporo, aż w końcu łopata zgrzytnęła po kamieniach. Jeszcze jakieś pięć minut i spod skały wyłoniła się podłużna przyzma ziemi i kamieni. Zmarznięty grunt trzymał je mocno, tak że trzeba było użyć kilofa.

W podłużnym, płytkim dole spoczywały zwłoki mężczyzny. Był jeszcze młody. Świadczył o tym delikatny, ledwo okalający twarz zarost i zaledwie zarys wąsów. Zresztą rysy twarzy zachowały się dobrze, wyraźnie. Zachował się jasny kolor skóry. Nigdzie, ani na czole, ani wokół oczu ni ust, nawet cienia zmarszczki. Bujne, ciemne włosy, prawie proste gęste brwi i twarz spokojna, jakby uśpiona. Nigdzie ani śladu rozkładu zwłok, a przecież musiały spoczywać tu przynajmniej kilka miesięcy. Nawet odzieży nie dotknął czas. Łosiowy kaftan, gruba kraciasta koszula z podwiniętymi rękawami. Powycierane gdzieś tam spodnie z

dobrze wyprawionej skóry karibu i mocne traperskie buty. Najmniejszego nawet śladu jakiegokolwiek obrażenia.

Roddy pochylił się i odwrócił zwłoki plecami do góry. Zobaczył dopiero teraz szerniały kaftan, dwa niewielkie okrągłe otwory pod lewą łopatką. Czerń kaftana była czernią krwi. Odwrócił ponownie zwłoki i przeszukał całe ubranie. W kieszeni spodni znalazł jedynie mocno przybrudzoną chustkę do nosa. Z własnej kieszeni wyjął ponownie portfel, a z niego kilka zdjęć. Dłuższą chwilę patrzył na jedno z nich, po czym przeniósł wzrok na twarz leżącego u stóp mężczyzny. Zdecydowanie schował zdjęcia i portfel i ponownie ujął łopatkę. Zwłoki przykrył starannie ziemią i przysypał kamieniami. Na wierzch narzucił grubą warstwę śniegu i udeptał go mocno. Dopiero teraz spojrzął na psa, który po obwąchaniu zwłok odsunął się o kilka kroków i bez ruchu siedział w głębokim śniegu. Patrzył na to, co robi człowiek, ale nie reagował. Gdy ten skończył pracę i ujął obrożę, zwierzę bez protestu, z opuszczonym ogonem, powlokło się u jego nóg. Wcisnęło się następnie pod sanie i skulone przeleżało tam do wieczora. Człowiek zdawał się nie zwracać na nie uwagi i nie przeszkadzał. Ale też nie próżnował.

Jak zwykle postawił szałas i dłuższy czas zbierał drzewo na ogień, aż ułożył ogromny stos. Nie miał jednak zamiaru palić tak dużego ogniska, przynajmniej podczas dnia. Uporawszy się z tym, przystąpił do dokładnego przeszukiwania polany i jej otoczenia. Najwidoczniej szukał czegoś. Najpierw dosłownie cał za całem spenetrował cały stok i starannie obejrzał każde drzewo i miejsce wokół niego. I wreszcie po dłuższych poszukiwaniach, prawie u podnóża skarpy, na jednym z drzew znalazł wbity gwóźdź. Nie musiał szukać długo, by na sąsiednim odkryć następny. I odkrycie to ucieszyło go wyrażnie. Wokół jednego z gwoździ pozostał supeł grubego rzemienia. Widocznie ten, kto tu obozował kilka miesięcy temu, w jakimś celu przeciągnął linkę między drzewami. Dlaczego nie okręcił jej i nie związał wokół pni, lecz użył gwoździ, nie miało większego znaczenia. Ważne, że tu był, i że nie żałował tych gwoździ. Nie wbijał ich dla chwilowej potrzeby. W wyposażeniu każdego poszukiwacza stanowiły zawsze coś bardzo cennego. Bez nich nie było mowy o skleceniu najbardziej prymitywnej płuczkarni. Skoro wbił je na stałe w drzewo, musiał tu przebywać dłużej lub zamierzał dłużej pozostać. A rzemień? Tak. Na pewno służył do wieszania czegoś: może przemoczonej podczas pracy lub deszczu odzieży, a może mięsa. Gałęzie drzewa nie zawsze stanowiły przeszkodę dla rysia, czy chociażby kuny świerkowej. Potrafiła wejść na najcieńszą gałązkę i zerwać ostatni kęs, jaki ktoś pozostawił sobie na śniadanie. Zdjęcie czegokolwiek z rzemienia nie było takie proste. Był to jednak zaledwie jeden element śmiałej hipotezy, jaka zrodziła się w umyśle myślicy po zbiegu po odkryciu zwłok i upewnieniu się, do kogo należą. Sprawdzenie tej hipotezy wymagało jednak również innych dowodów. Szukał ich więc gorliwie, chociaż bez pośpiechu. Przepatrzywszy stok, przeszedł na drugą stronę strumienia i tak samo drobiazgowym oględzinom poddał skalną ścianę, najpierw w pobliżu grobu, później coraz dalej. Mimo jednak całej uwagi, nie odkrył dosłownie niczego. Dopiero o parę jardów od końca polany przypadkowe głębsze wbicie łopaty w śnieg, zalegający w załamaniu skały, wywołało jakiś metaliczny dźwięk. Odgarnął ostrożnie śnieg i bez trudu z wąskiej szczeliny wyciągnął najpierw kilof, a następnie solidnie przerdzewiałą łopatkę. Szczelina jednak była głęboka. Nie mógł sięgnąć do dna, a wołał sprawdzić dokładnie, czy nie ukrywa jeszcze czegoś. Odgarnął bardziej śnieg i kilkakrotnie trzonkiem kilofa uderzył mocno w popękaną ścianę. Odniósł wrażenie, że jeden ze skalnych odłamków poruszył się. Podważył go i z pewnym trudem usunął ze ściany, odsłaniając otwór o średnicy kilkunastu cali. Światło, które wdarło się przez niego, wydobyło z mroku zarys jakiejś jaskini. Mężczyzna usiłował wsunąć do jej wnętrza głowę, ale otwór był za mały.

Staranne obejrzenie skały ujawniło jeszcze jeden kamień, który również dał się poruszyć. Był wprawdzie znacznie większy i cięższy i ważył prawdopodobnie ze dwieście funtów, ale w końcu i on ustąpił. Przez otwarte tym sposobem wąskie przejście Roddy wczółgał się na

czworakach do środka. Kilka chwil oswajał się z panującym wewnątrz półmrokiem, po czym rozejrzał się wokół. Skąpa ilość światła przedostająca się dołem nie pozwalała dostrzec zbyt wiele. Stwierdził jedynie, że znajduje się w jakiejś grocie, ale nie mógł ustalić, jak jest duża. Podniósł niewielki odłamek skalny i rzucił tak, jak rzuca się zwykle kamieniem na odległość. Musiało minąć dobre kilkanaście sekund, nim odłamek spadł na ziemię. Odległe stuknięcie wcale nie wskazywało na to, by uderzył w jakąś ścianę. A więc jaskinia była prawdopodobnie dosyć duża i jej badanie po ciemku nie miało większego sensu. Wyczołgał się więc na zewnątrz i zastanawiał dłuższą chwilę. Nie mógł jednak wymyśleć nic nadzwyczajnego. Wrócił do sań. Ze stosu drzewa wybrał kilka grubszych gałęzi, oczyścił je z chrustu i jedną zapalił w ognisku, resztę zgarnął pod pachę i szybko wrócił do groty.

Prymitywna pochodnia nie dawała zbyt wiele światła, ale musiała jakoś wystarczyć, przynajmniej na pobieżne obejrzenie jaskini. Jej wnętrze musiało być obszerne, bo mimo że gałąź trzymał wysoko, nie mógł dostrzec przeciwległej ściany. Patrząc pilnie pod nogi i rozglądając się wokół, przebył już przynajmniej ze czterdzieści kroków, gdy z lewej strony ujrzał wilgotny zarys skały. Obejrzał się do tyłu. Jasny prostokąt światła przenikającego przez otwór wejściowy był nadal widoczny. Posunął się dalsze kilkanaście jardów i stwierdził, że skała widoczna dotąd z lewej strony zniknęła ponownie. Widocznie grotą, przynajmniej z tej strony, rozszerzała się. By mieć nieco więcej światła, zapalił pochodnię. Teraz dopiero mógł dostrzec sklepienie. Wznosiło się wysoko, przynajmniej na kilkadziesiąt stóp. Ani z boków, ani z przodu nie widział jednak niczego poza nieprzeniknioną czernią. Obejrzał się jeszcze raz, by stwierdzić, że pozostawione z tyłu światło dnia jest już bardzo daleko. Nie zatrzymał się jednak i znów posunął kilkanaście kroków do przodu. I dopiero wówczas ujrzał, jak z obydwu stron zbiegają się ściany. Tak, zbiegały się, zbliżały do siebie, ale wcale nie łączyły. Tworzyły jedynie coś w rodzaju korytarza. Po raz ostatni obejrzał się za siebie, ale widząc nadal jasny odległy punkt światła, bez wahania zagłębił się w korytarz. Sklepienie obniżyło się i zwisało teraz na wysokości nie większej niż kilkanaście stóp.

Korytarz począł się rozszerzać. Roddy zapalił dwie następne pochodnie. Wtedy ujrzał drugą komorę jaskini. Na jej dokładniejsze zbadanie poświęcił sporo czasu... Przy ostatniej dogasającej pochodni wyczołgał się z groty.

Następne pół godziny stracił na ponowne położenie kamieni w ich pierwotnej pozycji i zamaskowanie otworu. Pozostawił jedynie szczelinę, na powrót wsunął do niej łopatę i kilof i wszystko to zasypał śniegiem. Był pewien, że resztę pracy w odpowiednim czasie wykona za niego najbliższa zmiana pogody.

Zmęczony nieco, lecz całkowicie zadowolony z siebie wrócił do pozostawionego zaprzęgu i dopiero teraz wziął się za przygotowywanie posiłku. Czuł się już porządnie głodny.

Siedząc wieczorem przy ognisku, myślał o kilku różnych sprawach. O młodym poszukiwaczu, którego życie zostało przerwane tak nieoczekiwanie, o złocie, które niewątpliwie znalazł, o dwu parowach i dwu potokach, o odległym zaledwie o kilkanaście mil żółtym namiocie i o psie. Tak, również o psie. Rola, jaką odegrał w dramacie, stawiała się coraz bardziej zagadkowa. Gdzie był w chwili, gdy strzelano do jego pana? Dlaczego nie ostrzegł go? Dlaczego nie obronił? Wszak był bardzo szybki i silny i nie znał pewnie uczucia lęku? Dlaczego pozwolił, by ten, który zabił, mógł wykopać grób i złożyć w nim swą ofiarę, a następnie oddalić się bezpiecznie? Może psa w tym czasie nie było tutaj? Lecz jeśli nie tu, to gdzie był i dlaczego? A może jednak był na miejscu...

Cicho przywołał psa i zagłębił palce w jego gęstą sierść. Przesuwał je cal za całem po skórze, na łbie, na bokach na grzbiecie i wreszcie natrafił. U nasady karku, nieco powyżej miejsca, gdzie łączy się on ze splotami mięśni barkowych, wyczuł bliznę. Druga taka sama znajdowała się po przeciwnej stronie. Nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Były dowodem po kuli. Gdyby przeszła o cal niżej, pies zginąłby na miejscu. A więc był tu, gdy rozgrywał się dramat i nie pozostawał obojętny. Nie miał jednak siły, by walczyć. Pocisk musiał

sparaliżować go na długo. Może na wiele godzin. Ten, kto strzelał, był przekonany, że zabił, dlatego jedynie nie dokończył dzieła. Pies jednak nie zdechł. Nie tylko przetrzymał kryzys, ale i wylizał się z niego. On był drugą ofiarą. Gdyby było odwrotnie, człowiek zdążyłby się przynajmniej odwrócić i nie dostałby kuli w plecy. Tamten lub tamci zaskoczyli go i strzelali z zasadzki. Następnie strzelili do psa.

Oczywiście musieli wiedzieć, w którym potoku znajdowało się złoto: w tym gdzie stał namiot, czy tu. Nie wydobywali go, gdyż było już zbyt zimno. Przynajmniej kilka stopni poniżej zera. Grób wykopano, a właściwie wykuto w zmarzniętej już ziemi. Inaczej byłby znacznie głębszy. Tam, w miejscu gdzie się znajdował, podłoże stanowiła ziemia, nie skała. Gdyby nie była zmarznięta, wykopaliby na pewno głębiej. Zresztą zwłoki nie zachowałyby się w tak nienaruszonym stanie. Dlaczego jednak pozostawiono je tutaj? Dlaczego nie pogrzebano gdzieś dalej, w bardziej odległym miejscu. Ten, kto potrafił zabijać z zasadzki, nie był mięczakiem. Mógł zabitego wywieźć gdzieś dalej. Jeśli zamierzał tu wrócić, a na pewno zamierzał, nie powinien pozostawiać zwłok. Chyba że nie miał zamiaru powracać tu nigdy więcej. Oznaczałoby to jednak, że nie tu znajdowało się złoto. Ale jeśli nie tu, to gdzie? Tam gdzie stał namiot? Dlaczego więc nie został zniszczony lub ukryty? Nie, musiało jednak być inaczej, a w całym rozumowaniu krył się jakiś błąd.

Mężczyzna spojrział w niebo. Skrzyło się milionami gwiazd. Szedł mróz. Gdzieś daleko na zachodzie, pewnie w okolicach przełęczy, był samotny wilk. W parowie powiało chłodem. Czarny pies wyczołgał się spod sań i przysunął ku ognisku, a może ku człowiekowi. Trudno było powiedzieć...

Roddy Dowson nie należał do tych mężczyzn, który stawiane sobie pytania pozostawiają bez odpowiedzi. A pytań postawił dużo. Toteż usiłując odpowiedzieć chociażby na najważniejsze, w ciągu przeszło dwu tygodni spenetrował teren w promieniu kilkudziesięciu mil. Trzykrotnie przechodził na drugą stronę przełęczy. Dwukrotnie wracał w miejsce, gdzie nadal stał żółty namiot. Ponownie odwiedził wioskę Tsakho kwani i odbył długą rozmowę z wodzem i czarownikiem oraz kilkoma innymi mężczyznami. Prawie trzy pełne dni włóczył się w okolicy parowu, gdzie za pierwszym razem dopadła go wilcza sfora i gdzie po raz pierwszy zobaczył czarnego psa. Wrócił w miejsce, gdzie spoczywały zwłoki młodego poszukiwacza i mimo niechęci odkopał je jeszcze raz. Musiał. Musiał się upewnić.

Wieczorami, przy ognisku, słuchał wycia wilków, pohukiwania białej, polarnej sowy, głosu karibu rozdieranego kłami wilczej zgrai. Patrzył w wyiskrzzone niebo i czuł na twarzy lodowaty powiew Północnego Wiatru.

Podczas tej przeszło dwutygodniowej włóczęgi, jedynie dwa razy spotkał zwierzynę godną strzału. Za pierwszym razem był to leśny ren, za drugim stary łoś. Wprawdzie mięso było twarde i łykowate, ale psy nie należały do wybrednych. Pracując ciężko prawie codziennie w górzystym terenie, potrzebowały dużo pokarmu. Nie żałował im więc. Bez nich zresztą nie bardzo mógłby sobie poradzić.

Któregoś dnia niebo ponownie zasnęło się chmurami. Wiatr nadciągał z południowego zachodu. Chmury gęstniały, ciągnęły coraz niżej. Zanosilo się znów na dłuższą zadymkę – kto wie, jak długą. I Roddy zdecydował się natychmiast. Od kilku dni obozował po zachodniej stronie przełęczy i miał solidny szałas. Teraz, widząc że nadciąga burza, spakował się szybko i podpalił szałas. Nie chciał go tu pozostawiać jako śladu swej obecności. Począł aż drzewo spłonie na popiół i dopiero wtedy ruszył na zachód. Przenocował w opuszczonym posterunku nad Duck Creek, a następnego ranka, mimo gęstej zadymki, puścił się w dalszą drogę. W tydzień później, o dobre dwadzieścia mil na zachód ominął Fort Constantine i nocą przekroczył alaskańską granicę. Nim nastał świt, znajdował się o dobre dwadzieścia mil poza linią graniczną. Tu skręcił na północ i po trzech dniach dotarł do Forty Mile Creek. W obozie tamtejszych poszukiwaczy spędził prawie tydzień. Odpoczął trochę i pozwolił odpocząć psom. Słuchał tego, o czym gadają ludzie. Ale nie dowiedział się niczego ciekawego. Jedno

co powtarzali prawie wszyscy, to to, że atak zimy sparaliżował praktycznie dostawy żywności, że od prawie dwu miesięcy do Dawson ani Klondike nie dotarł żaden transport z zaopatrzeniem. Napływali jednak wciąż nowi poszukiwacze zarówno z głębi Alaski, jak i z rejonu Skagway. W wielu obozach odczuwano już nie niedostatek żywności, a wręcz głód. Nadchodziły wieści o jakiejś zakrojonej na szeroką skalę akcji kanadyjskiej policji, ale czy chodziło o przemyt alkoholu, czy może czegoś innego, nie potrafiąco określić. Cóż, nie obchodziło go to specjalnie i nie dotyczyło. Zmartwił się jedynie, że gwałtownie skoczyły ceny i to podobno na wszystko, ale najbardziej na żywność. Na szczęście, tej miał jeszcze sporo. Co prawda było to tylko mięso, ale w razie potrzeby mógł przynajmniej część wymienić na jakieś inne potrzebne artykuły. Wypocząwszy, ruszył ku granicy wzdłuż Forty Mile Creek. Któregoś dnia, koło południa, już z daleka dostrzegł podłużny barak i powiewającą nad nim kanadyjską flagę. Nie spiesząc się podprowadził zaprzęg do symbolicznej barierki granicznej.

Z wnętrza baraku musiano dostrzec go wcześniej, bo przed drzwiami czekał sierżant.

– Przywiąż psy do słupka – rzucił – żeby ci nie uciekły, zabierz wszystką broń, jaką masz z sobą i wejdź do środka.

Roddy kiwnął głową, okręcił rzemień przodownika wokół barierki, pogłodził Hektora i powiedział rozkazująco: – Czekaj! – Następnie zdjął z sań karabin tkwiący w pokrowcu i wszedł do izby. Znajdowało się w niej trzech mężczyzn: sierżant i dwu posterunkowych. Izba była obszerna. Mieściła stół i kilka prostych stołków, zbitą z desek prycę, duży żelazny piecyk rozżarzony w tej chwili prawie do czerwoności, pod oknem – długą ławę. Wewnątrz było gorąco i duszno. Zsunął z głowy kaptur i powiedział spokojnie:

– Witajcie! Jestem Roddy Dowson.

– Sierżant Kingsley – przedstawił się podoficer – a to koledzy: kapral Macleod i szeregowy Colebrook. Witaj, przybyszu i radzę: ściągnij tę swoją parkę. Jest ciepło, a formalności potrważą przynajmniej parę minut.

Dowson skinął głową i ściągnął futrzaną kurtkę.

– Rzeczywiście macie tu ciepło – stwierdził rozpinając kołnierz łosiowego kaftana. – Zawsze tak?

Sierżant uśmiechnął się smętnie.

– To zależy. Kiedy wieje z północy, nie jest tak ciepło. Siadaj sobie Roddy. Nie przeszkadza ci, że mówię po imieniu? Nie? To dobrze. Każdemu mówię po imieniu. Z daleka?

Roddy pokręcił przecząco głową.

– Ostatnio z obozu nad Forty Mile Creek. Będzie ze dwadzieścia mil. A w ogóle, to z Anchorage.

– Bój się Boga, człowieku – sierżant omal nie spadł ze stołka. – To rzeczywiście kawałek drogi. Długo idziesz?

– Prawie dwa lata.

Długie, przeciągłe spojrzenie.

– Rozumiem. Poszukiwacz?

– Nie zimą. Ale latem sprawdzałem mijane po drodze potoki.

– I jakie rezultaty?

– Raczej przeciętne.

– Chcesz spróbować po naszej stronie?

– Właśnie!

– Żywność masz?

– Mam.

– Dużo?

– Ze czterysta funtów mięsa.

– To dobrze – sierżant pokiwał z uśmiechem głową. – Jeśli nie dasz się okraść, nie zdechniesz z głodu do wiosny. A jak z forszą?

– Mam kilkanaście dolarów i trochę piasku.

– Też ci się przyda, tylko oszczędzaj, bo tu wszędzie drogo. To cała broń? – Wskazał na pokrowiec z karabinem i rewolwerem.

– Uhm.

– Dobra. Wyjmij. Spiszemy numery.

– Ciekawy zwyczaj. Od dawna spisujecie numery?

– Takie prawo, młody człowieku. – Z kupki papierów zdjął jedną czystą kartkę i zapisał kilka danych: nazwisko i imię, data i miejsce urodzenia. Przy rubryce „stały adres” wpisał słowo: Alaska. Następnie nazwę i numery obydwu sztuk broni. Ilość wwożonej żywności. Wreszcie datę przekroczenia granicy. Nie wypełniał jedynie rubryki zatytułowanej: Rysopis, ale przyjrzał się dokładnie przybyszowi i wiedział, że nie pomyli się, wpisując dane później. Odłożył kartkę na sąsiednią kupkę podobnych i bez przekonania spytał: – Alkoholu, ma się rozumieć, nie przewozisz?

– Trochę!

– Trochę... ? – Kingsley uniósł wysoko brwi. – To znaczy ile?

– Będzie z pół butelki.

Wszyscy trzej patrzyli chwilę, jakby nie rozumiejąc, wreszcie jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Sierżant zmrużył oczy i spytał powątpiewająco. – Iz taką ilością opłaca ci się przekroczyć granicę?

– Niby nie, ale nie przywykłem pić sam. A wyrzucać szkoda, prawda?

– Skoro mówisz, że sam nie nawykłeś... Jak myślicie chłopaki – zwrócił się do swoich. – Chyba nie wypada, by wyrzucał, lub pił na granicy sam? A tabela celna nie przewiduje wysokości opłat od takiej ilości.

– Pewno, że nie wypada, panie sierżancie – potwierdził skwapliwie Macleod. – Mógłby pomyśleć, że jesteśmy formalistami. A co do mięsa, panie Dowson, to pewnie nie udałoby się odrąbać jakiegoś kawałka? Musiało zmarznąć na kość... – Patrzył porozumiewawczo. – Jakiś nieduży kawałek chętnie kupimy.

Roddy uśmiechnął się.

– Poczekajcie chwilę! – Wyszedł z izby. Kilkanaście sekund kręcił się przy saniach. Gdy wrócił, położył na stole przynajmniej ze dwadzieścia funtów ważący kawał łosia i postawił obok butelkę. Rzeczywiście, zawierała nieco więcej niż pół litra.

– Pewno chcielibyście zobaczyć resztę bagażu? Lepiej to zrobić teraz.

Patrzyli na siebie trochę niepewnie, wreszcie sierżant wzruszył bezradnie ramionami. – Widzisz, Roddy, są przepisy... – a zwracając się do Macleoda dorzucił: – Zerknij tam, Percy.

Kapral wyszedł. Widzieli, jak zbliżył się do sań. I w następnej chwili leżał na ziemi. Dowson wypadł przez drzwi i krzyknął ostro:

– Hektor, nie ruszaj! – Pies zdjął łapy z piersi policjanta i warcząc cofnął się nieco. – Wybacz, Macleod. On nie lubi, gdy ktoś dotyka moich rzeczy. – Leżeć, Hektor! – Szybko rozwiązał worki.

Kapral otrzepał się i przejrzał pobieżnie zawartość. Poza żywnością i osobistymi drobiazgami oraz kilkoma puszkami amunicji nie zawierały nic więcej.

Z posterunku wyszedł sierżant i spytał:

– Spieszysz się, Roddy? Do Forty Mile nie dojedziesz dzisiaj. Może przenocujesz tu? Psy możesz umieścić w komórce. Będzie im cieplej. Dowson rozwiązał ponownie worek zawierający zapasową odzież i bieliznę i gdzieś z dna wyciągnął jeszcze jedną, tym razem pełną płaską butelkę i wręczył ją sierżantowi z podejrzanym błyskiem oczu.

– Przypomniało mi się akurat, że mam jeszcze gdzieś pełną.

Macleod, patrzył ze zdumieniem i już zamierzał coś powiedzieć, gdy Kingsley machnął tylko ręką.

– Wciągnijcie zaprzęg do szopy. A tego czarnego diabła przyprowadź do izby. Podobają mi się.

Rozdział IX

Następny krok inspektora Stricklanda

Strickland z nagłym zainteresowaniem spojrzał na siedzącego po drugiej stronie biurka sierżanta Kingsleya, dowódcę granicznego posterunku.

– Twierdzisz, Frank, że ten Dowson was oszukał i że nie pochodzi z Anchorage?

– Nie wiem skąd pochodzi, panie inspektorze. Do nas przyszedł rzeczywiście z obozu nad Forty Mile Creek. Tamtejsi ludzie zapamiętali go. Ale do nich nie ściągnął z głębi Alaski. Rozmawiałem z dwoma myśliwymi Kutchin. Widzieli go wcześniej po naszej stronie – podkreślił mocno ostatnie słowa. – I widzieli, jak o dwadzieścia parę mil na zachód od posterunku przekraczał granicę, tyle że w odwrotnym kierunku.

– Może się pomylili? Może wzięli go za kogoś innego? Po co miałby najpierw przechodzić na tamtą stronę, a za parę dni wracać do nas? To nie byłoby chyba logiczne? Nie sądzisz?

– Zgadza się. Też myślałem, że się może pomylili. Ale on jest znaczny.

Tym razem z wyraźnym ożywieniem poruszył się słuchający w milczeniu Hayne.

– Znaczny? Jak to rozumiesz, Frank?

– Tak, Murray, znaczny. Ma wielkiego czarnego psa. I założę się, że na całym Terytorium Jukonu nikt nie ma takiego drugiego. Indianie dobrze zapamiętali i psa, i właściciela. Potem spotkali go w obozie poszukiwaczy. Spisałem ich oświadczenia. – Z głębokiej kieszeni wydobył kilka kartek papieru i położył na biurku.

Przez parę minut Strickland studiował zarówno oświadczenia Indian, jak i raport Kingsleya. W końcu podniósł wzrok i odruchowo sięgnął po fajkę.

– Taak! A więc granicę przekraczał dwukrotnie i to w ciągu kilku dni. Najpierw z naszej strony na alaskańską w rejonie Czerwonego Parowu – podszedł do wiszącej na ścianie mapy i końcem cybucha dotknął wyraźny punkt – po czym zatoczył łuk na północ, dostał się do Forty Mile Creek i stamtąd ponownie wrócił na naszą stronę w sposób całkiem oficjalny. Rozumiesz coś z tego, Murray?

– Musiał mieć jakiś powód, może nawet kilka.

– Jakie powody, by na próżno wlec się kilkadziesiąt mil tam i z powrotem? Znasz takie? Przecież był już tu. Mógł po prostu zostać.

Hayne poruszył głową bez przekonania. – Nie jestem pewien, panie inspektorze, i jeśli pan pozwoli...

– Mów!

– No więc, jak sądzę, mogą istnieć co najmniej dwa powody: po naszej stronie mógł być do tej pory nielegalnie. Kto wie, kiedy i gdzie po raz pierwszy przekraczał granicę...? Z jakichś względów mogło to być dla niego niewygodne i wołał zalegalizować swoją tu obecność. Musiał więc przejść przez posterunek graniczny. Mogło chodzić o coś innego. Być może w obozie nad Forty Mile Creek miał jakieś sprawy do załatwienia i musiał tam być...? Po załatwieniu, wołał nie ryzykować ponownego nielegalnego przekraczania granicy i przeszedł przez punkt kontrolny.

– A ty, co o tym sądzisz, Frank? – inspektor zwrócił wzrok na Kingsleya.

– Zgadzam się z Murrayem. Mogło tak być, jak mówi. Dowson rzeczywiście wygląda na poszukiwacza. Na pewno po naszej stronie znalazł jakąś dobrą bonanzę i chce płukać. Wie oczywiście, że działki nie zarejestruje jako obcy. Musi mieć dokument przekroczenia granicy. Dlatego przyszedł na punkt kontrolny. Teraz jest tu legalnie.

Strickland popatrzył na mówiącego kpiąco i spytał niewinnie:

– To myślisz, że on mógł znaleźć złoto w środku zimy? – Jak to, w środku zimy? – Kingsley wydawał się nie rozumieć. – No, przecież mamy środek zimy. Sądziś, że płukał zimą?

– No nie – sierżant zaprzeczył gwałtownie – jeżeli coś znalazł, to najpóźniej jesienią. Ale, ale... w takim razie czemu zwlekał tak długo i... i co w tym czasie robił?

– Właśnie, czemu zwlekał, co robił i gdzie się obracał przez taki szmat czasu? I... może to jednak nie poszukiwacz... Sprawdź Frank, co robił nad Forty Mile Creek w tamtejszym obozie poszukiwaczy. Może zna tam kogoś? Może się z kimś skontaktował specjalnie? Może jego ktoś zna? Może coś wiedzą o nim? Może ktoś go już gdzieś lub kiedyś spotkał. Zdaje się, że po tamtej stronie znasz porucznika Browna?

– Tak jest, panie inspektorze. Razem pilnujemy przemytników. Na pewno chętnie mi pomoże.

– To bardzo dobrze, ale staraj się rozmawiać oględnie. Tak, wiesz, niby nic ważnego. Powiedzmy, zwykle sobie zainteresowanie na przykład tym, jak powiadasz, czarnym psem. Brown przecież nie musi wiedzieć, że interesuje nas pan, a nie jego pies. Rozumiesz?

– Jasne!

– No, to dobrze. Będziesz coś wiedział, melduj natychmiast. I jeszcze jedno: nie wiesz przypadkiem, czy zatrzymał się w Dawson, czy powędrował gdzieś dalej?

– Wiem, panie inspektorze. – Sierżant podniósł się z krzesła. – Zatrzymał się tutaj. Mieszka, przynajmniej na razie, w „Tivoli”.

Wiadomość musiała wywrzeć odpowiednie wrażenie, bo brwi inspektora powędrowały gwałtownie w górę, a Hayne przestał podkrecać wąsy. Kilkanaście sekund panowało milczenie. Wreszcie Strickland pokiwał głową, ale widocznie powstrzymał się przed wypowiedzeniem myśli, które nieodparcie cisnęły mu się na usta. Wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, Frank. Pogadaj z Brownem jak najszybciej. Twoi chłopcy też niech się rozejrzą. Tylko ostrożnie, żeby ptaszek czegoś nie zwąchał, a zdaje się, że to niezły ptaszek.

Kingsley odmeldował się przepisowo. Nim jednak zdołał przekroczyć bramę fortu, zadowolenie z wrażenia, jakie wywarł na Stricklandzie, prysło jak mydlana bańka. Z rozmachem palnął się w czoło i omal nie zaklął. Że też dopiero teraz musiało mu to przyjść na myśl. A było oczywiste od początku. Roddy Dowson, poszukiwacz, z odrobiną złota i paroma dolarami w kieszeni zatrzymał się w mieście w najdroższym lokalu... w lokalu, w którym jeden wieczór kosztował najmniej kilkadziesiąt, a może kilkaset dolarów. Uświadomiwszy sobie ten fakt, przystanął z zamiarem powrotu i poinformowania przynajmniej Murraya. Zrezygnował jednak i ponownie ruszył ku niezbyt oddalonej od fortu osadzie. Strickland nie był przecież nowicjuszem, a Hayne również. I wiedzieli na pewno, ile płaci się w „Tivoli”, a w raporcie napisał im, ile pieniędzy i złota miał Dowson.

„Sami chyba skojarzą” – stwierdził i przyspieszył kroku.

Gdy przemyślał wszystko jeszcze raz, uspokoił się zupełnie i ponownie ogarnęło go uczucie zadowolenia, a nawet dumy. Tak, mógł być z siebie dumny. Mimo że nie należało to do jego obowiązków, wyszedł on, Frank Kingsley, że Roddy Dowson dwa razy przekraczał granicę. Fakt ten musieli zauważyć i odpowiednio docenić. Pochwała była murowana, ale może coś więcej? Może rozkaz specjalny przed całą dywizją, a nawet awans? Wszak już prawie osiem lat był tylko sierżantem. Dodatkowe słówko „starszy” na pewno by mu nie zaszkodziło, a i parę dolarów więcej miesięcznie też byłoby nie do pogardzenia. Nie było to niemożliwe, zwłaszcza gdyby ten ptaszek, jak nazwał go Strickland, okazał się kimś ważnym.

Rozmyślając nad tą sprawą, utwierdzał się coraz bardziej w przekonaniu, że Dowson to nie byle kto. Może nawet herszt jakiejś groźnej bandy. Ale byłaby heca, gdyby właśnie on, Frank Kingsley, dopadł go w czasie jakiegoś zuchwałego napadu i założył kajdanki. Ba, gdyby okazało się... Wtedy ci tam u góry musieliby pomyśleć chyba o czymś więcej. Gdyby rozwikłał taką sprawę, musieliby ocenić to odpowiednio i kto wie... awans na inspektora wcale nie wydawał się taki nieprawdopodobny. Uśmiechnął się na myśl o takiej ewentualności i jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by tą sprawą zajął się poważniej. Wręcz przeciwnie, sam Strickland zobowiązał go do tego. Nawet kazał wejść w bliższe kontakty z Brownem i popytać innych. Miał więc wolną rękę, tym bardziej że ostatnio ruch na granicy wyraźnie osłabł. Nie musiał tkwić tam beczynn timerami dn timerami. Macleod i Colebrook mogli z powodzeniem obejść się bez niego. Spojrzał na słońce i stwierdziwszy, że jest jeszcze dosyć wcześnie, zdecydował się nie tracić czasu.

Ailie Jameson ucieszyła się wyraźnie na jego widok. Nie, oczywiście, po odwiedzinach nie mogła sobie niczego obiecywać. Frank Kingsley był Mountie i nadmiarem pieniędzy, nie mówiąc o złocie, nie grzeszył, ale lubiła go po swojemu. Pamiętała, że gdy przed prawie półtora rokiem przekraczała granicę, właśnie on pomógł jej uniknąć kłopotów z prawdziwą bandą pijanych obieżyświatów. Od tamtej pory zaprzyjaźnili się trochę. Czasami wpadał, a ponieważ lubił mówić dużo, w tym najchętniej o swej pracy, zdarzało się, że najświeższe nowinki policyjne, nawet takie, które nie zdążyły jeszcze wydostać się zza palisady nowego Fortu Herchmer, znała o wiele wcześniej od innych mieszkańców Dawson. I potrafiła wyciągać z tego wcale niemałe korzyści. Obracała się w światku zróżnicowanym. Szczęśliwych lub nieszczęśliwych, poszukiwaczy złota, milionerów i nędzarzy, agentów od sprzedaży działek, pośredników, kupców i bankierów, różnego typu niebieskich ptaków, szulerów, oszustów i pospolitych złodziei, marzycieli i fantastów, ale także ludzi bezwzględnych, twardych, zdecydowanie realizujących swe życiowe plany i cele. Znała i innych, takich, o których zaledwie szeptano, lub nawet nie wiedziano, że istnieją, a o interesach których niebezpiecznie było mówić lub myśleć. Nie afiszowali się, pozostawali często w cieniu, nie zwracali na siebie uwagi. Ale miewali bardzo długie ręce, sięgające daleko – na całe terytorium Yukonu, a może i dalej. Za przysługę płacili dobrze. Na niełojalnych lub gadatliwych mieli swoje sposoby. Czasem ktoś popełnił samobójstwo, inny wypadł za burtę łodzi czy statku i tonął, jeszcze inni zdobyte tu pieniądze tracili w nie wyjaśnionych okolicznościach w odległym Dyea czy Skagway, gdyż właśnie tamtędy wiodła ich droga do rodzinnego domu w Stanach czy na południu Kanady.

Ailie była pojętna. Mimo swych niespełna dwudziestu lat szybko poznała reguły gry w tym światku i dostosowała się do nich. Ale, co ważniejsze, wyrobiła w sobie instynkt, który pozwalał jej nieomylnie oceniać ludzi i zdarzenia.

Toteż gdy teraz na progu drzwi dostrzegła Franka Kingsleya, gdy na jego twarzy ujrzała wyraz podniecenia, a w oczach zagadkowy wyraz i źle skrywaną dumę, nie miała większej wątpliwości, że w Fort Herchmer lub na granicy wydarzyło się coś bardzo ważnego. Nie miała też wątpliwości, że wkrótce będzie wiedziała co. I nie myliła się. Już przy drugiej szklance whisky opowiedział jej dokładnie nie tylko to, co sam wiedział o Roddy Dowsonie, ale powtórzył ze szczegółami treść rozmowy, jaką miał ze Stricklandem. Podzielił się z dziewczyną swoimi podejrzeniami i nie omieszkał powiedzieć jej, naturalnie w zaufaniu, że to jemu właśnie – sierżantowi Kingsleyowi – pewno niedługo inspektorowi Kingsleyowi – Strickland powierzył tę sprawę pod bezpośredni nadzór z zadaniem zlikwidowania bandy, na czele której stoi Dowson.

Nie ukrywał, że sprawa jest trudna i niebezpieczna. Szansę jej powodzenia widział jednak w pomocy, jakiej mogła mu udzielić Ailie. Gdy wydawała się nie bardzo nadszperać za tokiem jego coraz bardziej (pod wpływem alkoholu) niejasnych, ale coraz śmielszych pomysłów,

wytłumaczył jej z trudem, że ponieważ Dowson mieszka w „Tivoli”, a ona tam właśnie tańczy i śpiewa, to nie budząc niczych podejrzeń łatwo może zapoznać się z tym typem, poznać jego kompanów i wszystkie ich plany. Wtedy wystarczy, że przekaże to jemu – Kingsleyowi – a on się już z bandą rozprawi bez żadnych wątpliwości.

Język sierżanta plątał się coraz bardziej, coraz częściej mężczyzna sięgał po usługę napelnianą mu szklankę i mimo że ręka niosąca złocisty płyn chwiała się niebezpiecznie, płyn znajdował drogę do spragnionego gardła i znikał w jego czeluściach.

Wreszcie Ailie odstawiła prawie pustą butelkę. Frank Kingsley, sierżant Północno-Zachodniej Policji Konnej, dowódca posterunku nad granicą alaskańską, po niewątpliwych trudach długiej opowieści poświęconej sprawie Roddy Dowsona, chrapiąc głośno spał zasłużonym snem przyszłego bohatera i sławnego pogromcy wszystkich groźniejszych band grasujących na terytorium Jukonu.

Dziewczyna popatrzyła na mego z zadumą. Jakiś niewyraźny cień może żalu, a może melancholii zamajaczył na jej twarzy. Wzruszyła jednak tylko ramionami, narzuciła na siebie ciepłe futro z kapturem i cicho zamknęła drzwi. Wiedziała, że jej bohater będzie spał przynajmniej do rana.

Już od progu dostrzegła, że po przeciwnej stronie ulicy przechadzają się niby bez celu dwaj młodzi mężczyźni. Znała ich z widzenia i wiedziała, że należą do paczki Turnera Jacksona, o którym niekiedy szeptano różne rzeczy. „Może znajdowali się tu całkiem przypadkowo” – pomyślała i szczerzej osłoniła przed mrozem twarz ciepłym futrzanym kołnierzem. Nie byli tam, jak się okazało, przypadkowo. Nim zdążyła przejść kilkanaście kroków, ktoś silnie ujął ją pod ramię.

– Dokąd tak się spieszysz, Ailie? Nie pogawędzisz chwilę z przyjaciółmi?

Obróciła nieco głowę i udając zaskoczenie wykrzyknęła:

– Ach, to ty, George! Przestraszyłeś mnie trochę. Co tu robisz? Myślałam, że urzędujesz nadal po drugiej stronie rzeki w Lousetown. Zdaje się, że właśnie tam Jackson ma swoją stałą kwaterę – zażartowała.

Wilder roześmiał się. – To stare dzieje, Ailie. Przenieśliśmy się na tę stronę. Ciekawsza – dorzucił. – A ty po staremu w „Tivoli”?

– Oczywiście. Bonnifield, jako szef, jest w porządku. Czemu miałabym zmieniać?

– Niby racja, chociaż po tym ostatnim wypadku, kiedy ta biedna Myrtle Brocee zastrzeliła się w jego pokoju i to w dodatku podobno z jego własnego kolta, ludzie różnie gadają. Ale ty pewno wiesz, co robisz. Nie o to jednak chodzi, Ailie.

– A o co ci chodzi, George?

– Iii... o nic szczególnego, tyle tylko, że przechodziliśmy z Parkerem w pobliżu i zobaczyliśmy, że wali do ciebie ten waśniak z punktu granicznego. Pomyśleliśmy, że może będziesz potrzebować pomocy.

– Zbędna troskliwość, panie Wilder. Jak widzisz, pomocy ani ochrony nie potrzebuję.

– To dobrze, Ailie. Widzę, że nadal dajesz sobie radę. Zdmuchnęłaś go? Nóż czy kula? Nie widzieliśmy, żeby wychodził.

Roześmiała się.

– Nie zgadłeś! Po prostu kieliszeczek. Widzisz, był trochę zmęczony. Teraz śpi. Nie masz mu chyba zamiaru przeszkadzać?

– No, nie. Oczywiście. Kto by śmiał przeszkadzać władzy we śnie? Nie, Ailie, nie my. A on tak bez celu przyszedł, z czystej miłości?

– Znów nie zgadłeś. On mnie po prostu lubi. Wpadł na chwilę pogawędki.

– Nie powiesz o czym?

– A za ile?

– Noo... powiedzmy za dziesiątaka.

Prychnęła pogardliwie. – Za dziesiątaka możesz postawić jajecznicę Gussie Lamore. Będzie ci wdzięczna do grobowej deski.

– To ona dalej taka pazerna na jajka?

– No, nic jej nie przeszło, a nawet przeciwnie: o te głupie jajka toczy prawdziwą wojnę ze Swiftwaterem. On wykupuje wszystkie i karmi psy, a ona pęka ze złości. Kup jej parę, George.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, Ailie. Gussie nie interesuje mnie. Chcę wiedzieć, z czym przyszedł do ciebie Kingsley? A dokładnie, to nawet nie ja. Zainteresowany jest tym Jackson. Rozumiesz? Chyba nie odmówisz mu drobnej informacji?

Milczała dłuższą chwilę, wreszcie spytała:

– Gdzie go zastanę?

– W „Monte Carlo”. Zajmuje pokój numer sześć. Trafisz sama czy zaprowadzić cię?

– Nie musisz! – Zręcznie uwolniła się od jego opiekuńczego ramienia i przyspieszyła kroku.

Gdy w godzinę potem opuszczała elegancko urządzony pokój Turnera Jacksona, nie musiała żałować straconego czasu. Jej podręczna torebka była teraz cięższa o równe trzysta dolarów. Jackson był człowiekiem światowym i znał się na interesach. Poza tymi trzema setkami dorzucił jeszcze za wypitą przez Kingsleya butelkę. Fakt, musiała mu obiecać, że spróbuje zawrzeć znajomość z Dowsonem. Obiecał, że pokryje ewentualne koszty lub straty. Nie upierała się, tym bardziej iż przecucie mówiło jej, że może to być całkiem pożyteczna znajomość. Widziała go już dwa czy trzy razy. Na równi z innymi oklaskiwał jej występy, ale jak oceniała, dotąd nie wyróżniał się niczym szczególnym. Oklaskiwał i inne. Oczywiście, skoro mógł sobie pozwolić na apartament w „Tivoli”, nie należał do najbiedniejszych, ale trudno było przewidzieć z góry, czy tego co ma, starczy mu na tydzień czy na miesiąc. Apartamenty zajmowali różni. Teraz Ailie musiała przyznać przed sobą, że instynkt zawiódł ją, no bo skoro gościem z jednej strony interesowała się policja, a z drugiej strony sam Turner Jackson, to musiał to być nie byle kto. I nim doszła do „Tivoli”, zdążyła pomyśleć, że chyba i Roddy Dowson musiałby czuć się wobec niej zobowiązany, gdyby uprzedziła go o tak szerokim zainteresowaniu, jakie jego obecność wzbudziła w mieście. Na pewno okazałby się dyskretny. Nie ryzykowała właściwie i nie miała zamiaru tracić czasu.

Strickland również nie tracił czasu. Nim sierżant Frank Kingsley zdołał do końca podzielić się z Ailie swymi podejrzeniami i pomysłami, inspektor polecił wezwać do siebie właściciela „Tivoli”. Mówiąc ściślej, polecił go zaprosić. Różnica w formie była niezbyt wielka, ale Sam Bonnifield zrozumiał ją właściwie. Policja tym razem nie miała do niego pretensji, ale miała jakąś sprawę. Ciekaw był jaką. Może chodziło jeszcze o tę biedną Myrtle Brocee, a może o Harry’ego Woolricha, jej przyjaciela, który w niecały tydzień po tragicznej śmierci dziewczyny zniknął gdzieś z miasta...

Inspektor jednak nie interesował się tym szczególnie. Owszem, spytał dla formy, jak tamta sprawa odbiła się na zachowaniu innych dziewcząt, na ich samopoczuciu, ale nie wgłębiał się w szczegóły. Po kilkuminutowej, raczej niezobowiązującej rozmowie na ten temat przeszedł do innych spraw: nastrojów wśród poszukiwaczy, stanu zapasów żywności, stanu bezpieczeństwa w mieście, przestrzegania porządku, wysokości cen, w tym również cen w „Tivoli”. Nie, nie zgłaszał zastrzeżeń. Wyraził jedynie zaniepokojenie, że za butelkę wina płaci się tam sześćdziesiąt dolarów. – Przecież przy takich cenach – skwitował pół żartem – w ciągu najdalej miesiąca oskubiesz, Sam, wszystkich poszukiwaczy do ostatniego nuggetu.

Bonnifield zaprzeczył z uśmiechem i sięgnął po podsunięte mu uprzejmie cygaro.

– Nie, panie Strickland, taka obawa nie istnieje. Niewielu jest takich, którzy do pokoju mogą sobie zamówić butelkę, i to na ogół nie poszukiwacze, poza kilkoma, ale milionerzy.

Tych nie zrujnuję. Reszta zadowala się kieliszkiem czy dwoma brandy, rumu, czasem whisky. Na to ich stać. Zresztą przychodzą głównie dla dziewcząt. Lubią ich słuchać, lubią patrzeć na taniec. Czasem któryś próbuje swych sił z wybranką. Nie kosztuje to dużo: cztery, pięć dolarów za taniec. Mogą zapłacić. Więcej tracą przy ruletce i kartach, ale i tu nie za dużo. Idąc za pańską radą, ograniczyliśmy górną granicę stawek. Ktoś, kto ma mało, oczywiście może przegrać wszystko, ale takich jest niewielu. Grają zwykle ci, którzy mogą pozwolić sobie na przegraną.

Inspektor pokiwał ze zrozumieniem głową, zdając się przyjmować za dobrą monetę słowa rozmówcy. Było w nich, oczywiście, sporo prawdy, ale czy cała? Raporty policyjne nie były tak optymistyczne. Nic jednak nie powiedział. Jeszcze raz pokiwał głową.

– Chyba masz rację, Sam. Obawiam się jednak, że w najbliższym czasie sytuacja pogorszy się.

– Czyżby jakieś niespodziewane kłopoty? – Bonnifield spojrzał na inspektora z zainteresowaniem.

– Nie, nic nowego. Tyle tylko, że kurczą się zapasy żywności, a nowe dostawy nadejdą pewno nieprędko. Tymczasem ludzi przybywa i to właściwie we wszystkich osadach: w Forty Mile, Klondike, w Teslin, Atlin i Glenorze, nie mówiąc o tych dwudziestu tysiącach, którzy obozują nad Jeziorem Bennetta i nad Tagish, czy w Telegraph Creek. No, ale o tym wiesz równie dobrze jak ja – wskazał na leżącą na biurku gazetę „The Midnight Sun”. – Czytałeś, co o tym pisze reporter, który przybył z Glenory?

– Tak, oczywiście, panie Strickland, ale na to nic pan nie poradzi. Ludzie ciągną do złota.

– U ciebie wielu nowych?

W kontekście ostatniego fragmentu rozmowy, mimochodem rzucone pytanie brzmiało całkiem niewinnie.

– Kilku.

– Chyba nie poszukiwacze?

– Niezupełnie. Paru to biznesmeni: dwóch z Montrealu i trzech z „San Francisco, ale jest też i poszukiwacz.

Strickland spojrzał z niedowierzaniem.

– Poszukiwacz, mówisz? Jeśli ma tyle złota, by wynajmować pokój w „Tivoli”, to chyba musiał mieć gdzieś prawdziwą bonanzę. Nie dziwi cię, że ją zostawił?

Bonnifield roześmiał się.

– Nie zgadł pan, inspektorze. Wcale nie jest bogaty, chociaż miał towar, za który chętnie wynajęłam mu pokój z wyżywieniem.

– Towar?

– Tak, i to bardzo potrzebny. Prawie połówkę łosia, a to dzisiaj warte więcej niż złoto.

– Jasne! Kanadyjczyk?

– Nie, Jankes.

– Nie mógł sobie wynająć tańszego lokalu?

– Mówi, że podoba mu się u mnie.

– Hm! To ciekawe. Nie wiesz, jak się tu dostał?

– Z Alaski. Parę dni temu przekraczał punkt graniczny.

Inspektor myślał dłuższą chwilę, w końcu powtórzył:

– To rzeczywiście ciekawe. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że po tamtej stronie wszystko jest kilkakrotnie tańsze i łatwiej byłoby mu przeczimować? Mógł tu przecież ściągnąć wiosną. Nic by nie stracił. Nie mówiłeś mu?

– Mówiłem.

– I co on na to?

– Spytał, czy biorę łosia za kwaterę i za żarcie, bo jeśli nie, to poszuka sobie innego miejsca. Nie mogłem przepuścić takiej okazji. Jak pan wie, mięsa w mieście nie ma, a to co jest jeszcze, jest bardzo drogie.

– Zamierza tu być oczywiście do wiosny? – inspektor zapytał z przekonaniem.

– Ależ nie. I to jest właśnie dziwne. Powiedział, że zatrzyma się tu najwyżej tydzień, może z dziesięć dni.

– Tak krótko? A co dalej?

– Nie mówił.

Strickland ważył coś w myśli. Nie chciał posuwać się zbyt daleko, ale też nie mógł poprzestać na tym, co wynikało z dotychczasowej rozmowy. Właściciel „Tivoli”, mimo że na pozór był wobec prawa w porządku, w rzeczywistości miał na pewno niejednego drobny grzech na sumieniu. Nie powinien więc mieć specjalnych oporów przed udzieleniem władzom niewinnej w zasadzie pomocy, a policja takiej właśnie potrzebowała. Spod zmrużonych powiek popatrzył na swego rozmówcę i spytał z nieznacznym wahaniem w głosie:

– Nie wydaje ci się dziwne, że facet w środku zimy urządza takie wędrówki? Najpierw wlecze się do nas gdzieś z Alaski, tylko w tym celu, by pozbywszy się żywności, po paru dniach znów ruszyć gdzieś dalej. Czym się będzie żywił? Dokąd idzie i w jakim celu?

– Nie wiem. Bywają różni. Może i ten ma jakiś cel?

– Na pewno. Chciałbym wiedzieć jaki?

– Mnie się nie zwierzał – Bonnifield rozłożył bezradnie ręce. Zaczynał dopiero teraz rozumieć powód grzecznego zaproszenia policji.

– A komu się zwierzał?

– Nie wiem, nie widziałem.

– Mógłbyś się rozejrzeć, Sam.

– Nie myśli pan, inspektorze, że mogłoby to podpaść?

– Przecież nie musisz rozglądać się osobiście. I u ciebie, i dla ciebie pracuje sporo osób. Nie musisz mówić im, czemu akurat ten gość interesuje cię. Ale à propos. Obiło mi się o uszy, że masz swoich ludzi i w „Savoyu” i w „Monte Carlo”. Może oni coś wiedzą? Chyba że wolisz, bym sam z nimi porozmawiał?

Bonnifield przygryzł wargi i poruszył się niespokojnie. A więc policja wiedziała, że miał swoje wtyczki w tych dwu lokalach i gotowa była wykorzystać swoją wiedzę. Nie, lepiej żeby tego nie robiła. Tego co interesowało inspektora, mógł dowiedzieć się sam.

– Trzeba było od razu powiedzieć, panie inspektorze, że interesuje pana ten ptaszek. To ktoś znaczny?

– Trudno powiedzieć, ale z pewnych względów rzeczywiście nas interesuje. Chcielibyśmy wiedzieć, skąd pochodzi, co robił przynajmniej w ciągu ostatniego roku, a w tym szczególnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy? Czy na naszym terenie nie przebywał latem, gdzie i czym się zajmował? Jakich tu ma znajomych czy przyjaciół, z kim się spotyka lub nawet rozmawia i o czym? Co zamierza?

Bonnifield cicho gwizdnął przez zęby. – To sporo. Ale zrobię, co będę mógł. Czy on jest niebezpieczny?

Strickland wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale dobrze, że mi się przypomniało. Czy to prawda, że z drugiego brzegu przeniósł się tu Turner Jackson? Jest z nim podobno Wilder? Ktoś wspominał mi, że widział ich niedawno.

– Prawda! Mieszkają od pewnego czasu w „Monte Carlo”. Podejrzewa pan, że tego Dowsona może wiązać coś z Jacksonem?

– Mówiłem ci, że nic nie podejrzewam. Po prostu chcę wiedzieć wszystko o Dowsonie. Turner Jackson to zupełnie inna sprawa. Chociaż gdyby się okazało, że ci dwaj znają się, mogłoby to wiele wyjaśnić.

– Tak, rozumiem, prowadziłoby prosto do Skagway i do Soapy Smitha. Podejrzewa pan, inspektorze, że Roddy Dowson to jedno z „jagniąt”, czy też jeden z „wilków” Soapy’ego?

– Powtarzam, Sam, że nic nie podejrzewam. Po prostu facet interesuje mnie. Działaj jednak tak, by nie zauważył niczego, bo jeśli na przykład twoje przypuszczenia co do możliwości jego związków ze Smithem okazałyby się prawdziwe, to rozumiesz chyba, że musielibyśmy przydzielić ci stałą ochronę, a nie mamy aż tylu ludzi. Lepiej więc działaj ostrożnie. W ogóle wolałbym nie mieszać cię w tę sprawę, ale widzisz, od czasu gdy wyszła na jaw ta historia z patrolem nad Duck Creek, nie mamy wyjścia. I naprawdę wszyscy ludzie są zajęci. Jeśli uda ci się nam pomóc, nie zapomnimy. Powtarzam jednak, działaj ostrożnie. Soapy ma bardzo długie ręce. Nie chciałbym, by spotkała cię jakaś przykrość. A na pewno ma tu co najmniej kilku swoich ludzi.

Sam Bonnifield przytaknął.

– Na pewno, inspektorze. Czy może jeszcze w czymś mógłbym być pomocny władzom?

– Sam wiesz najlepiej, ale na razie interesuje nas Roddy Dowson. – Podniósł się zza biurka i wyciągnął rękę. – Dziękuję, że zgadzasz się.

Właściciel „Tivoli” uśmiechnął się nijako. Nie miał pewności, czy mógłby się nie zgodzić i to na tak niewinną prośbę tego twardego i podobno zdecydowanego Mountie. Od czasu bowiem, gdy Strickland z Fort Constantine przeniósł się tu do Dawson, zdążył wyrobić sobie jednoznaczną opinię. I chyba nie znalazłoby się wielu takich, którzy odmówiliby jego prośbie. Potrafił wymusić respekt dla działań policji, ale u wielu również strach. Toteż mimo iż w mieście znalazły się jednocześnie setki, a może nawet tysiące niebieskich ptaków, mimo szaleństwa złota, z pozoru Dawson uchodziło za jedno z najbardziej bezpiecznych miast w Kanadzie. Niewielka załoga policyjna, którą pod nieobecność inspektora Charlesa Constantine’a żelazną ręką dowodził Strickland, z powodzeniem zapewniała spokój i porządek w promieniu setki mil. Dla wielu było to niewygodne, nie mogli rozwinąć skrzydeł. Ale większość akceptowała istniejący stan rzeczy. W sumie opłacało się. Pewno, i tu jak wszędzie, alkohol, hazard, pogoń za złotem, za bogactwem wywoływały emocje, stwarzały zadrażnienia, napięcia, ale rzadko kto nie opanował się w porę. Zresztą najczęściej wystarczało słowo „Mounties”. Jeśli nie wystarczało, ten kto zakłócił spokój czy porządek, lub w poważniejszy sposób naruszył prawo, musiał się liczyć z dotkliwymi konsekwencjami.

Sam Bonnifield rozumiał, że skoro policja interesuje się Dowsonem, to ma ku temu poważne powody, widocznie wystarczające, by prosić innych o pomoc. Rozumiał, że odmowa mogłaby być uznana za utrudnienie policyjnego śledztwa. Nie chciał się narażać na taki zarzut lub nawet posądzenie. Z drugiej strony nie bardzo odpowiadała mu rola policyjnego pomocnika i nie zamierzał narażać się bardziej, niż wymagała tego sytuacja.

O tym, że szef „Tivoli” ostatecznie dojdzie do takiej właśnie konkluzji, Strickland widocznie od początku nie wątpił, bo już w chwilę po zakończeniu rozmowy poprosił sierżanta Hayne’a i spytał bez żadnych wstępów:

– Mam nadzieję, Murray, że od tej chwili Bonnifield bez naszej wiedzy nie uczyni nawet jednego kroku?

– Postarałem się tego dopilnować, panie inspektorze. Nie wierzy mu pan?

– Nie chodzi o brak zaufania. Będzie nam pomagał oczywiście, ale tylko w takim stopniu, by nie narażać się drugiej stronie, a to jak na nasze potrzeby może okazać się diablo mało. Musimy wiedzieć więcej. Wszystko, bo znaczenie może mieć każdy szczegół. No i trzeba pilnować każdego ruchu Dowsona.

Hayne uśmiechnął się.

– To, szefie, załatwiłem najpierw.

– Dobra, a co z Kingsleyem? Podjął już swoje prywatne śledztwo?

Sierżant kiwnął głową.

– Chyba tak. W każdym razie pierwsze kroki skierował do Ailie Jameson.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Strickland przesunął ku podwładnemu pudełko cygar, sam wyjątkowo wziął również jedno, a gdy już zapalili, powiedział spokojnie:

– Wiem, Murray, że miałeś do mnie żal, kiedy nie pozwoliłem ci pójść wtedy z tymi z Oddziału Specjalnego. Czy nadal żałujesz?

– Nie, panie inspektorze. Nie miałem wtedy pojęcia, że to taka sprawa, i że rzeczywiście będzie potrzebny ktoś tu na miejscu. Pan wiedział od początku? – Niestety, nie. Domyślałem się jedynie, że to wszystko może być bardziej skomplikowane, niż wydaje się z pozoru. Musiałem zostawić tu kogoś, właśnie ciebie. Sam, jak widzisz, nie bardzo mógłbym sobie poradzić.

– A czy tym razem jest pan pewien, że to właściwy trop?

– Sam osądź, Murray. Wiesz tyle samo co ja. Sądzę, że możemy mieć jeszcze kupę niespodzianek.

Na dłuższy czas zapadło milczenie.

Rozdział X

„Jagnięta” Jeffersona Smitha

Usłyszał zduszony jęk, odgłos noża spadającego po kamieniach, jednocześnie poczuł potężne uderzenie w tył głowy. Zamroczyło go, ale tylko na chwilę. Udając że pada, przygiął się ku ziemi, zwinął niczym wąż i nim tamten zdążył ponowić cios, rąbnął od dołu w nachylający się nad sobą szczeciniasty kozi podbródek. Napastnik z rozłożonymi rękoma wylądował w pobliskiej stercie pustych beczek i całkiem zwiotczaly osunął się w zaspę śniegu. Dwaj pozostali skradali się ostrożnie i usiłowali zająć go z dwu stron. Wyczekał do ostatniej chwili i gdy runęli jednocześnie, temu z lewej wymierzył cios twardym ciężkim butem, uchylił się przed ostrzem szerokiego noża drugiego z napastników i zaciśniętą pięścią wyrznął go między oczy. Tamtego odrzuciło o kilka kroków. Poderwał się jednak natychmiast, wstrząsnął grzywą zmierzwionych włosów i zamierzał ponowić skok, gdy powstrzymał go zimny beznamiętny głos:

– Dosyć tej zabawy, przyjacielu – Roddy trzymał ciężkiego kolta. – Nie mam chęci na dalszą młóckę, a jeśli zastrzelę ciebie lub jeszcze któregoś z twoich kumpli, to nawet Mounties nie będą Was żałować. – Ton nie pozostawiał wątpliwości, że właściciel Pukawki całkiem serio traktuje swoje ostrzeżenie.

Zbierali się niemrawo. Nie, oczywiście, nie mieli zamiaru ryzykować, tym bardziej że Jackson zapowiedział wyraźnie, że nie życzy sobie żadnych jatek. Przybysza mają trochę przetrzepać i postraszyć, i to wszystko. Tymczasem okazało się, że to nie oni jego, a on ich załatwił i to migiem, nawet bez specjalnego wysiłku. Spluwę wyciągnął dopiero po lekcji, jakiej im udzielił... niczym jagniętom.

Wilder, który dostał ten potworny cios w podbródek, wygrzebując się teraz niemrawo ze śniegu, czuł jeszcze szum w głowie i podejrzaną słabość w kolanach. Zamglonym spojrzeniem przesunął po barczystej sylwetce pogromcy. Usiłował poruszyć szczęką, ale pod wpływem piekielnego bólu poczuł ponownie, jak mu się uginają nogi, a po plecach zaczynają spływać strużki potu. Przez parę chwil dyszał ciężko, jednak próby nie ponowił. Szczęką musiała być pęknięta, albo przynajmniej solidnie naruszona. „I to od uderzenia pięścią” – pomyślał z podziwem.

Mimo że niedoszła ofiara zdążyła już schować rewolwer i zachowywała się spokojnie, wycofywali się ostrożnie.

Roddy nie przeszkadzał im. Doskonale rozumiał, że dostali nauczkę i że popamiętają ją wystarczająco długo. Zastanawiał się, dlaczego go zaczepili. Powodu nie dał im żadnego. Rabunek nie wchodził w grę. Nie mogli liczyć, że ma jakąś większą sumę przy sobie. Zresztą rabunek w biały dzień, o dwa kroki od centrum, nie miałby żadnego sensu. Mounties dostaliby ich w ciągu godziny. A jaki inny powód? Może chcieli go wypróbować, sprawdzić, czy się nie boi, co jest wart? Sprawdzić dla siebie, czy dla kogoś? Raczej dla kogoś, dla kogoś, kto z góry chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia. „Pewno Jackson” – pomyślał leniwie. Ailie Jameson zdążyła mu szepnąć parę słów. O Kingsleyu również, ale tych czterech nie mógł nasłać Kingsley. Nie miał takich możliwości i chyba był za głupi. Zresztą cóż by mu to dało? Wplątałby jedynie niepotrzebnie policję w głupią kabałę. Na pewno nie on, ale w takim razie tylko Turner Jackson.

Gdzieś z północy powiało chłodem. Wsunął ręce głębiej do kieszeni i wolnym krokiem podążył z powrotem wzdłuż zamrzniętej rzeki. Krótki popołudniowy spacer, jaki urządził sobie tego dnia, nie był zupełnie bezcelowy. Oczywiście celu nie stanowiła rzeka, chociaż mógłby tak pomyśleć ktoś nie wtajemniczony. Prawdę mówiąc nie interesowała go w ogóle. Interesowała go główna ulica Dawson, jak ją tu od niedawna szumnie nazywano. Nawet nie cała. Właściwie tylko jeden piętrowy dom nie wyróżniający się niczym szczególnym poza wielką drewnianą tablicą z wymalowanym czerwoną farbą napisem: Urząd Rejestracyjny Działek Górniczych. Mieścił się na parterze. Mieszkanie na piętrze zajmował mister O'Flaherty pełniący jednocześnie obowiązki notariusza państwowego. Nie on jednak był przedmiotem zainteresowania Roddy'ego. Chociaż niezupełnie, i nie w takim sensie, w jakim ludzie zwykli interesować się sobą. Tym razem zainteresowanie to ograniczyło się jedynie do stwierdzenia faktu, że rankiem owego dnia mister O'Flaherty otrzymał niespodziewanie pilny list z Klondike od tamtejszych właścicieli działek nad Bonanza Creek z prośbą o przybycie i wyjaśnienie na podstawie księgi notarialnej, czy niejaki Archibald Cochrane, rodem z Minnesoty, ma prawo do odkrywki numer siedemdziesiąt osiem. Terrence O'Flaherty jako człowiek nadzwyczaj skrupulatny wyciągnął natychmiast stosowną księgę zapisów Bonanza Creek i ku swemu niemałemu zdziwieniu stwierdził, że Archibald Cochrane nie figuruje ani pod numerem siedemdziesiątym ósmym, ani pod żadnym innym. Co prawda czasem zdarzały się drobne nieścisłości, ale żeby aż taka! Nie miał jednak wyjścia. Działka była bogata, należała do Barta Carsona, a to że ten zmarł jesienią, niczego nie zmieniał. O'Flaherty wysłał już w tej sprawie stosowne zawiadomienie do krewnych zmarłego i był pewien, że ci ściągną, by objąć działkę w posiadanie nie później niż latem. Na razie musiał jednak owego Cochranę'a przywołać do porządku, a w razie czego zaskarżyć w policji jako oszusta. Z tym też solennym postanowieniem wynajął zaprzęg, przewodnika i ruszył do Klondike.

Oczywiście nie mógł wiedzieć, że właściciele nad Bonanza Creek nie wysyłali żadnego listu i że w głowie żadnego Cochranę'a nie powstała nawet myśl zawładnięcia czyjąkolwiek działką. Ba, Archibald Cochrane nie istniał. Wymyślił go, jak i całą sprawę, niejaki Roddy Dowson, który z siebie tylko wiadomych powodów wołał, by właśnie tego dnia, a mówiąc ściślej nadchodzącej nocy, notariusz O'Flaherty nie przebywał zbyt blisko biura i mieszkania. Roddy liczył na solidność państwowego urzędnika i nie zawiódł się. Teraz, nie zwracając pozornie uwagi na przedmiot swych zainteresowań, obejrzał dom od frontu, a następnie powąłęsał się parę minut bez celu po podwórkach. Gdy ponownie wychynął na głównej ulicy, miał już gotowy plan. Zapomniał jednak o nim prawie natychmiast. Było jeszcze zbyt wcześnie. Do zachodu słońca pozostawało przynajmniej półtorej godziny, a plan Dowsona nie wymagał dziennego światła. Raczej wręcz przeciwnie. Jego twórca miał jeszcze sporo czasu i postanowił wykorzystać go we właściwy sposób.

By później uniknąć niespodzianek, wstąpił do sklepu z artykułami kolonialnymi i kupił dwie grube woskowe świece oraz paczkę zapalek i długi mocny rzemień, płacąc za to równo dwanaście dolarów. Zakupy zaniósł do swego hotelowego pokoju.

Gdy ponownie wyszedł przed „Tivoli”, tajemniczy cień towarzyszący mu tego popołudnia i tkwiący teraz przed wejściem do biura Aurora Deck, podniósł trochę wyżej kołnierz, osłaniając nim dolną część twarzy. Roddy jednak zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Rozumiał, że policja nie mogła pozostać obojętna wobec raportu, jaki Kingsley złożył Stricklandowi. A cień wyglądał właśnie na przebranego policjanta. Nie narzucał się specjalnie, niepotrzebnie nie włożył przed oczy, ale był wszędzie: na ulicy, w lokalu, w obydwu sklepach, zajrzał na podwórko, przez które Roddy pomaszerował pół godziny wcześniej, a nawet był za miastem nad rzeką. Musiał widzieć spotkanie z tamtą czwórką, ale nie mieszał się. Stał i obserwował z daleka. Może jednak nie był gliną? Teraz ruszył wolno niczym zadowolony z siebie biznesmen zażywający popołudniowego spaceru. Roddy rozejrzał się ciekawie po ulicy. Ciągnęła się wzdłuż brzegu rzeki na dystansie dobrej mili.

Jedno- i dwupiętrowe, a także parterowe drewniane domy o niewysokich spadzistych dachach przylegały ciasno do siebie.

Naprzeciw biura Aurory oferującego przewóz pasażerów i towarów w dziesięć dni do Seattle i Vancouveru, na jednym ze słupów linii elektrycznej dumnie powiewała flaga Dominion. Obok reklamował się zakład fryzjerski, Northern Restaurant, pralnia i farbiarnia. Trochę dalej swe niezawodne usługi oferowały kolejno: First City Bank, Alaskan Bank i Bank of Vancouver, kantory wymiany złota, banki depozytowe, restauracje i kawiarnie, zakłady szewskie i rymarskie, kwiaciarnie i zakłady perfumeryjne, sklepy kolonialne, oferujące przede wszystkim astronomiczne ceny, nocne lokale i salony tańca. Jeszcze dalej Madame Garrick z Paryża wywiesiła przed długą ponurą budą zachęcający afisz, informujący, iż tylko w tym jednym w Dawson miejscu prowadzi się kursy nauki tańca towarzyskiego i wytwornej konwersacji w stylu francuskim dla obojga płci, a także dla jeszcze nie zdecydowanych. Agencje sprzedaży i pośrednictwa w zamianie działek współzawodniczyły z agencjami reklamującymi luksusowe podróże do San Francisco, na Florydę, do Włoch i południowej Francji. Biuro matrymonialne oferowało sprowadzenie panien młodych i nieco starszych z Japonii, Filipin, Australii oraz innego dowolnie wybranego kraju, gwarantując po przystępnych cenach zaspokojenie każdego gustu i specjalnych wymagań miejscowych dżentelmenów i lokalnego establishmentu. Zaraz obok reklamowały swe wdzięki Kate Rockwell – królowa Klondike, Sweet Marie, Babe Wallace, Mollie Fewclothes, Sitting Maud, Diamond Lil Davenport i wiele innych, których malowane portrety zdobiły drzwi i okna licznych domów, zapraszając do wewnątrz. Mimo wczesnej pory jaśniały przybrane lampionami światła w „Savoyu”, „Monte Carlo”, „Tivoli”, „Paradisise” i „Golden Gate of Serai”.

Kilkudziesięciojardowej szerokości nadbrzeżnym bulwarem, ciągnącym się między rzeką a linią domów, płynął nieprzerwany ludzki potok. Można w nim było wyróżnić zamożnych biznesmenów w bobrowych futrach, tu i ówdzie przemykających tubylców Tagish lub Tutchone w grubych skórach reniferowych i takich samych czapkach z nausznikami lub kapturach zakrywających prawie całą twarz, armię bezbarwnych poszukiwaczy w ciężkich wysokich butach ocieplanych filcem, gońców i listonoszy, uliczne dziewczyny i dumnie kroczących Mounties, nierzadko z psami na smyczy. Od czasu do czasu pojawiał się roznosiciel gazet, zachęcając do kupna miejscowego dziennika „The Nugget”. Inni oferowali „The Midnight Sun” lub „Dawson Miner”. Co chwila środkiem tłumu przesuwiał się cicho psi zaprzęg lub sanki zaprzężone w pojedynczego bądź parę reniferów.

Niewielu mężczyzn nosiło broń, przynajmniej na zewnątrz, jednak Roddy nie miał większych wątpliwości, że posiadają ją prawie wszyscy. Mimo przelewającej się ludzkiej fali, trzaskających co chwila drzwi sklepów, kantorów i licznych lokali, ulica sprawiała wrażenie spokojnej. A jej nastrój w niczym nie przypominał nastroju czy atmosfery dawnych południowych miast ogarniętych gorączką złota. Może powodem tej inności był okres zimy i utrzymujący się od dłuższego czasu mróz, wpływający łagodząco na najbardziej porywczych, a może surowe prawa, karzące bezwzględnie każde wykroczenie czy zakłócenia porządku.

Roddy, chociaż przebywał w mieście zaledwie od kilku dni, na temat owego spokoju, bezpieczeństwa i prawa miał prywatne zdanie. Namacalnie mógł je potwierdzić właśnie tego dnia w górze rzeki. Nie miał większych wątpliwości co do rzeczywistego stanu rzeczy. Wszędzie szalał demon hazardu. Noc w noc w „Tivoli” grano w farto, ruletkę, pokera i w kości, i to o niemałe stawki. Lały się szampan i wino, galonami płynęły mocniejsze trunki. Przy stolikach, przy barze każdego wieczoru załatwiano setki różnorodnych transakcji, i to nie zawsze zgodnych z prawem. Kupowano i sprzedawano działki, czasem całe odkrywki. Hotele, zajazdy, pospolite tancbudy nieraz w ciągu jednej nocy kilkakrotnie zmieniały właściciela. Sprzedawano i kupowano transporty alkoholu, te które znajdowały się w mieście i te, które dopiero miały nadejść. I kupujący nigdy nie pytał o źródło pochodzenia, ani o to,

czy za towar uiszczono opłaty celne. Sprzedawano tancerki, śpiewaczki, kelnerki, nie pytając o ich zgodę. Wprawdzie transakcje takie nazywały się angażowaniem personelu, ale personel z reguły dowiadywał się o nich na końcu i... nie protestował. Protest bowiem kończył się nieuchronnym wyrzuceniem z pracy, a to przynajmniej w Dawson oznaczało, że buntująca się niesforna dziewczyna musiała przenieść się na ulicę, gdzie o nieszczęście czy przypadek wcale nie było trudno. I podobno takich przypadków zdarzało się sporo. Hazard, wielkie pieniądze i nie mniejsze ryzyko kryły się we wszystkim. Zaopatrywanie w drewno odległych odkrywek złota przynosiło kilkusetprocentowe zyski, podobnie – sprowadzanie alkoholu ze Skagway. Wyższe zyski dawało prowadzenie jakiegokolwiek najpodlejszego lokalu. Co zresztą nie przynosiło zysku? Chętnych na zdobycie wielkich pieniędzy było sporo. Takich, którzy je posiadali, również niemało. Wielu nigdzie nie pracujących stałych mieszkańców i bywalców „Tivoli” obracało ogromnymi sumami, przepływającymi przez ich palce niczym ziarnka piasku. Ci, którym się nie powiodło, a było ich znacznie więcej niż pozostałych, gnieździli się w nędznych budach na obrzeżach miasta, po drugiej stronie rzeki w Lousetown, w zimowych obozach poszukiwaczy w promieniu stu mil wokół Dawson i wzdłuż Jukonu. Rzadko pojawiali się w złotym mieście. Ale o tych Roddy nie myślał. Nie interesowali go. Interesowały go duże pieniądze, ci którzy je posiadali oraz kilka innych spraw, o których wolał nie mówić. Zresztą do gadatliwych nie należał. Ciężko odprowadził go ponownie do hotelowego wejścia. Pozostał jednak na zewnątrz. A Roddy nie zamierzał się nim zajmować więcej niż należało. Wrócił do siebie i nie opuszczał pokoju przez najbliższe kilka godzin.

Wyszedł ponownie, gdy na dworze panowała już zupełna ciemność. W stwierdzeniu: wyszedł, kryła się pewna wieloznaczność, bowiem tym razem nie opuszczał hotelu frontowymi drzwiami. Wydostał się przez okno wychodzące na ciemne, zagracone jakimiś budami podwórko, przelaźł przez niezbyt wysoki płot ogrodzenia i upewniwszy się, że go nikt nie śledzi, przemknął na podwórko sąsiednie, potem na następne, aż wreszcie znalazł się na tyłach domu mieszczącego Urząd Rejestracyjny. Jeszcze raz sprawdził, czy nie towarzyszy mu jakiś niepotrzebny cień, a nabrawszy co do tego absolutnej pewności; wydobył spod kożucha zabrany przezornie rzemień i jego koniec opatrzone dość szeroką pętlą zarzucił zręcznie na niezbyt wysoko wznoszący się komin. Nim minęło kilkanaście chwil, był już na dachu. Z otwarciem drzwiczek prowadzących na strych uporał się migiem. Przezornie zamknął za sobą drzwiczki i znalazł się w kompletnych ciemnościach. Nie stropiony tym, zapalił jedną z dwu przyniesionych świec i w tym momencie znieruchomiał. Prawie spod nóg z głośnym miauczeniem poderwał się wielki, bury kot, zbudzony widocznie z głębokiej drzemki. Podniósł wyżej świecę i w półmroku wypatrzył czarny prostokąt drzwi wiodących na klatkę schodową. Nie zachowując ostrożności i nie interesując się mieszkaniem właściciela, zszedł spokojnie na parter i w dużej poczekalni zgasił świecę. Przez nie zamknięte drzwi przedostał się do obszernego gabinetu notariusza, opuścił w oknach rolety i ponownie zapalił świecę. Dawała niezbyt dużo światła, ale wolał nie korzystać z elektryczności. Podejrzewał, że jasne elektryczne światło mogłoby przesączać się na zewnątrz przez niezbyt szczelne rolety. Słaby płomyk świeczki dawał większe gwarancje bezpieczeństwa.

Gabinet urządzony był skromnie: ściany obstawione regałami, pod oknem wielkie biurko z przyborami do pisania, pod szkłem chroniącym blat – duża mapa Terytorium Jukonu. Nie była zbyt dokładna, ale skoro wystarczała notariuszowi, musiała zawierać wystarczającą liczbę informacji, niezbędnych w urzędowej pracy.

Roddy usiadł wygodnie za biurkiem i postawiwszy świecę począł uważnie oglądać mapę. Była wyraźna, grubą zieloną kreską zaznaczono na niej główne rzeki i jeziora, nieco cieńszą – ważniejsze dopływy, jeszcze cieńszą – potoki i strumienie. Niektóre były bez nazwy, pewna część nosiła nazwy angielskie, inne opatrzone nazwami indiańskimi. Przy niektórych staranna ręka, przywykła do posługiwania się piórem, wyraźnie wykaligrowała jakieś cyfry.

Zuchwały włamywacz szybko odnalazł na mapie to, co go interesowało. Odległy potok leżący po północnej stronie łańcucha górskiego, o niecałe sto czterdzieści mil od Duck Creek, nosił malowniczą nazwę Natasahin (Woda przedzierająca się przez parów). Oznaczono go numerem sto dwadzieścia siedem. Roddy zabrał ze stołu świecę i zbliżył się do regału wypełnionego rzędem ksiąg oprawnych w szare płótno. Na grzbiecie każdej widniała nazwa potoku lub odkrywki i numer wypisany na mapie. Po kilku minutach zdjął z półki interesujący go tom i rozłożył na biurku. Otworzył księgę i na pierwszej stronie zobaczył staranny napis:

*Terytorium Jukonu
Państwowy Rejestr Złotonośnych Działek
Rejon K3 – Duck Creek
Kwadrat C-14-N
Natasahin Creek Nr 127*

Podpis i pieczęć notariusza

Na drugiej stronie widniał zarys potoku od źródeł aż do parowu. Na trzeciej odcinek potoku w samym parowie i granice działki oznaczonej Nr 1. Stronę czwartą zdobił znów napis: *Właściciele działek.*

Widniało pod nim tylko jedno nazwisko, numer pierwszej zarejestrowanej działki, jej krótki, ale jasny opis, data rejestracji, pieczęć i podpis notariusza.

Wzrok przeglądającego księgę spoczął mimowolnie na nożyczkach leżących obok kałamarza i nagle myśl błysnęła mu w głowie. Odrzucił ją jednak natychmiast. Wycięcie karty rejestracyjnej nie dawało nic, a kto mógł przewidzieć skutki, jakie zapewne pociągnęłyby to za sobą. Data mówiła wyraźnie, że działka była jedyną rejestrowaną nad tym potokiem przez notariusza. Było prawdopodobne, że O’Flaherty pamiętał poszukiwacza. Nieproszony nocny gość zastanawiał się jakiś czas, w końcu zamknął księgę, umieścił ją ponownie na właściwym miejscu, po czym wrócił do mapy i cały interesujący go region przestudiował jeszcze raz uważnie. Wreszcie zgasił świecę, przez parę chwil oswajał wzrok z ciemnością, podniósł się zza biurka i ponownie odsłonił rolety w oknach. Gabinet wypełniło blade światło padające z oddalonej ulicznej latarni.

Świecy nie zabierał. Mógł ją z powodzeniem zostawić O’Flaherty’emu na pamiątkę. Wyszedł tą samą drogą, którą dostał się do wnętrza domu. Siedząc na dachu rozejrzał się bacznie wokół. Nie dostrzegł jednak nic, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenie. Zdjął pętlę rzemienia z komina, zsunął się na skraj pochyłości i miękko zeskoczył na ziemię. Niestety, nie mógł nic poradzić na to, że na dachu pozostały wyraźne ślady jego nocnej wspinaczki. Ślady takie pozostały na schodach i oczywiście w gabinecie. Otrzeptał się starannie ze śniegu, ukrył pod parką rzemień i Przedostawszy się przez kilka podwórek, wyszedł na ulicę. Nie musiał się już teraz kryć, toteż rażno pomaszerował w stronę hotelu.

Na widok wchodzącego frontowymi drzwiami, sierżant Kingsley o mało nie zamienił się w słup soli. Był święcie przekonany, że Dowson po południowej włóczędce śpi kamiennym snem w swoim pokoju. I jeszcze kilka minut wcześniej dałby sobie na tę okoliczność uciąć rękę. Wszak pilnował od zmroku i miejsca swego nie opuścił nawet na chwilę. No, właściwie raz, ale dosłownie na pół minuty. Tamten musiał wyjść właśnie w tym czasie.

Roddy jednak nie zdziwił się ani trochę. Był nawet pewien, że włóczący się za nim przez pół dnia cień to właśnie sierżant Frank Kingsley, który ptaszka dwukrotnie przekraczającego granicę postanowił widocznie pilnować bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zaskoczona mina sierżanta mówiła wyraźnie, jakiego musiał doznać zawodu, widząc pilnowanego przez siebie złoczyńcę, który z najzupełniej niewinną miną przekroczył właśnie podwoje „Tivoli” i z gestem prawie wylewnej serdeczności i uśmiechem na twarzy zmierzał w stronę przedstawiciela policji. – Witam, sierżancie – wykrzyknął. – Co pana sprowadza w

progi tego przybytku uciech i wszelkiej swawoli? Bo chyba nie sprawy urzędowe – mrugnął znacząco. – Nie widzę munduru ani innych oznak władzy. Niech się pan przyzna.

Kingsley skrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu.

– Cześć, Roddy. Prawie zgadłeś. Czekam na... Colebrocka. Umówiliśmy się tu, ale pewno zasiedział się gdzieś. Powinien być już dawno. A ty... Co u ciebie? Mieszkasz tu, czy przyszedłeś się tylko zabawić?

– Mieszkam, Kingsley. Zatrzymałem się na kilka dni.

– To musisz być cholernie bogaty, chociaż na granicy nie zgłaszałeś gotówki. – W pozornie niewinnym stwierdzeniu brzmiał wyraźny znak zapytania.

– Mówisz, że nie zgłaszałem? Chyba masz rację, tylko myślałem, że orientujesz się, ile w Dawson może być wart prawie cały łoś.

– Łoś? – Kingsley nie bardzo rozumiał.

– Tak, łoś. Widzisz, ta góra mięsa warta jest tutaj górę pieniędzy. Spieniężyłem – dodał lekko – a właściwie to oddałem za kwaterę i żarcie na jakiś czas.

Dopiero teraz sierżant zrozumiał. – Racja, że też wcześniej nie wpadło mi to na myśl. – Chwilę zastanawiał się. – To znaczy, że urządziłeś się do wiosny.

Roddy parsknął śmiechem.

– Do wiosny? Nie! Bonnifield wziął łośa za wynajęcie pokoju na miesiąc i za żywienie mnie w tym czasie.

– A później?

– Będę musiał zmienić kwaterę. Kuchnię też.

– Za miesiąc nie znajdziesz w Dawson nawet kąta i nie kupisz funta grochu.

– Nie myślałem o Dawson. Pociągnę w górę rzeki... do Minto, może do Teslin.

– Po jakie lichy chcesz się tam wlec? Nie możesz sobie znaleźć jakiejś roboty tutaj?

– Ba... Sam przecież twierdzisz, że nie dostanę tu za miesiąc nawet funta grochu. Po co więc siedzieć? A w Teslin albo nawet Minto, jak słyszałem, angażują myśliwych. Jak znajdę robotę, to pewnie i żarcie.

Kingsley pokiwał głową. Nie miał wątpliwości, że gdyby Roddy rzeczywiście zamierzał polować, to przecież mógł to robić i tutaj. Nie podzielił się jednak tymi wątpliwościami. Wolał nie płoszyć ptaszka. Jeszcze raz z udanym zrozumieniem kiwnął głową i niezbyt zręcznie zmienił temat:

– A teraz pewnie wracasz ze spaceru? Roddy skrzywił się.

– Taki tam spacer. Poszedłem odwiedzić znajomego.

– Kumpla, co? Pewnie się ucieszył...? – Nie bardzo. Nie zastałem go. Właśnie rano wybrał się do Klondike.

– To szkoda. A jak się nazywa? Może go znam?

Roddy powściągnął grymas niesmaku. Że też policja nie nauczyła się jeszcze powściągliwości. Kto, gdzie mieszka, kiedy się urodził, czym się zajmuje...? – metody jak w Montrealu czy Quebecu.

– Jak się nazywa, pytasz. To... to O’Flaherty. Tak jak tutejszy notariusz. Mieszka w Lousetown, po drugiej stronie rzeki.

Kingsley podrapał się po czole. – ... nie, nie słyszałem. No, ale chyba już pójde. Późno.

– Nie zaczekasz na Colebrocka? – W słowach dźwięczał ledwo wyczuwalny odcień ironii.

– Chyba nie. Tak na mur tośmy się zresztą nie umawiali. Cześć, pójde już – wyciągnął rękę. – To mówisz, że byłeś w Lousetown u O’Flaherty’ego?

– Tak, właśnie u niego. Cześć, sierżancie. Może się jeszcze zobaczymy.

Przeszedłszy kilkanaście kroków po wyjściu z hotelu, Kingsley zatrzymał się gwałtownie. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że Roddy Dowson zakpił z niego. Bowiem wyprawa do Lousetown nie była możliwa w tak krótkim czasie, w jakim rzekomo ją odbył. Przedstawiciel policji zaklął w myśli i powlókł się do fortu. Nie było sensu, by sterczał w

hotelu lub przed wejściem całą noc. Cieszyła go jedynie myśl, że zdołał przekazać Murrayowi wiadomość o popołudniowym napadzie na Dowsona oraz o tym, że jednym z napastników był George Wilder, człowiek Jacksona. Niestety, Roddy Dowson nie wiedział o działaniach sierżanta, bo gdyby wiedział, być może nie miałby tak spokojnej zadowolonej z siebie miny, gdy w pół godziny później schodził do baru w „Tivoli”. Trudno było też przewidzieć, jak zachowałby się, gdyby na przykład wiedział, że jego nocna wyprawa do biura O’Flaherty’ego nie pozostała tak zupełnie nie zauważona przez nikogo. Był taki ktoś, kto nie poszedł śladami sierżanta Kingsleya i nie pilnował hotelowego holu. Ktoś, kto rozumował logicznie, że Roddy Dowson nie jest taki głupi, by paradować przed nosem policjanta włóczącego się za nim przez kilka godzin, i że jeśli cokolwiek zamierza, to postara się znaleźć inne wyjście z hotelu niż to, którego pilnuje policja. I oczywiście nie pomylił się. Dowson skorzystał z innej drogi. Skorzystał w dziwnym, zupełnie niezrozumiałym celu. Ale może cel ten był niezrozumiały jedynie z pozoru? Tak czy owak niedawny rozmówca Kingsleya musiał co do pewnych spraw pozostawać w zupełnej nieświadomości, bo gdy stanął przy barze, zdawał się nie zauważać ani kilku zupełnie obcych w tym miejscu mężczyzn, ani ostrzegawczego spojrzenia, jakie posłała mu Ailie Jameson. Nie bardzo też chyba uświadamiał sobie wagę ostrzeżenia „uważaj na siebie dzisiejszej nocy!”, jakie dziewczyna rzuciła mu szeptem w ucho, przeciskając się między nim a jakimś grubasem z kuflem jasnego piwa w ręku. Właśnie, pewno nie bardzo, skoro w odpowiedzi posłał jej jedynie zdziwione spojrzenie, ale zaraz potem odwrócił się i zamówił podwójną whisky. Opierając się łokciem o blat baru, powiódł wzrokiem po wnętrzu obszernej sali. Była wypełniona dosłownie po brzegi. Wokół, pod ścianami, stało kilkanaście stolików, przy których przynajmniej kilka tuzinów mocno już podchmielonych mężczyzn raczyło się whisky i piwem. W części środkowej, w niewyobrażalnym tłoku, w takt muzyki zdezelowanego fortepianu podrygiwało kilkadziesiąt par, przy czym jedynie kilkunastu szczęśliwców trzymało w ramionach prawdziwe partnerki, reszta, wobec braku większej liczby takowych, musiała zadowolić się partnerami własnej płci. Na niewysokim podium stojącym niemal u wejścia do salonu gry „Oatley Sisters” śpiewały rzewnie sentymentalną piosenkę: „Break the news to mother”.

– Nie zatańczysz? – wysoka szczupła dziewczyna o puszystych blond włosach uśmiechała się zalotnie. W jednym z bocznych zębów lśnił niewielki brylant.

Roddy pokręcił przecząco głową. Domyślał się, że ma przed sobą Gertie Lovejoy, właśnie z powodu owego brylantu nazywaną potocznie Diamond-Tooth Gertie.

– Nie nauczyłem się jeszcze. Jak się trochę nauczę, będziesz pierwszą, którą poproszę. Roześmiała się dzwięcznie.

– Zatańcz. Jeśli nie zatańczysz, przegram zakład, a i koleżanki będą się śmiały, albo lepiej zaprosz mnie do siebie chociaż na kilka minut. Zachowam twarz. Tylko musisz kupić butelkę wina. Dżentelmenowi nie wypada zapraszać damy i nie kupić wina – paplała uśmiechając się ciągle.

Uśmiechnął się również i skinął głową.

– Dobrze, Gertie. Zgoda...

– Nim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, przechyliła się nad ladą baru i wyciągnęła rękę po usługę podaną jej przez barmana butelkę. – Nie musisz płacić teraz, Roddy, doliczą ci do rachunku.

– Wiesz, jak mam na imię?

– Wiem – ujęła go poufale pod ramię. – Wszyscy wiedzą.

– Wszyscy, to znaczy kto? – spytał z prawdziwym zaciekawieniem.

– Wszyscy, wszyscy, którzy tu mieszkają. Dziewczętom powiedział Sam Bonnifield. I o tym, że za łosia masz u niego kredyt na mieszkanie, jedzenie i picie. Tak więc ta butelka, którą teraz wzięłaś, właściwie nic cię nie kosztuje. Kilka chwil z biedną, samotną dziewczyną również – dodała z udanym smutkiem.

Gdy wstępowali po schodach na antresolę, biegły za nimi zazdrosne spojrzenia mężczyzn. Wiadomo było, że Gertie ceni się i z byle kim, to znaczy z kimś, kto nie ma dużo złota, nie spędza czasu sam na sam.

Na ostatnim stopniu Gertie przystanęła i pomachała przyjaciółkom, po czym zdecydowanym ruchem ponownie ujęła pod ramię swego wybrańca i pociągnęła wzdłuż barierki okalającej antresolę.

Przed drzwiami pokoju, który znajdował się w głębi korytarza, uśmiechnęła się jeszcze raz obiecująco i uwolniła jego ramię. – Wejdz pierwszy – powiedziała. Patrzyła trochę zaczepnie, trochę wyzywająco z półuśmiechem. W przyćmionym świetle lampy wiszącej u sufitu brylant tkwiący między zębami załśnił tajemniczym blaskiem.

Roddy pchnął drzwi, wszedł do pokoju pierwszy i usunął się z przejścia. Dziewczyna uśmiechając się nadal stanęła na progu. W rękę trzymała przyniesioną z dołu butelkę. Patrzyła i uśmiechała się coraz swawolniej. W końcu nieoczekiwanie roześmiała się głośno. Stała nadal w progu i śmiała się coraz bardziej, coraz bardziej prowokująco.

Nie usłyszał najmniejszego nawet szmeru, czerwone ostrzegawcze światło zapaliło się zbyt późno. Poczul potężne uderzenie w tył głowy. Jeszcze przez moment słyszał histeryczny już niemal śmiech dziewczyny, widział rząd jej równych białych zębów i ten lśniący niebezpiecznie diament, lecz obraz i dźwięk znikły wraz z drugim uderzeniem, którego już nie czuł.

Gertie Lovejoy śmiała się jeszcze przez kilka sekund, po czym lekko przekroczyła próg, zamknęła za sobą drzwi i pochyliła się nad leżącym.

– Żyje? – spytała nie podnosząc głowy.

Wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, o ostrych rysach twarzy i ciemnej cerze znamionującej mieszańca, odstawił trzymany w rękach stół, którym posłużył się przed chwilą, i wzruszył ramionami.

– Nikt nie umiera, Gertie, od takiego muśnięcia, możesz być spokojna. Spisałaś się na medal. – Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i podał jej niedbale. – Weź to, należy ci się, i... zostaw nas z nim. Tylko przynajmniej przez parę minut jeszcze nie pokazuj się na dole, żeby nie podpadło.

Jeszcze raz spojrzała na leżącego i wyprostowała się. Popatrzyła na tamtych. Ich twarze były beznamienne. Poczula nieprzyjemny dreszcz i coś na kształt niepokoju. Nie powiedziała jednak nic. Wycofała się ostrożnie na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział XI

Ktoś zdejmuję maskę

Morze płomieni odpływało z wolna. Cichł rozsadzający czaszkę huczący głos dzwonów. Poprzez rzedniejący opar czerwonej mgły przesączało się blade światło. W powracającą leniwie świadomość poczęły przenikać pojedyncze oderwane głosy, strzępy ruchu, jakieś krzątanie. Jednocześnie narastał tępy ból głowy. To właśnie on coraz szybciej przywracał świadomość i poczucie rzeczywistości. Właśnie rzeczywistości. A do niej należała dziewczyna. Tak... na pewno dziewczyna. Chciała, by poszli do jego pokoju... Poszli... ale ona pozostała przed progiem i... śmiała się, i powiedziała... właśnie, powiedziała, żeby wszedł pierwszy. Wszedł, oczywiście, a ona, ona śmiała się coraz głośniejsze i... nie weszła. Musiała wiedzieć, że czekają na niego... „Żmija” – pomyślał z niesmakiem i usiłował wypluć coś gorzkiego gryzącego w gardle. Ale nie mógł się tego pozbyć. – Podstępna żmija – wymamrotał przez spierzchnięte wargi i usiłował poruszyć się. Nie wychodziło. Spróbował jeszcze raz i uświadomił sobie, że leży na jakimś zimnym klepisku, ma związane ręce i nogi. Właśnie to nie pozwalało mu się podnieść. Czuł, jak w skórę wrzynają się mocno zaciągnięte rzemienie. Posłyszał „ad sobą jakiś szorstki głos:

– Polej go!

Struga lodowatej wody chlusnęła w twarz. Prawie jednocześnie ciężki drewniany but rąbnął go w bok, wypierając z płuc oddech. Skręcił się pod wpływem bólu. W otwarte usta z trudem łapał powietrze. Przez parę chwil dyszał ciężko, ale świadomość wracała bardzo szybko. W końcu odetchnął jeszcze raz głęboko, wstrząsnął się i otworzył oczy.

Pod wpływem światła zmrużył je jednak natychmiast. Mimo to widział ich i poznawał. Pochylali się teraz nad nim i patrzyli z wyraźnym zadowoleniem. Powiódł wzrokiem po twarzach i skrzywił się złośliwie. Nosili wyraźne ślady spotkania nad rzeką. Temu ze szczeciniastą gębą chirurg musiał grubym bandażem podwiązywać kozi podbródek; drugi nosił całkiem zdeformowany nos i zdartą do połowy lewą brew. U trzeciego widniał ogromny siny guz między oczyma. Ostatniego z tamtych nie było. Ale był za to inny: wysoki, barczysty, o pociągłej twarzy, wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, kwadratowym podbródku znamionującym upór i przyciemnionej skórze Metysa. Roddy nie widział go nigdy, jednakże nie miał większych wątpliwości, kogo ma przed sobą. Nie miał też większych wątpliwości, że odbył dosyć długą drogę, by spotkać właśnie tego człowieka. Co prawda, spotkanie wyobrażał sobie trochę inaczej, ale i tak mógł być zadowolony. Wszak tamci mogli załatwić go w hotelowym pokoju, gdy był nieprzytomny. Skoro nie uczynili tego, lecz zadali sobie trud, by przywlec go tutaj, musieli mieć w tym określony interes. Ba, domyślał się nawet jaki, chyba że...

Nie dokończył myśli. Metys pochylił się i spytał bez żadnych wstępów:

– Czego szukasz w Dawson? – Ciebie, Turner, i... dobrze, że cię wreszcie znalazłem. Może powiesz swym chłopaczkom – tu kiwnął niedbale głową – by zdjęli mi te rzemiony.

Oo..., to widzę, że znasz mnie, Roddy.

Można wiedzieć skąd?

– Dowiesz się. We właściwym czasie. Tylko może każesz mnie wpierw rozwiązać. Widzisz, nie lubię gadać w pozycji leżącej, w dodatku kiedy jestem związany przez takich żartownisiów – znów wymowny ruch głową. – Im też będę miał coś do powiedzenia.

– Widzicie? – Metys popatrzył na swych kompanów. – Chytry, co? A jaki bohater? Prawie jak Strickland albo ten, no, Kingsley... – pochylił się nad leżącym i kopnął go z nagłą wściekłością. – Ty policyjny psie! Wąchasz, glino. Czego szukasz? Gadaj zaraz, bo cię... – Wyciągnął nóż i koniec ostrza podsunął pod nos leżącego. – No, gadaj – wysyczał.

Oczy Roddy'ego zwężyły się.

– Możesz mnie zarznąć, Jackson. Jesteś głupszy niż myślałem. Ale nie łudź się. Jeśli mnie teraz sprzątniesz, to ciebie i twoich kumpli Jeff najpierw powolutku obedrze ze skóry, a potem, posypując solą, długo jeszcze będzie piekł na ogniu. I nic nie będziesz miał na swoje usprawiedliwienie. Nie licz, że Jeff i chłopaki przepuszczą ci to. Dla durniów nie ma u nas miejsca. Nie uciekniesz i nie schowasz się.

Po słowach tych zapadła cisza. Obaj mężczyźni mierzyli się roziskrzonym wzrokiem. W końcu trzymający w ręku nóż nie wytrzymał: wyprostował się, schował broń za pas, w jego oczach pojawił się wyraz niepewności. W następnej chwili na twarz powrócił wyraz czujności i podejrzliwości. W głosie, gdy się odezwał, zabrzmiały drwiące nutki:

– Mówisz, Jeff...? Co to za jeden? Znam kilku, którzy noszą to dźwięczne imię.

– Popatrz, popatrz. Aż kilku, mówisz. Może grasz również na kilka frontów. Ja myślę o jednym Jeffie, o Jeffie ze Skagway. Niektórzy nazywają go trochę inaczej. Mówią na niego Soapy. Nie znasz go przypadkiem?

– Powiedzmy, że znam. I co z tego? – Ręka ponownie sięgnęła do rękojeści noża.

Leżący wydawał się nie zauważać tego ruchu. Wargi wykrzywił w złośliwym grymasie i wycodził przez zęby.

– To ładnie, Turner, że pamiętasz. Byłoby brzydko, gdybyś zapomniał. Właśnie Soapy chce wiedzieć, dlaczego nie dotarło jeszcze do niego złoto Nanty Whartona. Rozumiesz? Dziwi się i jest zaniepokojony. Pytałeś, czego tu szukam. Złota, Turner. Złota Nanty Whartona. I myślę, że mi go nie odmówisz dla Jeffa. Również kilku wyjaśnień.

– Wyjaśnień...? Jakich wyjaśnień? – twarz Jacksona poczyniała wyraźnie zmieniać kolor na bardziej szary. Ręka sięgająca po broń opadła wzdłuż boku. – Ja...

– Dobra – tamten uciął ostro. – Powiesz to później, a teraz może wreszcie rozwiążesz mnie.

W kilka chwil przecięli rzemienie.

Starannie rozcierał przeguby rąk, na których odcisnęły się wyraźnie czerwone pręgi. Czynił to wolno, dokładnie, starannie. Kilkakrotnie poruszył zsiniałymi palcami, pobudzając obieg krwi. Wreszcie uniósł powieki. Ze zwięzonych oczu powiało chłodem.

– To ty, Jackson, tam w hotelu posłużyłeś się stołkiem? Pytanie wypowiedział raczej tonem stwierdzenia.

– ... nie wiedziałem, Roddy. Nie przypuszczałem, że ty...

– Tym gorzej, Turner. Jeśli nie byłeś pewien, nie trzeba było zaczynać w ten sposób. Należy ci się nauczka, żebyś zapamiętał na przyszłość. – Ostatnim słowom towarzyszyło nieznaczne drgnięcie powieki i krótki błysk oczu. Zaciśnięta pięść niczym piorun rąbnęła w odsłonięty kwadratowy podbródek. Niespodziewana siła uniosła Jacksona z ziemi i rzuciła gwałtownie w kąt szopy. Pogromca potarł zaciśniętą jeszcze dłoń i nie patrząc na leżącego powiedział dobitnie: – A wy, won stąd! I żeby mi się więcej żaden na oczy nie pokazał.

Przez uchylone drzwi wychodzili potulnie jak baranki.

Pozostawszy sam, Roddy usiadł na pieńku i wyciągnął papierosa. Palił zaciągając się głęboko. Na leżącego nie opodał Jacksona nie zwracał uwagi, nawet gdy tamten poruszył się, na wpół jeszcze zamroczony począł gramolić się z ziemi, w końcu wstał z wysiłkiem i

wstrząsnął głową jak po wynurzeniu się nad powierzchnię wody. Postąpił niepewnie kilka kroków i stanął przed swym pogromcą. Dyszał ciężko, z rozciętej brody sączyła się krew.

– Nie powinieneś być tego robić – wycharczał. Siedzący wzruszył ramionami i wskazał sąsiedni pień.

– Oddałem ci tylko to, co dostałem. Nawet nie stołkiem. Widzisz, nie lubię, jak mnie ktoś wali w łeb od tyłu, i nie lubię być dłużny. Siadaj. Teraz w sprawach osobistych jesteście kwita. Pozostało złoto Whartona, złoto, które zapomnieliś odesłać Jeffowi. Dobrze chyba mówię: zapomnieliś na razie odesłać. Przyszedłem po to złoto. Co z nim zrobiłeś? Gdzie ono jest?

– To nieprawda, nie mam żadnego złota. Nie było go, przysięgam. Ale, skąd ty, skąd Jeff wie o Whartonie? Nie posyłałem jeszcze żadnej wiadomości.

– Zgadza się, nie posyłałeś, Turner. Ale widzisz, Jeff ma swoje sposoby i na ogół wie to, co powinien wiedzieć, a o czym ktoś taki jak ty czasem zapomni go poinformować. Zdaje się, że zapomnieliś go również uprzedzić o złocie, z którym odpłynęła stąd jesienią Little Margie Newman. Miała przy sobie, jeśli dobrze pamiętam, coś około ćwierć miliona dolarów. Niemożliwe, Turner, żebyś nie wiedział o tym, prawda? Zostawmy ją jednak na razie w spokoju, zwłaszcza że twoje przeoczenie udało się jakoś naprawić w Skagway, gdzie statek z panną Newman zatrzymał się na kilka dni. Nie, nie myśl nic złego. Odpłynęła dalej, podobno do San Francisco, tyle że bez złota. Nie było jej potrzebne. Tylko po tym wypadku Jeff się zaniepokoił... o ciebie. A kiedy dowiedział się o Whartonie i jego potoku, zaczął cię chyba trochę podejrzewać. No więc jestem. Masz okazję rozwiać podejrzenie. Teraz albo nigdy!

Pod wpływem rzucanych beznamiętnych słów, Jackson czuł, jak na przemian robi mu się zimno i gorąco, a strużki potu, mimo chłodu, spływają coraz gęściej wzdłuż krzyża. Czuł, jak wilgotnieją ręce i zasycha w gardle. Ukradkiem rozejrzał się po szopie, ale pomocnicy zniknęli. Zostawili go więc samego. Uciekli czy Dowson załatwił ich podobnie jak jego? Językiem przesunął po spierzchniętych rozciętych wargach i głośno przełknął ślinę. A jeśli tamten przyszedł nie tylko po złoto i wyjaśnienie? Może otrzymał także i inne polecenie? Jeff nie lubił nieposłusznych i nie lubił, gdy go oszukiwano. Przy najmniejszym podejrzeniu sprawę przecinał radykalnie i raz na zawsze. Najbardziej zaufani, wydawałoby się, ludzie z bandy znikali w tajemniczych okolicznościach. Czasem któregoś znajdowano po jakimś czasie z kulą między oczyma, z nożem w brzuchu. Czasem czyjeś zwłoki wypłynęły spod wody. Nikt nigdy nie doszedł, z czyjej zginęły ręki. Każdy z pozostałych wiedział jednak swoje. Rygor w bandzie podtrzymywały uporczywie pogłoski, że poza tymi, którzy znali się nawzajem, prawie wszystko o sobie wiedzieli i razem odwalali najróżniejszą robotę, istnieli jeszcze inni, specjalnie dobrani i znani tylko szefowi. Nie brali udziału w przemyśle alkoholu, w napadach i rabunkach, nie stanowili nawet osobistej ochrony Jeffa. Czuwali dyskretnie nad lojalnością członków bandy. Jak dotąd nikomu nie pozwolili na nielojalność. Jednego z nich Jackson miał obecnie przed sobą. Wiedział, że mimo noża i pistoletu nie ma szans. Przy najmniejszej próbie tamten zadusiłby go jak wilk zająca. Jeśli więc Dowson nie przywiózł jeszcze z sobą wyroku, pozostawała tylko jedna droga: przekonać go, a więc przekonać Jeffa. Jeszcze raz przesunął językiem po wargach i powiedział ochrypłym głosem:

– To nieporozumienie, Roddy. Wierz mi, przysięgam, nie było żadnego złota. Jeszcze nie było, więc nie posyłałem Jeffowi meldunku. Potok, bogaty, pełen bryłek i piasku znalazł Wharton, ale jeszcze nie wydobywał. Nie zdążył. Załatwiła go grupa Kaczora. Musieli. Widział ich nad Duck Creek. Nie mogli zostawić świadka. Zrozum, gdyby go nie załatwili, mógł naprowadzić na ich ślad policję. Nie mieli wyjścia. Ja dowiedziałem się po wszystkim. Nic już nie mogłem zrobić. Ale sprawdziłem wszystko. Dopiero wtedy dowiedziałem się, co zrobił Kaczor nad Duck Creek. Twierdzi, że musiał, że sierżant Weller i jego ludzie zaczęli coś podejrzewać. Sam wiesz co się dzieje, gdy Mounties zaczynają węszyć. Nasi nie mieli

wyjścia. Ale ślady zatarli. Kazali Wellerowi napisać meldunek, że wyrusza z patrolem, nie wiem gdzie, ale gdzieś daleko.

Policja nikogo nie podejrzewa, chociaż jak pewnie wiesz, zaczęła szukać tego patrolu. Nie mam pojęcia dlaczego. Ale to nieważne, niczego nie wywęszą, a złoto dostaniemy na wiosnę. Wszystko już przygotowałem. Kaczor i jego ludzie nie pokazują się tutaj. Czekają w zimowym obozie poszukiwaczy w pobliżu odkrywki Whartona. Gdy tylko puszczą lody, będą pierwsi nad potokiem. Rozumiesz? Pierwsi wybiorą i zarejestrują działki. Nikt prócz nich nie zna miejsca. Nikt ich nie uprzedzi. Po zarejestrowaniu Jeff będzie mógł zrobić z działkami co zechce. Chciałem go powiadomić, gdy będziemy mieli już działki. I tylko dlatego do tej pory nie posyłałem mu wiadomości. Roddy, wierzysz chyba? Nie zawiodłem jeszcze nigdy.

Drwiący śmiech przerwał gorące zapewnienie.

– Nie bądź naiwny, Turner. To co tu opowiadasz to niestety fantazja i jedynie pobożne życzenie. Ale nie musisz mnie zapewniać, że nie wziąłeś złota. Jeff wprowadzie jeszcze tego nie wie. Myśli, że wziąłeś. Ale ja, przed przybyciem tutaj, to i owo sprawdziłem na własną rękę. Wołałem się upewnić, czy mam cię ukarać czy tylko przestrzec.

– No, i...

– Tak, sprawdziłem. Jesteś tylko głupi, ale zdrajcą, na szczęście, jeszcze nie zostałeś. Pożyjesz trochę..., zanim nie dopadną cię Mounties. Bo że dopadną, jestem prawie pewien. – Roddy, daję słowo, nikt nie wie.

– Mylisz się, Turner. To również sprawdziłem. Całą trójkę, która zajmowała się tą sprawą, znają Tsakho kwani. Znają okoliczności sprawy. Wiedzą o ludziach z posterunku nad Duck Creek i wiedzą, kto i jak ich załatwił. Ludzie z Oddziału Specjalnego Stricklanda penetrują obozy poszukiwaczy i indiańskie zimowiska w promieniu stu mil od Dawson. Do Tsakho kwani jeszcze nie dotarli, ale wiosną dotrą i tam i nie będą przebiegali w środkach. Dowiedzą się prawdy. I po złocie. Na załatwienie sprawy wiosną będzie za późno. Tym bardziej że Wharton zarejestrował działkę.

Jackson czuł, jak kropelki potu ponownie występują mu na czoło.

– Więc po to byłeś dziś u notariusza?

– Tak, właśnie po to.

– Działka zapisana jest na Whartona?

– Nie, Turner. Gdyby na Whartona, nie byłoby sprawy. Jest zapisana na jego siostrę – Janet Wharton.

– Tego nie wiedziałem. Ale wiedziałem, że jest dziewczyna. Odszukaliśmy obóz, w którym przebywa i chłopcy pilnują jej.

– Pilnują, powiadasz? Pewno zamierzasz pilnować jej tak do wiosny? Wtedy policja odda jej działkę, a na potoku położy łapę.

– Nie mogłeś zniszczyć zapisu?

– Ani mi się śniło. Natrafiliby od razu na ślad całej sprawy i zegnaj złoto. – Tu parę chwil milczał, po czym powiedział zdecydowanie. – Nie możemy czekać do wiosny. Całą sprawę trzeba załatwić teraz, dokąd policja jeszcze niczego nie wywęszyła. A dziewczyna musi zniknąć. Wtedy nie pomoże jej to, że braciszek na nią zarejestrował działkę. Będzie należała do tego, kto ją zajmie. Tylko muszę znać trochę więcej szczegółów tej trawy. Ty znasz ją od początku. Masz okazję udowodnić Jeffowi, że jesteś wobec niego w porządku. Gadaj więc, ale po kolei wszystko, co wiesz. Każdy szczegół może być ważny. Potem zastanowimy się nad planem, który miałyby ręce i nogi.

Gdy w dwie godziny później opuszczał szopę na zapleczu „Tivoli”, czuł jak dokuczliwy ziąb przenika całe jego ciało. Wprawdzie słuchając opowieści Jacksona narzucił na grzbiet jakieś zapomniane derki wiszące na kołku, ale nie pomogło to zbyt. Całe szczęście, że zelżał nieco mróz, inaczej zamarzliby na kość. Ale bez futra na grzbiecie i tak było zimno. Wstrząsnął się jak po wyjściu z przerębla i z prawdziwą niechęcią popatrzył w nie zamknięte

okno swego pokoju. Z niechęcią też myślał o konieczności wspinaczki na pierwsze piętro. Powrót od frontu przez otwarte drzwi nie wchodził w rachubę. Któż mógł przewidzieć, kogo mógłby spotkać po drodze. Pozostawało więc okno.

Znajdując się już wewnątrz, popatrzył w dół. Dopiero teraz Jackson przemknął przez otwarte drzwi szopy i bezszelestnie roztopił się w mroku.

Roddy zamknął okno, zgrabiałymi rękami rozpałił w piecyku i dygocąc wewnętrznie sięgnął po stojącą na stole prawie pełną butelkę. Połowę jej zawartości wlał przez szczękające zęby do gardła, po czym ściągnął buty. Usiadł w starym fotelu i stopy przysunął do piecyka. Mimo że whisky śmierdziała zwyczajnym samogonem, była mocna. Pociągnął jeszcze jeden spory łyk i odchyliwszy głowę do tyłu przymknął powieki. W żyłach stopniowo rozlewało się coraz przyjemniejsze ciepło. Rozprężały się mięśnie. Ustępowało napięcie i zmęczenie. Ciało ogarniało łagodne rozleniwienie. Jednak tkwiący w fotelu mężczyzna nie spał. Myślał o tym, czego dowiedział się od Jacksona. Zgadzało się z tym, co sam wcześniej wiedział. Ale zgadzało się nie wszystko. W całej sprawie istniało jeszcze kilka niejasnych punktów. Było to oczywiście wytłumaczalne. Jackson mógł nie wiedzieć o wszystkim. Ale może wiedział, a jedynie nie chciał mówić. Bał się Jeffa, to nie ulegało wątpliwości. Może nie do końca wierzył jemu – Dowsonowi. Mógł nie wierzyć i mógł podejrzewać, że ten mimo wszystko zechce wykonać wyrok. A więc może asekurował się czymś. Widać to było po powściągliwości i wyraźnym braku entuzjazmu do planu przyspieszenia akcji i przeprowadzenia jej jeszcze zimą. Po początkowych oporach opowiadał gładko, bez zająknięcia. Mimo że sam nie brał udziału ani w akcji na posterunku, ani w sprzątnięciu Whartona, znał sprawę. Tamci opowiedzieli mu wszystko. Tamci... Właśnie, mówił o wszystkich trzech. Ale wymienił tylko dwa imiona. Roddy znał obydwa dobrze. Nie znał trzeciego. Już tam w szopie chciał spytać wprost, jednak coś go powstrzymało. Chyba słusznie. Nowy człowiek Jacksona? Jego as atutowy? Cóż, w tej grze o duże pieniądze, ale i o życie, taki ukryty as w decydującym momencie mógł przesądzić całą sprawę. Ba, mógł zdecydować o wszystkim i musiał to być nie byle kto. Wynikałoby z tego jednak, że Turner Jackson, numer jeden Soapy Smitha, nie grał wobec niego fair. Rozgrywał partię podwójną i to z asem atutowym w rękawie. Usiłował tę partię zagrać i teraz. Ale w takim razie... w takim razie... Trudno, nie było wyjścia i... należało się spieszyć.

Roddy niechętnie sięgnął po buty i naciągnął je na nogi. Trzeci raz tej nocy musiał niepostrzeżenie opuścić swój pokój w „Tivoli”.

Gdy w jakiś czas potem wrócił ponownie, po wschodniej stronie nieba sączył się błądy brzask porannej zorzy. W lokalu panowała cisza. Najbardziej wytrwali bywalcy opuścili go przynajmniej godzinę wcześniej; ci których znużyło zmęczenie lub, co bardziej prawdopodobne, drinki serwowane przez barmana, pokotem spali na stołach i pod ścianami.

Sam Bonnifield był wyrozumiały dla drobnych ludzkich słabości i nikogo, kto nie mógł utrzymać się na własnych nogach, na ulicę nie wyrzucał. Roddy zdjął z wysiłkiem wierzchnie okrycie i rozwiesił na kołku w pobliżu gorącego jeszcze piecyka, starannie wyczyścił i wytarł nóż. Szmaty, których do tego użył, wrzucił do ognia. Nóż wsunął do pochwy i wraz z pistoletem powiesił również na jakimś gwoździu.

Pozbył się ciężkich butów i w samych skarpetkach podszedł do drzwi. Z uchem przyłożonym do futryny tkwił nieruchomo kilkanaście chwil. Na korytarzu nic się jednak nie działo.

Bezszelestnie nacisnął klamkę i wysunął się na zewnątrz. Znów nasłuchiwał. Z sąsiednich pokoi, przez niezbyt grube drzwi, tu i ówdzie sączył się niewyraźny odgłos przyciszonych rozmów; z naprzeciwka dobiegał śmiech Mabel La Rosse, dwudziestodwuletniej ślicznej Kanadyjki francuskiego pochodzenia, która poprzedniego wieczoru ubiła znakomity w swym mniemaniu interes. Nie mogąc opędzić się od tłumu adoratorów i wielbicieli, w przerwie między jednym a drugim występem, odziana w skąpy kostium tancerki stanęła na ladzie baru

i uciszwszy klaszczący zapamiętała na jej cześć tłum mężczyzn, donośnym dźwięcznym głosem zapowiedziała, że wystawia na licytację bezcenny, najcenniejszy w jej życiu skarb... samą siebie, zobowiązując się pełnić przez całą zimę obowiązki żony tego z dżentelmenów, który przeliczytuje cenę innych i... w ciągu kilku dosłownie minut, sama prowadząc licytację, sprzedała się za niebagatelną sumę pięciu tysięcy dolarów, którą to sumę, zupełnie niespodziewanie dla innych, wydobył spod skórzanej bluzy jeden ze stałych bywalców „Tivoli”, którego nikt nie posądzałby o taką furę pieniędzy. Kiedy w trakcie odliczania banknotów okazało się, że to nie żaden bluff, że nabywcę stać rzeczywiście na natychmiastowe zapłacenie całej sumy, zabrzmiały głosy protestu. Kilku prawdziwych dżentelmenów, sądząc widocznie, że wysokość owych pięciu tysięcy dolarów to dopiero początek prawdziwej licytacji i nie biorących w niej dotąd udziału, poczuło się nagle zawiedzionych.

Pierwszy zaoferował natychmiast nabywcy owego bezcennego skarbu odstępnę w wysokości dziesięciu tysięcy, następny dwudziestu; gdy wysokość odstępnego doszła do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, gdy pierwszy nabywca wciąż przecząco kiwał głową, roześmiana do tej pory dziewczyna spoważniała, uderzyła kilkakrotnie kieliszkiem o trzymaną butelkę i ogłosiła dobitnie:

– Sprzedałam się dobrowolnie za pięć tysięcy dolarów. Należę do tego, kto za tę sumę mnie kupił. – Zeskoczyła lekko z bufetu i dumnie stanęła u boku szczęśliwego poszukiwacza. W tym momencie nastąpiło coś, czego nie mógł oczekiwać nikt, w co nikt nigdy by nie uwierzył. Zdobywca pięknej dziewczyny zanurzył ponownie rękę pod bluzę i wyjął gruby plik banknotów, po czym unosząc go w górę, obwieścił nie bez przechwałki w głosie:

– Jest tu dwieście tysięcy dolarów! Przyjmij to, Mabel, jako mój pierwszy prezent ślubny. Jesteś uczciwą dziewczyną, a takiej mi właśnie w życiu potrzeba. – Huragan braw zagłuszył dalsze jego słowa.

Roddy, który akurat był wtedy w barze i obserwował całą scenę, słysząc teraz drażniący śmiech dziewczyny, uśmiechnął się w myśli również. Był absolutnie pewien, że Mabel nie żałuje wczorajszej transakcji.

Przemknął ostrożnie wzdłuż korytarza i nie zatrzymując się nigdzie więcej dotarł pod drzwi pokoju zajmowanego przez Gertie Lovejoy. Tu zatrzymał się i przyłożył ucho do dziurki od klucza. Słuchał długo. W pokoju panowała cisza. Poprzez niezbyt grube drzwi dobiegał ledwo słyszalny szmer czyjegoś oddechu. Roddy miał bardzo czuły słuch, nie wątpił więc, że to oddech tylko jednej osoby. Uśmiechnął się złośliwie i ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się bez szmeru. Zamknął je starannie i w bladym świetle przesączającego się światła uważnym spojrzeniem zlustrował pokój. Gertie była sama. Na palcach zbliżył się do jej łóżka i pochylił nad śpiącą i nie przeczuwającą niczego dziewczyną. Chwilę patrzył w jej twarz, pochylił się jeszcze niżej. Jednym szybkim ruchem przykrył dłonią jej usta, jednocześnie palce drugiej zacisnął na gardle.

Sparaliżowana, z oczyma pełnymi strachu patrzyła w nachyloną nad sobą złą, okrutną w tym momencie twarz.

Zwolnił nieco ucisk na gardle i powiedział cicho:

– Nie krzycz! Jeśli spróbujesz, uduszę cię. Zachowuj się spokojnie. Jeśli masz trochę rozsądku, nic ci się nie stanie. Nie będziesz krzyczeć? – Zaprzeczyła kilkakrotnie głową. Nie usiłowała uwolnić się z dławiącego ją uścisku. – Dobrze, ale pamiętaj, w przeciwnym przypadku uduszę jak żmiję. – Zdjął dłoń z jej ust i uwolnił gardło. Nadal leżała bez ruchu. Jedynie cichutko szczykała zębami. W otwarte usta łapała szybko powietrze. Wreszcie oddech począł się uspokajać.

– Czego chcesz? – szepnęła.

– Drobnostki.

– Jakiej?

Milczał kilka chwil, w końcu powiedział zimno:

– Wciągnęłaś mnie w pułapkę. Powinienem ci za to zapłacić, ale może nie zrobię tego, i zależy to jedynie od ciebie.

– Roddy... ja musiałam... nie miałam wyjścia. Gdybym nie przyprowadziła cię, zabiliby mnie, zrozum. Ale nic ci się jednak nie stało.

– To nie twoja zasługa, ptaszyno. – Znów ścisnął jej gardło.

– Na razie jednak nie mówmy o tym. Co robiłaś po naszym tak... powiedzmy rozstaniu?

We wzroku jej znów zamigotał strach.

– ... nnie, Roddy! Kazzali mi iść do siebie i nnie pokazywać się nikomu...

– I co?

– Wróciłam prosto tu. Daję słowo.

– Nie wychodziłaś?

– Nie!

– Nikt nie przychodził do ciebie, nikt cię nie widział?

– Nnie – zęby znów zaczynały dzwonić niepokojąco.

– Jeśli kłamiesz...

– Przysięgam, nikt mnie nie widział. Wróciłam prosto tu. Z nikim nie rozmawiałam.

Odetchnął z ulgą.

– Twoje szczęście, Gertie. Pół szczęścia – poprawił się. – Widzisz, pułapka, jaką zastawiliście wspólnie – słowo to podkreślił mocno z Turnerem, okazała się nieszczęśliwa... dla niego. Gdyby ktoś dowiedział się, że widziałem się z nim tej nocy, mógłbym mieć drobne nieprzyjemności. Wolałbym więc, by nikt nie wiedział. To ty, Gertie, naraziłaś mnie na te nieprzyjemności. Powinnaś pomóc mi się z nich wydostać, bo jeśli tego nie zrobisz, a policja będzie pytała, musiałbym bronić się i powiedzieć, że byłaś w zмовie z Jacksonem. Nie wiem, o co chcieliby cię wtedy oskarżyć, ale może o coś, za co grozi stryczek.

Twarz dziewczyny poszarzała. Ze zbielełych ust wybiegł drżący szept:

– Co mu się stało, Roddy? Czy przypadkiem ty... – To był przypadek, Gertie. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego – głos brzmiał zimno, spokojnie, obojętnie. – Nic wspólnego, rozumiesz? Ale Mounties mogą myśleć różnie. I wolałbym, żeby mnie zostawili w spokoju, no i ciebie, ma się rozumieć też. – Dodał przeciągle. – To nasz wspólny interes.

– Co mam zrobić?

– Nic szczególnego – ziewnął potężnie. – Przecież wszyscy w barze widzieli wieczorem, że zabierasz mnie na górę. A potem nie widzieli już ani ciebie, ani mnie. Rozumiesz?

– Chcesz powiedzieć, że wszyscy myślą, iż cały ten czas byliśmy razem?

– Właśnie.

– Ale w takim razie co ja...?

– Mówiłem, nic szczególnego. Tylko tyle, że fakt wspólnego spędzenia całej nocy trzeba jakoś udowodnić.

– Ale jak? Przecież nie mogę tego opowiadać na prawo i lewo?

– Pewno, że nie, Gertie – uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili wejścia do pokoju. – Po prostu rano zamówisz tu duże śniadanie na dwie osoby. Kelner, który je przyniesie, będzie nas przecież widział razem w łóżku. Ciebie, ma się rozumieć, bez tych szmatek, które masz teraz na sobie. – Niedbale wskazał na koronkę koszuli okrywającej dziewczynę.

Patrzyła na niego dłuższy czas w milczeniu. W końcu spuściła powieki.

– To zasuń przynajmniej story – powiedziała z rezygnacją w głosie. Rozumiała, że w zaistniałej sytuacji propozycja Roddy'ego była jedyną i chyba najrozsądniejszą rzeczą, jaką można było wymyśleć.

Gdy półnagi wyciągnął się obok, w pierwszym odruchu odsunęła się na skraj łóżka. Ale mężczyzna nie uczynił najmniejszego gestu w jej stronę. Spod wpół przymkniętych powiek patrzyła na jego mocny tors, zarys mięśni na ramionach i barkach, ogorzałą męską twarz i

półśmiejach błakający się wokół ust. Mężczyzna nie patrzył na nią. Miał zamknięte oczy. Oddychał równo, spokojnie, coraz głębiej. Spał..., spał jak dziecko. I ani w głowie mu nie powstało wykorzystanie sytuacji.

Twarz Gertie powlókł cień zadumy, może melancholii, może żalu..., żalu, że spał. Przysunęła się trochę bliżej, ale tak by go nie zbudzić, pogładziła delikatnie skórę na jego piersi i ułożyła głowę w zagłębieniu ramienia. Nie poruszył się nawet. Spał mocno. Zamknęła powieki, ale to i tak nic nie pomogło. Gorzkie łzy spływały po jego ramieniu. Nie czuł tego. Nie domyślał się nawet, że właśnie w tej chwili płocha dziewczyna przysięgła sobie, że nawet gdyby miała umrzeć, nie zdradzi go nigdy więcej i nie zawiedzie... mimo że nie była jego dziewczyną.

Rozdział XII

Kłopoty Roddy Dowsona

Powrót ze świata snów do dziennej rzeczywistości nastąpił widocznie nie tak, jak to sobie Roddy wyobrażał zasypiając o świcie, o czym świadczył zarówno wyraz zdumienia pomieszany z zaskoczeniem malujący się w jego oczach, jak i niemądra, nic nie rozumiejąca mina na widok dwóch barczystych Mounties wywlekających go całkowicie nagiego z ciepłego łóżka. Równie nagle i brutalnie przebudzona dziewczyna, naturalnym swej płci wstydliwym, choć nie pozbawionym kokieterii odruchem, usiłowała skrawkiem kołdry osłonić się przed zuchwałym wzrokiem niespodziewanych świadków swej nagości. A świadków owych było aż czterech, bowiem prócz dwu wspomnianych już konstablów w progu tkwili Sam Bonnifield i sierżant Murray Hayne, który przez moment jedynie przemknął kpiącym spojrzeniem po skulonej w rogu łóżka skąpo okrytej Gertie, natychmiast jednak odwrócił od niej wzrok i rzucił sucho:

– Ubierać się... obydwójcie. A wy – kiwnął głową w kierunku swych pomocników – nie wytrzeszczać tak gałów. Nie widzieliście nagiej dziewczyny? – Obydwaj policjanci z wyraźną niechęcią odwrócili głowy w kierunku okna.

Roddy zapiał ostatni guzik u koszuli i sięgając po wiszącą na kołku bluzę spojrzał na sierżanta iskrzącymi się oczyma.

– Co to ma znaczyć? Czego tu chcecie – wybuchnął nie ukrywając wściekłości. – Jakim prawem?

– Nie gadaj, Dowson. Powiesz wszystko tam gdzie trzeba.

– To znaczy gdzie i co?

– W forcie. Nie sądzisz chyba, że przyszedłem zaprosić cię na śniadanko?

– Aresztujesz mnie, Hayne? Za co?

– Na razie nie aresztuję cię. Zabieram tylko. Panienkę też – dodał widząc, że dziewczyna przyodziła się już jako tako. – Pójdiesz dobrowolnie, czy mam kazać nałożyć kajdanki?

– Pójdę dobrowolnie, ale złożę skargę za wtargnięcie bezprawne do tego pokoju i za nadużycie siły.

– Nikt nie nadużywał siły. Pan Bonnifield może to potwierdzić. Będzie nam też towarzyszył i będzie obecny przy przesłuchaniu. W razie potrzeby będziesz miał dobrego świadka. – Dyskusja wydawała się bezcelowa, toteż Dowson wzruszył tylko ramionami; jednocześnie posłał dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie. Odpowiedziała mu błyskiem oczu. Nie wydawała się przestraszona.

– No, to chodźmy do tego fortu. Wreszcie obejrzę sobie z bliska jaskinię lwa...

W jakiś czas potem skrzypnęła ciężka brama, przeszli przez dziedziniec, drzwi prowadzące do ponurego budynku, przed którymi stał wartownik, długi korytarz kończący się jeszcze jednymi masywnymi drzwiami. Tam również stał wartownik. Zgrzytnął klucz w zamku. Drzwi stanęły otworem.

– Wejdz, Roddy. Poczekaś tu – powiedział sierżant. W kilka chwil potem zgrzytnął ponownie klucz w zamku, szcęknęła ciężka zasuwka.

Roddy Dowson został sam. Izba była dosyć obszerna, ale prawie zupełnie pusta. Oświetlało ją wąskie okratowane okno. W rogu stała niska prycza przykryta wysłużonym

kocem. Pod ścianą, tuż koło drzwi leżało krzesło, nie wiadomo właściwie do czego służące w tej najprawdopodobniej czasowej jedynie celi. No, bo skoro była prycza... Przysiadł w jej rogu, oparł brodę na rękach i zamyślił się.

Zbliżało się popołudnie, gdy z niesmakiem rozdeptał ostatni niedopałek papierosa. Miał jasny obraz sytuacji i... wiedział czego się trzymać.

W korytarzu rozległy się kroki. W drzwiach stanął jeden z tych, którzy go tu przyprowadzili. Chwilę patrzył na więźnia ponuro, po czym kiwnął głową:

– Czas na ciebie. Tylko nie próbuj sztuczek – dodał ostrzegawczo, kładąc wymownym gestem rękę na kolbie wystającego z kabury kolta.

W gabinecie był komplet: inspektor Strickland, sierżant Murray Hayne, sierżant Frank Kingsley i Sam Bonnifield. Brakowało jedynie dziewczyny.

– Siadaj, Dowson – inspektor wskazał wolne krzesło: – Od razu muszę cię uprzedzić, że cokolwiek powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie. Nie musisz odpowiadać ani na pytania, ani na zarzuty. Wprawdzie nie jesteś jeszcze o nic oskarżony, ale wszystko wskazuje na to, że zostaniesz oskarżony. Biorąc pod uwagę tę ewentualność, sądzę, że możesz chcieć skorzystać z pomocy obrońcy. Jeśli tak, to powiedz. Każę wezwać pana Terence’a O’Flaherty, tutejszego notariusza, który ma duże doświadczenie w udzielaniu prawnej pomocy osobom naruszającym prawo. Chcesz skorzystać z jego pomocy?

Dowson zajął wskazane miejsce i uważnie wpatrzył się w twarz mówiącego, twarz surową, spokojną nie wyrażającą żadnych uczuć ni wzruszeń. Uczciwie proponował pomoc prawnika, obrońcy. Uczciwie. Aż za uczciwie. Prośba o taką pomoc równałaby się przecież z góry przyznaniu się do winy. I jak gładko propozycję swoją sformułował. Liczył na efekt. Czy tamci też tak rozumieli? I czy wiedzieli, że O’Flaherty znajduje się w tej chwili dosyć daleko od Dawson? Nie, nie wiedzieli na pewno, ale przynajmniej dwu z nich, Bonnifield i Kingsley, roztrąbią po całym Dawson jak to Mounties i ich szefowie przestrzegają wszystkich zasad prawa nawet wobec najgorszych przestępców. Chytre. Strickland, zastawiając pułapkę, za jednym zamachem zamierzał upiec dwie pieczenie, a przynajmniej jedną, i to taką nie do pogardzenia.

– Nie wiem, o czym pan mówi i na co ma mi być potrzebna pomoc prawnika. – Głos i wyraz twarzy wyrażały jedynie zdziwienie. – O co chodzi, inspektorze?

– O parę drobiazgów, Dowson. Na pewno nie chcesz skorzystać z pomocy prawnika?

– Nie znam wszystkich tutejszych praw, ale myślę, że żadnego z ważniejszych nie naruszyłem. W każdym razie nic o tym nie wiem. I przede wszystkim składam skargę na dwu policjantów i obecnego tu sierżanta Hayne’a za poranne wtargnięcie do mojego...

– To nie był twój pokój, Dowson – przerwał spokojnie inspektor. – Nie masz prawa do skargi. Takie prawo miałyby panna Lovejoy, ale nie skorzystała z niego. Może ty jednak skorzystasz z pomocy prawnika. Radzę ci.

– Obejdę się. Czego chcecie ode mnie i... od panny Lovejoy? Była w moim towarzystwie i pod moją opieką.

– Zostaw pannę Lovejoy w spokoju. Chcemy porozmawiać o tobie, przynajmniej na razie.

– Strickland otworzył gruby brązowy skoroszyt i wyjął z niego jedną zapisaną kartkę papieru. Przeglądał ją kilka chwil, po czym położył na wierzchu i stwierdził spokojnie:

– To twoja karta przekroczenia granicy, Dowson. Sierżantowi Kingsleyowi na posterunku granicznym podałeś, że idziesz z Alaski z Anchorage i że po raz pierwszy wkraczasz na Terytorium Jukonu. Podpisałeś się nawet pod tym oświadczeniem. Czy nie myliłeś się wtedy, czy potwierdzasz to teraz? Nie byłeś nigdy poprzednio na naszym terenie?

– Nie, inspektorze, nie byłem.

– Jesteś pewien?

– Jestem!

Strickland klasnął w ręce. Na znak ten otwarły się boczne drzwi gabinetu i do wnętrza weszło dwu Indian. Po twarzy Roddy'ego, gdy spojrzał na nich, przemknęło coś na kształt chmury. A więc jednak. Policja rzeczywiście działała szybko, a Kingsley był zapewne nieco bystrzejszy, niż mógł ktoś sądzić.

– Twierdzisz więc, Dowson, że przed przekroczeniem granicy na punkcie dowodzonym przez obecnego tu sierżanta Kingsleya, nigdy nie przekraczałeś tej granicy? – głos Stricklanda brzmiał uprzejmie, prawie łagodnie.

– Tak twierdzę.

I tych dwu Indian nie spotkałeś kiedyś?

Roddy skierował wzrok ponownie na obydwu czerwonoskórych i przyglądał im się uważnie przez dłuższą chwilę. Nie miał wątpliwości. Wprawdzie padał wtedy śnieg, obydwaj mieli na głowach kaptury parek, ale ten skrzywiony nos u jednego i szrama pod okiem u drugiego nie budziły wątpliwości. Jedyne naiwny uwierzyłby, że ktoś mógł nie zapamiętać tych twarzy. A Strickland do naiwnych nie należał. Pozostali pewno również. Nie miał więc co udawać. Mimo to nie musiał niczego tak od razu przyznawać wprost. Toteż odwrócił wzrok od Indian i zmarszczył czoło, udając, że usiłuje sobie przypomnieć. Jeszcze raz popatrzył na obydwu i stwierdził z przekonaniem:

– Nie jestem pewien co do tego ze szramą, ale tego z krzywym nosem musiałem już widzieć, i to nie tak dawno.

– Nie pamiętasz, gdzie to było? – Głos inspektora znów brzmiał niemal słodko.

– ... Hm. Może w obozie nad Forty Mile Creek albo w tym drugim. To o dzień drogi od punktu granicznego. Ale nie jestem pewien. Kręciło się tam sporo Kutchin.

Inspektor pokiwał głową i zwrócił się do Indian.

– Czy moi bracia widzieli gdzieś tego człowieka?

Obydwaj Indianie skinęli głowami, a starszy, ten ze szramą pod okiem, powiedział:

– Widzieli go dobrze. Rozmawiali nawet z nim. Pamiętają. Mówili o tym twojemu człowiekowi – tu wskazał ręką na Kingsleya.

– Czy Tăkwăyédi yédi może opowiedzieć, kiedy i gdzie spotkali tego człowieka, co robił i o czym z nim rozmawiali? Indianin chwilę myślał, po czym powiedział prosto:

– W obozie Takwedi głód. Wszyscy myśliwi poszli poszukać karibu. Poszli też Tăkwăyédi yédi i jego brat Handide akh hăni. O przeszło pół dnia drogi na zachód od miejsca gdzie siedzą twoi ludzie, spotkali tego człowieka. Szedł z zaprzęgiem z południa na północ. W zaprzęgu miał siedem husky i jednego dużego czarnego psa. Był po waszej stronie w miejscu, które nazywacie Black Ravine – Czarny Parów. Tam granica. Tam przeszedł na naszą stronę, na Alaskę.

Czy moi bracia rozmawiali z nim?

– Tak! Chcieli, by im sprzedał kawałek swojego karibu. Oni nic jeszcze nie upolowali, a byli głodni.

– I sprzedał im? – W głosie Stricklanda dało się wyczuć wyraźne zainteresowanie. W oczach sierżanta Hayne'a zamigotało lekkie zdziwienie. Bonnifield poruszył się z wyraźnym ożywieniem, a nawet Kingsley uniósł z niedowierzaniem brwi. Wszyscy czterej zdawali sobie sprawę, że Indianie nie mogli kupić mięsa. Nie mieliby czym zapłacić. – I sprzedał im? – inspektor powtórzył pytanie.

– Nie sprzedał – odparł Indianin. – Nie mieli ni pieniędzy, ni żółtego piasku, by kupić. Biali dał im całą przednią łopatkę... Potem poszedł w stronę Forty Mile Creek. A oni zostali i upiekli mięso. Białego nie widzieli więcej.

– Dziękuję moim czerwonoskórym braciom – powiedział Strickland. – Są już wolni. – Gdy indiańscy myśliwi opuścili pokój, zwrócił się do Roddy'ego i spytał:

– Czy może teraz przypominasz ich sobie lepiej?

– Tak, rzeczywiście.

- A może coś pomylili, Dowson? Może nie spotkali cię w Czarnym Parowie.
- Nie inspektorze, nie pomylili niczego. Pamiętają dobrze. To ja w pierwszej chwili nie mogłem skojarzyć sobie, gdzie ich widziałem.
- Przyznajesz więc, że byłeś w Czarnym Parowie?
- Jeśli nosi taką nazwę, to byłem tam rzeczywiście.
- Czarny Parów to Terytorium Jukonu. Prawie cztery mile od granicy. Kiedy Indianie widzieli cię, szedłeś dopiero na Alaskę, ale byłeś jeszcze po naszej stronie. Dopiero potem zatoczyłeś łuk i wróciłeś tu niby oficjalnie przez posterunek sierżanta Kingsleya. Na naszym terenie byłeś jednak wcześniej. Co tu robiłeś?

Pierwszy powód porannej nieoczekiwanej ingerencji Mounties był więc jasny. Sprawa dwukrotnego przekroczenia granicy.

- Tak. Byłem tam, panie Strickland, byłem, ale nie wiedziałem, że to terytorium Kanady.
- Nie wiedziałeś? – głos inspektora zabrzmiał nie tajonym zdziwieniem.
- Nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że to już nie Alaska. Granica nie jest oznakowana. Jeśli znalazłem się po tej stronie, to zupełnie nieświadomie. Gorzej. Tego właśnie dnia przekraczałem ją dwukrotnie, nic o tym nie wiedząc.

– Dwukrotnie...? Możesz to wytłumaczyć, bo nie bardzo rozumiem – Strickland patrzył niedowierzająco.

– To proste – Roddy poprawił się na krześle. – Przez parę dni szedłem z biegiem jakiegoś strumienia. Byłem pewien, że prowadzi do Forty Mile Creek i że zbliżam się do obozu poszukiwaczy. Terenu nie znałem. Też byłem bez żarcia. Pod lufę wszedł mi łoś. Mimo że odległość nie była najlepsza, strzeliłem i wiedziałem, że dostał. Poszedłem po śladach. Krwawił. Dostałem go kilkanaście mil dalej. Była noc. Poczekalem, aż mięso stężeje na mrozie. Od potoku odbiłem dość daleko. Żeby nie zgubić drogi, musiałem do niego wrócić. Wtedy właśnie w parowie spotkałem tych Indian. Wychodzi więc na to, że raz idąc za łośmiem, a drugi raz wracając z nim, przekroczyłem granicę – w ciągu jednej doby – dwa razy. Ale nie wiedziałem o tym, inspektorze. Może to i przestępstwo – dodał – tyle że nieświadome. Jeśli trzeba, odsiedzę. – Zamilkł. Spokojnie, bez cienia obawy patrzył w twarze tamtych. Kara, jaką mogli mu wymierzyć, nie przerażała go widocznie. Ba, nie wydawał się nią zbyt przejmować. Można było odnieść wrażenie, że czuje się niewinny. A czy tak się czuł rzeczywiście?

W każdym razie jednego był pewien. Ta opowiedziana przed chwilą bajeczka była nie do podważenia. Przyznał się, a jakże, i to od razu. Nic nie kręcił, przyznał się do dwukrotnego przekroczenia granicy: tam i z powrotem... w pościgu za rannym łośmiem... Doskonałe wyjaśnienie.

Strickland ponownie otworzył skoroszyt i udawał, że czyta jakiś inny dokument. Nie, oczywiście w bajeczki nie wierzył. Ta Jednak rzeczywiście była nie do sprawdzenia. Nieumyślne przekroczenie granicy w pościgu za ranną zwierzyną... Taak... tego nawet przepisy nie regulowały. Do podobnych wniosków musiał dojść również Murray, o czym świadczyła jego pochmurna twarz i wzrok unikający wyraźnie wzroku inspektora. Zdezorientowana mina Kingsleya wskazywała, że nie oczekiwał takich argumentów. A Bonnifield? Ten nie czuł się najlepiej; i inspektor rozumiał go. Nie można było przeciągać dalej niezręcznej sytuacji. Sceptycznie popatrzył na Dowsona i pokiwał głową.

– No cóż, skoro nie wiedziałeś, to może i nie taka wielka zbrodnia. Naturalnie, jeśli rzeczywiście nie wiedziałeś...

– Mogę przysiąc.

– Nie trzeba, Dowson. To przecież nie sąd. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym jeszcze chwilę zatrzymać się na twojej dalszej drodze. – I nie czekając na odpowiedź kontynuował: – Z Czarnego Parowu wróciłeś więc na swój szlak i dotarłeś do

obozu poszukiwaczy nad Forty Mile Creek. Chciałbym wiedzieć, po co tam poszedłeś? Musiałeś nadłożyć kawałek drogi.

Roddy odetchnął wewnątrz.

– Chciałem się tam trochę rozejrzeć. Chłopaki stamtąd, jak mi się wydawało, płuczą po obydwu stronach granicy i znają potoki. Chciałem się trochę rozejrzeć i pogadać.

– No i co?

– Bąknęli to i owo, ale o odkrywkach już znanych i pozajmowanych, o wszystkich po tej stronie granicy. No więc przyszedłem tu.

– Właśnie, przyszedłeś tu i zdaje się masz jakieś kłopoty?

Wyraz zdziwienia na twarzy musiał wypaść chyba przekonująco.

– Kłopoty?

– Chyba tak. Chłopcy Jacksona przecież nie bez powodu dopadli cię wczoraj za miastem.

– Ach, tak. Nie wiedziałem, że to tylko goryle jakiegoś faceta. Mówi pan, inspektorze, że to chłopcy Jacksona? Cóż to za persona?

– Nie znasz go?

– Nie mam pojęcia, o kogo chodzi.

– Naprawdę...? Przecież dzisiejszej nocy czekał na ciebie w twoim własnym pokoju. Nie spotkaliście się?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nikogo nie spotkałem i nie wiem co to za jeden, ten Jackson.

Bonnifield poruszył się nieznacznie.

– To nic nie da, Roddy. Jackson czekał na ciebie w pokoju i to nie sam, gdy poszedłeś tam z panną Lovejoy. Wiem to na pewno. Widziałem, jak do twojego pokoju wchodził i widziałem, jak szedłeś na górę z Gertie. Nie masz co zaprzeczać.

– Widziałeś, Sam, facetów wchodzących do mojego pokoju i nie spytałeś, czego tam szukają? – Oczy mówiącego zwięzły się w dwie szparki. – Nie uprzedziłeś mnie?

– Nie mieszam się do spraw swoich gości.

– Jackson jest twoim gościem? Jaki numer zajmuje?

– On nie mieszka u nas.

– No, to skoro nie mieszka, jakim prawem pozwalasz mu szwendać się po swoim hotelu i myszковать po pokojach? Ukradł coś? Narozrabiał i dlatego przyleciałeś na policję?

– Zostaw na razie pana Bonnifielda – przerwał Strickland. – Poszedłeś więc do siebie i spotkałeś Jacksona i jego kumpli. Interesuje nas, co było dalej?

– O niczym nie wiem, inspektorze. Nie wchodziłem do swojego pokoju...

– Ale przecież wszyscy widzieli, Roddy. Nie zaprzeczysz chyba? – Właściciel „Tivoli” poderwał się z oburzeniem.

– Co wszyscy widzieli, panie Bonnifield? – Na twarzy Dowsona malowało się wyraźne zniecierpliwienie. – Co widzieli wszyscy na czele z panem?

– Wszyscy widzieli, jak szedłeś na górę, do siebie.

– Czy widzieli, jak szedłem na górę po schodach, czy też widzieli, jak wchodziłem do siebie? Bo to różnica, Sam. Może wyjaśnisz, co widzieliście wszyscy?

– Jak to było w rzeczywistości, panie Bonnifield? – Strickland patrzył uważnie na twarz właściciela hotelu.

Ten wydobyl chustkę z kieszeni surduta i przetarł czoło.

– Myślałem – powiedział – że Roddy i panna Lovejoy poszli do niego. Nikt, oczywiście, nie szedł za nimi. Widzieliśmy ich jeszcze na antresoli, ale z dołu nie widać, kto wchodzi do jakiego pokoju. Tak, że...

Brwi Stricklanda ściągnęły się gniewem. Sierżant Hayne podniósł się ze swego krzesła i stanął przed Bonnifieldem.

– Czy chcesz powiedzieć teraz, że nie widziałeś, jak obecny tu Roddy Dowson oraz Gertie wchodzi w nocy do jego pokoju?

– Właśnie wyjaśniłem, że...

Strickland przerwał ostro:

– A więc widziałeś, czy nie?

– Ja myślałem...

– To nieważne, co myślałeś. Pytam, czy widziałeś jak wchodzili, czy nie widziałeś?

Heyne wrócił na swoje miejsce. Inspektor odchylił się do tyłu w swym głębokim fotelu i spytał bez większego już przekonania.

– Chcesz powiedzieć, Roddy, że poszliście do apartamentu panny Lovejoy i że do siebie do pokoju po opuszczeniu baru nie zachodziłeś?

– Było dokładnie tak, jak pan inspektor to ujął.

– Ale my byliśmy, Roddy, w twoim pokoju. Z samego rana. – Na biurku położył długi myśliwski nóż w skórzanej pochwie.

– Poznajesz to? – Tak, to mój nóż. Powiesiłem go wieczorem obok rewolweru.

Inspektor ujął ostrożnie rękojeść i wysunął nóż z pochwy. Na ostrzu czerniły się wyraźnie plamy zakrzepłej krwi.

– Możesz wyjaśnić, skąd te plamy na twoim nożu?

– Te plamy...? – „Cholera, że też noża nie wytarł dokładnie!” – Pyta pan, inspektorze, skąd te plamy?

– Pytam, Dowson, i myślę, że mi odpowiesz.

Tak, teraz było wszystko jasne. Ale, czy na pewno...? Napięta, czujna twarz Kingsleya. Pozorny spokój Hayne’a i czujne świdrujące spojrzenie Stricklanda. Działali jednak szybko. Jeszcze raz popatrzył na Kingsleya i uspokoił się nagle.

– Te plamy... to chyba po wieczornym karmieniu psów. Pewno nie wytarłem. Wracając z Lousetown wstąpiłem do psów. Daję im zreć wieczorem. Wczoraj kroilem wątrobę. Zawsze ma dużo krwi. To było już dość późno. Ale widział mnie sierżant Kingsley. Chwilę nawet rozmawialiśmy. Nóż zostawiłem w pokoju. Musiałem zapomnieć wyczyścić. Potem zszedłem na dół i... do siebie już nie wracałem. Ale nie przysięgnę. Może ktoś używał go w czasie mojej nieobecności. Czy na wszystkie pytania policji już odpowiedziałem? Może czas, bym dowiedział się, o co chodzi.

Strickland wsunął nóż do pochwy i popchnął go w stronę pytającego.

– Zabierz, tylko oczyść dobrze, by znów nie wzbudził czyichś podejrzeń. Przerwaliśmy ci, zdaje się, sympatyczny sen – uśmiechnął się niewyraźnie. – Masz prawo wiedzieć dlaczego.

Wstał zza biurka i przeszedł parę kroków po gabinecie.

– Widzisz, te informacje Indian zaniepokoiły nas trochę i zwróciły na ciebie uwagę. Wczorajsza napaść ludzi Jacksona, wprawdzie niefortunna – dodał z półuśmiechem – podejrzenia te umocniła. Dziś z rana Sam powiadomił nas o nocnej wizycie Turnera Jacksona i jego ludzi u ciebie. Ale nie byłby to powód, by cię niepokoić. Zbiegł się jednak w czasie z drugim – tu zawiesił głos i wytrzymał dłuższą pauzę. – Nad ranem znaleziono Jacksona w „Monte Carlo” w jego własnym łóżku. Ktoś pchnął go długim nożem parę razy. Raz prosto w serce. Rozumiesz, czemu ci przerwaliśmy sen?

– Rozumiem... – I Roddy rozumiał rzeczywiście lepiej, niż komukolwiek mogłoby się to wydawać. Rozumiał też coś więcej, mógł przewidzieć pewne konsekwencje właśnie tego, o czym mówiono w tym gabinecie. Ba, mógł planować następne posunięcie, bez obawy, że w jego wykonaniu przeszkodzi mu Kingsley, czy którakolwiek z obecnych tu osób. Mógł sobie pogratulować przygotowania Gertie na taką właśnie sytuację jak dzisiejsza. Gertie nie zawiodła, nie zawiodła na razie..., ale czy na długo? Nie, nie mógł wymagać od niej rzeczy niemożliwych. Musiał więc wyeliminować i ją również. Do świadomości przywołały go słowa Stricklanda:

- Nie masz chyba do nas żalu, Dowson?
Zaprzeczył poruszeniem głowy.
- Nie, oczywiście. Ale kim był ten Jackson?
Strickland wzruszył niepewnie ramionami.
- Trudno powiedzieć. Mało o nim wiemy.
Roddy nie uwierzył jednak, mimo to, bez większego przekonania, spytał jeszcze:
- No, a ci jego kumple też nic nie wiedzą?
- Nie. Sprawdziliśmy.
- Byli przecież z nim, jak pan twierdzi, inspektorze, w moim pokoju.
- Byli, Roddy. Mówią jednak, że nie doczekali się twojego powrotu i po półgodzinie wyszli, wyszli wszyscy czterej. Ci trzej nic od ciebie nie chcieli. Interes miał Jackson. Nie wiedzą jaki. Ponieważ nie wracałeś, opuścili hotel i rozstali się. Potem prawie całą noc grali w kości. Mają świadków.
- Może trzeba ich przycisnąć?
- Inspektor uśmiechnął się.
- A prawo? Nie dopuszcza przesłuchań trzeciego stopnia.
- Długo zostajesz w mieście, bo Sam wspominał, że chcesz pociągnąć gdzieś dalej?
- Chyba tak zrobię, inspektorze. Stałem się tu zbyt popularny, a to nikomu jeszcze nie wyszło na zdrowie – dodał melancholijnie.
- Masz coś upatrzonego?
- Pociągnę w górę rzeki. Potem może odbiję gdzieś na południe i przeczekam do wiosny. Tu i w okolicy Klondike robi się tłoczno. Kiedy dobiją ci znad Tagish i znad Jeziora Bennetta, nie będzie gdzie wetknąć szpilki.
- Na to wygląda. – Strickland wrzucił brązową teczkę na powrót do szuflady i powiedział:
- Jesteś wolny, Dowson, i powodzenia. – Widząc, że zbiera się również właściciel „Tivoli”, powstrzymał go gestem ręki. – Zostań, Sam, jeszcze na chwilę.
- Po wyjściu Dowsona patrzyli na siebie przez jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Bonnifield nie wytrzymał i wybuchnął:
- Myślałem, że przyciśnięcie go bardziej, i tę Gertie również. Chyba nie wierzycie, że mówił prawdę?
- Nie gorączkuj się, Sam. Wcale nie o to chodzi, w co wierzymy. Ważne, na co mamy dowody. A z tym jak na razie krucho. Jak widziałeś, alibi ma murowane. Był z panną Lovejoy, i to u niej, nie u siebie. Strzeliliśmy byka, wyciągając go rano z łóżka. Będzie się teraz pilnował, ale może nie za bardzo. Co myślisz, Murray?
- Będzie się pilnował. Jest przebiegły. Ciekaw jestem, co łączyło go, a właściwie co dzieliło z Jacksonem. I czego ten chciał od niego? Musi być ktoś, kto to wie. Trzeba by ustalić kto. No, a Dowsona nie wolno spuszczać z oczu, tyle że dyskretnie. I myślę, że jednak Frank – tu spojrzał wymownie na Kingsleya – tak bardzo na tym swoim posterunku granicznym nie jest potrzebny.
- Strickland skinął z aprobatą.
- Też tak myślałem. Myślę też, że i Sam nie odmówi nam swojej dalszej pomocy.
- Ja? – Bonnifield nie bardzo rozumiał. – Skoro już go wypuściliście...
- Właśnie dlatego, Sam. Ale nie chodzi mi tylko o niego. Głównie o Gertie. Nie spędziła z nim może całej nocy, ale na pewno spędziła część. Może rozmawiali o czymś ciekawym. Panna Lovejoy ma przyjaciółki. Nie utrzyma długo języka za zębami. Jeśli coś wie, powie to prędzej czy później. Chcielibyśmy wiedzieć, co to takiego.
- To się da zrobić, panie Strickland. Diamond-Tooth Gertie nie jest zbyt dyskretna. Ale cieszę się, że nie uwierzył pan temu ptaszkowi. – Nie czujesz do niego sympatii?
- To nie o to chodzi.
- A o co?

– Ja wiem na pewno, że Dowson poszedł z Gertie do swojego pokoju, a nie do niej.
– Wiesz to na pewno? – Strickland przechylił się gwałtownie do przodu. – Możesz udowodnić?

– Właśnie chodzi o to, że nie mogę.

– Nie rozumiem, Sam.

Właściciel „Tivoli” milczał dłuższą chwilę, w końcu przewyciężył widocznie skrupuły, bo powiedział spokojnie:

– Kiedy Roddy szedł z dziewczyną na górę, nie byłem w barze. Byłem też na górze, w pokoju naprzeciwko. Słyszałem, jak otwiera drzwi. Panna Lovejoy śmiała się histerycznie. Potem usłyszałem jakiś łomot i zamykające się drzwi. Wyrząłem na korytarz. Gertie szła do siebie sama. W pokoju Roddy’ego słyszać było jakieś głosy. Jestem pewien, że Dowson rozmawiał z Jacksonem.

Strickland wyprostował się. Przez chwilę patrzył niedowierzająco na właściciela „Tivoli”. Nie powiedział jednak nic. Sięgnął po fajkę i nabijał ją długo w milczeniu. Jedynie ściągnięte brwi wskazywały, że słowa Bonnifielda wywarły na nim odpowiednie wrażenie. Zresztą nie tylko na nim. Zastanawiał się, czego jeszcze nie powiedział Bonnifield, czego obawiała się Gertie Lovejoy i jakie interesy załatwiano poza plecami policji.

Rozdział XIII

Pierwsze starcie

Mimo że ludzie z policji trzymali języki za zębami, już następnego dnia w porannym „The Nugget” ukazały się aż dwa sążniste materiały poświęcone wydarzeniom, które rozegrały się poprzedniej nocy w „Tivoli” i „Monte Carlo”. Artykuł pierwszy w nieco zawołowanej formie mówił o tajemniczym poszukiwaczu z Alaski kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni przekraczającym granicę w pobliżu Forty Mile, o napadzie na niego dokonanym przez ludzi Turnera Jacksona, o bliżej nie wyjaśnionych zdarzeniach, jakie poprzedniej nocy podobno miały miejsce w „Tivoli”, o tym, że był w nie zamieszany nie tylko ów poszukiwacz, ale również właściciel lokalu i jakaś dziewczyna z wprawionym w zęby brylantem. Autor artykułu sugerował niedwuznacznie, że przybyszem z Alaski interesuje się policja, że specjalne zadania w tej sprawie otrzymał sierżant Frank Kingsley, wreszcie, że w sprawę napadu i tajemnicze nocne wydarzenia w „Tivoli” zamieszani są jacyś Indianie, i że cała sprawa ma posmak afery, choć nie podawano, o jaką aferę chodzi.

Artykuł drugi, zamieszczony zresztą na tej samej stronie, atutował prawdziwą bombę. Już jego tytuł wybito krzyczącymi, wielkimi literami: *Mord w „Monte Carlo”* sam w sobie był w stanie zbulwersować całe Dawson. Autor ukrywający się pod nieco dziwnym imieniem Strażnik Prawa donosił, że w późnych godzinach nocnych ze środy na czwartek, w samym centrum miasta, nieznanego sprawcę, w nie wyjaśnionych okolicznościach dostał się do jednego z pokojów hotelowych i zasztyletował niejakiego Turnera Jacksona ze Skagway w jego własnym łóżku. Policja, powiadomiona nad ranem przez właściciela hotelu, po przybyciu na miejsce mogła stwierdzić, że zbrodnia ta została popełniona z wyjątkowym okrucieństwem i bezwzględnością. Ofiara, wyrwana najprawdopodobniej z głębokiego snu, musiała przed śmiercią stawiać zacięty opór, o czym świadczyły wyraźne ślady dramatycznej walki, plamy krwi na podłodze, sprzętach i ścianach pokoju oraz fakt, że zabójca musiał zadać swej ofierze aż kilkanaście pchnięć nożem, nim udało mu się pozbawić ją życia. Autor tej wstrząsającej publikacji z polotem i swadą oraz wyobraźnią, jakiej nie powstydziłby się rasowy dziennikarz, dowodził, że Jackson musiał być zamieszany w jakąś aferę bimbrowniczą i przemyt alkoholu z alaskańskich gorzelni, że szmuglerski gang, którym kierował, od dłuższego już czasu prowadził podziemną wojnę z innym przemytniczym gangiem, że wreszcie jego śmierć jest właśnie następstwem rywalizacji o zmonopolizowanie tej najbardziej lukratywnej dziedziny tajnego procederu, kwitnącego na całym Terytorium Jukonu tylko dzięki nieporadności miejscowej policji, niewielkim kompetencjom i kwalifikacjom ze strony tych jej najwyższych przedstawicieli, którym rząd lekkomyślnie powierzył obowiązek nadzoru nad przestrzeganiem porządku i prawa oraz nad bezpieczeństwem wszystkich obywateli i ochroną ich mienia i życia przed takimi właśnie aktami gwałtu i przemocy.

Ale rewelacje nie kończyły się na tym. Strażnik Prawa informował społeczność miasta, że po odkryciu zbrodni policja nikogo nie dopuściła na miejsce jej popełnienia, że dla powodów dających wiele do myślenia, w tajemnicy przed mieszkańcami hotelu wyniosła ciało ofiary i pochowała gdzieś w obrębie fortu, że do zwłok nie dopuszczono nawet lekarza, który domagał się tego z mocy przysługującego mu prawa, że wreszcie pokój zamordowanego, po

usunięciu zwłok, kazano posprzątać personelowi hotelu, a następnie zamknięto i opieczętowano.

W artykule znalazła się, co prawda dosyć enigmatyczna, wzmianka, że prawdopodobnie w związku z tą zbrodnią policja przesłuchiwała bliżej nikomu nie znanego Roddy Dowsona – poszukiwacza z Alaski, pannę Lovejoy i kilka innych osób, ale nikogo jeszcze nie aresztowano i nie oskarżono, za co całą winę, według autora publikacji, należy przypisać wyjątkowej nieudolności i opieszałości policyjnych władz w Dawson. Autor artykułu sugerował niedwuznacznie, że właśnie nieudolność policji stała się przyczyną, iż złoczyńcy wszelkiego autoramentu i maści krążą bezkarnie po ulicach Dawson i pod samym nosem policyjnych psów działają swobodnie niczym stada wilków, że wobec takiej sytuacji nikt nie może czuć się bezpiecznie w tym mieście szalejącego bezprawia i najczarniejszych zbrodniczych poczynąń zapewne niejednej przestępczej mafii. Wzywał mieszkańców do zbrojenia się i tworzenia komitetów samoobrony. Zapowiadał bezlitosną walkę, jaką podziemnemu światu przestępczemu wydadzą prawdziwi obrońcy prawa.

Przyparty do muru przez tłum żądnych sensacji poszukiwaczy, właścicieli lokali, banków, pospolitych obieżyświatów i szulerów wydawca i właściciel „The Nugget”, spocony z wrażeń i wysiłku, po raz nie wiadomo który tłumaczył, że artykułów nie pisał żaden z reporterów gazety, że redakcja otrzymała je wraz z wieczorną pocztą, że nie bierze żadnej odpowiedzialności za prawdziwość informacji i wreszcie, żeby wszyscy poszli sobie do diabła, bo on – Barry Darnley – osobiście nic w tej sprawie nie wie, ale obiecuje, że gdy dowie się czegokolwiek, to natychmiast o tym napisze, tak by wszyscy mogli przeczytać, a temu kto dostarczy prawdziwych wiadomości, z własnej kieszeni wypłaci pięćdziesiąt dolarów nagrody, albo i więcej, jeśli wiadomość będzie tego warta.

Słuchający tych wyjaśnień wydawca i redaktor naczelny „Dawson Miner” przebił natychmiast stawkę, oferując aż tysiąc dolarów za każdą dobrą informację.

Wizja zdobycia tak wysokiej nagrody musiała podzielać na wyobraźnię niektórych szczególnie pobudzająco, bo nim minęło kilkanaście chwil, cała banda żądnych sensacji, ale przede wszystkim obiecywanych pieniędzy, ruszyła hurmem w stronę „Tivoli”. Po drodze jednak część odłączyła się i pomknęła do „Monte Carlo”. Kilku, widząc, że nie podołają konkurencji, skierowało się w stronę fortu, licząc nie bez racji na możliwość przekupienia któregoś z Mounties i wyciągnięcia od niego spodziewanych rewelacji.

Sierżant Frank Kingsley, który na czas prowadzenia sprawy i w celu zwiększenia swobody poruszania się, swoją kwaterę główną założył u Ailie Jameson, powierzając jej tajne, ważne zadania zwiadowcze, czytając rewelacje w „The Nugget” poczerwieniał aż z rozpierającej go dumy. On, nikomu dotąd nie znany strażnik przejścia granicznego w rejonie Forty Mile, stał się nagle kimś znacznym i sławnym, ważniejszym od wielu dotychczasowych kolegów, a nawet chociażby od takiego Murraya Hayne’a, który co prawda pełnił obowiązki adiutanta inspektora Stricklanda, ale który przynajmniej w tej sprawie niczym się nie wyróżnił i nie zasługiwał na zainteresowanie prasy. Co innego on – Frank Kingsley. O nim napisali przede wszystkim. Dzisiaj, co prawda, tylko w „The Nugget”, ale nie miał żadnych wątpliwości, że wiadomość rozejdzie się dalej. Dawson posiadało telegraf i wszystkie ważne wieści stąd trafiały niezwłocznie na południe do Montrealu, Quebecu, Edmonton, Vancouveru. Na pewno trafią więc i do Reginy, gdzie mieścił się sztab główny North-West Mounted Police. Bez wątplenia więc o jego roli, o roli sierżanta Kingsleya dowie się sam Lawrence William Herchmer – Komisarz Generalny i dowódca NWMP, a wtedy... tak, wtedy w życiu skromnego sierżanta zmieni się wiele... Dreszcz przyjemnej emocji ogarnął jego myśli; przyćmiło go jednak niejasne, niepokojące wspomnienie poprzedniego wieczoru. Oczywiście, natychmiast po zwolnieniu Roddy Dowsona przyszedł do Ailie, by się z nią naradzić. Tak, dziewczyna jak zwykle miała pod ręką butelkę. Wypił pewno dosyć dużo. Zrozumiałe było, że skoro miała mu pomagać, musiał wtajemniczyć ją w pewne szczegóły sprawy. „No, może

nawet we wszystkie” – przyznał w duchu. Ale nie tylko. Odnosił teraz niejasne wrażenie, że nie ograniczył się do samej sprawy. Mówił chyba coś i na temat Stricklanda i innych przełożonych i metod kierowania pracą policji, i kompetencji zwierzchników. – Zaraz, zaraz – sięgnął po gazetę i gorączkowo odszukał ten fragment artykułu, w którym autor całą winę za zaistniałą sytuację przypisywał „wyjątkowej nieudolności i opieszałości policyjnych władz w Dawson”. Czytając obecnie tę celną i dobitnie wyrażoną myśl, sierżant poczuł na czole kropelki potu. Co prawda poprzedniego wieczoru był porządnie wstawiony, jednak z rozmowy pamiętał co nieco. A tę właśnie myśl, którą obrazowo wyłożył Ailie, pamiętał wyjątkowo dobrze. Inne, znajdujące się w treści owej sensacyjnej publikacji, również.

Sięgnął po butelkę, by zwilżyć zaschnięte nagle gardło, stwierdził jednak, że butelka była pusta. Na dziwnie i nadspodziewanie miękkich nogach podszedł do wiadra i zaczerpnął kubek wody. To jednak nie było to. Wiedział, że pomogłaby mu solidna porcja whisky albo przynajmniej czajnik mocnej kawy. Niczego takiego jednak nie znalazł. Na stole wałał się jedynie kawałek nie dojedzonego wczoraj boczku i wysuszona kromka chleba. Przeżuł to jakoś, by zagłuszyć nieprzyjemną czczość w żołądku i narastające uczucie mdłości. Nie pomogło jednak, raczej wręcz przeciwnie. Ledwo zdążył dobiec do stojącej na stołku miednicy. Gwałtowne torsje trzymały go dobrych kilkadziesiąt sekund, jednak ulżyło mu trochę. Jakąś niezbyt czystą szmatą wytarł twarz i oporządził zmiętą nieco marynarkę od munduru. Usiadł na rozbebeszonym łóżku i ponownie przeczytał obydwie artykuły. Cóż, nie miał większych wątpliwości, skąd ich autorzy czerpali swą wiedzę. Tylko kiedy Ailie zdążyła im to wszystko przekazać...? Rozczapierzonymi palcami przejechał po skołtunionych włosach i w tym momencie przypomniał sobie. Tak, to było gdzieś po dziesiątej. Skończył się alkohol i dziewczyna, nie zważając na zadymkę, pobiegła po następną butelkę. Nie było jej kawałek czasu – pewnie z godzinę. Zdążył się nawet zdrzemnąć. Musiała wygadać wszystko wtedy. – Potem lasiła się jak, jak... żmija – mruknął zawzięcie. Poleciała z samego rana, tyle tylko, że zdążyła mu kupić i zostawić gazetę. – Żmija – powtórzył mściwie. Już on jej... – tu spojrzał na zegarek i ponownie poczuł kropelki potu na czole. Dochodziła piąta po południu. A więc nie dosyć, że po pijanemu zdradził wszystkie policyjne tajemnice dziewczynie z tancbudy, to w dodatku na bez mała półtorej doby wypuścił spod obserwacji tego bandytę.

Naciągając w pośpiechu kurtkę spojrzał mimowolnie przez okno. Kurzyło jak wszyscy diabli. – Pewnie bez przerwy od wczoraj – skonstatował machinalnie i postawił futrzany kołnierz. Zbiegając po krętych trzeszczących schodach nie bez uzasadnienia pomyślał, że tak parszywa pogoda musiała zatrzymać wszystkich w zaciszu i cieple domostw, że więc pewnie i Roddy Dowson nie ruszał się nigdzie podczas minionej doby, i że przerwa w obserwacji na pewno nie zaszkodziła sprawie.

Uderzenie lodowatego wiatru i ostre niczym szpilki kryształki stężalego śniegu smagnęły go po odsłoniętej twarzy niczym bicz. Przystanął na moment, naciągnął na głowę kaptur, grubą rękawicą przysłonił usta i nos i ruszył opłotkami w stronę „Tivoli”.

Gwarne zwykle ulice świeciły pustką. Gdzieś tam w tumanie śniegu przemknął okutany w futra przechodzień. Nawet psy wałęsające się po śmietnikach tym razem musiały skryć się w swych norach. Jedynie z mijanych po drodze lokali przesączał się gwar, dźwięki muzyki, pijackie wrzaski, wybuchy zgiełkliwego śmiechu. W jakimś miejscu zawadził nogą o niewidoczny, przysypany śniegiem kamień i jak długi rozciągnął się na ziemi. Unosząc głowę poczuł ostry zapach świeżo palonej kawy. Było to właśnie coś, czego potrzebował. Znajdował się przed wejściem do baru „Fandango”. Wstał, otrząpał się ze śniegu i bez namysłu pchnął drzwi. Z wnętrza buchnęło gorące powietrze.

Przez ciżbę mężczyzn z trudem utorował sobie przejście do bufetu.

– Mocna kawa i podwójna whisky – rzucił w kierunku barmana.

Ten, poznając widocznie nowego gościa, przymrużył znacząco oko i podsunął mu solidną porcję.

– Dla wysokiego przedstawiciela władzy, gratisowo – dorzucił.

Kingsley wychylił alkohol jednym haustem i otrząsnął się jak po wypiciu piotunu.

– Mocna – wykrztusił, czując prawdziwy ogień w gardle i przełyku.

– Pieprzówka – stwierdził z dumą barman. – Najlepsza na taki ziąb – dodał. – Mam ją tylko dla lepszych gości. Powtórzyć?

– Skoro to poczęstunek – zastrzegł się Kingsley – nie wypada odmawiać. – Czuł, jak krew poczyną żywiej krążyć mu w żyłach. – A z tą wysoką władzą to może trochę za wcześnie.

– Co tam za wcześnie! – Barman znów przymrużył znacząco oko. – Prasę czytają wszyscy, to i wiedzą. W każdym razie domyśleć się nietrudno. A skoro pan sierżant – tu ściszył nieco głos – dostanie tego Dowsona, to i awans murowany.

Kingsley wychylił do dna drugą szklankę i rozpiął kurtkę. Zrobiło mu się ciepło.

– Mówisz: skoro go dostanę. – Myśl znów pracowała jasno i logicznie. – Dostanę, Rory. Możesz być pewien i to szybciej, niż komukolwiek może się wydawać. Nalej jeszcze jednego – dodał i nie czekając na gest barmana, sam sobie napełnił szklankę ze stojącej obok butelki. – Ale i ty też możesz mieć w tym swoją zasługę – powiedział protekcjonalnie.

– Ja? A cóż ja mogę? Wiem tyle, co i wszyscy. Co innego pan sierżant. – Powiadasz: wszyscy. Właśnie chodzi o to, co wiedzą wszyscy. Widzisz, Rory. To nieprawda, że wszyscy wiedzą to samo. Każdy wie coś trochę innego, i rozumiesz, chodzi o to trochę. – Z przyjemnością słuchał własnych słów wyrażanych tak gładko i potoczyście. – Tak, każdy wie coś trochę innego – powtórzył. – A ty tu jesteś tak jakby na posterunku. Słuchasz, co gadają inni i wiesz więcej niż każdy z osobna. Nie odmówisz swej wiedzy przyszłemu oficerowi, prawda? – Czknął potężnie i połowę zawartości szklanki wylał na podłogę.

– Nie, oczywiście, skoro pan – chwilę zawahał się – inspektor... Przecież mogę tak się zwracać do pana?

– Możesz – Kingsley kiwnął głową przyzwalająco. – No, więc mów, co gadają inni.

Barman nachylił się nad ladą bufetu.

– Różnie, panie inspektorze. Artykuł w „The Nugget” czytali wszyscy, ale nie wszyscy wierzą, że Dowson to przemytnik alkoholu. Ci co ocierają się o branżę, pan rozumie, nie słyszeli o nim ani po tej, ani po tamtej stronie granicy. Uważają, że to ktoś obcy, i to z daleka. Może z Anchorage, ale prędzej ze Skagway i to od Soapy Smitha. Z powodu paru galonów samogonu nie sprzątnąłby Jacksona. Tu wszyscy wiedzą, że Jackson był człowiekiem Soapy’ego. Musiało chodzić o coś poważniejszego.

Kingsley odstawił opróżnioną szklankę i sięgnął po kubek z kawą. Chociaż czuł, że te trzy szklanki alkoholu uderzyły mu do głowy, kojarzył jeszcze słowa barmana. I nie były to słowa pozbawione sensu.

– O coś poważniejszego, powiadasz? Domyślasz się o co?

– Niektórzy mówią, że o złoto, o dużo złota. Tylko to mogło być powodem, że tak podziurawił Jacksona i sprzątnął Gertie. Nie chciał zostawiać świad...

– Poczekaj, Rory – przerwał Kingsley. – Co ty gadasz? O jakiej Gertie? Kogo sprzątnął Dowson?

– Noo... Jacksona. To pan inspektor wie. A teraz zniknęła Diamond-Tooth Gertie.

– Jak to zniknęła?

– Zniknęła, chyba wczoraj wieczorem. Nikt jej od tego czasu nie widział. Wszyscy mówią, że ją też sprzątnął. No, bo po co by uciekał...? Całe miasto aż huczy.

Sierżant ponownie poczuł skurcz w żołądku i pot na twarzy. Na barmana patrzył osłupiałym wzrokiem. W końcu potrząsnął głową, odstawił kubek z nie dopitą kawą i chrząknął kilkakrotnie, jakby chciał pozbyć się czegoś przeszkadzającego mu w gardle. Spytał ochrypłym dziwnie głosem:

– No, ale skąd pewność, że ją zadźgał, a może udusił?

– Może i udusił, nie wiadomo. Policja, jak pan pewnie wie, szuka wszędzie. Jego też. Zresztą może uciekli razem – wyraził przypuszczenie. – A może już jesteście na tropie?

Kingsley niemal w ostatniej chwili powstrzymał odruch przeczenia. Po niewczasie przypomniał sobie, że Rory należał do największych plotkarzy w mieście. I pewnie całą rozmowę zaraz roztrąbi. I jeśli po swojemu ubarwi ją jeszcze tym tytułem „inspektora”...? No, nie. To byłby koniec. Strickland nie tolerował takich gaf u podwładnych. I właśnie za jedną z podobnych Kingsley wylądował na posterunku granicznym. Teraz pewnie wylaliby go po prostu z policji. Dopuszczał do zamordowania Gertie i ucieczki Dowsona. Nie wyobrażał sobie, jak będzie pisał o tym raport.

Niewesołe rozmyślenia przerwał mu dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych. Do baru wraz z mroźnym powietrzem wpadł uliczny sprzedawca „The Midnight Sun”.

Dziesiątki rąk wyciągnęły się po cotygodniową gazetę. Wszyscy byli ciekawi najświeższych wieści. Jeden egzemplarz wziął również barman.

Tytuł wybity grubą czcionką krzyczał wielkimi literami: „Chłuba policji Jukonu w morderczym samotnym pościgu za groźnym przestępcą”. Artykuł zdobił stare, sprzed dwu lat, zdjęcie Franka Kingsleya.

Sierżant dłuższą chwilę nic nie rozumiejącym wzrokiem patrzył na krzyczący tytuł, wreszcie gdy pojął jego treść, spurpurowiał, a w oczach zapaliły mu się wściekle ogniki. W nagłym napadzie furii rąbnął pięścią w blat bufetu, aż zadzwoniły szklanki, i wrzasnął dziko:

– Ja im pokażę, tym sukinsynom. – Wyrwał z pochwy rewolwer, runął w stronę drzwi, otworzył je potężnym kopnięciem i wypadł na ulicę. Nie zważając na ryk lodowatego wichru i oślepiającą mroźną zamieć, z gołą głową, w rozpiętej kurtce i pistoletem w ręku pędził, potykając się co chwila, w stronę siedziby redakcji „The Midnight Sun”. – Ja im pokażę, ja im pokażę – mruczał zawzięcie, mściwie, czując rozsadzającą mu pierś żądzę mordu, palący wstyd i głuche upokorzenie. „Chłuba policji Jukonu w morderczym samotnym pościgu za groźnym przestępcą”. To było o nim, o Franku Kingsleyu. Dziś przeczytali wszyscy, jutro całe miasto będzie go wytykać palcami. – Chłuba policji... Już on im pokaże. Wystrzela do ostatn... – Niewidoczny głęboki wykop, rozpaczliwa próba złapania równowagi. Z rozłożonymi szeroko rękoma runął w głęboki śnieg. Leżąc bez ruchu dyszał ciężko. „Chłuba policji...” A może oni myśleli tak naprawdę, może wierzyli, że ściga przestępcę...? Pewno wcale nie chcieli go ośmieszać. Wierzyli w jego dzielność, odwagę, w męstwo. Widzieli w nim nieulekłego obrońcę prawa, bohaterskiego policjanta, który teraz samotnie gdzieś na górskim, dzikim szlaku, niepomny na grozę lodowatej północnej zawiei dąży tropem przestępcy. Nie mogli wiedzieć, że jest inaczej, że on... nie, i nie dowiedzą się nigdy. Frank Kingsley pokaże, co jest wart.

Nagła myśl i postanowienie uspokoiły go. Wygrzebał się ze śniegu. Schował do pochwy pistolet i wyszedł z wykopu. Uspokoili się wzburzone myśli, opadła wściekłość, wyparował alkohol. Umysł pracował jasno i precyzyjnie i wyraźnie ogarniał całą sytuację i błędy, jakie do tej pory popełniła policja. Rory miał rację. Dowson nie zajmował się przemysłem. Interesowało go złoto, duże złoto. Ponieważ na przeszkodzie stał Jackson, usunął go bez żadnych skrupułów. Ponieważ za dużo wiedziała Gertie Lovejoy, pozbył się również i jej. Zgarnął złoto i uciekł. Miał dwie drogi: przez granicę alaskańską na zachód lub w górę Jukonu – na południe. Droga pierwsza nie wchodziła w rachubę. Nikt, nawet z najlepszym zaprzęgiem nie był w stanie iść przeciw północno-zachodniej burzy. Wiejący w twarz Ke-e-wa-tin zabijał każdego. Dowson nie wyglądał na samobójcę. Poszedł więc na południe, a raczej na południowy zachód – z wiatrem. Mógł wtedy iść szybko. Ale nie mógł zbyt oddalać się od rzeki i od obozów poszukiwaczy. Gdyby to uczynił w dzikim, rozległym kraju, musiałby zginąć. Poszedł więc na pewno wzdłuż rzeki. Musiał liczyć na to, że w ludzkim mrowisku zniknie bez śladu, że nim gdziekolwiek dotrą wieści i gończe listy, że złotym łupem zdoła dostać się do Skagway lub Dyea. Tam Policja Konna nie miała prawa go ścigać.

„Niedoczekanie” – Kingsley zacisnął zęby. Zapiął kurtkę, na głowę naciągnął kaptur, postawił kołnierz, zgrabiało od mrozu ręce wsunął w grube reniferowe rękawice i skierował się powrotną drogą. Szczęście, że nie zainstalował się w forcie. Nie miałby szans na urzeczywistnienie swego planu. Nie puściliby go. A tak mógł zrobić, co chciał. Kwatera główna, jaką rozłożył u Ailie, stwarzała teraz wyjątkową okazję.

Dotarł tam w kilkanaście minut. Nie tracąc czasu spakował podróżny skórzany worek i mocno związał sznurkiem. Najgorzej, że nie miał ani grama żywności. Nie mógł marzyć, że cokolwiek bez niej zwojuje. Rozwiązał ponownie rzemienie i prawie z dna wydobył zniszczony portfel. Miał w nim blisko pięćset dolarów – wszystkie oszczędności z ostatniego roku służby. Podzielił je na połowę. Jedną ukrył ponownie w worku, z drugą wybiegł na ulicę. Gdy wrócił w godzinę później i nieco zasapany wspiał się na pięterko, mógł być z siebie dumny. Kilkanaście puszek grochu z wędzonką, kilka funtów mąki, kawa, herbata, cukier, sól i worek mrożonych ryb powinny wystarczyć mu przynajmniej na dwa tygodnie, jeśli nie na dłużej. Przepakował wszystko jeszcze raz i zdjął z kołka pas z amunicją. W każdej pochewce tkwiły mosiężne lśniące gilzy. Miał więc pięćdziesiąt sztuk naboju do swego ośmiostrzałowego winchestera kalibru 45 z 1876 roku i tyle samo do enfielda kalibru 476, który stanowił wyposażenie policji od 1883 roku. Nie było to co prawda dużo, ale też nie wybierał się na wyprawę przeciwko całej armii. Na strzał do karibu, jelenia czy wilka powinno wystarczyć w zupełności, także na jednego nawet dobrze uzbrojonego bandytę. W razie czego w jakimś obozie poszukiwaczy zawsze mógł odkupić od kogoś przynajmniej parę sztuk.

Pas zapiął starannie pod parką, również drugi z rewolwerem, by nie zawilgły naboje. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął policyjną mapę terenu i notes. Wydarł z niego jedną kartkę i trochę niewprawną ręką napisał:

Wyruszą w pościg za Roddy Dowsonem
sierżant Frank Kingsley
Na odwrocie kartki, adres:
Inspektor David Strickland
Fort Herchmer
(do rąk własnych)

Kartkę położył na środku stołu i przycisnął popielniczką pełną niedopałków. Wiedział, że Ailie zauważy natychmiast i że nie ośmieli się nie przekazać policji. Daty nie wpisywał. Nie chciał, by wiadano, kiedy dokładnie wyruszył w pościg, zwłaszcza wobec tego, co już napisano w gazecie.

Jeszcze raz ogarnął wzrokiem izbę i stwierdziwszy, że niczego nie zapomniał, zabrał obydwie worki, karabin i zszedł do komórki na zapleczu domu, gdzie trzymał psy i sanie. W ciągu kwadransa, mimo powarkiwania wyciąganych z ciepłych legowisk psów, przygotował zaprzęg; bagaż umieścił na sankach, do butów przyczepił długie rakiety śnieżne i ujął w rękę bat. Nim minęło pół godziny, znalazł się za rogatkami miasta, skierował psy na pokrytą lodem rzekę i gnany wiatrem zniknął wkrótce w tumanach zawiei i mroku nadciągającej nocy.

Frank Kingsley, jak większość samotnych mężczyzn, miał parę przywar: lubił zaglądać do kieliszka, chociaż nie zdarzało mu się to tak często. Lubiał młode dziewczęta, ale tu, o tysiące mil od cywilizacji, gdzie dziewczęta można było spotkać prawie wyłącznie w hotelach, saloonach czy po prostu tancbudach, lubili je wszyscy i garnęli się do nich. Każdy starał się mieć jakąś bogdanę. Frank był jeszcze młody i ambitny. Od życia oczekiwał więcej, niż mógł otrzymać. Toteż nie zaspokojone ambicje, młodzieńcze marzenia o karierze i sławie, w chwilach rozluźnienia i słabości spowodowanej najczęściej alkoholem, starał się przekształcić w rzeczywistość. Rozwiązywał mu się język, mówił dużo, wymyślał śmiałe plany, śmielsze niż te, na realizację których pozwoliliby mu przełożeni i przełożonym nie szczędził wtedy słów nawet bardzo gorzkiej krytyki. Właśnie jedna z takich chwil słabości

spowodowała przykre następstwa. Odsunięto go od służby operacyjnej i przeniesiono na posterunek graniczny. Odczuł to jako upokorzenie i niesprawiedliwość losu. Nie skarżył się, ale poczucie krzywdy pozostało. Wiedział, że chociaż wtedy zasłużył na karę, to ta, która go spotkała, była niewspółmierna do winy. Znał siebie lepiej, niż mogli znać go inni. Wiedział, że jest silny i fizycznie sprawny jak mało kto w dywizji. Przy średniej pogodzie bez specjalnego zmęczenia mógł z dobrym zaprzęgiem przebiec swobodnie czterdzieści mil w ciągu dnia. Miał pierwsze miejsce w strzelaniu z karabinu i trzecie w dywizji w strzelaniu z pistoletu. Z dumą nosił na rękawie galowego munduru odznaki wyborowego strzelca w obu tych specjalnościach. Ale w swym mniemaniu miał coś więcej – wdech prawdziwego policyjnego wyzła. Co prawda w ciągu lat służby tropił tylko zwierzynę, ale za to tropił bezbłędnie. Instynktem odnajdywał jej leża i kryjówki, szedł po śladach pozostawionych w powietrzu. Koledzy śmieli się, że gdy Frank Kingsley wybierał się na polowanie, nie musiał zabierać z sobą psa. Niestety, nie zdarzyło mu się do tej pory tropić ludzi. Wierzył jednak, że ma i tę umiejętność, że potrzebna jest tylko okazja. Frank wierzył w siebie. Stanowiło to ogromną zaletę, ale kto wie, czy nie stanowiło też i wady. Świecie wierzył, że w podobnych okolicznościach ludzie postępują podobnie. Że w określonej sytuacji inni postąpią tak, jak postąpiłby on. Wiara taka byłaby oczywiście uzasadniona i logiczna, gdyby wszyscy byli tacy jak Frank Kingsley, gdyby tak samo lub podobnie do niego oceniali sytuację czy jakieś okoliczności lub wydarzenia, gdyby kierowali się tymi co on motywami działania. Ale każdy kierował się własnymi, o czym w swej otwartości, prostoduszności i prostolinijności nie wiedział. Bowiem mimo wszystkich swych zalet był naiwny i łatwowierny; patrzył tylko przed siebie. Gdyby było inaczej, nie dałby się ponieść emocjom. Zauważyłby pewnie wtedy, że w swych przygotowaniach do drogi nie jest sam, że jego kroki śledzą bacznie czyjeś inne oczy, znacznie bardziej spokojne, trzeźwe i zimne niż ów Północny Wiatr. Oczy kogoś, kto miał więcej do stracenia niż sierżant Frank Kingsley, kto grał o stawkę większą – o złoto i o życie i nie mógł pozwolić sobie na żaden fałszywy krok.

Ten ktoś znał sierżanta dobrze, znacznie lepiej niż sam zainteresowany. Znał i domyślał się jego odczuć i reakcji, ale nie ryzykował pomyłki. Kryjąc się w cieniu domów, sam niewidoczny, odprowadził sierżanta aż na skraj osady i dopiero gdy upewnił się, że ten rzeczywiście ruszył w górę rzeki – na południe, sam grzęznąc po kolana w śniegu, przebrnął kilkusetjardowy odcinek drogi, wyprowadził ze starej opuszczonej szopy siedem potężnych, wypoczętych husky i gwizdnął cicho. Z obejścia wysunął się jeszcze jeden czarny olbrzym. Machnięcie ręki i psy poszły jak po sznurku prosto... na wschód. I widać było, że niezbyt przeszkadza im zacinający z boku wiatr i srożąca się coraz bardziej zadymka.

Rozdział XIV

Do czego prowadzi głód

Tragiczna, tajemnicza śmierć Monty Burnsa i zamach na życie Randal Oatesa wstrząsnęły mieszkańcami obozu nad Wild Creek, lecz nie spowodowały poważniejszych zmian w zajęciach jego niewielkiej społeczności. Podjęta przez kaprała Patersona próba rozwikłania zagadki i prowadzone w promieniu kilkudziesięciu mil od obozu poszukiwania zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Nowych śladów nie ujawniono, a dotychczasowe przykrył śnieg. W najbliższym, odległym o trzydzieści mil obozie nad Beaver's Fall nie udało się również wyjaśnić niczego. Do obozu nie przybył nikt nowy, nikogo nie spotkano w okolicy. Nikt w tym samym czasie nie przywoził żadnych towarów.

Podejmowane przez Patersona i jego pomocnika, konstabla Barnes, próby ustalenia miejsca, gdzie Burns rzeczywiście zaopatrywał się w towary i alkohol, zakończyły się również niepowodzeniem, tym bardziej że Dolly z całym przekonaniem twierdziła, że mąż za każdym razem wszystko sprowadzał z Dawson. Nikt w to nie wierzył, pewno sama nie wierzyła również, ale uparcie obstawała przy swoim, co niestety nie ułatwiała śledztwa.

Ostateczny kres całej sprawie położyła kolejna tej zimy burza śnieżna, która przez przeszło dziesięć dni zatrzymywała mężczyzn na miejscu. I być może właśnie owe dni uświadomiły wszystkim, na jak kruchych podstawach opiera się życie mieszkańców. Najpierw skończyły się mąka i cukier; zaczęło brakować grochu, herbaty i soli; w przerażającym tempie poczęły kurczyć się zapasy mięsa zdobytego przez Oatesa. Coraz trudniej było o tłuszcz, a zupa, jaką po dolarze za talerz wydawała Dolly, bardziej przypominała zabarwioną wodę o nieokreślonym smaku i zapachu, niż to co ośmielono by się podać w najpodlejszej garkuchni w Dawson czy Klondike. Jednak narzekania na tym tle pani Burns przecięła szybko i skutecznie, oświadczając, że jeśli komuś nie odpowiada u niej kuchnia, może sobie prowadzić własną, gdyż nikt nikogo do jedzenia w szynku nie zmusza. Rada była właściwa, tyle tylko że dla większości nie do przyjęcia, jako że większość ta nie posiadała żadnych zapasów lub co najwyżej dalece już niewystarczające. Wolą ją więc zachować na czasy jeszcze gorsze. Nikt nie łudził się, że nie nadejdą. Zwiastowały to pewne znaki nie pozostawiające wątpliwości, że nadciąga głód. Jego zapowiedź czuło się w gęstniejącej, coraz bardziej napiętej atmosferze obozowego życia. Rzadko dawały się słyszeć żarty i śmiechy, posępniały twarze, zniknęła gdzieś wzajemna życzliwość, coraz częściej zwykła różnica zdań kończyła się sprzeczką czy kłótnią. Zaczęło dochodzić do poważnych awantur i to bez usprawiedliwiającej je przyczyny. Symptomatyczna przemiana dokonała się przy stolikach do gry. Dotychczas w kości czy pokera grywano na pieniądze, których częstym ekwiwalentem był złoty piasek lub nuggety. Od pewnego jednak czasu, przynajmniej wśród niektórych graczy pojawił się zupełnie nowy pieniądz: puszka fasoli, groch z wędzonką, cukier, herbata, mąka czy porcja surowego mięsa, przy czym nikt nie dochodził, czy jest to mięso rena, łosia lub królika, czy na przykład zwykłego wilka. Każde miało tę samą cenę i taką samą wartość. I kto wie, czy o mięso nie grano najbardziej zawzięcie. Wszak wygrywający z funtowego kawałka mógł przyrządzić sobie trzy lub cztery przyzwoite obiady, tak że przynajmniej na kilka dni pozbywał się głodowych skurczów w żołądku. Groziły temu, który przegrywał. Tym sposobem gra, każde rozdanie kart lub rzut kości coraz częściej poczęły nabierać posmaku hazardu o coś więcej niż

o określoną wartość wymierną w pieniądzach. Stopniowo przekształcały się w hazard o życie. I im było mniej żywności, tym każda gra stawała się bardziej zawzięta i bardziej niebezpieczna. Poczęły mnożyć się przypadki gry nieuczciwej, próby zwyczajnych, łatwo odkrywanych karcianych oszustw, niegodzenia się z przegraną. Kończyły się zwykle awanturą.

Początkowo Dolly, rozumiejąc sytuację, tolerowała to. W miarę jednak jak konflikty zaostrzały się, gdy przestały wystarczać pięści i poczęto, dla dochodzenia swych racji, sięgać po barowe stołki i ławy, gdy ten i ów nie wytrzymał i chwycił za nóż lub rewolwer, postanowiła skorzystać z pomocy kaprała Patersona.

Ten również rozumiał sytuację oraz to, czym grozi jej zaostrzenie się. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że z kilkudziesięcioma mężczyznami nie poradzi sobie, nawet jeśli kilku z nich zdecydowałoby się mu pomóc. Toteż jako niewykonalny odrzucił radykalny pomysł pozbawienia broni wszystkich czy przynajmniej tych najbardziej zapalczywych. Zrezygnował z zakazu uprawiania gry. Wiedział, że nie mają żadnych innych zajęć i taki zakaz uznaliby za ograniczanie osobistych praw i wolności. Nie zgodziliby się, a ponieważ nie miał siły, by ich zmusić, kto wie, czym taki niewykonalny rozkaz mógł zakończyć się dla autorytetu władzy i prawa. Nie mógł jednak pozwalać, by w czasie, kiedy emocje brały górę nad rozsądkiem, broń znajdowała się w zasięgu ręki grających. I w tym punkcie nie zamierzał ustępować. Już następnego dnia po tym jak Dolly poprosiła go o pomoc, od samego rana wraz z konstablem Barnesem zajęli stanowiska przy drzwiach prowadzących do baru. Każdego z wchodzących Paterson urzędowym tonem pouczał o obowiązku przyzwoitego zachowania się w barze i na czas pobytu w szynku polecał zostawienie wszelkiej broni u barmana, którego obowiązki od pewnego czasu przejął na siebie – pewno wraz z częścią interesów – Harvey, właściciel składu z towarami. Co prawda, nie obyło się bez szemrań, niektórzy usiłowali protestować, na ogół jednak akcja przebiegała bez większych zakłóceń. Prawdopodobnie jednak zwyciężył głos rozsądku. W ostateczności każdy uświadomił sobie szybko, że może czuć się znacznie bezpieczniej, wiedząc, że nawet przypadkowy, nieoczekiwany przeciwnik nie sięgnie nagle po nóż czy rewolwer. Najbardziej protestował Oates, ale widząc twardą postawę kaprała i jego pomocnika, i on również odpiął pas ze swym trochę już przestarzałym, jednak nadal pozostającym w użyciu sześciostrzałowym adamsem 450 i położył go na ladzie bufetu. Bez większego przekonania protestował także Hood. W końcu i on również oddał swoją broń na przechowanie. Wyraźnie przekonująco na innych wpłynęła postawa Nortona, Spencera i O'Kelly'ego, którzy uprzedzeni widocznie w czym rzecz, nie czekając na słowa Patersona, sami jeszcze przed wejściem do izby zdjęli pasy z bronią, a Norton pozwolił sobie nawet na dyskretne przymrużenie oka, co Paterson skwitował równie domyślnym uśmiechem.

Podobne operacje obydwaj posterunkowi prowadzili w ciągu następnych dni, aż osiągnęli zamierzony skutek. Bywalcy szynku przyzwyczaili się do nowej sytuacji i już bez przypominania stosowali się do nowych rygorów, wprowadzonych przez miejscową władzę.

W ciągu tych dni zdarzyło się znacznie mniej sprzeczek i kłótni, nie wynikła żadna poważniejsza bójka. Nie zmieniło to jednak ogólnej sytuacji w obozie ani atmosfery, ani wreszcie napięcia i wzajemnych narosłych w ostatnim czasie animozji i utajonych konfliktów między ludźmi. Co gorsza, w namacalny sposób dał o sobie znać odwieczny instynkt życia i walki o przetrwanie, nawet jeśli to przetrwanie miało dokonać się kosztem słabszych, nieświadomych rzeczywistego zagrożenia, nie mających dostatecznej wiedzy o tym dzikim kraju i prawdziwej naturze jego czasowych przybyszów ciągnących tu z różnych zakątków świata.

Oto następnego dnia po tym jak Paterson i jego pomocnik opuścili obóz i powrócili na swój odległy o kilka mil posterunek, wydarzyło się coś, co uświadomiło wszystkim rzeczywiste narastające zagrożenie.

Z samego rana zjawił się w szynku Ewans z workiem wędzonego mięsa, które poprzedniego tygodnia zamówiła Dolly. Mięso nie stanowiło nowej zdobyczy myśliwskiej. Stary, przezorny traper, mający w pamięci niejedną zimę spędzoną na tych północnych obszarach, gromadził zapasy już od wczesnej jesieni. Podczas gdy inni zajmowali się poszukiwaniem złota, on urządzał myśliwskie wyprawy i nie gardził żadną zdobyczą. Kilka upolowanych łosi, jeleni i karibu zasolił w beczkach i ukrył w sobie tylko znanych miejscach. Część mięsa uwędził. Mniej więcej od Bożego Narodzenia właściwie on był stałym dostawcą tego produktu do obozu i do szynku. W miarę kurczenia się zapasów kazał sobie płacić coraz więcej, ale mięso, a jak twierdzili wtajemniczeni – nie tylko – przywoził przeciętnie co dziesięć dni, dwa tygodnie.

Zjawiwszy się tego dnia wspomniął, że gdzieś w połowie drogi zauważył świeże ślady łoszy z wyrośniętym już cielakiem. Wiadomość zelektryzowała słuchających, jednak wszyscy zdawali sobie sprawę, że szansa upolowania wędrujących zwierząt istniała tylko przy zamknięciu ich w kotle. Pójście po śladach nie rokowało najmniejszego powodzenia. Według Ewansa łosie kierowały się w stronę świerkowych ostępów położonych o kilkanaście mil na południe od obozu. O fakcie tym bezzwłocznie powiadomiono innych mężczyzn i nim minęła godzina, myśliwych zebrało się ponad sześćdziesięciu – właściwie wszyscy, którzy czuli się na siłach, by podołać trudom wyprawy. A wyprawa była trudna ze względu na osłabienie ludzi stałym niedojadaniem. Była uciążliwa z uwagi na głęboki, miękki śnieg. Dodatkowo Ewans radził, by ramiona kotła rozciągnąć początkowo możliwie szeroko i dopiero po zamknięciu skrzydeł, za przypuszczalną ostoją zwierząt, szybko zacieśniać koło. Przestrzegał, by przed zamknięciem kotła nie używać broni palnej. Łosie miały znakomity słuch i cudowny wprost instynkt i każdy przedwczesny strzał mógł kazać im uciekać z zagrożonego obszaru. Wtedy na panewce spaliłaby cała wyprawa. Ale nawet mimo zachowania najdalej posuniętej ostrożności nie był pewien powodzenia. Od kilku godzin prószył rzadki wilgotny śnieg, jednak ciągnące coraz niżej z południa ciemne gęste chmury nieomylnie zapowiadały dalsze pogorszenie się pogody. Zdawali sobie z tego sprawę i inni, ale perspektywa zdobycia kilkuset funtów mięsa stanowiła pokusę nie do odparcia.

Nie tracąc więc czasu, szybko podzielili się na trzy grupy: pierwsza miała stanowić prawe skrzydło sieci, druga – lewe; zadaniem trzeciej było pędzenie zwierząt od miejsca, w którym Ewans zauważył ich ślady. Dwie pierwsze grupy ruszyły natychmiast; ostatnia miała wyruszyć w trzy godziny później, gdy będzie już pewność, że obydwie skrzydła zamknęły się za miejscem przypuszczalnego pobytu łosi.

Niektórzy mieli cichą nadzieję, że wewnątrz objętego oblawał terenu znajdzie się więcej zwierząt.

Gdy trzecia grupa wyruszała z szynku, śnieg sypał już gęsto. Mimo to poszli wszyscy, nawet Harvey, który tego dnia nie czuł się najlepiej z powodu reumatycznych bólów w stawach barkowych.

Mijały godziny, śnieg sypał coraz gęściej. Na szczęście nie było wiatru i temperatura utrzymywała się zaledwie na poziomie kilkunastu stopni poniżej zera. Bart Ewans odpocząwszy nieco, wraz z ostatnią grupą myśliwych wybrał się w powrotną drogę do swej chaty, kilku starszych mężczyzn złożonych niemocą pozostawało w swych barakach.

Dolly i Babs posprzątawszy szynk zabrały się za gotowanie zupy – w dwu dużych kotłach. Wiedziały, że myśliwi, którzy ściągają z polowania najpewniej późnym wieczorem, będą głodni.

Janet Wharton widziała wyjście myśliwych z obozu. Nie musiała nikogo pytać, by domyślić się, czemu wychodzą. Zawsze wyruszali, gdy ktokolwiek przynosił wieści o pojawieniu się w pobliżu jakiegokolwiek zwierzęcia. I tym razem musiało być podobnie. Gdy koło południa niosła ze swego składziku drewno, widziała także ostatnią grupę. Odprowadziwszy ich trochę smutnym wzrokiem, wróciła do izby i zajrzała do komórki, gdzie

przechowywała mięso otrzymane kiedyś od Ewansa. Jego ilość, mimo iż starała się gospodarować oszczędnie, zmniejszała się z tygodnia na tydzień. Gorzej, bo zmniejszały się, a właściwie znikwały prawie niepostrzeżenie także inne jej spożywcze skarby. Oczywiście, wszyscy odczuwali skutki braku dostatecznej ilości pożywienia, ale znajdowali się w innej niż ona sytuacji. Niektórzy mieli jeszcze pieniądze, inni mogli upolować coś od czasu do czasu. Ale to byli mężczyźni. Coraz częściej żałowała, że jest dziewczyną. Nie dlatego, by czuła się od nich słabsza fizycznie. Nie. Było jednak coś, jakieś niepisane prawo, zwyczaj, coś co kobietę czy dziewczynę niejako z góry stawiało w sytuacji gorszej niż mężczyzn. Chociażby dzisiejszy wypadek. Fizycznie czuła się na siłach, by sprostać trudom polowania. Miała dobry karabin i potrafiła się nim posługiwać. Gdyby poszła z innymi, miałaby takie samo prawo do udziału w zdobyczy, co każdy z nich. Nie odważyła się jednak. Wiedziała, że wyśmialiby ją i nie zabrali z sobą.

Westchnęła ciężko, dorzuciła parę szczap do ognia i zabrała się po raz kolejny za naprawę kozucha. Mimo że dbała o niego jak mogła najlepiej, robiło się w nim coraz więcej dziur i pęknięć i coraz częściej musiała cerować lub naszywać nowe łaty. Pewno, przydałyby się przynajmniej ze dwie dobrze wyprawione skóry reniferowe. Wtedy mogłaby uszyć sobie nowy. Ale skór reniferowych w obozie nie było. Ten, kto miał szczęście i ustrzelił karibu, zabierał skórę dla siebie. Prawdopodobnie mogłaby poprosić Ewansa. Musiał mieć przynajmniej kilka sztuk, jednak coś powstrzymywało ją od tego. Stary myśliwy zachodził do niej czasem przy okazji odwiedzania obozu, zawsze pytał, czy jej czegoś nie brakuje, oferował pomoc. Któregoś dnia zaproponował jej nawet pieniężną pożyczkę, a gdy odmówiła, próbował znów namówić ją do sprzedaży karabinu lub przynajmniej kilku paczek amunicji. Łatwo domyśliła się, że amunicja miała stanowić pretekst do dania jej pieniędzy, zwłaszcza że traper sam zaproponował bardzo wysoką cenę dwu dolarów za każdy nabój. Takie same naboje mógł kupić u Harveya po dolarze za sztukę. Wiedziała to przypadkowo, gdyż kilka dni wcześniej była świadkiem zakupu paczki amunicji przez Rawlinsa. Harvey wprawdzie mówił, że jego zapasy kończą się i radził oszczędzać naboje, ale jednocześnie stwierdził, że jeśli nie uda mu się sprowadzić z Dawson, to tego co ma, wystarczy mu najwyżej na miesiąc. Nie tak dawno też słyszała od Babs, że pani Burns wyklócała się z Ewansem o cenę mięsa. Babs twierdziła, że myśliwy żądał już po dziesięć dolarów za funt.

Gdy Janet skojarzyła sobie te fakty, gdy raz i drugi spostrzegła, że Barta Ewansa łączą dobre stosunki z Nortonem, zaczęła domyślać się prawdy. To właśnie Jerry starał się jej pomóc. Ponieważ musiał domyślać się, że jego pomoc znacznie trudniej byłoby jej przyjąć, wyręczał się starym myśliwym, którego nikt nie mógł posądzać o nieuczciwe zamiary względem młodej dziewczyny.

Wiedziała, że Jerry był dżentelmenem, że nawet przy kartach zachowywał się kulturalniej niż inni, chociaż wcale od innych nie był mniej męski. Nie posądzała go jednak początkowo, że może aż tak troszczyć się o jej opinię. Od pamiętnej bójki z Oatesem zaczął ją odwiedzać. Co prawda rzadko, wpadał jednak od czasu do czasu. Nie zjawiał się jednak nigdy sam i nigdy wieczorem. Zabierał z sobą najczęściej Bena Spencera, czasami Hooda, a ostatnio coraz częściej Duncana O'Kelly.

Lubiła te wizyty. Nie czuła się tak samotna jak na początku zimy. Robiła wtedy herbatę, siadała w pobliżu piecyka i najczęściej słuchała. Mówili przeważnie oni: opowiadali różne historie z życia dalekiego zachodu i północy, snuli opowieści o pierwszych poszukiwaczach złota nad rzeką Frasera i na Polach Karibu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, o różnych awanturnikach i obieżyświatach, o takich, do których uśmiechnął się los oraz takich, którzy nie mieli szczęścia. Snuli opowieści o przygodach myśliwskich, spotkaniach z Indianami, czasem o wydarzeniach zabawnych, innym razem o tragicznych. Każdy z nich długo przebywał w północno-zachodnich rejonach kraju i słyszał oraz zapamiętał niejedno. Co było charakterystyczne – rzadko i raczej powściągliwie mówili o sobie.

Janet rozumiała to. Pamiętała wydarzenie, kiedy Norton omal nie zgubił swego metalowego znaczka. Chociaż nie przyglądała się wtedy dokładnie, była prawie pewna, że to oznaka policyjna. Obecna powściągliwość zarówno Jerry'ego jak i Bena Spencera dawała jej wiele do myślenia. Podobnie zachowanie O'Kelly'ego. I dziwne, jak ci trzej szybko się z sobą zaprzyjaźnili, chociaż również z Kesterem Hoodem. Tyle że on był inny. Kester lubił opowiadać o sobie, o swej pasji i namiętności do gry i czasem gdy mówił, odnosiło się wrażenie, że grał chyba we wszystkich szulerniach na całym Północnym Terytorium. Nie chwalił się, ale też specjalnie nie ukrywał, że czasem musiał pomagać szczęściu, szczególnie wtedy gdy przychodziło mu się mierzyć z zawodowymi graczami. Któregoś dnia pochwalił się nawet, że pewnego razu trzymając bank przeciwko trzem szulerom w „Eldorado” w Dawson, za jednym zamachem zgarnął prawie sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Zaniemówili z wrażenia, ale wierzyli. Wyglądał na hazardzistę. Na pytanie Jerry'ego, co zrobił z taką furą pieniędzy, roześmiał się tylko, po czym przyznał lekko. – Baa..., potem kolejno oni trzymali bank. W pół godziny w kieszeni zostało mi parę centów. – Janet, słysząc to, aż spociła się z wrażenia. – Nie mógł pan po wygranej odejść od stolika? – spytała naiwnie. – Wzruszył ramionami i zrobił jej wykład na temat kodeksu honorowego karciarzy. Wynikało z niego, że tamci trzej mieli prawo odegrać się i gdyby nie dał im tej szansy lub zaniżał stawki, nie grał, jak to się mówi „na całego”, mogłby mieć poważne kłopoty. Zastrzegł się też od razu, że tutaj, nad Wild Creek nie pomaga szczęściu i dodał zaraz z udanym żalem, że nie może przecież ogrywać biedaków, i że woli poczekać, aż się trochę wzbogacą. Nie była pewna, czy Norton i O'Kelly uwierzyli mu wtedy, ale nawet jeśli było inaczej, nie dali tego po sobie poznać.

Podczas jednej z takich wizyt, kierowana zapewne jakimś nie wyjaśnionym impulsem, opowiedziała im o swoich losach, a właściwie o losach swoich i Nanty'ego. Byli rodzeństwem. Od dzieciństwa wychowywali się w północnych rejonach Brytyjskiej Kolumbii u ujścia Sahtaneh do Fort Nelson River, nie opodal starego Fortu Nelson wzniesionego przed laty przez Hudson Bay Company, a może przez Nor'Westersów na styku łowieckich terenów Slave, Beaver, Sekani i Wschodnich Nahani zwanych tam popularnie Kaska. Ojciec prowadził niewielką faktorię kupiecką. Handlował z okolicznymi Indianami, skupując od nich futra, a także rogi łosi i jeleni. dzielnie pomagała mu matka. Chociaż ojciec nie zarabiał wiele, wystarczało im na skromne życie, także na to, by kiedy dzieci trochę podrosły, posłać je do szkoły w Vancouverze. Przebywały tam cztery lata.

Pewnej wiosny od ojca nadeszła wiadomość o śmierci matki. Obydwoje z bratem musieli przerwać szkołę i wrócić nad Sahtaneh. Było to smutne spotkanie. W domu dowiedzieli się, że matka zachorowała w początkach zimy. Przeziębła się, nie zwracała jednak na to większej uwagi. Była zahartowana i sądziła, że przeziębienie minie. Po jakimś jednak czasie, gdy zaczęła wyraźnie słabnąć, ojciec wezwał szamana z pobliskiego, zaprzyjaźnionego z nimi od dawna plemienia Nahani. Czarownik zbadał chorą i przygotował dla niej jakieś leki. Przed kupcem nie ukrywał jednak prawdy. Nie było to przeziębienie. Chora miała odmrożone płuca. To co mógł uczynić, to jedynie ulżyć jej cierpieniom. Zmarła pod koniec stycznia, jednak wiadomość, z uwagi na odcięcie faktorii od świata w ciągu całej zimy, ojciec mógł wysłać do Vancouveru dopiero w początkach kwietnia.

Janet musiała zająć się domem. Nanty pomagał ojcu. Szło mu tym łatwiej, że wychował się wśród okolicznych Indian. Wśród indiańskich rówieśników miał wielu przyjaciół z dzieciństwa i z okresu, gdy na wakacje przyjeżdżali do faktorii. Znał dobrze okoliczne tereny, niezliczone strumienie i jeziora, otaczające faktorię lasy, pobliskie Wzgórza Topolowe leżące na zachód od Fort Nelson River, ale i położone dalej u podnóża Gór Skalistych, na stokach których wspólnie z ojcem częstokroć odwiedzali obozy Sekani i Kaska. Czasami, głównie latem, zabierali ją z sobą. Nauczyła się wtedy zakładania wieczornego obozowiska, wiosłowania i kierowania przez bystrzyny lekkim, wywrotnym kanoe. Ojciec nauczył ją

obchodzenia się z bronią. Było to konieczne, gdyż często podczas zimy pozostawała w domu sama, przez kilka czy nawet kilkanaście dni. Wprawdzie nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo ani ze strony białych, ani ze strony Indian, jednak bywały okresy, kiedy na terenach przyległych do faktorii pokazywały się masowo wilki. Czasem w dolinę schodziły niedźwiedzie. Ojciec chciał, by jego córka w razie potrzeby potrafiła się bronić. Dzięki temu szybko nauczyła się strzelać.

Przewyższał ją na pewno pod tym względem brat, ale on od dzieciństwa przejawiał myśliwską żylkę i zamiłowanie do broni. Przejawiał też prawdziwe zamiłowanie do włóczęgi. Towarzyszył ojcu we wszystkich podróżach kupieckich. Dziesiątki razy, nawet podczas najgorszej zimowej pogody odwiedzał odległe indiańskie obozy, a także wigwamy pojedynczych indiańskich rodzin rozsiane po całym terenie wokół faktorii. W czasie wolniejszym, w kanoe lub z plecakiem, wypuszczał się samotnie na dalekie myśliwskie wyprawy. Zimą stawiał sidła i potrzaski i musiał być nie najgorszym myśliwym, skoro już w pierwszym roku pracy z ojcem za zdobyte własną ręką i samodzielnie wyprawione futra kompania wypłaciła mu ponad tysiąc pięćset dolarów. A miał wtedy zaledwie szesnaście lat. Z czasem stał się dla ojca ogromną pomocą i wyрекą. Powodziło im się coraz lepiej i pewno zostaliby tam do dzisiaj, gdyby nie tragiczna śmierć ojca.

Wspomnienie wydarzeń z nią związanych musiało bardzo poruszyć dziewczynę, bo załamał się jej głos, w oczach stanęły łzy, łkanie nie pozwoliło mówić dalej. Słuchający tego dnia opowieści dziewczyny Norton, O'Kelly i Kester Hood, chociaż wyraźnie zaintrygowani stwierdzeniem, że była to tragiczna śmierć, nie pytali o szczegóły. Rozumieli, że dla Janet była to wciąż tragedia świeża i żywa.

Wspominając teraz ich powściągliwość, dyskretne zachowanie owego popołudnia, poczuła przypływ jakiegoś wewnętrznego ciepła. Byli w porządku. Nawet Kester. Zresztą właśnie on powiedział coś takiego. Zaraz, co to było...? Coś ładnego... Odłożyła pocerowany nie wiadomo kiedy kozuch i potarła czoło, usiłując przypomnieć sobie to coś, gdy spostrzegła, że w izbie robi się szaro. „Prawda – pomyślała – zmierzch następował szybko, a gęsta śnieżycą mimo wczesnej pory przyspieszyła go dzisiaj jeszcze bardziej”.

Rozejrzała się niepewnie po izbie, z nadzieją, że może wypatrzy gdzieś jakiś zapomniany kawałek świecy, ale w końcu opuściła smutno głowę. Świecy nie miała od paru tygodni. Czasami używała lampy, ale zapas łożu, jaki pieczołowicie zeskrobała z ostatnich już kawałków mięsa otrzymanego kiedyś od Ewansa, i przetopiła, kończył się również. Resztkę trzymała w lampie na wszelki wypadek. Kiedyś mógł się okazać bardzo potrzebny. Trudno było przewidzieć. Woląла go nie ruszać. Zresztą właściwie po co. Jak do tej pory wystarczające na długie zimowe wieczory okazywało się światło z ognia utrzymywanego w piecyku. Wystarczyło otworzyć drzwiczki. Zresztą musiała to zrobić. Grube bierwiona wrzucone na ogień już dość dawno poczęły dogasać. Chcąc nie chcąc zsunęła się z pryczy i położyła kilka większych szczap na ruszta.

Ledwie zdołała to uczynić, gdy na zewnątrz posłyszala szybki tupot nóg; w chwilę później w drzwiach stanęła zdyszana i przestraszona Babs.

– Chodź prędko, Jess – wykrzyknęła. – Coś niedobrego stało się z panią Harvey!

– Z Aggie? Co ty mówisz? Zachorowała?

– Nnie wiem! – głos Babs dygotał niepokojąco. – Pani Burns posłała mnie po groch i sól. Gdy przyszedłam, drzwi były otwarte na oścież, a z drugiej izby dochodził jakiś rumor i zdaje się, że ktoś wołał: na pomoc, albo coś takiego. Przestraszyłam się i uciekłam. Męża pani Harvey nie ma. Może to bandyci...? Chodź szybko!

Janet błyskawicznie naciągnęła buty i kozuch. Chwilę wahala się, w końcu zdecydowanym ruchem sięgnęła po pistolet.

Potykając się co chwila biegly przez zaspy głębokiego śniegu. Padało cały czas i widoczność przy zapadającym zmroku nie przekraczała kilkudziesięciu jardów.

Minęły zwartą grupę baraków, szynk, kilka pojedynczych chat. Solidny, zbudowany z grubych okrągłaków dom Harveyów wznosił się na niewielkiej wyniosłości po drugiej stronie strumienia w pobliżu szlaku na Black Water Creek na skraju lasu ciągnącego się kilkanaście mil w kierunku północno-zachodnim. Najbliższa chata braci Gerrick, oddalona o dobre dwieście kroków, była właściwie ostatnim domem przylegającym do osady.

Babs przezornie trzymała się z tyłu. Jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków i zza śnieżnej zasłony wyłoniła się ciemniejsza smuga drzew, a w chwilę później zarysy domu. Janet zwolniła nieco. Oddychała szybko. Mocno ujęła kolbę rewolweru i rozglądając się pilnie ruszyła w kierunku otwartych na oścież drzwi. Wokół panowała cisza i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek czał się w pobliżu. Z bronią gotową do strzału przekroczyła próg i przystanęła wstrzymując oddech. Na ramieniu czuła drżącą rękę Babs i słyszała jej przytłumiony, zdyszany jeszcze oddech. W półmroku izby nic się jednak nie czaiło. Omal nie potknęła się o wywrócony tuż przy drzwiach stółek. Ominęła go i stąpając na palcach podsunęła się pod drzwi prowadzące do sąsiedniej izby. Przyłożyła ucho do szpary i wstrzymała oddech. Za drzwiami coś się działo. Jakieś niewyraźne szmery, jakby szuranie, jęki, czyjś zduszony niewyraźny głos.

Poczuła przyspieszone bicie serca i nieprzyjemny dreszcz. Ścisnęła poczynające szczekać zęby. Tam za ścianą działo się coś niedobrego. „Może bandyci” – przemknęło jej przez myśl. W takim razie...

Janet Wharton nie należała do dziewczyn lękliwych. Lata życia na faktorii zahartowały ją i nauczyły zachowywać przytomność umysłu w sytuacjach trudnych. Toteż tylko jeszcze mocniej ścisnęła zęby. Wymownym gestem głowy nakazała Babs usunąć się sprzed drzwi. Cicho odwiodła kurek rewolweru i położyła rękę na klamce. Naciskała ostrożnie, by przypadkowo nie zgrzytnął zamek. Jeszcze chwila i w drzwiach pojawiła się szpara. Popychała wolno cal za całem. Ręka trzymająca pewnie broń wysunęła się zdecydowanie do przodu.

Janet pchnęła gwałtownie drzwi i krzyknęła rozkazująco:

– Rzucić broń! Nie ruszać się, bo strzelam!

Góra szmat przypominających wielki, pękaty wór spoczywająca na podłodze poruszyła się i przytoczyła pod jej nogi. Jednocześnie wydobył się spod nich zduszony, niewyraźny jęk. Poza ową górą i poza potwornym bałaganem w izbie było pusto.

Przypadła do ziemi i poczęła gorączkowo zrywać szmaty, koce, kożuchy, w które szczelnie związana była leżąca na podłodze postać. – Chodź Babs, prędko! Pomóż – rzuciła w stronę drzwi.

We dwie szybko uporały się z długim rzemieniem i mocno związanymi sznurami. Jeszcze tylko knebel – kawał brudnej szmaty ściskającej usta i nos – i ze stosu poczęła gramolić się niezdarnie właścicielka domu. W rozwarte usta łapczywie łapała powietrze. Dyszała przy tym ciężko; w końcu zaniósł się chrapliwym kaszlem.

– Uff, w samą porę. O mało nie zadławiłam się na śmierć – wykrztusiła pani Harvey, podnosząc się z podłogi przy pomocy obydwu dziewcząt. Półprzytomnym wzrokiem powiodła po zdemolowanych sprzętach, rozbebeszonych skrzyniach i szafach. – A to zbóje – załkała. – Bandyci, złodzieje, mordercy – łkała coraz głośniejszym głosem, na końcu rzuciła się na szerokie małżeńskie łóżko i rozplakała na dobre.

Janet nie próbowała jej uspokajać. Chwilę patrzyła na izbę wyglądającą jak po walce dzikich zwierząt lub przejściu huraganu, bez słowa wróciła do pierwszej izby, zamknęła drzwi wejściowe, rozpałała lampę, postawiła ją na jednej nie zerwanej ze ścian półce i dopiero wtedy przyklękła przy płaczącej.

– Już w porządku, Aggie – powiedziała opanowanym głosem. – Uspokój się. Przestań płakać. Chyba nie skrzywdzili cię?

– Nie skrzywdzili? – Płacząca niewiasta uniosła głowę i rękawem otarła łzy. – Popatrz, co narobili. I... zabrali pewnie wszystko – rozszlochała się ponownie.

– Przestań płakać, Aggie. Najważniejsze, że jesteś cała a chatę doprowadzimy zaraz do porządku. Powiedz, co tu się stało? – przysiadła obok i objęła płaczącą ramieniem. – Kto tu był i czego chciał od ciebie?

– Bóg raczy wiedzieć, kto, Janet – uspokajała się z wolna. – A czego chcieli? Rabować. Przyszli na rabunek, wiadomo.

– Widziałaś ich? Ilu ich było? Ktoś z tutejszych?

– Nie mam pojęcia – ponownie otarła łzy. – Wychodziłam właśnie z tej izby, gdy jakiś zamaskowany drab chwycił mnie za gardło i powalił na podłogę. Pomagało mu jeszcze dwóch. Gęby też mieli zasłonięte. Dostali się do kuchni i tam czatowali. A potem jeden przyłożył mi nóż do gardła i powiedział, że jeśli chociaż pisnę... Związali mnie migiem, zakneblowali jak prosię i owinęli w te szmaty. Płądrowali przynajmniej z pół godziny albo i więcej. Pewnie zabrali wszystko. —Zdecydowanie podniosła się, wzięła lampę i poszła przodem do sklepowego magazynu, do którego wchodziło się z pierwszej izby.

Kilka półek, na których Janet za ostatnim pobytem widziała różne artykuły spożywcze, świeciło pustkami. Zniknęła mąka i fasola, puszki z grochem i mięsem, mąka, cukier i sól. Z haków, z których poprzednio zwieszały się połcie wędzonej dziczyzny, smętnie zwisały teraz kawałki przeciętego sznurka.

Na widok spustoszenia żona Harveya ponownie wybuchnęła płaczem. Prawdziwy jednak szok przeżyła dopiero po wejściu do ostatniego pomieszczenia domu stanowiącego, jak łatwo się było domyśleć, małżeńską sypialnię. Porozrzucana pościel, ściągnięte z łóżek i poprute sienniki, z których wyciągnięto całą wypełniającą je trzcinową słomę oraz otwarty głęboki kufer musiały powiedzieć jej straszną prawdę, bo padła na kolana i zaniosła się niemal histerycznym szlochem.

Janet i Babs spojrzały na siebie wymownie. Domyśliły się, że właśnie tu Harveyowie przechowywali pieniądze, a pewno i złoto, które musiały stać się łupem złodziei.

Janet sama nigdy nie miała dużo pieniędzy, ostatnimi czasy nawet bardzo mało lub wcale. Cierpiała z tego powodu, ale dotąd na pewno nie zdawała sobie sprawy z tego, co to znaczy mieć dużo pieniędzy i co to znaczy je stracić. Teraz patrząc na łkającą na podłodze kobietę, zaczęła rozumieć. Nic jednak nie powiedziała. Zapaliła drugą lampę i wycofała się do kuchni. Zdjęła z siebie kozuch i rozpałała ogień, a następnie zabrała się za sprzątanie mieszkania. Wkrótce dołączyła do niej Babs.

Nie rozmawiały. Najpierw ustawiły sprzęty w kuchni, następnie zabrały się za kolejne izby. W pół godziny później pojawiła się Harveyowa, ale również nic nie mówiła. Miała zaczerwienione powieki i pochlipywała jeszcze od czasu do czasu, siakając przy tym nosem.

Gdy z grubsza uładziły mieszkanie, nastawiła czajnik i zagotowała herbatę. Milczała jeszcze jakiś czas, wreszcie powiedziała jakby bez związku:

– To głód!

– Głód? Jesteś głodna? – spytała Janet nie bardzo widać rozumiejąc.

– Nie, dziecko, nie jestem głodna. Chciałam tylko powiedzieć, że zaczął się prawdziwy głód. To właśnie on popchnął tych ludzi do kradzieży. Tamto – wskazała w stronę sypialni – zabrali przy okazji. Głównie chodziło im o żywność. Idą ciężkie czasy i niewielu doczeka do wiosny.

– Nie mów tak, Aggie! To nie tylko głód. To niedobrzy ludzie. Jeśli byli głodni, mogli wziąć trochę. Nie musieli zabierać wszystkiego. Zresztą jak wrócą mężczyźni, pójdą w pogoń. Złapią ich – powiedziała pocieszając Janet. – Przy takim śniegu nie mogli ujść daleko. Jutro zjawi się na pewno kapral Paterson. Zna okolicę. Dostaną złodziei i odzyskasz swoją własność.

– Nie, Janet, nie złapią. Śnieg już zawiął ślady. Jutro nikt ich nie odszuka. Zresztą skąd pewność, że to ktoś z daleka? Może nigdzie nie musieli uciekać.

Janet szeroko otworzyła oczy, a Babs aż podskoczyła na stołku.

– Myślisz, że to ktoś z miejscowych? – nie wytrzymała.

– Nie wiem, Babs. Nie chcę nikogo posądzać, ale oni byli bez psów.

– Bez psów? Skąd wiesz? – tym razem nie wytrzymała Janet.

– Gdyby mieli psy, usłyszałabym. Chociaż może zostawili je gdzieś dalej – przyznała z rezygnacją. – Wydaje mi się jednak, że to ktoś z miejscowych. Poza tym, że jeden groził mi, nie odzywali się w ogóle. I po co obcy mieliby zasłaniać twarze? Widocznie znam ich, a znam tylko tych stąd...

Zamilkła. Milczały również dziewczęta. Zza okna dobiegł szum wiatru. W izbie powiało chłodem.

Rozdział XV

Sprawcy nie zostawiają śladów

O półtorej mili na południowy zachód od obozu nad Wild Creek, na niewielkiej polance położonej pośród gęstego jodłowego boru, z byle jak skleconego szałas wysunął się okryty grubym ciepłym kozuchem mężczyzna i popatrzył na niebo. Śnieg sypał coraz gęściej. Poprzez zaslonę gęstych ciężkich płatów z ledwością mógł dostrzec strzeliste wierzchołki drzew majaczące na tle ołowianego nieba. Przeniósł wzrok na wkopane w śnieg drzemiące potężne husky i raz jeszcze spojrzął na niebo. Nie zanościło się na to, by śnieg przestał padać zbyt prędko. Raczej przeciwnie. Coraz niżej od paru dni idące chmury, wyczuwalna w powietrzu wilgoć i wyraźne ocieplenie wróżyły dłuższy okres opadów.

Mężczyzna cofnął się nieco, zgarnął kilka gałęzi i położył na ognisku. Wprawdzie mokre igliwie wydzielało sporo dymu, ale brak wiatru powodował, że dym unosił się wprost do góry. Nie mógł być ani wyczuwalny, ani dostrzeżony z dalszej odległości. Mieszkaniec szałas nie musiał więc obawiać się, że ktokolwiek niepowołany odkryje jego obecność. Wrócił do szałas, przysiadł na zwiniętej skórce i wpatrzył się w ogień. Nie wiedział, jak długo przyjdzie mu czekać. Zresztą nie wiedział paru rzeczy. Denerwowało go, że nie znał prawdy o tym, co wydarzyło się ostatnio w Dawson.

Parę dni temu, gdy odwiedził obóz nad Beaver's Fall, zupełnie przypadkowo w miejscowej knajpie natrafił na jeden z ostatnich numerów „The Nugget” – pisma, które nie wiadomo jakim cudem dotarło w te odległe strony. Przeglądając je natrafił również na artykuł podpisany przez tajemniczego Strażnika Prawa i ów drugi splodzony zapewne przez jakiegoś stałego pracownika lub współpracownika pisma. Obydwie publikacje przeczytał uważnie, wydarł z gazety i zabrał z sobą.

Nie, oczywiście nie uwierzył we wszystkie powypisywane tam brednie, ale jedna informacja, chociaż nic nie dał po sobie poznać, poruszyła go mocno, ba, zaniepokoiła nawet – passus o niezbyt przyjemnej śmierci Turnera Jacksona. Znał Turnera dość dobrze, baa... łączyły ich pewne związki, szczególnie od jakiegoś czasu, związki nawet bliskie. Nikt nie znał ich charakteru. Istniały jednak, i nie były to związki mające cokolwiek wspólnego z przemysłem czy produkcją bimbru. Jackson nie interesował się tym i nie zajmował. Gadanie o rywalizacji czy walce i sugerowanie porachunków gangsterskich na tym tle było zwykłym bredzeniem piszącego, lub może policji. Nie mogło mieć nic wspólnego z rzeczywistością. I był to pierwszy pewnik. Istniał i drugi: od pewnego czasu Jackson nie dysponował nadmiarem gotówki. Na pewno nie cierpiał na jej brak, ale w porównaniu z innymi mieszkańcami Dawson był biedakiem. Zabójstwo na tle rabunkowym nie wchodziło więc również w rachubę. Motywem nie mogła być zazdrość. Turner od czasu do czasu w swych interesach wykorzystywał Gertie Lovejoy lub jakąś inną dziewczynę, ale nigdy nie przeszkadzał w dobieraniu sobie przez nią adoratorów czy przyjaciół. Żaden więc nie mógł być o niego zazdrosny. I jeszcze jedno: Turner Jackson miał kilku wypróbowanych i oddanych przyjaciół – inaczej mówiąc, stałą pewną ochronę. Gdyby w Dawson groziło mu jakiekolwiek niebezpieczeństwo, chłopaki potrafiliby ochronić go. A jednak zginął, i to nie od kuli czy jednego pchnięcia nożem, które przypadkiem mogły spowodować śmierć. Został zarżnięty świadomie, z zimną krwią, niemal we własnym łóżku. Ktoś, kto tego dokonał, nie

usiłował sprawy załatwić po cichu. Wręcz przeciwnie, działał tak, by dowiedzieli się wszyscy, by stała się wstrząsem i przestrogą, ale czy rzeczywiście dla wszystkich? Nie, nie dla wszystkich; jedynie dla przyjaciół Jacksona. Ich ostrzegał.

Ta niepokojąca wzmianka o jakimś Roddy Dowsonie, dziwnym, tajemniczym przybyszu z..., tak, właśnie skąd? Przybyszu, który, nim pojawił się w mieście, dla siebie tylko znanych powodów aż kilkakrotnie przekraczał alaskańską granicę. Skąd się tam właściwie wziął, i to w środku zimy, i w jakim celu przybył? A może właśnie tylko w tym jednym... Może przybył, by załatwić tylko tę jedną sprawę... Jeden z wilków ze sfory Jeffersona Smitha. Wilk spuszczonego ze smyczy Jeffa ze Skagway. Mydlanego Jeffa. Wydawało się to najbardziej prawdopodobne.

Mężczyzna siedzący teraz w szałasie, zabierając z sobą skrawek gazety opisującej sprawę, nie zamierzał pokazywać go nikomu, nie zamierzał też dzielić się z nikim przeczytanymi rewelacjami, no, może niezupełnie z nikim. Wiedział jednak, że w tym wypadku może liczyć na pełne zrozumienie i dyskrecję. Jeżeli, jak rozumował, była to sprawa Jeffa, a Dowson przychodził z jego wilczej sfory, to wszystko kończyło się na Turnerze Jacksonie. Soapy nie likwidował ludzi na oślep, wystarczało, że od czasu do czasu przypominał im o obowiązku lojalności, i o tym, że dla niełojalnych ma właściwe lekarstwo. A siedzący teraz w szałasie wiedział, że jego o niełojalność Soapy Smith nie posadza. Miał poważne podstawy, by tak myśleć. Ale myślał jeszcze o czymś. Jeśli Jacksona sprzątnął rzeczywiście ów Dowson, to należało się liczyć, że prędzej czy później przyciągnie w te strony. Turner bowiem wiedział, gdzie tkwi klucz do całej sprawy, a tamten nie pozbyłby się go, gdyby tego klucza nie zdobył wcześniej.

Podniósł się ponownie i znów do ogniska dorzucił naręcze gałęzi.

Niezbyt daleko, między rzadszymi drzewami zamajaczyły jakieś niewyraźne cienie. Cofnął się do szałas, bez większego przekonania sięgnął po karabin i odwiódł kurek. Ostrzegawczo warknął któryś z leżących psów.

Mimo że było ich trzech, z widocznym wysiłkiem ciągnęli ciężko wyladowane sanie. Nie musiał nawet pytać. Ładunek wskazywał, że robota poszła dobrze. Podsunął im całe pudełko skręconych w trakcie oczekiwania papierosów. Wzięli po kilka sztuk. Siedząc przy ognisku palili zaciągając się łapczywie. Nic nie mówili. Po kilku minutach jeden z nich wstał, zbliżył się do sań, zdjął niewielki worek i rozwiązał go. Spojrzawszy do środka tymczasowy właściciel szałas gwizdnął z uznaniem. Zawiązał ponownie worek i umocował go na saniach.

Gdy wstali, nie zatrzymywał ich. Zdawał sobie sprawę, że mają niewiele czasu i długą, ciężką drogę przed sobą. Nie zazdrościł im, ale i nie współczuł. On nie miał przed sobą łatwiejszej. Nim odeszli, zasypał śniegiem ognisko. Odczekał jeszcze pół godziny, po czym podniósł psy i nałożył im uprząż. Musiał mocno popychać sanie, nim ruszyły z miejsca. Potem poszło już łatwiej...

Jerry Norton spojrzął na zegarek. Od momentu rozpoczęcia obławy minęło prawie pięć godzin. Ci co poszli w przód, na skrzydłach, musieli zamknąć już kocioł i pewno zaczęli schodzić się do środka. Odrzucił niedopałek papierosa i sięgnął po oparty o drzewo winchester. „Pewno ruszyli już i inni” – pomyślał i skierował się bardziej w prawo. Chociaż śnieg sypał bez przerwy, to jednak osiadał na wyżej położonych gałęziach i na konarach drzew, toteż na dole było cicho i spokojnie, a widoczność między rzadkimi pniami wysokich sosen dochodziła do kilkuset kroków. Na otwartym terenie musiała jednak być znacznie mniejsza. Rozejrzał się wokół, lecz w zasięgu wzroku nie dostrzegł nawet śladu jakiegokolwiek ruchu. Nie dziwił się. Na razie oczka sieci rozciągały się szeroko i zarówno myśliwi z prawej, jak i z lewej musieli znajdować się od niego jeszcze w znacznej odległości. Przerzucił broń przez ramię i pogрузzył się w myślach. A nie były to myśli nazbyt wesołe.

Sytuacja w obozie komplikowała się z każdym dniem. Ludzie chodzili źli i nie ulegało wątpliwości, że w końcu nastąpi jakiś wybuch o skutkach trudnych do przewidzenia. Niepokoiło go zachowanie Oatesa, a właściwie to jego coraz wyraźniej nieprzyjazny stosunek do dziewczyny. Ba, żeby tylko nieprzyjazny. Randal z jakiegoś powodu nie lubił jej. Właściwie od samego początku. Tak, od początku. Stosunek ten nie narodził się więc tutaj nad Wild Creek. Musiało wywołać go coś, co miało miejsce znacznie wcześniej. Wprawdzie Janet zaklinała się, że Drwała pierwszy raz w życiu spotkała dopiero tutaj, ale może myliła się. Zresztą może nie ona jego. Może to właśnie on spotkał ją już kiedyś i w okolicznościach, które wzbudziły tę niechęć. Może coś o niej wiedział, może zetknął się z jej bratem lub ojcem, i któryś z nich był właśnie przyczyną. Randal był mściwy. Jeśli zaszkodził mu za skórę, mógł pamiętać długo i długo hodować niechęć, a zdolny był do czynów nieobliczalnych. Właściwie nie tak wiele było o nim wiadomo. Sam twierdził, że dłuższy czas, właściwie zawsze przebywał w Kalifornii. Czy rzeczywiście odkrył tam jakąś bonanzę, i czy z niej pochodziło złoto, którym dysponował? Mimo że nad Jukonem przebywał krótko, wyglądał na nieźle obeznanego z tutejszymi warunkami, a nawet nieźle znosił klimat. Ludzie z południa tutejszy klimat znosili raczej źle... Gdzie w rzeczywistości obracał się poprzednio i właściwie czym się naprawdę zajmował...?

Co innego Hood. Typowy obieżyświat, szuler, rewolwerowiec. Ten na pewno przywędrował ze Stanów i to z południa. Świadczył o tym nawet śniady kolor skóry. Metys..., w każdym razie jakiś południowy mieszaniec. Niby otwarty, szczery, prawie przyjacielski, lecz zawsze gotowy i czujny, i wcale nie strachliwy. Trudno było przesądzić, czy zręcznie operował kartami czy rewolwerem. Nie rozstawał się też z nożem. Poza Oatesem, z którym unikali się od pamiętnego zajścia przy pokerze, jednakowo trzymał ze wszystkimi. Na pewno dobrze strzelał nie tylko z rewolweru. Janet opowiadała o spotkaniu z wilkami i o ostatnich dwu strzałach Kestera. Obydwoma trafił w wilczy łeb. I obydwa były śmiertelne. Musiał mieć niesamowity refleks i niesłuchanie pewną ręką. Inaczej nie strzelałby w łeb. Wilcza paszcza znajdowała się zaledwie o kilka cali od gardła dziewczyny. Wystarczyło odchylenie lufy o ułamek milimetra, spóźnienie o ułamek sekundy. Taak... musiał być znacznie bardziej niebezpieczny od Oatesa. Czego naprawdę tu szukał? Chociaż, może rzeczywiście na jakiś czas musiał zniknąć z Dawson...? Jaki był naprawdę jego stosunek do dziewczyny? Raczej przyjazny. Tak, tak było na zewnątrz, ale w rzeczywistości...? Mogło od tego zależeć bardzo dużo. Mogło w pewnych okolicznościach. W innych nie miało najmniejszego znaczenia.

Byli jednak i inni – chociażby tacy Gerrickowie. Młodszy, Henry, wyraźnie smażył do dziewczyny cholewki. Nie był jednak groźny. Janet pewno nawet nie zauważyła jego zalotów. Co innego Rawlins i Freeman. Podobnie jak Gerrickowie stanowili prawie nierozłączną parę – niczym rodzeni bracia. Prawie zawsze widywano ich razem. Często szeptali po kątach. Może współnicy, a jeśli nawet nie, to musiało łączyć ich coś, o czym nie mówili głośno.

Całkiem osobny i to nie najmniejszy problem stanowił kapral Paterson i ten jego pomocnik Barnes. Za dużo ostatnio gadali i za często odwiedzali obóz. I ta niedźwiedziowata tajemniczość Patersona, te niby niedomówienia i półsłówka, szczególnie gdy sobie podpił. Cholera go przyniosła w te strony. Chociaż niewykluczone, że w razie czego dałby się odpowiednio wykorzystać.

Gorzej było z O'Kellym i Wilderem. Jerry nie spodziewał się ich tutaj. W ogóle nie spodziewał się ujrzeć ich prędko, a przynajmniej nie przed zakończeniem sprawy, która, jak coraz częściej odnosił wrażenie, zaczęła zbliżać się do rozwiązania. Jeszcze kilka tygodni wstecz nie spodziewał się, że tak prędko. Teraz też nie miał jeszcze całkowitej pewności. Chociaż ostatnia rozmowa z Janet, a właściwie to nie sama rozmowa, lecz owa nie dokończona opowieść dziewczyny zaostriżyła jego czujność. Tym bardziej że po wyjściu O'Kelly twardo postawił sprawę. Tak, on też chciał słyszeć zakończenie. Na wyrażoną przez Nortona wątpliwość, że może nie należałoby Janet zbyt przyciskać, wzruszył tylko

ramionami i skwitował po prostu: – Sam nie wierzysz, w to co mówisz. – Właściwie miał rację. Musieli dowiedzieć się i to jak najszybciej.

Przystanął i przez kilkanaście chwil oddychał ciężko. Mimo raket marsz w głębokim śniegu nie należał wcale do najłatwiejszych. Zresztą nie bardzo podobało mu się całe to polowanie. Wcale nie było pewne, czy zwierzęta rzeczywiście, tak jak przypuszczał Ewans, poszły do matecznika czy też może skreśliły gdzieś ze szlaku i powędrowały w zupełnie innym kierunku. Cała obława mogła okazać się zwykłym niewypałem. Mimo że wcale nie miał ochoty włóczyć się Bóg wie ile czasu, to jednak nie mógł się od niej wymigać. Szli wszyscy. Posługiwanie się więc nagle pretekstem zwichniętej nogi albo bólu w stawie kolanowym podpadłoby od razu. No, i nie najlepiej wyglądałoby to w oczach Janet.

O kilkaset jardów w przedzie majaczyła ciemniejsza zwarta ściana modrzewiowo-świerkowego matecznika. Odsapnął jeszcze raz i ruszył w tamtą stronę. Ściana rysowała się coraz wyraźniej. Wiedział, że stanowi skraj matecznika. Przystanął w odległości około stu, stu dwudziestu kroków. Nie było sensu podchodzić bliżej, a tym bardziej włączyć w gęstwinę. Tam widoczność nie przekraczała na pewno kilku jardów, a podejście łosia na taką odległość uznano by za pomysł szaleńca. Nie, nie było sensu pchać się dalej, zwłaszcza że z miejsca w którym znalazł się, miał dość dobrą widoczność i rozległe pole ostrzału.

Chciało mu się palić i sięgnął już nawet po papierosa, gdy gdzieś od południa dobiegł go odległy, przytłumiony odgłos strzału. Był to znak, że zeszyły się obydwie skrzydła obławy i zamknęto kocioł. Teraz, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, myśliwi szybko będą schodzić się do środka i zacieśniać pierścień wokół matecznika. W ostatniej fazie w dzikie ostępy puszczą psy. Trójkę mieszańców wytresowanych specjalnie do płoszenia zwierzyny zabrał z sobą przezornie O’Casey.

Jerry oparł się o gruby pień sosny i przygotował broń.

Gdzieś, dosyć daleko z lewej strony ułowił jakiś podejrzany ruch. Chwila napiętej uwagi. Nie, to tylko zarys nieznacznie pochylonej do przodu postaci. „Pewnie Stern” – pomyślał mimowolnie. Pamiętał, że właśnie Stern miał stanowisko po lewej stronie. Wysunął się trochę zza drzewa i kilkakrotnie machnął ręką. Tamten musiał zauważyć, bo odpowiedział podobnym sygnałem i zniknął za osłoną pnia.

Z prawej strony winien znajdować się Ben, dalej Percy. Właśnie oni mieli za zadanie zamknąć matnię na tym odcinku. W kilka minut później wypatrzył Bena. Musiał posuwać się nieco wolniej niż pozostali. Teraz znajdował się o dwieście pięćdziesiąt, może trzysta kroków. Trochę daleko, zwłaszcza że z prawej strony drzewa rosły jakby trochę gęściej. Na wszelki wypadek przesunął się w tym kierunku przynajmniej o trzydzieści kroków i wynalazłszy rozwidlony pień sosny oparł się o niego i zamarł w oczekiwaniu.

Mijały minuty, śnieg sypał coraz gęściej, poczęło się zmierzchać, gdy nagle... z lewej strony gruchnął strzał, jeden, drugi..., parę chwil i rozszczękał się karabin Sterna.

Jerry ledwie zdołał uławić cień jakiegoś zwierzęcia walącego się w śnieg tuż przed gęstwiną, gdy prawie na wprost zachybotały gwałtownie świerkowe gałęzie. Zwierzęta z położonymi niemal na grzbiecie rogami mknęły jak wiatr, śmigając między pniami sosen.

Słyszał grzmot karabinu Bena. Błyskawicznie uniósł broń i prowadził lufę płynnym ruchem. O, tam. Płowoszare zwierzę minęło właśnie gruby pień, gdy przycisnął spust. Trafił dobrze; leśny ren karibu, ostatni z uciekającej czwórki, nie zdołał wykonać już następnego skoku. Zarył w śnieg do góry kopytami. Pozostałe trzy mknące niczym wiatr znajdowały się już poza zasięgiem strzału i... właśnie w tym momencie... tam gdzie znikwały między drzewami, odezwał się jeszcze jeden karabin. W krótko po sobie następujących odstępach padły trzy strzały. I Jerry wiedział, że wszystkie trzy były celne.

Sam uważał się za niezłego strzelca, ale tamten, który w nie wytłumaczony sposób pozostał z tyłu i oddał te trzy strzały, musiał być mistrzem. Tylko jak i czemu pozostał i znalazł się właśnie tam? Może jednak był to Ben...?

Nie... Dosyć szczupła postać, która zbliżała się teraz ku Jerry'emu, nie należała do Bena. Trzymając gotowy do strzału karabin, wpatrywał się pilnie. Rzeczywiście... To nie był Ben. Kester, Kester Hood. To właśnie on... Brnął teraz przez śnieg z zadowoloną miną, z karabinem przewieszonym swobodnie przez ramię.

– Uff – sapnął z wyraźną ulgą. – Jak to dobrze stracić czasem orientację w lesie. Ale masz szczęście, omal nie kropnąłem i ciebie – wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– To szedłeś po moim śladach...?

– Gdzie tam. Zdaje się, że za późno ruszyłem i za bardzo odbiłem w lewo. Widzisz, w lesie gubię się dosyć szybko, szczególnie przy takiej pogodzie. I daję słowo, gdy kilka minut temu zobaczyłem, jak poruszyłeś się za drzewem, o mało nie pociągnąłem za cyngiel. Szczęście, że równocześnie zauważyłem tego z prawej, a potem z lewej. Nie miałem się co pchać bliżej. I tym sposobem druga linia okazała się wcale nie gorsza od pierwszej.

– No, widziałem. Miałeś je daleko?

– Na jakieś siedemdziesiąt kroków. W sam raz. Jak myślisz, jest szansa, że jeszcze coś tu wyjdzie?

Jerry pokręcił głową.

– Po takiej kanonadzie? Jeśli nawet coś tu kręciło się, musiało wrócić.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległy się strzały po drugiej stronie matecznika, a później jeszcze gdzieś od wschodu.

Ściemniało się coraz bardziej i nie było na co dłużej czekać. Kester podniósł karabin i w równych odstępach wystrzelił pięć razy, na znak, że potrzebne są sanie i pomoc. Nim nadeszli pierwsi myśliwi, tworzący długą od tej strony linię, wspólnie z Benem, Wilderem, Hoodem i Sternem zdążyli ściągnąć wszystkie pięć renów. Gdy Cochrane i Dunbard przyprowadzili sanie i psy, załadowali zwierzynę i już po ciemku ruszyli w powrotną drogę. Pozostałe grupy musiały już wyruszyć również.

Prowadził Stern. Musiał nieźle znać drogę, bo mimo że szli lasem, nie zawahał się ani razu.

Do obozu ściągnęli późno w nocy. Już z daleka spostrzegli niezwykle, jak na tę porę, ruch i krzątanie. Przed wejściem do szynku płonęło ogromne ognisko, przy którym uwijała się grupa mężczyzn. Przyprowadził ją Kean. Im także sprzyjało szczęście. Mieli z sobą łoszę i wyrośniętego, przynajmniej ze dwuletniego cielaka. Zdejmowali skórę i ćwiartowali mięso. Savage sam przyciągnął na saniach dorosłego karibu. Inni nadchodzili w mniejszych grupach – po dwóch, trzech, ale bez zdobyczy.

Wiadomość o kradzieży u Harveyów musiała stanowić dla wszystkich prawdziwy wstrząs, dla wielu może nawet szok, co wyczuwało się w atmosferze rozmów, komentarzy, wygłaszanych opinii i skrajnych sądów. Opinia była podzielona co do tego, czy motywem kradzieży była chęć zdobycia żywności czy raczej pieniędzy, czy wreszcie jednego i drugiego. Co jest naturalne, zastanawiano się, kim byli sprawcy i skąd pochodzili. Dokąd udali się po dokonaniu kradzieży. Czy było ich tylko trzech, jak twierdziła Aggie, czy też może więcej? Pytań i przypuszczeń, niekiedy wręcz fantastycznych, padało mnóstwo. Trudno było zgodzić się z jednymi, równie trudno było wykluczyć inne. Najbardziej chyba jednak trafnie rzecz ujął Ewans, który nie brał udziału w polowaniu, i jako jeden z pierwszych dowiedział się od pani Harvey o całym zdarzeniu. Oczekując na powrót myśliwych, i wyniki łowów, miał czas przemyśleć całą sprawę. Słuchając teraz różnych sprzecznych często opinii nie wytrzymał i wygarnął co myśli:

– To nie byli obcy – powiedział w pewnej chwili. – Obcy nie dokonaliby napadu w biały dzień. Jeżeli, to późnym wieczorem lub nocą. Nie działaliby tak zuchwale, gdyby nie wiedzieli, że w obozie nie ma nawet jednego mężczyzny posiadającego broń. Skąd mogli wiedzieć, że właśnie dzisiaj wszyscy wyjdą na polowanie? Gdyby to byli obcy, nie mogliby tego wiedzieć. Skoro wiedzieli, to znaczy, że to tutejsi. Bardzo dobrze wiedzieli, kiedy mogą

dokonać napadu. Jak twierdzi Dolly, ostatnia grupa myśliwych wyruszyła stąd około jedenastej. Około dwunastej związali panią Harvey i zabrali się za płądrowanie mieszkania i sklepu. Wcale się tak bardzo nie spieszyli, a więc nie obawiali się, że zaskoczy ich ktokolwiek. Czuli się zupełnie bezpieczni i pewni. Potem spokojnie sobie odeszli. Pytacie, czy chodziło o żywność czy o pieniądze? Oczywiście, że o jedno i drugie. Wiedzieli, że znajdują je właśnie tam. Ja nie mam wątpliwości. To ktoś stąd. Ta trójka, lub może dodatkowo jeszcze ktoś znajdujący się wśród nas. Może nawet w tej chwili. I to trójka bardzo niebezpieczna. Możecie mi wierzyć.

Wokół ogniska, przy którym oprawiano zwierzynę, zaległo przeciągłe milczenie. Wszyscy rozglądali się wokół, patrząc uważnie na swych sąsiadów.

Hood udając, że nie dostrzega czujnego, podejrzliwego spojrzenia Nortona, wytarł nóż o śnieg i roześmiał się na całe gardło:

– Chyba nie mówisz tego poważnie, Bart? Wszyscy tu obecni byli przecież na polowaniu. Każdy może na to przysiąc i każdy ma na to co najmniej kilku świadków.

Ewans pokiwał głową.

– Nie twierdzę, Kester, że nie byli. Ale z powodzeniem prawie każdy mógł zdążyć być i tu, i tam. Każdy ruszał z obozu w pojedynkę. Przez pierwszą godzinę odległość między myśliwymi sięgała pewnie z pół mili. Przy dzisiejszej pogodzie nikt nikogo nie widział. Zobaczyli się dopiero wokół matecznika. Pierwszy raz po paru godzinach. A przez te parę godzin mogli być wszędzie i wszędzie zdążyć.

– W takim razie przyznasz – głos Hooda brzmiał trochę chropowato – że i ciebie nikt nie widział przez cały dzień.

– To prawda, Kester. Ja również nie mam żadnego alibi. Jednym z tych trzech równie dobrze mogłem być ja, jak każdy z was. Baa... mogę być nawet jeszcze bardziej podejrzany niż inni. To przecież ja przyniosłem wiadomość o łosiach. Ja wiedziałem z góry, że pójdą wszyscy. I jeszcze jedno: wcale nie jest powiedziane, że ślady te widziałem dziś rano. Równie dobrze mogłem je widzieć wczoraj czy przedwczoraj. Najlepiej z wszystkich tu znam zwyczaje łosi i okoliczne ostoje zwierzyny. Wiedziałem więc, gdzie się najpewniej zatrzymują. A informację przekazałem dopiero dzisiaj, gdy do napadu wszystko było dobrze przygotowane. Ktoś, kto nie wiedział o dzisiejszym polowaniu, nie ryzykowałby napadu. A ponieważ nikogo obcego nie było tu od rana, kradzieży tej dokonało na pewno kilku spośród nas, bez względu na to, czy to się komuś podoba czy nie.

Norton pokiwał z aprobatą głową.

– Chyba masz rację, Bart. Ja, w każdym razie, zgadzam się z twoim zdaniem. Zrobił to ktoś miejscowy. Jednak w takim razie mamy szansę dostać tego ktosia.

– Jak chcesz to zrobić, Jerry? – Percy Wilder podniósł wzrok i trzymając w ręku płat reniferowych żeber spojrzał z niekłamaną ciekawością na Nortona.

– Bardzo prosto! Możemy, i to zaraz, nie czekając na kaprała Patersona, we wszystkich pomieszczeniach zrobić rewizję. Oczywiście, jeśli się wszyscy zgadzają. – Powiodł dokoła uważnym spojrzeniem. – Jeśli to, jak mówi Ewans, ktoś miejscowy, to nie ukrywał żywności poza obozem. Chodzenie do kryjówki musiałoby zostać w końcu odkryte, a więc skradzione rzeczy są tu na miejscu. Zgadzasz się Bart?

– Jasne! Też tak myślę.

– A inni?

Odpowiedzią był powszechny pomruk aprobaty. No, może niezupełnie powszechny. Hood nie wyglądał na przekonanego. Niezbyt wyraźne miny mieli Gerrickowie. Jednak zdecydowana większość zgadzała się z poglądem Nortona. Ten, widząc poparcie, jeszcze raz zwrócił się do wszystkich.

– Kto jest za tym, żeby rewizję przeprowadzić natychmiast, niech podniesie rękę do góry. Wokół ogniska podniósł się las rąk. Na znak, że chciałby coś jeszcze zaproponować, Ewans swoją trzymał w powietrzu najdłużej.

– Słuchajcie – powiedział. – Żeby nikt niczego nie zdążył ukryć, proponuję, by przed każdym budynkiem i chatą postawić dwu strażników. I jeszcze jedno: ponieważ kradzieży dokonano u Harveyów, uważam, że przynajmniej on powinien mieć możliwość zajrzenia do każdego pomieszczenia.

Słowa te powitał ponownie pomruk zgody, tym bardziej uzasadniony, że Harvey najłatwiej mógł rozpoznać swoją własność.

Rewizja, przeprowadzona we wszystkich barakach, budach, na strychach, w piwniczkach, w chatce Janet, a nawet w szynku, nie przyniosła jednak spodziewanych wyników. Owszem, tu i ówdzie znaleziono jakąś jedną czy dwie puszki grochu, kawałek boczku, trochę innych artykułów spożywczych, ale było to zrozumiałe. Ludzie posiadali jakieś resztki dawniejszych zapasów. Nie chodziło jednak o takie ilości. Jak twierdził Harvey, z podręcznego magazynu i z piwniczki znajdującej się pod nim zabrano przynajmniej ze trzysta funtów mięsa i kilka worków grochu, fasoli, cukru i mąki. Tymczasem wszyscy mieszkańcy obozu nad Wild Creek nie posiadali nawet jednej czwartej ilości produktów, jaka zniknęła podczas kradzieży.

Natomiast wyszło na jaw, że z polowania nie wrócił jeszcze Oates. I było to tym bardziej dziwne, że należał do grupy tych, którzy wyruszyli najpóźniej i którzy zamykając matnię mieli najbliżej do obozu. Co dziwniejsze, nikt nie widział go nigdzie na linii strzelców, ba, nikt nie mógł powiedzieć, że widziano go chociaż raz od chwili, gdy opuścił szynk. Nikt co prawda nie wysuwał żadnych oskarżeń, podejrzeń, nie czynił nawet jakichś bardziej wyraźnych aluzji, ale sam fakt odnotowali chyba wszyscy. Oczywiście, każdy zdawał sobie sprawę, że naturalnych przyczyn nieobecności Drwala mogło być wiele. Mógł najzwyczajniej w świecie zmylić drogę i zabłądzić gdzieś w leśnych ostępach, mógł po prostu skrócić czy złamać nogę. Mógł postrzelić jakąś zwierzynę i zapędzić się za nią gdzieś dalej. Może upolował większą sztukę i ciągnął ją samotnie, jak to uczynił już kiedyś. Mogło być różnie, chociaż fakt był dosyć znamienity.

Zupełnie nieoczekiwanie ujawniła się przyczyna niechęci braci Gerrick do rewizji.

Oto grupa przeszukujących ich chatkę, tuż po przekroczeniu progu ujrzała dorosłego rena złożonego na podłodze w kuchni. Zwierzę nie było jeszcze oprawione. Pochodziło z dopiero co zakończonego polowania. Bracia, co dla nikogo nie ulegało wątpliwości, chcieli je zachować wyłącznie do własnego użytku, w tajemnicy przed innymi. W warunkach braku żywności i zagrażającego obozowi głodu musiało to być uznane za ciężkie odstępstwo od obowiązujących norm współżycia.

Pośpiesznie uformowany sąd, pod przewodnictwem Barta Ewansa, nie miał żadnych trudności z orzeczeniem kary. Przepadek na rzecz ogółu ukrytej sztuki i natychmiastowe wydalenie z obozu z zakazem powrotu do niego.

Bracia nie oponowali. Nędzną resztkę dobytku załadowali na sanie i zabrawszy broń, jeszcze tej samej nocy opuścili obóz nad Wild Creek. I nikt nie troszczył się o ich dalszy los. Mimo nieobecności Oatesa przeszukano i jego chatę. Niczego podejrzanego nie znaleziono.

Gdy wrócił po trzech dniach, zmordowany, brudny i ponury, nikt nie pytał go, gdzie przebywał tak długo i co robił. A on nie wydawał się być skłonny do udzielania wyjaśnień.

Tym sposobem zakończyła się sprawa samorzutnego i bezowocnego śledztwa mieszkańców obozu dotyczącego kradzieży u Harveyów.

Wprawdzie nie kończące się przesłuchania wszystkich uczestników polowania prowadził gorliwie kapral Paterson, jednak i on wreszcie zrezygnował z dojścia do prawdy. Obiecywał sobie, że uda mu się na jakimś potknięciu złapać Randala Oatesa, ale i ta wersja spaliła na panewce. Drwał stwierdził, że prawie dwa dni siedł za rannym, postrzelonym przez siebie łosiem, lecz niestety wreszcie zgubił ślad, co zresztą było możliwe i wielce prawdopodobne

przy takiej pogodzie. I nie było żadnych możliwości ustalenia, czy powiedział kapralowi prawdę, czy nie.

Rozdział XVI

Opowieść Janet Wharton

Całą zdobycz z polowania podzielono równo i sprawiedliwie między wszystkich mieszkańców obozu. Nie pominięto przy tym Randala Oatesa. Wprawdzie jego zachowanie podczas łowów, przynajmniej u niektórych, budziło nadal pewne wątpliwości, ale jeśli to co sam opowiedział, było prawdą, to podobnie jak inni działał w interesie wspólnego dobra i chociaż miał mniej szczęścia, nie można go było wykluczyć z podziału.

Przypadającą na nich część otrzymali ci, którzy z powodu niedomogów bądź braku sił pozostali wówczas w obozie, a także wszystkie kobiety; wśród nich Janet Wharton. Nie było tego, rzecz prosta, zbyt dużo, ale swe znacznie już uszczuplone zapasy znów mogła wzbogacić o ładnych kilka funtów czystego mięsa. Było jej potrzebne szczególnie dzisiaj. Bo Janet właśnie na ten wieczór zaprosiła gości. Wyczuwała, że darzą ją sympatią; byli uczynni, często pomagali w różnych drobnych sprawach. Samotną dziewczynę otaczali bezinteresowną męską opieką. Wspomagali, jak mogli, mimo że wzbraniała się przed tym.

Dzisiaj również. Po prawie trzytygodniowej nieobecności z Dawson powrócił Duncan O'Kelly. Przywiózł z sobą trochę artykułów spożywczych. Jej podarował całą funtową puszkę herbaty i ze cztery funty cukru. Zaprosiła go oczywiście na herbatę. Ale nie mogła zapraszać tylko jego, poprosiła więc i Wildera, Jerry'ego i Bena, a także Kestera. Wszak głównie dzięki celności jego strzałów porcja mięsa, jaką dostała, była znacznie większa, niż mogłaby oczekiwać.

Przyszli całą piątką. Przynieśli z sobą trzy puszki grochu z wędzonką, prawie pół bochna chleba, a Jerry całą butelkę wódki. Co równie ważne, każdy przyniósł także swoją łyżkę, miskę i kubek. Nie miała więc kłopotu z naczyniami.

Najpierw przygotowała kolację, a potem zaparzyła herbatę. Wódkę pili po kolei, korzystając z jednej szklanki, jaką oprócz dwu cynowych kubków posiadała w swym gospodarstwie. Ale nie przeszkadzało im to. W izbie było ciepło, przytulnie, swojsko. Czuli się dobrze, a odrobina alkoholu wyraźnie korzystnie wpłynęła na nastrój. Gawędzili już jakiś czas, gdy w pewnej chwili O'Kelly przypomniawszy sobie widocznie nie dokończoną kiedyś opowieść dziewczyny o jej losach, zwrócił się do Janet ze słowami:

– Gdy byliśmy ostatni raz, opowiadałaś trochę o swoim dawniejszym życiu. Powiedziałaś wtedy, że ojciec zmarł tragicznie. Jak to się stało, Jess? I jak to się stało, że przybyłaś tutaj?

Ucichli wszyscy. Patrzyli na nią życzliwie, z sympatią, zachęcająco. To prawda, rozkleiła się wtedy i nie dokończyła swej historii, ale byli w porządku. Ciekawiło ich, a ona nie miała powodu niczego ukrywać. Zresztą kto wie, może powinna była opowiedzieć im o tym już dawniej. Może właśnie dzięki temu zainteresowałoby się wcześniej powodem przedłużającej się nieobecności Nanty'ego. Może pomogliby jej w poszukiwaniach, jeśli nawet nie sami, to przecież spotykali różnych ludzi. Może tamci coś wiedzieli lub chociażby zauważyli, lub słyszeli od kogoś. Oczywiście, teraz w czasie zimy żadne poszukiwania nie były możliwe. Ale z wiosną, gdy rozejdą się nad strumienie, gdy zajrzą do każdego parowu i wąwozu, gdy zbadają górskie zbocza i doliny, mogą natrafić na jakiś ślad. Powinna im opowiedzieć wszystko, ze szczegółami. Właśnie w tych szczegółach, w okolicznościach śmierci ojca mogło kryć się wyjaśnienie zagadki zaginięcia Nanty'ego.

Dawno straciła nadzieję, że ujrzy go kiedykolwiek. Gdy opuszczał ją wiosną ubiegłego roku i wyruszał na poszukiwanie skarbu, przyrzekł, że bez względu na wynik wróci przed zimą. Bez względu na wynik. Nie znaczyło to, że jeśli nic nie znajdzie, zrezygnuje z poszukiwań. Nie, nastawiła się na to, że może przyjdzie im szukać kilka lat lub nawet dłużej. Tylko ten pierwszy raz poszedł sam, jak powiedział – dla rozejrzenia się w topografii terenu. W ogóle mieli szukać wspólnie. W czasie pracy z ojcem nauczył się żyć w górach i w lesie. Świetnie tropił ścieżki zwierza. Drogę odnajdował ze znaków na niebie, z wyglądu terenu, z kierunku wiejącego wiatru, z wyglądu drzew. Nigdy nie zabłądził, nie zgubił się. Był odważny, ale i rozsądny. Znakomicie strzelał, dobrze pływał, mógł biec godzinami. Od Indian nauczył się biegać psim truchtem. Był wytrzymały na głód i zmęczenie. Gdyby przytrafił mu się jakiś nieszczęśliwy przypadek, poradziłby sobie. Wróciłby już dawno. Musiało więc spotkać go coś bardzo złego, skoro pierwszy raz w życiu nie dotrzymał słowa. Nie miała prawa dłużej milczeć. Nie mogła, gdyż może jeszcze istniał chociażby jakiś cień nadziei. I kto wie, czy kluczem do rozwiązania zagadki nie była przeszłość.

Chwilę jeszcze myślała, zastanawiając się, od czego zacząć, w końcu zdecydowała, że uczyni najlepiej opowiadając wszystko po kolei.

– Mówiłam już o matce, o tym, czym zajmowali się ojciec i Nanty. Po śmierci matki prowadzenie domu spadło na moją głowę. Pracowaliśmy uczciwie przez następne lata i nie powodziło nam się najgorzej, nawet lepiej niż wtedy gdy żyła matka i pracował tylko ojciec. I pewno dzisiaj żylibyśmy nad Snake River, gdyby nie pewien przypadek.

Otóż w początkach zimy tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego, gdzieś na przełomie października i listopada, mieszkająca w pobliżu, po drugiej stronie rzeki, zaprzyjaźniona z nami od dawna rodzina Indian Nahani przywiozła do faktorii starszego już, białego mężczyznę. Był ciężko ranny i nieprzytomny. Nahani mówili, że znaleźli go o parę mil w dole rzeki. Nie miał z sobą nic, nawet broni, jedynie śnieżne rakiety na nogach. Pamiętam, jak mówili wtedy, że rakiety takie wyrabiają jedynie Indianie z plemienia Tutchone żyjący znacznie dalej na północnym zachodzie. Ponieważ byłam sama w faktorii, rodzina ta zgodziła się zostać ze mną, by pomóc mi przy chorym do czasu powrotu ojca lub brata.

Stan chorego nie był najlepszy. Otrzymał postrzał w prawy bok i drugi pod obojczykiem. Gdy go znaleźli, stracił już dużo krwi i myśleli, że umrze. Niemniej zabrali go do siebie i pielęgowali przez kilka dni. Rany jednak zagoiły się, przyszła gorączka, nie chcieli więc ryzykować, że umrze u nich. Wtedy najpewniej policja z Fort Nelson ich oskarżyłaby o tę śmierć. Przywieźli go więc do nas. Wiedzieli, że białego kupca nikt nie oskarży. Nie uchylali się jednak od pomocy i przywieźli nawet z sobą zioła spędzające gorączkę i własne leki na rany. Lekarza nie było w promieniu dwustu mil, a Indianie znają się na leczeniu.

Jakoż po kilku dniach gorączka zaczęła opadać i wreszcie, pamiętam, było to dokładnie w dzień powrotu ojca, ranny odzyskał przytomność. Indianie odeszli. Byli pewni, że obcy wyzdrowieje. I nie mylili się. Wprawdzie przez kilka tygodni jeszcze zdarzały się nawet dłuższe nawroty gorączki, chory tracił przytomność, nieraz na parę dni, jednak widzieliśmy, bo i Nanty już wrócił, że powoli organizm przezwycięża chorobę, a chory stopniowo odzyskuje siły. Gdy wracała mu świadomość, leżał wpatrując się godzinami w sufit lub okno. Odzywał się bardzo rzadko. Nie mówił nic o sobie.

Kiedy był nieprzytomny, a czasami także we śnie wykrzykiwał jakieś dziwne niezrozumiałe słowa o zupełnie obcym brzmieniu. Zachowywał się wtedy niespokojnie, śmiał się, czasem płakał. Niekiedy wydawało się, że z kimś rozmawia, że kogoś o czymś przekonuje. Szarpał się, miotał, jakby staczał z kimś najzaciętszą walkę. Innym razem zachowywał się zupełnie spokojnie, pogodnie, uśmiechał się, wypowiedane słowa brzmiały łagodnie i przyjaźnie. Czasami majacząc mówił po angielsku, innym razem wyrzucał z siebie słowa francuskie. Wśród nich często można było wyróżnić dwa. Znaczyły one dosłownie:

biały ren. Ale było to wszystko, co udało nam się z ojcem zrozumieć. Kiedy wrócił Nanty, okazało się, że chory, podczas owych momentów gorączki, znajdując się w stanie nieprzytomnym, używa także słów indiańskich. Niektóre z nich Nanty rozumiał i twierdził, że pochodzą z języka Tutchone lub jakiegoś bardzo podobnego. Nanty znał zaledwie kilkadziesiąt słów z tego języka, potrzebnych mu w handlu, a wśród nich i owe słowa – biały ren. Nie był jednak pewien, czy odnoszą się do zwierzęcia. Gdy czasem godzinami wsłuchiwał się w oderwane majaczenia nieprzytomnego, coraz częściej twierdził, że ów biały ren, to jakaś osoba bliska choremu, tak jak córka lub matka.

Któregoś dnia przybiegł do nas bardzo podniecony. Chory był nieprzytomny, ale tym razem mówił po angielsku. Mówił o skarbach, o złocie i o tym, że biały ren jest strażnikiem skarbów. Wyglądało na to, jak twierdził Nanty, że obcy zachowywał się przez kilka minut tak, jakby z kimś walczył, po czym opadł na poduszki, ciężko oddychał i powiedział wyraźnie: „Skarbu i tak nie dostaniecie. Na jego straży pozostał biały ren. Tajemnicy nie zdradzi nikomu. To moja krew”.

Długo zastanawialiśmy się, co znaczą te słowa, jaka kryje się za nimi tajemnica? Nie doszliśmy jednak do niczego. Obydwoje z ojcem byliśmy przekonani, że to po prostu majaki, wytwór chorej wyobraźni.

Gdzieś koło Bożego Narodzenia skończyły się nawroty gorączki i od tego czasu nasz chory nie stracił już przytomności. Przestały męczyć go poprzednie zmyły i widziadła, przestał mówić przez sen. Zaczął jeść i już wyraźnie odzyskiwał siły. Nadal jednak nic nie mówił o sobie, i nadal nic o nim nie wiedzieliśmy. Nie pytaliśmy jednak, nie chcieliśmy go denerwować ani urazić.

Po raz pierwszy z własnej woli, nie pytany, odezwał się właśnie do mnie. Ojciec z Nantym poszli do lasu po drzewo. My zostaliśmy w kuchni. On siedział, jak zwykle, przy oknie i milczał. W pewnej chwili wstał, przysłonił ręką oczy i patrzył w stronę lasu. Widziałam, jak zmienił się na twarzy. Patrzył przez kilkanaście sekund, po czym poprosił, bym przyniosła mu karabin ojca. Byłam zdziwiona, ale dałam mu broń. Sprawdził, czy jest nabita i nadal patrzył przez okno. Ale gdy ja spojrzałam, nie dostrzegłam niczego. On jednak nie przestawał obserwować lasu. Strzelbę postawił obok siebie i tkwił przy oknie, aż wrócili Nanty i ojciec.

Pytał, czy kogoś nie spotkali w lesie. Potwierdzili obydwaj. Owszem, spotkali jakiegoś trapera zastawiającego sidła na kuny i lisy. Był z wiązką futer, ale nie chciał jej sprzedać. Mówił, że udaje się do Fort Nelson, a więc sprzedaje tam. Pytał, czy w ostatnich tygodniach nie spotkali w pobliżu kogoś obcego. Ojciec powiedział mu, że prócz rannego mężczyzny, którego przywieźli do nas Indianie, nikt inny nie kręcił się po okolicy. Spotkany w lesie mężczyzna nie był jednak zainteresowany naszym rannym. Wyjaśnił, że umówił się z drugim traperem w forcie i sądził, że tamten, przechodząc w pobliżu, mógł po prostu zajrzeć do faktorii. Wypalili papierosa i rozstali się. Tamten poszedł swoją drogą.

Nasz chory poprosił, by ojciec opisał wygląd trapera. Gdy ojciec spełnił jego prośbę, pokiwał tylko głową i powiedział:

– Będziecie przeze mnie mieli kłopoty. Człowiek, którego spotkaliście, to jeden z tych, którzy już raz napadli na mnie. Wiedzą teraz, że żyję, więc spróbują jeszcze raz. Ale i wy nie jesteście bezpieczni.

Dowiedzieliśmy się wtedy jego historii.

Janet przerwała swoją opowieść na kilka chwil, jakiś czas milczała, usiłując widocznie przypomnieć sobie wszystko dokładnie, po czym ciągnęła dalej:

– Nazywał się Walt Norris i pochodził gdzieś z Nowej Szkocji. Od dzieciństwa wraz z ojcem polował na wieloryby i foki. Mieli niewielki rybacki statek i latem łowili wieloryby na Morzu Beauforta. Zimą chwyтали foki na wyspach Archipelagu Arktycznego. Kiedyś statek rozbił się na górze lodowej. Zginęli wszyscy. On cudem ocalał, uczepiwszy się jakiejs pustej beczki. Znaleźli go Eskimosi i zaopiekowali się nim. Miał wtedy szesnaście lat. Długo

wypatrywał jakiegoś statku wielorybniczego, ale łowcy wielorybów unikali tamtych zdradliwych wód. Z konieczności pozostał w eskimoskiej wiosce. Początkowo było mu ciężko, gdyż nie znał języka, później przywykł i podobnie jak poprzednio, tyle że z eskimoskimi myśliwymi, łowił foki i wieloryby, a potem, mimo że spotykał białych, nie chciał już wracać do cywilizacji.

Kilka lat temu wielorybnicy zaczęli opowiadać o odkryciu złota na Alasce. Chociaż miał już dobrze pod pięćdziesiątkę, skusiło go. Zostawił swych dotychczasowych przyjaciół i któregoś lata powędrował przez góry nad Jukon. Przez parę kolejnych sezonów nie wiodło mu się, lecz wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście i znalazł złoto. Był nieostrożny, pochwalił się jakimś przypadkowo spotkanym poszukiwaczom i to było początkiem jego późniejszych kłopotów. Zaczęli namawiać go do zawarcia spółki. Przekonywali, że w kilku będzie znacznie łatwiej i bezpieczniej, że więcej zarobią. Ale gdy tylko ruszyli w góry, okazało się, że ich zamiary nie były uczciwe. Dowiedział się o tym, gdy któregoś wieczoru zupełnie przypadkowo podsłuchał ich rozmowę. Chcieli, by doprowadził ich do potoku, w którym odkrył złoto; potem mieli go zabić. Dowiedział się o tym o dzień drogi od swojej złotej bonanzy. Oni również wiedzieli, że to gdzieś bardzo blisko, ale był od nich bardziej chytry i pod osłoną nocy uciekł. Nie udało mu się jednak zatrzeć śladów. Tropili go dzień i noc i jak zwierzę ścigali przez wiele tygodni. Uciekał na południe, sądząc, że nie odważą się pójść zbyt głęboko w dziki górski kraj. Ale nie zaniechali pogoni. Przeszli za nim przez wysokie góry, a potem, gdy spadł śnieg, po wyraźnym tropie w górę Fort Nelson River. Dopadli go o kilkanaście mil od faktorii.

Nie wiedział, dlaczego go nie dobili. Sądził, że musieli być pewni, że umrze.

Gdy odzyskał u nas przytomność, gdy dowiedział się, że od napadu minęło wiele dni, łudził się, że poniechali go, że z powrotem wyruszyli przez góry, by poszukać jego złota. Teraz wiedział, że pomylił się, że jednak z jakichś powodów zostali w pobliżu, a skoro dowiedzieli się, że żyje, będą chcieli pozbyć się go na zawsze, a może zmusić, by ujawnił miejsce, gdzie leżała złota bonanza.

Ojciec musiał też tak myśleć, bo jeszcze tego wieczora dał Norrisowi nowy karabin, rewolwer i naboje. Mnie polecił, bym nawet w domu trzymała broń pod ręką. Co prawda nie obawiał się jakiegoś zaskoczenia, gdyż mieliśmy dwa bardzo dobre czujne psy, ale uważał, że ostrożność nie zaszkodzi.

I od tego dnia ani on, ani Nanty nie rozstawali się z bronią.

W ciągu następnych dwu czy trzech tygodni nic się nie wydarzyło. Indianie, którzy w tym czasie poczęli z futrami odwiedzać faktorię, nigdzie w okolicy nie spotkali nikogo obcego, nie widzieli też żadnych śladów. W tym czasie Nanty zaczął coraz częściej przesiadywać z Norrisem. Gadali całymi wieczorami, nieraz do późnej nocy. I wtedy właśnie powzięli plan, że wiosną pójdą razem płukać złoto w potoku Norrisa.

Ojciec początkowo niezbyt chętnie patrzył na te projekty, ale nie mógł nic uczynić. Nanty był dorosły i miał prawo sam podjąć decyzję, a Norris twierdził, że złota w jego bonanzie było dużo, że obydwaj będą bogaci, że Nanty przez rok zarobi więcej niż ojciec w swej faktorii przez całe życie. Twierdził, że droga wiodąca przez góry wcale nie była trudna, a ponieważ i Nanty znał góry, nie bał się górskich szlaków.

Któregoś dnia Nanty po powrocie z fortu, dokąd odwoził ładunek futer, przywiózł dużą policyjną mapę. Od tego też czasu obydwaj z Norrisem studiowali ją godzinami i ustalali trasę wyprawy, bo chociaż poszukiwacz twierdził, że drogę pamięta, to jednak zdawał sobie sprawę, że w dzikim rozległym kraju łatwo było się zgubić, zejść ze szlaku i błądzić po górach tygodniami, a nawet miesiącami. Postanowili też sporządzić własną mapę, bo tę którą mieli, Nanty obiecał zwrócić jakiemuś oficerowi, od którego ją pożyczył.

I znów całymi dniami ślęczeli przy stole i wykreślali szlak. Ostatni jego odcinek, czyli sam potok i miejsce w którym miało znajdować się najwięcej złota, wyrysował Norris.

Właściwie cieszyliśmy się wszyscy i ojciec tego wieczora sam przyniósł ostatnią butelkę dobrego wina, a przy kolacji spytał Norrisa, czy nie miałby nic przeciwko temu, byśmy nad potok poszli wszyscy. Właściwie nic temu nie stało na przeszkodzie. Kończył się kolejny trzyletni kontrakt ojca na prowadzenie faktorii. I nie musiał go przedłużać. Formalności związane z przekazaniem obowiązków mógł załatwić u głównego klerka kompanii w Fort Nelson. Norton szczerze się cieszył, Nanty szalał z radości, a i ja cieszyłam się bardzo. Nie musieliśmy się rozstawać.

Wyprawę trzeba było jednak dobrze przygotować. Broń mieliśmy wszyscy, ale najważniejsza była sprawa żywności, odzieży i odpowiedniego górniczego ekwipunku.

W kilka dni potem ojciec udał się do Fortu Nelson i załatwił pomyślnie sprawy przekazania faktorii swojemu następcy. Przy okazji, zgodnie z sugestiami Norrisa, uzupełnił zapasy i kupił potrzebne wyposażenie.

Mieliśmy ruszyć wczesną wiosną, gdy staną się spławne wodne szlaki. Nanty był pewien, że dobre kanoe bez trudu kupimy u Indian, a podróż wodą wydawała się znacznie łatwiejsza niż marsz z wyładowanymi plecakami poprzez bezdroża i wertepy, zwłaszcza że w takim przypadku nie byliśmy w stanie zabrać nawet połowy tego, co było nam potrzebne.

Przygotowania do wyprawy miały się właśnie ku końcowi, gdy ojciec zdecydował, że trzeba jeszcze powiększyć zapasy żywności.

We trzech, bo i Norris odzyskał już siły, wybrali się na polowanie. Pamiętam ten dzień – głos Janet zadrżał wzruszeniem. – Pogoda była pochmurna. W powietrzu panowała cisza. Zabrali psy i sanie. Odprowadziłam ich kawałek. Byli dobrej myśli. Widziałam, jak oddalają się, przecinają środek zamrzniętej rzeki, jak zbliżają się do przeciwległego brzegu. Za parę chwil mieli mi zniknąć sprzed oczu. Ale byli jeszcze na otwartej przestrzeni. Wtedy z lasu po przeciwnej stronie padły strzały... – Dziewczyna zamilkła, zdając się walczyć z ogarniającym ją ponownie wzruszeniem. W końcu przemogła się i kończyła smutno: – Gdy dobiegłam, ojciec już nie żył. W parę minut potem skonał Norris. Jedynie Nanty'emu nic się nie stało. Zdołał skryć się za saniami i strzelał również. Ale pewno byłby zginął i on, i ja, gdyby nie pojawili się indiańscy myśliwi. Gdy usłyszeli strzały, ruszyli szybko na pomoc. Napastnicy nie czekali. Nie chcieli pewno mierzyć się z większą liczbą przeciwników i zaczęli się wycofywać. Nanty i Indianie ścigali ich do wieczora. Wieczorem przyszedł śnieg i zasypał ślady.

Ojca i Norrisa pochowałam w pobliżu faktorii. Za pośrednictwem Indian powiadomiłam o tym, co się stało, posterunek policji w Fort Nelson. Wyruszyli natychmiast w pościg, ale śnieg przerwał i ich poszukiwania.

Klerk z fortu przysłał następcę ojca. Nanty zdecydował, że nie powinniśmy czekać do wiosny. Wyjawił wtedy, że Norris ma córkę. Miała na imię Biały Ren. Że została w pobliżu miejsca, gdzie znalazł złoto. Nanty chciał, byśmy ją jak najprędzej odszukali. Chciał wydobywać złoto dla niej i dla nas i chciał, byśmy się nią zaopiekowali.

Wyruszyliśmy dwoma zaprzęgami w kilka dni później. Połowę trasy przez góry przeszliśmy zimą. Kiedy zaczęły topnieć śniegi, przeczekaliśmy w jakiejś indiańskiej wiosce prawie dwa tygodnie. Tam zostawiliśmy sanie, kupiliśmy od Indian kanu i w kwietniu dotarliśmy do tego obozu.

Nanty wybudował chatę i poszedł w góry odszukać córkę Norrisa i jego bonanzę. Miał wrócić najpóźniej przed pierwszym śniegiem. Ale nie wrócił... Czekam, może jeszcze wróci... – Umilkła, jakiś czas patrzyła w rozpościerającą się za oknem ciemność, po czym niemal odruchowo zaczęła dorzucać dREW do piecyka.

Przez dłuższy czas nic nie mówili. Patrzyli na dziewczynę ze współczuciem, ale i podziwem. Przeżyła ciężkie chwile, mimo to opowiadała o nich spokojnie, tak jakby opowiadała obcą historię, jakby nie jej udziałem były tragiczne losy najbliższych, jakby nie ona przeżywała ten dramat, który zabrał jej wszystkich, których kochała. W prostych,

zwykłych słowach mówiła o ojcu i Nantym, nawet o tym obcym poszukiwaczu, nie mówiła o swoich przeżyciach, o tym jak bolesną stratą musiała być dla niej śmierć matki, a później ojca, ile niespokojnych dni i nocy spędziła, daremnie oczekując powrotu brata, z nadzieją, zwątpieniem, może cichą rozpaczą w sercu. Powiedziała: Połowę trasy przeszliśmy zimą. Powiedziała to zwyczajnie, po prostu, ale ileż treści mieściły te słowa. Niewielu mężczyzn odważyłoby się najdzikszy, najbardziej niedostępny szlak świata przemierzyć w środku zimy. Mróz ścinający oddech w piersiach, lodowate zawieje i zamiecie śnieżne, dzikie jary i parowy, niebezpieczne granie i zbocza górskie, niedostępne przełęcze, zdradliwe szczeliny, tysiące niebezpieczeństw i świadomość, że każdy nieostrożny krok, jedno niewłaściwe stąpienie może skończyć się katastrofą. I proste słowa opowieści: Połowę trasy przeszliśmy zimą. Ile hartu, siły woli, odporności i wytrwałości musiała mieć w sobie ta dziewczyna? Ile odwagi i uporu? Ile wiary i zaufania, że brat nie zawiedzie jej, że nie zgubi szlaku, że przeprowadzi ją i siebie przez śnieżne górskie piekło... Zaczynali rozumieć tę samotną dziewczynę, zaczynali rozumieć, dlaczego pozostała w obozie na zimę, dlaczego nie przeniosła się do większego osiedla: do Dawson, Klondike czy Forty Mile. Domyślali się, że chodziło nie tylko o to, iż czeka na powrót brata. Miała wystarczająco dużo odwagi i siły, by pozostać sama wśród tylu mężczyzn, by żyć nędznie w głodzie i chłdzie, by trwać na posterunku mimo przeciwności losu. I zrozumieli, że jeśli brat nie wróci do wiosny, na poszukiwanie jego, tej półindiańskiej dziewczyny i na poszukiwanie złota wyruszy sama...

Norton spojrzął na dziewczynę i spytał stłumionym głosem:

– Czy Nanty poszedł sam?

– Tak – kiwnęła głową.

– Zabrał z sobą jedynie Hektora – a widząc, że nie rozumie, wyjaśniła: – To pies, duży czarny mieszaniec. Bardzo przywiązany do brata. Nie rozstawali się.

– I nie miałaś żadnej wieści od wiosny? – Hood patrzył uważnie. W jego żrenicach odbijał się żółty płomień łojowej świecy.

– Nie, Kester. Nanty nie przysłał mi żadnej wiadomości, a i nikt z tutejszych nigdy nie spotkał ani jego, ani psa.

– Słuchaj, Janet. Nie chcielibyśmy wkradać się w twoje tajemnice – Hood znów patrzył uważnie. – Ale czy Nanty mówił ci, jak daleko wybiera się, lub przynajmniej w jakim kierunku?

Wahała się, ale tylko przez chwilę. Jeśli mieli jej pomóc, musiała im powiedzieć.

– Nie, nie mówił dokładnie. Wiem jednak, że poszedł gdzieś na północny wschód. To nie mogło być zbyt daleko. Odchodząc stąd powiedział, że wróci za jakieś dwa miesiące, ale nawet jeśli nie uda mu się odnaleźć bonanzy lub córki Norrisa, najpóźniej zjawi się tu przed pierwszym śniegiem.

Kester jeszcze bardziej pochylił się w stronę dziewczyny.

– Czy twój brat widział tych, którzy zabili ojca i Norrisa? Czy wiedział, jak wyglądają? A może znał ich nazwiska?

Norris przecież ich znał. Musiał mówić o nich. A może ty znasz te nazwiska, lub wiesz, kim byli ci mężczyźni? – Norris przy mnie nic o nich nie mówił. Ale mógł mówić Nanty'emu, a może nawet ojcu. Zresztą pewnie tak było. Ojciec, gdy zdecydował, że pójdziemy wszyscy, powiedział wyraźnie, że będzie bezpieczniej i że w trójkę, w razie potrzeby, poradzą sobie z tą bandą. Na pewno miał na myśli tych, którzy napadli na Norrisa.

Wdzierający się przez jakąś szczelinę wiatr zachwiał płomieniem świecy. Nikt nie zauważył, jak w czyimś wzroku przygasły niebezpieczne błyski. A więc dziewczyna nie знаła zabójców i nic o nich nie wiedziała.

– Czy nie wiesz nawet, ilu ich było? – spytał Wilder.

– Wiem, Percy. Niestety, tylko tyle. Było ich na pewno trzech. – Tu zawahała się. – I jeszcze coś, choć może nie ma to znaczenia. Nanty mówił, że to zbiry ze Skagway.

– Ze Skagway? – poruszył się O’Kelly. – Czy przypadkowo nie wspomniał o kimś takim jak Jeff, Soapy Smith lub po prostu Soapy. Może mówił coś, a może Norris, o jagniętach lub wilkach Soapy’ego?

Po twarzy Nortona przeleciał niewidoczny skurcz. W oczach zalśnił błysk nagłego zaciekawienia, może nawet czegoś więcej.

– A kimże jest ów Jeff czy też Mydlany Smith i co wspólnego jego wilki lub jagnięta mogą mieć ze sprawą Norrisa?

– To nie słyszałeś nic o Soapym...? Nie? Dziwne. Coraz o nim głośniej. Podobno jest szefem gangu i to dość rozległego, sięgającego również tu, na Terytorium Jukonu.

I ma swoją sforę. Działają we wszystkich większych skupiskach i obozach poszukiwaczy, ale podobno głównie w Dawson. Czy brat lub Norris, a może ojciec nie wspominali o czymś takim? – zwrócił się ponownie do Janet.

Poruszyła przecząco głową.

– Nic takiego nie słyszałam. Brat i ojciec na pewno mnie kochali, ale o sprawach męskich rozmawiali tylko z sobą. Uważali, że dziewczyna nie powinna się tym zajmować ani nawet interesować.

I znów niedosłyszalne westchnienie ulgi uleciało z czyichś piersi. I znów nikt z obecnych nie zauważył tego.

Duncan rozlał resztę alkoholu do opróżnionych po herbacie kubków i zwracając się do Janet powiedział serdecznie:

– Dzielna z ciebie dziewczyna. Dobrze, że opowiedziałaś nam swoją historię. Wiemy, w jakim kierunku udał się Nanty i co ważne, wiemy/że miał psa. To już jakiś ślad. Wiemy, że gdzieś tam, gdzie poszedł, żyje półkrwi indiańska lub eskimoska dziewczyna Biały Ren, i że gdzieś w pobliżu leży złota bonanza. To w sumie bardzo wiele, ale możemy przypuszczać, że gdzieś w tamtym rejonie, o dwa, trzy dni drogi od bonanzy mogło znaleźć się minione lata również owych trzech mężczyzn, ludzi, którzy wiedzieli, że są w pobliżu dużego złota. Inaczej nie musieliby zabijać Norrisa. Wrócili na pewno, by odszukać tę jego bonanzę. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mogli znaleźć się w tamtej okolicy w tym samym czasie, kiedy znalazł się tam Nanty. Wiem, że to przykre, ale nie chciałbym, byś łudziła się, Janet. Twój brat może tu więcej nie wrócić...

Spuściła głowę. Czuła, jak piecze ją pod powiekami, a serce przenika ból.

– Wiem, Jerry – powiedziała cicho. – Myślałam o tym wiele razy i myślałam podobnie. Nie mogę się jednak wycofać. Obiecałam Nanty’emu, że jeśli nie uda się jemu, spróbuję ja. Muszę zresztą odnaleźć córkę Norrisa. Nie mogę zostawić jej samej. Może dopiero potem poszukam złota. Muszę przecież z czegoś żyć. Nie mam nawet na to, by wrócić do Montrealu. Złoto znajduje wielu, może uda się i mnie.

Norton pokiwał ze zrozumieniem głową. Wiedział, że złoto znajduje wielu, ale wiedział też, że nie tak wielu udaje się je zachować bezpiecznie. Na tych, którzy znaleźli więcej, zawsze czyhało niebezpieczeństwo. A Janet była tylko dziewczyną. Silną, może nawet twardą i zdecydowaną, lecz nie znała życia i jego pułapek. Myśli te wołał jednak zachować dla siebie. Zresztą pewno nic nie dałoby, gdyby je teraz wypowiedział. Ciekawiło go jednak jeszcze coś, toteż spytał:

– Czy w czasie marszu przez góry natrafiliście gdzieś na ślady tamtych trzech?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, Jerry. Parokrotnie spotkaliśmy Indian. Nanty pytał wszystkich. Tych trzech nikt jednak nie widział. Nikt też o nich nie słyszał na całej trasie. – I tu Janet myliła się, choć nie mogła o tym wiedzieć. Podobnie jak jej brat była przekonana, że po dokonaniu dwu zabójstw banda będzie uciekała z miejsca zbrodni ile sił w nogach. Nie przewidziała, nie pomyślała nawet, że zbrojcy wrócą, że będą chcieli sprawdzić, co uczyni rodzeństwo, że celowo oszczędzili Nanty’ego, podejrzewając, że Norris ujawnił przed nim położenie bonanzy. Janet

nie wiedziała więc, że banda nie poszła przodem, lecz o dwa dni drogi z tyłu, i że przyszła aż tu nad Wild Creek.

Norton nie wydał się do końca przekonany.

– Pewno tak było – przyznał z lekkim wahaniem. – Może poszli inną drogą, ale na pewno wrócili tam, gdzie uciekł im Norris.

– Jesteś tego pewny, Jerry? – spytał Hood.

– Tak!

– Ale na jakiej podstawie?

– To proste. Skoro zadali sobie trud, by przez góry ścigać Norrisa, by polować na niego przez wiele miesięcy, musieli być pewni, że ta bonanza jest warta bardzo dużo. Nie mieli zamiaru jej zostawić, a więc wrócili na pewno.

– I co, uważasz może, że cały czas pilnują tamtego rejonu – spytał O’Kelly. – Przecież zdechliby do tego czasu z głodu. My w kupie ledwo zipiemy, a oni tam gdzieś w górach, bez żadnego zaopatrzenia, bez zapasów, przy tym braku zwierzyny...?

– Nie twierdzę, Duncan, że są tam, ale nie mogę tego wykluczyć. A co do zapasów...? Wszyscy pamiętają przecież śmierć Monty Burnsa. Tajemniczy, nieuchwytny zabójca zabrał dwie pary ciężko wyładowanych sań, przecież nie tylko alkoholem, i jak pamiętacie, poszedł właśnie na północ. Ktoś postrzelił w tym samym czasie Oatesa. Ktoś teraz dokonał kradzieży u Harveyów. Ani tu, ani w najbliższych obozach nie natrafiliśmy na ślady, a żona Harveya twierdzi, że napastników było trzech...

O’Kelly pokiwał głową.

– Kto wie, Jerry. Może masz rację. Nie było nas tu jeszcze z Percym, gdy zastrzelono i obrabowano Burnsa, nie pomyślałem więc, ale teraz... Może masz rację...

W izbie na jakiś czas zapadło milczenie. Myśleli nad opowieścią Janet, nad słowami, które padły w tej rozmowie i myśli chyba każdej z osób zebranych tego wieczora u Janet różniły się od siebie i to znacznie, tak jak różniły się wysnute na ich podstawie wnioski. I żaden postronny obserwator, gdyby słuchał opowieści dziewczyny i późniejszej rozmowy nie domyśliłby się, że właśnie tego wieczoru i w tej właśnie izbie zapadły aż dwie zupełnie odmienne, choć bardzo ważne dla Janet Wharton decyzje. Lecz tylko jedna z osób, choć decyzji tych domyślała się, żywiła uzasadnione wątpliwości, czy pewne przewidywane przez nią zdarzenie w zasadniczy sposób nie wpłynie na zmianę biegu spraw oraz na najbliższe losy dziewczyny.

Rozdział XVII

Obóz wydaje wyrok

Zamieć, nie wiadomo która już tej zimy, znów srożyła się od kilku dni. Słupek rtęci spadł do -50°C . W nie najlepiej uszczelnionych chatach i barakach nad Wild Creek z każdego kąta wycierał nieprzyjemny chłód. Ci, którym brakowało opału, już od wczesnych godzin ciągnęli do Dolly Burns, gdzie obydwie wielkie piece dawały dostateczne ciepło, a grube ściany stanowiły wystarczającą osłonę przed kłującym mrozem.

Tego dnia lodowate szkwały, tłukące się o ściany odsłoniętej ze wszystkich stron chaty, wypędziły i Janet Wharton z jej nie dogrzanej ostatnio izby i przywiodły do szynku. Kończyło jej się drzewo i już nie mogła pozwolić sobie na ciągłe utrzymywanie ognia w piecyku. Ale nie tylko to było przyczyną odwiedzin w karczmie. Liczyła, że zastanie tam Harveya i zdobędzie przynajmniej kilka gwoździ, by przybić obłuzowaną okienną ramę. I nie zawiodła jej nadzieja. Harvey obiecał, że po południu przyniesie gwoździe. Nie chcąc niepotrzebnie narażać się dwa razy na przemarznięcie po drodze, znalazła ciepły kąt w pobliżu pieca ogrzewającego karczemną izbę i słuchała tego, o czym mówią mężczyźni. A nie mówili o niczym pocieszającym.

Kean, który tuż przed nadejściem zamieci zdołał wrócić z Beaver's Fall, opowiadał, że w tamtejszym obozie z głodu zmarło już pięć osób. Wielu znajdowało się w stanie skrajnego wyczerpania, a kilkunastoosobowa grupa, nie widząc szans przetrwania, zdecydowała się wracać do Dawson lub Klondike. Miał jednak wątpliwości, czy gdzieś po drodze nie złapała ich nawałnica. Mówił, że w obozie pozostało zaledwie kilkanaście osób, tych, które posiadały jeszcze jakieś resztki zapasów żywności lub nie miały sił, by pociągnąć z innymi. Na własne oczy widział, jak jakiś Szwed czy Norweg zabijał ostatniego psa ze swego zaprzęgu, by mieć chociaż trochę mięsa. Ludzie z którymi rozmawiał, twierdzili, że głód panuje również wśród Indian i że wilki nawet w ciągu dnia nie boją się podchodzić pod obozowiska.

Podobne wieści przyniósł Nickleby z górniczej osady położonej u stóp Grey Hunter. Wracając stamtąd indiańskim szlakiem, w kilku miejscach po drodze widział ludzkie kości. Kłął się, że nie leżały tam od poprzedniej zimy. Nie mógł, co prawda, stwierdzić, że były to kości białych, gdyż w pobliżu nie znalazł nawet strzępków odzieży czy śladów zaprzęgu, ale nie sądził, by w środku zimy Indianie opuszczali swe legowiska.

O'Kelly twierdził, że w Dawson, skąd wrócił przed kilkoma dniami, sytuacja wcale nie wyglądała lepiej. Pękające w szwach miasto, liczące już podobno ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób, głód nękał od dłuższego czasu. Sytuację pogarszał fakt, że prawie każdego dnia przybywało po kilkadziesiąt nowych zaprzęgów, głównie znad Jeziora Bennetta i Laberge, a także z Glenory, Telegraph Creek, Atlin i Minto. Niektórzy ciągnęli aż z Fort Wrangel na terytorium Alaski. Inni także ze Skagway przez Białą Przełęcz. W mieście brakowało kwater, żywności, drewna na opał. Policja usiłowała jakoś zaradzić sytuacji. Część przybyłych kierowała się do osady Forty Mile, ale niewiele to pomagało, bo i tam podobno nie było lepiej. Kto miał choć drobne zapasy żywności i trochę drewna na opał, musiał pilnować tego dzień i noc. Kradzieże, głównie żywności, stały się istną plagą i Mounties nie wiedzieli, jak sobie z tym radzić. Oczywiście, paru handlarzy miało jeszcze coś tam w magazynach, ale

ceny rosły niemal z dnia na dzień i niewielu już było stać na codzienny obiad. Większość głodowała od dawna, a brak dostaw sprawiał, że wkrótce sytuacja mogła stać się krytyczna.

Słuchający tych słów jeden z najstarszych mieszkańców obozu, William Graburn, pamiętający jeszcze czasy gorączki złota na Polach Cariboo, pokiwał głową i powiedział z przekonaniem:

– Idzie wielki głód. Pamiętam, podobnie było w siedemdziesiątym trzecim nad jeziorem...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż w tym właśnie momencie z trzaskiem otworzyły się drzwi i wraz z lodowatym porywem wicheru wtoczyła się do izby rosła postać okutana w futra i spowita grubą warstwą śniegu. Tuż za nią wsunął się przez próg duży czarny pies. Zatrzymał się obok nóg swego pana, chwilę trwał w bezruchu, po czym nagle uniósł długi pysk, w szeroko otwarte nozdrza wciągnął powietrze i znać wyczuł w nim jakąś znaną mu woń, bo wolno obrócił łeb, jeszcze przez chwilę trwał nieruchomy niczym posąg wykuty z czarnego marmuru, z głębi przepastnej gardzieli wydał dziki skowyt i runął ku oniemiałej Janet.

Wypełniający izbę tłum mężczyzn zamarł na chwilę, ale już w następnej skoczył Randal Oates, szczęknięła broń w rękach Nortona i Wildera, zamigotał długi stalowy cień lufy wielkiego kolta w dłoni Duncana O'Kelly.

– Nie strzelać! To mój pies – krzyknęła Janet rozdzierającym głosem.

W tym momencie pies przypadł do niej. Z wibrującym w uszach skowytym lizał jej twarz, włosy, ręce, łąsił się do nóg, rzucał na ramiona, potężny łeb przyciskał do jej twarzy, do piersi, skręcał się niczym wąż. W końcu przywarował u jej stóp, lecz potężne cielsko nadal dygotało, a z gardła wydobywał się zamierający, urywany skowyt.

Wzrok patrzących przeniósł się z dziewczyny i psa na nieoczekiwanego przybysza. Stał nadal przy drzwiach dysząc ciężko, z wysiłkiem, i patrzył na rozgrywającą się przed jego oczyma scenę, na szaloną radość psa, na potargane włosy dziewczyny, jej wymizerowaną twarz, wielkie głęboko zapadnięte oczy i płynące po twarzy łzy, których nie mogła powstrzymać, na łkanie wstrząsające jej ramionami. Ale nie wiadomo, czy widział. Spod grubych oszronionych brwi, w których skryły się kryształki zamarzniętego śniegu, spod białych ściętych mrozem powiek patrzyły odległe, nie widzące, zimne niczym technienie lodowatej pustyni oczy, z których wyzierała biała północna śmierć.

Od momentu wejścia do izby nie poruszył się, nie wyrzekł nawet jednego słowa. Teraz postąpił ciężko dwa kroki, zachwiał się i runął na ziemię. I nikt nie miał wątpliwości, że obcy w ciągu minionych godzin, a może i dni, szedł przez piekło.

Poderwał się pies, stanął obok leżącego, zwrócił pysk w stronę izby i obnażył kły, widocznie gotów bronić swego dotychczasowego pana przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem.

Zerwała się Janet i chwyciła psa za obrozę.

– Chodź, Hektor – powiedziała przez łzy. – Twojemu panu trzeba pomóc. – Pies przestał warczeć, pozwolił się nawet nieco odciągnąć na bok.

Kilka par rąk wyciągnęło się ku obcemu, nie dającemu żadnych oznak życia. Ściągnięto z niego gruby kozuch i parkę, sztywną od lodu futrzaną czapę i grubą wełnianą osłonę na twarz. Zdjęto obydwie pary rękawic. Któryś z mężczyzn odpiął ukryty pod parką pas z bronią i amunicją.

Dolly pobiegła za drzwi i po paru chwilach wróciła z miską pełną śniegu, którym zaczęła natychmiast nacierać twarz, ręce i szyję leżącego.

– On przyszedł z zaprzęgiem – powiedziała, nie przerywając pracy. – Wprowadźcie psy i sanie do szopy. Zwierzęta pewnie też mają dosyć. I niech któryś da butelkę wódki, bo przemarzał chyba do żołądka. Matko Boska, w taką zawieję! No, ruszcie się. Ściągnąć mu bluzę. Trzeba natrzeć piersi i plecy... Dobra, wlejcie mu łyk do gardła, tylko ostrożnie, żeby się nie zadławił.

Babs przyniosła gruby włochaty ręcznik i jakąś szmatę oraz sagan ciepłej wody. Teraz skórę leżącego nacierała kilka rąk. Traciła stopniowo swój biały, papierowy odcień i poczęła przybierać naturalną barwę.

– Dzięki Bogu – wysapała Dolly. – Chyba nie odmroził sobie niczego. Wlecie mu jeszcze łyk, ale porządny.

Zakrztusił się i niemrawo poruszył rękoma.

– Jeszcze jeden – komenderowała pocziwa niewiasta.

Tym razem przełknął, jęknął głucho i przez spierzchnięte wargi wymamrotał:

– Dosyć! – Uniósł powieki i powiódł wzrokiem po pochylonych nad sobą twarzach. Chwilę zatrzymał wzrok na Janet, i stojącym obok niej Nortonie. Przysłonił powieki i powtórzył: – Dosyć! – Nie wiadomo było, czy dostrzegł wyraz zdumienia w oczach dziewczyny i opiekuńczą męską dłoń wspartą na jej ramieniu, czy widział nieskrywaną ciekawość malującą się na wszystkich twarzach. Niemrawymi jeszcze trochę ruchami poczał naciągać na siebie grubą bawełnianą koszulę i skózaną bluzę. Zgrabiałe ręce z trudem radziły sobie z opornymi guzikami. Nie słyszał pewnie nawet, gdy pochylony nad głową dziewczyny mężczyzna, patrząc na jej pełną poruszenia twarz i widząc jej dziwne, nie mieszczące się widocznie w jego pojęciu zachowanie, spytał ze zdumieniem:

– To nie Nanty?

Obudziła się jakby ze snu i przecząco poruszyła głową.

– Nie, to nie Nanty. Nie znam go. Tylko pies. To pies brata i...

– I... i co, Jess? Co chciałaś powiedzieć?

– Nnic... tylko...

– Tylko co?

Ewans, który stał obok, Rawlins, a także Hood, którzy słyszeli słowa dziewczyny, pochylili się z nagłą ciekawością w jej stronę.

– Nie wiem – zawahała się. – Nie jestem pewna. Wydaje mi się jednak, że prócz psa ma jeszcze coś, co kiedyś należało do Nanty'ego.

– Mówisz, że ma jego rzeczy? – w oczach Hooda zamigotał podejrzany błysk, a ręka mimowolnie spoczęła na kolbie rewolweru. – Rzeczy twojego brata?

– Nie, Kester. Może mi się tak tylko zdawało.

– Zaraz sprawdzimy – mruknął Rawlins i już zamierzał wysunąć się do przodu, gdy chwyciła go za rękaw.

– Zostawcie na razie, proszę. On przeszedł przez piekło i ledwo żyje. Ja też chcę wiedzieć, skąd ma psa i... – łzy znów popłynęły po jej twarzy.

– Dobrze, Janet. Uspokój się. Masz rację. Chłop ledwo zipie. Dajmy mu odsapnąć – uspokajał ją Norton. – Dowiemy się wszystkiego, ale jeśli... – nie dokończył, lecz słuchający doskonale rozumieli, co miał na myśli.

Tymczasem przybysz musiał już dojść do siebie, bo zupełnie przytomnie rozejrzał się po szynku. Dłużej zatrzymał wzrok na dziewczynie. Patrzył na nią i na jej rękę trzymającą obrozę psa, wreszcie na psa. Nic jednak nie powiedział.

Zrobili mu miejsce przy stole. Dobrnął do niego z trudem i usiadł ciężko, opierając się łokciami o blat.

– Zjesz coś gorącego – spytała Dolly.

Na znak potwierdzenia kiwnął głową.

Gdy Babs przyniosła mu miskę dymiącej grochówki, powiedział ochrypniętym głosem:

– Jeszcze jedną, ale ostudź trochę. – Chyba nie zrozumiała, bo powtórzył: – Jeszcze jedną zupę, dla psa.

– Nie ma więcej zupy.

– To przynieś samą miskę.

Patrzeli ze zdumieniem, jak większą część swojej porcji przelewa do drugiego naczynia. Janet, widząc to, poczuła nagły skurcz w gardle.

– Chodź, piesku – powiedział i postawił miskę na podłodze. Pies szarpnął się, uwolnił od trzymającej go ręki i za chwilę chleptał łapczywie gorącą polewkę.

Dopiero wtedy obcy sięgnął po łyżkę i zabrał się sam do posiłku. Jadł jednak powoli i widać było, że każda porcja z trudem przechodzi mu przez gardło. Przełknął zaledwie kilka. Resztę znów postawił psu. Musiał jednak poczuć się lepiej, bo sięgnął do kieszeni i wyciągnął kapciuch z tytoniem i bibułką. Zrobił grubego skręta i zaciągnął się głęboko. Dopiero wtedy podeszli: Ewans, Norton, Freeman, Spencer, O’Kelly, Hood, Oates i inni. Widzieli, jak pies zareagował na widok dziewczyny. Wiedzieli, że pies należał do jej brata – znali tę historię. Teraz Janet podejrzewała, że obcy miał jeszcze coś, co było własnością Nanty’ego. Nie mogli pozostawić sprawy bez wyjaśnienia i chcieli zrobić to zaraz. Pierwszy odezwał się Ewans: –

Zmachaleś się, przyjacielu – powiedział. – Nie mogłeś przeczekać gdzieś tej zamieci?

Przybysz uniósł nieco głowę i poruszył nią przecząco.

– Nie było gdzie, zresztą – dodał – nie miałem nic dla psów.

– To chyba z daleka? Nie miałeś po drodze jakiegoś obozu?

– Tylko Tutchone, o kilka dni stąd na północ. Też głodowali.

Na dźwięk słowa Tutchone traper drgnął, spojrzał bystro na przybysza i spytał:

– Mówisz o Tsakho kwáni?

– Tak!

– Toż to dobre sto sześćdziesiąt mil stąd...

– Coś koło tego. Szedłem cztery dni.

Wokół rozległ się szmer zdumienia.

– W taką pogodę, bez żarcia? – Ewans patrzył z niedowierzaniem. – Przeszedłeś przez Przełęcz Elk Head? To w zaprzęgu masz chyba diabły...

Przybysz skrzywił się niewyraźnie.

iii... wszedł mi pod łufę jakiś wilk. Mogły się przyzwocicie nażreć. Inaczej by nie doszły.

– A ty, czym się żywiłeś?

– Dla mnie też starczyło...

Znów patrzyli na poły z niedowierzaniem, na poły ze zdumieniem.

– To co u diabła w środku zimy robiłeś tak daleko na północy?

– Niezupełnie na północy. Idę ze wschodu.

– A dokładnie? – Ewans nie zamierzał widać ustępować.

– Z Fort Nelson! Tyle tylko, że północnym szlakiem.

Na dźwięk słów Fort Nelson Janet poruszyła się gwałtownie i już zamierzała coś powiedzieć, gdy powstrzymało ją ostrzegawcze spojrzenie Hooda i jego słowa:

– I aż z tak daleka ciągniesz z sobą to czarne bydło?

– Mniej więcej.

– Masz go od szczeniaka? – słowa Kestera brzmiały na poły twierdząco, na poły pytająco.

– Interesuje cię pies? – Beznamiętne spojrzenie prześliznęło się po szczurzej twarzy szulera, jego chudej postaci i nisko zawieszonym rewolwerze.

– Pies ciekawy. Nie widziałem takiego w tych okolicach.

– Nie, nie od szczeniaka. Przyplątał się na początku zimy, gdzieś między Finlayson a Pelly River. Nie pamiętam już dokładnie. Błąkał się, to i zabrałem.

Janet ponownie chciała coś powiedzieć, ale tym razem powstrzymał ją Norton; jednocześnie bliżej przysunął się O’Kelly, pochylił nad stołem i wpil ostre spojrzenie w twarz mówiącego.

– Ciągniesz więc na zachód. Pewnie do Dawson? – spytał.

– Zgadłeś.

– Nigdy tam jeszcze nie byłeś?

– Nie!

– Można wiedzieć, jak się nazywasz?

Nieznaczone zwężenie oczu, chwila jakby wahania. Nie wydawało się prawdopodobne, by wieści dotarły aż tutaj, ale...

– Mówią na mnie Blake, jeśli cię to interesuje. John Blake. – Nie był pewien, czy nie zauważyli tej chwili wahania.

– A jak wabi się twój pies? – O’Kelly był wyraźnie dociekliwy.

– Pies... Wołam go Barri..., ale pewnie kiedyś..., zanim przystał do mnie, wołali go inaczej.

– To mówisz, że w Dawson nie byłeś nigdy, że nazywasz się John Blake, a twój pies Barri?

– Coś w tym rodzaju.

O’Kelly chwilę jeszcze patrzył na przybysza z zaciekawieniem, po czym wyciągnął z kieszeni, pogniecioną trochę gazetę i starannie ją rozprostował.

– Pewno zainteresuje cię, Blake, a i pozostałych tu dżentelmenów – dodał – notatka, jaką wydrukował „The Nugget”. Byłem niedawno w Klondike i ten numer wpadł mi przypadkiem w ręce. Zabrałem kawałek.

Patrzyli ze wzrastającym zaciekawieniem. Twarz rzekomego Blake’a nie wyrażała żadnych uczuć, jedynie wzrok stał się jakby bardziej czujny.

O’Kelly chwilę odczekał, przysunął gazetę bliżej lampy i przeczytał. Informacja brzmiała lakonicznie.

„W związku z tajemniczymi okolicznościami śmierci Turnera Jacksona i zniknięciem Gertie Lovejoy, policja poszukuje podobno niejakiego Roddy Dowsona, lat około dwudziestu sześciu, wzrostu nieco ponad sześć stóp. Poszukiwany ma dużego czarnego psa o imieniu Hektor”.

– Pasuje, prawda Blake? Wystarczy zmienić nazwisko, reszta jak ułał. – O’Kelly złożył gazetę i uśmiechnął się złośliwie. – I co teraz powiesz?

Roddy przemknął spojrzeniem po twarzach pozostałych mężczyzn. Nie wróżyły nic dobrego. Spojrzał tęsknie na pas z rewolwerem. Leżał na stole. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Ale nie. Ten o wyglądzie szulera był szybszy. Niby nie mierzył, ale lufa pistoletu, który nie wiadomo jak wskoczył mu w łapy, kierowała się teraz niedwuznacznie w jedną stronę. Trudno, nie mógł ryzykować.

– A co cię interesuje? – patrzył spokojnie w twarz O’Kelly’ego.

– No, czy byłeś w Dawson i skąd masz tego psa? I oczywiście, czy mister Blake i Roddy Dowson to przypadkiem nie ta sama osoba?

Zdecydował się w jednej chwili.

– Dobra. Macie prawo wiedzieć. Nie chciałem gadać po próżnicy, bo po co sobie robić od razu kłopot. – Skrzywił się niewyraźnie i wierzchem dłoni otarł jakiś strzęp tytoniu, który przykleił mu się do ust. – Rzeczywiście ta notatka to o mnie, tyle tylko, że o tym jakimś Jacksonie nic nie wiem. Nie wiem, kto to wymyślił, ale fakt, że gliny przemaglowały mnie gruntownie. Żeby im się nie zachciało powtarzać zabawy, zwinąłem się z miasta. Pies zwie się Hektor. Nie przybłąkał się. Za puszkę prochu dostałem go od jednego dzikiego. Dobry pies i... – przerwał na dłuższą chwilę. Tamci musieli przecież zauważyć, szczególnie dziewczyna. Musieli więc wiedzieć. Jeśliby nie powiedział... Nie, wtedy mogłoby być znacznie gorzej... – i jeszcze jedno. – Rozpiął bluzę i kołnierz od koszuli. Z szyi zdjął zawieszony na cienkim łańcuszku niewielki medalion i położył na stole. – Pies miał to przypięte pod obrozą. Zdjąłem, żeby nie zgubił. Resztę znacie. – Ponownie zaczął skręcać papierosa. Nie patrzył na nich, ale którymś zmysłem wyczuł, że zaczynają się wahać. Nie, nie uwierzyli mu, nie łudził się, ale sporo argumentów wytrącił im z ręki. Trzymając papierosa patrzył na palce. Nie drżały. Musiało wrócić w nich krążenie. A przecież jeszcze godzinę temu nie mógł utrzymać w ręku bata i zaczynał mieć niejakie wątpliwości, czy dobrnie do

tego cholernego obozu. Ruszając z ostatniego postoju nie przewidział, że temperatura jeszcze spadnie i że prawie cały czas będzie szedł pod wiatr.

Dziewczyna sięgnęła po medalion. Widział ruch ręki i z mimowolnym podziwem odnotował, że miała długie smukłe palce. Usłyszał cichy metaliczny trzask. Musiała otworzyć wieczko. Nie, nie ryzykował spojrzenia, ale słyszał, że oglądają i inni. Oglądali oczywiście to, co było wewnątrz, i coś szeptali. Domyślał się. Wiedział, co krył medalion. Otwierał go dziesiątki razy.

W końcu jakieś poruszenie. Wyczuł, że pochyliła się nad stołem i że patrzy na niego.

– To mój medalion – powiedziała z naciskiem – a właściwie to medalion mojego brata – poprawiła się. – Dostał go ode mnie.

Nie podnosząc oczu kiwnął głową.

– Weź sobie – powiedział obojętnie. – Mnie nie jest potrzebny.

– Ale, Nanty, to znaczy brat, nosił go na piersiach. Nie zdjął sam.

Wykonał rękoma bezradny gest i wzruszył ramionami. – Nie wiem. Znalazłem pod obrozą, gdy odkupiłem psa.

– Od tego Indianina?

– Tak! – Teraz dopiero podniósł wzrok. Zdjęcie w medalionie kłamało. W rzeczywistości była jeszcze piękniejsza. Tylko oczy miała takie same.

– Między Finlayson a Pelly, powiedziałeś – spytał Norton. – Pamiętasz tego dzikiego? Znasz go może?

– Nie bardzo. Ale wiem, że to myśliwy z plemienia... Slave.

– I to wszystko co wiesz o psie i o medalionie?

– O psie wiem więcej.

– Co?

– Dobry na wilki. Nie lubi ich.

– To pies tej pani, Roddy. Tak jak i medalion.

– Medalion, zgoda, ale pies jest mój. Dałem za niego puszkę prochu.

– Możesz udowodnić, że to prawda? I myślisz, że dziki nie zauważył medalionu i nie zdjął go psu? Oni wszyscy łąsą na błyskotki. A jeśli z Jacksonem, jak powiadasz, nic nie miałeś, to nie musiałeś uciekać przed Mounties. Chyba jednak łżesz? Co myślicie, chłopaki, gada prawdę czy łżę?

– Łżę, na pewno łżę. Kręci! To lepszy numer – przekrzykiwali się wzajemnie.

Ewans podniósł rękę.

– Nie drzyjcie się tak.

O co go oskarżacie? Bo gadać może co chce. To mu wolno. Może nawet łągać. Jego sprawa. Łgarstwo to jeszcze nie przestępstwo. O jakie przestępstwo chcecie go oskarżyć?

Do przodu wysunął się Oates.

– To chyba jasne, Bart. Sprzątnął brata tej dziewczyny, Jacksona, i Bóg wie jeszcze kogo. I nie ma się co patyczkować.

– Zaraz, zaraz Randal. Nie tak prędko – Ewans podniósł ponownie rękę. – Może panna Wharton będzie tu miała jeszcze coś do powiedzenia.

– A co ta... – Drwał wyraźnie zamierzał sobie pofolgować na dziewczynie.

– Dobra, Randal. Wiemy, jaki jest twój stosunek do panny Wharton. Ja popytam, jeśli pozwolicie. – Powiódł spojrzeniem po obecnych, a widząc aprobatę, zwrócił się do dziewczyny.

– Czy pamiętasz, Janet, rzeczy, które zabrał z sobą brat, gdy wyruszył stąd wiosną?

– A co nas obchodzą inne rzeczy Nanty Whartona, skoro najważniejsze, pies i medalion, są w posiadaniu tego ptaszka. To chyba wystarczy – Oates wpił ostre spojrzenie w twarz Ewansa.

Norton przytrzymał Drwala za ramię.

– Nie gorączkuj się i daj pogadać Bartowi z dziewczyną.

Myśliwy ponownie zwrócił się do Janet.

– A więc, czy twój brat miał z sobą jeszcze coś szczególnego, znacznego, może wartościowego?

Zastanawiała się tylko chwilę.

– Tak Bart, miał. Miał stary srebrny zegarek kieszonkowy z dewizką, z monogramem ojca, oczywiście broń i...

– I co, dziecko?

– I mapę. – Milczała chwilę. – Nno..., mapę pewnej okolicy – dodała powściągliwie. Na wszelki wypadek wołała nie określać dokładniej tego, co zawierała mapa.

– Rozumiem. Czy może jeszcze coś?

– Nie, chyba nic więcej. W każdym razie nic szczególnego..., a – przypomniała sobie. – Scyzoryk, taki niewielki o jednym ostrzu. Okładki były z masy perłowej. I na pewno nic więcej.

Ewans wyprostował się i spojrzał na Dowsona.

– Słyszałeś, co mówiła panna Wharton. Czy masz któryś z tych przedmiotów, które wymieniła?

Roddy zaprzeczył stanowczo.

– Nie mam. U tego Slave też nie widziałem.

Ewans przesunął z namysłem ręką po brodzie.

– Nie masz nic przeciwko temu, że się przekonamy?

Może i miał, ale nie okazał tego.

– Dobra, stary. Możesz mi opróżnić kieszenie. – Podniósł się ze stolka i uniósł ręce nad głową.

Traper wywrócił wszystkie kieszenie na zewnątrz. Nie kryły jednak niczego szczególnego.

– To cały twój dobytek? – spytał.

– Nie, mam jeszcze worek na saniach.

Kilku poszło sprawdzić. Gdy wrócili w kilka minut później, Rawlins pokręcił głową.

– Nic nie ma, nawet żarcia. Tylko trochę łańców na zmianę. Znów patrzyli po sobie niepewnie. Ewans wyczuwał ich wahanie. Sam się wahał. W końcu spojrzał na Janet i powiedział niepewnie: –

To był twój brat, Jess. Ty masz prawo zdecydować: winien czy nie?

Czuła, że wszyscy patrzą na nią. Spojrzenia mieli ciężkie, twarde, bezlitosne. Patrzył również obcy. Musiał wiedzieć, że waży się jego losy. Patrzył jednak bez zmrużenia powiek, prawie obojętnie, może z odrobiną ciekawości; ale niczego więcej.

– Nie wiem – powiedziała cicho i opuściła głowę. – Naprawdę nie wiem!

– A czego tu jeszcze trzeba? Ma psa, twój medalion i załatwił tego tam, no... w Dawson. Ściga go policja. Załatwimy to za nich.

– Z głosu Drwała biła brutalna siła i pewność.

– Masz chyba rację, Randal – Jerry Norton pokiwał głową z aprobatą – ale rada twoja nie jest wykonalna. –

Niewykonalna? – Oates podniósł głos. – A to z jakiego powodu? Drzew w okolicy jest sporo. Kto nam przeszkodzi? No, kto? – Wysunął zaczepnie masywny, kanciasty podbródek.

– Prawo, Randal! – Norton powiedział to bez żadnej intonacji. – Nawet jeśli jest winien, to należy do prawa, nie do nas. Spróbuj go powiesić, a policja powiesi ciebie. Rozumiesz? Nie lubią samosądów – dodał.

– No więc co? Chcesz, żebyśmy go wlekli do kaprała Patersona?

– A po co mamy go wlec? To wcale nie tak daleko. Jeśli jest niewinny, pójdzie sam, a jeśli winny, to wybierze inną drogę. Jego sprawa. Jak myślisz, Bart? – zwrócił się do Ewansa.

Traper ponownie przeciągnął ręką po brodzie.

– Hm... Rada niegłupia. Powinien zameldować się u Patersona. Wtedy sprawa byłaby jasna. Ale nie myślisz chyba, że jeszcze dziś. Ma dosyć i nie zrobi nawet jednej mili. Trza poczekać, aż minie zawierucha. Do tego czasu posiedzi pod naszym okiem.

– Nic z tego, Bart. – Norton zaprzeczył zdecydowanie. – Nie może tu pozostać i nikt z nas nie może udzielić mu pomocy. Za pomaganie przestępcom też grozi kara. Musi iść na posterunek. Jeśli bez żarcia przywędrował tu, zajdzie i tam.

– Nie ujdzie nawet mili – powtórzył Ewans. – A nawet gdyby przeszedł tyle, dopadną go wilki. W pojedynkę nie poradzi sobie. To tak, jak byśmy go powiesili, albo gorzej.

Norton wydawał się zastanawiać. Jednocześnie pilnie obserwował twarze otaczających go mężczyzn. Nie wróżyły nic dobrego. Większość wydawała się być przekonana o winie Dowsona. I chyba mieli chętkę powiesić go. Na pewno poparliby Oatesa, gdyby nie obawa przed konsekwencjami. Z tego względu powinni zgodzić się na drugie rozwiązanie. W ich przekonaniu musiało być tak samo pewne, a nie niosło żadnego ryzyka.

– Nie, Bart! Nie możemy go tu trzymać, pilnować, karmić, ale i nie możemy powiesić. Najlepiej, jeśli pójdzie sam na posterunek. Tam Paterson i Barnes zdecydują. Ale żeby było uczciwie, proponuję głosować. Kto jest za tym, żeby wysłać go na posterunek, niech podniesie rękę.

Podnieśli prawie wszyscy. Przeciwny był Ewans, Kean, Freeman i tylko jeszcze kilku.

Roddy nie zdziwił się wynikiem. Dziwiłby się, gdyby zdecydowali inaczej. Wahałby się, gdyby chodziło tylko o psa. Nie uwierzyli w historię z medalionem. Sam by nie uwierzył. No, a ostatecznie sprawę przesądzała ta notatka w „The Nugget”. Chwilę jeszcze siedział w milczeniu, po czym podniósł się ociężale. Sięgnął po pas nadal leżący na stole i... w tym momencie do przodu rzucił się Oates. Nie zdążył jednak. Roddy trzymał już broń w ręku. Drwał zatrzymał się w pół skoku i warknął:

– Zostaw to!

Roddy utkwiał wzrok w jego oczach i powiedział cicho:

– Nie wiem, przyjacielu, dlaczego chcesz mnie wyprawić tamten na świat. To twoja sprawa. Tylko że przed chwilą głosowałeś za tym, bym udał się na posterunek. Inni też. Wiesz, że bez broni nie dojdę. Może nie dojdę i z bronią, ale bez niej nie ruszę się stąd i możecie mnie powiesić. – Wsunął rewolwer do pochwy i położył ponownie na stole. – No, możecie mnie wieszać!

Oates patrzył jeszcze chwilę, wreszcie uciekł spojrzeniem i cofnął się.

– Weź swoją broń – powiedział Ewans. – Oczywiście, że sam nie masz szans, ale może dojdziemy we dwóch. Bart Ewans też ci nie wierzy, ale nie chcę cię osądzać. Osądzi cię Bóg, ale zanim co, spróbujemy zobaczyć, jak polują dziś wilki. Zabieraj rewolwer i idziemy, bo nie podoba mi się to towarzystwo, do pioruna.

– Dziękuję ci, Bart, ale to niepotrzebne. Nie ciebie tu osądzono, i nie ciebie wyrzucają. Zostań. Poradzę sobie sam. – Ponownie sięgnął po broń i już bez żadnych przeszkód z czyjejkolwiek strony zapiął pas dookoła bioder. Z kieszeni wyciągnął bryłkę złota i bez słowa położył obok talerza.

W pięć minut później stojąc już przy drzwiach, jeszcze raz powiódł spojrzeniem chyba po wszystkich twarzach. Najdłużej zatrzymał wzrok na twarzy dziewczyny. Nie patrzyła jednak na niego. Patrzyła w podłogę i ścisnęła w ręku łańcuszek od medalionu.

Świsnął cicho i w następnej chwili stanął przy nim pies. Dopiero teraz uniosła powieki. W oczach zapaliły się gniewne błyski. Jak to? Przecież pies należał do niej.

– Zostaw psa – wykrztusiła. – Nie mogę, panno Wharton!

Mówiłem: jest dobry na wilki. Lepszy niż parę karabinów. Jeśli się spotkamy jeszcze, zwrócę za darmo, a może on sam wróci. – W następnej chwili wraz z psem zniknął za drzwiami.

Stała bez ruchu z pobladłą twarzą. A więc pies poszedł z nim, pies wychowany przez nią i przez Nanty'ego od szczeniaka. Poszedł z obcym, może właśnie z mordercą...? Przez myśl co najmniej kilku z obecnych przemknęły podobne wątpliwości. W czyichś oczach zapaliło się na moment podejrzone światelko. Ktoś zakasłał nieoczekiwanie, ktoś zachowując obojętną twarz ścisnął pięści. Ktoś jeszcze inny mocno zważył szczęki.

Potężny szkwał uderzył w ściany budynku. Mroźna zamieć przybierała na sile...

Rozdział XVIII

Przeklęty rejon

Zamieć trwała jeszcze pełne pięć dni. W czwartek wieczorem ucichł wiatr, a w kilka godzin później zaczął podnosić się słupek rtęci. Z samego rana w piątek przybyli do obozu kapral Paterson i konstabl Barnes. O wydarzeniach, jakie rozegrały się w obozie kilka dni wcześniej, nie mieli pojęcia. Nie zjawił się u nich Roddy Dowson ani nikt inny. Owszem, właśnie chyba w sobotę poprzedniego tygodnia, gdzieś na północ od posterunku słyszeli nocą strzały. Nie sprawdzali jednak. Strzały dochodziły gdzieś z bardzo daleka i trudno było ustalić właściwy kierunek. Nigdzie w pobliżu posterunku, a także na trasie między posterunkiem a obozem nie natknęli się na żadne ludzkie ślady. Owszem, widzieli sporo świeżych tropów wilczych. Według Barnes'a horda musiała liczyć dobrze ponad sto sztuk zwierząt.

O Dowsonie opowiedział kapralowi Norton, później jego opowieść uzupełnili inni. Paterson z uwagą przeczytał notatkę w „The Nugget”, ale zdaje się, że daleko bardziej zainteresowały go losy Nanty Whartona i Janet kilkakrotnie musiała mu powtarzać niektóre szczegóły związane ze zbrodnią dokonaną przez nie ustalonych sprawców na osobach starego Whartona i owego Norrisa. Kapral był dociekliwy i łatwo wydobył z dziewczyny rzeczywisty powód, dla którego pojawiła się właśnie tutaj z bratem. Dowiedział się więc zarówno o bonanzie zamordowanego poszukiwacza, jak i o mapie, którą ten sporządził wspólnie z Nanty Whartonem. Co więcej, Janet przyznała, że mapę tę Nanty zabrał z sobą, wyruszając na poszukiwanie odkrywki Norrisa i jego córki.

To co do tej pory było znane zaledwie kilku osobom, stało się tajemnicą wszystkich. Bez trudu zaczęto kojarzyć teraz różne pozornie oderwane fakty i wydarzenia, jakie miały miejsce w obozie zimą, z tymi, które Janet i jej rodzina przeżyli wcześniej.

Obraz, jaki zaczął wyłaniać się przed oczyma wszystkich, był dosyć wyrazisty: oto grupa przestępców spotyka na swej drodze Norrisa, któremu udało się znaleźć strumień pełen złota. Nieostrożny i pewnie łatwowierny poszukiwacz zdradza tajemnicę i prowadzi przestępców nad potok. O dzień czy dwa dni drogi od celu odkrywa zamiary swych rzekomych współników i ucieka. Ale banda ściga go i wreszcie dopada w pobliżu faktorii Whartona. Dowiedziawszy się, że Norris żyje, przestępcy pozostają gdzieś niedaleko i czekają następnej okazji. Domyślają się, że Norris, któremu Whartonowie uratowali życie, powie na pewno swym opiekunom o złocie, a może nawet ujawni miejsce, gdzie znajduje się bonanza. Przy najbliższej okazji pozbywają się poszukiwacza i zarządcy faktorii, ale oszczędzają młodego Whartona, który może znać drogę do potoku. Nie odchodzą z miejsca zbrodni, lecz czekają, co uczyni Nanty. Obserwują jego odejście z faktorii i nie mają wątpliwości, dokąd i w jakim celu udaje się rodzeństwo. Nie przeszkadzają mu. Docierają aż tutaj, a potem idą w góry za bratem Janet. Są pewni, że doprowadzi ich do skarbu. Nie wiadomo, czy banda osiągnęła swój cel. Nie wiadomo, czy Nanty Wharton podzielił los Norrisa i swego ojca, czy nie. Nie wiadomo, czy doprowadził przestępców do złota. Pewne jest jednak, że banda pozostała gdzieś w pobliżu. To właśnie ona zastrzeliła Monty Burnsa i jego pomocnika, zabierając dwie pary sań z zaopatrzeniem. Ona dokonała zamachu na Oatesa, a ostatnio rabunkowego napadu na żonę Harveya i kradzieży żywności. I to było jasne dla wszystkich. Jasna też wydawała się

rola Roddy Dowsona. Miał psa i medalion Janet. Musiał więc być jednym z tych trzech. Nie wiadomo było, po co chodził do Dawson i czego tam szukał. Ale nie miało to większego znaczenia. Gdyby rzeczywiście był niewinny, spróbowaliby dotrzeć na posterunek i oddałby się pod opiekę prawa. Tego nie uczynił jednak. Droga przez las była prosta, nie mógł zbłądzić. A więc poszedł gdzie indziej. A w jakim celu przyszedł tu nad Wild Creek? Skąd znał położenie tego obozu, czego tu szukał...? Dopiero teraz zdali sobie sprawę, jaki popełnili błąd. Gdyby byli posłuchali rady Ewansa, dzisiaj mieliby Dowsona w rękach i potrafiliby go zmusić, by wskazał drogę do miejsca, gdzie znajdowało się pozostałych dwóch członków bandy. Mogliby ją załatwić bez żadnych problemów.

Paterson był tego samego zdania. Słyszeli, jak po cichu robił wyrzuty Nortonowi. Ten bronił się słabo. Widocznie zdawał sobie sprawę, że tym razem chyba za bardzo dał się ponieść emocjom.

– Widzisz, Brian – starał się jakoś usprawiedliwić, w oczach oficjalnego przedstawiciela władzy – gdy zobaczyłem tego bezczelnego łotra z psem dziewczyny, gdy Jess powiedziała mi, że Dowson ma na szyi jej medalion, gdy zrozumiałem, że to na pewno morderca jej brata, mgła przysłoniła mi umysł. Chciałem rozedrzeć drania gołymi rękoma bez względu na skutki. Nie wiem, jak się powstrzymałem od tego.

– Ale jak O’Kelly i Spencer mogli pozwolić, by ptaszek się wymknął? Myślałem, że mają więcej rozumu i odpowiedzialności.

– Nie mów Brian o poczuciu odpowiedzialności, gdy chodzi o Janet.

– Nie rozumiem, Jerry. Co ma z tym wspólnego Janet?

– ... chyba nie jesteś ślepy. Janet to cudowna dziewczyna. I gdy pomyślałem, że taki łotr mógł skrzywdzić jej brata, straciłem głowę. Duncan i Ben wiedzą. Znają mój stosunek do dziewczyny.

– Czy ty i ona... – Paterson podniósł ze zdziwieniem brwi. – Nic nie wiedziałem.

– Nie, Brian. Ona o moich uczuciach nic nie wie. Widzisz, czekałem na jej brata. Nie chciałem wykorzystywać sytuacji samotnej dziewczyny. Nic jej nie mówiłem. Nie wiem nawet, czy się domyśla, ale jeśli każe, skoczę w ogień. To przecież właśnie z tego powodu omal nie poczęstowałem kulą Oatesa. Zresztą prędzej czy później chyba go to czeka. Może zresztą nie tylko jego – dodał ponuro.

Paterson chwilę milczał, wreszcie pokręcił niezdecydowanie głową. – Nie podoba mi się to, Jerry. Nie, nie chodzi o dziewczynę. Tu ci się nie dziwię i sam gdybym był młodszy i miał trochę inną gębę, to kto wie, pewnie miałbyś konkurenta. Nie, nie chodzi o pannę Wharton. Nie podobają mi się inne rzeczy. I myślałem, że ty i Ben, a może jeszcze ktoś w tym obozie – Strickland nie puszcza pary z gęby o tych z Oddziału Specjalnego – nie tylko będziecie mieć oko na wszystko, ale i wystarczająco zimną głowę. I nawet przez myśl nie przeszłoby mi, że wypuścicie z rąk taki ślad jak Roddy Dowson.

Norton poczuł się niewyraźnie. Rzeczywiście, w sprawie Dowsona nie zachował się najlepiej, może nawet trochę głupio. Przynajmniej niektórym mogło się tak wydawać. Gorzej, że wydawało się tak również Patersonowi. Nie wyglądał na zbyt roztargnietego, ale wnioski jakie wysnuwał, i jakie pewnie zamieści w swym raporcie do Stricklanda, mogły spowodować pewne konsekwencje wcale nie najbardziej korzystne. Wprawdzie nim raport dojdzie, nim nadejdą nowe rozkazy, minie trochę czasu, być może wystarczająco długo, by sprawa nabrała zupełnie nowego znaczenia i wkroczyła w całkowicie nowe stadium, niemniej sam niepotrzebnie odsłonił część kart, która jeszcze jakiś czas winna była pozostać zakryta. Dobrze, że chociaż sprawę z dziewczyną kapral potraktował zwyczajnie. Byłoby nie najlepiej, gdyby w swym raporcie chciał wykorzystać jeszcze i to.

Oczywiście ogólne wnioski, jakie wyciągano z różnych znanych teraz powszechnie wydarzeń, były na pewno prawidłowe, przynajmniej z grubsza, jednak tylko ogólne, bo co do szczegółów... Tak. Roddy Dowson nie pasował tu, przynajmniej na razie. Stanowił jakąś inną

kartę, której Norton nie znał jeszcze; nie miał jednak wątpliwości, że kartę mocną. Kto jednak w nią grał i w jakiej sprawie?

Niewiadomą pozostawał Oates. Ta jego niezrozumiała niechęć do dziewczyny. Może coś więcej niż niechęć. Albo Hood. Ich wczorajsze zachowanie. Właśnie. Nienawidzili się serdecznie i to przynajmniej od czasu owego pamiętnego pokera. Schodzili raczej sobie z drogi, ale wczoraj zachowali się prawie identycznie. Jeden był gotów zastrzelić Dowsona, drugi byłby niechybnie z przyjemnością założył mu postronek na szyję. Wprawdzie, jeśli chodziło o Kestera, można było zrozumieć. Lubił Janet, nie ukrywał tego specjalnie, no a skoro uważał Dowsona za zabójcę brata dziewczyny, jego reakcja wydawała się prawidłowa. Zupełnie niewytłumaczalne wydawało się zachowanie Drwala. Nienawidził dziewczyny, a więc winien oszczędzać jej wrogów. Tymczasem właśnie on wyrwał się z tym wieszaniem. Czyżby może gdzieś wcześniej zetknął się z Dowsonem i tamten załaził mu bardziej za skórę...?

– Nad czym tak dumasz, Jerry? – Do rzeczywistości przywołał go głos Patersona.

Opanował się.

– Nad niczym specjalnym, Brian. Zastanawiam się, dlaczego Hood chciał Dowsona zastrzelić, a Oates powiesić. Dziesięć pensów za odgadnięcie tego. Drugie dziesięć za najmniejszą nitkę łączącą Dowsona z zaginionym patrolem sierżanta Allana Wellera nad Duck Creek. I trzecią dziesiątkę za ustalenie, który z mieszkańców obozu jest na usługach tej trójki, która sprzątnęła Norrisa i zapewne obydwu Whartonów, Burnsa i okradła Harveyów. Bo mają tu swojego szpiega, lub jest to jeden z nich. Raport napisz, kiedy to odgadniesz. Dodatkowo zarobisz trzydzieści pensów... – z tymi słowy odwrócił się i nie czekając na odpowiedź zatrzymał przechodzącego Harveya i wdał się w jakąś dłuższą z nim rozmowę.

Paterson odprowadził go wzrokiem, po czym rozejrzał się po izbie. Dopiero teraz uświadomił sobie to, co powinien był zauważyć na początku: znów nikt nie oddawał barmanowi broni. Wystarczyło parę dni, by zapomnieli o kategorycznym nakazie. Nawet Norton nosił swoją. Cóż. Wydarzyło się tyle różnych rzeczy. Każdy miał prawo do obrony. Z rewolwerem pod ręką czuli się pewno bezpieczniej. Rada Nortona, by napisać raport, gdy znajdzie odpowiedź na te trzy pytania, a może i na inne, nie była głupia, tyle że niewykonalna. Paterson, o czym poza Barnesem nie wiedział nikt, pisał raporty znacznie częściej. Znacznie częściej niż kiedykolwiek, szczególnie ostatnio. I to wcale nie dlatego, że miał na to ochotę. Coraz częstszych i coraz bardziej szczegółowych raportów domagał się Strickland, raportów o wszystkim i... o wszystkich: o Ewansie, o Dolly Burns, o Oatesie, Hoodzie, Janet Wharton, o Harveyu, Rawlinsie, braciach Gerrick, Freemanie, Keanie, Wolseyu, a nawet o Babs.

Na szczęście Barnes zaprzyjaźnił się z Ewansem, a ponieważ ten ze znanych sobie powodów wolał mieć dobre stosunki z miejscowym posterunkiem, znał wszystkich jak mało kto i lubił gadać, raporty Patersona stawały się coraz grubsze i według jego opinii coraz mniej z sensem. Strickland jednak widocznie był całkiem innego zdania, skoro goniec od niego meldował się na posterunku co siedem dni. Było ich właściwie dwóch i zjawiali się na zmianę. Zawsze nocą. Nawet w czasie tej strasznej zamieci. Odpoczywali kilka godzin, zmieniali zaprzęg i ruszali w powrotną drogę. Gdy ostatnim razem Paterson, widząc co się dzieje za oknem, próbował zatrzymać zmordowanego posłańca chociaż na jeden dzień, by odetchnął, tamten, prawie gołowąs, tylko fuknął i powiedział coś w tym sensie, że innym, którzy tkwią w sprawie po uszy, wcale nie jest łatwiej, że nadstawiają karku w każdej chwili i że nie chodzi tylko o patrol Wellera, ale także o życie innych. Jeszcze raz nakazał ścisłą tajemnicę i dokładne wykonywanie poleceń inspektora.

Kapral nie był nowicjuszem. W służbie spędził kilkanaście ładnych lat i wiedział, czym jest obowiązek. Chociaż nie grzeszył może nadmiarem wyobraźni, znał wymogi służby i rozumiał, że nie przedsiębrano by takich środków ostrożności, gdyby nie chodziło o sprawę

największej wagi. Wcześniej już domyślił się czegoś innego. Posłańcy Stricklanda nie odwiedzali tylko tego posterunku. Gdzieś w pobliżu musieli się spotykać jeszcze z kimś. Wpadł na to zupełnie przypadkowo. Oto następnego dnia, po którychś z rzędu odwiedzinach, wyszedł rankiem rozejrzeć się za wilczymi śladami. Niemal mimowolnie poszedł śladami zaprzęgu, który nad ranem ruszył z posterunku. O cztery mile dalej, i mniej więcej w takiej samej odległości od obozu na Wild Creek, spostrzegł samotny ludzki trop. Trop ten łączył się ze szlakiem posłańca z Fortu Herchmer, ale nie przecinał go. Widać było wyraźnie, że w tym właśnie miejscu sanie zatrzymały się. Widać było ślady leżących i odpoczywających psów. Posłaniec spotkał tu innego mężczyznę. Siedzieli na saniach i pewno rozmawiali jakiś czas. W pobliżu Paterson znalazł niedopałek papierosa i kupkę popiołu wytrąsniętą z fajki. Potem ten drugi wrócił po swych śladach. Podążył nimi i Paterson. Ślady zaprowadziły go do obozu, wprost do szynku. Oczywiście, gdyby zadał sobie trochę trudu, mógł ustalić do kogo należały, nie był jednak pewien, czy podobałoby się to jego przełożonym. Poniechał więc dociekania sprawy na własną rękę. Strickland zaufał mu, a on nie miał prawa zawieść zaufania. O odwiedzinach posłańców nie wspomniał nikomu w obozie, mimo że korciło go czasem, by pogadać o tym z Nortonom, bo w tym przypadku, czego był pewien, mógł liczyć na całkowitą dyskrecję. Rozkazy jednak pozostawały rozkazami, a ci którzy je wydawali, wiedzieli zapewne, co czynią. Niestety, z jakichś powodów skąpili mu informacji. Ot, choćby taki Dowson. Z gazetowej notatki, i z tego o czym wspominał on sam, policja przycisnęła go w Forcie Herchmer. Był więc na oku. Powinni byli przysłać tu chociażby właśnie tę prasową notatkę. Chyba że sprawa nie była tak poważna... Może nie mieli podstaw. Skąd mogli na przykład wiedzieć, że jest zamieszany w sprawę zaginięcia Nanty Whartona, że ma jego psa i medalion dziewczyny? Właśnie. Skąd mogli wiedzieć? Nawet gdyby przysłali taką informację, w niczym nie zmieniałoby to sprawy. Roddy Dowson został wyrzucony stąd i na posterunku nie pojawił się. Może już nie żył... może jego kości dawno ogryzły wilki. Te nocne strzały, jakie słyszeli wtedy z Barnesem, mogły być ostatnim sygnałem jego życia. Paskudna sprawa... Rzeczywiście paskudna: ów patrol z posterunku nad Duck Creek, potem ten Norris i stary Wharton i jakaś bonanza, tajemnicza śmierć Monty Burnsa i zaginięcie jego pomocnika, kradzież u Harveyów, zaginięcie Nanty Whartona i teraz do kompletu ten Dowson. I to wszystko w promieniu stu kilkudziesięciu mil, w rejonie, który powierzono właśnie jemu – Brianowi Patersonowi, kapralowi North-West Mounted Police. Przeklęty rewir – splunął ze złością.

Gdy popatrzył na zegarek, ścierpła mu skóra. Zbliżało się południe, a on właśnie dzisiaj musiał znów wysmażyć ten cholerny raport. Było o czym pisać, a czasu pozostało już niewiele. Posłaniec od Stricklanda powinien jak zwykle zjawić się koło ósmej wieczorem. Do tego czasu raport musiał być gotów.

Odszukał Barnes'a i w kilkanaście minut później opuszczali szynk.

Na skraju lasu spotkali indiańskiego myśliwego. Szedł do obozu, by kupić trochę prochu i ołowiu. Po krótkiej rozmowie udali się w swoją drogę i dopiero po dotarciu na posterunek Paterson uświadomił sobie, że tego dnia popełnił prawdopodobnie drugi niewybaczalny błąd. Błąd wprost dziecinny.

Patrząc spod zmrużonych powiek na Barnes'a, spytał niewinnie: – Słuchaj, Keith, po co ten dziki szedł do obozu?

- Jak to po co? Przecież słyszałeś: kupić proch i ołów.
- Mówisz: kupić. Nie domyślasz się, czym chciał zapłacić?
- Do pioruna, rzeczywiście. Nie miał futer... A jeśli nie futrami, to czym...?
- Właśnie!

Barnes sięgnął ponownie po parkę, przypasał rewolwer i zdjął z kołka karabin.

– Dobra, Brian, sprawdzę to. Gdybym nie zastał go w obozie, pójde po śladach. – W parę chwil później zniknął na leśnej ścieżynie wiodącej do obozu.

Paterson odprowadził go melancholijnym spojrzeniem. Cóż, taka była służba. Nie mógł pójść sam. Musiał pisać raport, ale musiał też wiedzieć, czym Indianin chciał płacić za zakupy. Jeśli bowiem nie miał futer, to mógł mieć tylko złoto. Indianie zaś złota nie płukali, przynajmniej w tych okolicach. Rzec więc trzeba było wyjaśnić i to natychmiast...

Bez entuzjazmu sięgnął po służbowy blok papieru, zaostriął ołówek i z ciężkim westchnieniem zabrał się do pisania.

Tymczasem indiański myśliwy daleki był od zastanawiania się nad skutkami spotkania z obydwoma przedstawicielami policji. Zaledwie zniknęli mu z oczu, podążył prosto do szynku.

W wejściu przywitał go gwar zmieszanych głosów, zapach tytoniowego dymu i jeszcze jeden zapach, nieco ostrzejszy. Przystanął niezdeterminowany w progu. Po raz pierwszy w życiu zobaczył naraz tylu białych mężczyzn i widok ten musiał go nieco speszyć, bo dobrych kilkanaście sekund nie ruszał się z miejsca. Przepędował tylko z nogi na nogę, jakby chciał rozgrzać zmarznięte stopy.

Ale i zebrani w izbie również nie pozostali obojętni na widok niecodziennego gościa. Oczywiście nie był pierwszym czerwonoskórym, jakiego tu widzieli; latem i jesienią dość często obóz odwiedzali indiańscy myśliwi przynosząc zwierzynę, wyprawione skóry, różne wyroby z rogu, kości czy drewna, ale od kilku miesięcy nie pojawił się ani jeden. Ten był pierwszy, toteż obserwowali go z ciekawością. Stopniowo milkł gwar rozmów, wreszcie w izbie zaległa cisza.

Widząc niezręczną sytuację i wyraźne onieśmienie przybysza, podszedł do niego Ewans i powiedział łagodnie:

– Witam cię, przyjacielu. Wejdz dalej. Pewno jesteś zmęczony i chcesz trochę odpocząć. Chodź! Jest dosyć miejsca przy stole.

Indianin odparł mocno kaleczoną angielszczyzną:

– Ka-káh też witać. Nie zmęczyć się. Chcieć gadać z mister Harvey.

– Jakim językiem mówi Ka-káh? – spytał traper.

– Ka-káh jest Tsakho kwáni. Mówić językiem jego ludu.

– Niech więc mówi tym językiem. Białe rozumie mowę Tsakho kwáni – odparł w narzeczu Tutchone Ewans. – Co sprowadza mojego brata do obozu białych?

– Ka-káh jest myśliwym, ale jego karabin przestał strzelać. Przyszedł do kupca, który nazywa się Harvey, by kupić proch i kule. Nie wie jednak, który wigwam należy do kupca. Wszedł więc tu. – Ka-káh trafił dobrze. Kupiec jest właśnie tutaj. Chodź, zaprowadzę cię do niego. – Ujął Indianina pod rękę i doprowadził do baru, po czym zwrócił się do Harveya i powiedział: – To myśliwy z dosyć odległego zimowego obozu Tutchone. Przyszedł do ciebie, by kupić proch i kule.

Kupiec skinął głową.

– Jeśli ma czym zapłacić, to powiedz, że kupi to, czego potrzebuje.

Ewans skierował wzrok na Indianina i spytał:

– Czy mój brat ma czym zapłacić za to, co chce kupić, to znaczy, czy ma futra albo skóry, a może coś innego?

– Ka-káh wsunął rękę pod okrywające go futro i wydobyl niewielki irchowy woreczek, którego zawartość wysypał na blat bufetu. – Chce zapłacić tym.

W ciągu kilkunastu chwil otoczył go tłum mężczyzn. Wszystkie spojrzenia skierowały się na połyskującą żółtym blaskiem sporą kupkę nieforemnych, różnej wielkości bryłek. Patrzyli jak zahipnotyzowani. Zaniemówił również Ewans. Takiej ilości tak dużych nuggetów nie widziano tu już dawno. A na pewno nikt nie widział czegoś takiego u indiańskiego myśliwego. Ten zaś widząc dziwne zachowanie się białych i widocznie nie będąc pewnym co ono oznacza, zwrócił wzrok na swego tłumacza i spytał z niepokojem.

– Czy to nie dobra zapłata? Ka-káh nie dostanie za to prochu i kul?

Ewans opanował się i zaprzeczył.

– Mój brat może być spokojny. Otrzyma to, co chce kupić, ale na razie niech nuggety schowa z powrotem do woreczka i zgarnawszy na oczach wszystkich całe złoto, wsypał je do mieszka i zwrócił właścicielowi.

– Ile prochu i kul potrzebuje Ka-káh?

Indianin zastanawiał się tylko chwilę, po czym powiedział pewnie:

– Niech kupiec da dziesięć razy po dziesięć miarek dobrego prochu i tyle samo kul za cały woreczek.

Traper uśmiechnął się. Rozumiał, że Indianin nie ma pojęcia o rzeczywistej wartości posiadanego złota. Powiedział jednak oględnie. – Nuggety warte są więcej. Mój brat, za to co chce kupić, nie musi oddawać wszystkich. Wystarczy jeden lub dwa. Ale nie radzę kupować mu prochu i kul. Widzę, że ma bardzo starą strzelbę. Jeśli nie zależy mu na złocie, które posiada, może sobie kupić dobrą nową strzelbę i gotowe naboje. Może kupić taki karabin, jakich używają biali. Złota wystarczy mu nawet na kilka takich strzelb i na dużo naboji.

– Co ty tam kraczesz, stary? – wtrącił się Oates. – Wszyscy chcemy wiedzieć o czym gadasz.

– Nie gorączkuj się, Randal. Jak was coś będzie interesowało to powiem. Na razie ustalę z naszym przyjacielem listę jego zakupów, bo jeszcze nie jest do końca zdecydowany.

– No to ustalaj, byle prędko. Chcielibyśmy pogadać z nim o złocie. Skąd je ma? Chyba nie odmówisz i przetłumaczysz dla wszystkich.

– W porządku, ale jak skończymy z zakupami. – To powiedziawszy zwrócił się ponownie do Ka-káh. – No więc jak? Czy mój brat kupi proch, czy pójdzie za radą starego myśliwego i zdecyduje się na nowy karabin i gotowe naboje?

Indianin przytaknął skwapliwie:

– Oczywiście, że kupi karabin. Chciałby też mieć nowy nóż i pas do nabojów, jakie noszą biali, i grubą koszulę, albo dwie.

Ewans skinął głową.

– Dobrze. Powiem to teraz kupcowi, a potem pójdziemy razem do jego magazynu i Ka-káh wybierze sam, co mu potrzeba. Teraz niech poczeka. Przetłumaczę.

Jak się okazało Harvey miał jeszcze kilka sztuk broni i amunicji, a także inne rzeczy, które chciał kupić Indianin. I co ważniejsze, nie obawiał się o zapłatę. Poprosił, by w barze zastąpiła go przez jakiś czas Babs i wraz z niespodziewanym klientem oraz traperem udał się do domu.

Gdy wrócili w pół godziny później, Indianin dumnie niósł nowy karabin. Na biodrach miał zapięty pas z amunicją i długi nóż bowie, a za pasem zatknięty krótki błyszczący toporek. Na plecach dźwigał solidnie wypełniony worek. Minę miał pewną i widać było, że z zakupów jest zadowolony. W widoczny sposób zyskał też pewność siebie.

W izbie wszyscy czekali. Nie tylko Oates, ale i inni widzieli złoto, sporo złota. I nie był to piasek. Indianin posiadał same bryłki. Były wśród nich takie wielkości ziarnka pieprzu, ale i większe. Niektóre większe niż ziarna fasoli. W miejscu, z którego je wydobyto, musiały znajdować się miliony, a przynajmniej setki tysięcy dolarów. Indianie nie zajmowali się płukaniem złota. Czasem któryś w jakimś potoku znajdował jedną czy kilka bryłek. Ten tutaj miał ich na pewno ponad półtora funta. Musiał więc trafić na prawdziwą bonanzę.

Toteż gdy tylko wrócił, obstąpili go, klepali przyjaźnie po ramionach, zapewniali o przyjaźni do wszystkich czerwonoskórych braci, a szczególnie do Tutchone. Wreszcie posadzili między sobą przy długim stole, za którym zmieściła się nawet Dolly. Z boku na jakimś stołku przycupnęła również Janet. Wszystkich paliła ciekawość i nikt jej nie usiłował ukrywać. Chcieli wiedzieć, skąd dziki ma złoto, gdzie leży miejsce, w którym je znalazł, w

jakiej okolicy, jak daleko od obozu, jak się tam dostać. A ponieważ bardzo chcieli wiedzieć, nie zawahali się przed zastosowaniem środka wypróbowanego na Indianach od wieków.

Na stole znalazła się pełna butelka wódki i szklanki i jedna z nich, mimo protestów Ewansa, stanęła również przed Ka-káh. Ewans protestował, bo wiedział, że policja zakazała dawać alkohol Indianom. Wiedział, jak działa na czerwonoskórych nie tylko tu, na północy, ale wszędzie. Nie zamierzali go jednak słuchać. Oni też wiedzieli, jak reagują na alkohol dzicy i byli zdecydowani z tej wiedzy skorzystać właśnie teraz. Traper wiedział, że ich nie przekona, a Ka-káh nie miał widocznie zamiaru stracić tak nieoczekiwanej okazji skosztowania ognistego płynu, którym częstowali go biali mężczyźni, bo w stronę Harveya trzymającego w ręku butelkę pierwszy wyciągnął swoją szklankę. Później potoczyło się wszystko zgodnie z oczekiwaniami. Nie musieli nawet specjalnie pytać. Ka-káh mówił sam.

Pochodził z wioski odległej o kilkanaście dni marszu na północny wschód, wioski licznej, w której żyło przeszło dziesięć razy po dziesięć mężczyzn, dużo kobiet i dzieci. Jak wszyscy mężczyźni był myśliwym, polował na karibu i łosie, leśne zające i na inną drobniejszą zwierzynę. Latem, wraz ze wszystkimi wędrował bardziej na północ, tam gdzie drzewa występowały rzadko i były niskie. Tamte tereny biali nazywali tundrą. Nad licznymi strumieniami i na moczarach żyło tam mnóstwo bobrów, a nad wielką wodą, która uchodziła do morza, także wydry, szczury wodne i foki, i często bracia Ka-káh polowali na foki. Stąd inni Indianie nazywali ich często Tsakho kwāni – Ludzie Foki. Polowali także na ptactwo wodne. Zbierali zioła i czarne jagody, a kobiety robiły z tego zapasy na zimę. W rzekach i strumieniach łowili ryby, a od małych ludzi mieszkających nad samym morzem i mających dużo reniferów kupowali niekiedy kły morsów i rogi.

Zeszłej jesieni wrócili do lasu wcześniej niż zwykle. W tundrze było mało zwierzyny, a nie chcieli bez przerwy jeść ryb, fok i ptasich jaj. Jednak i na ich zimowych łowieckich terenach zwierząt było mało. Tak jakby wszystkie wypędził Zły Duch. Zimą więc mieli ciężką. Przeważnie głodowali. Myśliwi dla zdobycia mięsa, którego brakowało wszystkim, musieli coraz częściej przechodzić przez góry i szukać karibu lub jelenia dalej na południe i na wschodzie. Zwierzęta jednak były płochliwe, ostrożne, rzadko można było podejść na dogodną do strzału odległość, toteż i mięsa było mało i szybko zużyli amunicję. I on, Ka-káh, też miał już tylko dwie miarki prochu, gdy kilkanaście dni temu wyruszył na polowanie.

Starsi myśliwi ostrzegali go, że zbliża się Ke-e-wa-tin, ale nie posłuchał ich. Od obozu swoich braci odszedł tak daleko, że gdy nadszedł wiatr i mróz, musiał szybko szukać schronienia.

Przez zawieję przedzierał się jeszcze prawie przez pół dnia, aż nagle przypadkowo znalazł się w jakimś głębokim parowie. Ściany parowu dawały osłonę przed wiatrem. Na dnie było cicho i spokojnie i mróz nie dokuczał tak bardzo. W przesmyku prowadzącym do parowu rosło kilkanaście sosen, a jedna z nich zwalona z góry leżała w poprzek przejścia. Ka-káh miał więc drzewo na ogień i mógł wznieść szałas. Wtedy dostrzegł dwa wilki i jednego z nich zabił. Nim naładował strzelbę ponownie, drugi zwierz uciekł. Kiedy poszedł po wilka, którego zastrzelił, tuż za zakrętem dostrzegł wigwam, ale nie indiański, lecz taki, jakie noszą z sobą biali ludzie.

Ucieszył się, gdyż pomyślał, że spotkał myśliwego i że myśliwy ten nie będzie miał nic przeciwko obecności Ka-káh w jego pobliżu. W górach straszno kiedy nadchodzi Ke-e-wa-tin, a dwóm zawsze rażniej i bezpieczniej i złe duchy nie są tak śmiałe. Zawołał więc raz i drugi i potem jeszcze raz, jednak nikt nie odpowiadał. Dopiero wówczas spostrzegł to, co powinien był zauważyć od razu: wokół wigwamu nie było prócz wilczych żadnych innych śladów. Zajrzał więc do środka i zobaczył, że leży tam gruba warstwa śniegu. Zrozumiał, że wigwam od bardzo dawna nie jest zajęty, że ten, kto mieszkał w nim kiedyś, odszedł już pewnie wiele dni temu. Później, kiedy odgarnął śnieg zobaczył pod nim zeschnięte liście

spadające z drzew jesienią, domyślił się, że mieszkaniiec wigwamu opuścił go nie wiele dni, a wiele miesięcy wcześniej.

Ka-káh był smutny, ale jednocześnie cieszył się, że nie będzie musiał mieszkać w szałasie. Nazbierał dużo drzewa i przed wejściem do wigwamu rozpałił ogień, oparał wilka i mięso zawiesił nad ogniskiem. Wówczas zabrał się do sprzątania wigwamu. Na ziemi, między różnymi przedmiotami znalazł woreczek ze złotem. Nie zabrał go jednak od razu. Innych rzeczy też nie ruszał. Nie były mu potrzebne. Korzystał jedynie z kociołka do gotowania stawy.

W parowie przesiedział pięć dni. Jednego popołudnia, gdy nie było tak zimno, poszedł coś upolować. Miał jeszcze jeden nabój. Przeszedł wiele mil, lecz nie spotkał żadnej zwierzyny. Zrozumiał wtedy, że jeśli zostanie dłużej, umrze z głodu, a zjadł już prawie całego wilka. Zabrał więc resztę mięsa i woreczek ze złotem i przywędrował tutaj. Po drodze jednak myślał. Myślał o tamtym, który nie wrócił do swego wigwamu i do parowu. I przypomniał sobie, że parów ten widział, gdy był jeszcze dzieckiem i gdy na polowania chodził ze swym ojcem. Przypomniał sobie strumień, leżący teraz pod śniegiem, a wtedy, przed wieloma laty, skaczący po kamieniach. I to, że w strumieniu widział wówczas zwykle małe kamyki i piasek, a także kamyki żółte, właśnie takie, jakie znalazł teraz w woreczku.

Ka-káh wie, że tam gdzie stoi opuszczony wigwam białego człowieka, w strumieniu jest dużo żółtego piasku i dużo nuggetów. Ale sam ich nie potrzebuje. Jest myśliwym. Ma teraz nowy karabin i dużo kul i wie, że upoluje i łosia, i karibu, i jelenia, i że może sobie kpić z wilków. Jest więc szczęśliwy i miłuje białych braci za to, że dali mu dobrą broń i że teraz piją z nim razem napój przyjaźni, którego źli biali odmawiają swym czerwonoskórym braciom. Wie, że powinien już wrócić do swej wioski, ale ponieważ biali byli dla niego tak dobrzy, pokaże im, jeśli chcą, drogę do parowu i opuszczony wigwam, i strumień, w którym znajdują tyle złota, ile tylko zapragną, że napełnią nim duże, duże worki, takie jakich Indianie używają do noszenia swych zapasów, gdy udają się w daleką drogę. I że on – Ka-káh uczyni wszystko, by swych białych braci uszczęśliwić, że im wszystko pokaże i wszystkiego nauczy, że da im nawet...

Na tym urwała się opowieść. Po trzeciej szklance mocnej whisky głowa mówiącego zachwiała się parokrotnie i opadła na stół. Jeszcze dwu- lub trzykrotnie usiłował ją dźwignąć, jeszcze usiłował wydobyć z siebie jakieś pojedyncze słowa, ale już nie był w stanie. Po prostu zasnął.

Przez chwilę patrzyli na niego jak zahipnotyzowani, aż wreszcie wybuchnęli wszyscy naraz. Każdy starał się coś powiedzieć, każdy chciał być pierwszy, każdy chciał, by jego słyszano przede wszystkim. Izbę wypełniła wrzawa, krzyki i gwizdy; ktoś zaczął śpiewać, inni puścili się w taniec, ktoś zaniósł się histerycznym, zaraźliwym, dzikim śmiechem. Ściskali się, całowali, po niejednej twarzy spływały łzy. Wreszcie grzmotnął jeden kolt, drugi, zawtórowały im inne. Z sufitu poleciały drzazgi, w izbie zapachniało spalonym prochem i dymem. W końcu jak jeden runęli do bufetu. Wzdłuż barowej lady zabrzmiały okrzyki: – Ja stawiam, i ja! Kolejka dla wszystkich, i ode mnie. Dziś piją wszyscy na mój rachunek. Za Indianina! Nie, najpierw za tłumacza. Tak, najpierw za Ewansa. Nalać mu podwójną, potrójną. I za złoto. Za złoto... – przetoczył się potężny ryk.

Nikt nie liczył pieniędzy. Harvey i Dolly ledwie nadążali z odważaniem złota i napełnianiem szklanek. Nie żalowali zresztą. Obydwoje wiedzieli, że za kilka dni ci mężczyźni staną się posiadaczami bogatych działek, że latem każdy z nich, albo przynajmniej większość będzie zostawiała tu całe funty złota – całe góry. Wszak to co miał przy sobie Indianin, wyraźnie mówiło, że potok jest pełen żółtego kruszcu. A dziki obiecał, że zaprowadzi wszystkich. Na pewno dotrzyma słowa, a gdyby nie pamiętał, przypomną mu i zmuszą, by zaprowadził do złotego Eldorado. – Za czerwonoskórych, jeszcze raz za Barta Ewansa i za Babs – to dobra dziewczyna.

Coraz bardziej szumiało w głowach, coraz bardziej plątały się języki, w szynku wrzało jak w ulu. Jedyne niepomny niczego Ka-káh spał snem sprawiedliwego. Nie słyszał krzyków, śmiechu, gwaru, nie drgnął nawet, gdy huknęły strzały. Pograżony w alkoholowym upojeniu zsunął się bez czucia pod stół i tylko głośnie chrapanie dobywające się od czasu do czasu z jego ust dowodziło, że żyje, choć jest to życie bez czucia i świadomości. Przynajmniej tak sądzili wszyscy. No, może niezupełnie wszyscy. Wśród ciżby zebranych, wśród całego tumultu i zamieszania były jednak oczy zimne, uważne, które nie dały się zwieść wszystkiemu. Właśnie te oczy odnotowały, że dziki nie spadł ze stołka, że zsunął się miękko, że wraz z nim zsunął się również jego karabin, że karabinu tego, mimo snu, dziwnym trafem nie wypuściła trzymająca go mocno ręka. Oczy te należały do kogoś, kto potrafił patrzeć i dostrzegać często to, co uchodziło uwagi innych. Co więcej, z różnych, niekiedy drobnych spostrzeżeń, potrafił wyciągać właściwe wnioski, wnioski, którymi nie zwykł się dzielić z innymi. Tym razem dostrzegł jeszcze coś, to, że nie tylko on potrafi patrzeć. I nie miał wątpliwości, że ten drugi również potrafi wyciągać wnioski. Nie dał jednak nic poznać po sobie. Podobnie jak inni, i z równym entuzjazmem, wychylił pełną szklankę... za Babs...

Rozdział XIX

Bieg po złoto

Ludzki wąż wydłużał się i rozciągał z minuty na minutę. Białą rozległą przestrzeń aż hen, po krańce horyzontu znaczyła linia coraz drobniejszych czarnych ruchomych punkcików, przypominająca do złudzenia szereg podążających mozolnie ku jakiemuś odległemu celowi mrówek.

Janet zatrzymała się i obejrzała do tyłu. W odległości kilkuset kroków sunęła pochylona do przodu zwalista postać z wielkim tobołem na plecach. „Pewnie Drwal” pomyślała z niechęcią i przeniosła wzrok nieco dalej wzdłuż szlaku. Kilkaset jardów za Oatesem, w odstępnie kilku kroków, biegli Rawlins i Freeman, dalej na pewno Sargent, a jeszcze dalej z lasu wyłaniali się następni.

Wąż musiał rozciągać się na dobre kilka mil. Janet mogła być z siebie zadowolona. Mimo że była jedyną kobietą wśród tylu mężczyzn, nie pozwoliła się zdystansować. Znajdowała się gdzieś pośrodku tej długiej linii i pozycję tę zamierzała zachować do pierwszego postoju.

Ka-káh, gdy przed startem pytano go o długość szlaku, powiedział, że trzy, może cztery dni. Pierwszy dzień przez równinę, następne dwa, trzy w górach.

Norton i O’Kelly, a także Harvey i Ewans namawiali, by pozostała w obozie, by nie brała udziału w biegu. Przekonywali, że to nie dla młodej słabej dziewczyny, że w tym biegu po złoto będzie zdana tylko na własne siły, że nikt jej nie pomoże. W najlepszym razie poradzi sobie jakoś z pierwszym równinnym etapem. Dalej zaczynały się prawdziwe wertepy, dla pokonania których trzeba mieć końskie siły. Jerry błagał wprost. Zaklinał, by była rozsądna. Przysięgał, że własnoręcznie wytyczy jej działkę. Tłumaczył, że z O’Kellym, Spencerem i Wilderem umówili się, że będą sobie pomagać na trasie. Przed rozpoczęciem biegu ustalili wspólnie, że na pierwszych etapach każdy będzie biegł w miarę swoich sił, obserwując jednocześnie siły i możliwości potencjalnych rywali. Na ostatnim odcinku Norton i O’Kelly zostawia swoje bagaże pozostałym dwóm i spróbują zająć najlepsze działki. Bez bagażu mieli szansę dobiec pierwsi. Obiecywali, że zajmą działkę i dla niej, byle zrezygnowała ze swego szalonego pomysłu ścigania się z kilkudziesięcioma mężczyznami.

Odetchnęła jeszcze kilka razy głębiej i ruszyła przetartym już i dość dobrze ubitym szlakiem. W myśli jednak powróciła jeszcze na chwilę do samego startu. Oczywiście, nie zgodziła się ani na prośby Jerry’ego, ani na nalegania innych. Kierowało nią kilka ważnych powodów. Wcale nie była taka słaba i niedoświadczona, jak mogło się to niektórym wydawać. W rakietach śnieżnych biegała prawie od dziecka i to nie tylko po równym terenie. Podczas długich zimowych miesięcy w faktorii ojciec i brat zabierali ją z sobą często na bliższe i dalsze wyprawy do wiosek Kaśka i Sekani zajmujących tereny górskie. Początkowo nie szło jej najlepiej. Później jednak nabrała wprawy i doświadczenia oraz sił. Nie ustępowała ani ojcu, ani bratu. Sprawdzian wytrzymałości i umiejętności przeszła z Nantym podczas ostatniej przeprawy przez góry. Nie miała wątpliwości, że i teraz sobie poradzi. Ba, była pewna, że wielu z tych, którzy dziś rankiem z takim entuzjazmem ruszali na szlak, nie wytrzyma nawet pierwszych dwóch dni, nie mówiąc o finiszu. I był to pierwszy powód, dla którego nie miała zamiaru rezygnować.

Był także drugi: to nieobecność Nanty'ego. Gdyby on był na miejscu, kto wie, może poszedłby jedynie on. Nie wrócił jednak. Nie wiadomo, co się z nim działo. Może nie znalazł bonanzy Norrisa. Gdyby w takiej sytuacji dowiedział się, że zrezygnowała, że stchórzyła, że nie podjęła walki dla osiągnięcia celu, jaki ich tu sprowadził, miałby do niej uzasadniony żal. Oczywiście, nie wiedziała, co się z nim działo, nie miała wielkiej nadziei, że wróci. Tym bardziej więc nie mogła zawieść tej, z jaką szedł tu z nią przez górskie bezdroża ubiegłej zimy. Wierzył, że znajdzie złoto, jeśli nie złoto Norrisa, to złoto inne. Pod wpływem opowieści samego poszukiwacza zaraził się złotą gorączką. Ale złota nie pragnął dla siebie – pragnął go dla niej, dla ojca, a potem już tylko dla niej. Chciał, by po zdobyciu pieniędzy osiedlili się gdzieś na południu, by mieli własny dom, by nie musieli, jak ojciec, troszczyć się ciągle o przyszłość. Chciał, by była szczęśliwa, by mogła żyć bez trosk i kłopotów. Ale wiedział, że na takie życie muszą najpierw zdobyć środki. Nie mogła więc teraz, kiedy rodziła się szansa, zawieść jego zaufania.

Istniał wszakże jeszcze jeden powód, wcale nie najmniejszy. Powodem tym był Jerry i jego do niej stosunek. Domyślała się już wcześniej; ostatnio nabierała coraz większej pewności. Coraz częściej z nią rozmawiał, szukał okazji do spotkań, starał się oszczędzać jej różnych codziennych, nawet drobnych kłopotów i przykrości. Czuła i widziała opiekę, jaką otaczał ją coraz bardziej. Wyrażało się to w różnej postaci: ściąganiu z lasu drzewa na opał, uszczelnianiu ścian w miejscach, gdzie robiły się szpary, dyskretnym zaopatrywaniu jej w różne produkty spożywcze. Dyskretnym, bo wcale nie przynosił jej niczego w prezencie. Ot, przychodził z Benem, z Percym, Duncanem czy Kesterem zwykle na herbatkę, ale nigdy nie zjawiali się z pustymi rękoma. Po ich odejściu stwierdzała, że zostawał cukier, herbata czy kawa na kilka następnych dni, czasem jakaś puszka grochu, innym razem poleć słoniny czy mięsa. Wyglądało to wszystko niby zwyczajnie i naturalnie, ale wiedziała, co o tym myśleć. Opieka i troskliwość, a także pomoc, choć miła, zaczynała jej ciążyć. Wyczuwała, że Jerry traktuje ją jak swoją kobietę, że chce o nią dbać i troszczyć się znacznie poważniej, niż wynikałoby to z ich wzajemnych stosunków. Nie przywiązywałaby do tego zbytnej wagi, gdyby jej stosunek do niego był taki jak do innych. Niestety było inaczej. Nawet jeśli nie przyznawała się do tego przed sobą, coraz częściej łapała się na tym, że myśli o nim, że porównuje go z innymi, że czeka na jego odwiedziny, że lubi, gdy jest gdzieś w pobliżu, a nawet gdy patrzy na nią, gdy jej słucha.

Doświadczenia wprawdzie z innymi mężczyznami nie miała żadnego, ale zaczynała się domyślać, że tego co kielkuje w jej sercu, nie da się wytłumaczyć takimi pojęciami, jak życzliwość, przyjaźń. Było to coś innego. Coś, co zaczynało ją niepokoić, na myśl o czym krew poczyniała szybciej krążyć w żyłach, wzrastał rytm serca, a na twarz wypływał rumieniec. Zauważyła to, gdy któregoś dnia myśląc akurat o zapowiadanych popołudniowych odwiedzinach, spojrzała przypadkowo w skrawek wiszącego na ścianie potłuczonego lusterka. Dostrzegła wtedy rumieniec i własne oczy. Błyszczały inaczej niż zwykle i miały taki wyraz, że omal przeraziła się. Tak, właśnie od tamtej chwili postanowiła bardziej się kontrolować. Zrozumiała, że różnymi drobnymi przysługami Jerry zaskarbia sobie jej wdzięczność, że zobowiązuje ją dobrocią. Uświadomiła sobie, że wcale nie chodzi jej o dobroć. To nie było to. Toteż gdy dzisiaj o świcie w obecności tamtych powiedział, że wytyczy działkę dla niej, byle pozostała w obozie, zbuntowała się. Nie chciała ani łaski, ani działki zdobytej nie przez siebie. Jeśli losy ich miały się być może wiązać kiedyś bardziej, chciała być partnerem mężczyzny, a nie dzieckiem wymagającym opieki. I kto wie, czy ten powód nie przeważał wszystkiego. Jerry, czego była pewna, mógł zdobyć złotą działkę. Ale ona, Janet Wharton, nie była gorsza. Mogła zdobyć swoją, a wtedy będą sobie równi. Nie będzie musiała myśleć, że czyni dla niej coś z litości, może tylko dlatego, że jest słabą dziewczyną wymagającą pomocy i opieki.

Wstrząsnęła głową i rzuciła krótkie spojrzenie do tyłu. Oates zbliżał się wyraźnie. Albo przyspieszył, albo ona pogrążona w myślach zwolniła tempo. Chyba raczej to drugie, bo biegnący, przed nią, prawdopodobnie Cochrane, oddalił się znacznie i właśnie zniknął za jakimś wzniesieniem.

Wydłużyła krok i przyspieszyła nieco. Nie, nie miała zamiaru pędzić na złamanie karku. Mogłoby ją to kosztować zbyt dużo. Tej zimy zaledwie kilka razy miała rakiety na nogach i nie tak wiele ruchu. Wiedziała więc, że mięśnie na początku nie będą pracować jak należy, że najpierw trzeba je pobudzić i stopniowo przyzwyczajać do zwiększonego wysiłku. Z góry więc założyła, że te pierwsze trzy dni będzie traktować tylko jako trening, krótki co prawda, jednak niezbędny przed ostatnim etapem, na którym będzie musiała pokazać, co jest warta w rzeczywistości.

Na razie nie szło najgorzej i mimo że od startu minęło już przeszło cztery godziny, nie czuła zbytniego zmęczenia, chociaż momentami zaczął odzywać się ból w łydkach.

Wyraźnie posłyszała z tyłu, że zbliża się Oates. Nie odwracała się jednak. Biegł bardzo blisko, ale nie wyprzedzał jej. Słyszała szuranie jego rakiet i głęboki głośny oddech. Płuca musiał mieć pojemne jak miechy. Na pewno wiedział, że denerwuje ją jego obecność za plecami i trzymał się tuż, by sprowokować ją do przyspieszenia. Nic z tego. Nie miała zamiaru dać się sprowokować. Zdawała sobie sprawę, że jeśli sforsuje mięśnie pierwszego dnia wyścigu, nie będzie miała szans później. Zamiast więc przyspieszyć, jak tego oczekiwał, zwolniła tempo.

Ominął ją rzucając drwiąco:

– To nie spacererek, panienko. Lepiej wrócić, póki jeszcze czas.

Nie odpowiedziała. Zjechała z dobrze ubitej ścieżki, zrzuciła plecak i położyła się w śniegu. Po kilku minutach usiadła i poczęła masować nogi.

Minęło ją chyba jeszcze ze czterech, nim ponownie ruszyła w drogę. Najpierw wolno, spokojnie, niemal spacerkiem, potem trochę prędzej, jeszcze prędzej. Po kolejnym długim, łagodnym stoku zjechała na nartach. Twardo ubita wieloma parami rakiet ścieżka sprawiała wrażenie ślizgawki.

Bardzo dobrze, że nie spieszyła się. O wiele więcej sił tracili ci, którzy musieli przecierać szlak. Nie zazdrościła im.

Koło południa znalazła się na skraju lasu. Była porządnie głodna, toteż bez chwili wahania usiadła pod pierwszym drzewem, wyciągnęła z plecaka spory kawałek mięsa, odkroiła kromkę chleba i zaczęła się pożywiać.

W kilkanaście minut później zjawił się Spencer. Na widok dziewczyny machnął ręką, zjechał ze szlaku i przysiadł obok.

– Dobre miejsce na wrzucenie czegoś do żołądka – stwierdził i również wydobyl ze swej torby kawał pieczonego. – Jak się czujesz? Nie masz przypadkiem dosyć?

Zaprzeczyła.

– Nie, Ben. Jakoś sobie radzę, ale czemu ty tak w ogonie?

– Nie spieszy mi się, przynajmniej jeszcze nie teraz, a poza tym... – zawahał się.

– Co poza tym? – Hm, jak by ci to powiedzieć. No, wiesz. Cały czas deptał ci po piętach Oates. Na wszelki wypadek wolałem być w pobliżu. Ale, naprawdę, tylko na wszelki wypadek. Może chciałabyś z kimś na przykład pogadać. Przecież nie z nim. Zdaje się jednak, że wyprzedził cię.

– Tak, jest dobrą godzinę przed nami. Nie musisz więc z mojego powodu specjalnie zwalniać. Pilnując mnie, zjawisz się na postoju o północy.

– Oo... to aż tak źle – zaniepokoił się. – Myślałem, że rzeczywiście sobie radzisz...

– Oczywiście, Ben. Nie najgorzej, ale dawno nie miałam rakiet na nogach. Muszę się najpierw przyzwyczaić.

– Rozumiem – powiedział z wyrazem ulgi w głosie – bo już myślałem, że to jednak nie na twoje siły.

Uśmiechnęła się. – Zobaczymy. Jak myślisz, ile już mamy za sobą?

Rozejrzał się po okolicy i pokręcił niezdecydowanie głową.

– Nie jestem pewien, Jess, ale myślę, że przynajmniej z piętnaście, może osiemnaście mil.

– A kiedy nocny postój?

– Tak jak ustalono, o zmierzchu.

– No to cóż. Trzeba ruszać – dźwignęła się z ziemi. – Nie musisz, Ben, wlec się ze mną. Na pewno nic mi się nie przytrafi.

– A wilki? Zapomniałaś o wilkach?

Uśmiechnęła się ponownie i wskazała oparty o drzewo winchester.

– Myślę, że dziś nie byłyby już tak groźne jak wtedy. Zresztą chyba jeszcze paru mężczyzn ciągnie za nami?

Skinął głową.

– Masz rację. A co do wilków, to na razie nie widziałem nawet jednego tropu. Do zobaczenia wieczorem, Janet. O Drwala możesz być spokojna. Postaram się przedzielać was aż do mety.

Przytroczyła plecak, zabrała karabin i w kilkanaście sekund później zniknęła między drzewami.

W pół godziny potem dogonił ją, minął i długimi posuwistymi krokami przemknął z chrzęstem rakiet. Z odrobiną zazdrości patrzyła na lekką, swobodną pracę nóg. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że i wielu innych wcale nie musiało być gorszych od niego. A cóż ona? Może rzeczywiście przeceniała swe siły i możliwości?

W lesie było cicho i pusto. Wyrazny szlak wił się między rzadkimi, wysokimi sosnami. Niekiedy zbaczał kilka czy kilkanaście jardów, by ominąć jakiś głaz, zwalony pień czy wyrwę w gruncie. Indiański przewodnik, biegnący gdzieś tam na czele, musiał mieć w głowie igłę kompasu. Tylko raz zatoczył niewielki łuk, ale nie wiedziała z jakiego powodu. Uważając, by nie zawadzić o jakiś pień, starała się utrzymać równe tempo. Jednak pod wieczór miała już właściwie dosyć. Bolały je plecy i kark, ciążył plecak i karabin, którego wagi nie czuła jeszcze przed południem. Wyraźnie zaczęły ją boleć mięśnie nóg oraz stawy. Koło dziewiątej, gdy teren zaczął się nieznacznie wznosić, dojrzała do obozowiska. Byli tam już prawie wszyscy. Odpoczywali wokół kilku dużych ognisk i rozmawiali.

Na widok wyłaniającej się z lasu dziewczyny podniósł się pochwalny szmer. Właściwie chyba nikt nie wierzył, że uda jej się przejść ten ponad trzydziestomilowy odcinek trasy tak szybko.

Jerry pomógł jej zdjąć plecak i pozbyć się śnieżnych rakiet. Patrzył przy tym badawczo. – Zdaje się, że masz dosyć? – spytał z wyraźną troską w głosie.

– ... iii... To tylko ten pierwszy dzień – odparła, ale nie zabrzmiało to przekonująco. – Dawno rozłożyliście obóz? – spytała.

– Będzie już ze trzy godziny, ale większość nadciągnęła krótko przed tobą i nawet w gorszym stanie. Do rana odpoczniesz – wskazał niewielki szałas. – A teraz dużo gorącej herbaty i musisz coś zjeść. Najlepiej też gorącego.

Wiedziała o tym równie dobrze, toteż mimo że marzyła, by wśliznąć się do szałas, wypila pełne dwa kubki herbaty i zjadła kilka kęsów rozgrzanego nad ogniem mięsa. Nie mogła przełknąć więcej.

Zasnęła prawie natychmiast. Obudziła się jednak sporo przed świtem. Właściwie obudził ją głód. Tym razem włożyła mięso do małego kociołka, który przezornie zabrała z sobą. Poczekala, aż zagotuje się i dopiero wtedy zabrała się za solidne śniadanie, tym razem zakończone kubkiem mocnej gorącej kawy. Jej zapach wywabił z szałasów innych mężczyzn. Zjadali szybko, popijali najczęściej łykiem gorącej wody i błyskawicznie oporządzali bagaż.

Ruszyli tuż przed nadejściem dnia. Nie ruszyli jednak wszyscy. Kilku marudziło, sprawiając wrażenie, jakby zamierzali zrezygnować z dalszego marszu.

Janet i tym razem nie pchała się do przodu, mimo iż czuła, że po nocy zniknęło gdzieś wczorajsze zmęczenie. Wolała mieć przed sobą szlak dobrze przetarty i ubity.

Tuż za przewodnikiem poszli Oates i Norton i kto wie, czy obydwaj po trosze nie żalowali nadmiernej gorliwości. Już po przebyciu pierwszej mili weszli w kraj pagórkowaty. Teren, aczkolwiek powoli, podnosił się bez przerwy. Na drodze wyrastały coraz to nowe wzniesienia. W jednorodnym do tej pory wysokim borze coraz częściej zaczęła pojawiać się niskopienna, górska sosna, kępy tamracku⁵ i rozłożystego świerku. Drogę przecinały zamarznięte łożyska strumieni, pojedyncze niekształtne, wyzierające spod śnieżnej pokrywy głazy. Koło południa musieli przeciąć pierwszy, niezbyt zresztą głęboki parów. Niezbyt głęboki, dający jednak przedsmak tego, co czekało ich dalej. Po zboczu, bez większych problemów, zsunął się najpierw Ka-káh. Za nim tą samą drogą ruszył Norton i wtedy okazało się, że sypki śnieg zaledwie cienką warstwą przykrywa śliski, oblodzony stok. Nim zdołał się zorientować, pomknął w dół jak na łyżwach i z rozpędem wylądował pod przeciwległą ścianą. Oates nie zaryzykował i zszedł o kilkanaście kroków dalej, przytrzymując się z rzadka rosnących na stoku krzewów. By odrapać się na przeciwległą ścianę, musieli wyrąbywać w lodzie stopnie. Sforsowanie tej kilkunastometrowej przeszkody zajęło im dobre pół godziny. Koło południa przeszkód takich mieli już za sobą kilka, jednak przewodnik nie zatrzymywał się. Na migi wytłumaczył im, że jeszcze tylko jeden parów i szlak będzie łatwiejszy.

Późnym popołudniem przystanęli, by nieco odpocząć i posilić się. Jedli w milczeniu, jednak Drwał od czasu do czasu spoglądał na Nortona, jakby chciał go o coś zapytać. W końcu nie wytrzymał i wyrzucił z siebie gnębiącą go od jakiegoś czasu myśl:

– Słuchaj, Jerry, ty naprawdę chcesz wytyczać tej dziewczynie działkę, gdy będziemy już na miejscu?

– Nie podoba ci się to, Randal? Znasz do niej mój stosunek. Janet jest w porządku. Chciałbym jej pomóc. Nic na to nie poradzę, że się nie lubicie.

To nie o to chodzi – Drwał przerwał na moment, prawdopodobnie by składniej wyjaśnić w czym rzecz.

– Widzisz. Też do niej nic nie mam, ale nie mam też nic do chłopaków, którzy ciągną za nami. Nie byłoby chyba uczciwe, gdyby dostała działkę lepszą od tych, którzy przyjdą przed nią? Nie sądzisz?

Norton roześmiał się.

Chyba niepotrzebnie się tym martwisz.

– No, nie bardzo. Nie po to wlokę się po tych wertepach, żeby... ta – tu zmełł w ustach jakieś dosadne określenie – stała się właścicielką działki lepszej na przykład niż moja.

– Och, o to nie musisz się martwić. Dzisiaj nie wiadomo, komu jaka przypadnie. Potok pod lodem, a wszystko razem pod śniegiem. Nie sprawdzisz, która lepsza, a która gorsza.

Prawda, do pioruna, że też nie przeszło mi to przez łepetynę.

Tak, nie przeszło mu to przez łepetynę. Mimo niedźwiedziowości na tak zupełnie niedomyślnego nie wyglądał. Jerry obserwował go spod oka. A może Oatesowi nie chodziło o tę przyrzeczoną dziewczynie działkę? Może użył tego jedynie jako pretekstu? Ale w takim razie pretekstu do czego? Warto byłoby jednak sprawdzić. Luźna pogawędka wszak nie zobowiązywała do niczego, a mogła sporo wyjaśnić.

– Baa... powiadasz, że nie przeszło ci przez łepetynę. Mnie też czasem dłuższy czas coś nie przechodzi, a potem wpada nie wiadomo skąd i jak. I właśnie teraz tak sobie pomyślałem... – urwał specjalnie, by pobudzić ciekawość tamtego.

Oates zawiesił podnoszonego do ust papierosa i spojrzał uważnie.

– Co ci takiego wpadło pod czaszkę?

⁵ Modrzew kanadyjski.

- Pewnie nic specjalnego, ale z tym potokiem nie wszystko chyba wygląda wyraźnie.
- Na przykład co?

– Sam nie wiem. Ten namiot, który stoi tam Bóg jeden wie jak długo. A ten, który go postawił i zostawił. Co się z nim stało? Może wrócił, gdy skończyła się zamieć. Może ma tam działkę i pilnuje jej? Może działek jest kilka i kilku właścicieli. Może pilnują na zmianę. Co byś zrobił, gdyby okazało się, że sytuacja tak właśnie wygląda? Oates zdjął futrzaną czapę i z namysłem poskrobał się po zmierzwionej grzywie włosów, po czym utkwiał twarde spojrzenie w oczach swego rozmówcy.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, Jerry?
- Uhm.

– A myśl o tym, że może działkę albo i potok już ktoś zajął, właśnie teraz wpadła ci do głowy?

- Nno... może niezupełnie.
- Rozmawiałeś już z kimś?
- Tak, całkiem luźno z Benem. Naprawdę luźno.
- Oczywiście. Pewnie ma podobne wątpliwości?
- Mniej więcej.

Oates zmarszczył czoło, jednocześnie ponownie zaczął pocierać brodę.

– Cholera, rzeczywiście. Może w tym coś być. Jest na pewno. Namiot. Zostawione tam złoto, które znalazł dziki, a więc może i potok ma właściciela. Tyle że Ka-káh powiada, że w namiocie od dawna nie było nikogo. Nie musi to jednak znaczyć, że facet, który postawił namiot, nie istnieje.

Norton przez dłuższą chwilę z wyraźnym zainteresowaniem oglądał jakiś ośnieżony krzak, jakby próbował z jego kształtu odczytać informacje najwyższej wagi. Ciekawe, czy tamten rzeczywiście miał tego typu wątpliwości. By upewnić się, spytał z nieznacznym jakby zdziwieniem; nie za dużym, takim w sam raz.

- Wierzysz, że ten facet żyje?

Dłuższa chwila milczenia. W końcu nieznaczące tylko wahanie.

– Chyba nie... Nie zostawiałby namiotu, ale przede wszystkim złota na dłużej. Gdyby poszedł gdzieś dalej, zabrałby woreczek. Najpewniej kipnął, albo...

- Albo co? – Jerry znów patrzył na krzak.

– Mógł go ktoś załatwić.

- ... i co? Załatwił i zostawił złoto wartości dwieście, albo i trzysta dolarów...?

– Bo ja wiem. Różnie mogło być. Mógł na przykład pójść na polowanie. Mógł oddalić się o milę lub dwie i tam mu się coś stało. Nie wrócił. Dziki gada, że tam prawdziwy labirynt parowów, skał, strumieni. Trudno trafić i do tego właściwego parowu trudno znaleźć drogę. Może ktoś, kto faceta załatwił, nawet nie wiedział, że w pobliżu jest potok ze złotem. Załatwił i poszedł.

– No, ale jeśli nie wiedział o potoku, to po co miałby załatwiać? – Norton nie był przekonany.

– Różnie mogło być, Jerry. Pamiętasz, co opowiadała Janet Wharton o swym bracie, o bonanzie i o tych trzech. Co byś powiedział, gdyby okazało się, że to namiot Nanty Whartona, i że jego bonanza jest właśnie tam, w tym parowie, że właśnie tam jest złoto Norrisa?

– Myślisz serio, że to może być właśnie to? – Może i nie myślę. Niby skąd mam wiedzieć? Tyle tylko, że z tego co ona mówiła wynikało, że bonanza jest gdzieś na północnym wschodzie, że tam poszedł ten cały Nanty. A gdzie prowadzi nas teraz Ka-káh...? Ale byłby numer – roześmiał się nerwowo.

– ... no, byłby numer. Bo jeżeli to rzeczywiście namiot i potok Whartona, to chłopaka załatwiło jednak chyba tamtych trzech. O potoku wiedzą więc wszystko, i...

- i, co?

– I pewnie mają go na oku.

– Myślisz, Jerry, że oni tam są?

Dłuższa chwila milczenia.

– Nnie... Po co mieliby siedzieć tam całą zimę wszyscy? Tam lub gdzieś w pobliżu. Chyba nie. Ale przynajmniej jednego mogli zostawić na wszelki wypadek.

A pozostali siedzą w Dawson?

– Też nie. Podejrzewam, że mogą siedzieć znacznie bliżej.

– To znaczy, gdzie?

– Na przykład w naszym obozie nad Wild Creek.

– Pleciesz chyba...

Norton stanowczo pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Pomyśl sam, Randal. Faceci znaleźli żyłę złota. Wiedzą, że z wiosną ruszą wszystkie obozy poszukiwaczy. Przyczaili się więc blisko. Mają gwarancję, że gdy spłyną śniegi i lody, oni będą pierwsi. Myślę, że tak to sobie właśnie wykombinowali.

– Do pioruna, chyba masz rację, ale to znaczy, że teraz idą razem z nami... Trzeba by ich...

– O czym myślisz?

– Nie, nic specjalnego... Nie domyślasz się, którzy to mogą być?

– Nawet gdybym się domyślał, Randal, co ci to da? Aresztujesz, oddasz w ręce policji? Jakie masz dowody...

Przerwał mu cichy śmiech.

– O czym ty gadasz, Jerry? Jakie aresztowanie czy policja wymownym ruchem oparł rękę na kolbie rewolweru. Takie sprawy w Kalifornii czy Montanie mężczyźni załatwiali zawsze między sobą..

– Ty też?

– Jak było trzeba.

– Tutaj również w podobny sposób załatwiałbyś? Nie obawiałbyś się śledztwa, policji...?

Drwał roześmiał się ponownie.

– Zabawnie gadasz, Jerry. Od czego ma się kumpli? W razie czego zawsze potwierdzą, że po spluwę sięgnąłeś w obronie własnej. – No, a w razie pomyłki? Ja tylko podejrzewam, nie mam pewności. Może podejrzewam kogoś Bogu ducha winnego. Zresztą może cała sprawa jest bardziej skomplikowana. Skąd wiemy, że Norris mówił prawdę? A jeśli to nie był jego potok...? Może to on był winien? Może kto inny znalazł to złoto, a on usiłował je sobie tylko przywłaszczyć? Nanty Wharton mógł nic nie wiedzieć, ale może wiedział? Może wiedział jeszcze ktoś. Działo się tu sporo tego lata. Kto załatwił posterunek nad Duck Creek? Siostra wcale nie musi wiedzieć, jaki był w rzeczywistości jej brat. Dużo przebywał wśród Indian. Nie bał się przejść zimą przez góry. Mógł to być o wiele bardziej twardy facet, niż widzi go Janet. Różnie tu mogło być. Nie sądzisz?

Oates znów poskrobał się po głowie, w której pod wpływem słów Nortona musiał powstać niewąski zamęt. Nie mogąc się z nim widocznie uporać, wzruszył tylko ramionami.

– To nie dla mnie, Jerry. Ja mam zamiar zdobyć złoto i reszta mnie nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, co się tu działo latem. I, do pioruna, gotów jestem wejść w przymierze z diabłem, jeśli pomoże mi zdobyć dobrą działkę nad tym potokiem. A kto chciałby mi w tym przeszkodzić, na tego mam to – ponownie poklepał kaburę pistoletu. – Pytałeś, co bym zrobił, gdyby się okazało, że potoku ktoś pilnuje, albo że położył na nim łapę. Mogę ci powiedzieć: Randal Oates przywykł takie przeszkody po prostu usuwać z drogi. Oczywiście łatwiej byłoby w kilku, więc jeśli ty i Ben...

– A jeśli myślimy tak samo jak ty?

– Jeżeli będę miał działkę, to powiedziałem ci: diabeł może być moim kumplem. Powiedz tylko, kto stoi na przeszkodzie.

– Nie wiem na pewno, ale myślę, że na miejscu okaże się to i owo. Cieszę się, że z Benem możemy liczyć na ciebie.

– Mur, i zapamiętaj, Jerry. Z takiej zabawy nie wycofuję się nigdy.

Norton wyciągnął rękę i w następnej chwili omal nie przygięło go do ziemi. Uścisk tamtego niewiele różnił się od uchwytu żelaza na niedźwiedzie.

– Ale masz krzepę – powiedział z niekłamanym podziwem.

– Wiadomo, od siekiery.

Bez dalszych słów podnieśli się i ruszyli za przewodnikiem, który począł wspinać się po dość stromym skłonie kolejnego wzniesienia.

Tego dnia, mimo że górski szlak nastęczał niektórym sporo trudności, nie było zbyt wielu maruderów, a i Janet dotarła na miejsce postoju zaledwie w trzy kwadranse od założenia obozu. Nie czuła się tak zmęczona jak poprzedniego dnia, jednak nie przyznawała się do tego. Wołała, by sądzono, że ma mniej sił, niż miała ich w rzeczywistości. Toteż gdy z udanym wysiłkiem, powłócząc nogami i oddychając głośno pojawiła się w świetle płonącego ogniska, nie wyglądała rewelacyjnie, a we wzroku przynajmniej kilku mężczyzn przemknął cień współczucia. Prawdopodobnie wyobrażali sobie, ile musiał kosztować ją całodzienny bieg przez górskie bezdroża. Niejedno też spojrzenie zdawało się mówić wyraźnie, co sądzili o szansach dziewczyny na następny dzień.

Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę, że będzie to dzień decydujący. Nikt nie miał wątpliwości, że tajemniczy poszukiwacz, nim urządził w tym odległym wąwozie obóz, najpierw musiał zbadać dokładnie potok. Wiedzieli więc, bo tak by uczynił każdy, że swój namiot postawił tam, gdzie w potoku znajdowało się najwięcej złota. Ta działka musiała być najbogatsza. Kilka, na pewno dobrych, leżało w jej bezpośrednim sąsiedztwie, ale tylko kilka i to poniżej tej głównej, a więc z biegiem potoku. W górnym biegu oraz w dole, w odległości dwustu, trzystu kroków najprawdopodobniej złota było niewiele. Toteż jutrzejszy bieg, bieg po złoto, rozegra się, jak wiedzieli, tylko o te pięć czy może sześć kolejnych działek. Tymczasem chętnych było ponad sześćdziesięciu. Dotychczasowe dwa dni były spacerkiem. O wszystkim miał zdecydować dzień jutrzejszy.

Ka-káh twierdził, że pozostało im do przebycia najwyżej około pięćdziesięciu mil. Dotychczas nikt nie miał potrzeby się spieszyć. Każdy oszczędzał siły, ale na pewno część w ogóle nie zdradzała swych rzeczywistych możliwości. Dopiero nazajutrz zamierzali pokazać, ile są warci naprawdę. Nie wszyscy. O niektórych z góry wiadomo było, że dobrze będzie, jeśli wystarczy im sił, by dojść do celu w czwartej czy piątej dziesiątce. W wyprawie wzięli udział, bo Indianin niewiele mógł powiedzieć o ukształtowaniu potoku, jego uskokach, bystrzynach, nachyleniu terenu. Z góry nie można było przesądzać, czy gdzieś w bliższej lub dalszej odległości od owej zaczarowanej działki znajduje się jeszcze jakieś obiecujące miejsce. Liczyli się z tym i sądzili, że warto będzie spenetrować potok na znacznie większym dystansie. Dla niektórych była to dodatkowa szansa. Nie była to jednak, jak sądzili, szansa dla dziewczyny. Pięćdziesiąt mil po górach, nawet na nieźle przetartym szlaku, nie wydawało się dystansem, który mogłaby pokonać w ciągu jednego dnia.

A ona? Co myślała? Jak sama oceniała swoje możliwości? Nie zdradzała się. Była zadowolona z mijającego dnia. Wiedziała, że dzisiaj mogła przyjść w pierwszej piątce, a może nawet w trójce. Tak, tylko że tempo nie było największe, tak jakby wszyscy, a przynajmniej większość, oszczędzała siły na dzień następny. Trudno.

Zdjęła rakiety i zabrała się za wieczorny posiłek. Potem pomogła Benowi i Kesterowi we wznoszeniu szałasów. Budowali oczywiście dla niej. Już po raz któryś z rzędu musiała przyznać, że obaj byli w porządku. Podziękowała im ciepłym uśmiechem i szybko wsunęła się do wnętrza. Mimo że na myśl o następnym dniu czuła wyraźny dreszcz emocji, wsunęła się głęboko w śpiwór i próbowała jak najszybciej zasnąć. Wiedziała, że musi się dobrze wyspać, by mieć siły. Jak przez mgłę słyszała jeszcze odgłosy ściągania do obozu ostatnich,

przyciszone rozmowy, tu i ówdzie wybuchający śmiech. W jakiś czas potem dobiegło ją dalekie wycie wilka, jeszcze jakiś niewyraźny ruch przy ognisku i zasnęła.

Nie był to jednak sen spokojny. Męczyły ją różne zmy. Widziała ojca broczącego krwią i walczącego z kimś brata. Widziała, jak Nanty pada na kolana i w rozpaczliwym geście wzywającym pomocy wyciąga do niej błagalnie ręce. Usiłowała poderwać się, biec, ale trzymało ją coś mocno, nie mogła się od tego uwolnić. Mężczyzna, który walczył z Nantym, podniósł się teraz znad jego ciała i szedł ku niej z ociekającym krwią toporem. Był coraz bliżej i bliżej, a ona nadal nie mogła wyswobodzić się z tego czegoś, co nie pozwalało jej się podnieść. Widziała jednak wzrok tamtego i jego twarz – twarz Roddy Dowsona, okrutną, zimną, złowieszczą i słyszała jego szyderczy głos: „Czas na ciebie. Wstawaj!” – Szarpnęła się w rozpaczliwym odruchu samoobrony. – Wstawaj, Janet. Już czas. – Ben Spencer tarmosił ją bezceremonialnie za ramię. – Za godzinę świt. Trzeba przygotować się do drogi.

– Uff! – odetchnęła głęboko. A więc to tylko sen. Rozwiązała sznurki śpiwora. – Dzięki Ben. Już wstaję. – Przez cienkie pokrycie szalas dobiegał ją gwar budzącego się obozu.

W parę minut później wraz z innymi posilała się przy wielkim, jasno płonącym ognisku rozświetlającym mroki nocy. Było jeszcze bardzo wcześnie. Twarz szczypał lekki mróz. Popatrzyła na niebo i pośród błyszczącego roju gwiazd bez trudu odnalazła Wielką i Małą Niedźwiedzicę. Właściwie nie wiadomo dlaczego przypomniała jej się zasłyszana niegdyś w dzieciństwie zabawna historia o tym, jak to Wielka Niedźwiedzica pragnąc ukarać małą rudą wiewiórkę za uwolnienie z niewoli ptaków wiosny – piegż, zapędziła ją wysoko w krainę Wielkiego Ducha i tam przyszpiliła do kopuły niebios wypuszczoną z wielkiego łuku strzałą, a jednocześnie zamieniła w Małą Niedźwiedzicę. I od tamtego czasu, w bezchmurne noce, obydwie wskazywały zagubionym wędrowcom właściwą drogę w bezdrożach Północnej Krainy.

Z krótkiej zadumy wyrwał ją głos Duncana O’Kelly:

– Dokładnie za kwadrans – mówił – rusza Ka-káh. Będzie szedł szybko aż do potoku. Dystans wynosi według niego około pięćdziesiąt mil – prosto na północny wschód. Obóz założymy dopiero tam. Każdy, kto dojdzie, może sobie wytyczyć jedną działkę. Każde trzy osoby jedną działkę dodatkowo. Radzę dobrze rozłożyć siły, bo szlak nie jest podobno najłatwiejszy. A teraz niech się każdy przygotowuje. Dam znak startu.

W pośpiechu sprawdzali ekwipunek, nakładali karpie – długie, popularne na tych terenach rakiety ułatwiające zarówno marsz, a nawet bieg po najgłębszym śniegu, jak i zjazd po pochyłościach terenu.

Janet zwinęła szybko śpiwór i przytroczyła go mocno do plecaka. Na biodrach zapięła pas z rewolwerem. Wyniosła przed szalas plecak i karabin. Był dosyć ciężki i dopiero teraz zaczęła żałować, że zabierała go z sobą. Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem wnętrze szalas, by sprawdzić, czy nie zostawiła czegoś i wyszła na zewnątrz. Mężczyźni z plecakami na grzbiecie ustawili się w długą linię. Dopiero teraz rozejrzała się za rakietami, ale nie było ich na miejscu, gdzie zostawiła je wieczorem. Pamiętała, że wczoraj oparła je po prostu o szalas tuż przy wejściu. Nie było ich tam. Z uczuciem lekkiego niepokoju i zdenerwowania obeszła szalas dokoła. Nic. A może jednak idąc spać postawiła czy położyła je wewnątrz? Szalas jednak był pusty. Zaniepokojona coraz bardziej wydostała się ponownie na zewnątrz i jeszcze raz zaczęła rozglądać się w pobliżu, potem trochę dalej.

Ani śladu. Rakiet nie było w szalasie. Nie poniewierały się też nigdzie w zasięgu wzroku. Zniknęły jak kamień w wodę. Usiadła bezradnie, usiłując gorączkowo przypomnieć sobie, co z nimi zrobiła.

Zbliżył się Norton.

– Czemu się nie ruszasz? Za chwilę start.

– Nie mam rakiet, Jerry! Coś się z nimi stało.

– A cóż się mogło stać? Może zostawiłaś przy ognisku, albo w jakimś innym miejscu. Musisz znaleźć. Gdzieś tu na pewno leżą. Łatwo nas dogonisz. Bywaj i do zobaczenia nad potokiem.

Pobiegł za innymi.

W minutę zniknęli za pobliskim występem leśnym. Niewielką polanę wciśniętą między górską skarpe a gęsty świerkowy las zaległa cisza. Tylko od czasu do czasu z ogniska dochodził trzask płonącej gałęzi.

Janet spojrzała w niebo. Gwiazdy przybladły, daleko na wschodzie pojaśniało trochę. Nadchodził dzień. Nie ruszała się. Musiała poczekać jeszcze kilka minut. Szukanie rakiet po ciemku nie miało sensu. Podciągnęła kolana pod brodę i przymknęła oczy. Jeszcze raz usiłowała sobie przypomnieć kolejność czynności poprzedniego wieczoru: zdjęła plecak i karpie tam, koło ogniska. Potem pomagała przy okładaniu szałas gałęziami, które ścięli Kester i Ben. Zjadła kolację. Zabrała swoje rzeczy. Tak, właśnie. Otrzepała ze śniegu rakiety i oparła je o szałas. Skoro jednak nie było ich tam, to znaczy, że ktoś zabrał. Może zrobił tylko głupi żart i położył w jakimś innym miejscu, ale... ale może to wcale nie był żart? Być może ktoś uszkodził swoje i zabrał jej. Na myśl o tym poczuła, jak robi się jej gorąco. Mając rakiety mogła myśleć o podjęciu w miarę równorzędnej walki na szlaku. Bieg w ciężkim obuwiu skazywał ją z góry na klęskę. Nie miała co marzyć, że w ciągu dnia zdoła przebyć więcej niż dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia kilka mil. A więc jeżeli rzeczywiście ktoś zabrał jej rakiety, musiał to być nieprzeciętny łotr. No, może niekoniecznie łotr, ale na pewno ktoś, kto potrafił skrzywdzić dziewczynę, ktoś, kto dla zdobycia działki gotów byłby skrzywdzić i innych.

Jeszcze chwila i mrok zaczął szybko ustępować. W kilkanaście sekund później zza odległych szczytów strzeliły pierwsze promienie słońca i nagle światło zalało całą polanę.

Janet poderwała się i rozpoczęła gorączkowe poszukiwania. Tamci wyruszyli najwyżej pół godziny wcześniej. Gdyby znalazła rakiety, mogłaby ich dogonić bez trudu najdalej w ciągu dwu, trzech godzin. Gorączkowo przeszukiwała całą polanę, teren wokół ogniska, miejsce gdzie spali, wszystkie pobliskie krzewy i skraj lasu. Wszystko na próżno. A więc jednak. To nie był żart. Ktoś świadomie pozbawił ją szans zdobycia działki.

Wróciła przed szałas, usiadła, spuściła głowę i załkała bezgłośnie.

W tym momencie na skraju świerkowej gęstwiny, o kilkanaście kroków od siedzącej coś zaszeleściło, rozchyliły się gwałtownie gałęzie, śmignął spod nich smukły cień i nim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, ze skowytom radości rzuciło się ku niej wielkie, lśniące, czarne zwierzę.

– Hektor, piesku, Hektor, ty tu... kochany, dobry pies – powtarzała bezładnie tuląc zapłakaną twarz do psiego pyska. – Skąd się tu wzięłeś? Najlepszy, kochany pies... No już dobrze, dobrze. Wiem, że mnie lubisz. Otarła rękawem twarz, po której pies zdążył kilkakrotnie machnąć ozorem. – Ale jak...? – Nie zdążyła dokończyć, gdy ponownie zakotłosały się gałęzie i na polanę wychynęła jakaś ośnieżona, wysoka postać. W parę chwil potem mężczyzna zatrzymał się dosłownie o dwa kroki. Otrząsnął z kaptura i twarzy śnieg, otrzepał parkę, i... poznała dopiero w tej chwili, chociaż powinna się była od razu domyśleć, że pies nie jest sam.

– Roddy Dowson – wyjąkała. – Ty tutaj? Myślałam...

– Myślałaś, że pochłoneło mnie to białe piekło wtedy, prawda? Nic z tego. Zbieraj się panienko. Czas na nas.

– Co to znaczy? Czego chcesz? – Podniosła się z ziemi. – Mówię: czas na nas! Zbieraj się! Pójdiesz ze mną!

– Ale... nie mam rakiet. Nie dogonimy ich – powiedziała, sama nie wiedząc po co.

Skrzywił się i machnął pogardliwie ręką.

– Nie będziemy ich gonić, panienko; I nie pójdziemy ich szlakiem. Nie interesują nas. My mamy przed sobą inną drogę. Tam – wskazał ręką na północ.

– Tam...? A jeśli nie pójde? Nie mam ochoty chodzić z tobą. I czego chcesz ode mnie?

Wzruszył ramionami, po czym spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem.

– Nie masz ochoty? Przecież nie masz wyboru. Jesteś tu sama, bezbronna i nikt nie udzieli ci pomocy ani nie usłyszysz. A czego chcesz od ciebie, to się okaże później. No, idziesz?

Błyskawicznie sięgnęła po pistolet. Był jednak szybszy. Rozbroił ją w mgnieniu oka, następnie wprawdzie związał ręce i nogi długim rzemieniem. Mówił przy tym cały czas:

– Nie próbuj krzyczeć. Tamci są daleko, więc nie usłyszą. Nie szarp się. Nic ci to nie pomoże. Nie pomoże ci również Hektor. To mój pies i słucha tylko mnie. Nie próbuj go szcuzić. Pewno jesteś ciekawa, po co cię wiąże? To proste, panienko – żebyś nie próbowała uciekać. A poza tym kto wie, jaki inny interesujący pomysł mógłby ci przyjść do głowy. – Jeszcze raz z uznaniem popatrzył na więzy krępujące dziewczynę i mruknął raczej do siebie: —No, teraz w porządku. – Schylił się, przerzucił ją sobie przez ramię. Drugą ręką sięgnął po jej plecak i karabin i jeszcze raz rozejrzał się bacznie wokół. – Nie zostawiliśmy niczego. – Z tymi słowy świsnął cicho na psa i rzucił krótko: – Idziemy, Hektor.

Nim minął kwadrans, przedarli się przez gęstwinę i stanęli na niezbyt wysokim skalnym rumowisku u wlotu do jakiegoś parowu. Na jego skraju stał gotowy do drogi zaprzęg. Mężczyzna złożył dziewczynę na długich saniach. Przykrył ją grubą niedźwiedzią skórą. Obok umieścił i przymocował bagaż. Ujął w rękę bat i strzelił nim kilkakrotnie w powietrze. Zaprzęg ruszył po niezbyt stromym skłonie. I z każdą chwilą nabierał prędkości.

Rozdział XX

O najwyższą stawkę

Poszli od razu ostro. I nim zdolali przebiec pierwsze pół mili, dostrzegli, jaka jest różnica między czerwonoskórym mieszkańcem gór a nimi. W czasie poprzednich dwu dni Ka-káh znajdując się ciągle na czele, swoje tempo i szybkość biegu dostosowywał do możliwości tych, którzy biegli za nim. Gdy widział, że nie mogą dotrzymać mu kroku, zwalniał, przystawał nawet, gdy podciągali bliżej, ruszał ponownie utrzymując tylko taką szybkość marszu, by go nie opóźniać.

Tym razem wiedział, że biali chcą się ścigać, że każdy z nich będzie starał się przybyć do celu jak najprędzej, że będzie usiłował prześcignąć innych, że od niego wymagają, by biegł jak najprędzej. I nie chciał ich zawieść. Toteż od pierwszej chwili, zda się nie czując worka ciężącego mu na plecach, pomknął w dół zbocza niczym młody jeleni ścigający się z wiosennym wiatrem. I nie biegł jak oni, nie wyrzucał w górę nóg, nie odrywał ich prawie od śniegu – ślizgał się po pochyłości, sunął jak na nartach ze z lekka ugiętymi kolanami, z przyciśniętymi do boków rękoma, lekko przygięty, pochylony do przodu, giętkimi ruchami i przechyłami ciała wspomagający miękką pracę nóg.

Wychowany od dzieciństwa w górach, przebiegający je i zimą i latem w pogoni za zwierzyną, czujący się w mokasynach tak samo dobrze jak w rakietach śnieżnych, znał dobrze ich wszystkie wady i zalety. Wiedział, jakie rakiety dobre są na równinie, a jakie na stromych górskich zboczach i wysokich podejściach. Znał zalety gęsto plecionych, wąskich, długich rakiet i teraz właśnie zamierzał je wykorzystać. Ciągący za nim biali używali przeważnie rakiet szerszych i krótszych, stawiających większy opór i grzęznących głębiej w śniegu. Był pewien, że nie zdążą za nim. Jednak nie kazali mu czekać. Powiedzieli, by biegł tak szybko, jak tylko potrafi. Nie oglądał się więc za siebie. Gdy uczynił to w godzinę później, już po minięciu rozległej doliny i wspięciu się po długim stoku przeciwległego zbocza, widział, jak pełzną niemrawo rozciągnięci w długą falistą linię widoczną na dystansie przeszło dwu mil. Uśmiechnął się w myśli i pomknął ponownie po pochyłości niczym strzała wypuszczona z długiego myśliwskiego łuku.

A wąż biegnących jego śladem rozciągał się coraz bardziej. Teraz dopiero ujawniło się, kto dysponował największym zasobem sił i umiejętności. Już bowiem po trzech godzinach rozciągający się na kilka mil łańcuch wyraźnie zaczął pękać. Na czele uformowała się nieliczna grupa, którą pewnie prowadził Cochrane, poszukiwacz z Kolumbii. Tuż za nim biegli Kean i Nickleby oraz Bromley. O kilkaset kroków za nimi, już po przetartym szlaku, bez większego wysiłku pomykali Savage, Stern, Sargent, Freeman i Oates. Dalej w odstępach kilkunastojardowych O'Kelly, Norton, Spencer, Wilder i Hood. Widać było wyraźnie, że znajdujący się jeszcze dalej O'Casey, Rawlins i Wolsey czynią wszystko, by nie stracić poprzedników z pola widzenia, ale nie bardzo im to wychodzi. Inni pozostali znacznie dalej i trudno było określić, ile czasu tracą do grupy prowadzącej.

Wprawdzie te pierwsze piętnaście mil nie decydowało jeszcze o niczym, teoretycznie nie były jeszcze przesądzone niczyje szanse, jednak przewaga prowadzącej grupy zwiększała się z każdą milą.

Koło południa, gdy można było sądzić, że pierwsi przebyli przynajmniej połowę trasy, O'Kelly zarządził postój.

– Cemu u diabła zatrzymujemy się? – wysapał Wilder zrzucając z pleców dość ciężko wyładowany plecak.

– Trzeba odpocząć, Percy. – O'Kelly wyciągnął puszkę z wędzonką i odkroił kawał chleba. – Przed nami jeszcze przynajmniej połowa drogi. A ci pierwsi tracą trochę sił na przecieraniu szlaku, który zdaje się dopiero teraz da niektórym w kość. – Wymownym gestem wskazał rozciągający się do krańców horyzontów dziki, górski krajobraz.

Posilali się w milczeniu. Pierwszy skończył Wilder. Zasnurował plecak i spojrzał pytająco na pozostałych.

– No, to chyba możemy ruszać?

Norton wyjął kapciuch z tytoniem i powoli począł robić skręta.

– Nie łaziłeś pewnie zimą po górach. Nie wiesz, jak szybko można stracić siły. Lepiej odpoczywać o kwadrans za długo niż o minutę za krótko. Ale jeśli się spieszysz, idź. Dojdziemy cię w godzinę, a przy potoku będziemy o dwie godziny przed tobą.

I rzeczywiście okazało się, że w tym co mówił, kryło się sporo racji. Nim minęła godzina, przy podejściu na jakiś stok natknęli się na ciężko sapiącego Sargenta oraz odpoczywającego na krawędzi Freemana, którzy wyraźnie odpadli z drugiej grupy. Po dalszych kilku minutach spotkali wlokącego się samotnie Bromleya.

W odpowiedzi na pytanie jak daleko może znajdować się czołówka, wyraźnie zmęczony mężczyzna odparł, że nie dalej niż trzy kwadranse, może godzinę w przedzie. Minęli go, nie zwalniając kroku. W jakiś czas później natknęli się na Nickleby'ego i Savage'a. Teraz mieli przed sobą już tylko Cochrane'a, Keana, Sterna i Oatesa, ale i z ich własnej grupy odpadł niespodziewanie Hood.

Już poprzedniego dnia na wieczornym postoju zaczął narzekać na oczy. Razila go biel śniegu, bolały gałki oczne. Rankiem nic nie zapowiadało kłopotów, jednak po paru godzinach oczy coraz częściej poczynęły łzawić. Powrócił ból, zaczerwieniły się białka, po twarzy coraz częściej poczęły spływać łzy i wreszcie mimo sporego zapasu sił Hood musiał spasować.

– To śnieżna ślepotą – stwierdził Norton. – Przysłoń czymś oczy i przeczekaaj do wieczora. Dojdiesz nocą. – Zostawili go na szlaku bez dalszych słów i pobiegli dalej.

Nie zwiększali jednak tempa. Zmieniali się jedynie na prowadzeniu.

W jakiś czas potem wyprzedzili ich Rawlins i O'Casey, a w pół godziny później jeszcze Dundard i Wolsey. Ten ostatni, po wysłizganym szlaku przemknął obok, jakby na nogach zamiast ciężkich rakiet miał łyżwy i znajdował się na niedzielnej ślizgawce w montrealskim parku. Widząc go żaden z nich nie miał wątpliwości, kto wytyczy pierwszą działkę.

Biegący właśnie obok Nortona O'Kelly rzucił trochę zdyszonym głosem:

– Nie można by trochę podgonić? Obiecałeś Janet, że zdobędziesz dla niej działkę.

– Zdobędę, to już nie tak daleko. Ale nie mam zamiaru paść na szlaku. Tamci są wyraźnie lepsi, a nie chciałbym niepotrzebnie wypruwać z siebie i z was wszystkich sił. Pewno będą jeszcze potrzebne. Martwi mnie jednak coś.

– No? – O'Kelly nie zwalniając biegu obrócił głowę.

– Te rakiety, rakiety Janet Wharton.

– Pewnie zarzuciła gdzieś i teraz goni nas.

– Nie, Duncan, nie zarzuciła. Sam wieczorem widziałem, jak stawiała je przy szałasie.

– Martwi cię, że zniknęły...?

– Nie, nie to, że zniknęły. Niepokoi mnie, że nie wiem, kto to zrobił.

– Może to tylko złośliwość, żart?

– Na pewno nie. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, że dziewczyna nie zmieści się w pierwszej dziesiątce, a dalsze miejsca się nie liczą. Ten więc, kto pozbawił ją rakiet, nie

żartował. Nie wiem dlaczego, ale musiał mieć jakiś poważny powód. – Strome zbocze i szybki ślizg przerwały rozmowę.

O milę z tyłu Kester Hood głęboko zagrzebał resztki cebuli, starannie wytarł ręce i rękawice i kilkakrotnie czystym śniegiem przetarł twarz i zaczerwienione powieki, zmywając w ten sposób resztki zapachu drażniącego oczy. Przestały łzawić i piec. Wytarł twarz chusteczką i rozejrzał się bystro dokoła. Widział znów znakomicie, i kurza czy też jak nazywali ją niektórzy śnieżna ślepotą wcale mu nie groziła. Tak, fortel z cebulą wypróbował już nieraz, nie tylko zresztą na sobie. Zawsze z wiadomymi skutkami. Roześmiał się bezgłośnie i lekko pobiegł wyraźnie ciągnącą się linią szlaku. Nie spieszył się. Z pewnych sobie tylko wiadomych względów wcale nie zamierzał jako pierwszy przychodzić na metę. Ba, nie interesowało go nawet miejsce w pierwszej szóstce czy nawet dziesiątce.

Kilka mil w przedzie Cochrane, Kean i Oates parli twardo do przodu. Wprawdzie odpadli, nie wytrzymując tempa Bromley i Nickleby, pozostała trójka mimo ciężkiej pracy zdawała się mieć niespożyte siły. Cochrane i Kean umówili się już pierwszego dnia, że będą współpracować nie tylko na szlaku, ale i później przy płukaniu złota. Nie łudzili się, że rywalizacja w biegu będzie ostra i wiedzieli, że sami nie dadzą rady. Przecieranie szlaku mogło wykończyć każdego. Tymczasem okazało się, że jako sprzymierzeńców zyskali znakomitą parę w osobach Bromleya i Nickleby'ego. Ale potem, po pierwszych pięciu milach doszedł jeszcze Oates. Mimo pozorów ociężałości miał niedźwiedzią wytrzymałość i siłę. Co prawda zmieniali się często, ale on dawał najdłuższe zmiany i to na odcinkach najtrudniejszych. Niczym prawdziwa góra śnieżna zsuwał się po zboczach parowów i wąwozów, niczym przysłowiowy taran parł na strome wzniesienia i rumowiska skalne. Z wyczuciem posuwał się po skraju nawisów i śniegowych czap.

Szlak był trudny, zdradliwy, wił się między wzgórzami, przecinał górskie kotliny, przełęcze, dążył z biegiem strumieni, niekiedy przecinał je, opadał, wznosił się, omijał pojedyncze głązy, niekiedy całe rumowiska, zdradliwe skalne szczeliny. Biegł ukośnie wzdłuż zboczy postrzępionego łańcucha górskiego, którego wierzchołki na jasnym tle nieba strzelały w górę na wysokość kilku tysięcy stóp.

Kiedy odpadli Nickleby i Bromley, coraz częściej prowadził Oates. Ale i on zaczynał tracić siły. Bieg trwał już ponad dziesięć godzin, gdy z piersi Drwala począł dobywać się coraz głośniejszy i coraz bardziej świszczący oddech. Ruchy poczęły tracić sprężystość.

W pewnej chwili prawie pośrodku zbocza zawadził rakietą o niewidoczny pod śniegiem kamień i jak długi rozciągnął się na ziemi. Z trudem wygrzebał się spod śniegu i usiadł przecierając twarz. Dyszał ciężko. Zatrzymali się również zdyszani. Bez słowa zrzucili z ramion worki.

Gdy wysapali się, Kean wyciągnął z kieszeni trzy zmięte papierosy i zapalki.

– Nie ma co – wykrztusił ochrypniętym głosem. – Długo tak nie wytrzymasz, Randal. Jesteś morowy facet i jeśli chcesz, możemy zawrzeć umowę.

– Jaką?

– Ty i jeden z nas pójdzie do potoku i wyznaczy dwie działki. Trzeci weźmie twój plecak. Jest cholernie ciężki i nie dasz z nim rady. A dwie pierwsze działki na trzech, to wystarczy.

Oates podniósł się, odrzucił połówkę nie dokończonego papierosa i wskazał głową do tyłu. Po zboczu, w odległości nie większej niż tysiąc kroków sunęły następne czarne punkciki.

– To nic nie da, Kean. Tamci i tak nas pewnie dojdą. Obawiam się, że są lepsi. A mój plecak niewiele tu zmieni. Ruszajmy. Jeszcze parę mil wytrzymam. Tylko od czasu do czasu musicie mnie zmieniać.

Pędzili teraz dosłownie na złamanie karku. Szybko zapadał mrok, ale na białym śniegu smugi rakiet pozostawionych przez Ka-káh były nadal doskonale widoczne. Jeszcze jeden stok i jeszcze jeden głęboki wąwóz o stromych ścianach, zapierająca dech w piersiach wspinaczka pod długą postrzępioną granią, łagodny zjazd. Nareszcie... Jeszcze jedno długie

zbocze i równa odkryta przestrzeń... strasznie długa. Cienie biegnących z tyłu zbliżają się. Słychać zgrzyt rakiet po kamienistym podłożu.

Szlak skręca gwałtownie w lewo. Jeszcze kilkanaście sekund. Wlot parowu. Jeden zakręt, drugi. Wali jak oszalałe serce, łomot w skroniach. Czarne płatki wirują przed oczyma, nogi płaczą się, odmawiają posłuszeństwa. Jeszcze jeden zakręt i... blask ogniska. Ostatni zryw. Tamci są tuż, tuż. Trójka pędząca na złamanie karku trzyma już w rękach przygotowane ubiegłego wieczoru paliki. Na razie wystarczą po dwa. W blasku ogniska namiot. Kilkanaście jardów przed nim Oates wbija pierwszy palik. Kean zdążył wbić już swoje wcześniej. Chwiejąc się pędzi dalej Cochrane, krzyczy coś, śmieje się. Już ich tamci nie dogonią. Jeszcze chwila i Drwal wbija drugi palik. Obok niego Cochrane. Ale pędzi jeszcze kilkadziesiąt jardów, by zatknąć drugi. Oates pada w śnieg rozpaczliwie chwytając powietrze. On prowadził ostatnią milę i jest wykończony. Płuca pracują jak miechy, serce wali jak oszalałe. Łomoczą skronie. Przed oczyma czarna mgła, ale to już nieważne. Obok tupot rakiet, krzyki. To tamci. Jest ich czterech: Wolsey, Rawlins, Dunband i Stern. Zdążą zająć po dwie następne działki w górę i w dół potoku. Teraz zbliżają się, pomagają wstać Oatesowi, klepią go po ramionach, plecach, otrzepują ze śniegu, gratulują. Był wspaniały. Nie dał sobie wydrzeć pierwszego miejsca.

Podchodzą Kean i Cochrane. Kean trzyma w ręku butelkę. Wyciąga ją ku Oatesowi i zdyszany jeszcze głosem mówi:

– Pij pierwszy, Randal. Za zwycięstwo!

– Za zwycięstwo – powtarzają w euforii. Wszak mają najlepszych siedem działek. Piją po kolei. Zasłużyli na to. Obracają wzrok ku ognisku.

Oparty o lufę nowego karabinu, niby posąg wykuty z brązu, nieruchomo stoi Ka-káh. W jego oczach migotają żółte płomienie ogniska. Widzi radość białych, lecz nic nie mówi. Może jej nie rozumie...?

Podchodzą ku niemu. Wolsey wyciąga butelkę, w której pozostał jeszcze jeden solidny łyk, ale Indianin przecząco porusza głową. Pokasłuje lekko. Łamanym językiem przeplatany mimiką twarzy i gestami rąk tłumaczy, że biegł szybko i teraz boli go gardło.

– Ja dawno przybiegł? – pyta Cochrane.

Wymowny ruch ręką w stronę ogniska. Dopalające się grube konary wskazują, że ogień musiał rozniecić przynajmniej godzinę temu.

Patrzą z niekłamanym podziwem. Zrzucają plecaki, worki, rozsiadają się wokół ogniska. W tym momencie na skraju parowu pojawia się następna grupa. Prowadzi ją O'Casey. Jest Sargent, Freeman i O'Kelly. Stopniowo pojawiają się następni. W dwie godziny od wytyczenia pierwszej działki jest ich przynajmniej ze trzydziestu.

Ściągają drewno, rozpalają kolejne ogniska; po raz pierwszy od trzech dni w kilku kociołkach gotują zupę. Mają dosyć zimnego, przemarzniętego i wysuszonego na kość mięsa. Nie zwracają uwagi na namiot. Nie interesuje ich. Ważne tylko, że stoi na pewno na działce, na której jest najwięcej złota. Złoto powinno być i obok; może nie tylko na działkach wytyczonych w dół potoku, może również przynajmniej na kilku z tych, które biegną w górę. Wszyscy z podziwem, ale i zazdrością patrzą na Oatesa. Nie spodziewano się po nim takiego wyczynu.

A on sam? Również chyba nie spodziewał się tego. Dopiero na jakieś piętnaście mil przed metą, gdy z czołówki odpadli Bromley i Nickleby, poczuł, że zaczyna ogarniać go demon hazardu. I wcale nie chodziło o złoto. Chodziło o wyścig, o to, czy dorówna tamtym, czy wytrzyma z pozostałymi. Gdyby szło o zwykły marsz, nie miałby żadnych wątpliwości. Bez odpoczynku mógł iść dziesiątki mil, dzień i noc, dzień i noc. Nie daliby mu rady. Ale bieg...? Sam nie domyślał się, że stać go na tyle. Oczywiście, nie był najlepszy. Zdawał sobie sprawę, że znacznie lepszy był Wolsey, ale Wolsey pokpił sprawę. Za bardzo wierzył w swój finisz i

zbyt późno rozpoczął pościg za czołówką. Gdyby uczynił to o parę mil wcześniej, on miałby działkę na wprost namiotu.

Poczuł dotknięcie ręki. Obok na stosie gałęzi przysiadł Norton.

– Gratulacje, Randal. Przez myśl mi nie przeszło, że jesteś aż tak dobry.

– ... iii... Sam nie dałbym rady, ale przez przeszło połowę szlaku dobrze szli Cochrane i Kean. Mielśmy sporą przewagę. Potem, przy dużym tempie, innym trudno było nadrobić.

– Prawda, przechytrzyliście wszystkich i cholernie się cieszę. Ale pewno ledwo zipiesz?

Oates roześmiał się i zanurzył zęby w kawał tłustego skwierczącego mięsa.

– Teraz już nie, ale gdy tu dobiegłem, miałem dosyć. Widzisz, jestem trochę przyciężki na takie wertepy. I gdyby meta była o milę dalej, chyba bym nie dociągnął.

– Ale dociągnąłeś, i to najważniejsze. Ciekaw jestem, czy obejrzałeś namiot?

– Nie bardzo, Jerry. Teraz mnie już nie interesuje. Grunt, że działka jest moja.

Norton milczał kilkanaście sekund, w końcu pokiwał głową i powtórzył:

– Cholernie się cieszę, że to ty, i że to twoja działka, ale i namiot jest ważny. Razem z działką należy do ciebie. Pewno nie wiesz, ale myślę, że powinienes wiedzieć. Ten namiot był własnością Nanty Whartona. Ciekaw jestem, co powie Janet, gdy go zobaczy.

– Jesteś pewien? – Oates odwrócił się gwałtownie.

– Jestem pewien, Randal. Janet opisywała mi go dokładnie. Zresztą szyla sama. Nie ma wątpliwości. Oates przysunął bliżej płomieni nie dojedzony kawałek mięsa. Myślał nad czymś widać intensywnie, bo na jego czole zarysowało się kilka głębokich bruzd. Wreszcie spojrzał ponownie na Nortona i powiedział niechętnie:

– Dobrze, Jerry. Niech sobie zabierze namiot i wszystko, co się w nim znajduje.

– Nie zrozumiałeś mnie. Nie chodzi o namiot.

– A o co?

– O działkę, Randal!

– Chcesz, żebym jej oddał działkę, tę działkę?

Norton wyciągnął ostrożnie z ogniska jakąś żarzącą się gałązkę i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Widzisz – powiedział spokojnie – ten potok, a więc i działkę znalazł jej brat. A więc po sprawiedliwości jej się należy. Nie chcę jednak, byś jej dawał. Odkupię od ciebie.

– Dla niej?

– Tak!

– Rozumiem... Ile byś dał?

– Myślę, że zwycięstwo w tym biegu warte jest tysiąca dolarów.

Oates roześmiał się.

– Chyba masz rację. Zwycięstwo na pewno warte jest tyle, ale prócz tego warta jest coś tam jeszcze sama działka. – Nie będę się targował, dam pięć tysięcy.

– Nie, Jerry.

– Płacę dziesięć tysięcy dolarów i to natychmiast, jeśli oświadczysz wobec wszystkich, że działkę tę zdobyłeś dla Janet Wharton. Wybrali już komitet. Na czele stoi Wolsey i zapisuje numery i właścicieli działek. Powiesz, że to jej działka i tak zostanie zapisane, a ja dam ci dziesięć tysięcy dolarów. Kupisz za to pięć albo i sześć innych działek wokół Klondike czy Dawson. Nikt nie będzie wiedział. To męska transakcja w cztery oczy. Zgoda?

– A więc aż tak zależy ci na dziewczynie?

– To nieważne, Randal. Chcę, żeby miała właśnie tę działkę, którą znalazł jej brat. Rozumiesz? Chcę, by wszyscy wiedzieli, że ma działkę, lub jak wolisz, bonanzę, odkrytą przez Nanty Whartona. By dostała ją od ciebie razem z namiotem i wszystkim, co się w nim znajduje. Cały Jukon będzie stawiał cię jako wzór poszukiwacza i prawdziwego mężczyzny. I wszyscy będą wiedzieli, że w obozie nad Wild Creek znaleźli się tej zimy ludzie przyzwoici,

mający wielkiego ducha i wielkie serce. A ty będziesz miał ponadto kupę forsy. No więc jak? Przekonałem cię?

Oates milczał jakiś czas. Zastanawiał się widocznie. Sięgnął ponownie po przyrumieniony już kawałek mięsa, który kilka minut temu zawiesił nad ogniem, zdjął go ostrożnie i starannie oskrobał zwęgloną część, po czym poruszył przecząco głową.

– Nie, Jerry! Nie dam działki dziewczynie. Nie lubię jej. Jeśli chcesz, ten kawałek ziemi i potoku mogę zgłosić Wolseyowi jako działkę wspólną: twoją, Bena i moją. Jeśli masz jeszcze kogoś, na przykład O’Kelly’ego czy Wildera, mogę ich jeszcze dopisać, ale panna Wharton nie dostanie stąd nawet jednej kwadratowej stopy.

– Nie lubisz jej, Randal. Nienawidzisz z jakiegoś powodu. Co to za powód?

– Nie pytaj, Jerry, wystarczy, że taki powód jest.

– Nie powiesz?

– Nie, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

– A kiedy?

– Gdy będę wiedział, że gryzie ziemię, podobnie jak jej braciszek.

– Pewien jesteś, że on nie żyje?

– A ty masz, Jerry, jakieś wątpliwości?

– Hm. Chyba nie. No, trudno. Ale może i lepiej, że jasno stawiasz sprawę.

– Wyjął z kieszeni zegarek i popatrzył na godzinę. Dochodziła dziesiąta. Obrzucił Drwala uważnym spojrzeniem i powiedział z zastanowieniem w głosie: – Janet powinna już tu być. Wyruszyliśmy koło szóstej rano. Minęło prawie szesnaście godzin. Niemożliwe, by w tym czasie nawet bez rakiet nie poradziła sobie z trasą. Są już wszyscy. Nie wiem, co myśleć.

– Może skreśliła gdzieś kark – mruknął Oates, przetykając ostatni kęs. – Nie byłoby to najgorsze. Zresztą może ktoś pomógł jej w pozostaniu na szlaku, tak jak w zniknięciu rakiet.

– Myślisz, że to możliwe? – Norton spojrzał z nagłym błyskiem oczu.

– Cóż, pamiętam naszą wczorajszą rozmowę. Myślałem trochę. I nie wierzę, że rakiety same się zapodziały. Komuś zależało, by dziewczyna pozostała na szlaku sama, daleko za innymi. Kto wie, czy w ogóle się pokaże.

Norton poderwał się gwałtownie.

– Mówisz to serio?

– Uhm...

– W takim razie..., w takim razie. – Zamilkł na chwilę ważąc coś w myśli. – Wczorajsza umowa stoi, co?

– Stoi, Jerry. Możesz na mnie liczyć!

– To poczekaj parę minut. Pogadam tylko z Benem. Zaraz wrócę.

Oates wytarł usta i zaczął zawiązywać rozbebeszony plecak. Był ciężki, toteż szczęśliwy posiadacz działki numer jeden z niechęcią myślał, że jeszcze tej nocy przyjdzie mu go ponownie taszczyć nie wiadomo jak daleko. A że będzie musiał, nie miał wątpliwości. Co do wyników rozmowy Jerry’ego z Benem Spencerem, a może jeszcze z kimś, też nie żywił złudzeń. Dobrze, że udało mu się odpocząć kilka godzin. Odetchnął jeszcze parę razy głęboko, sięgnął po rakiety i zaczął je ponownie zawiązywać na butach. Widział, jak Norton rozmawia z Wolseyem i kilkoma innymi mężczyznami. Widocznie informował ich, że idą szukać Janet Wharton. Gdy podszedł bliżej i spostrzegł, że Oates jest już gotów do drogi, uśmiechnął się tylko.

– Powiedziałem im – wskazał kręcących się mężczyzn, że wychodzimy na spotkanie Janet. Prócz Bena dołączają do nas Duncan i Percy, no i Kester Hood – a widząc przy tym ostatnim nazwisku wyraźny odruch niechęci Oatesa, wyjaśnił pośpiesznie: – Nie masz się co zżymać. Kester nic nie ma do ciebie. Widzisz, zaprzyjaźnili się z Benem i teraz jest z nami. A rękę i oko ma jak nikt inny. Może się przydać.

Oates wzruszył niechętnie ramionami.

– Dobra. Rozumiem, że ty tu decydujesz, ale niech mnie nie drażni.

W parę minut później ruszyli powrotnym szlakiem. Zaledwie jednak oddalili się od obozu na jakąś milę, gdy idący na czele Norton zszedł z twardo ubitej ścieżki i zostawiając szlak, zamiast na południowy zachód, skąd wyruszyli rankiem, zataczając wokół obozu szeroki łuk, poprowadził swój niewielki oddziałek ponownie na północny wschód.

Oates nie spytał, dlaczego panny Wharton szli szukać w kierunku przeciwnym do tego, w jakim mogła się znajdować. Nie pytali i inni. Widocznie znali powód...

W tym samym czasie, gdy dążąc trasą wytyczoną przez indiańskiego przewodnika, ku złotemu potokowi pędził na złamanie karku długi wąż żądnych złota mężczyzn, o ponad dwadzieścia mil dalej na północ, nie przetartym szlakiem, ze znacznie większą szybkością mknął psi zaprzęg uwożący w nieznane związaną rzemieniami Janet Wharton.

Zaskoczona i sparaliżowana niespodziewaną brutalną napaścią, w tych pierwszych decydujących chwilach całkowicie straciła głowę. Szybko jednak wróciła jej świadomość i jasność myśli. Uświadomiła sobie przede wszystkim, że żyje i że bandyta nie uśmiercił jej od razu tam na miejscu. Włosy na głowie zjeżyło jej przerażenie na myśl, że to tylko chwilowa zwłoka, że rozprawi się z nią w miejscu bardziej dogodnym, gdzieś tam, gdzie zwłok jej nie odnajdzie nikt do sądnego dnia. Mijały minuty, godziny, mile. Zaprzęg przebył już kilka wąwozów i parowów, cudem przemknął wzdłuż jakiejś grani, przeciął rozległy leśny kompleks. Nic się jednak nie stało. Biegący na czele mężczyzna nawet nie obejrzał się na nią. Tak, jakby nie istniała. A przecież po drodze miał wiele dogodnych miejsc, by pozbyć się jej na zawsze, jeżeli było to jego celem. Widocznie nie o to chodziło.

W serce Janet wstąpiła iskierka nadziei. Widocznie nie zamierzał jej uśmiercić. Ale w takim razie, w takim razie czemu ją porwał i uwoził gdzieś, nie wiadomo dokąd? Spotykała go drugi raz w życiu. Nigdy nie uczyniła mu nic złego. Nie miał powodu, by jej nienawidzić. Nie miał powodu, by ją porywać. Chociaż... chociaż kto wie... – tu nagle niczym błyskawica myśl przemknęła jej przez głowę. – Mogło chodzić o potok. Oczywiście. Jakiż mógł być inny powód? Komuś zależało, by nie pobiegła nad potok i nie zdobyła dla siebie działki. Stąd kradzież rakiet i to porwanie. Cóż, metoda nie najprzyjemniejsza, ale skuteczna. Słyszała, że na złotonośnych polach stosowano różne.

Sanie poczęły zwalniać, wreszcie zatrzymały się. Nadbiegł Hektor i przejechał jej kilkakrotnie po twarzy szorstkim językiem. Podeszedł mężczyzna i przyglądał się jej dłuższą chwilę.

– Robimy obiad – powiedział spokojnie. – Pewno zeszytywniały ci w tej pozycji wszystkie stawy. Zaraz je rozprostujesz. Tylko zabezpieczymy się, by nie wpadł ci do główki jakiś niepotrzebny pomysł. – Zręcznie opróżnił magazynki swojego i jej karabinu leżących na saniach, naboje wrzucił do kieszeni, po czym szybko rozwiązał rzemienie, którymi omotał ją rankiem.

– No, już. Możesz sobie pospacerować. Nie oddalaj się tylko zbyt i nie próbuj uciekać. Nic z tego nie wyjdzie. I nie szczuj na mnie psa. Zaprzyjaźniliśmy się. Jeśli chcesz, możesz pozbierać w pobliżu trochę chrustu. – Już zamierzał odejść, gdy usiadła na saniach i zawołała:

– Poczekaj!

Zatrzymał się i obrócił głowę.

– No, co takiego?

– Chciałabym porozmawiać.

– Dobrze. Przyciągnij do ogniska trochę gałęzi. Nim zupa ugotuje się, będziemy mieli dość czasu. – Odwrócił się i poszedł uwolnić psy z uprzęży, a następnie zabrał się za obłamywanie suchych gałęzi z najbliższych sosen.

Wykonała kilka ruchów rękoma i przygięła się do ziemi, aż coś chrupnęło w stawach, po czym wstała i spróbowała postąpić parę kroków do przodu. Mięśnie jednak były prawie

sztywne. Musiała je najpierw trochę rozruszać. Po paru minutach poszło lepiej. Weszła między drzewa i zaczęła wygrzebywać wystające spod śniegu gałęzie. Nie miała wyjścia, a nie chciała go niepotrzebnie drażnić. Chociaż kto wie, jakie miał zamiary. Na razie, poza tym że ją porwał i związał, zachowywał się przyzwoicie.

Teraz rozpałił ogień, zawiesił nad nim duży żelazny kociołek pełen śniegu i wrzucił do niego kilka kawałków mięsa. Rozmroził mięso dla psów i nakarmił je sprawiedliwie; no, może większą porcję przydzielił przodownikowi.

Gdy przyciągnęła już kilkanaście długich gałęzi, usiadła na jednej z nich i otrzepując rękawice ze śniegu i szpilek, spytała wprost:

– Po co ci jestem potrzebna? Widać czekał właśnie na takie pytanie, bo odparł prawie machinalnie:

– Dowiesz się.

– Kiedy?

– Jutro rano.

– A potem?

– Zrobisz, co zechcesz.

– Puścisz mnie? – spojrzała zaskoczona. – A po cóż miałbym cię trzymać? Tylko kłopot.

– Teraz nie możesz mnie puścić? Tamtych już nie dogonię. Działki nad potokiem nie zdobędę. Poza tym, nie wiem, czy w ogóle dojdę do nich w butach, bez rakiet. W niczym, ani tobie, ani komuś tam, nie przeszkodzę. Możecie sobie zająć cały potok.

Pokiwał głową i do wrzącej zupy wsypał przynajmniej pół garści soli.

– To prawda – spojrzał na nią spod oka. – Nic już nie zwojujesz i nad potok nie dojdiesz. Zajmą więc działki bez ciebie. Nie mogę cię jednak puścić. Jesteś potrzebna mnie, nie im. Jak powiedziałem, puszczę cię jutro. Rakietami nie musisz się przejmować. Leżą na saniach, pod futrem, w które byłaś owinięta.

Nie wierzyła. Podniosła się i poszła sprawdzić. Na saniach leżała jej własna para, nienaruszona. Gdy wróciła, patrzyła na niego przez jakiś czas z zadumą w oczach.

– Masz dużo ludzi na sumieniu?

Zawahał się przez moment.

– Czy to ważne?

– Właściwie nie. Tylko tak spytałam. Ciekawa byłam po prostu, czy będziesz miał jakieś skrupuły, wysyłając mnie na tamten świat.

– Nie wierzysz, że cię puszczę – brzmiało to raczej jak stwierdzenie, nie pytanie.

– Nie wierzę.

– Będziesz się mogła przekonać. Jutro rano. A teraz przynieś swoją miskę; masz chyba jakąś łyżkę.

W pół godziny później przygotował zaprzęg do drogi i spojrzał na nią pytająco.

– Nie mam wyjścia. Muszę cię związać, chyba że dasz słowo, że nie będziesz próbowała uciekać.

– Sam mówisz, że nie mam szans uciec.

– Tak, ale nie mamy czasu. Nie chciałbym go tracić, uganiając się za tobą. Zdecyduj więc.

– Nie musisz mnie wiązać.

Kiwnął głową i wrzucił rzemień na sanie.

– Trzymaj się dobrze, żebyś nie spadła.

I znów stanął na czele zaprzęgu. Sanie z każdą chwilą nabierały prędkości. Znajdujący się na czele mężczyzna nie oglądał się za siebie. Biegł długimi posuwistymi krokami, zdając się ślizgać po powierzchni śniegu. Jednak szlak jaki pozostawiał za sobą był głęboki i dosyć gładki, a psy jak po sznurku szły dwoma ubitymi przez rakiety koleinami. Nie musiały rozgarniać śniegu własnymi piersiami ani nurzać się w nim po grzbiety.

Rzadko zalesiony teren począł stopniowo opadać, przechodząc wolno w bezdrzewną rozległą równinę. Teraz mężczyzna skrzył w prawo i poprowadził zaprzęg prosto na wschód. W pewnym momencie zwolnił nieco, zrównał się z saniami i powiedział zdyszczym głosem:

– Jeśli chcesz się rozgrzać i rozprostować nogi, załóż rakiety.

Już od dobrej godziny chodziło jej to po głowie, ale nie chciała, by posadził ją o zamiar ucieczki. Biegła teraz mila za milą, przysiadając od czasu do czasu na saniach dla złapania oddechu. Mężczyzna jednak był niezmordowany. Nie odpoczął ani razu. I w pewnym momencie uświadomiła sobie, że jego wytrzymałość zaczyna jej imponować. Od rana musieli przebyć dobre pięćdziesiąt mil lub coś koło tego. Teraz zbliżał się wieczór, a on ani razu nie pozwolił sobie, by choć na kilka minut usiąść na saniach lub pobiec za nimi po przetartym szlaku. Ciągłe na przedzie, ciągle na czele. Prawie cały czas biegiem. Jedynie tam gdzie wznosił się teren, zwalniał. Szedł wtedy odrzucając na boki śnieg. Nie odpoczywał więc i wówczas. Musiał mieć solidną zaprawę i chyba niezły solidny trening. Zresztą i psy również. Fakt, sanie nie były zbyt ciężkie i szczególnie po równinnym terenie szły jak po maśle, ale jednak.

Dawno za wierzchołkami gór skryło się słońce. Na niebie zapaliły się pierwsze gwiazdy. W dwie godziny później nad horyzontem ukazała się wielka biała tarcza księżyca. Skręcili jeszcze raz. Teraz szli na zachód. Równina pozostała daleko z tyłu. Okolicę przecinały faliste wzgórza. W końcu drogę przegrodził im jakiś wyższy nieco stok. Nie był jednak zbyt stromy. Poza nim rozciągała się znów równina. Przecięli ją i wkrótce stanęli w widłach jakiegoś strumienia. Oświetlone światłem księżyca poszarpane szczyty gór zdawały się być w zasięgu ręki. Mężczyzna poprowadził zaprzęg lewą odnogą potoku i w jakiś czas potem ominął rozległe skalne rumowisko, skrzył w lewo i zatrzymał sanie. Stali u wylotu wąwozu.

– Idź przodem – zwrócił się do dziewczyny. – Tylko uważaj na kamienie. Leży ich tu pełno i łatwo skrzyć nogę.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– To już niedaleko. Najwyżej z pół mili. Idź już.

W niecałe pół godziny mroczna czeluść urwała się nagle. Stanęli przed niewielką zalaną światłem księżyca polaną.

Janet chciała ruszyć dalej, ale zatrzymał ją ostrym głosem.

– Nie ruszaj się. Nie wchodź na polanę.

– Czemu?

– Bo nie wolno. Zostań przy saniach. Zaraz rozpalę ognisko.

– Czy jesteśmy już na miejscu? – spytała.

– Tak.

– I co dalej, panie Dowson?

– Nic. Najpierw coś zjemy, bo pewno jesteś głodna, a potem, jeśli będziesz mogła, prześpisz się. Ja popilnuję, żeby do rana nic ci się nie stało.

– A rano?

– Zobaczysz sama. Nie wchodź jednak na polanę – powtórzył.

– Zaraz przyniosę drzewo. Możesz tymczasem wyjąć z worka mięso i garnek.

– Z tymi słowy oddalił się w głąb polany.

Rozdział XXI

Sierżant Kingsley na tropie

Frank Kingsley należał do tych mężczyzn, którzy nie poddają się przeciwnościom losu, toteż mimo nasilającej się z każdą chwilą nawałnicy i spadającej gwałtownie temperatury parł niestrudzenie na południe. Pamiętał, że Dowson wspominał o zamiarze udania się do Teslin lub Atlin. Sierżant nie wątpił więc, że bandyta, po tym co zrobił w mieście, będzie starał się jak najszybciej oddalić z miejsca prawdopodobnie podwójnej zbrodni. Ze zrozumiałych powodów nie mógł pójść na północ. Przy lodowatym wichrze wiejącym prosto w twarz, ani on, ani psy nie przeszłyby nawet dziesięciu mil. Musiał też mieć świadomość, że Strickland natychmiast obstawi alaskańską granicę w rejonie Forty Mile i że nawet lisowi trudno będzie przemknąć przez nią niepostrzeżenie. Jeśli więc chciał umknąć, musiał wybrać kierunek południowy. Ale za takim kierunkiem przemawiało jeszcze coś. Dowson nie pochodził z tych terenów. Musiał przybyć niewątpliwie z Alaski i to najprawdopodobniej ze Skagway, Dyea, może gdzieś z okolic Fortu Wrangell. Jeśli więc chciał ujść stryczka, musiał uciekać w tamtym kierunku. Mając dobry zaprzęg, mógł stosunkowo łatwo dotrzeć do White Horse po zamrożniętej rzece. Tam musiał zdecydować się: albo na krótszy chociaż niełatwy szlak na Skagway, albo wzdłuż łańcucha obozów, w Atlin, Surprise, Telegraph Creek i Glenora do Fortu Wrangell. W tej chwili nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż Frank był pewien, że na bez mała pięćsetmilowej trasie do White Horse zdoła dopaść przestępcę.

Do pierwszego obozu w Ogilvie, po prawej stronie rzeki, prawie na wprost Sixty Mile River, dotarł koło południa następnego dnia. Obóz był niewielki, liczył około trzystu mężczyzn. Poza kilkoma starymi Indiankami nie dostrzegł żadnej innej kobiety. Sytuacja w obozie nie wyglądała najlepiej. W jednym z kilku saloonów dowiedział się, co nie było specjalnym odkryciem, że wszędzie panuje głód. Ludzie cierpią z powodu braku opału. Kilkanaście osób choruje, prawdopodobnie na zapalenie płuc. Przy pomocy dwu miejscowych konstabli usiłował dowiedzieć się, czy w ciągu ostatnich kilku godzin nie widziano jakiegoś obcego poszukiwacza prowadzącego zaprzęg składający się z siedmiu zwierząt i posiadającego dużego czarnego psa. Nikt jednak nic nie widział ani nie słyszał o kimś takim, z czego Kingsley wysnuł wniosek, że Dowson, pragnąc prawdopodobnie zgubić ślady, ominął Ogilvie. Sierżant nie był tym zdziwiony. W podobnej sytuacji postąpiłby zapewne tak samo.

Na posterunku przespał się sześć godzin, pozwalając przez ten czas wypocząć zmordowanym zwierzętom, po czym, mimo przestróg konstabla Burke'a, ruszył w dalszą drogę.

Rankiem dotarł do następnego obozu w widłach rzek Stewart i Jukon, ale i tutaj sytuacja powtórzyła się: nie widziano nikogo obcego. Nikt nie widział czarnego psa. Podobnie było w obozie u ujścia White River, nad Thistle i Kirkman Creek. Około dwadzieścia mil poniżej, u ujścia jakiegoś potoku, którego nazwy nie znał, rzeka zwężała się raptownie. Na lewym brzegu stały dwie zbite z okrągłaków budy, ale tylko jedna z nich zajęta była przez dwóch głodujących mężczyzn. Zostawił im puszkę grochu i trochę herbaty. Byli mrukliwi i łakomie spoglądali na worek przymocowany do sań. Domyślali się, że musiał mieć w nim żywność.

Nie zostawał więc na nocleg, a ponieważ wreszcie ucichł wiatr, pociągnął w górę rzeki. Zataczała tu łagodny łuk i dążyła na wschód.

Podczas następnych kilku dni, robiąc po obydwu jej brzegach wypadły na odległość dwudziestu, trzydziestu mil prostopadle do kierunku szlaku, przeczesał setki mil kwadratowych terenu, spenetrował kilkanaście obozów poszukiwaczy i kilka zimowych obozowisk indiańskich. Wszędzie jednak słyszał tę samą odpowiedź.

W miarę posuwania się w górę rzeki ogarniało go coraz więcej wątpliwości. Jeśli Dowson uciekał tym samym szlakiem, a w górę rzeki innego nie było, musiał pozostawić ślady. Musiałby go ktoś widzieć, spotkać, chociażby słyszeć o nim. Brak czegokolwiek, najdrobniejszej nawet poszlaki wskazywał coraz wyraźniej, że przestępca nie poszedł tą drogą. Ale o ile nie przekroczył granicy Alaski gdzieś w rejonie Forty Mile na północny zachód od Dawson i nie udał się w górę Jukonu, to pozostawała mu już tylko jedna możliwość: wschodnie rejony między rzekami Pelly i McQuesten po obydwu stronach Stewart River. Nie było to nieprawdopodobne. W tamtych okolicach, nad licznymi dopływami Macmillan, Kalzas, Crooked i Moose, latem, jak wiedział z policyjnych raportów, znajdowano niewielkie ilości złota. W górskie rejony wokół Glenlyon Range, Clarke Hills, Kalzas Mountain, Grey Hunter Peak oraz w okolice Mount Cameroon i Mount Patterson, w rejony rzek Rackla i Beaver poszło sporo poszukiwawczych grup. Z tego właśnie względu inspektor Charles Constantine, w tamtym rejonie, właśnie nad Duck Creek usytuował najdalej na wschód wysunięty posterunek policyjny.

Większość poszukiwaczy wróciła do Dawson, Klondike i Forty Mile przed zimą. Niektórzy pozakładali w pobliżu zimowe obozy nad Flat, Rock, Bear Creek, w Grand Forks czy nad Indian River. Ale znaczna część nie wróciła, pozostając na zimę w odległych od większych skupisk ludzkich tymczasowych obozowiskach w tamtym dzikim regionie. Frank wiedział, że między rzekami Pelly i McQuesten obozów takich znajdowało się przynajmniej kilka. I postanowił je spenetrować. Roddy Dowson, jeśli miał głowę na karku, mógł być pewny, że poszukiwania pójdą wszędzie, tylko nie tam. Może właśnie tam zdecydował się zaszyć i przeczekać do wiosny. Nie mógł przecież podejrzewać, nie mógł przewidzieć, że za jego tropem pójdzie sierżant Frank Kingsley, że nie zaniecha pościgu, choćby miał z siebie wypruć wszystkie flaki, choćby miał na czworakach przewędrować całe Terytorium Jukonu.

Stwierdziwszy, że na szlaku do Minto nie ma najmniejszych śladów ściganego, o kilkadziesiąt mil od tej osady odbił w lewo od trasy zbaczającej znów na południe i podążył prosto na wschód w górę Pelly River. A następnie na północny wschód wzdłuż Kalzas. W rejonie Grey Hunter Peak i Kalzas Twins przeciął niezbyt rozległą lesistą wyżynę i dotarłszy do Stewart River, ponownie skierował się na wschód w górę rzeki.

W trzy tygodnie od opuszczenia Dawson, w indiańskim obozowisku, w pobliżu górnego wodospadu Frasera, po raz pierwszy usłyszał o wielkim czarnym psie. Widziało go kilku myśliwych. Widzieli również zaprzęg. Nie posuwał się łożyskiem rzeki. Zdążył na północ. Tak, był i mężczyzna, ale nie zatrzymał się w obozie. Nie widzieli go z bliska i nie mogli mu się przyjrzeć. Nie wiedzą więc, jak wyglądał. Przechodził może osiem, a może dziesięć dni temu.

Kingsley nie wypytywał dłużej. Świsnął batem i pognał psy. Nie uszedł jednak zbyt daleko. Właśnie tego dnia w późnych godzinach wieczornych od północy nadciągnęły pierwsze lodowate podmuchy wiatru, zapowiadające śnieżną nawałnicę. Mimo to parł niestrudzenie do przodu. Koło północy, goniąc ostatkiem sił, dotarł na skraj lasu i schronił się pod osłonę drzew. Przez następne dni, niepomny na mróz ścinający krew w żyłach, posuwał się ciągle do przodu. Któregoś popołudnia zupełnie przypadkowo natrafił na wilcze łowy. Uciekający przed goniącą go sforą ren wyszedł wprost na niego. Kingsley położył go jedną kulą między oczy. Kilкома dodatkowymi strzałami przepędził napastników.

Niespodziewana zdobycz napęliła go prawdziwą radością, tym bardziej uzasadnioną, że uzupełniała mocno już uszczuplone zapasy. Tego dnia zbudował solidny szałas i rozpałił duże ognisko. Zarówno jemu jak i psom należał się przyzwoity posiłek i nieco dłuższy odpoczynek. Wygłodzone husky miały prawdziwą ucztę, a i on sam zjadł przynajmniej parę funtów pieczonego nad ogniskiem mięsa. Obudził się późno. Jeszcze raz nakarmił dobrze psy; sam również najadł się do syta.

Po śniadaniu wyciągnął z plecaka dobrą policyjną mapę. Jeśli nie pomylił kierunku, to do najbliższego obozu poszukiwaczy w pobliżu Eagle Tail Peak miał nie więcej jak jakieś trzydzieści mil, a mapa mówiła, że cały czas mógł posuwać się lasem.

Tuż przed zmierzchem dotarł do ukrytego w głębokiej kotlinie obozu u stóp Wolf Mountain. Kilka większych, kilka mniejszych baraków osłoniętych zboczem góry przed podmuchami wiatru napęliło go optymizmem. I jak się okazało, nie bezzasadnym. Aż kilkunastu mężczyzn grających w obskurnej karczemnej izbie w pokera i kości i popijających śmierdzący samogon przypominało sobie dobrze i czarnego psa, i jego właściciela.

– Tak, był tu przed czterema dniami. Zatrzymał się na noc. Pytał o drogę do obozów nad Beaver's Fall i nad Wild Creek. Miał najlepszy zaprzęg, jaki kiedykolwiek widziano na Terytorium Północno-Zachodnim. Sześć prawdziwych olbrzymów i przodownik. Nie, nie był zbyt rozmowny. Ot tak. Zwyczajnie. Odszedł z samego rana. Spał na dole w barze. W tamtym kącie, razem z psem. Widać, że nawykły do niewygód. Wypił jedną, może dwie miarki. To wszystko. Nie przedstawiał się. A, oczywiście, miał karabin i ciężką spluwę przy boku. Pogoda widać nie przerażała go, skoro poszedł mimo zamieci.

Po raz pierwszy od opuszczenia Dawson Frank Kingsley poczuł dreszcz emocji myśliwego, któremu udało się wpaść na trop grubej zwierzyny. Co więcej, do myśliwego uśmiechnęło się szczęście. Siedząc w karczemnej izbie usłyszał nagle... nie, nie usłyszał, raczej wyczuł jakąś zmianę w atmosferze. Inni musieli zauważyć również, bo umilkły rozmowy. Wszystkie głowy, jak na komendę, obróciły się w stronę drzwi. Ktoś wstał od stolika i otworzył je szeroko. Nawalnica oddalała się szybko na południe. Gdzieś w oddali zamierał jęk wichru.

Gnając przez następne trzy dni do Beaver's Fall, Frank Kingsley modlił się żarliwie. Modlił się, by ów trop nie okazał się fałszywy. Modlitwa musiała być naprawdę szczerą i gorącą, skoro i w tym obozie równie dobrze przypominało sobie dziwnego wędrowca. Aż kilka osób potwierdziło, że poszedł w kierunku Wild Creek.

A więc nareszcie! Trop okazał się nie tylko pewny, ale co ważniejsze, zupełnie świeży, niemal gorący. Roddy Dowson uciekał do obozu nad Wild Creek – do ostatniego, najdalej w tym kierunku wysuniętego zimowego obozowiska poszukiwaczy złota. Dalej na dystansie setek mil rozciągała się dzika górską kraina zasiedlona jedynie przez resztki indiańskich plemion.

Czego Dowson szukał w tym właśnie obozie, bo chyba nie miał zamiaru wędrować dalej? Dlaczego się tak spieszył? Nawet w czasie tej wielodniowej zamieci nie zatrzymał się na dłużej ani razu? Jeśli jego ostatecznym celem był Wild Creek, nie musiał pędzić na złamanie karku. Czy szukał tu schronienia przed policją, przed prawem...? Mógł ukryć się przecież wszędzie, nawet w Dawson, szczególnie w Lousetown, gdzie nie wytopiłby go sam diabeł. Wystarczyło, by pozbył się tego czarnego psa. Musiał zdawać sobie sprawę z faktu, że w każdym zbiorowisku ludzkim można przeoczyć pojedynczego człowieka, jeśli nie wyróżnia się niczym szczególnym. Nie można jednak nie zauważyć takiego psa. Nie pozbył go się jednak, nie ukrywał przed nikim. Było w tym coś niepojętego. Może nie obawiał się w ogóle pościgu. Może liczył na to, iż nikomu nie przyjdzie na myśl szukać go właśnie tu.

Kingsley nie zatrzymał się nad Beaver's Fall. Uzyskawszy potwierdzenie swych nadziei, szybko pozostawił za sobą obóz i przy świetle gwiazd wędrował jeszcze dobre dziesięć mil. Następnie zbudował szałas, rozpałił ogień i nakarmił psy. Sam nie jadł, nie był głodny.

Siedząc przy ognisku myślał ciągle o tamtym. Co rzeczywiście pchało go w te strony? I nagle przyszło olśnienie... Tak, to było oczywiste. Roddy Dowson wpędził się w matnię. Nie widział na pewno szans umknienia pogoni ani w kierunku zachodnim, ani północnym. Uciekając na wschód łudził się, że na ten trop policja wpadnie najpóźniej, co jemu pozwoli oddalić się na znaczną odległość. Ale nie tylko: ani na północy, ani na zachodzie nie mógł widocznie liczyć na niczyją pomoc. Na pewno nie miał tam żadnych przyjaciół. Przyjaciół bądź pomocników musiał mieć tu, nad Wild Creek. I to musiało być powodem, że uciekał tutaj. Może nawet już wcześniej właśnie tutaj wyznaczyli sobie spotkanie. To był ten powód, a jednocześnie cel. Dowson więc nie działał sam. Było ich co najmniej kilku. Kilku – cała banda. Czego jednak mogła szukać, co tu robiła banda Roddy Dowsona? Być może zresztą hersztem nie był on sam, lecz ktoś inny? Czego szukali tu zimą prawie na krańcu świata?

W tym momencie siedzący przy ognisku skojarzył sobie nagle trzy pozornie odległe fakty. Pierwszy był zupełnie oczywisty i wyjaśniał, dlaczego właściciel czarnego psa dwukrotnie przekraczał alaskańską granicę. Bajeczką było twierdzenie o pomyleniu drogi i o pościgu za rannym łosiem. Roddy nie przybywał na Terytorium Jukonu z Alaski. Przybył do Dawson stąd. Jedynie upozorował przejście przez granicę. Było mu to potrzebne, by oszukać policję. A przybył do Dawson dla załatwienia porachunków z Turnerem Jacksonem. Gdy wykonał zadanie, wrócił na swe zimowe leże. Fakt drugi, jeszcze bardziej znamienity, mówił, że obóz nad Wild Creek usytuowany był w bezpośrednim sąsiedztwie opuszczonego posterunku nad Duck Creek. Zaledwie parę dni drogi. I fakt trzeci – to co z takim naciskiem podkreślał inspektor Strickland: załoga posterunku nie dałaby się sterroryzować czy obezwładnić jednemu człowiekowi. Napastników musiało być kilku, a jednym z nich był Roddy Dowson. Po zlikwidowaniu posterunku napastnicy przyczaili się tutaj. Czy ich celem było jedynie niewchodzenie przed oczy policji, czy może coś innego? Może odpowiedzi na pytanie należało szukać zarówno w położeniu posterunku, jak i usytuowaniu obozu nad Wild Creek. Niezależnie od tego, jaka była ta odpowiedź, sierżant był pewien, że przyjdzie mu się spotkać nie z jednym przeciwnikiem. A przecież poza Roddym tamtych prawdopodobnie nie znał... Czy zdoła ich rozpoznać, nim dojdzie do ostatecznej rozprawy, nim będzie musiał sięgnąć po broń lub raczej kajdanki?

Z zadumy wyrwał go jakiś szelest, jakby ktoś otarł się o ścianę szałas. Sięgnął po rewolwer, jednocześnie błyskawicznie obrócił głowę. Nie dalej niż pięć, sześć kroków wyraźną plamą na śniegu odcinał się kształt wilczej sylwetki. Wyjął z ognia płonącą głownię i rzucił za siebie. Wilk odskoczył jedynie na kilkanaście kroków, ale zaraz przysiadł na ziemi. W świetle płomieni czerwonym blaskiem gorzały jego ślepie. Nie bał się. Widocznie musiał być głodny. Siedział bez ruchu i patrzył na tkwiącego przy ognisku człowieka. Patrzył z uwagą, jak ten podnosi uzbrojone ramię.

Suchy trzask i bure cielsko opadło w śnieg. Mężczyzna nie podniósł się nawet, by zbadać skuteczność strzału. Był pewien, że trafił tam gdzie mierzył. Tej nocy już nie zasnął. Z minuty na minutę coraz bardziej ogarniała go łowiecka gorączka. Rozigrana wyobraźnia podsuwała coraz to nowe sytuacje, podpowiadała dziesiątki możliwości, malowała dramatyczne sceny, ale jednocześnie ostrzegała. Zwierzyna była groźna i niebezpieczna. Już raz w Dawson pokazała prawdziwie wilcze kły w rozprawie z ludźmi Jacksona. Frank widział to i zapamiętał. A tam Roddy był sam przeciwko czterem. Tutaj miał pomocników, zapewne nie gorszych niż on, i tu nie miał już nic do stracenia. Musiał wiedzieć, że jeśli wpadnie w ręce policji tu, w pobliżu miejsca największej zbrodni, jaką niewątpliwie popełnił na załodze posterunku sierżanta Wellera, nie może oczekiwać niczego poza stryczkiem. Nie podda się, nie wyglądał na takiego, zwłaszcza jeśli będzie czuł, że stoi za nim kilku gotowych na wszystko, wypróbowanych kompanów.

Uświadomiwszy to sobie, sierżant Kingsley poczuł nieprzyjemny dreszcz. Wyruszając w desperacki pościg wiedział, że ma przed sobą tylko jednego przeciwnika, że przyjdzie mu się

zmierzyć z jednym tylko mężczyzną. Nie bał się walki i nie bał się ryzyka. Wierzył we własne siły. Jednak w tym momencie zawahał się. A może przecenił je? Rozprawa z jednym to nie to samo co rozprawa z kilkoma, zapewne z całą bandą. Czy sprostą odpowiedzialności, jaką wziął na siebie...? Czy podoła stojącemu przed nim zadaniu...? Wstrząsnął głową, usiłując pozbyć się tych myśli. To nieprawda. Nie był sam. W obozie nad Wild Creek znajdowało się przynajmniej kilkudziesięciu mężczyzn. Wiedział o tym z raportów policyjnych. Nawet jeśli część na początku zimy przeniosła się do Dawson czy Klondike i tak musiała tu pozostać spora garść najtwardszych. W razie potrzeby na pewno staną po jego stronie, po stronie prawa. Świadomość tego faktu uspokoiła go. Tak, w razie potrzeby staną u jego boku, albo... albo przynajmniej będą świadkami jego bohaterskiej śmierci. Opowiedzą o tym Stricklandowi i sierżantowi Hayne i innym. Na całym Terytorium Yukonu znane będzie imię Franka Kingsleya, który poległ bohaterską śmiercią podczas wypełniania obowiązków służbowych. Jego będą stawiali za wzór odwagi, poświęcenia, bohaterstwa. Oczyma duszy ujrzał wielkie nagłówki gazet tu i na całym kontynencie. Nagłówki otoczone czarną grubą obwódką i swoje zdjęcie służbowe w paradnym mundurze, a przed nim skromny podpis: „Sierżant Frank Kingsley – bohater Yukonu”. A nad otwartym grobem w Fort Herchmer prosta trumna przykryta kanadyjskim sztandarem, obok wyprężona na baczność kompania honorowa i Strickland, albo może ktoś jeszcze wyższy rangą, wygłaszający proste żołnierskie słowa pożegnania. Może w uroczystości pogrzebowej pozwołą wziąć udział Ailie Jameson...

Przymknął powieki. Wizja uleciała sprzed oczu. Ale Fank był gotów. Spojrzał na rozgwieżdżone niebo, polecając duszę Bogu, po czym przeniósł wzrok na strzelające iskry w ognisku i podniósł się. Nadchodził świt.

W tym samym mniej więcej czasie, o ponad sto mil na północny wschód, tuż przed wyruszeniem na szlak drugiego etapu biegu po złoto, jeden z jego uczestników, przełknąwszy ostatni kęs zimnego mięsa, zwrócił pytający wzrok na swego towarzysza i spytał cicho:

- Jak myślisz, czy Roddy Dowson wie o złocie Whartona? Odpowiedzią był cichy śmiech.
- Oczywiście, inaczej nie rozprawiłby się z Turnerem. A kto wie, czy nie będzie się chciał rozprawić i z nami...
- Podejrzewasz, że wysłał go Jeff? – Jestem tego pewien i... mogą nas czekać różne niespodzianki, Trzymaj oczy szeroko otwarte. Jagnięta Jeffa miewają różne pomysły... a wiadomość zamieszczona w „The Nugget” mówi jasno, z kim mamy do czynienia.

Sierżant Kingsley nie słyszał tej rozmowy, nie wiedział więc nic o złocie Whartona, także o wielu innych sprawach. Dwadzieścia mil dzielące go od Wild Creek przebył w cztery i pół godziny.

Zbliżając się do obozu sprawdził broń, a podczas ostatnich paru mil raz jeszcze przemyślał dokładnie, jak ma postąpić w razie spotkania Dowsona. Był spokojny tym wewnętrznym spokojem, który nawet myśl o śmierci potrafi natchnąć czymś optymistycznym. Mimo to wcale nie zamierzał dać się zabić zbyt łatwo. Nie, mimo że myśl o śmierci nie napawała go lękiem, że zamierzał przyjąć ją godnie, po męsku, nie po to szedł, by umierać. Właśnie teraz, kiedy, jak mu się wydawało, bliski był spełnienia swych marzeń i nadziei, kiedy widział, jak dumnie kroczy ulicami Dawson, wiodąc w kajdanach całą groźną bandę, życie jawiło mu się jako coś bardzo pięknego, pięknego nie mniej niż najbardziej zaszczytna i honorowa bohaterska śmierć.

Do obozu podchodził więc pewnie, ale ostrożnie. Już z daleka, między drzewami, dostrzegł domostwo Harveyów. Położone nieco na uboczu stwarzało znakomitą okazję do zasięgnięcia języka i zorientowania się w sytuacji. Wprawdzie z komina unosił się dym, ale wewnątrz nie było nikogo.

Chcąc nie chcąc poprowadził zaprzęg w kierunku obozu. Zbliżanie się obcego najwcześniej wyczuły psy wałęsające się wokół baraków. Kilka z nich z głośnym ujadaniem wybiegło na spotkanie zaprzęgu. Przepędził je paroma smagnięciami bata. Ale zdziwiło go, że zgiełk jaki czyniły, nie wywabił nikogo na zewnątrz. „Co u licha?” – pomyślał. Obóz sprawiał wrażenie opuszczonego. Ale nie, nad niektórymi barakami unosił się dym. Musieli więc być i ludzie. Rozejrzał się bacznie i na jednej z chat, znacznie obszerniejszej od innych, spostrzegł przekrzywiony zawieszony nad drzwiami szyld: „Mr & Mrs Burns’ Saloon”. Barak wyglądał okazale, z komina walił gęsty, czarny dym, a przed wejściem widniało mnóstwo śladów stóp. Rozdeptany wokół śnieg wskazywał, że byli i ludzie. Pod ścianą przybudówki, służącej za skład drzewa, dostrzegł niewielkie sanki i drzemiące psy.

Podprowadził w pobliże swoje sanie i zatrzymał zaprzęg.

Przed przekroczeniem progu jeszcze raz upewnił się, czy rewolwer gładko wychodzi z pochwy i dopiero wtedy pchnął drzwi.

W izbie było zaledwie kilka osób, w większości starsi mężczyźni. Za ladą baru korpulentna niewiasta w nieokreślonym wieku wycierała szklanki, rozmawiając z jednym z gości opierającym się o blat i sączącym podejrzanego koloru napój. Kingsley patrzył dłuższą chwilę, nie dowierzając własnym oczom. Mężczyzną popijającym przy barze był nie kto inny jak sam... Brian Paterson, kapral Paterson, z którym nie dalej jak trzy lata temu przechodzili wspólne szkolenie w Fort Edmonton.

Paterson zaaferowany rozmową z Dolly Burns nie zareagował na odgłos otwieranych drzwi, dopiero widząc zaskoczenie malujące się na twarzy właścicielki baru i czując na sobie czyjeś przenikliwe spojrzenie obrócił głowę, zwrócił wzrok ku nowo przybytemu i... omal nie wypuścił szklanki z drogocennym płynem. Obaj mężczyźni dłuższą chwilę patrzyli na siebie z podobnym zaskoczeniem, wreszcie kapral postawił ostrożnie szklankę i szeroko rozłożył ramiona.

– Frank, ty tutaj – wykrzyknął z nieklamana radością. – Jakież bogi cię tu przywiodły? Ile to już czasu? Niech cię uściskam. A to dopiero niespodzianka. Nic się nie zmieniłeś. Czy... – tu zamierzał spytać, czyjego stary druh przypadkiem nie zjawia się służbowo, jednak w porę ugryzł się w język. A może tamten nie chciał, by wiadano, że jest policjantem? – Czy, czy pamiętasz jeszcze starego Briana?

– Czy pamiętam? – Kingsley odsunął się o pół kroku. – A któż do kroćset byłby w stanie zapomnieć chlubę Północnej Konnej? Poza tym przyjaciół nie zapominam nigdy. Co tu robisz?

Kapral ujął przybysza pod ramię i przyciągnął w stronę bufetu.

– Poznaj, Dolly. To Frank Kingsley, mój stary przyjaciel. Należ mu przywoitać porcję na mój rachunek. Ale lepiej daj nam od razu z pół butelki. Jeden kieliszek dla Franka Kingsleya to tyle samo co dla mnie kropla. A pewno drogę ma poza sobą nie najkrótszą i całkiem suche gardło. I coś na ząb. Znajdziesz coś, Dolly, dla mojego druha, prawda?

– Oczywiście, Brian. U Dolly Burns każdy gość zawsze dostanie coś na przeplukanie gardła, a twoi przyjaciele także na żołądek. – Podsunęła im dwie czyste szklanki i pełną butelkę, a widząc, że kapral sięga w stronę kieszeni, powstrzymała go ruchem ręki. Była pewna, że nie ma przy sobie ani centa. – Nie teraz, Brian. Wolę, jak płacisz raz na miesiąc. Wtedy jest to zawsze jakaś okrągła sumka. – Zmrużyła żartobliwie oko. – Znajdźcie sobie jakiś wygodny stolik, a Babs tymczasem przyrządzi coś w kuchni.

Gdy usiedli przy stoliku, kapral pochylił się i spytał cicho:

– Jesteś tu służbowo, oficjalnie, bo nie wiem...?

Kingsley wahał się chwilę. Nie, nim nie rozezna się w sytuacji, lepiej by inni nie wiedzieli. Toteż odparł wymijająco.

– I tak, i nie, Brian. Jestem na służbie, ale prócz ciebie nie powinno się to rozejść między tutejszymi, przynajmniej jakiś czas.

Paterson pokiwał ze zrozumieniem głową i napełnił szklanki. – Misja specjalna?

Kingsley uśmiechnął się niewyraźnie.

– Coś w tym rodzaju, ale – dodał natychmiast —: przed tobą nie mam tajemnic. Nie chcę tylko, by na razie wiedzieli inni, zgoda? – Tręcili się. – A więc za spotkanie. – Odstawił swoją szklankę i powiedział po prostu: – Ścigam Roddy Dowsona. Czy był tu lub czy jest jeszcze?

Kapral z namaszczeniem napełniał ponownie szklanki. A więc chodziło o Dowsona. Znaczyło to, że gazeta nie kłamała. Policja Terytorium Jukonu ścigała groźnego przestępcę aż tutaj, a Fort Herchmer milczał w tej sprawie jak zakłęty. Ani jeden rozkaz, jaki w ciągu ostatnich tygodni otrzymał od Stricklanda, nawet nie wymieniał tego nazwiska. Czyżby w tej jednej sprawie nie mieli zaufania do Briana Patersona, tylko do niego? Serce kaprała zalała fala goryczy i upokorzenia. Po tylu latach nienagannej służby. I dopiero Kingsley. Nic się nie zmienił. On jeden nie stracił zaufania do starego przyjaciela. Powiedział zwyczajnie: – Ścigam Roddy Dowsona... – Paterson podniósł szklankę i ciepło spojrzał na dawnego druha.

– Twoje zdrowie, Frank – powiedział. – I dziękuję ci za szczerość. Możesz liczyć na moją dyskrecję i jeśli trzeba, ma się rozumieć, na wszelką pomoc. Roddy Dowson był tu, ale nie ma go. Dobrze, że jednak zjawileś się. Nie chcę cię wypytywać. Wiem, co to tajemnica. Wiem więc, że nie chodzi ci tylko o Dowsona, czy jak on się w rzeczywistości nazywa. Dzieją się w tym obozie i w okolicy różne dziwne rzeczy i najwyższy czas zająć się nimi serio. Cieszę się, że przysłali ciebie. Wiesz pewnie więcej niż ja, ale i ja wiem coś niecoś. Opowiem ci. Sam będziesz wiedział najlepiej, co z tym zrobić. Zajmie to jednak trochę czasu i nie chciałbym opowiadać w karczmie. Ktoś może usłyszeć coś niepotrzebnego. Mocno jesteś zmachany? Nie? To w porządku. Parę mil stąd jest nasz posterunek. Siedzimy tam z Keithem Barnesem. Nie znasz go na pewno, ale jest w porządku. Będziemy mogli pogadać spokojnie. Butelkę zabieramy z sobą, a coś do żarcia robi Keith. Nie będziesz żałował.

W parę minut później, ku wyraźnemu rozczerwowaniu Dolly oraz innych gości, którzy od nowego przybysza spodziewali się usłyszeć trochę wieści z szerokiego świata, obaj mężczyźni opuścili szynk i w jakiś czas potem siedzieli w ciepłej izbie niewielkiego posterunku, o którego istnieniu Kingsley nawet nie wiedział do tej pory. Jak się wkrótce okazało, mimo iż nie dał tego poznać po sobie, nie wiedział również o wielu innych sprawach, być może znacznie ważniejszych niż sprawa samego Dowsona. Nie przyznał się jednak do tego. Opowieści Patersona słuchał uważnie, ale z wyrazem twarzy wskazującym, że przynajmniej o niektórych sprawach musiał dobrze wiedzieć, albo przynajmniej słyszeć. Paterson jednak, a momentami i Barnes nie zrażali się tym. Opowiadali o wszystkich ważniejszych wypadkach i wydarzeniach, jakie miały tu miejsce ostatniej zimy: o tajemniczej śmierci Monty Burnsa i zaginięciu jego pomocnika, o zamachu na Randala Oatesa, o zuchwałej kradzieży u Harveyów, o pojawieniu się i wypędzeniu Roddy Dowsona z obozu, i o jego psie nazywanym Hektor. Mówiąc o tej ostatniej sprawie Paterson w szczegółach zrelacjonował tragiczną historię Janet Wharton, jej ojca i Norrisa. Mówił o zaginięciu Nanty Whartona i o tym, że ze sprawą rodziny Whartonów i Norrisa musiał być powiązany Roddy Dowson. Wyraził przekonanie, że odkryty w odległym górskim wąwozie namiot należy do zaginionego brata dziewczyny i że najprawdopodobniej potok, nad którym postawił go Nanty Wharton, ukrywał tajemniczą złotą bonanzę Norrisa.

W opowieści swej Brian Paterson nie pomijał sytuacji i stosunków panujących w samym obozie. Mówił o waśniach, kłótniach i animozjach, o napiętej atmosferze spowodowanej głównie głodem, ale nie tylko. Widział także inne przyczyny: brak codziennych zajęć, monotonię życia, brak kobiet – chorobę wszystkich bez wyjątku obozów poszukiwaczy od czasów kalifornijskich, także różnorodność typów i temperamentów. Nie ukrywał, że jego zdaniem przynajmniej pewna część mieszkańców obozu wcale nie musiała być takimi, za jakich zewnętrze pragnęła uchodzić. W wielu widział zwykłych niebieskich ptaków, którzy

nie zjawili się tu po to, by złota poszukiwać, lecz by je zdobyć. Nie chciał jednak wymieniać nazwisk.

Nie był zadowolony, że w następstwie opowieści pijanego Indianina przedsięwzięto ten szaleńczy wyścig do rzekomego złotego potoku. Nie, nie chodziło o to, że nie wierzył, iż w potoku rzeczywiście jest złoto. Wierzył podobnie jak ci, którzy po nie poszli. Obawiał się czego innego. Nie szli, by kopać czy poszukiwać. Szli, by zdobyć działki – jak to zwykle bywało – zdobyć za wszelką cenę, kosztem innych, słabszych, ale i mniej sprytnych i przedsiębiorczych. Nie wierzył, że będzie to bieg uczciwy, że mimo pozorów wszyscy będą mieli takie same szansę zależne jedynie od zasobu sił czy wytrzymałości i odporności. Obawiał się różnych niespodzianek.

– Czemu więc, do diabła, pozwoliłeś na gonitwę, a jeżeli już, czemu ty lub Keith nie poszłiscie z nimi, by nadzorować to, czy gra jest fair?

– Nie miałem żadnego prawa, by im zabronić, Frank. A, niestety, iść z nimi nie mogliśmy.

– Nie bardzo rozumiem, Brian. Zgoda, że nie mogliście zabronić, ale co przynajmniej jednemu z was nie pozwalało ruszyć się stąd? – Rozkaz Stricklanda, chyba wiesz? – Nie bardzo. Kiedy widziałem go ostatni raz, nic nie mówił, ale wyruszyłem z Dawson już kawałek czasu.

– Ale oczywiście znasz wszystkie meldunki, jakie wysyłałem stąd w ostatnich tygodniach?

Kingsley poczuł, że robi mu się gorąco. A więc Paterson wysyłał stąd stałe meldunki, i to jak się okazywało aż kilka w ciągu ostatnich tygodni, w ciągu ostatnich tygodni... Tego nie robił żaden z pozostałych posterunków. Zimą najwyżej raz na półtora, dwa miesiące, chyba że gdzieś działo się coś bardzo wyjątkowego i bardzo ważnego, coś co wymagało szybkiej i skutecznej interwencji sił bezpieczeństwa. Czyżby więc do tego co działo się tutaj, Strickland przywiązywał aż tak wielką wagę? Na pewno musiał mieć podstawy, ale skoro tak, to...

– Nie, Brian. Niestety nie znam. W pościg za Dowsonem ruszyłem miesiąc temu i przez ten czas nie miałem kontaktu z kwatery w Fort Herchmer.

Miesiąc temu...? – Paterson i Barnes wykrzyknęli niemal jednocześnie. – Miesiąc siedłeś z Dawson tutaj...?

– Ależ skąd – zaprzeczył energicznie. – Widzisz, Brian. Facet prysnął nam sprzed nosa na początku ubiegłomiesięcznej zadymki. Złapanie śladu zajęło mi kilka dni. Uciekał na zachód – Kingsley kłamał bez zająknięcia. – Myślałem, że dopadnę go w Minto lub gdzieś w okolicy. Widocznie jednak zwietrzył, co się święci, bo znów w czasie jakiejś śnieżycy odskoczył w bok. Nim ponownie odnalazłem trop, oddalił się znacznie i straciłem dalsze trzy dni. Cały czas kluczył, zbacał z trasy, ciągle zmieniał kierunek. I ma diabelski zaprzęg. Siódemka prawdziwych smoków. Ale mimo to, gdyby nie ta ostatnia zawierucha, dostałbym go na pewno w Beaver's Fall. Niestety, w jakimś wykrocie złamałem raketę. Nim dowlokłem się na miejsce – kłamał dalej – znów zdołał wyprzedzić mnie prawie o cztery dni. Przez ten czas nie miałem wieści z fortu. Nie czytałem więc twoich meldunków i nie znam ostatnich wieści z naszej kwatery.

Patrzyli ze zdumieniem, ale i podziwem.

– A więc siedłeś do Minto, a później przez góry aż tutaj, bez przerwy, bez odpoczynku. Człowieku, toż to ze siedemset mil, albo i więcej. – W słowach Patersona prócz podziwu zabrzmiał niemal nabożny ton szacunku. – Toż to prawdziwy wyczyn!

Kingsley skromnie spuścił wzrok.

– Tylko służba, Brian. Służba i obowiązek. Nic więcej.

Paterson dłuższą chwilę wpatrywał się w osmaganą wichrem i mrozem twarz przyjaciela. A więc tak wyglądała prawdziwa służba i tak wyglądali prawdziwi ludzie z Fort Herchmer. Nieulekli, nieustraszeni. Siedemset, a może osiemset mil przez dzikie bezdroża, bez słowa skargi i to zwykle: „Służba i obowiązek. Nic więcej”. A on tutaj krzywił się na cotygodniowe pisanie raportów i podejrzewał ich o brak zaufania. W jakich więc warunkach musieli

pracować ludzie z Oddziału Specjalnego, jeżeli taki Frank Kingsley, który nie należał do tej doborowej gwardii, samotnie, bez szemrania szedł za przestępcą bez odpoczynku, nie zważając na mróz i śnieg, przez pół kraju? Kaprał poczuł dziwne pieczenie w gardle. By ukryć ogarniające go wzruszenie, sięgnął po butelkę i resztę jej zawartości rozlał do szklanek, przy czym Kingsleyowi nalał do pełna.

– Rozumiem, Frank – powiedział lekko schrypniętym nagle głosem. – Żałuję, że nie było mnie w obozie, gdy wyrzucano Dowsona. Miałbyś go teraz. Należy ci się to. Nic jednak nie mogę ci pomóc. Odszedł tamtej nocy i ślad po nim zaginął. Może już zresztą nie żyje. Obydwa z Keithem słyszeliśmy wtedy strzały. Mogły go dostać wilki.

Kingsley poruszył przecząco głową.

– Nie, nie jego. W jakim kierunku słyszeliście strzały?

– Gdzieś na północnym wschodzie.

– Czyli w tej samej stronie, w którą poszli po złoto ci z obozu i gdzie zastrzelono Monty Burnsa?

– Tak, mniej więcej w tamtym kierunku.

Kingsley zamyślił się. Po odejściu stąd Dowson nie wrócił do obozu nad Beaver's Fall. Cały czas od opuszczenia Dawson dążył na północny wschód. Teraz również pociągnął w tamtym kierunku. Może jego celem wcale nie był tutejszy obóz, może stanowił jedynie kolejny etap w marszu jeszcze dalej, na dalszym szlaku, który prowadził... właśnie, dokąd prowadził jego dalszy szlak...? Czyżby..., czyżby nad złoty potok Norrisa, a właściwie Whartona...? Było to prawdopodobne. Nie zamierzał przecież forsować Bonnet Plume, Backbone czy Rackla Range w dzikim niedostępnym zimą łańcuchu Gór Mackenzie ani w tym okresie, niczym szalencie, przeprawiać się na drugą stronę gór do doliny Mackenzie. Tak, dążył nad potok, albo gdzieś w jego okolice. Tam miał swoją kryjówkę, może nawet kryjówkę całej bandy. Tam należało go szukać. I Frank czuł, że musi się spieszyć. Pogoda była znakomita. Od kilku dni nie padał śnieg. Nic nie zapowiadało zmiany w najbliższym czasie. Każdy ślad pozostawiony na śniegu można było zidentyfikować nawet po dłuższym czasie, a co ważniejsze, Dowson nie mógł teraz nie pozostawiać śladów. Wystarczyło je odszukać i sierżant wierzył, że mu się to uda. Sięgnął do kieszeni po notes i skrawkiem ołówka napisał wyraźnie: „Idę do kryjówki Dowsona” i podpis: Frank Kingsley – sierżant NWMP. Wydarł kartkę i wręczył ją Patersonowi.

– Dołącz do swojego najbliższego meldunku dla Stricklanda!

Kaprał przeczytał kartkę i poczuł ponowny skurcz w gardle.

– Zamierzasz iść po niego...

– Muszę, Brian. Choćby do piekła. Nie chcę, by ktoś powiedział kiedyś, że Frank Kingsley nie potrafił dopaść przestępcy mając pod stopami jego gorący trop...

Rozdział XXII

„Wilki”

Roddy oderwał wzrok od migotliwych płomieni niewielkiego ogniska i spojrzał w niebo. Gwiazdy traciły swój jasny blask. Księżyc dawno już skrył się za szczytami gór. Nadchodził świt. Myśli siedzącego przy ogniu raz jeszcze próbowały ogarnąć niezbyt odległą przeszłość. Wydawała się jasna i dosyć wyraźna. Zdarzenia, które miały w niej miejsce, zdawały się wskazywać, że nie popełnił żadnego błędu. Przynajmniej poważniejszego, bo jeśli... Zawsze istniała jakaś niewiadoma i ryzyko. Nie warto było o tym myśleć. Dziś nadchodził czas rozstrzygnięcia, czas załatwienia całej sprawy. I o ile całe rozumowanie było słuszne, moment rozstrzygnięcia zbliżał się wielkimi krokami. Nie miał zamiaru go odwlekać.

Wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy, następnie poszedł za załom skały, by obudzić dziewczynę. Nie spała już. Może zresztą nie spała w ogóle. Nie miało to jednak znaczenia. Dochodzący tu blask ognia wydobywał z mroku jej bladą twarz; igrał łagodnymi refleksami w głębi oczu.

– Czas wstawać. – Nie pytał, czy spała. – Powinnaś wypić kubek kawy.

Zrzuciła okrywające ją ciężkie niedźwiedzie futro i wyczołgała się z ciepłego śpiwora.

– Jeszcze noc – powiedziała spokojnie. – Mówiłeś, że uwolnisz mnie rano.

– Za pół godziny będzie świtać. Powinnaś się rozgrzać – odparł powściągliwie. Wrócił do ogniska i przyniósł jej kubek gorącego płynu. – Nałóż kozuch – poradził. – Zmarzniesz.

– Mogę się ogrzać przy ognisku – powiedziała.

Poruszył przecząco głową.

– To na razie niemożliwe.

– Dlaczego? Czemu zabraniasz mi wyjść z tej skały?

– Ślady – wyjaśnił krótko. – Zostawiasz inne ślady niż moje. Odgadliby, że tu jesteś.

– Kto by odgadł? Ja nie mam powodu, by się ukrywać.

– Kto wie. Niedługo sama się przekonasz. – Popatrzył znów na niebo i powiedział beznamytnie. – Wczoraj i nocą dotrzymałaś słowa. Nie próbowałaś uciekać. To dobrze. Teraz chcę, byś pozostała za tą skałą tak długo, aż nie pozwolę ci wyjść. Wtedy będziesz już wolna.

– A jeśli wyszłabym wcześniej?

Chwilę milczał.

– Jeśli wyszłabyś wcześniej, kogoś, ale najpewniej ciebie, mogłoby spotkać nieszczęście. A akurat ciebie nie chciałbym mieć na sumieniu. Zdecyduj więc: czy mam cię związać tak jak wczoraj rano, czy obiecasz, że nie wyjdiesz z tej skały bez względu na to, co się tu będzie działo.

– Dobrze, Roddy. Nie lubię więzów. Zza skały nie wyjdę, ale możesz chyba powiedzieć, co tu nastąpi.

– Tak, oczywiście. Zresztą będziesz słyszała. Niebawem pojawi się tu jeden albo kilku mężczyzn. Będziemy rozmawiać. Dowiesz się wielu ciekawych rzeczy. Jednak bez względu na to co usłyszysz i kogo tu zobaczysz, nie daj się ponieść nerwom i nie ujawniaj swojej obecności. Bez względu na to, kogo zobaczysz i co usłyszysz – powtórzył twardo. – Gdy

skończymy rozmowę, zrobisz, co zechcesz. Jeśli nie będę już żył, zabierz psa. Na pewno pójdzie z tobą.

– Czy oni przyjdą cię zabić?

– Nie, ale może dojść i do tego.

– Wtedy nie dotrzymasz słowa, a może i oni nie będą go chcieli dotrzymać i nie uwolnią mnie.

– Nie musisz się tego obawiać, Janet – po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. – Bez względu na to jak to się skończy, ty będziesz wolna. Dajesz słowo, że nie ruszysz się stąd, dopóki ci nie pozwolę?

– Nie znam cię i nie powinnam ci wierzyć, ale wydaje mi się, że nie chcesz mnie skrzywdzić. Dobrze, Roddy, nie wystawię stąd nosa bez względu na to, co tu się będzie działo.

Patrzył na nią w milczeniu, jakby pragnął przeniknąć jej najskrytsze myśli. Wreszcie odwrócił się bez słowa, podszedł do sań i w parę chwil później wrócił niosąc jej pas z nabojami. W pochwie tkwił pistolet. – Jest naładowany – powiedział spokojnie. – Zwracam ci. Może będziesz musiała walczyć o życie. Nie wahaj się. Wystarczy odciągnąć kurek i nacisnąć język spustowy. Wierzę jednak, że dotrzymasz słowa. Wtedy nie będziesz musiała zabijać. I jeszcze jedno: pożycz mi na godzinę swój medalion. Odbierzesz go później.

Czuła w głowie zamęt. Było to coś niesłychanego. Porwał ją, związał, przywiózł tu. Teraz zwracał broń, której mogła w każdej chwili użyć przeciwko niemu. Mówił o jakichś ludziach, ze strony których groziło jej niebezpieczeństwo. Czego chciał, co zamierzał, co znaczyło to wszystko? Dlaczego wreszcie sam jej nie zabił? Był pewien, że będzie wolna. Z trudem odpięła łańcuszek i podała mu medalion.

– Weź!

W tym momencie Hektor podniósł raptownie łeb, postawił uszy i cicho mruknął.

Roddy jeszcze raz spojrzał na dziewczynę i powiedział cicho:

– Nadchodzą. Ukryj się. – To powiedziawszy wrócił do ogniska i usiadł na saniach.

Był odwrócony do niej tyłem. Wiedziona nieodpartą siłą oparła rękę na kolbie rewolweru. Palce zacisnęły się mocno na zimnym, gładkim metalu. Zwarły mocno zęby. Pies leżący u jej stóp warknął ponownie. Sierść na jego karku podniosła się ostrzegawczo. Oprzytomniała. Nie warczał na Roddy'ego. Ostrzegał przed tym, który się zbliżał, a ona obiecała. Dała słowo. Wprawdzie Roddy był bandytą, ale skąd mogła wiedzieć, kim byli tamci. Może jeszcze gorsi? Przyłgnęła płasko do ściany. Posypał się śnieg, odsłaniając niewielką szczelinę. Było już zupełnie jasno. Przez szczelinę mogła obserwować całą polanę, zresztą niewielką, jak się przekonała. Hektor dotknął nosem jej ręki i przesunął się do nóg siedzącego na saniach mężczyzny. Dotyk tamtego musiał go widocznie uspokoić, bo opadła sierść na grzbiecie. Usiadł obok, tylko swój długi pysk wyciągnął w stronę nadchodzących, a właściwie jednego tylko.

Ukazał się na tle ciemnego wlotu do parowu po drugiej stronie polany. Przystanął na kilka chwil, rozglądając się wokół podejrzliwie, lecz dostrzegłszy ognisko, ruszył wolno ku niemu. Gdy znajdował się w połowie polany, Janet omal nie krzyknęła z radości. Jerry, Jerry Norton, a więc była uratowana. Już, już zamierzała wyskoczyć zza skały, gdy posłyszała głos:

– Cześć, Roddy. Cieszę się, że cię tu widzę.

A więc oni się znali... Bandyta i Jerry Norton. Zdusiła krzyk w gardle i... nie ruszyła się.

– Witaj, Norton. Sam? A gdzie reszta?

– Zostawiłem ich tam, po drugiej stronie. Nie chciałem, byś od razu sięgał po spluwę.

– Nie znasz mnie widocznie najlepiej. Nie zwykłem sięgać po rewolwer, gdy nie ma potrzeby. – Nieznacznym ruchem głowy wskazał karabin oparty o pobliski krzak i zawieszony na gałęzi pas z pistoletem. – Nie czekam cię, jak widzisz, z bronią w ręku. W

przeciwieństwie do ciebie – dodał, pokazując karabin tkwiący w rękach tamtego. – Nawet kurek masz, jak widzę, odwiedziony.

– To z ostrożności, Roddy – opuścił delikatnie kurek i przerzucił broń przez ramię, po czym postąpił parę kroków i usiadł na stercie gałęzi. – Po wypadku z Jacksonem wszyscy mamy pewne wątpliwości.

– Zupełnie niepotrzebne, Norton. Tamta sprawa nie należy do rzeczy. Turnerowi należało się. Zapalisz? – Wyciągnął tytoń i bibułkę.

Skręcali w milczeniu.

Norton zaciągnął się i wypuszczał wolno coraz mniejsze kółka dymu. Widać było, że myśli nad czymś intensywnie. Wreszcie poruszył z powątpiewaniem głową i powiedział powściągliwie:

– Jeśli sprawa Turnera stanowi coś innego, to czego szukasz tutaj?

Znów dłuższa chwila milczenia. – Zawołaj, Jerry, chłopaków. Nie chciałbym niepotrzebnie gadać o tym dwa razy.

Norton przyłożył palec do ust i świstnął cicho. Na polanę wysypała się cała piątka: Spencer, O’Kelly, Wilder, Hood i Oates.

Dowson podniósł się i z wyraźnym zdziwieniem patrzył na nadchodzących.

– Widzę, że powiększyłeś kompanię – stwierdził z naciskiem. – I przychodzisz w niezłej obstawie. – Podniósł się i pozornie niedbale sięgnął po pas z rewolwerem. Nie dotknął go jednak. Wyciągniętą rękę w porę powstrzymał spokojny głos Nortona i nazbyt może wyraźny ruch lufy jego karabinu:

– Zostaw broń, Roddy. Lepiej by w czasie tej rozmowy spoczywała sobie spokojnie tam, gdzie ją zostawiłeś.

Obojętne wzruszenie ramion.

– Jeśli masz się czuć dzięki temu bezpieczniej... Co to za nowi?

– To..., to Kester Hood. Zawodowo gra w karty i to dobrze. Poza tym potrafi wyjąć rewolwer szybciej, niż zdążysz mrugnąć. Zawsze trafia. Przyznasz, że to dobry nabytek.

– Jeśli tak jest, jak mówisz, to chyba dobry. A ten drugi?

– Drwał, albo inaczej Randal Oates. Najsilniejszy człowiek, jakiego znam. Ma jeszcze jedną zaletę.

– Ciekawe... – Otóż bez wahania skręci kark każdemu, kto chciałby przeszkodzić mu w zdobyciu złota. I co równie ważne, w najbliższym czasie zadusi gołymi rękoma pewną dziewczynę, która zdaje się stanie mu na drodze. Ale może zadusić, jeśli będzie trzeba, tuzin innych osób. Nie sądzisz, że się przyda?

– Może. Po diabła jednak przyprowadziłeś ich aż tutaj?

– Nie mogłem zostawić. Gramy razem. Siadajcie chłopaki – zwrócił się do przybyłych. – To jest Roddy. Ten sam, który w Dawson załatwił Turnera Jacksona, najtwardszego faceta jakiego znałem. Turner pracował z nami i miał niezłą obstawę. A mimo to Roddy wykończył go. Jest jednym z tych, którzy na polecenie Jeffa wykańczają. Jacksona też wykończył na polecenie Jeffa. Nie wiem, czy nazywa się Roddy Dowson czy inaczej. Wiem jednak, że należy do sfory wilków Jeffa. Kester i ty, Randal, pewno jeszcze nie wiecie. Jeff to Soapy Smith – biznesmen ze Skagway. Ma sporo ludzi. Duncan, Ben, Percy i ja też pracujemy dla niego. Teraz przybył tu Roddy, również od Jeffa. Myślę, że wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, po co tu się zjawił. Mamy prawo to wiedzieć. Pracujemy dla Jeffa uczciwie, Roddy. Nie miał powodu, by cię tu przysyłać. Chyba że się mylę. Kto ma być następny po Jacksonie?

Roddy patrzył na nich bez zmruczenia powiek. Spokojnie, obojętnie, zimno. Na każdego oddzielnie, jakby oceniał ich indywidualne możliwości. Nie odwracali wzroku. Byli twardzi. Sława jaka poprzedziła jego przyjście, nie czyniła na nich większego wrażenia. Byli siebie pewni i nie bali się. I chyba gotowi byli walczyć. Jeszcze raz uważnie przemknął po ich postaciach. Tak, uzbrojeni byli wszyscy. Trudno. Partia, jaką zamierzał rozegrać, nie

wydawała się należeć do najłatwiejszych. Miał jednak pewne atuty i nie zamierzał z nich rezygnować. Równoważyły szansę, przynajmniej na razie, bo potem... Tak, potem miał jeszcze inne. Powrócił spojrzeniem do twarzy Nortona i uśmiechnął się swobodnie.

– Racja, Jerry. Macie prawo wiedzieć. No więc, żeby nie było niedomówień: sprawa Jacksona to zupełnie oddzielny rozdział. Z wami nie ma nic wspólnego. Sfuszerował robotę, no więc Jeff kazał go odwołać. Zrobiłem to. Jest w drodze do Skagway, albo może już na miejscu. Wytlumaczy się przed Jeffem albo i nie. Mnie nic do tego.

O’Kelly parsknął krótkim śmiechem.

– A te kilkanaście pchnięć nożem, jakie dostał, o czym piszą w gazetach, to też nie twoja sprawa?

– Tutejszych gazet nie czytam, więc nie wiem, co w nich wypisują. Może nieprawdę. Ani w Dawson, ani w sześciu obozach po drodze nie spotkałem za sobą listów gończych. Nie myślisz, że to niepodobne do Mounties, gdyby było tak jak twierdzisz?

– Może ci jednak przeczytać jeszcze raz ten kawałek gazety? Raz już czytaliśmy ci go nad Wild Creek.

– No, właśnie. Przeczytaliście i zdaje się byliście wszyscy za tym, by wyrzucić mnie z obozu, a niektórzy – tu przemknął po twarzy Oatesa – nawet za powieszeniem. Wydawało się wam, że nie przejdę nawet pięciu mil. To był wyrok, Duncan. A u nas, jak wiesz, wyroki ma prawo wydawać tylko Jeff. Czyżbyście wypowiedzieli mu już posłuszeństwo? Ty, Norton, dowodzisz tu. Odpowiedz.

Norton popatrzył na swoich. Widział, że czują się pewnie i nie mają zamiaru ustępować, toteż wzruszył jedynie ramionami.

– Nikt nie myślał wtedy, że jesteś od Jeffa. Nie znaliśmy cię przecież. Potem zaczęliśmy się domyślać. Powinieneś być wdzięczny, że nie powiesiliśmy cię. I jak pewnie pamiętasz, zawdzięczasz to mnie. Ten incydent nie ma jednak znaczenia. Chcemy wiedzieć, po co tu przyszedłeś, tu, do tego parowu. Skąd go znałeś? Dowson uśmiechnął się ponownie. Wyciągnął z ogniska zwęglony patyk i na ubitym śniegu wyrysował węglem dwa wielkie czarne słowa: DUCK CREEK.

– Duck Creek, Jerry. Jeff dowiedział się o załatwieniu załogi tego posterunku. Policja z Dawson nie robiła z tego tajemnicy. Jeff wie, że to twój rejon działania. Był zaniepokojony. Jak wiesz, nie zadziera z policją kanadyjską. Kazał mi wyjaśnić sprawę z tobą. No więc przyszedłem... Kiedy...? Już kawałek czasu. Obejrzałem dokładnie okolice i... znalazłem tego psa. Przyprowadził mnie tu. Na razie nie wiedziałem po co, ale jak wiesz, nie tak daleko stąd jest wioska Tsakho kwáni. Tam pamiętali dobrze trzech białych mężczyzn. Opisali mi ich szczegółowo. Pamiętali też pewnego młodego poszukiwacza. Był u nich, właśnie z tym psem. Uciekał przed tą trójką. Nazywał się Nanty Wharton. Rozumiesz? Podobno znalazł dużo złota, to znaczy dobre miejsce ze złotem. Nie tak trudno było połączyć te fakty. Nie informowałeś jednak Jeffa. Myślałem, że wiadomości przekazałeś przynajmniej przez Turnera Jacksona. Przed... – na mgnienie oka zawahał się – przed opuszczeniem Dawson pytałem go, czy coś wie. Nie wiedział jednak za wiele. Tylko tyle, że z chłopakami jesteś nad Wild Creek. Przyszedłem więc pogadać z tobą nad Wild Creek. Nie mogłem wracać do Skagway, nie wiedząc dokładnie, jak tutaj sprawy się przedstawiają. Masz szansę wyjaśnić mi to teraz dokładnie. I wyjaśnisz. W przeciwnym wypadku Jeff straci zaufanie do ciebie i do twoich chłopaków. Rozumiesz chyba, co by to dla was znaczyło... I nie łudź się. Jeśli nie wrócę do Skagway w ciągu półtora miesiąca, dla was będzie to znaczyło to samo... Wstępne sprawozdanie wysłałem Jeffowi.

Norton, słuchając tych beznamiętnych, spokojnych słów czuł, jak z każdą chwilą robi mu się coraz bardziej gorąco. Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę, jakich ludzi dobierał Jeff do swego oddziału wilków i dlaczego banda prosperowała tak znakomicie, dlaczego policja ani alaskańska, ani kanadyjska nie była w stanie dobrać się do żadnego z ludzi Soapy’ego. I

ten również. Mimo że miał przeciwko sobie sześciu, był spokojny i pewny siebie. I zdaje się, że swymi spokojnymi słowami wywarł odpowiednie wrażenie także na pozostałych. Duncan palił jednego papierosa po drugim, Wilder uciekał wzrokiem, udając, że interesuje go zbocze. Oates siedział ponuro ze wzrokiem wbitym w ziemię i ogryzał brudne paznokcie. Jedyne Ben zachowywał nadal czujność i trzymał rękę w pobliżu otwartej pochwy z rewolwerem. A Kester? Na jego nieprzeniknionej twarzy malował się wyraz niemal znudzenia. Tak jak czasem przy kartach, gdy gra toczyła się o najwyższą stawkę. W rękę trzymał teraz sosnową gałązkę i machinalnie odrywał z niej szpilki. Kto wie, jakby się zachowali, gdyby doszło do rozprawy. Przemknął wzrokiem jeszcze raz po twarzy Dowsona. Nawet cienia jakichś żywszych wrażeń. Chłodna lodowa maska. Ciekawe, co jeszcze miał w zanadrzu poza pogrózką. Bo że miał, nie ulegało wątpliwości; i skąd wiedział, że przyjdą właśnie tu, do tego parowu. Wyrażnie tu na nich czekał. Sam pies, którego jak twierdzi, tu znalazł, nie stanowił wystarczającego powodu. Musiał być pewien, że to tutaj.

Gwałtowny trzask gałęzi na skarpie po prawej stronie i ostry głos:

– Nie ruszać się! Stać! Policja. Tu sierżant Frank Kingsley. Aresztuję cię, Dowson, pod zarzutem... – Suchy trzask wystrzału. Głośny metaliczny stuk. Broń, wyrwana ciężkim pociskiem z ręki biegnącego po zboczu, zatoczyła szeroki łuk i miękko klapnęła w śnieg. Oates i Spencer w kilku skokach dopadli biegnącego i za chwilę, szarpiącego się jeszcze, z wykręconymi do tyłu rękoma, prowadzili do ogniska.

Hood dmuchnął delikatnie w wylot lufy, odchylił nieznacznie bęben, wyrzucił pustą łuskę i w jej miejsce wprowadził nowy, lśniący nabój. Nikt nie zauważył, kiedy sięgnął po broń i strzelił. Teraz wsuwał ją z powrotem do pochwy.

Norton patrzył z uznaniem.

– To jednak nie zawsze nosisz pusty?

– Zdarza się. A co z tym zrobimy? – wskazał niedbałym ruchem Kingsleya, stawiającego beznadziejny opór.

Oates, który usłyszał pytanie, przytrzymał mocniej niefortunnego policjanta i warknął zawzięcie:

– Na gałąź, a cóżby innego? Skoro sławny rewolwerowiec nie trafia dobrze niedźwiedzia na piętnaście kroków, to trzeba się posłużyć sznurem.

– A ty co sądzisz, Roddy? – Norton spojrzał bystro na Dowsona. – Ciebie chciał aresztować.

– Hm... Oates ma pewno rację – powiedział z nieznacznym wahaniem. – Tyle że nie jestem pewien, czy powinien wisieć. Może właściwszy będzie inny rodzaj śmierci i być może nie tutaj. To nawet dobrze, że się zjawił. Na razie związałbym go tylko.

– Nie macie prawa. Dowson to morderca. Pomagacie... – sierżant próbował raz jeszcze wyrwać się trzymającym go mężczyznom. – Pomagacie zabójcy Jack...

– Stul pysk – Oates zwałił go w śnieg. – Dajcie jakiś rzemień i szmatę, żeby niepotrzebnie nie kłapał ozorem.

W minutę związali go tak, że nie mógł się ruszyć.

Norton ponownie spojrzał na Dowsona.

– Powiadasz, że dobrze, że się zjawił? Ciekaw jestem, dlaczego?

– Włączył się za mną kilka dni po mieście i niewykluczone, że coś wywąchał. Wiem jednak, że nie zdążył przekazać niczego łapaczom Stricklanda. Gonił mnie w górę Jukonu i dlatego zjawił się tak późno. Jeśli go powiesimy, wszyscy będą wiedzieli, że to sprawa białych. Indianie nie wieszają. A poza tym lepiej, żeby to jednak zrobili dzicy. Tsakho kwani za dużo wiedzą. Może im kiedyś przyjdzie ochota, by zacząć niepotrzebnie gadać o tych trzech, co poszli za Whartonem aż do posterunku. Myślę, że dzikich trzeba postraszyć.

– Ale jak? – Norton nie wydawał się przekonany. – Toż to cała wioska. Nie zmusisz do milczenia wszystkich.

– Kto wie? Jak myślisz, co zrobią, gdy na przykład takiego faceta jak sierżant Frank Kingsley znajdą ze strzałą w gardle o dwieście, albo sto jardów od swojego obozu?

Patrzyli ze zdumieniem, ale i respektem. Że też im coś takiego nie przyszło do głowy. Nawet Oates musiał pojąć o co chodzi, bo zatarł aż ręce.

– Do pioruna – warknął. – To jest myśl. Zagrzebią głęboko pod śniegiem i będą przysięgać na wszystkie swoje duchy, że od pięciu lat nie widzieli białego na oczy. Nie pisną nic policji.

– A wy jak myślicie? – Dowson zwrócił się do pozostałych.

– To dobry pomysł – zgodził się Norton. – I wcale nie tak trudny w wykonaniu.

Kingsley począł się ponownie szarpać, ale nawet na niego nie spojrzeli.

– No, to skoro tę drobną sprawę mamy z głowy, powróćmy do tego, co wydarzyło się tu latem i jesienią. Zdaje się, Jerry, że ciebie pytałem. Nie zdążyłeś nic odpowiedzieć.

No cóż, nie miał właściwie wyboru. Musiał powiedzieć. Musiał przekonać Dowsona, że to było konieczne, konieczne dla wspólnego dobra, dla dobra Jeffa. Bo jeśli nie przekona, albo jeśli rozprawią się z Dowsonem, to Soapy Smith nie przepuści im. Równie dobrze mogli od razu podpisać wyrok.

I zaczął mówić. Sięgnął daleko, bo aż do czasów gdy poznali Norrisa, do tego jak ich prowadził do bonanzy, a potem pewnej nocy dał drapaka. Poszli jego śladem i wreszcie dostali go. Dostali jego i starego Whartona. Oszczędzili chłopaka i dziewczynę. Przyszli tu za nimi. Potem za Nanty Whartonem poszli w góry. Ale nie udał się od razu nad potok. Odwiedził najpierw obóz Tsakho kwani. Poznał tam jakąś dziewczynę. Włóczył się z nią parę tygodni. Nie mogli tak długo czekać. Zaczęli się kręcić w pobliżu, by go przepłoszyć. I osiągnęli zamierzony skutek. Opuścił wioskę i udał się w góry. Myśleli, że pójdzie wprost do bonanzy, ale nie poszedł tam. Przeszedł przez przełęcz i dotarł do posterunku nad Duck Creek. Nie mieli wątpliwości, że opowie o nich. Widział ich w indiańskiej wiosce. Poczekali, aż odejdzie z posterunku i załatwili tych trzech Mounties. Nie mieli wyboru. On kluczył kilka dni po górach, tak jakby podejrzewał, że go tropią, i w końcu zniknął. Zniknął prawie na półtora miesiąca. Nie tropili go jednak. Byli pewni, że bonanza znajduje się w pobliżu. Wreszcie doczekali się. Powrócił i zaczął płukać złoto. Pozwolili mu pracować kilkanaście dni, do pierwszego mrozu. Wtedy załatwili sprawę. Przyszły mrozy i nie zdążyli powiadomić Jeffa, tym bardziej że musieli pilnować siostry Whartona.

– A to czemu, Jerry? Nie była wam przecież do niczego potrzebna – Dowson wydawał się nie rozumieć motywów zainteresowania dziewczyną.

– To nie takie proste, Roddy. Podejrzewaliśmy, że ona zna miejsce, w którym znajduje się bonanza. Nie byliśmy pewni, czy wiosną nie zechce pójść sama po złoto.

Dowson wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Trzeba ją było uciszyć, tak jak jej brata i tamtych.

– To łatwo mówić. Gdy ściągnęliśmy na Wild Creek, wybuchła cała sprawa z tym posterunkiem. Strickland porozsyłał wszędzie tych z Oddziału Specjalnego. Musiał przysłać i tu. Sprzątnięcie dziewczyny było ryzykowne. Nie ruszała się nigdzie dalej z obozu. Toteż wymyśliliśmy coś innego, coś, co dawało nam bezpiecznie potok i bonanzę Nanty Whartona.

– Ha, ha, ha – Dowson śmiał się głośno. – I stąd ta cała heca z namiotem Whartona, który postawiliście nad fałszywym potokiem. Panna Wharton miała tam przy świadkach rozpoznać własność brata, zając jego rzekomą bonanzę, inni inne działki, a ponieważ dla was tam już nic godnego uwagi nie pozostało, poszlibyście rozejrzeć się w terenie i zajęlibyście legalnie i formalnie prawdziwą działkę jej brata. Znakomity pomysł. Ale skąd wytrzasnęliście tego dzikiego, który gonił tam wszystkich przeszło trzy dni. To twój nowy pomocnik, Jerry?

Norton poczerwieniał z zadowolenia. Wiedział, że przekonał wysłannika Jeffa i usprawiedliwił sprawę.

– Taki właśnie plan wymyśliliśmy. Sam przyznasz, że niezły. Ale dzikiego nie ja wynalazłem. Pomógł przypadek. Był na polowaniu. Znalazł namiot i trochę złota, które tam

zostawiliśmy, żeby wszyscy myśleli, że tam jest bonanza Whartona. Pewno to wiesz również, że dziki przyszedł nad Wild Creek i oczywiście wygadał się o potoku, namiocie i pokazał złoto. Ja tylko wykorzystałem ten zbieg okoliczności i szansę.

W tym momencie poderwał się Oates. Był purpurowy na twarzy, ścisnął pięści, wzrok jego ciskał błyskawice. Pochylił się ku Jerry'emu i zduszonym nagłą wściekłością głosem wycharczał:

– Chcesz powiedzieć, że w tamtym potoku nie ma złota i że moja działka jest nic nie warta?

Norton bezradnie rozłożył ręce.

– Nic na to nie poradzę, Randal. Może jest tam złoto, może go nie ma. Tego nikt nie wie. Ale nie jest to potok Nanty Whartona ani jego działka. Chciałem, by działkę tę, pewnie pustą, zapisała na siebie Janet Wharton. Chciałem, żebyś ją jej oddał, przypominasz sobie. Dawałem ci za to dziesięć tysięcy. Każdy inny na twoim miejscu oddałby nie eksploatowaną jeszcze działkę za tę sumę. Gdybyś mnie posłuchał, Janet Wharton byłaby już na liście Wolseya z działką numer jeden nad tym potokiem. A wiesz, co by to znaczyło?

Do świadomości Drwala nie docierało chyba wiele z tego o czym mówił Norton, bo wzruszył ramionami.

– Nie bardzo.

– To nie wiesz, że ma prawo do jednej działki? Gdyby miała tamtą, nie miałyby prawa do żadnej innej. Przynajmniej dokąd nie zrezygnowałyby formalnie. Czyli do lata mielibyśmy ją z głowy.

– Nie mogłeś mi powiedzieć wczoraj? Dzisiaj miałbym przynajmniej kieszeń cięższą o dziesięć tysięcy. – Uśmiechnął się kwaśno, ale zaraz zastrzegł się. – Rozumiem, że my wytyczymy działki na potoku Whartona...?

– No, widzę, że nareszcie zaczynasz łapać w czym rzecz. – Norton rzucił w ogień niedopałek papierosa. – Tak właśnie zrobimy. I to zrobimy zaraz. A potem wrócimy do naszych kolegów i zgłosimy Wolseyowi działki na tym potoku.

– Ha, ha, ha, ha. – Dowson trzymając się za brzuch, ryczał wprost ze śmiechu. – Zgłosicie działki. Dlaczego właśnie tu, Jerry?

Norton obrócił się.

– Nie rozumiesz?

– Ani trochę.

– Bo właśnie to jest potok Whartona! I tu jest złoto. Może to potwierdzić i Ben, i Duncan.

– Baa... powiadasz, że mogą potwierdzić. Może dla mnie to wystarczający dowód. Wątpię jednak, czy zadowoli Jeffa. Jego przekonują dowody rzeczowe, nie słowa. Muszę mu powiedzieć, że są takie dowody, że mi je pokazaliście i że potok będziemy mogli rzeczywiście eksploatować. A wcale nie wydaje się to tak pewne.

– Masz jakieś wątpliwości, Roddy? – Duncan O'Kelly przysiadł obok Dowsona na sianach. – To co zaplanował Jerry, wyszło znakomicie. Wszyscy, na pewno łącznie z dziewczyną, są przekonani, że w tamtym potoku Wharton płukał złoto.

– Chyba mylisz się, Duncan. Jerry mówił tu kilka minut temu, że z pola widzenia zniknął wam latem Nanty Wharton na półtora miesiąca. Czy wiesz, co robił w tym czasie?

– Niby skąd!

– Szkoda, powinniście to byli ustalić. Ja zadałem sobie trochę trudu i sprawdziłem.

– Ale jak? – Norton poruszył się niespokojnie.

Roddy skrzywił wolno papierosa i przypalił go. – Odwiedziłem – powiedział wypuszczając kłąb dymu – niejakiego O'Flaherty'ego, notariusza w urzędzie rejestracyjnym, a właściwie to nie jego samego; był w tym czasie nieobecny. Jego kancelarię. I w jednej z ksiąg znalazłem ciekawy dokument – tu wytrzymał dłuższą pauzę, po czym ciągnął dalej. – Wynikało z niego, że Nanty Wharton zarejestrował działkę na swoją siostrę. Nie rejestrował drugiej na siebie.

Zapis w księdze rejestracyjnej wyjaśnia dlaczego. Jest to mianowicie bonanza – żyła złota biegnąca w głąb. Nie ma złota w innych miejscach w strumieniu. Tylko w tym jednym. I złoto to należy do Janet Wharton. Kopia dokumentu rejestracyjnego, jak wszystkie, jest w policji. A więc jeśli Janet Wharton pojawi się w Dawson, notariusz albo policja powiedzą jej, gdzie ma działkę. Tej działki nie zarejestruje nikt inny. Nie jest więc, Jerry, tak jak mówisz; twój genialny plan z przeniesieniem namiotu i tym biegiem po złoto nic nam nie dał. Kluczem do tej żyły złota jest... Janet Wharton – dokończył z naciskiem.

Byli kompletnie oszołomieni. Po raz drugi pokazał im, że Jeff swym pełnym zaufaniem obdarzał ludzi, którzy nie tylko umieli działać, ale i myśleć.

Przyglądał się im obojętnie. Dawał czas na przetrawienie gorzkiej prawdy. Pozwalał, by zasmakowali goryczy porażki. Co najważniejsze, wiedział, że mu wierzą.

Oates znów nie wytrzymał:

– Mówiłem, żeby się z tą dziwką dawno rozprawić. Mielibyśmy spokój. Gdzie ona jest, Jerry? Gdy opuszczaliśmy obóz, jeszcze tam nie dotarła. Trzeba ją dostać natychmiast i ukreć kark.

– Nie spiesz się tak, Randal! – W głosie Roddy’ego nawet niezbyt czule uszy posłyszalyby wyraźny drwiący ton. – Dajesz kiepskie rady. Panna Janet Wharton jest nam potrzebna żywa, nie martwa. Tylko ona może eksploatować tę działkę, albo... ktoś za jej formalną zgodą, zgodą wyrażoną przed urzędnikiem rejestracyjnym. Nie inaczej.

Norton opanował się już i chociaż podejrzenie drgała mu górna warga, spytał na pozór spokojnie.

– Co więc proponujesz, Roddy?

Dłuższa chwila zastanowienia. Jednak Roddy Dowson nie zastanawiał się. Odpowiedź miał gotową.

– Cóż – zaciągnął się głęboko. – Wydaje się, że jest tylko jedno logiczne rozwiązanie. Przynajmniej ja nie widzę innego... – tu znów dłuższa przerwa... Czekali z napięciem. – To proste – powiedział. – Jeden z nas musi się z nią ożenić. Wtedy mogą razem wydobywać złoto, a w razie, jeśli jej się coś stanie, na przykład skreć kark, dalej będzie, jako spadkobierca, eksploatował sam.

Odetchnęli. To nie było głupie.

– Dobry pomysł, Roddy – powiedział Norton. – Myślę, że Janet zgodzi się. Inni mogą potwierdzić. Widzisz, wiem, że ona mnie lubi... – a widząc dezaprobatę w twarzy Dowsona, spytał: – Myślisz może, że są jakieś przeszkody?

– Myślę, że są, Jerry. To prawda, że gdy załatwimy sierżanta Kingsleya, Indianie nabiorą wody w usta, ale to ich tereny łowieckie. Zobaczą, że się tu kręcisz ty i inni, którzy ich odwiedzali latem. Nie wytrzymają. Powiedzą policji o was trzech. A Mounties dotrą tu na wiosnę i zajrzą do gęby każdemu. Dostaną was i klops. Musicie stąd zniknąć. Nie może także zostać Wilder. Jeff go potrzebuje. Tak więc możliwych konkurentów zostaje tylko trzech: Oates, Hood, albo... ja – dokończył lekko. – Przy czym ślub nie może być fingowany. Musi być dokument. Jak myślisz, kogo wybierze Janet Wharton...? Randal...? Kestera...? Nie, wybierze mnie!

Norton położył rękę na kolbie rewolweru.

– Jesteś pewien, Roddy?

– Tak!

– A skąd ta pewność?

– Rozmawiałem z nią, Jerry. W tym czasie, gdy ty i inni pędziliście do tamtego potoku z namiotem, ja pogadałem sobie z Janet. Oczywiście elegancko, jak to się mówi, po męsku. Powiedziałem jej to i owo, ale przyrzekłem, że się z nią ożenię.

– Ty? – Palce Nortona coraz mocniej obejmowały kolbę pistoletu.

– Oczywiście. Ona nie wyjdzie za mąż za zabójców brata i ojca. Co innego za mnie. Nie miałem z tym nic wspólnego. I lubi mnie. Nawet nie próbowała uciekać. Dogadaliśmy się. I nie sięgaj po broń, bo przestanę wierzyć, że pracowałeś tu dla Jeffa. Może tylko dla siebie...?

– Kłamiesz, Roddy. Jak mogłeś gadać z dziewczyną, gdzie i kiedy? Nie zdążyłbyś tu.

Dowson wsunął rękę do kieszeni. W chwilę później na otwartej dłoni trzymał medalion. Powiedział spokojnie:

– Wszyscy wiecie, że go miała, prawda? Dała mi go. Powiedziała, że na szczęście. Ale tę sprawę możemy nieco odłożyć. Pytałem o dowody, o dowody dla Jeffa. Czym go chcesz przekonać, że naprawdę znasz położenie bonanzy Nanty Whartona?

Norton zdjął rękę z rewolweru. Tamten miał wszystkie atuty w ręku. Nie było co się upierać. Spytał więc z pozornym spokojem:

– Jak myślisz, Roddy, gdzie zginął brat Janet?

– Myślę, że właśnie tam, gdzie płukał złoto.

– Zgadza się. Czy zwłoki Whartona wystarczą ci jako dowód?

– Na pewno!

– To weź kilof albo łopatę i odbij dziesięć cali gruntu pod tą skałą. Znajdziesz jego zwłoki z dwiema dziurkami pod łopatką. Siedzimy nad jego bonanzą.

Roddy podniósł się.

– Ty go załatwiłeś, Jerry?

– Ja i Ben. Zza tamtego załomu. Duncan był przy tym i też widział. On załatwił psa. Przynajmniej tak nam się wtedy wydawało.

W tym momencie stała się rzecz straszna, nie oczekiwana przez nikogo. Zza załomu skały, z miejsca swego ukrycia wypadła Janet Wharton. W rękach dzierżyła swój karabin nieopatrnie pozostawiony przy niej przez Dowsona. I chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że karabin jest nie nabity. Tak jak zostawił go wieczorem jej porywacz. Ścisnęła broń. Dziko płonął jej wzrok. W bladej twarzy nie było kropli krwi. Bez jednego słowa podniosła karabin. Wylot lufy skierowała w pierś Nortona. Palec szarpnął gwałtownie język spustowy. Rozległ się suchy trzask iglicy, uderzającej w pustą komorę.

Roddy kątem oka ułowił ruch ręki siedzącego obok Duncana O'Kelly zmierzającej ku otwartej pochwie rewolweru i bez zastanowienia runął na niego. W tym samym momencie Kester Hood podbił rękę Wildera i zwał się z nim w morderczym uścisku, a Oates zwał się na siedzącego obok Bena Spencera. Zrzucił go ze stosu gałęzi i obydwaj potoczyli się pod nogi dziewczyny. A ona stała przez kilka chwil niczym zamarły głaz. Bezużyteczny karabin pochylał się w jej rękach coraz bardziej ku ziemi. Nie była w stanie uczynić jednego ruchu, wydobyć z krtani choćby najslabszego dźwięku. Widziała zaciętą twarz Nortona, grymas wokół jego ust, pełne nienawiści bezlitosne oczy mordercy. I widziała jego rękę, jak pewnie i zdecydowanie unosi rewolwer. Dostrzegła jak drapieżny palec kładzie się nieubłaganie na języku spustowym.

W uszy wdziera się wibrujący krzyk Dowsona: – Hektor, bierz go! – O ułamek sekundy wcześniej podrywa się z ziemi wielka, masywna postać. Dwa niemal równoczesne strzały zlewają się w jeden grzmot. Postać, która nagle wyrosła przed dziewczyną tężeje, zamiera w bezruchu, po czym cicho, bez jęku osuwa się w śnieg.

Smukłe czarne zwierzę niczym błyskawica przecina powietrze. Norton trafiony przez Hooda chwieje się. Z jego bezwładnej ręki wysuwa się broń. Drugą morderca usiłuje zasłonić się przed uzbrojoną w potężne kły paszczą sięgającą mu do gardła. Ale nie jest w stanie powstrzymać rozzartej bestii i pod jej uderzeniem wali się na ziemię.

Podrywającego się Spencera osadza w miejscu ostry głos Roddy Dowsona:

– Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę.

– Tkwiący w rękę pistolet mierzy zdecydowanie. – Puść, Hektor! Dosyć!

Ze zbocza po prawej stronie pędzi kilka postaci.

– Nie ruszać się! Rzucić broń! Tu inspektor Strickland. – Za chwilę byli na miejscu. W kilkanaście sekund zatrzasnęły się kajdanki na rękach Nortona, O’Kelly’ego, Wildera i Spencera. Hood i Dowson pochylili się nad leżącym na ziemi olbrzymem.

Janet, widząc policyjne znaczki na kurtkach, wskazała ręką.

– Ich też trzeba... to bandyci, i...

Szczupły, wysoki mężczyzna, który zatrzymał się przed nią, pokręcił przecząco głową:

– Nie, dziecko – powiedział łagodnie. – Mylisz się. Roddy Dowson i Kester Hood to członkowie Oddziału Specjalnego policji. Tak samo jak sierżant Randal Oates, który zasłonił cię w ostatniej chwili i dostał kulę przeznaczoną dla ciebie. Im trzem zawdzięczasz życie, ale najbardziej jemu. – Pochylił się nad leżącym. – Co z nim, Roddy?

– Dostał ze dwa cale nad sercem, ale pocisk nie przeszedł na drugą stronę. Zaraz zatamujemy krew.

Strickland rozejrzał się.

– Tu nie wyjmę mu kuli. A do Dawson możemy go nie dowieźć. Cholera.

Roddy spojrzał twardo na swego zwierzchnika.

– Wiem, że jako lekarz nie pochwała pan tego, inspektorze, ale o czterdzieści mil stąd jest zimowy obóz Tsakho kwáni. Jest tam szaman. Znam go. To jedyna szansa dla Randala. Pan wyjmie kulę, a szaman nie da mu umrzeć. Mam dobry, wypoczęty zaprzęg. Możemy tam być najdalej za cztery godziny.

Strickland pochylił się jeszcze raz nad leżącym, dłuższą chwilę słuchał jego oddechu, zbadał puls, poprawił prowizoryczny opatrunek. – Dobrze, Roddy, to chyba rzeczywiście jedyna szansa. Dawaj tu swój zaprzęg i prowadź. Rozumiem, że wiecie wszystko i tych tu – zatoczył ręką – będzie można postawić przed sądem?

– Tak jest!

Podszedł sierżant Hayne. Przelotnie tylko spojrzał na leżącego Oatesa. Przez twarz jego przebiegł skurcz.

– Co pan rozkaże, inspektorze?

– Proszę zabrać tych czterech i osadzić w areszcie w forcie. Zabierzesz też, Murray, pannę Wharton. Niech zaopiekuje się nią moja żona. Sierżanta Kingsleya też osadzić w areszcie do mojego powrotu. Wraz z Ka-káh – wskazał stojącego o parę kroków Indianina – wyślij jednego z ludzi nad potok, gdzie Norton przyprowadził poszukiwaczy. Najlepiej niech idzie tam kapral Paterson. Znają go. Niech im powie, że nie ma tam złota i niech zabiorą namiot Nanty Whartona. Miejsca, w którym się znajdujemy, nie ujawniać nikomu. Ja z Roddym i Kesterem i... Randalem idziemy do wioski Tsakho kwáni. Roddy twierdzi, że mają dobrego szamana, a więc razem może nam się uda. – Głos Stricklanda załamał się nieznacznie przy ostatnich słowach.

– Tak jest, sir. Zrozumiałem i... niech Bóg ma Randala w opiece...

Rozdział XXIII

Komu życie, komu śmierć

David Strickland, z zawodu lekarz wojskowy, pełniący jednocześnie obowiązki zastępcy dowódcy dywizji North – West Mounted Police dla Terytorium Yukonu, wraz z żoną Karoliną zajmował wygodne trzypokojowe mieszkanie w obrębie części mieszkalnej Fortu Herchmer leżącej na zapleczu Dawson. Kiedy z pierwszym dziewiętnastoosobowym oddziałem przed trzema laty wyruszał na Terytorium Yukonu, Carol – jak zdrobniale nazywał swą żonę, postanowiła mu towarzyszyć. Nie zgodził się wtedy, a i ona zrozumiała, że nim nie zbudują fortu, ona będzie jedynie przeszkodą w pracy męża. Pozostała więc w Reginie z dwójką uczęszczających do szkoły dzieci. Nie chciała jednak rozstawać się z mężem na dłużej. Dzieci wysłała do szkoły w Ottawie, gdzie żyli jej rodzice, sama zaś już wiosną następnego roku pierwszym statkiem udającym się w górę Yukonu przybyła do Dawson i zamieszkała z mężem w Fort Constantine, a następnie w Forcie Herchmer. I jak okazało się od samego początku, jej przyjazd stał się prawdziwym zrzędzeniem opatrności dla szybko powiększającego się dywizjonu, którego liczebność wzrosła wkrótce do prawie stu osób, a następnie do przeszło dwustu czterdziestu.

W pierwszym rzędzie Carol zajęła się gospodarstwem męża, ale nie tylko. Surowy klimat, pionierskie warunki służby, trudna praca w rozległym północnym kraju, prymitywne, proste pożywienie, a w tym znikoma ilość jarzyn i owoców, szczególnie w okresie zimowym, gdy temperatury spadały do minus czterdziestu i więcej stopni, powodowały wiele dolegliwości zdrowotnych. Odmrożenia, ciężkie przeziębienia, zapalenia płuc, a także szkorbut, kłopoty żołądkowe dotyczyły właściwie wszystkich. Zdarzały się i inne zmartwienia. W składającym się z różnych elementów środowisku poszukiwaczy dochodziło do częstych incydentów, w wyniku których przywracający spokój policjanci wracali nierzadko do fortu z rozlicznymi obrażeniami mniej lub bardziej niebezpiecznymi, wymagającymi lekarskiej pomocy i krótszej lub dłuższej opieki.

I tu Carol okazała się wprost nieoceniona. W jednym z baraków, w pomieszczeniu przylegającym do świetlicy kazała wymalować białą farbą ściany i urządziła izbę chorych z kilkoma łózkami i podręcznym gabinetem zabiegowym, z niewielką, wyposażoną w niezbędne leki apteczką.

Zajęła się troskliwie chorymi i chociaż w składzie dywizji znajdowali się ludzie przeszkoleni w zakresie udzielania pierwszej pomocy, ba... – teoretycznie winni to byli potrafić wszyscy – opiekę nad izbą przejęła ona. Chorymi opiekowała się na co dzień. Dbała, by w odpowiednim czasie otrzymywali przepisane lekarstwa, by izba była sprzątnąta przynajmniej raz dziennie, by zmieniano opatrunki, wreszcie, by dostarczane z kuchni posiłki nadawały się do spożycia. W razie zaistnienia cięższego przypadku przy chorym spędzała całe godziny. W krótkim też czasie poznała wszystkich. Każdy miał jakieś dolegliwości. Strickland nie zawsze był na miejscu; do niej więc coraz częściej zwracano się, a to z bólem zęba lub gardła, kłopotami żołądkowymi, mnóstwem innych drobnych, niekiedy poważniejszych dolegliwości. Starła się pomóc każdemu, toteż bardzo szybko zyskała sympatię i zaufanie. Coraz częściej przychodzili do niej po poradę nie tylko w sprawach zdrowotnych. Byli tu bez rodzin, pełnili twardą, surową, wyczerpującą służbę, ale często

daleko na południu przebywali ich bliscy. Latem, gdy poczta funkcjonowała sprawnie, a korespondencja dochodziła regularnie, nie było większych problemów. Gorzej sytuacja wyglądała zimą. Często spóźniali się listonosze. Często burze śniegowe lub fale mrozów powodowały, że na trasach z Fortu Wrangel, Skagway czy Dyea, przesyłki z listami potrafiły utknąć na kilka czy kilkanaście dni, niekiedy opóźnić się o parę tygodni.

Przychodzili wtedy do niej ze sprawami osobistymi: podzielić się troską o dom, o najbliższych, niepokojem o to, czy przypadkiem nie zapomniała pozostawiona gdzieś daleko w Edmonton, Calgary czy Vancouverze, albo jeszcze dalej, ukochana dziewczyna, od której przez długie dwa miesiące ktoś nie otrzymał wieści, że czeka, że tęskni, że niepokoi się. Carol rozumiała to, знаła te uczucia, niepokoje i rozterki. Niejednokrotnie sama musiała czekać. Często sama niepokoiła się, gdy David mimo obietnicy, dłużej niż mogła oczekiwać, nie wracał z jakiejś wyprawy czy inspekcji terenu. Teraz więc tłumaczyła, pocieszała, uspokajała. Gdy wreszcie poczta przywoziła wieści, biegli do niej, czytali całe listy lub ich fragmenty o tym, że w domu wszystko jest w porządku, że Peggy skaleczyła się w mały paluszek, a Johnny z czwartej klasy dostał piątkę z przyrody, że babcia Ethel zrobiła na drutach nowy ciepły szalik dla Franka, że suczka Sally ma cztery cudowne szczenięta, albo że zrobiła się dziura w dachu i Frank z Bobem musieli ją załatać, przy czym schodząc po drabinie Bob pośliznął się i zwichnął nogę w kostce. Przychodziły listy i inne: od Maud, która bardzo kocha i bardzo tęskni, od Elene, że kupiła już piękny materiał na ślubną suknię; od Margaret, że nie może doczekać się spotkania wiosną. Gdy czytali te listy, wzruszeni, radośni, niekiedy zaniepokojeni domowymi kłopotami, rozumiała ich, współczuła, cieszyła się, wzruszała tak jak oni. Czuła tak samo, oczekując na wieści od Patricka i Shirley czy od rodziców. Ojciec miał już swoje lata i ostatnio nie czuł się najlepiej.

W rok od chwili przyjazdu do Fort Constantine Carol Strickland знаła lepiej niż mąż wszystkie smutki i radości prawie całej załogi fortu.

Wraz z wybuchem gorączki złota, która rozpoczęła się po tym, jak George Carmack i jego indiańscy krewni nad Rabbit Creek trafili na najbogatszą bonanzę, kiedy statkami w górę wielkiej rzeki oraz od strony Skagway i Dyea zaczęły napływać tysiące nowych poszukiwaczy, kiedy przez tereny wokół Dawson zaczęła przewalać się fala za falą coraz to nowych uzbrojonych w swe ciężkie rewolwery i długie noże, sytuacja zmieniła się, pogorszył się stan bezpieczeństwa. Alkohol i żądza złota, demon hazardu przyniosły wzrost fali przestępczości. Szybko rosła liczba ciężkich obrażeń ciała, zwiększyła się ilość korzystających z izby chorych. Zwiększyły się obowiązki Carol. Wreszcie na wniosek inspektora Charlesa Constantine'a Kwaterna Główna w Reginie zdecydowała się wesprzeć pracę sił porządkowych na Terytorium Yukonu Oddziałem Specjalnym. Wkrótce potem wybuchła sprawa załogi posterunku nad Duck Creek i Strickland wprowadził ten oddział do akcji. Zaczęły się ciężkie dni, tygodnie i miesiące. Mąż Carol coraz później zaczął wracać do domu, coraz częściej sam lub jedynie w towarzystwie Murraya Hayne'a podejmował jakieś tajemnicze wyprawy. Coraz częściej do późna w noc świeciło się w jego gabinecie. Codziennie fort opuszczało kilku posłańców. Nieomal każdej nocy bramę fortu przekraczali obcy, dziwni, nie znani nikomu mężczyźni. Nie podawali nazwiska, jedynie hasło. Zasłaniali twarze, by ich nikt nie poznał, szli prosto do gabinetu, po paru godzinach równie nagle rozplýwali się w ciemnościach nocy.

Gdzieś pod koniec lutego, po raz pierwszy od wielu tygodni, akurat w czasie gdy w mieście wybuchła panika związana z bestialskim morderstwem popełnionym na osobie Turnera Jacksona i tajemniczym zniknięciem Gertie Lovejoy, David wrócił wcześniej do domu. Był zmęczony, ale spokojny. Na nieme pytanie żony, która nigdy nie przekraczała granic tego, co zwykło się nazywać obowiązkiem zachowania tajemnicy służbowej, uśmiechnął się i powiedział pogodnie: – Nie martw się, kochanie. To nie potrwa już długo. Sprawcy zbrodni nad Duck Creek poniosą odpowiedzialność. – Nie pytała o sprawcę zbrodni

na Jacksonie. Skoro sam nie mówił, widocznie nie miał do tego prawa. Następnego dnia ponownie pograżył się w wir pracy.

I znów krótsze lub dłuższe wypadły w teren, znów tajemniczy nocni goście, długie, ciągnące się do świtu spotkania i jakieś poufne rozmowy. Wreszcie gdzieś w połowie marca, któregoś dnia, tuż przed zapadnięciem zmroku, dosłownie wpadł do mieszkania, spakował szybko worek podróżny, zabrał zapasową zmianę ciepłej bielizny, zdjął ze ściany nieużywany od dawna winchester. Na parce, którą mu sama uszyła jesienią, zapiął pas z ciężkim rewolwerem. Obiecał, że wróci za dwa tygodnie, ucałował ją serdecznie i... już go nie było.

Z uczuciem głębokiego niepokoju patrzyła przez okno, jak spod bramy rusza pięć długich zaprzęgów i dziesięciu uzbrojonych ludzi. A więc była to prawdziwa wyprawa wojenna. Żegnała ją znakiem krzyża i cichą modlitwą, by wrócili wszyscy. Żegnał ich salutując wyruszającym nowym dowódcą fortu, nadinspektor Samuel Benfield Steele, przybyły tu w końcu lutego w miejsce powołanego do innych zadań inspektora Charlesa Constantine'a.

Nadeszły długie dni i wieczory oczekiwania na powrót oddziału. Panowała jednak głucha cisza. Jak ręką uciął skończyły się w forcie tajemnicze nocne odwiedziny, przestali w nieznane wyruszać posłańcy. Zagęszczała się atmosfera, ludzie, chociaż wykonywali normalnie swe obowiązki, chodzili z zaciętymi twarzami, mrukliwi, opryskliwi. Steele nie mówił nic, chociaż na pewno on jeden wiedział najwięcej.

I wreszcie któregoś dnia nagle pękło wszystko: stojący na bramie wartownik krzyknął, że wraca Strickland. Wybiegli z baraków mieszkalnych i służbowych pomieszczeń chyba wszyscy. Nie wytrzymał w swym gabinecie nawet Steele. Carol przecisnęła się do przodu i patrzyła również.

Oddział prowadził sierżant Murray Hayne. Za pierwszym zaprzęgiem szło czterech skutych kajdankami mężczyzn, dalej bez pasa i broni, z opuszczoną głową sierżant Frank Kingsley, następne sanie, a na nich jakaś dziewczyna... Wszystkie pięć zaprzęgów i wszyscy, którzy stąd wyruszali, wszyscy prócz... Davida Stricklanda. Carol poczuła, jak ciemnieje jej w oczach. Niczym przez mgłę widziała sierżanta składającego Steele'owi raport. Widziała, jak zabierają więźniów i Kingsleya i prowadzą do aresztu. Steele podał rękę Murrayowi, po czym na oczach wszystkich potrząsnął go serdecznie za ramiona i w tym momencie zobaczył żonę Stricklanda. Widocznie musiał zrozumieć, co przeżywa stojąca z pobladłą twarzą kobieta, bo podszedł szybko i powiedział uspokajająco:

– Wszystko w porządku, Carol. David jest zdrow i cały. Mają ciężko rannego. Musiał z nim zostać. Będzie za kilka dni. Dostali całą bandę.

Gwałtowny skurcz w gardle.

– Dziękuję! Czy tym rannym jest ktoś z bandy?

– Nie, Carol. To nasz człowiek z Oddziału Specjalnego. Miejmy jednak nadzieję. David prosi, byś zaopiekowała się tą dziewczyną. Ma za sobą ciężkie przejścia. Ona miała być następną ofiarą. Weźmiesz ją do siebie?

– Oczywiście, Sam. Nie wątpisz chyba?

Uśmiechnął się.

– Nie, Carol. A David będzie za kilka dni.

– Czy został sam?

– Jest z nim dwu naszych ludzi. Tych, którzy rozgryźli i załatwili sprawę.

– Dzięki jeszcze raz, Sam. A dziewczyną zaraz się zajmę.

I rzeczywiście obietnicy dotrzymała solennie do tego stopnia, że już tego pierwszego wieczoru Janet po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się jak we własnym domu.

Carol była ciekawa wszystkiego, a Janet przeżyła tyle, zwłaszcza w ciągu ostatnich tygodni, że obie kobiety nie spostrzegły nawet, kiedy mijał czas. Stopniowo przed oczyma Carol coraz ostrzej wyłaniał się obraz życia w obozach poszukiwaczy, rodzące się tam problemy, nadzieje, kłopoty, radości, dramaty i tragedie tych, którzy nie mieli siły, by

przetrwąć. Zimno, głód, choroby, walka o utrzymanie się na powierzchni, walka przeciwko złu, tkwiący we wszystkim hazard, bezlitosna gra o złoto, której stawką stawało się życie.

Gdy Janet mówiła o swych losach, o ostatnich miesiącach spędzonych nad Wild Creek, o wydarzeniach mających tam miejsce, ludziach, których poznała i których traktowała jak przyjaciół, oraz o tym jakimi okazali się w rzeczywistości, Carol słuchała z zapartym tchem. Kiedy w swej opowieści dziewczyna doszła do owego biegu po złoto, gdy opowiedziała o porwaniu oraz o tym, czego musiała wysłuchać nad grobem brata z ust jego zabójców i zabójców jej ojca, Carol objęła ją za szyję i... rozpląkały się obydwie.

Potem mówiła o ludziach z Oddziału Specjalnego: o Kesterze, Randalu i... Roddym, swym porywaczu, o tym co myślała o nich, gdy ich poznała. O tym, jak pogardzała szulerem i rewolwerowcem, jak nienawidziła Drwala za jego zaczepki, za wszystkie przykrości, jakie jej wyrządził, za to, że jeszcze w parowie, tam przy mogile brata była pewna, że obydwaj są jej śmiertelnymi wrogami. Nie знаła prawdy nawet wtedy, gdy zasłonił ją własną pierśią. Zrozumiała, gdy było już za późno. Zrozumiała, że przez cały czas nad Wild Creek obydwaj z Hoodem odgrywając dramatyczną rolę i stąpając po krawędzi przepaści walczyli o jej życie. Jakaż była głupia, jak dała się zwodzić pozorom do ostatniej chwili. Nawet Hektor okazał się mądrzejszy i potrafił odróżnić przyjaciół od wrogów.

Gdy z karabinem wyszła zza skały, chciała zabić ich wszystkich. Najpierw Nortona i Roddy'ego, Oatesa i... pozostałych. Jak mogła, chociaż Roddy jej zawierzył, skoro dał jej nabitą broń. Powinna się była domyśleć wtedy, że to co miało nastąpić, to tylko gra, gra o zdemaskowanie przestępców. Nie wytrzymała, nie była zdolna do myślenia i Oates dostał tę straszną kulę przez nią. Żalony płacz wstrząsnął ramionami dziewczyny. Jak mogła...

I Carol nie dziwiła się, że mąż prosił, by zaopiekowała się Janet Wharton.

Teraz obie czekały na niego z niecierpliwością. Janet przeżyła wiele, widziała dużo, przeszła przez własne piekło i nie zdołała się jeszcze po tym pozbierać, ale wielu rzeczy nie wiedziała i nie rozumiała. Wszystkie nici od samego początku trzymał Strickland. On zastawiał sieć i on kierował grą. Musiał wiedzieć wszystko.

Przybył w tydzień później i chociaż był piekielnie zmęczony, jego oczy spoglądały na Carol pogodnie i wesoło. Wrócił wraz z Hoodem. Musieli najpierw złożyć szczegółowy raport nadinspektorowi Steele i trwało to długo. Carol omal nie umarła z niecierpliwości i nie przypaliła pieczystego. Wreszcie przyszedł do domu i na kolację przyprowadził Kestera. Obydwaj byli głodni, toteż w czasie posiłku rozmawiano niewiele; dopiero po kolacji rozdarł się prawdziwy worek pytań, przede wszystkim o stan Oatesa. Tu pytała Janet w głębokim poczuciu własnej winy, za to co się wydarzyło. Carol zaparzyła mocnej herbaty, postawiła na stole butelkę dobrego koniaku – jedną z niewielu, jaką zachowała się z ubiegłorocznej dostawy; podsunęła mężczyznom pudełko z cygarami. W mieszkaniu było ciepło.

– Mogło być gorzej, Janet – powiedział Strickland. – Randal ma bardzo silny organizm, a Katso operacji wyjęcia kuli dokonał w sposób, którego mógłby mu pozazdrościć najlepszy chirurg. – Katso? Kto to taki? – spytała Carol. – Nie słyszałam o takim lekarzu.

– Ja dotychczas również niewiele – uśmiechnął się. – To szaman indiański, a właściwie eskimoski, żyjący w wiosce Indian Tsakho kwani. Nie miałem narzędzi chirurgicznych, a pocisk tkwił głęboko. Katso przyniósł mi swoje. Niestety – rozłożył ręce. – Nie potrafiłem się nimi posłużyć. Bez wyjęcia pocisku Randal nie miał żadnych szans. Zgodziłem się i Katso wyjął kulę w ciągu minuty. Gdybym sam nie widział, nie uwierzyłbym. Potem rozmawiałem z nim. Zna się na ranach, na odmrożeniach, leczy szkorbut i zapalenie płuc. Wie wiele o zakażeniach i ma potrzebne zioła. Świetnie sobie radzi z gorączką. Gdy opuszczaliśmy wioskę, Oates czuł się już tak, że chciał, byśmy go zabrali. Wszystko będzie w porządku. Katso obiecał, że wypuści go za jakiś miesiąc.

Janet rozpląkała się z radości.

– Tak mi dokuczał. Znienawidziłam go. Przecież mógł mi jakoś dać poznać, że tylko udaje. Albo nawet ty, Kester.

– Baa... – Hood zaciągnął się głęboko. – Gdybyś zauważyła ty, że Randal udaje, zauważyliby pewnie i inni. Przyjaźniłaś się z Nortonem i całą jego paczką. Woleliśmy nie ryzykować.

Poczerwieniała nieznacznie.

– Skąd niby mogłam wiedzieć? Sam z nimi trzymałeś, a u Nortona widziałam kiedyś policyjną odznakę. Kapral Paterson i Barnes traktowali jego i Spencera jak jednego ze swoich. Byłam pewna, że właśnie oni są z Oddziału Specjalnego. Inni też tak myśleli.

– Widziałas u Nortona policyjną odznakę? – zainteresował się Strickland. – Pokazywał ci ją?

– Nie, wypadła mu przypadkowo z kieszeni przy wyjmowaniu chusteczki. Szybko podniósł i schował i powiedział coś takiego, że czasem lepiej czegoś nie wiedzieć. Zrozumiałam, że mam nie mówić nikomu, ale to jeszcze bardziej upewniło mnie, że jest z policji.

– Sprytne. Upuścił celowo, byś zobaczyła i nabrała zaufania.

– Ale skąd u niego wasza odznaka? – zdziwiła się Carol.

– To odznaka sierżanta Allana Wellera, kochanie. Norton nie zdążył się jej pozbyć w chwili aresztowania. Będzie stanowiła jeszcze jeden dowód w łańcuchu sprawek pana Jerry’ego i jego kompanów.

– Ma dużo tych sprawek na sumieniu, prawda?

– Nawet bardzo dużo. Niestety, nie jestem pewien, czy uda się udowodnić ich udział w zamordowaniu Norrisa i ojca Janet. Janet nie widziała wtedy ich twarzy i niestety mowy nie ma o rozpoznaniu. Ale inne rzeczy udowodnimy: wymordowanie załogi posterunku, do czego się sami przyznali wobec Roddy’ego, Kestera i Randal. Słyszała to również Janet. Podobnie ma się sprawa ze śmiercią Nanty’ego. Nawet wskazali miejsce, gdzie ukryli jego zwłoki. Będą odpowiadać za rabunek u Harveyów.

– Ależ oni byli wtedy wraz z innymi na polowaniu – zdziwiła się Janet. – Byłeś z nimi, Kester. Widziałeś.

– Byłem, Jess, to prawda, i wiem, że Norton i Spencer opuścili łańcuch obławy prawie na dwie godziny. Widział ich też Randal, jak wyładowane skradzionymi artykułami sanie przekazywali Duncanowi O’Kelly. Randal poszedł wtedy za O’Kellym i wytropił ich kryjówkę. Jak pamiętasz, wrócił dopiero za trzy dni. W kryjówce prócz żywności i alkoholu znaleziono i inne rzeczy należące do Monty Burnsa – męża Dolly. To również ich sprawka. Też do udowodnienia. Twój mąż, Carol, ma rację. Starczy dla każdego z nich na kilka wyroków.

– A kto dokonał zamachu na Oatesa, jeszcze tam, nad Wild Creek? Czy to też któryś z nich? – spytała Janet.

– Prawdopodobnie O’Kelly – odparł Kester – chociaż nie wiadomo, czy uda się to udowodnić.

Strickland pokiwał głową.

– Właśnie, O’Kelly, sławne nazwisko. Niestety, przywłaszczone. Nazywa się zupełnie inaczej i z rozwożeniem pierwszej poczty na tych obszarach nie ma nic wspólnego. Myślę, że w jego przeszłości znajdziemy sporo różnych, ciekawych rzeczy. U innych również, choć potrzeba na to trochę czasu.

– Ale, na Boga – żona gospodarza poczuła, że z wrażenia pieką ją uszy – jak wpadliście na to wszystko, jak i kiedy zaczęliście podejrzewać i dlaczego właśnie ich. Przecież, Dawidzie, gdy dostałeś ten meldunek znad Duck Creek, wiedziałeś jedynie, a raczej obawiałeś się tylko, że popełniono zbrodnię. Nie znałeś sprawców. Jak ustaliliście, co was naprowadziło na ślad, że należy ich szukać w Wild Creek?

Strickland spojrzął spod oka na swą żonę i mrugnął porozumiewawczo do Kestera.

– To nie było zupełnie tak, Carol. Trochę jednak wiedzieliśmy. Trochę mogliśmy się domyślać.

– Nie mówiłeś tego. I skąd wiedzieliście?

– Przede wszystkim z meldunku. To jeszcze jeden dowód, co prawda tylko pośredni, i może nie zostanie za dowód uznany przez sędziego. Dla nas jednak był ogromnie pomocny i wbrew pozorom zawierał sporo informacji ważnych przy rozwiązaniu tej zagadki.

– Mówiłeś przecież, że Weller celowo umieścił masę nieprawdziwych danych, by was zaalarmować. Teraz mówisz, że meldunek zawierał informacje prawdziwe.

– Prawdą jest i jedno, i drugie, tyle tylko, że o prawdziwej informacji wynikającej z tego meldunku mogłem powiedzieć jedynie Oddziałowi Specjalnemu. Nie mogłem nawet tobie.

– Ale meldunek pokazywałeś mi. Czytałam go. Wiem, że nie zawierał słowa prawdy.

Uśmiechnął się.

– Widzisz, Carol, policja pewne rzeczy czyta inaczej niż inni ludzie. Zresztą poczekaj, mam tu kopię. – Podniósł się z fotela. Przeszedł do sąsiedniego pokoju. Gdy wrócił w kilka minut potem, przyniósł sporą kartkę zapisanego papieru. Usiadł ponownie przy stole, położył kopię meldunku przed sobą i sięgnął po leżące na podręcznym stoliku pióro. – Widzicie – kontynuował – już gdy czytałem meldunek po raz pierwszy, domyśliłem się, że Weller pisze nieprawdę świadomie, by nas ostrzec, ale byłem pewien, że skoro stać go na taką odwagę i pomysłowość, to na pewno nie ograniczy się tylko do ostrzeżenia. Byłem pewien, że w tym co napisał, kryła się również jakaś informacja, informacja która stanowiłaby chociaż nitkę, najmniejszy bodaj ślad w poszukiwaniach. Gdy czytałem po raz może dziesiąty, gdy odrzuciłem wszystko, wszystkie słowa, które nie miały sensu, pozostało w treści coś, co stanowiło rzeczywisty drugi meldunek. Meldunek rzeczowy i logiczny, rzetelny, zwięzły informację żołnierza wypełniającego do końca swój obowiązek. – Przerwał w tym miejscu i odkręcił pióro, po czym szybko, pewnym ruchem ręki, podkreślił na kartce niektóre słowa. – Przeczytajcie to, co podkreśliłem w takiej kolejności, jak zostało zapisane. Te podkreślone słowa i tylko one stanowią prawdziwą treść meldunku.

Pochylili się nad stołem niemal równocześnie. Rozrzucone w treści meldunku podkreślone słowa tworzyły krótki, lakoniczny raport. Czytali go jak zahipnotyzowani.

Meldunek nr 4

Informuję Waszą Ekszelencję, że tutejszy posterunek otrzymał z Fort Mc Pherson informację o trudnej sytuacji w rejonie zbiegu Hungry i Wind Rivers. Położony tam zimowy obóz Nahani został opanowany przez epidemię tyfusu. Zmarło już trzech młodych Indian. Białych mężczyzn nie ma w tamtych stronach. Nahani i ich około dwudziestosześcioletni dowódca przenieśli się bliżej fortu. Zaraza wzięła się stąd, że pijany angakok wytropił młodego chorego białego karibu i jego mięsem nakarmił swych głodujących ludzi oraz jakiegoś indiańskiego obcego poszukiwacza. W związku z zapytaniem Waszej Ekszelencji donoszę, że nie otrzymaliśmy jeszcze surowicy o nazwie NW najlepszej podobno na tyfus.

Jeśli chodzi o moją żyłę złotą, to potwierdzam, że może ją eksploatować Wolsey. Tak się umówiliśmy. Gdyby były dla nas jakieś przesyłki, na razie nie widzę możliwości ich odebrania.

Ponieważ Fort Mc Pherson oczekuje pomocy, a być może ratunku, zabieram nasze leki, Milforda i Parkera oraz znającego drogę przewodnika i jeszcze dziś wyruszam z „patrolem” w drogę. Jest daleka, więc nie wiem, kiedy powrócę. Niech Bóg ma Waszą Ekszelencję w opiece.

– Ale jeszcze nie wszystko rozumiem – Janet podniosła bezradnie głowę.

– Poczekać chwilę – powiedział i szybko przepisał podkreślone słowa, stawiając we właściwych miejscach znaki przestankowe. Słowo: „nazwie” zamienił na słowo: „nazwisko”.

Teraz treść meldunku brzmiała następująco:

„Informuję Waszą Ekscelencję, że tutejszy posterunek został opanowany przez trzech młodych białych mężczyzn. Ich około dwudziestosześcioletni dowódca wytropił młodego obcego poszukiwacza o nazwisku NW. Chodzi o żyłę złota. Dla nas nie widzę ratunku”.

– O Boże – zatkała Janet. – NW to Nanty. To jego inicjały – Nanty Wharton.

– Tak, Janet. Chodziło o twojego brata. Niestety, wtedy kiedy zrozumiałem jaka jest treść ostatniego raportu Allana, nie wiedziałem, do kogo należą inicjały, zwłaszcza że pierwsza litera imienia nie pasowała do nazwisk zaczynających się na literę „W” u osób, które wchodziłyby w rachubę. Dopiero później, po przejrzeniu policyjnych raportów, zaczęliśmy podejrzewać, że może to być uproszczenie od imienia Anthony. Anthony, czyli Nanty. Potwierdzenie tego podejrzenia przekazał nam Roddy po powrocie z wioski Tsakho kwani i po znalezieniu psa z wrytymi na obroży tymi samymi inicjałami. Zresztą w wiosce tej dowiedział się wielu innych rzeczy, także o tobie. Wiedzieliśmy, gdzie leżał zimowy obóz Indian i posterunek nad Duck Creek. Wiedzieliśmy, gdzie leży najdalszy obóz poszukiwaczy nad Wild Creek. Łatwo w tym obozie odnaleźliśmy ciebie i ustaliliśmy, że brat twój – właśnie Nanty – nie powrócił ze swej letniej wyprawy. Ustalenie tych faktów, a szczególnie pierwszy pobyt Roddy’ego u Tsakho kwani pozwolił nam z treści meldunku sierżanta Wellera odczytać jeszcze jedną ważną wiadomość. – Znow patrzyli zaintrygowani. – Tak, nawet bardzo ważną, choć początkowo wydawało się, że należy do grupy nieprawd, które wpisał w meldunek. Chodzi o słowa „biały karibu”. Gdy Roddy przekazał informację, że w obozie Indian żyje dziewczyna o imieniu Biały Ren, wszystko okazało się jasne. Weller naprowadzał nas na jej ślad. Uważał, że jest ważny. Roddy sprawdził to. Dziewczyna okazała się ważnym ogniwem sprawy. Znała twego brata. Przyjaźnili się. Udając się nad potok, do swojej bonanzy, właśnie u niej zostawił różne swoje rzeczy. Przywieźliśmy ci je.

Sprawozdania Roddy’ego pozwoliły nam ograniczyć teren poszukiwań bandy do trójkąta: Duck Creek, indiańska wioska i wasz obóz nad Wild Creek.

Wiedzieliśmy, że banda nie poprzestanie na Nantym, że jeśli chce eksploatować potok, musi spróbować usunąć i ciebie. Dlatego nad Wild Creek poszli dwaj najlepsi: Kester i Randal. Mieli cię strzec dzień i noc. Potem było łatwiej. Początkowo wymknęłaś się kiedyś do lasu i o mało nie zagryzły cię wilki.

Na wspomnienie tamtej sceny Janet poczuła nieprzyjemny dreszcz. Tak, Kester uratował jej wtedy życie. A potem Randal. I nie zawahał się zasłonić jej, chociaż wiedział przecież, co o nim myśli, jaką odrazę i nienawiść czuje. Grał swoją rolę wspaniale do końca.

Do rzeczywistości przywołał ją głos Carol. – Ale jak ustaliliście, że to właśnie Norton i tamci? Nie zdradzali się przecież niczym, a jak rozumiem, Indianie nie znali nazwisk.

– Oczywiście, był z tym kłopot. Pomogła nam jednak trochę policja ze Skagway. Amerykanie przekazali nam telegraficzną wiadomość, że z ich terenu zniknął Turner Jackson, jeden z wilków Soapy Smitha. Łatwo ustaliliśmy, że zamelinował się tu, pod naszym bokiem, w Lousetown.

Nasi agenci donosili, że sam nie prowadzi żadnych przestępczych interesów, ale ma gdzieś kilku ludzi. To co stało się nad Duck Creek, było podobne do tego, co robili ludzie Soapy’ego. Plan wymyślił Roddy. My pomogliśmy mu go jedynie wykonać. Plan niebezpieczny, którego Roddy omal nie przypłacił życiem, ale wreszcie przycisnął Jacksona i wydobyl od niego co trzeba. Cała akcja okazała się strzałem w dziesiątkę. Jackson wierząc, że ma przed sobą wysłannika głównego herszta ze Skagway, chociaż wiedział nie wszystko, przynajmniej mógł podać dwa nazwiska i wtedy...

Żona Stricklanda patrzyła na niego przerażona.

– I Roddy zabił go...? Czy musiał? Czy musieliście dopuścić do tego...?

– Uspokój się, Carol. Nie popełniono żadnej zbrodni. Po prostu upozorowaliśmy zbrodnię. W rzeczywistości Jackson został przez nas zatrzymany w tajemnicy i osadzony w areszcie. Tak, jest od tamtego czasu w forcie, w celi, i tak samo jak inni stanie przed sądem. Musieliśmy zatrzymać Gertie Lovejoy. Mogła za dużo powiedzieć.

– Ale w takim razie po co to wszystko?

– To proste, kochanie. Wszyscy musieli dowiedzieć się, że od Jeffa ze Skagway ktoś przybył, że tym kimś jest właśnie Roddy. Dlatego te publikacje w prasie o makabrycznej zbrodni popełnionej na Jacksonie. Postaraliśmy się, by dotarły do Nortona i jego kompanii nad Wild Creek, by ich trochę postraszyły, ale przede wszystkim by upewniły, że Roddy to jeden z ludzi Soapy Smitha, jeden z nich. Takie przekonanie stwarzało szansę, że nie będą przed nim niczego ukrywali. I nie ukrywali, prawda, Janet?

– Nie, Dawidzie. Nie ukrywali i wierzyli do ostatniej chwili, że to jeden z nich. I ja też w to wierzyłam. Byłam pewna, że i Randal, i Kester to również ludzie tego Jeffa. Ale kto wymyślił ten bieg po złoto, bo nie wierzę, że Norton. Skąd wzięłby się tam w tym momencie Roddy, i Kester, i Randal.

– To też wymyślił Roddy. A Ka-káh to syn Shiyatá'y, wodza Tsakho kwáni. Roddy kazał mu pójść do waszego obozu i opowiedzieć o potoku, o namiocie, pokazać złoto. Dawało to Nortonowi okazję do zabrania twojej bonanzy. Oczywiście wtedy wiedzieliśmy już wszystko. Chodziło o to, by banda przyznała się sama. I pewno zgarnęlibyśmy ją bez wystrzału, gdyby Roddy, tak jak miał obowiązek, związał cię i ukrył w pieczarze, o której ścianę opierałaś się. Nie wiem, czemu tego nie zrobił... I myślę, że gdy się tu pokaże, pójdzie do pudła na czternaście dni o chlebie i wodzie...

Carol pochyliła się, przytuliła do ramienia męża i dodała:

– Razem z Janet, w tej samej celi. Należy im się to. Na przyszłość nie będą łamać policyjnych rozkazów.

Roześmiali się.

– Kiepska rada, Carol – Strickland pokręcił z powątpiewaniem głową. – Pewno znów by ją uwolnił.

– No, nie jestem wcale taka pewna...

Prawie jednocześnie spojrzeli na Janet. Jej bladą twarz powlekl lekki rumieniec. Podejrzenie błyszczały oczy. Kto wie, co myślała w tej chwili.

– Niestety – powiedział Strickland. – Z wykonaniem kary będziemy musieli trochę jeszcze poczekać.

– Czemu? – głos żony brzmiał nadal podejrzaną słodyczą.

– Roddy nie pokaże się tu pewnie zbyt prędko. – Aaa... czemu? Stało mu się coś? – zaniepokoiła się Carol.

– Nie. Musiał Niestety udać się na północ – a widząc zaintrygowane spojrzenia obydwu kobiet, westchnął ciężko. – Z wioski Tsakho kwáni uciekła Biały Ren. Uciekła na północ. Roddy powinien ją dogonić.

– Po co? Jej bracia powinni się chyba tym zająć?

– Nie, Carol. To musi zrobić Roddy. Widzisz, meldunek od Allana Wellera dostarczyła nam właśnie Biały Ren. Nie wiemy, jak dostał się w jej ręce. A musimy to wiedzieć. Ona może być ważnym świadkiem w tej sprawie, podobnie jak Katso i Shiyatá. Nie możemy zrezygnować z jej zeznań.

– Ale chyba Roddy dopędzi ją szybko? Ma przecież najlepszy w dywizji zaprzęg.

– Ona ma lepszy. Ucieka. Nie, nie ucieka, oczywiście. Odeszła z sankami ciągnionymi przez białego rena. Ona uchodzi w swej wiosce za świętą. Indianie nie pomogą Roddy'emu. Jeśli im się uda, utrudnią mu pościg, a ją uprzedzą. Może umykać setki mil. Psy nie dogonią jej. Nie wiem, kiedy Roddy wróci. Może dopiero latem... Ale na dzisiaj dosyć, moje panie.

Jeśli chodzi o mnie i o Kestera, to mamy trochę zarwanych nocy, ale – tu przypomniał sobie o obietnicy – poczekaj chwilę, Janet.

Ze swego podróżnego worka wydobył niewielką płaską paczkę. – Dała to nam Biały Ren. Przed odejściem z wioski zostawił u niej Nanty. Prosił, by ci przekazała, jeśli nie wróci. – A to – podał małe zawiniątko – zwraca ci Roddy. Podobno zapomniał tego zrobić tam, w parowie.

Medalion. Trzymała go chwilę na wyciągniętej dłoni, po czym cicho, bez słowa odeszła do swego pokoju. A więc Roddy dotrzymał słowa... Ciekawa była, czy pamięta o innej obietnicy...

Cicho zamknęła za sobą drzwi, podkręciła lampę i kilka chwil obracała niezdecydowanie przewiazaną rzemieniem paczkę. Wreszcie rozwiązała ją. Rozsypały się na stoliku stare rodzinne fotografie, które Nanty zawsze nosił z sobą. Była tam i ona. Oglądała je ze wzruszeniem. Scyzoryk w szylkretowej oprawie, który na urodziny podarowała mu jeszcze w Vancouverze. Stary, zniszczony portfel, a w nim dwa dokumenty: świadectwo urodzenia i chrztu oraz dowód rejestracyjny działki – dowód wystawiony na Janet Wharton. Data – piąty lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Dlaczego zarejestrował na nią, a nie na siebie... Niewielki, brązowy notes oprawiony w miękką, ładnie wyprawioną skórę. Na wierzchu monogram z literami „NW”.

Dłuższą chwilę patrzyła na notes, jakby bojąc się zajrzeć do środka. Wreszcie zdecydowanym ruchem otworzyła okładkę i przerzuciła kilka kartek. Wszystkie zapisane ołówkiem, drobnym lecz wyraźnym pismem.

Na pierwszej stronie tylko dwa słowa:

Dziennik podróży

Dalej zapiski ważniejszych wydarzeń; każdy dzień datowany odrębnie. Łzy napłynęły jej do oczu. Wytarła je chusteczką i zaczęła czytać.

9 maja wieczorem

Przeszedłem dobre trzydzieści mil na północny wschód. Teren lesisty, pagórkowaty. Pogoda wspaniała. Ciepło. Hektor goni króliki i lisy. Muszę go tego oduczyć. Przyniósł mi świstaka. Pewno wykopał go z jakiejś nory. Ciekaw jestem, czy odnajdę Indian. Może wyruszyli już w tundrę...

12 maja w południe:

Pogoda bez zmian. Słońce grzeje coraz mocniej. Jestem już poza lasem. Teren coraz bardziej pofałdowany. Wszędzie pełno jeziorzek; mnóstwo strumieni. Próbowałem płukać w kilku... piasek i żwir... ani śladu złota. W wysokiej trawie zatrząsienie pardw. Nie uciekają. Upolowałem trzy. Pieczone na ognisku są pyszne. Hektor pożera je z piórami. Według mapy Norrisa do wioski Tsakho kwani pozostało najwyżej trzy, cztery dni. Ciekawe czy ich zastanę i czy jest tam Biały Ren?

17 maja rano

Pierwszy niedźwiedź, a właściwie niedźwiedzica z młodym. Była zła. Obszedłem z daleka. Nawet Hektor czuł przed nią respekt. Przegoniła go szybko. Całe klucze gęsi i kaczek ciągną na północ. Czemu tak późno? Nocą coś kręciło się koło obozu. Hektor warczał. Może jaki drapieżnik.

17 maja po południu

Daleko z tyłu widziałem jakiegoś mężczyznę. Zatrzymałem się. Nie przyszedł. Teren coraz bardziej dziki. Na wschodzie góry. Przynajmniej z pięćdziesiąt mil. Może jednak Indianie nie odeszli jeszcze...

18 maja rano

Nocą wyły kojoty. Do obozu podchodził wilk. Pies przepędził go. Czuję się coraz bardziej podniecony. Zgodnie z mapą powinienem skrócić bardziej na północ. Z każdym dniem jem coraz więcej.

21 maja

Jestem w wiosce Tsakho kwáni. Dzięki Bogu, nie odeszli jeszcze. Są mili. Katso, ich szaman, mówi po angielsku. Dostałem zupę z ryby... Kiedy powiedziałem, że jestem przyjacielem Norrisa, ucieszyli się. Nie mówiłem, że nie żyje. Katso ma córkę Técha. Ale on jest Inuit, a ona Indianka. Dziwne. Jest bardzo piękna, a on jakby o nią zazdrosny... a może to żona. Gdy usiłowałem ją o coś spytać, powiedział, że z jego kobietą nie wolno mi rozmawiać. A więc chyba żona. Pytałem o dziewczynę o imieniu Biały Ren. Powiedział, że wróciła na północ. Nic wierzę. Katso coś ukrywa.

Po południu chodziłem po wiosce. Nad potokiem spotkałem Téchai. Kiedy ją pozdrowiłem, po angielsku powiedziała, że nie jest Técha tylko Biały Ren, i że nie jest kobietą Katso. Po angielsku zna kilka słów. Trudno się porozumieć. Jest naprawdę piękna. Ma cudowne skośne oczy i ślicznie się śmieje.

21 maja wieczorem

Powiedziałem Katso, że wiem, iż Técha to Biały Ren. Czarownik był zły. Długo milczał. Potem powiedział, że biały, czyli Norris obiecał mu ją za żonę. Wiem że to nieprawda. Drażni mnie myśl, że Biały Ren mogłaby zostać jego żoną. On ma przynajmniej ze czterdzieści lat, a ona najwyżej dziewiętnaście. Zresztą nie mieszkają razem. Na razie nie mówię nic o bonanzie. Nie wiem dlaczego.

24 maja przed południem.

Hektor zdradził mnie. O świcie zniknął z namiotu. Rano znalazłem go za wioską. Uganiał się po łące z Białym Renem i zachowywał się jak szczeniak. Nie mogłem oderwać oczu. Biały Ren była w krótkiej spódnicy. Jest bardzo zgrabna i tak się cudownie śmieje. Gdy myślę o niej, jest mi dobrze i jakoś tak radośnie... Czy ona mnie lubi...?

24 maja po południu

Przyszedł Katso. Najpierw długo nic nie mówił, potem wypytywał o Norrisa. Powiedziałem, że nie żyje. Młody Indianin zawołał czarownika. W pobliżu wioski pokazało się trzech białych. Rozłożyli obóz o dwie godziny drogi. Cemu nie przyszli do obozu...?

26 maja rano

Przyszedł biały. Chodził po wiosce. Nie rozmawiał z nikim. Miał pistolet i karabin, potem poszedł. Gdy zatrzymałem go i pytałem czego tu chce, kazał mi się odczepić. To jeden z tych trzech. Nadal obozują w pobliżu. Biały Ren boi się ich. Indianie też. Trzymają straż w nocy. Katso przyszedł z dziewczyną i spytał, czy się chce z nią ożenić. Powiedziałem, że ją kocham i że wezmę z nią taki ślub, jaki biorą biali. Nie wiem, czy był zadowolony, ale chyba przetłumaczył co powiedziałem, bo zaczerwieniła się.

27 po południu

Biały Ren jest ze mną od rana. Rozpaliła ogień i piekła mięso. Nie wstydzi się mnie. Mogę gładzić jej ręce, twarz, włosy. Jest mi tak dobrze. Jej chyba też. Dzisiaj oparła ręce na moich ramionach i potarła swoim nosem o mój. Patrzyła pytająco. Dotknąłem swojego serca, potem jej serca i powiedziałem, że ją kocham. Nie wiem, czy zrozumiała, ale przytrzymała moją rękę przy swoim sercu. Biło tak szybko i tak ślicznie błyszczały jej oczy. Chyba oszaleję.

28 wieczorem

Rozmawiałem z Katso. Powiedziałem mu o złocie Norrisa. Wiedział. Radził mi, bym wziął to złoto jak najprędzej, bo w górach jest coraz więcej białych i mogą je znaleźć, nim ja to zrobię. Uważa, że powinienem zabrać złoto i wrócić do Białego Rena. Do czasu powrotu ukryje ją przed białymi. Nie podobają mu się.

2 czerwca rano

Od trzech dni jestem w drodze do bonanzy. Nocą zakradł się do mnie Katso. Uprzedził, że ci biali, którzy byli w pobliżu obozu, idą moim śladem. Uważa, że zamiast nad potok powinienem udać się do nowego posterunku nad Duck Creek i poinformować Czerwone Kurtki. Chyba tak zrobię. A Katso jest w porządku. Powiedział, że nadal będzie śledził białych, ale że bym uważał i ja.

7 czerwca po południu

Przeszedłem na drugą stronę gór. Jestem na posterunku nad Duck Creek. Zastąpiłem tylko sierżanta Wellera. Opowiedziałem mu o tych trzech i pokazałem mapę Norrisa. Obejrzał i stwierdził, że jest tak dobra, że na jej podstawie mogę w Dawson zarejestrować działkę. Uważa, że nie powinienem teraz chodzić do bonanzy, dokąd oni nie sprawdzą, kim są ci trzej biali. Tak będzie chyba najlepiej. Pozwolił mi przenocować.

8 czerwca rano

Z polowania wrócili Milford i Parker – dwaj posterunkowi widzieli o pół dnia drogi ślady trzech mężczyzn. Ślady prowadziły na wschód. Oddalały się od posterunku. Weller jednak nie zmienił zdania. Nadal uważa, że najpierw powinienem zarejestrować działkę. Nie wiadomo, czy widziane przez jego ludzi, ślady pozostawili ci, którzy śledzą mnie od wioski Tsakho kwani.

11 czerwca po południu

Kluczyłem po górach trzy dni. Chyba nie wytrzymam już mnie. Idę do Dawson.

26 czerwca po południu. Dawson

Ależ to prawdziwe miasto. Pełno sklepów, salony, mrowisko ludzi. Wszędzie się mówi tylko o złocie. Podobno w pobliżu odkryto masę potoków. Kupiłem trochę amunicji, sól, cukier i kawę.

1 sierpnia

Nie mogę pójść wprost nad potok. Co noc śni mi się Biały Ren. Kocham ją coraz bardziej. Tęsknię. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Muszę ją zobaczyć. Hektor chyba też, bo prowadzi mnie wprost do wioski Tsakho kwani.

8 sierpnia

Znow jesteśmy razem. Biały Ren poduczyła się od Katso angielskiego. Po raz pierwszy powiedziała, że mnie kocha. Jak słodko brzmiały te słowa w jej ustach. Musiała powtarzać je wiele razy i jest coraz piękniejsza.

17 sierpnia

Mimo że nie mogę się od niej oderwać, muszę iść nad potok. Potem wrócę i razem wrócimy nad Wild Creek.

18 sierpnia rano

Miłość jest tak słodka i tak cudowna. Zaraz ruszam. Tamtych trzech zniknęło dawno. Uwolniłem się więc chyba od nich. Wypluczę złota tyle, ile się uda, ale mam niedobre przeczucia. Może to tylko myśl o rozłące.

Dziennik i tych parę drobiazgów jakie mam, zostawiam u Białego Rena – dla Ciebie, Janet. Jeśli nie wrócę, ona Ci ten dziennik przekaże. Katso wie, jak wyglądają ci trzej biali. Ale to na wypadek gdybym nie wrócił. Zaopiekuj się nią, Janet. Jest taka delikatna i taka słodka. Ale mam nadzieję, że sam Ci ją przyprowadzę. Na pewno ją pokochasz.

Nanty

Janet długo jeszcze trzymała dzienniczek na kolanach. Po twarzy spływały jej ciche łzy, spadając na gęsto zapisane kartki.

W przyległym pokoju, wbrew zapowiedzi, David Strickland nie ruszył się z fotela. Pozostał na swym miejscu Hood i Carol wiedziała dlaczego. Wiedziała, że nie powiedzieli jej całej prawdy. Sama sięgnęła po butelkę i napełniła ich kieliszki.

– Mów, David, albo ty Kester, co was gnębi? Czyżby coś z Randalem lub Roddym? Strickland pogłodził ją po włosach.

– Nie, Carol. Nie chodzi o nich. Chodzi o Białego Rena.

– Gnębi was, że Roddy może jej nie dogonić? – Nie, kochanie. Ona nie odeszła na północ i nie uciekła przed nami. Uciekła od świata, który przestał dla niej istnieć.

– O Boże, co ty mówisz?

– To prawda. Ta dziewczyna czekała na powrót brata Janet. Kochali się. Od nas dowiedziała się, że nie żyje. Nie widzieliśmy, kiedy opuściła obóz. Rankiem, przeczuwając nieszczęście, pognaliśmy tropem jej rena i sań. Zaczęliśmy dopędzać ją koło południa. Pędziła ku przepaści. Była od nas jeszcze jakieś czterysta kroków, gdy stało się jasne, że nie dościgniemy jej. Roddy i Kester zastrzelili rena, by ją zatrzymać, ale zdołała dotrzeć do przepaści. Nie mogliśmy nic zrobić.

Carol oparła głowę o ramię męża, zwilgotniały jej oczy. Dłuższy czas milczała, czując skurcz w gardle.

– Pochowaliście ją? – spytała cicho.

– Tak, obok brata Janet. Chciała być razem z nim.

– Rozumiem...

Znów milczeli dłuższy czas. Za oknem odezwał się pierwszy jęk nadciągającego ponownie wichru...

Zakończenie

Z trzaskiem i łoskotem toczącej się lawiny pękały lody wielkiej rzeki, która z groźnym pomrukiem ruszyła w dół ku odległemu o blisko półtora tysiąca mil oceanowi. Każdego dnia coraz wyżej wznosiło się słońce, swymi ciepłymi promieniami topiąc zalegający w górach i dolinach śnieg. Powiał południowo-zachodni ciepły wiatr. Poprzez zmarzniętą skorupę ziemi przebił się pierwszy kwiat polarnego maku, pozieleniały wzgórza, na północ ku odległemu Archipelagowi Arktycznemu ciągnęły wysoko klucze dzikich gęsi. Różnobarwnym, różnokolorowym i wielojęzycznym tłumem zaludniły się ulice Dawson. Wszędzie panował nieopisany gwar i ścisk: przed przedsiębiorstwami wynajmującymi łodzie, przed magazynami ze sprzętem górniczym, sklepami z artykułami kolonialnymi, agencjami przewozowymi, wszędzie tłoczyli się mężczyźni z workami i plecakami, z łopatami kilofami, obciążeni niezliczoną ilością paczek, mniejszych i większych toreb. Ładowano tratwy, byle jak zbite łodzie, mocowano dulki, sposobiono wiosła, przetaczano puste i pełne beczki, przenoszono skrzynie i jakieś ciężkie paki. Przekrzykiwano się i nawoływano. Dawson sposobilo się do wyruszenia na złotonośne pola, nad potoki i odkrywki już znane, ale także w głąb kraju na poszukiwanie nowych.

Roddy trzymając psa na smyczy, patrzył z zadumą na brunatnoczarne wezbrane, przelewające się z głuchym, groźnym pomrukiem wody szeroko rozlanej rzeki. Patrzył na manewrujące między polami pękającej kry niewielkie łódki zdążające pod prąd i na inne, usiłujące przedostać się na drugi brzeg. Z góry rzeki płynęły również łodzie. Ciężkie, wyładowane po brzegi, popychane kilkoma parami silnych ramion. To znad jezior Bennetta i Tagish szły dostawy żywności i towarów, a wraz z nimi nowe fale poszukiwaczy. Od przeszło tygodnia wlewali się niczym lawina przez złote wrota Jukonu.

Odwrócił od nich niechętnie wzrok i w tej samej chwili gwałtowne szarpnięcie psa omal nie zważyło go z nóg. Puścił obrożę. Pies kilkoma potężnymi susami przypadł do nadchodzącej dziewczyny i zaczął witać ją z dziką, żywiołową radością. Wreszcie uwolniła się od niego i podeszła bliżej.

– Cześć, Roddy. Dawno cię nie widziałam. Słyszałam, że wróciłeś już przynajmniej z tydzień temu. Nie pokazujesz się w forcie.

– Cześć, Janet. Myślałem, że już wyruszyłaś. Świetnie wyglądasz.

– Nie, jeszcze nie. Mam tu coś do załatwienia, tylko nie bardzo mogę się zdecydować.

Spojrzał z zaciekawieniem.

– Coś poważnego? Może mógłbym pomóc?

– Kto wie – spod długich, ciemnych rzęs strzeliło jasne spojrzenie. – Może mógłbyś. Masz trochę czasu? A może panna Lovejoy lub Ailie Jameson patrzyłyby krzywo, widząc, że czas poświęcasz mnie...?

– Nie żartuj. Znam je i kilka innych. Tak samo.

– No więc masz czas?

– Oczywiście. Właśnie zastanawiałem się, co z nim zrobić.

Ujęła go pewnie pod ramię.

– To chodź ze mną. – Przeszli na ukos ulicę i Janet zatrzymała się przed jakąś wystawą. Kilkanaście chwil obserwowała atrakcyjne eksponaty. W końcu podniosła głowę i spojrzała

mu odważnie w oczy. Spod ramienia wysunęła rękę. – Widzisz, mam do rozstrzygnięcia poważny problem.

– Jeśli możesz powiedzieć...

– Oczywiście. Dlatego właśnie chciałam cię spotkać.

– Cóż to za problem, Janet? – Był wyraźnie zaintrygowany.

Wskazała wystawę z damskimi kapeluszami.

– Zastanawiam się, czy kupić któryś z nich, czy iść do redakcji „The Nugget” i dać płatny anons na całą kolumnę. Koszty są mniej więcej takie same. Może nawet anons będzie trochę tańszy.

W twarzy mężczyzny zamigotało zdumienie.

– Anons w „The Nugget”..., na całe kolumnę. Po cóż ci aż tak długi?

– Nie, nie będzie długi – zaprzeczyła z podejrzaną słodyczą w głosie. – Ma być jedynie wydrukowany wielkimi literami.

– Wielkimi literami, po co? – Nadal nie rozumiał.

– Och, jakież ty jesteś niedomyślny, Roddy. Po prostu chcę, by zauważyli i dowiedzieli się wszyscy.

– Ale, czego u licha mieliby się z tego anonsu wszyscy dowiedzieć?

– Nie domyślasz się?

– Niby skąd!

– Że jesteś największym kłamcą, jaki kiedykolwiek istniał na Terytorium Jukonu. To jedno zdanie – dodała – zajmie trzy czwarte kolumny. Obok, na jednej czwartej, zamieszczę twoje zdjęcie, które Carol wyciągnęła po cichu z biurka swego męża. Carol radzi, bym nie kupowała kapelusza.

– Co ty opowiadasz, Janet. Ja miałbym cię okłamać, oszukać kiedykolwiek? Powiedz, kiedy i gdzie? Sam zapłacę ci za to cholerne ogłoszenie.

– Masz chyba bardzo krótką pamięć, Roddy. Pamiętają nawet Kester i Randal. Zapomniałeś już, co powiedziałeś Nortonowi i tamtym w czasie tej ostatniej rozmowy. Powiedziałeś to publicznie. Słyszeli wszyscy, i ja też. Przyrzekłeś mi coś. Obiecywałeś. Nie zmuszałam cię do tego. Zrobiłeś to z własnej woli.

– Ależ, Janet. Mówiłem wtedy różne rzeczy. Nie wiem, co masz na myśli. Nie pamiętam. Powiedz.

– Mówiłeś, że się ze mną ożenisz. Jesteś już tydzień w Dawson i nawet się nie pokazałeś. – Na twarz wypłynął zdradziecki rumieniec, z oczu strzelił snop złotych iskier. – No więc jak, odprowadzisz mnie do redakcji, czy wspólnie wybierzemy kapelusz?

Patrzył, nie wierząc własnym oczom. Czuł jak szybko płynie mu w żyłach krew i kręci się w głowie.

– A myślisz, że w mieście jest jakiś pop?

Wskazała gestem głowy tabliczkę obok sąsiednich drzwi.

– Nie pop, Roddy. Te czasy już minęły. Ślubu może nam udzielić pastor.

Przeczytał tabliczkę:

„Śluby, chrzciny, ceremonie pogrzebowe
pastor William Reading”

– A bez kapelusza nie można?

– Nie, Roddy, zawsze marzyłam o ślubnym kapeluszu z woalką i błękitną szarfą.

– Nie obawiasz się wyjść za mąż za policjanta?

– Nie! Zresztą nie jesteś na razie policjantem. Obydwie z Carol prosiłyśmy nadinspektora Steele’a, by dał ci roczny urlop ze służby.

– A on?

– Rozumie przecież, że sama nie mogę jechać nad potok. godzinę temu podpisał rozkaz. Jesteś więc wolny, a Carol obiecała zamrozić szampana. Na weselnym przyjęciu będzie

Strickland i Steele, Kester i Randal oraz Murray, no i Carol. Zresztą ona obmyśliła wszystkie szczegóły.

– Z ogłoszeniem w prasie też?

– Nie, Roddy, tylko szczegóły weselnego przyjęcia. Ogłoszenie to mój pomysł – powiedziała z dumą. – Drugi zresztą też.

– Jaki jeszcze?

– Nnoo..., wymyśliłam, że miodowy miesiąc, albo dwa, zresztą tyle ile będziesz chciał, możemy spędzić z dala od ludzi, gdzieś w górach, w świerkowym albo modrzewiowym szalasie. I wcale tak od razu nie musimy zajmować się złotem... – pogłębił się i tak już ciemny rumieniec na jej twarzy.

– Och, Jess, a ja myślałem... – Nie zważając na tłum zgorszonych przechodniów porwał ją w ramiona, uniósł z ziemi i ruszył w stronę drzwi pastora. Nagle zatrzymał się. – A jeśli pastor nie udziela dziś ślubów – zaniepokoił się nagle.

Objęła go mocno za szyję i prychnęła:

– Nie bądź niemądry. Uprzedziłam go. Czeka i pewno niecierpliwi się, że tak marudz...

Zamknął jej usta długim pocałunkiem. Hektor patrzył ze zdumieniem, zdając się niewiele rozumieć z tej sceny. Na wszelki wypadek jednak odsłonił potężne kły i rozwarł paszczę najwyraźniej zamierzając szczekaniem dać im poznać rozmiary swego oburzenia; skończyło się ostatecznie na długim przeciągłym ziewnięciu. Może nie chciał wszczynać awantury przed domem sługi bożego, a może psuć podniosłej uroczystości odbywającej się za zamkniętymi drzwiami.

Jak na dobrze wychowanego psa przystało, usiadł przed progiem i opuścił nieznacznie uszy. Z jego niewyraźnej miny trudno było odgadnąć, czy przypadkiem nie dziwi się, że Janet zapomniała o kupnie kapelusza z woalką... Może myślał o królikach, których nie zdążył wyłapać nad potokiem, a może o czasach, gdy poprzez śnieżną zamięć biegł na czele psiego zaprzęgu, gdy był jedynym przyjacielem samotnego człowieka. Czy rozumiał, że coś się zmieniło? Chyba tak. Nie musiało go to jednak zbytnio zmartwić, skoro na widok otwierających się ponownie drzwi postawił uszy, machnął pogodnie ogonem i szczeknął z wyraźną aprobatą. Z podobną odnotował fakt wejścia młodej pary do sklepu z kapeluszami. I kto wie, czy właśnie w tej chwili nie musiał przyznać po cichu, że Janet była dziewczyną z charakterem.

Korekta: Małgorzata Suchocka